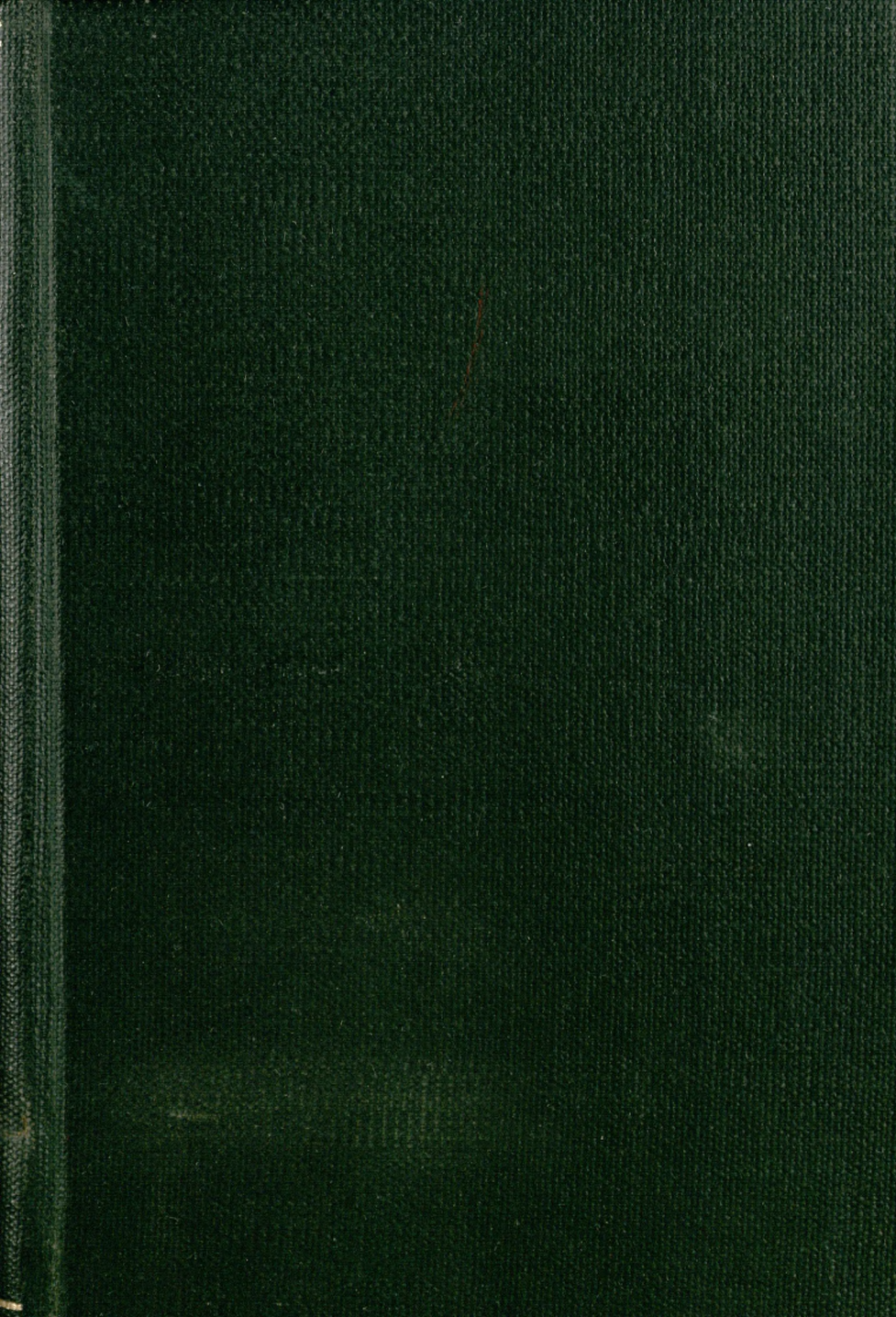










2893



THE POLISH DAILY NEWS
REFERENCE ROOM



WINCENTY POL



WINCENTY POL.

WINCENTY POL

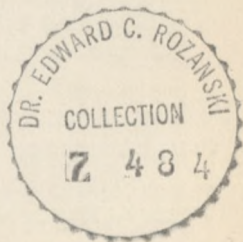
STUDJUM BIOGRAFICZNO-KRYTYCZNE

NAPISAŁ

MAURYCY MANN

TOM II.

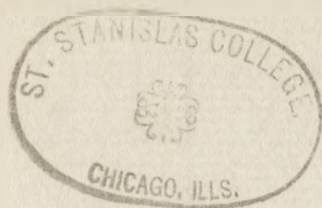
~~~~~  
Z DWOMA PORTRETAMI.  
~~~~~



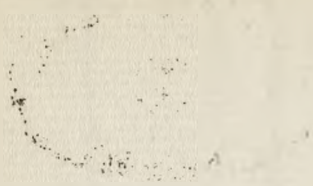
KRAKÓW · G. GEBETHNER I SPÓŁKA · MCMVI.

92
87 Kom II

ODBITO W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
POD ZARZĄDEM JÓZEFA FILIPOWSKIEGO.



KSIĘGA TRZECIA.
SYN PRZESZŁOŚCI.
(1846—1860).



WYDZIAŁ HISTORII I
SPOŁECZNOŚC
KRAJOWY
1924





I.

Dola i niedola.

Rzeź i więzienie. — Poezje *Z więzienia*. — Przekład psalmów pokutnych. — Redaktor *Biblioteki nauk. zakł. im. Ossolińskich*. — Życie towarzyskie i podróż.

W blasku pożarów popłynęło krwi bratniej morze—i oto Masynissa narodu naszego dokonał jednego z najokrutniejszych dzieł; zaiste było to rozwiązanie dramatu grozą wstrząsające, zwichnięcie usiłowań nad wszelki wyraz bolesne, dzień zapłaty srogiej, nielitościwej.

Pośród ogniów — szatana przemykały posły
I worki z srebrnikami dla Judaszów niosły,
A za nimi dzicz ślepa z wyciągniętym nożem
Szła...

I polała się krew tych, co z iskrą w oku a płomieniem w sercu głosząc nowe zorze, jaśniejsze świty, pragnęli na miejscu starożytnych świątyń większe, powszechniejsze wznieść gmachy; szatan dziejów naszych oddał ich głowy pod kosy i cepy czerni, pijanej winem i krwią. I polała się krew tych, co pilnie i z dobrą wiarą strzegąc tradycją uświęconych murów, usiłowali niweczyć podziemne prace tamtych, ujrzawszy gdzieś żywszy płomyk, nie żalowali zimnej wody, byle tylko nie burzyć, nie naruszać sta-

rego rzeczy porządku,—i naraz oko w oko stanął przed niemi krwawy Szela, zbrodniarz-fanatyk, niosący zagładę wszystkiemu, co kryło się pod osłoną herbu, tradycji, przywileju. A nie uniknęli wówczas klęski nawet ci, co zdala od wszelkich ruchów, zatrzasnąwszy drzwi od swarów i hałasów społecznych, w swym wiejskim zaciszu pędzili spokojny, wolny od trosk żywot,—nie oszczędził ich tłum, żądny rabunku, krwi i pożogi, za którym rzesza komisarzy i starostów pobrzękiwała złotem, hojnie płacąc za każdą głowę.

Do tych ostatnich należał dawny poeta a wówczas geograf — Wincenty Pol.

Przeświadczony zdawna o bezskuteczności spisków i knowań, widząc jasno, że próby przewrotów społecznych i politycznych w danych warunkach zawieść muszą, wiodąc za sobą tylko większy ucisk, zamknął uszy na wszelkie wezwania i namowy; a chociaż przekonaniemi swemi należał niewątpliwie do stronnictwa zachowawczego, to jednak i w tym kierunku działalność swą polityczną zdołał sprowadzić do zera, poprzestając na poufnych pogadankach w zamkniętym kole. Już od szeregu lat pilnie wystrzegał się posądzeń o udział nie tylko w robotach podziemnych, lecz wogóle w życiu politycznym, zwolna wypierał się nawet imienia narodowego wieszczą, którym go rodacy ochrzcili za pieśń januszową i za pieśń o ziemi; staraniem jego było dowieść i przekonać, że jest on tylko uczonym, całkowicie oddanym swym zajęciom naukowym.

W tym duchu jeszcze w roku 1840 pisał do Tadeusza Wasilewskiego: »Do Pana Zachera¹ nie piszę

¹ Leopold Sacher, dyrektor policji we Lwowie.

listu, bo nie mógłbym nic innego powiedzieć nad to, co już w proźbie wyraziłem, a jeżeli w oczach jego, jako człowiek naukowy na względ zasługuję, to miał w cenzurze wyjątki z mojej Geografii i mógł powziąć z nich to przekonanie, iż człowiek, który 4000 rzek i rzeczek opisał, nie jest i nie może być politycznie niebezpiecznym żadnemu rządowi«¹.

Wprawdzie argument o czterech tysiącach rzek nie każdego mógł zadowolić (widocznie zapomniał Pol o Lelewelu), to jednak o swej prawomyślności przekonał Pol nie tylko Wasilewskiego i dyrektora policji, lecz i wszystkich znajomych, którym ciągle powtarzał, że wyrzekł się polityki i poezji i że nauka jest jego wyłącznym zajęciem i celem.

To też gdy pod koniec 1845 roku emisariusze Edwarda Dembowskiego nawiedzili jego zaciszny domek pod dębami, gdy wierząc słowom *Pieśni o ziemi naszej*, zaledwie przed dwoma laty wydanej, spodziewali się pozyskać w pocie gorliwego współpracownika i proponowali mu nawet, jako byłemu wojskowemu, objęcie dowództwa nad oddziałem spiskowców z Jasielskiego, — zawiedli się srodze. Pol z zadziwiającą trzeźwością przedstawił im szkodliwość propagandy demokratycznej, która »do rozdwojenia prowadzi« i nienawiść miasto zgody rozsiewa, stanowczo odmówił udziału swego w spisku i powstaniu zbrojnym, wreszcie pokazał im ogromne foljały swych pism geograficznych, a zwłaszcza przygotowany już do druku tom pierwszy geografji Polskiej, do którego właśnie kreślił mapy.

Ale ciężka atmosfera, zapowiadająca burzę, zmu-

¹ List z dn. 25 listopada 1840 r. Rękop. Bibl. Ossolińskich Nr. 3230.

siła uczonego do złożenia pióra. Wiedział Pol dobrze, iż zanosi się na poważną w kraju zamieszkę; może nie tajnym mu był nawet dzień, przeznaczony na rozpoczęcie działań. To też czując się niezbyt pewnym w swoim odosobnionym domku, postanowił schronić się w bezpieczniejsze miejsce; wybrał Lwów, tam chciał przeczekać całą burzę. Zapakował więc rękopisy swe, zabrał mapy i księgi, tekę dawniejszych poezji, nieco najpotrzebniejszych rzeczy i sprzętów, pomieścił to wszystko na dwóch dużych brykach i dnia 21 lutego ruszył w drogę. Jechała z nim wierna małżonka i dzieci drobnych troje. Droga szła na Krosno, gdzie podówczas mieszkał brat poety, Józef, z zawodu lekarz, oraz sędziwa matka, Eleonora, wdowa po Franciszku Pollu.

Przyjechawszy pod wieczór tegoż dnia do Krosna, nie tam zatrzymał się, ale wraz z bratem i jego żoną udał się do pobliskiej Polanki, majątku swego przyjaciela, Tytusa Trzecieckiego. Już od szeregu lat trwały przyjazne stosunki między niemi, jeszcze od czasu, gdy Pol chciał wyswatać pana Tytusa z panną Wasilewską, córką Tadeusza. Ciężkie smutki nawiedziły przyjaciela poety; w jednym roku stracił ojca i matkę; Pol pocieszał go jak mógł, i odtąd coraz żywsza rozwijała się przyjaźń. Trzeciecki gospodarował świetnie, ożenił się z panną Węgłęńską, i choć go dzielił od Pola cały dzień drogi, nierzadko odwiedzali się wzajemnie, a już stałe towarzyszyli sobie na wyprawach myśliwskich. I tym razem pan Tytus użyczył serdecznej gościny swemu przyjacielowi i jego bratu, ale jakże boleśnie, jak krwawo miały się zakończyć te odwiedziny!

W nocy z dnia 21 na 22 lutego spadły tak wielkie śniegi, że o dalszej podróży na kołach nie mogło

być mowy. Dzień cały zeszedł spokojnie, groźne wieści nie doszły jeszcze do Polanki; ale nocą ujrzeni mieszkańcy dworu dalekie łuny na widnokręgu. Mord i pożoga zbliżały się szybkim krokiem. Wczesnym rankiem rozjuszony tłumy, zbrojne w cepy, widły, kosy i siekiery, nadciągnęły od strony Odrzykonina i otoczyły dwór. Mężczyźni, nie tracąc odwagi, sądzili, że zdołają uśmierzyć burzę spokojnym i poważnym słowem; wyszli więc wszyscy trzej na ganek i zaczęli przemawiać do tłumu. Ale krótko trwała ta chwila; chłopci przerzucili przez ganek sznury, zwalili ich w ten sposób z nóg i rzucili się na bezbronnych, tłukąc cepami i kosami kałecząc. Najmniej ucierpiał Józef Pol, bo znany był w okolicy jako lekarz, gotowy zawsze przybyć ubogiemu z pomocą; Trzecieckiego bronili miejscowi kmiecie, bo był panem sprawiedliwym i łagodnym. Najgorzej pono skatowany został Pol, który zaciął się i milczał; chłopstwo znieść nie mogło tego milczenia, widząc w nim dowód pogardy i dumy. Kornelję, która rzuciwszy się na męża, pragnęła zasłonić go swym ciałem, zraniono w głowę i odrzucono na bok nieprzytomną. Wtym żona Józefa, Niemka z rodu, ukląkszy wśród swych najbliższych, zaczęła głośno odmawiać niemieckie Ojcie Nasz. Dźwięk niemieckiej mowy tak podziałał na rozwścieczonych urlopników i zbrodniarzy, iż podnieśli nieprzytomnych mężczyzn, powlekli do ogrodu i tam przywiązali ich sznurami do drzewa. Płacząca diatwa otoczyła nieszczęśliwych, a poczciwy chłopak kredensowy, wyrwawszy z korzeniem młode drzewko, odpędzał nim napastników. Tymczasem inny chłopak dworski popędził co tchu do pobliskiej wioski, gdzie stał oddział huzarów. Morderczy tłum, na-

syciwszy się krwi widokiem, rzucił się teraz do rabunku; całe urządzenie dworu zniszczono ze szczególnem; na dziedzińcu rozpalono ognisko i rzucano w nie kosztowniejsze sprzęty, książki, papiery, rękopisy. Tak spłonęła geografja, owoc długoletniej pracy; tak zgorzały paki notat źródłowych z wycieczek w góry; tak poszły z dymem mapy, kreślone z wielkim nakładem pracy i wysiłkiem chorych oczu. Pięć godzin trwał rabunek dworu, pięć godzin raczyli się napaścnicy węgrzynem z pańskiej piwniczki i zapasami dworskiej spiżarni; a w czasie orgji skatowani przyjaciele w otoczeniu zrozpaczonych żon i dzieci, odmawiając błagalne modlitwy, czekali zmiłowania Bożego. Po południu dopiero wpadł na dziedziniec oddział huzarów, prowadzony przez znanego im oficera. Wojsko rozbiegło się po wsi, poszukując spiskowców; pijane chłopstwo dopomogło wyszukać wszystkich winnych i niewinnych. Wincentego Pola, jego brata i Trzecieckiego, skrępowawszy sznurami, rzucono na wóz drabiniasty; wszystkich znalezionych mężczyzn, którzy nie po chłopsku się nosili, rzucono jak kłody na dalsze wozy; uformował się kondukt, otoczony wojskiem. Już mieli ruszyć, gdy podbiegł jeszcze jakiś zawzięty odrzykoniec i ciał Wincentego kosą w głowę, a był to już czwarty cios, dnia tego kosą zadany. Jednakże rany nie były głębokie. Pol przytomności nie stracił i wyszeptał do zrozpaczonej Kornelji ostatnie słowa pożegnania, w których wyraziła się boleść ogromna i zupełna bezradność¹.

¹ Rzeź w Polance obszerniej przedstawił L. Dębicki w pracy: W. Pol, jego życie i pisma (Przegląd Lwowski, r. 1880, t. XX); podane przez niego szczegóły prostuję w paru miejscach według innych źródeł.

Ruszyły wozy. Na dziedzińcu przed spustoszoną dworem, na śniegu zróżowioną krwią niewinnych została Kornelja, Wicus, Julcia, Zosia... A mąż i ojciec ich »w koszuli krwawej« szedł pokutować za winy niepopelnione. Odstawiony do urzędu cyrkularnego w Jaśle, Pol z dwoma towarzyszami niedoli wtrącony został do prowizorycznego więzienia, w którym już było dwudziestu dwóch innych więźniów. Gdy felczer opatrzył mu rany i krwotok wstrzymał, dowiedział się dopiero od towarzyszków, zbratanych z nim nieszczęściem, jak olbrzymich rozmiarów dosięgła krwawa katastrofa ostatnich dni.

Kilka tygodni zeszło Wincentemu jak pasmo nieustających tortur, w przepełnionej więźniami celi, która była wilgotną i ciemną piwnicą; ciasnota, jadło wstrętne, ból fizyczny, jętrzenie się ran, przytym brak wszelkiego wyobrażenia o przyszłym losie, brak bodaj najdrobniejszej wiadomości o garstce najdroższych, których pozostawił bez dachu i chleba, — oto szereg cierpień, przez które przechodził Pol w pierwszych tygodniach swej niedoli. A w tym upadku ducha widział jedyny ratunek i jedyną ucieczkę w modlitwie i gdy mu dano księgi Starego Zakonu, przygnębiony więzień odczytywał psalmy i próbował niektóre z nich układać wierszem, aby je można było śpiewać na chwałę Najwyższemu. Tymczasem w połowie marca przyszedł rozkaz przewiezienia go wraz z kilkoma innymi do Lwowa. I tam już więzienia były przepełnione. Osadzono go zrazu w tak zwanych Małych Koszarach na Krakowskim, gdzie otrzymał półciemną i brudną celkę razem z innym więźniem politycznym, Władysławem Siemiońskim.

Tu już rozpoczęły się dla Pola dni pogodniejsze.

Troska największa — o losy rodziny — ustąpiła, gdy dowiedział się poeta, że żona i dzieci jego znalazły bezpieczne schronienie w książęcym domu we Lwowie; księżna Karolowa Ponińska życzliwie przygarnęła je do siebie.

Dni więźnia były długie, monotonne, ale nie ciężkie; miał do kogo przemówić, miał się przed kim pożalić; obawa o los własny nie dręczyła go, bo był niewinny. Indagacje i śledztwa nie zdołały mu dowieść żadnego przewinienia politycznej natury; przeciwnie, inni więźniowie zgodnie zeznawali, że Pol do żadnych spisków nie należał i oddawna już trzymał się zdaleka od życia politycznego. Jednakże wielka liczba uwięzionych wpływała na powolność dochodzeń i odwlekała uwolnienie Pola. Tak nadeszła wiosna. Poeta przywykł do swej celki mimo srogiej dyscypliny więziennej, mimo wstrętnego jadła, mimo rozłączenia z rodziną. Czasem tylko wolno było żonie, siostrze lub bratu odwiedzić Wincentego. Bracia znosili mu książki, dziatwa — kwiaty, Kornelja — ulubione cygara, bieliznę i najpotrzebniejsze drobiazgi. Nieraz u drzwi więziennej celki stanął na warcie jaki poczciwy wiarus, wąsaty Węgier, który dostarczał mu zakazanych zapalek i brał na siebie odpowiedzialność, gdyż więźniowi nie wolno było palić. Tą samą drogą dostawały się tajemnie karteczki i listy do żony; oto jedna taka kartka, pisana w więzieniu dnia 10 czerwca¹:

Kochana Kornelio! Bardzo się cieszę z odebranej wiadomości od Ciebie; szczęśliwym będę, jeśli wolno będzie siostróm mnie odwiedzić. Nie dziw się, że ja nie pisuję do Ciebie, gdyż jest to zawsze z pe-

¹ Rękop. Bibl. Jagiel. Nr. 3772.

wnemi trudnościami połączone, jeżelibym sam miał pisać. Dlatego uprosiłem sobie dziś obcą pomoc, żeby list prędzej doszedł Twoich rąk. Ja jestem zdrów Bogu dzięki i cieszę się podobną wiadomością od Was, od sióstr, od matki i od Józefów. Po waszej ostatniej bytności miałem długo o czym myśleć i wielką to byłoby pociechą dla mnie, gdybym Ciebie i dzieci znowu mógł zobaczyć; stan zdrowia Twego niepokoi mnie i upraszam Cię na wszystko, abyś miała o Twym zdrowiu staranie... O mnie bądź spokojną, wszakżeś mnie widziała i stan zdrowia mego powinien Cię uspokoić. Cygara odebrałem i bardzo dziękuję Ci za nie... Ja ściskam Cię od serca z dziećmi i polecam Was Bogu!

Wiecznie Wasz Wincenty.

Po paru miesiącach zamknięcia w Małych Koszarach, które były najgorszym z lwowskich więzień, przeniesiono Pola do innego gmachu, gdzie otrzymał wyłącznie dla siebie małą, lecz czystą i widną celkę. I z nowego więzienia pisze karteczkę do żony:

Jak mi? — pytasz. — Jakby w domu,
Szczupło, biało, — ład i cisza!
Nie mam wprowadzić towarzysza,
To i bluźnić niema komu!

Ściany białe i chędogie,
Celka mała i samotna,
Do dumania myśl ochotna,
Życie ciche i ubogie.

Umysł skłonny i posłuszny,
Co się wyrzekł woli własnej
A świat cały w księdze krasnej
I w modlitwie tylko dusznej¹.

¹ »Dzieła« t. IX, str. 278.

Tak więc jednostajne dni i długie noce dzielił poeta między dumania, modlitwę i księgi.

Jakież to księgi przypadły mu teraz najbardziej do serca? Oto na małym stolyczku leżeli obok siebie: Homer, Dante, Jan Kochanowski, a razem z tym Biblia i arcydzieło duszy chrześcijańskiej: »O naśladowaniu Chrystusa«. Wybór niewielki, lecz istotnie doskonały dla pociechy i podniesienia zboląłego ducha, dla wsączenia w zranione serce słodyczy i tej przedziwnej anielskiej rozkoszy, jakiej umysł światły doznaje, zatapiając się w piękno i wzniosłość wielkiej poezji. Ale jakież wybór Pol z tego uczynił? Odrzucił »poganina« Homera, bo go »widok orężnych« w Iljadzcie pocieszyć nie zdołał. I »starego katolika« Dantego ten sam los spotkał:

Nie chcę, nie chcę piekła!
Nie chcę i czyśćca! Mam już czyśćca dosyć!
I znam tę gorycz pokutnego chleba;
A trudno także nieba mi uprosić,
Bo z tą boleścią nie puszcza do nieba!
A więc i Dante mnie już nie zatrzyma,
I w całej księdze wiersza dla mnie niema!¹

Jan Kochanowski mimo precudnych psalmów swoich niedługo cieszył się względami Pola; odłożył go, bo duch rozlany w jego poezji, duch Polski XVI wieku, jasny, pogodny, tryumfujący, drażnił zboląte serce poety, który w tak odmiennych, a tak bolesnych żył teraz czasach. Skończyło się więc na Piśmie Świętym i na Tomaszu à Kempis. A gdy po czytaniu ksiąg proroków, ewangelistów i natchnionego autora „*De imitatione*“ przychodziły posępne godziny rozmyślań nad chwilą obecną, w stroskanym

¹ Tom IX, str. 269.

więźniu odradzał się poeta; i wszystkie myśli i pragnienia, troski i nadzieje, przecucia i pociechy — wszystko to, jak dawniej, zamykał w rymach i strofach, a tak z dnia na dzień powstawała wierszowana kronika i obraz jego ducha. Tymczasem nadszedł lipiec; w pierwszych dniach tego miesiąca pękł dzban do wody, stojący w celce Pola; usługujący mu stary więzień wyjaśnił, że to oznacza blizki dzień swobody. I rzeczywiście dzień ten zbliżył się. Dopomogły Wincentemu liczne znajomości w sferach urzędniczych; życzliwe mu osoby poruszyły wszystkie sprężyny, aby uwolnienie poety przyspieszyć; zresztą nie dowiedziono mu żadnej winy. To też gdy przybył z Wiednia do Lwowa hr. Rudolf Stadion, wysłany przez cesarza dla uregulowania zawikłanych spraw w Galicji, wśród wielu uwolnionych na jego rozkaz znalazł się i Wincenty Pol. Dnia 6-go lipca otworzyły się przed poetą wrota więzienne; wyszedł z nich zdrów na ciele, choć osłabiony i mizerny; a duch jego? — Duch zdawał się silniejszym, zdrowszym od ciała; w ciągu długich dni zamknięcia przeszedł był przez różne stopnie i rodzaje tak cierpień, jak i pociech, od rozpacz, żalu, goryczy — do pobożnej rezygnacji i spokojnej wiary w lepszą przyszłość, aż wreszcie osiągnął równowagę zupełną. Wzbogacił się duch jego nie tylko tym, co daje doświadczenie, przejścia i wypadki zewnętrzne, ale także skarbami, które w godzinach samotności i zadumy z siebie wydobywa. Dzieje ducha, jego stan i stopniowe zmiany w tym smutnym okresie przekazał poeta w szeregu utworów, które na ławie więziennej spisywał na małych, pomiętych kartkach.

Do utworów, które za kratami powstały, należy przedewszystkiem cykl p. t. *Z więzienia*, składający

się z 21 wierszy jednolitych oraz 24 drobnych refleksyjnych strofek różnej wielkości, objętych wspólnym tytułem, *Plaszki*; następnie do tegoż okresu twórczości należy wiersz p. t. *Rok 1846* (t. IX, str. 260—261), dalej *Rozmowa nocna przez kratę* (t. IX, str. 435—437), a wreszcie nieznany utwór liryczny, p. t. *Dość już tego, dość!*¹

Za najwcześniejszy z tych wszystkich uważam *Rok 1846*. Daje on nam treściwe a dokładne pojęcie, w jaki sposób reagowała dusza poety na najświeższe krwawe wypadki; szczególnie charakterystyczny, że rozpoczyna poeta od siebie, od swej osoby, swej rodziny i domu:

Pusto tam stoi mój dom pod dębami—
I sam zostałem i oni tam sami!
I w gniazdo moje niby piorun strzelił,
I od serdecznych piskłat mnie rozdzielił!

I ja w więzieniu i w koszuli krwawej,
A moi biedni wśród zbójców bez domu,
I bez ogniska, przytulku i strawy,
A nawet ręki niema podać komu!

Tu więc myśl o nieszczęściu własnym przeważa nad myślą o klęsce ogólnej, tu troska o los najbliższych wyprzedza troskę o losy setek rodzin, którym ojców i braci pomordowano i domy puszczono z dymem. Los poety i jego ukochanych zaiste nie należał jeszcze do najgorszych: nikt życia nie postradał, w »dom pod dębami« żaden piorun nie strzelił, gdyż dzięki pieczołowitości sąsiada i przyjaciela Teofila Łętowskiego nie uległ zniszczeniu ani jeden sprzęt w domku poety; co więcej, niesłusznie skarży się

¹ Po raz pierwszy ogłoszony przeze mnie w tyg. warsz. *Bluszcz* r. 1902, Nr. 50.

poeta, że jego »biedni wśród zbójców bez domu«, bez przytułku i strawy, bo wiemy, że zaraz znaleźli się życzliwi ludzie, którzy opuszczonej rodzinie poety pospieszyli z pomocą. Po tych dwóch początkowych strofkach, które zawierają skargę po części tylko słuszną, już od strofy trzeciej aż do końca poeta zwraca się do Boga najpierw z pytaniem, ze skargą, potem z błaganiem, jest to więc jedna rzewna modlitwa, z za krat więziennych posłana w niebiosy. Po okrzyku boleści pełnym: »O Panie! Panie! za coś się odwrócił«, wyraża poeta trwogę, która napełnia serce jego na widok zbrodni, zalewających świat:

Czy się świat może ma już dziś do skonu,
Że tak na złości serca rozpasane...

Jak potop świata, tak wezbrały zbrodnie
I bratobójstwo szerzy się bezkarnie.

Po tych ogólnikach, w których trudno jeszcze wysledzić istotną myśl autora, następuje dopiero strofa, stanowiąca jądro tego utworu:

W co się obróci ta polska dziedzina —
I czym się będzie ten lud dalej bawił,
Gdy pierwszym krokiem, co w życiu postawił,
Już w dziejach świata wyrósł na Kaina?

Obelga bolesna a niesłuszna, której Pol nigdy później nie odwołał i nigdy już nie cofnął.

»Czym się będzie ten lud bawił« — tu już tkwi błąd i niesprawiedliwość, gdyż poeta powinien był uświadomić sobie, że do ludu w ogólności nie miał prawa tego stosować; bandy zdemoralizowanych urlopników i rozkutyh zbrodniarzy, spojonych wódką i poduszczonych bezwstydnie — to jeszcze nie lud; a choćby część ludu rzeczywistego, pogrążonego

w ciemnocie i nędzy, dała się zwieść i do zbrodni pociągnąć, to przecież jasielski, bocheński i tarnowski obwód nie stanowią jeszcze całej »polskiej dziedziny!« A dalej:

Gdy pierwszym krokiem, co w życiu postawił...

Czyż to naprawdę był »pierwszy krok« w życiu ludu? Czy zapomniał już Pol o białych sukmanach pod Racławicami, czy zapomniał, kto brał armaty pod Stoczkiem? I wreszcie zarzut najcięższy:

Już w dziejach świata wyrósł na Kaina!

Prawda, i Ujejski użył tego imienia, wołając:

Mnóstwo Kainów jest pośród nas...

Lecz twórca jeremiad w tej chwili dodał:

Ależ o Paniel oni nie winni,
Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,
Inni szatani byli tam czynni;
O! rękę karaj, nie ślepy miecz!

Tej »ręki« Pol nie widział pisząc bolesne słowa, nie chciał jej widzieć i później; ciężka obelga pozostała w swej formie i sile, co dowodzi, że wzrok poety daleko nie sięgał.

Ostatnie strofy *Roku 1846* to słowa prośby, zwrócone do Boga:

Nie chcemy pomsty Twojego ramienia...

Poeta przemawia tu w liczbie mnogiej, trzeba więc rozumieć, że mówi w imieniu tych setek pociętych, zamęczonych i okaleczonych, w imieniu bezdomnych wdów i sierot, w imieniu wreszcie tych wszystkich, co siejąc ziarno w ich mniemaniu dobre i zdrowe, zebrali taki krwawy plon.

We krwi skąpani prośbę tę zanosim,
 I już o jedno, jedno tylko prosim:
 Puść w ugór ludzi, ho gdy się krwią bawią,
 To już dobrego pewno nie nie sprawią.

Puść w ugór ludzi i nie spiesz się z karą,
 A czyste serca pociesz Twoją wiarą...

Tak więc dla serc czystych prosi poeta o pociechę, z wiary płynącą, a dla serc pokalanych zbrodnią — tylko o odwleczenie kary; nie wznosi się tu jeszcze na wyżyny prawdziwie chrześcijańskiego uczucia, którym jest przebaczenie; za świeży był jeszcze ból, za głęboka uraza, którą podtrzymywał nadto jednostronny sąd i uprzedzenie. Dlatego może wiersz ten, niewątpliwie szczery i powagi pełen, nie przemawia zbyt silnie do serca, nie zjednywa współczucia.

Gorycz i zwątpienie, złagodzone w *Roku 1846* uczuciem religijnym, wybuchają silniej w innej skar-dze poety, która również w więzieniu powstała; w utworze tym, noszącym tytuł *Dość już tego, dość!* — poeta przyrównywa się do rolnika, siejącego pieśni i łzy na roli serc ludzkich:

Miałem pole niejałowe
 I posiałem ziarno zdrowe
 Na nim w Boży czas,
 Choć pod grudą było siane,
 Zeszło zboże piękne, rane,
 Rozkoszne jak las!

.....
 Ale zboże śniedź przysiadła,
 I z każdego kłosa padła
 Miasto ziarna — łza;
 Smutne żniwo: pieśni siałem,
 Miał miłości łzy zebrałem.
 Zła to wróżba, zła.

Co tu począć — ha, siać trzeba,
 Może błysnie łaska nieba
 Na powtórny siew;
 I orałem w mej niedoli,
 I posiałem łzy po roli,
 A zeszła mi krew.

Gdy po pieśni łza nam wschodzi,
 A z łez sianych krew się rodzi,
 Dość już tego, dość!
 Niech ugorem pole leży,
 Bo jak w posiew krew uderzy,
 Będzie w zbrodnie rość¹.

Rozgoryczenie i bojaźń rzeczy przyszłych znalazły silny a zarazem piękny wyraz w tej przejrzystej alegorji. Co się tyczy rozwiniętego tu motywu siejby »w Boży czas« zdrowego ziarna, motywu krwi na roli, to uważam go za reminiscencję z *Psalmu miłości* Krasińskiego; w tym bowiem miejscu, gdzie twórca *Nieboskiej* wylicza zasługi szlachty (a sądzę, że Pol na ten właśnie ustęp szczególną zwrócił uwagę) spotyka się słowa następujące:

Wszędzie, wszędzie na planecie
 Braci moich ryty ślad!

 Po wszechziemiach, po wszechwodach
 Sieli przyszelej Polski siew:
 Boże ziarna, własną krew —
 I wy syny tego bólu!

Otwierając księgę *Z więzienia* na czele jej spotykamy *Wstęp*², który jest wierszem czysto lirycznym; uderza w nim rzadka u Pola harmonja budowy i je-

¹ Rękop. Bibl. Jagiel. Nr. 3725.

² W tomie IX, str. 262, należy poprawić błędy druku: wiersz 14 — łaska, zam. łaska i w. 21 — Dziś, zam. Dni.

dnolitość. Podzielony na cztery sześciowierszowe strofy (nie sestyny!) zawiera w każdej strofie pewną myśl, na swój sposób rozwiniętą i zaokrągloną. I tak strofa początkowa wyraża stan ducha poety, który nigdzie nie widzi oparcia, znikąd nie doznaje pociechy: »Mącą się myśli i w czczą pustynię duch bez steru goni«, ale daremnie szuka nadziei lub wieści, wszędy go zawód spotyka i »wiecznie tylko powraca z boleścią«.

Następna część tego liryka składa się z szeregu pytań bolesnych a dręczących:

Gdzie myśli moje, co się same przedły?
I kwiaty serca, co nigdy nie wędły?
Gdzie miłość moja i laska Mojżesza?

Poeta nie daje sobie odpowiedzi na żadne z tych pytań, ale myślą sięgnąwszy w niedaleką przeszłość, wydobywa jeden taki kwiat serca:

.... gdym silną wiarą
Piersiami memi o skałę się cisnął,
To zdrój miłości ze skały wytrysnął...

Ten »zdrój miłości« — to może *Pieśń o ziemi naszej*, bo zaiste wypłynęła ona z »silnej wiary« w lepszą przyszłość, a była »zdrojem miłości«, który z gorąco miłujących piersi wytrysnął. I wreszcie strofa ostatnia zawiera jedną jedyną prośbę do Boga zwróconą:

Tylko o kroplę rosy błagam nieba,
Z błogosławieństwem niech na duszę spłynie...

Gdy ta kropla spłynie do serca, poeta rzuci się »z dawną wiarą ku niebu« i »kroplę rosy zdrojem łąz« powróci. Przez kroplę rosy należy tu rozumieć drobne pociechy dla serca, drobne dowody, że nie

wszystko stracone, drobne przykłady, że żyje jeszcze na świecie i miłość, i dobro, i piękno, że jest w co wierzyć i co ukochać.

Niebo spełnia to jedyne pragnienie poety, w serce jego zaczynają spływać takie krople rosy. Pierwszą z nich są *Dzieci w dziedzińcach więzień*. Przez okno więziennej celki dolatuje z dziedzińca wesoły, swobodny śmiech i szczebiot bawiących się dzieci:

Jak deszcz majowy, jako oddech rosy
Padły na duszę mą dziecięce głosy!

I w tej chwili przywodzi mu to na myśl własne jego dzieci, których głosu dawno już nie słyszał:

Troje was igra — i moich jest troje!
Mnie na pociechę, co wam na zabawę...
W dziedzińcach więzień wy igracie sobie!
Tak rosna kwiaty i kwitną na grobie...

Jest więc już pierwsza pociecha — to myśl o swych dzieciach; już serce nie zostanie bez przedmiotu ukochania, jest o czym myśleć z nadzieją i z miłością. To też doznawszy tej słodkiej pociechy, kończy poeta serdecznym błogosławieństwem, posłanym dziatkom więziennego dziedzińca.

Drugą kroplą rosy, co spadła na zboląłą pierś poety, jest *Straż z litością*. To już nie liryk, ale opowieść pewnego zdarzenia, które znów w serce poety wsączyło odrobinę wiary w ludzi. U drzwi celki stanął na straży wąsaty Węgier: najpierw kłął siarczyście — a więzień uszy zatkał: »ach! bo klątwa boli!« Ale rychło okazało się, że to jakiś pocziwy człeczyna: litość go zdjęła nad więźniem, łzy mu w oczach stanęły, sam na pociechę zapalił sobie lulkę, a pociecie przez szparkę wsunął »sto zakazanych zapalek«, aby miał czym zapalać cygara.

Niech się nie boją! Niech się pozuchwałą!
Niech wąż podkręca i sygar zapala!

Więzień dał się namówić — zapalił cygaro.

Poeta to proste opowiadanie o powszednim fakcie zapragnął skończyć wzniosłe, i pisze:

Abym nie zdradził tak pocziwej wiary,
Oknom uchylił — a dym szedł w niebiosy,
Jakby z ołtarza najczystszej ofiary!

To wzniosłe zakończenie czyta się z uśmiechem, wiedząc, że ten dym, co szedł w niebiosy, to dym z cygara, a to przyrównanie palącego się cygara do »ołtarza najczystszej ofiary« jest jednym z licznych dowodów, że pióro Pola, dobre do prostego opowiadania rzeczy powszednich, łamało się przy ustępach wzniosłych.

A sens moralny tego wiersza, jego myśl przewodnia? Ta jest przejrzysta i wyrażona jasno:

A w piersim uczuł, że niebieską karmą
Miłość bliźniego — choć w dzikim żołnierzu
Obcego ludu — i że człek niedarmo
O miłość ludzką prosi przy pacierzu!

Zatym miłość bliźniego, współczucie, jest dla więźnia drugą »kroplą rosy« ożywczej; trzecią kroplę daje mu *Ranek w ogródku więźniów*.

Cóż to za zapach w tych murach nieznany?
To z wiejskiej łąki oddech zabłąkany
Kędyś od Zboisk, czy hen od Hołoska!
Boże mój, Boże! gdzie jest nasza wioska...

i ranny wietrzyk, przynosząc zapach świeżego siana, wywołuje w pamięci poety żywy obraz zielonych pól, stogów wonnego siana i tych chwil słonecznych, przeżytych wśród wiejskiej natury:

... gdzie te czasy, kiedyśmy po łące
Bujali sobie przez trawy szumiące?

Podobnie jasne i pogodne chwile zaczynają niewiedzieć poetę coraz częściej; lada drobnostka, jakiś owad czy ptaszek dojrzany przez kratę dostarcza mu powodu do napisania wierszyka; czasem w takim wierszyku znajdzie się jakaś myśl ogólniejsza; np. w *Pszczółce* przeprowadzona jest myśl, że każdy powinien wiernym zostać swemu powołaniu; częściej jednak są to zabawki pióra bez większego znaczenia; takim jest *Świętojański robaczek*, takim wiersz *Do wróbla*, takim też wiersz: *Skowronek i Dzwonek*, nie-naturalnie tkliwy, zepsuty nadużyciem form zdrobniałych. Z tych małych utworów, osnutych na tle różnych ptaszków i robaków, wyróżnić trzeba *Legiendę więźnia* o pająku, a wyróżniam ją nie dla zawartej w niej baśni, która jest zlokalizowanym mitem o Arachnie, i nie dlatego, żeby wskazać na pocziwą pobożność poety, który wiszącego na obrazku Marji pająka wyrzuca za okno, a spełniwszy to uważa się za »obrońcę Jej zakonu«, lecz dla ogólnego tonu tego wiersza; panuje w nim bowiem dziwnie pogodny, jasny, prawie że radosny nastrój:

Dzień szczęśliwy miałem wczora
Od świtania do wieczora...

Ależ zaiste pocie nienajgorzej musiało się dziać, jeżeli pisał takie słoneczne wierszyki. Ta swoboda ducha i wyzbycie się czarnych myśli przegląda również przez strofy tych utworów, gdzie poeta daje niewielkie, zgrabne, nieźle wykończone obrazki z życia więziennego. Nie szukać tam wielkiej poezji, bo niema w nich pierwiastków twórczości nieśmiertelnych, ale poznać z nich można — najpierw, jak się

tam w roku 1846 wiodło za kratami więźniom stanu, a powtóre — jak Pol odczuwał i sądził to, co dokoła siebie widział. Do tej grupy utworów należą: *Księgi w więzieniu*, *Nasze wieczory* i *Dzban stłuczony*. Pierwszy z nich dowodzi, że poeta szukał pociechy i zapomnienia w modlitwie, że rozmyślania pobożne i czytanie ksiąg świętych było dlań spędzeniem czasu i najmiłszym i najpożywniejszym dla jego stroskanego ducha. *Karteczka do żony* odtwarza nam chwilę, gdy poeta zupełnie pogodził się już z losem, wystarcza mu księga i modlitwa,

Górą widna smuga nieba,
Niżej parę drzew zielonych, —
Czegóż więcej mi potrzeba?

Ten stan ducha można sobie wyjaśnić tylko tym, że poeta był pewien blizkiego uwolnienia i że właściwie to tylko go obchodziło. Szczególny to stan ducha, związanie, sprowadzenie pragnień do minimum, wyrzeczenie się »woli własnej«, »chęci płonnych«; dziwne zarazem, że tu tak wiele zajęcia się swoim nienajgorszym losem, a tak mało serdecznych słów o ciężkim losie towarzyszków więzienia, sąsiadów przez ścianę — lub innych z wieści tylko znanych. Jak posępne i krwawe dni przeżywali ci ostatni, — opowiada nam poeta w prozaicznych słowach, ale dokładnie w wierszu *Dzień więźnia*. Raz jeden tylko zajął się żywiej losem jakiegoś wojskowego, rodem z Illirji, który co wieczór przy dźwiękach gitary śpiewał donośnym głosem smutne pieśni swego kraju (*Nasze wieczory*).

Drobną cząstkę księgi *Z więzienia* stanowią rozmyślania ogólniejszej natury, jest ich zaledwie kilka, a przecież i z nich można wydobyć coś, co nam da

bliżej poznać umysłowość poety, jego pojęcia, zapamiętania i sądy w tej dobie. Przedewszystkiem więc w wierszu *O co chodzi?* zdaje mu się, że jednym słowem rozwiązał zagadkę ówczesnych stosunków:

O co tyle walk i krzyków?
 »Ha! o władzę tylko chodzi!«
 Żądza siły słabość rodzi —
 I stąd tylu niewolników,
 I rządzących i rządzonych...

Do tego utworu, który dowodzi tylko chyba, że poeta nie zorientował się jeszcze w sytuacji, wprowadza Pol punkt widzenia, zapożyczony z katechizmu:

Gdyby w świecie to chodziło
 Tak o dobre, jak o władzę —
 Bógby podparł ludzi siłą,
 I utwierdził ich w powadze!

Przetłomaczone na język powszedni znaczy to: ponieważ Bóg opiekujący się dobrami odwrócił się teraz od ludzi, jest to dowód, że ludzie postępują źle; tym złem jest dążenie do władzy. Z tego wynika, że w umyśle Pola pojęcia dobra i władzy łączą się wzajemnie. Tak zdany zupełnie na wolę boską, która rozumnie i celowo światem rządzi, pisze on wiersz p. t. *Tajemne są sądy Boże*; myśl wyrażona jest w tytule; poeta nie chce dochodzić zamiarów i wyroków boskich, ale w jedno tylko gorąco pragnie uwierzyć:

Że nam cierpienia niedarmo zesłane.

Ostatnia strofa, pełna pokornej skruchy i surowości starego Zakonu, przypomina nam, że w tym czasie poeta zajęty był wierszowaniem psalmów pokutnych. Pierwiastek religijny, tym razem wybitnie

chrześcijański, znalazł wyraz w utworze, który Pol na ścianie swej celi napisał dla przyszłego więźnia (*Do mojego następcy*):

Gdy się zamknięty ujrzysz za tym progiem.
Myśl tylko o tym, byś stał dobrze z Bogiem...
Jeżeli wina nad tobą zacięży,
Popraw się w sercu — a Bóg cię rozgrzeszy!
Jeśli niewinnie świat cię uciemieży,
To dziękuj niebu, bo Bóg cię pocieszy!
Niewinnie cierpieć i przebaczyć szczerze —
O! tej rozkoszy świat ci nie zabierze...

Głęboka wiara łączy się tu ze wzniosłą nauką wielkiego Galilejczyka, według której rozkoszą jest »niewinnie cierpieć i przebaczyć szczerze« i według której też wystarcza poprawić się w sercu, aby Bóg winy odpuścił.

Wreszcie ostateczną konsekwencją religijności Pola jest myśl, wyrażona w następującym czterowierszu:

Największe prawdy są od wieków znane,
Bo są od wieków przez Boga nam dane —
I człek się darmo na nowe wysila;
Lecz nowe zbrodnie stwarza świat co chwila.

Pominąwszy ostatnie słowa, wyrażające rozgoryczenie na świat, a powtarzające się do znużenia w ustach poety, — mamy tu myśl, do której zapewne nie przyznałby się żaden z Ojców Kościoła, żaden z pisarzy-teologów; bo choć oni potwierdziliby, że »największe prawdy« są dane przez Boga, to jednak zgodziliby się, że są jeszcze drobne, mniejsze prawdy, które Bóg dozwolił umysłowi ludzkiemu zdobywać samodzielnie. Zdanie o daremności wysiłków myśli ludzkiej, w takiej formie i w tym znaczeniu, jak je Pol wyraził, znosi ostatecznie ciasne kółeczko,

które dogmaty religijne pozostawiły myśli ludzkiej; znaczy to *a priori* odebrać wszelką nadzieję, że myśl ludzka wysiłkami swemi bodaj o krok dalej posunie lub zmieni dotychczasowe zdobycze. Pol istotnie nowych zdobyczy nie pragnął, jemu prawdy katechizmu wystarczały najzupełniej, a nawet w granicach, przez katechizm zakreślonych, niewiele przemysleć zdołał, jak to się okaże z ogólnego rzutu oka na jego umysłowość.

Czterowiersz powyższy wyjęty jest z szeregu rytmowanych zdań i myśli, objętych tytułem *Plaszki*. Nazwę tę wyjaśnia nam poeta w wierszu: *Nie fraszki, lecz ptaszki*:

...co chwila jakaś myśl mi spada,
Podobnie jak ten wróbel, co na koszu siada,
Zaświergoce, podskoczy i znowu odleci —
Rozumiem, że nastawić trzeba na nią sieci.

Ni wysoko ja lecieć, ni daleko będę,
A jak wróbel na koszu tylko chwilę siędę —
U starych te podrywki zwały się *Fraszkami*,
My językiem więzienia zwiemy je *Ptaszkami*.

Otóż z tych myśli, chwytanych jak ptaszki i notowanych dorywczo, powstał zbiór dwudziestu kilku wierszyków refleksyjnych różnej wielkości (od dwu do 14 wierszy); rzeczy nowych, oryginalnych, głębokoko przemyślanych — zbiór ten nie zawiera; mówi się tam po prostu a pocziwie, że trzeba cnotę kochać, dobrego imienia strzec, ze światem się nie liczyć, o zapłatę nie dbać, myśli wznosić ku rzeczom wiecznym; gdzieśniedzie znajdzie się jakiś dwuwiersz charakterystyczny, np.

Żal to niewielki, gdy go stać na słowa:
W żalu największym niemieje wymowa.

Jeżeli tę myśl zastosujemy do samego poety, to będzie ona dowodzić, że »niewielki« był jego żal w roku 1846, skoro przez cały czas zamknięcia stać go było na słowa. Inny dwuwiersz mówi, że

Kto cicho w życiu spłacił wszystkie długi,
O tym świat mówi, że był bez zasługi.

Tę właśnie myśl powtórnie podjął Pol i szerzej rozwinął w ośmiowierszu, który uważam za szczery i znamienity wyraz jego przekonań:

Chwila uniesień duszy nie wysila,
I kto ma skrzydła, temu lekko w locie,
Jako skok łatwa poświęcenia chwila,
I do poświęceń zachęca gwiazd krocie...
Ale na drodze obowiązku ciernie —
I podróż na niej i krwawa i długa!
I po tej drodze pójść do końca wiernie,
To nie u ludzi, — ale jest zasługa.

Tu »ciche spłacanie długów«, wierne i wytrwałe spełnianie włożonych przez życie obowiązków wywyższone jest nad czyny uniesień i zapału; chwila uniesień nie stanowi zasługi, bo jest »jako skok łatwa« i zdaniem poety — »duszy nie wysila«; natomiast istotną zasługę stanowi ta drobna, mrówcza praca, dla której świat należnego uznania nie ma. Nie miejsce tu roztrząsać, czy poeta ma słuszość; ale zaznaczyć trzeba, że podobne zdania wygłaszał już mniej więcej od roku 1840, kiedy to oderwawszy się od miasta i działalności społecznej, przenosił mrówcze krzątanie się »w małym kole« nad orle wzloty i »chwile uniesień«.

Z takich i podobnych pojęć, przekonań, wyobrażeń, które w ciągu ostatnich lat coraz bardziej utrwały się w umyśle, skryształizował się wreszcie pewien zaokrąglony, zamknięty w sobie pogląd na świat.

Według tego poglądu w czasie długich dni zamknięcia wypracował sobie poeta pewne wskazówki na przyszłość, swój *modus vivendi*, do którego i sam postanowił stosować się ściśle, i innym zalecał jako jedyny, dobry i nieomylny wśród dzisiejszych warunków. Te nakazy przewodnie zawarł Pol w wierszu p. t. *Godło życia*. Napisawszy je wkrótce po uwolnieniu, albo nawet jeszcze za kratą, powtarza Pol i wpisuje przy każdej sposobności przez szereg lat; w r. 1849 pisze go na pamiątkę braciom Siemianowskim, w styczniu r. 1850 rozpoczyna nim pierwszy swój wykład w Uniwersytecie, — słowem ciągle ma go na ustach i rad udziela innym. Według autografu z Biblioteki Poturzyckiej (hr. Dzieduszyckich we Lwowie) wiersz ten¹ brzmi jak następuje:

Wiernie stanąć na przeszłości,
 Jak krew ze krwi, jak kość z kości,
 I sumiennie pocześć dzieje,
 A w świat przyszły siać miłości,
 Ziarna wiary i nadzieje.
 Ziemię z niebem związać spodem,
 Serce z Bogiem, myśl z Narodem,
 Słowem, wzorem iść mu przodem
 I przymierza opleść kołem.
 Nie pobлуźnić, nie podwoić,
 Lecz miłością bole koić,
 Pracą ducha uszlachetnić
 I uwiecznić i uświetnić.
 To zadanie zacnej Młodzi!
 I ojczyźnie to się godzi!
 To zadanie sztuki, śpiewu,
 Mężów Prawdy i Posiewu
 Dobrego w Ojczyźnie...

¹ W t. IX »Dzieła« drukowany dwukrotnie (str. 288 i 446), obydwą razy z błędami.

Słowa zwrócone przedewszystkim do »zacznej młodzi« (zacznej postępowaniem, czy zacnie urodzonej?), następnie do artystów i poetów, wreszcie do wszystkich mężów »prawdy i dobrego posiewu«. Otóż »zadanie« ich polega najpierw na tym, aby

wiernie stanąć na przeszłości.

A więc przeszłość ma być stanowiskiem, podstawą, na której należy »stać« i z tego punktu widzenia spoglądać na życie obecne i przyszłe. Stosunek do przeszłości doskonale określa wyraz »wiernie«, bo wyraża stopień i rodzaj uczucia, które żywić trzeba dla przeszłości; stać na niej wiernie, to znaczy zachować wierność oddanego przyjaciela i bezgraniczne, ślepe przywiązanie syna do matki, to znaczy wyrzec się sądu i krytyki, przyjąć wszystko bez zmian, bez zastrzeżeń. W *Pieśni o ziemi naszej* pouczał nas poeta:

Trzeba będzie ważyć, służyć,
Milczeć, cierpieć i wojować!
I niejedno miłe zburzyć,
A inaczej odbudować...

Dzisiaj myśl o zburzeniu czegokolwiek odtrąca poeta, wyrzekając się zarazem wszelkiej krytyki, sądu, analizy; to wszystko oznacza Pol wyrazem »negacja«, który to wyraz, wchodząc w tym czasie do pism jego i do żywego słowa, nastroczał powód do wielu cierpkich uwag ze strony innych pisarzy. Ustaliwszy pierwsze przykazanie, uzupełnia je Pol, lub raczej ogranicza drugim wierszem swego godła:

Jak krew ze krwi, jak kość z kości.

Ma to oznaczać ściśle zachowywanie tradycji, przekazanej ze krwią, od szeregu pokoleń, tradycji tak ducha, jak i obyczajów. Brzmi to dziwnie w ustach poety, który pochodził z rodu cudzoziemskiego i nie

mającego ze sobą tradycji. Sam Pol pamiętał dobrze o swym pochodzeniu, skoro w tym właśnie czasie, dnia 10 czerwca 1846 r. pisząc list do żony¹, adresował: à Mme Cornelié Poll de Pollenburg. Odpowie kto na to, że nazwisko nie rozstrzyga o narodowości, że tu miarą jest poczucie własne. Tak, zupełnie słusznie, nie ośmielę się przeczyć, że Pol uważał się za dobrego Polaka i że takim był istotnie; ale teraz nie o narodowość chodzi, lecz o »krew ze krwi i kość z kości«, o ród, o tradycję, — tego zaś u Pola nie było. A jednak poeta do krwi i kości taką przywiązywał wagę, że zdanie to miał później ciągle na ustach, powtarzał je przy każdej sposobności (otwierając na chybił trafił tom VII »Dzieł« znajdujemy te słowa na str. 429 wiersz 7, a dalej str. 432 w. 4, str. 433 w. 4 i 8, str. 440 w. 14, str. 441 w. 7, str. 444 w. 1, str. 446 w. 7 i t. d., słowem na ośmiu kartkach osiem razy), a może stanowisko to tym wyraźniej się zarysuje, jeżeli uprzytomnimy sobie, że tak wytrwale nie powtarzał tego żaden poeta, nawet Zygmunt Krasiński, choć ten naprawdę był »krwią ze krwi i kością z kości!«

Trzeci wiersz *Godła*: »I sumiennie poczcic dzieje« wkłada obowiązek złożenia należnego hołdu i czci wiekom przeszłym; dzieje trzeba znać i czcić. W jaki sposób przystępować do badania, a raczej do poznania dziejów — to wyjaśni Pol dopiero później, w uwagach swoich nad sposobami badań historycznych; wtedy jasnym będzie stosunek Pola do historii, jego sąd o krytyce historycznej i o znaczeniu tradycji; na razie wystarczy nam wiedzieć, że obowiązek »sumiennego poczczenia dziejów« zawiera się już nie-

¹ Rękop. Bibl. Jagiell. Nr. 3772.

jako w pierwszym nakazie »wiernie stanąć na przeszłości«.

Następne dwa wiersze mogą być wyjaśnione dwojako:

A w świat przyszedł siać miłości,
Ziarna wiary i nadzieje.

Mianowicie może tu powstać spór, czy poeta w tym wypadku miał na myśli wiarę, nadzieję i miłość tak pojęte, jak je pojął i wyłożył Z. Krasiński w *Psalmach Przyszłości*, czy też tak, jak je katechizm określa i wyjaśnia. Ja sam oświadczam się za tym drugim i jestem niemal pewien, że tu chodzi o wiarę, zamkniętą w dogmatach kościoła, o nadzieję, że Bóg w życiu przyszłym nagrodzi zasługi tego żywota, i wreszcie o miłość, która nakazuje kochać Boga nadewszystko, a bliźniego swego, jak siebie samego. W tej dobie, prawie w tym samym dniu, kiedy *Godło życia* powstało, pisał Wincenty Pol do artysty malarza Wojciecha Stattlera:¹

»Zapytasz mnie zapewne o to, co się dziś we mnie dzieje? Więc donoszę Ci, że nie utracił ani miłości, ani nadziei, ani wiary. Z Bogiem stoję lepiej, niżeli przedtem stałem — więc sądzę, że i do świata trafię i do obowiązków powrócę«.

Wobec tego ściśle religijnego punktu wyjścia i poglądu na świat, zupełnie naturalnie brzmią u Pola następne słowa *Godła*: Ziemię z niebem związać spółem... Dalsze słowa są również jasne, w krótką, aforystyczną formę ujęte, ale dają więcej tematu do snucia wniosków; poeta zaleca związać:

Serce z Bogiem, myśl z Narodem,

¹ List z dnia 21 lipca 1846 r. Bibl. Muzeum Polsk. w Rapperswilu (z papierów W. Stattlera).

co znaczy, że serce należy oddać Bogu, a narodowi poświęcić myśl, inaczej mówiąc, uczucia swoje skupić, streścić do uczuć religijnych, zaś w stosunkach z narodem — kierować się myślą, rozsądkiem, rozumem. Nie znaczy to jednak zubożenie dla spraw ogólnych, tego Pol nie miał na myśli i sam będzie utrzymywał, że żywot cały w służbie narodu swego spędził; więc przez słowa »związać myśl z Narodem« nie tylko rozumieć trzeba przewagę trzeźwej rozważy nad gorącym uczuciem, które dla Boga się przeznacza, ale zarazem konieczność »myśli« o narodzie, inaczej — troski, zajęcia się jego losem; ten obowiązek myśli o narodzie streszcza się w następnym dwuwierszu:

Słowem, wzorem iść mu przodem
I przymierza opleść kołem.

Znaczy to, że z siebie uczynić trzeba dla narodu wzór do naśladowania, a do pójścia w te ślady należy go zachęcać słowem, wpajać zasady i przekonania swoje. Wiemy już, jakie przekonania żywić ma ten przodem idący wzorowy człowiek: »Wiernie stanąć na przeszłości«... Trudnoby było naród cały tym słowem nakarmić; bo cóż zrobią ci, co żadnej nie mają za sobą przeszłości? Co czynić będą ci, co nie są »krwią ze krwi i kością z kości«, co się żadnym nie pieczętują herbem? Może sam poeta spostrzegł, że tego dla mas ludzkich za mało, więc dodaje rady uzupełniające:

Nie pobлуźnić, nie podwoić,
Lecz miłością bole koić,
Pracą ducha uszlachetnić
I uwiecznić i uświetnić...

Myśli piękne, — tylko że wszystko to było powiedziane już wcześniej, a bez porównania lepiej, bo na głębszej oparte podstawie:

Wylać ducha na miljony,
Ciałom wszystkim rozdać chleba,
Duszom wszystkim — myśli z nieba,
Nic nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugih podnoszenie,
Tak Bóg czyni we wszechświecie —
Bo cel światów — szlachetnienie¹.

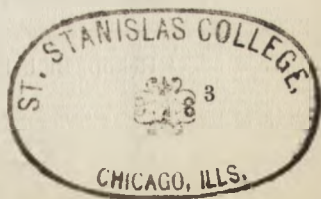
Pol powtarza za Krasińskim, ale parafrazuje blade, bo nie stać go na myśl filozoficzną, na przekonanie, że »cel światów — szlachetnienie«.

Ostatecznie więc, jeżeli się z całego *godła życia* odciągnie to, co znaleźć można w każdym katechizmie, — wtedy za istotną zdobycz Pola uważać wypadnie tylko słowa:

Wiernie stanąć na przeszłości,
Jak krew ze krwi, jak kość z kości,
I sumiennie poczcć dzieje ...

Z temi słowami na ustach Pol staje się typem i przedstawicielem zwartej grupy, która wprawdzie oddawna już istniała, ale dopiero od r. 1846 wyrażniej się zaznaczy w słowach i w czynach. Będzie to grupa wiernych synów przeszłości, która działalność swoją w pewnym stałym kierunku, według jednych zasad, podejmie i rozwinie na wszystkich polach. Tych synów przeszłości ujrzymy niebawem w poezji, w powieści i w krytyce, ujrzymy ich w malarstwie (Suchodolski, Michałowski, Kossak, Matejko), będzie ich legion cały w życiu społecznym i politycznym. Sam Wincenty Pol, stawszy się jednym z przybranych synów przeszłości, godłu swemu pozostanie już wiernym do śmierci. Obrawszy sobie za przewodni-

¹ Z. Krasiński. Psalm miłości. 1845 r.



czki dwie jasne gwiazdy na niebie żywota: kościół i przeszłość, z nadzieją, z wiarą w sercu opuścił mury więzienne w lipcu r. 1846. Znalazł się bez dachu nad głową, bez środków do życia; do domku pod dębami wracać nie chciał, a tu żyć nie było z czego. Potrzebował pomocy przyjaciół, a pomoc życzliwa i serdeczna znalazła się rychło.

Hr. Zdzisław Zamojski ofiarował poecie bezinteresownie mieszkanie w domu swoim, w bliskości kościoła Franciszkanów. Tam usłał Pol tymczasowe swoje gniazdo rodzinne, nie będąc jeszcze pewnym, czy mu na stałe wypadnie osiąść we Lwowie. Naprędce wyszukano też odpowiednie zajęcie, któreby zapewniło poecie środki utrzymania; zebrała się grupa panienek z zamożnych domów i Pol rozpoczął dla nich wykłady literatury polskiej; inna grupa, złożona z młodzieńców, należących do rodzin arystokratycznych, przechodziła pod kierunkiem poety nauki przyrodnicze, a zwłaszcza geografję. Z tych lekcji przechował się zeszyt, zawierający początek geografji Polski, spisany własnoręcznie podczas wykładów przez młodego Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego¹.

W tym też czasie rozpoczął Pol rokowania z Zakładem im. Ossolińskich, zanim jednak te układy doszły do pewnych konkretnych wyników, ubiegło kilka letnich miesięcy. Dzielił je poeta między pracę naukową a odpoczynek wśród rodziny i grona przyjaciół; poezja znów na chwilę odstąpiła, natchnienie, które za kraty więzienne spłynęło, znów uleciało. Nie mogąc się zdobyć na coś samodzielnie twórczego, próbował w wolnych godzinach przetwarzać i tłumaczyć. Przekładał wtedy z Schillera »Die Worte des Glau-

¹ Rękop. Bibl. Poturzyckiej Nr. 117.

bens«, z polskiego na niemiecki chciał przetłumaczyć »Odeę do młodości« Mickiewicza, ale się nie wiodło, mimo parokrotnych usiłowań; wreszcie w tym czasie wykończył ostatecznie *Siedem psalmów pokutnych, z psalterza dawidowego ułożonych do śpiewu*¹.

O tej pracy opowiadał Pol, że rozpoczął ją jeszcze w lutym r. 1846, gdy zamknięty z innymi w więzieniu jasielskim otrzymał Psalterz i »skracaając smutne godziny niewoli« wziął się do tłumaczenia; gdy go później przyjaciele zapytywali, dlaczego poprzestał na siedmiu psalmach pokutnych, odpowiadał:

»Dla wielu powodów, — głównie jednak dlatego, że czuję, iż mój rym za miękki, za słaby, nie ma tej męskości, tego hartu, co rym Kochanowskiego; chyba nasz Jan z Czarnolasu znał język hebrajski i z samego tekstu tłumaczył, że tak odczuł wszelkie jego piękności. Ja bo w mojej pracy posiłkowałem się pomocą młodego i uzdolnionego izraelity, który znał język polski dokładnie i znaczenie wyrazów, główną potęgę myśli dzieła stanowiących, objaśniał, odrzucając niektóre Kochanowskiego, przyjmując za lepsze inne, wzięte z Karpińskiego, albo zgadzając się na nowe, przezemnie podawane; praca taka szła tępo, czułem, że jej nie podołam. Kłopoty o byt materialny dla siebie, dla rodziny, przerwały ją zupełnie; nie wznowię jej, chyba na starość, zresztą poco trudzić się około rzeczy, już tak doskonale przeprowadzonej z pożytkiem dla ogółu przez dwóch aż poetów, kiedy tyle jeszcze innych przedmiotów leży odłogiem i czeka naszej pracy².«

¹ Pierwsze wydanie pod tytułem *Siedm psalmów pokutnych w duchu Dawidowym, ułoż. do śpiewu*. Lwów 1849. Piller. str. 16.

² Eug. Skrodzki. Poranki u W. Pola. *Kłosa* t. XVI. r. 1873 Nr. 417.

Z tych słów poety, nie autentycznych wprowadzie, lecz według notatki współczesnej przechowanych, widzimy ile zachodu kosztował poetę przekład tych siedmiu psalmów; dzisiaj rozglądając się w tej pracy, trudno dopatrzeć się śladu tak wielkich starań. Nie znając języka hebrajskiego, nie mogę osądzić o ile oryginał psalterza wpłynął na przekład Pola; jednakże zestawiając przekład ten z istniejącymi polskimi ks. Wujka, J. Kochanowskiego i F. Karpińskiego oraz z łacińskim — Wulgaty, ustalić muszę fakt, że psalmy Pola nie są przekładem z łaciny ani też naśladowaniem którego z poetów naszych, — lecz tylko wierszowanym tekstem Wujka. Podobieństwa z tłumaczeniami Kochanowskiego i Karpińskiego są tak nieznaczne i tak drobne, że o korzystaniu z nich trudno coś pewnego orzec; natomiast za słowami Wujka idzie Pol niewolniczo i zmienia, a raczej rozszerza je tylko tam, gdzie tego rym i rozmiar wiersza wymagał. Parę przykładów wystarczy na poparcie tego zdania; oto np. Psalm 129 u Wujka zaczyna się od słów:

Z głębokości wołałem k tobie Panie!

Panie wysłuchaj głos mój: niech będą uszy twoje
nakłoniłone na głos modlitwy mojej.

U Pola brzmi to:

Wołałem k Tobie z głębokości, Panie!

Wysłuchaj głos mój i żalosne łkanie —

Niech będą uszy Twoje nakłoniłone

Na ten serdeczny głos modlitwy mojej.

Początek psalmu 50 brzmi:

Zmiłuj się nademną, Boże, według wielkiego miłosierdzia twego: a według mnóstwa litości twoich zgładź nieprawość moją.

Jeszcze więcej omyj mię od nieprawości mojej:
i od grzechu mojego oczyść mię.

Albowiem ja znam nieprawość moją i grzech mój
jest zawsze przeciwko mnie.

Według przekładu Pola:

Zlituj się Panie mojego ubóstwa
Według wielkiego miłosierdzia Twego!
A według źródła Twych litości mnóstwa
Nieprawość moją zgładź dnia dzisiejszego!
I jeszcze więcej, z nieprawości mojej
Obmyj mnie, Panie, Twą ręką tajemną
I oczyść z grzechu — boć nieprawość stoi
I grzech mój, Panie, zawdy jest przedemną!

Inne miejsce tegoż psalmu:

Przywróć mi radość zbawienia twojego i duchem
przedniejszym potwierdź mię.

Będę nauczał nieprawę dróg twoich: a niebożni
do ciebie się nawrócą.

Pol wierszuje to tak:

Przywróć mi radość Twojego zbawienia,
Duchem przedniejszym dodaj potwierdzenia,
A dróg Twych będę nauczał, mój Panie!
Ze się niebożne zwróci na wołanie.

Te kilka zestawień dostatecznie wyjaśnia rodzaj,
a zarazem wartość dokonanej przez Pola pracy. Jego
przekład psalmów nie jest ani przekładem, ani para-
frazą, lecz tekstem ks. Wujka, »ułożonym do śpiewu«.
Poeta podjął zadanie przystosować do śpiewu słowa,
przez kościół przyjęte; to włożyło nań obowiązek
wiernego trzymania się tekstu, przez kościół uzna-
nego, t. j. Biblii Wujka. Stąd powstały tak wady, jak
i zalety tej pracy. Nie chcąc ze słów koniecznych
opuścić ani jednego, a pragnąc przytym zachować
płynność wiersza i rymy, musiał poeta coś dodać,
czymś uzupełnić brakujące zgłoski; stąd powstała

główna wada Psalmów Pola, mianowicie ich gadaliwość, gdyż ta sama myśl, to samo pojęcie powtarza się raz po razie, tylko innemi słowami. Dobrze jeszcze, póki poeta używa wyrazów i pojęć, spotykanych w Psalterzu; zdarzają się jednak inne, które myśl psalmu, jego ton — wypaczają. Jednym z takich jest »tajemniczość«, o której król Dawid nic nie wspomina. Polowi potrzebne były rymy do często spotykających się zaimków: ze mnie, odemnie, przedemną, — a do nich najlepiej pasowały wyrazy: tajemnie, tajemną; stąd powstały takie np. słowa psalmu: pociesz mnie tajemnie! Obmyj mnie Panie, Twą ręką tajemną! Uzdrów mnie tajemnie!

Te wady i usterki nie pozbawiają jednak *Psalmów Pokutnych* pewnej wartości. Prawda, że nie dorastają one Psalterza Kochanowskiego, stoją od nich niżej pod względem piękności i bogactwa języka, różnaitości formy, — a przedewszystkim pod względem pierwiastku twórczego, którego tam jest więcej; ale z pewnością wyżej stoją one od ckliwych, sentymentalnych przekładów Karpińskiego. Karpiński pisał zda się do śpiewu przy akompanjamencie gitary; psalmy Pola można śpiewać przy wtórze organu w świątyni pańskiej, tym więcej, że one najwierniej, najściślej przechowały zatwierdzone przez kościół słowa. Ścisłość, do której dążył Pol w swych psalmach, jest cechą znamionną i zarazem największą zaletą tego dzieła. Psalmy pokutne rok przeszło leżały w rękopisie, poeta nie spieszył się z ich ogłoszeniem; zresztą miał już głowę czym innym zajętą, a liczne stosunki towarzyskie nie dawały mu się skupić nad pracą twórczą.

Mieszkanie poety było idealnie wybrane, aby go ciągle odrywać od pracy.

Okna wychodziły na obszerny ogród, otoczony kratą żelazną; cieniste aleje lip i innych drzew zachęcały do spaceru, a rozstawione ławeczki — do wypoczynku; bocznemi schodami mógł Pol każdej chwili zejść do ogrodu, a schodził często, gdyż tam właśnie codzień zbierało się liczne grono jego przyjaciół i znajomych. Od rana aż do godzin obiadowych schodzili się tam na pogawędkę, a nieraz i na poważniejszą rozmowę przedstawiciele wyższych sfer towarzystwa lwowskiego, a obok nich — uczeni, literaci, artyści i wogóle ludzie, mający coś do powiedzenia. Tu więc spotykali się: księżę Leon Sapieha, hr. Leon Rzewuski, hr. Leszek Borkowski, hr. Wiktor Baworowski, hr. Włodzimierz Dzieduszycki, hr. Konarski, a dalej: dr. Komarnicki, znany adwokat, Szczęsny Morawski, młody artysta malarz przez Pola protegowany, stary obywatel Świeżawski, z literatów, oprócz Borkowskiego, zaglądał tu Wagilewicz, zazwyczaj ponury i zamyślony; do tego towarzystwa przyłączał się czasem jakiś przejezdny, warszawianin lub gość z Krakowa, a niekiedy i z dalszych stron ktoś zawitał, jak np. stary oryginał, pułkownik Korycki, który po kilkunastoletnim pobycie we Francji powrócił do kraju i zapamiętałe rzucał gromy na całe społeczeństwo francuskie, na jego cywilizację i obyczaje. Zebrania te wciągnęły znów Pola w wir życia miejskiego, od którego był już odwykł przez czas długiego pobytu na wsi. Ze wszystkich stron namawiano go, aby we Lwowie pozostał, obiecując mu przytym życzliwie rękę podać i dopomóc do ustalenia losu. Śród tych przyjaciół znalazł się człowiek, którego uczynności, dobrej woli i otwartemu sercu miał Pol wiele do zawdzięczenia; bo gdy inni, jak Józef hr. Dzieduszycki czy Tadeusz

Bieliński doraźnie tylko przychodzili z pomocą materialną, — ten pomyślał, aby zdolności Pola wyzyskać dla dobra kraju, a wzamian za to ofiarować mu chleb spokojny i pewny. Człowiekiem tym był zacnej pamięci Adam Kłodziński¹.

Już w r. 1839 został on wezwany przez kuratora Zakładu naukowego im. Ossolińskich, ks. Henryka Lubomirskiego, na dyrektora Zakładu i piastował ten urząd nieprzerwanie aż do r. 1849. Gdy po siedmioletnim zamknięciu Zakładu od czasów Słotwińskiego stanął na czele instytucji naukowej mąż bez głębszej uczoności, bez poważnych zasług na polu naukowym, znalazło się grono niezadowolonych, którzy woleliby widzieć kogoś godniejszego na tym stanowisku. Ale rychło okazało się, że Zakład im. Ossolińskich potrzebował na kierownika właśnie takiego człowieka, jakim był Kłodziński; łączył on dobrą wolę i zamiary szlachetne z energją i gorliwością w wypełnianiu przyjętych obowiązków; umysł otwarty i wykształcenie ogólne pozwalały mu z łatwością orjentować się i pracować dla instytucji z pożytkiem większym, niżby to zdołał niejeden uczony specjalista. Pierwszą myślą Kłodzińskiego było powołać znów do życia zawieszone wydawnictwo *Biblioteki zakładu im. Ossolińskich*. Po trzyletnich staraniach dopiero w r. 1842 udało mu się myśl tę urzeczywistnić i od tej chwili co kwartał ukazywał się jeden tom pisma, które, według pragnienia Ossolińskiego, miało się stać ogniskiem »dla badaczy rzeczy narodowych, bodźcem do naukowych usiłowań«.

Kierunek pisma był ściśle historyczny; zamieszczali

¹ Urodz. r. 1795 w Mikłowcach, w obwodzie Przemyskim, zmarł r. 1858 w Parchaczu, w obw. Żółkiewskim.

tam swoje prace Aug. Bielowski, Aleks. Batowski, oprócz tego sam Kłodziński podawał drobne sprawozdania, zapiski naukowe i notaty bibliograficzne; znaczną część pisma zajmowały materiały surowe, ogłaszane z rękopisów Zakładu. Wprawdzie drukowanie źródeł rękopiśmiennych było rzeczą pożyteczną i odpowiadało pierwotnej myśli Ossolińskiego, ale niestety zajmowało to nieliczną tylko garstkę badaczy na polu historycznym. Wogóle zaś *Biblioteka* mimo współudziału kilku zdolnych pracowników była pismem bez życia i nie zdołała zainteresować koła czytelników, które szczupłało z każdym rokiem. Wtedy wyłoniła się myśl zasadniczej reformy. Kłodziński, dotychczasowy redaktor wydawnictwa, postanowił ustąpić z tego stanowiska i powołać na nie Wincentego Pola; zależało to oczywiście nie tylko od niego, lecz przede wszystkim od kuratora Zakładu, księcia Henryka Lubomirskiego. Za pośrednictwem Kłodzińskiego zbliżył się Pol do kuratora i wkrótce doszli do ustalenia najważniejszych punktów dalszego wydawnictwa. Najpierw postanowiono pismo kwartalne zamienić na miesięczne, wydając 12 zeszytów na rok; drugą ważną zmianą było rozszerzenie treści: zamiast pisma ściśle naukowego, dla grona badaczy przeznaczonego, uradzono wydawać zeszyty, wypełnione rozprawami i utworami z różnych dziedzin; Pol zdawał się stworzonym na redaktora takiego pisma, znał się bowiem i na literaturze i na naukach przyrodniczych, cośkolwiek i na estetyce, a przytym posiadał niemały zasób dobrych chęci i nader rozległe stosunki w świecie naukowym i literackim.

Nie wahając się długo, zdecydował się Pol objąć kierownictwo pisma i przenieść się na stałe do

Lwowa; już w jesieni r. 1846 zawarł na razie umowę ustną z Kłodzińskim, przez kuratora upoważnionym i zaraz puścił się w podróż po kraju, aby zapewnić pismu nie tylko współpracowników, lecz i przedpłacicieli; w czasie tej podróży sprzedał przeszło 200 biletów prenumeracyjnych po 10 złr. Tak więc byt pisma był już na rok cały zapewniony. Wreszcie dn. 12 stycznia 1847 doręczono Polowi w formie Dekretu od Zakładu im. Ossolińskich — umowę wydaną przez dyrektora Zakładu, Ad. Kłodzińskiego, a potwierdzoną przez kuratora, ks. Henryka Lubomirskiego. Umowa ta zapewniała Polowi redakcję pisma na lat sześć, poczynawszy od stycznia 1847 r. Za pracę swoją miał Pol otrzymywać 1200 złr. rocznie, co na owe czasy było sumą wcale pokaźną; nadto za artykuły własne, w piśmie tym zamieszczane, honorarjum w stosunku 25 złr. od arkusza oraz jeszcze 120 złr. rocznie na utrzymanie pisarza redakcyjnego.

Z początkiem roku 1847, z niewielkim opóźnieniem, które wynikało wskutek urządzania nowej drukarni umyślnie dla tego wydawnictwa, ukazał się zeszyt pierwszy *Biblioteki naukowego zakładu imienia Ossolińskich*. Odtąd regularnie co miesiąc puszczano w świat nowy numer, i w ten sposób wydano w ciągu roku zeszytów 12, składających dwa duże tomy; w roku następnym do wiosny wyszły trzy zeszyty, a już znacznie później jeszcze jeden; te cztery zeszyty stanowią tom, na którym z przyczyn od redaktora niezależnych wydawnictwo uległo zawieszeniu.

Trzeba przyznać, że już od samego początku odrodzone pismo wzbudziło ciekawość i zajęcie wśród czytającej publiczności. Na pierwszy rzut oka

czytelnik spostrzegał, że to coś nowego, że to nie dawne *Czasopismo*, ale *Bibljotheka*. Od tytułu, formatu, objętości, druku—zmian czysto zewnętrznych, przechodził do treści i tutaj także znajdował nowe porządki, które witał z zadowoleniem. Na czele zeszytu pierwszego redaktor wykladał swoje zamiary, chęci, nadzieje.

»Postanowiliśmy nie ograniczać się nadal jedynie na artykułach naukowych, ale dać miejsce i beletrystycznym, a wszystko, co by w piśmiennictwie i sztukach pięknych okazało się na czasie i budziło interes powszechny, podawać bez opóźnienia ciekawości publicznej. Tak przedsięwzięliśmy pismu naszemu, dotąd bardziej zbiorowemu, nadać na przyszłość charakter czasowy. Powodem zawarcia w latach zeszłych Bibljoteki naszej w ciśniejszych obrębach była nadzieja, że się u nas więcej pism czasowych pojawi, któreby dzieląc się poniekąd z Bibljoteką przedmiotami, to jest zostawiając nam dzieje, bibliografię i artykuły ściśle naukowe, a zajmując się więcej beletrystyką, tym samym zadość czyniły życzeniom czytającej publiczności i ułatwiały swoje własne wyjście na świat. Gdy się ta nasza nadzieja nie ziszcza, Zakład nauk. im. Ossolińskich ma sobie za obowiązek zająć stanowisko, które w myśli swej innemu pismu przeznaczał i starać się odpowiedzieć powszechnie objawiającej się potrzebie pisma czasowego, któreby nie wyłączając naukowości, więcej miało pociągu i zaspokajało obszerniejsze czytających koło. Dogadzając również potrzebie czasu, wciągamy w zakres pisma naszego i nauki przyrodzone, a zwłaszcza pod tym względem, o ile zajmować się będą naukowym wykładem zjawisk krajowych. Osobne pismo dla tychże nauk nie może się jeszcze utrzy-

mać u nas; gdy jednakowoż mamy kilku uczonych w kraju, poświęcających się badaniom rzeczy przyrodzonych, którzy nam jako współpracownicy przykładanie się do pisma naszego zapewnili, pragniemy w tegoż kartach równie i dla ich prac otworzyć pole, jak i dla wszystkich dążności umysłowych czasu naszego...«

Program obszerny i zachęcający, obietnice liczne i niemałe: zobaczmy o ile i jak je spełniono.

Według dawnego zwyczaju wprowadzono i do tego zreformowanego pisma dział materiałów historycznych, ogłaszanych z rękopisów, chociaż szczupły tylko wyznaczono im kącik. W tych trzech tomach pomieszczono: dwa listy biskupa J. Załuskiego do wojewody J. Jabłonowskiego, Djarjusz spraw pod Smoleńskiem w r. 1610, Djarjusz wesela króla jego miłości (Zygmunta III), Nowiny o Chmielnickim z r. 1648, opisanie gonitwy w maszkarach z r. 1592 i relację o inkursji tatarskiej z r. 1695. Obok tych materiałów i przyczynków uwzględniono już nieco obszerniej dział opracowań, podając szereg rozpraw i drobnych studjów historycznych. Tutaj Kazimierz hr. Stadnicki zamieszcza studjum o »synach Gedymina«, Aleksander hr. Krasicki drukuje »nieco o Kmiotach Śreniawitach«, ale te i inne drobniejsze przyczynki przerasta i zaćmiewa kilka rozpraw Karola Szajnochy. Do wielkich zasług Pola jako redaktora zaliczyć trzeba to, że potrafił on zjednać dla swego pisma współpracownika tej miary; Szajnocha drukuje w *Bibliotece*: Pogląd na ogół dziejów polskich, Obyczaje pierwotnych Słowian i Wiek Kazimierza Wielkiego. Były to jedne z pierwszych rozpraw znakomitego historyka, dające zapowiedź jego przyszłej działalności, zawierające jej znamiona i cechy: roz-

ległe czytanie, krytyczne zbadanie źródeł łączy tu Szajnocha ze spojrzeniem, obejmującym dalekie horyzonty, z umysłem jasnym, do syntezy skłonny i z talentem pisarskim, pozwalającym mu w formie pięknej i przystępnej podawać wyniki swych badań. Był to czas, kiedy Szajnocha już przechodził na pole studjów historycznych, a jeszcze nie zarzucał pola, na którym do tego czasu z zamiłowaniem pracował, pola twórczości dramatycznej. Te kilka tomów *Biblioteki* zawiera początki Szajnochy historyka i resztki Szajnochy dramatyka: tutaj zamieszczono akt I-szy z dramatu *Jerzy Lubomirski*, scenę z dramatu *Wojewodzianka Sędomirska* (ślubne gody Maryny carowej) i urywek z dramatu *Panicz i dziewczyna*. Nie wdając się w ocenę tych twórczych prób historyka, rozejrzyjmy się pobieżnie w dziale beletrystycznym, do którego nas one wprowadziły. Ozdobą i chlubą tego działu są niewątpliwie utwory Kornela Ujejskiego: tu po raz pierwszy wydrukowano Maraton, Ostatnie głosy Sodomy i Czarny Szal; przy tych poematach twórca *Skarg* niknie skromny wiersz Teofila Lenartowicza p. t. *Trzy siostry*. Obok tych dwóch, którzy tak wybitne miejsce zajęli w poezji polskiej, skupili się mniej znani: Jakób Zakrzewski, Jan Szymański, Wł. Zawadzki i inni. Powieść nie rozwinęła się na kartach Biblioteki, było jej tu za ciasno w niewielkim zeszycie, który mieścił wiele najrozmaitszych artykułów: to też spotykamy tu jedno tylko nazwisko Józefa Dzierzkowskiego; dał on »Powieść o życiu poety« (Dominika Magnuszewskiego) i piękną opowieść z przeszłości p. t. »Samuel Zborowski«, którą autor nazwał szkicem historycznym.

Przeglądając pokrótce inne działy, zanotować wypadnie, że bardzo ubogo przedstawiała się historia

literatury: W. A. Maciejowski dał szkic historyczno-literacki o księdzu Piotrze Skardze, A. Bielowski o Trogu Pompeju, zresztą widzimy tam tylko drobne recenzje i wzmianki bibliograficzne; nie ziścił też nadziei redaktora dział nauk przyrodniczych, zasługuje tu bowiem na uwagę jedna tylko rozprawka L. Zeisznera p. t. »Pogląd na główne przemiany ziemi«. Na tym się jednak nie kończy treść redagowanej przez Pola *Biblioteki*: spis artykułów bardzo długi, szereg nazwisk nie mniejszy; czegoż bo tu nie było! Krajoznawstwo, językoznawstwo (drobne przyczynki), »pięknotwory« (sztuki piękne), krytyka dzieł naukowych, sprawozdania i opisy posiedzeń, życiorysy i bibliografia, przemycano nawet medycynę (Doktora Malcza broszura o tyfusie), wsuwając ją dowcipnie do działu historii literatury!

Był to więc wielki zbiór drobnych rzeczy z najrozmaitszych dziedzin, zbiór wielostronny, chociaż nie wszechstronny; była tam luka poważna — to zupełny brak nauk społecznych. Czy redaktor dziedziny tej uwzględnić nie mógł, czy nie chciał, — pytanie to postaram się wyjaśnić dalej; na razie, przeglądając te 16 zeszytów *Biblioteki* przyznać musimy redaktorowi ich zabieглиwość niepospolitą; skupić koło jednej redakcji, zjednać, zachęcić do pracy tyle sił, zdobyć współudział tylu talentów, — to zaiste trudność i zasługa niemała. Obok nazwisk Szajnochy i Ujejskiego, które są ozdobą wydawnictwa, najczęściej czytało się tam podpis Józefa Dzierzkowskiego; ten niezmordowany literat i dziennikarz pisał dla Pola oprócz powieści, wyżej wymienionych, krytyki nowych powieści, rozprawki estetyczne (o sztuce w ogólności i o malarstwie u nas), uwagi nad teatrem polskim we Lwowie i artykuły okolicznościowe (Liszt we Lwowie).

W natłoku różnorodnych studjów i rozprawek, szkiców i wzmianek, fragmentów dramatycznych i wierszyków, — pozostają w cieniu i prawie giną prace samego redaktora, Wincentego Pola. Czytająca publiczność musiała doznać w pewnym stopniu zawodu: spodziewała się, że pióro ukochanego poety doda wydawnictwu blasku i uczucia, liczyła na pewno, że autor świeżo wydanych *Obrazów z życia i podróży* na karty suchych rozpraw i studjów rzuci pęki kwiatów świeżych i wonnych, w zaciszu wiejskim zebranych, na halach i turniach zerwanych, a skropionych krwią roku pamiętnego. Ale stało się inaczej. Przez cały czas wydawnictwa Pol zamieścił jedną większą rozprawę p. t. Muzeum natury we Lwowie, parę przyczynków etnograficznych (o Huculach, o Kaszubach), jeden opis »Puszczy litewskiej«, kilka listów z wycieczki, odbytej w lecie r. 1847, i recenzję z książki naukowej (Opisanie hist.-stat. w. k. Poznańskiego). Więc ani jednego wiersza, ani jednej rzeczy twórczej. Dziwna to była zagadka: Pol, uwielbiany wówczas jako największy poeta w kraju, chciał przekonać ogół, że przestał być poetą, a stał się uczonym; Pol, który tylko co napisał szereg utworów *Z więzienia* i wierszował psalmy, — niechętnym okiem spoglądał na poezję, jako na coś, co istotnej, rzeczowej i trwałej nie przedstawia wartości; pominąć jej w piśmie swym nie mógł: chodziło o przywabienie czytelnika, osłodzenie zbyt trudnej do przełknięcia treści, — ale też nikogo z młodych nie zachęcał do parnasowych wzlotów. Znany jest fakt, że gdy młodziutki wówczas Jan Zacharjasiewicz przyniósł do redakcji jakieś rymy, Pol zganił zajmowanie się poezją, poradził mu zbadać architekturę egipską i zamówił u niego »Rys historyczny archi-

tektury od najdawniejszych do najnowszych czasów», który to artykuł na kartach *Biblijoteki* zamieścił. Jakkolwiek z chaosu zamieszczanych w *Biblijotece* artykułów i wzmianek trudno wyciągnąć wniosek o myśli przewodniej, którą się kierował redaktor, to jednak próbę podjąć należy z tego względu, że rzuci to nowy promień światła na postać Wincentego Pola, na jego działalność, skłonności i przekonania. Zorjentowanie się ułatwić sobie można, spojrzawszy za kuliszy redakcyjne, a zwłaszcza do korespondencji z współpracownikami. Tak np. dnia 7 kwietnia 1847 r. pisał Pol do jednego z nich¹:

Niech Szanowny Pan Dobrodziej nie odmawia nam i na przyszłość swej pomocy; szczególnie prosilibyśmy o wyjątki ze starych pamiętników, przypadające w czasy ostatnich szwedzkich napadów — tak coś w duchu Pana Paska, lub tym podobnego, bo wielkie to szczęście dla redakcji i t. d.².

Innym razem, prosząc Jana Purkiniego, wówczas profesora uniwersytetu we Wrocławiu, o poparcie dla *Biblijoteki*, pisał:

W ostatnich czasach połączono w Polsce nazbyt ściśle literaturę krajową z politycznymi pojęciami i życiem społecznym; ucierpiała ona tedy pod wpływem politycznego ucisku, i na przyszłość zdaje się dla niej korzystniejszą być rzeczą postawić ją u nas na stopniu naukowej i artystycznej niezawisłości, aby się mogła stać organem oświecenia publicznego, gdy ona tylko jest u nas rzeczywiście jedynym środkiem oświaty. Z tego stanowiska radbym, żebyś się J. W. Pan Dobrodziej zapatrywać raczył na pismo nasze,

¹ Może do Karola Sienkiewicza.

² Rękopis Biblijoteki Polskiej w Paryżu.

którego plan i ducha już będziesz mógł w części poznać z tych pierwszych zeszytów¹.

Gdy do tych dwu drobnych wzmianek dodamy sposób widzenia spraw i zamiary na przyszłość, wyrażone w *Obwieszczeniu*, położonym na czele pierwszego zeszytu (wyjątek podany wyżej), da to nam choć ogólny obraz tego, do czego Pol dążył, czego chciał. Pragnieniem jego było oderwać literaturę od życia politycznego i społecznego, a uczynić ją wyłącznie artystyczną i naukową. Co do pierwszego — niepotrzebnie się troszczył, gdyż dostateczną pieczę rozciągał nad tym rząd ówczesny; polityki w literaturze, a zwłaszcza w dziennikarstwie galicyjskim nie było aż do roku 1848; inaczej jednak rzecz się miała z tendencjami społecznymi; te rzeczywiście weszły do literatury, wyrażając się coraz jaskrawiej i ostrzej. Mam tu na myśli przedewszystkiem założony przez krawca Kulczyckiego *Dziennik Mód paryskich*, który mimo dziwnego tytułu był najlepszym w Galicji pismem literackim o wyraźnym zabarwieniu społecznym. Spoczywając w ręku dzielnych kierowników literackich, z początku wydawany co dwa tygodnie w dwustu zaledwie egzemplarzach, tak się wkrótce rozwinął, że przedzierzgnął się w pismo tygodniowe, liczące z górą tysiąc prenumeratorów. Na czele redakcji stał początkowo August Bielowski, ale gdy go studja historyczne coraz bardziej od zajęć dziennikarskich odrywały, ster ujęli w ręce swoje Józef Dzierzkowski i Jan Dobrzański; pierwszy zwłaszcza, prawdziwie utalentowany i energii pełen, zgromadziwszy dokoła pisma młode siły, stworzył przy ich

¹ List z dnia 1 czerwca 1847. Rękop. Muzeum Królestwa Czeskiego w Pradze.

pomocy nie tylko dobre pismo literackie, ale zarazem silną placówkę przekonań demokratycznych; i chociaż znaną jest rzeczą, że tendencja obniża artystyczną wartość utworu, to jednak można wybaczyć gronu literatów lwowskich, że około roku 1846 a i po nim jeszcze — mniej dbali o estetyczne kształcenie społeczeństwa, niż o rozpowszechnianie zasad i przekonań, których byli szczeremi wyznawcami. A jeżeli ich propaganda społeczna nie polepszyła doli ludu, to może choć w części wpłynęła na poprawę ówczesnych stosunków, miała bowiem tę cechę, że budziła śpiących, drażniła obojętnych, starała się otwierać oczy i podawać zwierciadło. Wielkiej wrzawy narobiła powieść hr. Leszka Borkowskiego p. t. *Parafianśszczyna*, zbiór nie tylko portretów, lecz i złośliwych karykatur z życia wyższych warstw; podobną barwę i tendencję miała powieść Józefa Dzierzkowskiego *Salon i ulica*, że już o innych przemilczę. Stało się faktem stwierdzonym, że tendencje społeczne opanowały znaczną część literatury i dziennikarstwa, i że barwa tych tendencji była jaskrawo demokratyczna. Ci, których to drażniło i niepokoiło, postanowili zbudować sobie osobną świątynkę, do którejby nie dochodziły krzyki z *Dziennika Mód paryskich*, a tą nową świątynką stała się *Biblioteka* pod redakcją Wincentego Pola. I zapamiętać tu trzeba szczegół nader ważny, że Pol jako redaktor nie miał zamiaru zwalczać *Dziennika*, polemizować z nim lub do milczenia zmusić; przeciwnie, między dwiema redakcjami panowała zupełna zgoda i ci sami współpracownicy dawali swe artykuły tu i tam; sam Pol dał do *Dziennika Mód paryskich* artykuł o młodo zmarłym poecie Janie Szymańskim; wzajemnie Józef Dzierzkowski, który był duszą *Dziennika*, zamieścił

w *Bibliotece* cały szereg swych utworów; podobnie inni. Atoli znać różnicę w prowadzeniu pisma, w dobieraniu artykułów. Pol nie byłby przyjął utworu Dzierzkowskiego, gdyby był napisany tak, jak się pisywało do *Dziennika*. Pierwszym przykazaniem redakcji było usunąć sprawy społeczne, przemilczać to, o czym miasto całe, ba, kraj cały głośno mówił i o czym radby coś przeczytał. Tymczasem w miesięczniku Pola znajdował czytelnik rozprawy historyczne, wyjątki z djarjuszów i pamiętników z XVII w., a komu to nie wystarczało, ten miał trochę nauk przyrodniczych, nieco estetyki lub językoznawstwa oraz na przykrasę wiersz lub kawałek dramatu historycznego; wprowadzie nie dowiedział się czytelnik, że ciemnota i nędza zalegały obszary kraju, w którym rozpanoszyli się nieurodzaj, głód i tyfus, wyniszczający ludność tysiącami; ale za to przeczytał na łamach *Biblioteki*, jakie to przyjęcie zgotowało Lisztowi towarzystwo lwowskie, jaki obraz maluje taki to artysta i wreszcie jaką pracę podjął taki to uczony. Zamiar swój przeprowadził Pol wytrwale i konsekwentnie; aż do wiosny r. 1848 t. j. do chwili, gdy wydawnictwo zawieszono, nie zamieścił ani jednego artykułu, któryby zawierał jakąś wyraźną aluzję do panujących stosunków politycznych lub jaskrawą tendencję społeczną. Dzięki temu, a zarazem dzięki istotnej zabiegliwości i dobrym chęciom stworzył i poprowadził pismo naprawdę dobre jako miesięcznik dla szerszego ogółu i nie bez wartości naukowej, którym potrafił zająć liczne grono, a nikogo nie zraził, nikogo nie podrażnił. Rozumiał Pol, że poruszanie spraw społecznych, chociażby ostrożne, musi wywołać różnicę zdań, a stąd płyną: rozdziwienie, niechęć wzajemna, a nawet nienawiść. Tymczasem

twórca *Pieśni o ziemi naszej* nie waśni pragnął ale zgody, jedności. I tu też spostrzec można pewną zmianę w jego charakterze; przed paru laty marzył o cichym żywocie rodzinnym w kąciку wiejskim, wśród czterech ścian, nad mapą lub księgą; dążył do spokoju, jak ironicznie zauważył Ujejski: godził się na wszystko i nie lubiał kłócić. Gdyby Pol teraz pragnął tylko spokoju i ciszy, nie byłby pewno do Lwowa na stałe zjechał, nie byłby obejmował redakcji (brak utrzymania uważam za względ uboczny; nie w ten, to w inny sposób przyjaciele by mu pomogli); ale przybył on w wir życia miejskiego, aby wziąć w nim udział czynny, aby godzić i jednoczyć »i miłością bole koić«. Ta metoda przemilczania o tym, co przykre, co drażni, a mówienia wiele o tym co dobre i piękne, lub raczej: co niegdyś było dobre i piękne, zyskiwała Polowi tłumy wielbicieli; energiczny, ruchliwy, uczynny, serdeczny, stał się osią życia nie tylko literackiego, lecz wogóle towarzyskiego. Gdy sędziwe lata usunęły z widowni życia literackiego we Lwowie Fredrę i Kamińskiego, przyszli na ich miejsce bracia Borkowscy, Dominik Magnuszewski i August Bielowski; lecz oto Józef Borkowski umarł młodo, zmarł też i Magnuszewski; Bielowski przeszedł na pole badań historycznych. W tej chwili przybył z zacisza wiejskiego Pol i postacią swą zasłonił Leszka Borkowskiego, początkującego Kornela Ujejskiego i innych mniejszych wielu. Pol świeżo wydał *Obrazy z życia i podróży*, którym najsurowszy krytyk nie mógł odmówić cech prawdziwej twórczości; Pol niedawno wydał *Pieśń o ziemi naszej*, której żaden społecznik nie mógł odmówić braku miłości siermiężnych i szaraczkowych braci; Pol znany był jako geograf, usiłujący znajomość kraju

rodzinnego na nowe naukowe pchnąć tory i Pol wreszcie przywoził głowę pełną wspomnień, opowieści, anegdot i serce pełne miłości dla wszystkich: jakże takiego człowieka nie przyjąć, nie ukochać, nie wynieść nad innych. Ale twórca *Obrazów*, przez innych wynoszony, sam wyniosłym nie był; serdeczność i przyjacielskość cechowały jego obójście. Z tego względu był pożądanym i nieodzownym gościem wszelkich zebrań literackich i towarzyskich.

Do najbardziej znanych i uczęszczanych należały wówczas »wtorki« u Adama Kłodzińskiego. Co tydzień zgromadzali się u niego uczeni, artyści, literaci, wszyscy co oświatą lub talentem mieli prawo liczyć się do umysłowych znakomitości; podejmowani uprzejmie przez gospodarza, znajdowali tutaj pole do wzajemnej wymiany myśli i chwilę wytchnienia. Na wieczory te zbierało się także grono pań, ożywiających towarzystwo i dających mu cechę bardziej salonową, co nie przeszkadzało bynajmniej swobodzie wymiany myśli w najważniejszych nieraz kwestjach naukowych. Rozmowa toczyła się zawsze w kole przedmiotów wyższego, ogólniejszego znaczenia; omawiano naprzemian najważniejsze kwestje literackie i publiczne; kiełkowały rozmaite projekta, rozjaśniały się pojęcia, powstawały plany literackie, z których jedno rozwijały się później i urzeczywistniały, inne upadały niewykonane i zapomniane. Najnowsze dzieła i wydawnictwa stanowiły zazwyczaj główny przedmiot rozmowy. Na każdym prawie z tych wieczorów czytał ktoś z obecnych jakiś nowy swój utwór, najczęściej przeznaczony do *Biblioteki Zakładu*, nad czym rozwijała się następnie dyskusja krytyczna, udzielano autorowi i sobie wzajem rozmaitych uwag, a rozmowa snowana z tego wątku przenosiła się następnie na

najrozmaitsze pola i różne przedmioty. Na jednym z tych wieczorów czytał Maurycy Dzieduszycki najnowszy podówczas utwór nieobecnego we Lwowie Kornela Ujejskiego, pierwszy akt *Samsona*, przyjęty z uniesieniem przez całe zgromadzenie, a przeznaczony do umieszczenia w *Bibliotece Zakładu*. Tu przyjeżdżający zza granicy uczoney lub artysta zapoznawał się odrazu z całym światem literackim stolicy i cześć gościnną odbierał. Niedziw, że zebrania te wzrastały coraz bardziej, licząc po kilkadziesiąt osób. Nadwątliło to znacznie osobisty majątek Kłodzińskiego, który w r. 1850 złożony piastowany przez siebie urząd, usunął się do swej majątności Parchacza, gdzie resztę dni życia w ciszy przepędził¹.

Oprócz tych wieczorów z udziałem dam, istniały też we Lwowie zebrania literackie, przeznaczone wyłącznie dla męskiego grona; odbywały się one co czwartek u Józefa Dzierzkowskiego. Jeden z uczestników tych wieczorów, Władysław Zawadzki, wówczas jeszcze początkujący literat, na podstawie własnych wspomnień tak je opisuje:

Dwa małe pokoiki schludnie umeblowane jednopiętrowego domku na Chorążczyźnie napełniały się wówczas licznym i gwarnym gronem. W trzecim pokoiku gospodyni domu zajęta samowarem, krzątała się około herbaty i przyjęcia gości, mało zresztą uczestnicząc w rozmowie, którą za to sam gospodarz domu ożywiał błyskami dowcipu. Bywali na wieczorach tych u Dzierzkowskiego zawsze prawie Wincenty Pol i Leszek Borkowski, rzadko kiedy

¹ Por. Wł. Zawadzki: *Literatura w Galicji* str. 147 i *Z teki literackiej* str. 204, 205.

Szajnocha, gdyż oddany swym naukowym pracom mało się wogóle udzielał towarzystwu, żyjąc prawie po pustelniczemu. Za to nie opuszczał ich nigdy Dobrzański, z obowiązku niejako redaktorskiego, ile że tutaj omawiały się zawsze sprawy *Dziennika* i rozprawiano nad umieszczonemi już lub umieścić się mającemi artykułami. Przychodził też często Józef Kaz. Turowski, późniejszy wydawca *Biblioteki Polskiej* i Mieczysław Darowski, interesujący się zawsze żywo sprawami publicznymi i literackimi. Regularnym gościem na tych zebraniach bywał także Szczepny Morawski, wydawca *Materiałów do Konfederacji Barskiej*, autor dzieła *O Sądeczyźnie* i humorysta piszący pod pseudonimem Arbuzowskiego. Wówczas jednak zajmował on się jeszcze malarstwem i pielęgnował więcej pendzel niż pióro, oddany malarstwu historycznemu, za główny swój zawód uważając nie literaturę, lecz sztukę¹. Morawski był gadułą... kiedy wpadł na opowiadania, nie było już temu końca ni miary. Posiadał dużo ciekawych wiadomości, zwiedził wiele okolic, studjował obyczaje, zwyczaje i wyobrażenia miejscowe, miał nieprzebrany zapas szczegółów charakterystycznych, etnograficznych, historycznych i archeologicznych, mało komu wiadomych lub wcale nieznanych, które opowiadał z lubością i zamięłowaniem. Ale opowiadanie jego, niezmiernie nieraz ciekawe pod względem treści, bywało rozwlekłe i nużyło obecnych... Gawędziarstwo Morawskiego nie miało tego uroku malowniczości i nowości, jakim odznaczały się niezrównane gawędy Pola lub

¹ Nieznany portret W. Pola, wykonany kredką przez S. Morawskiego, posiada Biblioteka W. Baworowskiego we Lwowie (ze zb. Al. Batowskiego).

w gadulstwo aż przechodząca, ale pomimo tego zawsze zajmująca i ożywiona swada Ksawerego Godebskiego.

Gdy cokolwiek liczniejsze zebrało się towarzystwo, dzieliło się zazwyczaj z konieczności na dwie grupy, nie mogąc się pomieścić w jednym pokoju szczupłego pomieszkania. W takim razie zazwyczaj jedno grono otaczało Leszka Borkowskiego, lub gospodarza domu, umiającego zawsze ożywić i urozmaicić rozmowę; drugie grono grupowało się około Wincentego Pola. Działo się to mimowiednie, przypadkowo, bez żadnego z góry obmyślanego zamiaru i przymusu towarzyskiego; każdy siedł za tym, jak go w którą stronę pociągały bardziej sympatje osobiste lub treść rozmowy i nikt na to nie zwracał uwagi, a przecież rysowały się w tym nieświadomie odcienie pewnych zdań i usposobień odmiennych, przy spółności zasadniczych przekonań¹.

Dla uzupełnienia tych kilku rysów z życia towarzyskiego możnaby dodać, że Pol wespół z Dobrzańskim urządzali uroczyste przyjęcie w salach Zakładu im. Ossolińskich, na cześć bawiącego we Lwowie Franciszka Liszta. Działo się to w kwietniu r. 1847, gdy znakomity pianista przyjechał na szereg koncertów. Pol napisał z tej okazji okolicznościowy wierszyk, który można było śpiewać na nutę: O, gwiazdeczko, coś błyszczała²... Wreszcie ktoby się chciał dowiedzieć, jak się Pol wówczas bawił w gronie miłych przyjaciół, gdy przyszła chwila swobodna i pusta, musi zajrzeć do wspomnień współczesnych; tak

¹ Wł. Zawadzki. *Literatura w Galicji* (Lwów 1878) str. 147—149.

² *Do Franciszka Liszta*. Dzieła t. VII, str. 380—381.

np. Wł. Zawadzki opowiada nam, jak kiedyś nad ranem, wracając z nocnej wycieczki na Wysoki Zamek »trzej najpoważniejsi mężowie w kraju, kierownicy opinii publicznej, reprezentanci poezji, literatury i nauki«, Pol, Szajnocha i Dzierzkowski, ścigali się o zakład od podnóża góry zamkowej do arcybiskupiego pałacu. Dzierzkowski, mimo znacznej tuszy i ciężkiej postawy (zwano go Grubasem) wygrał zakład; spółzawodnicy pogubili się po drodze¹.

Inny świadek tych czasów, Klemens Kantecki, opowiada, że raz w czasie nocnej przechadzki Pol i Dzierzkowski zaczęli rozprawiać o menuecie, jako o doskonale znanym sobie tańcu.

— To z was staruszkowie, — zawołali Ujejski i Szajnocha -- bo my nie widzieliśmy już tego zabytku dawnych czasów, o którym wkrótce tradycja zaginie.

Możemy wam dowieść, że nie zmyślamy... I to mówiąc, o północy przy blasku księżyca, jak duchy z niemieckiej ballady, znany powieściopisarz i autor *Pieśni Janusza* rozpoczęli płąsy...².

Ale te miejskie zabawy i rozrywki nie wystarczały poecie; coś ciągnęło go na pola i łąki, jak wilka do lasu; tęsknił za wsią, za widokiem kołysanych wiatrem zbóż, za poszumem lasu i zapachem wiejskiego ogródka. To też wymykał się z miasta, gdy tylko mógł; wydawnictwo miesięcznika nie wymagało ustawicznego siedzenia w redakcyjnym biurze, więc o swobodny dzień nie było trudno. Karol Szajnocha przesyłając Kornelowi Ujejskiemu garść

¹ Zob. *Literatura w Galicji*, str. 153—154.

² Kl. Kantecki: *Żywot Karola Szajnochy* w tomie X dzieł K. Szajnochy, str. 288.

wiadomości ze Lwowa, pisał w liście z dn. 24 kwietnia 1847 r.:

Wincenty, nie myśląc już, jak się zdaje, o podróży w góry, osiadł przez lato zapewne w Krzywczycach, gdzie teraz codziennie prawie bywa i ogród tam zakłada. Zabrał mię wczoraj na cały dzień tam z sobą i prawdziwieśmy się a la Jan Kochanowski przy rydlu i motyce pod lipami i na szczątkach dawnych okopów zabawili¹.

Kłopoty domowe nadwątliły zdrowie poety; potrzebował odpoczynku i kuracji; radzono mu wyjazd do wód, a mianowicie do Warmbrunu. Jednakże rychło do względów leczniczych przyłączyły się inne, plan i zakres wycieczki rozszerzył się znacznie, chociaż chwila wyjazdu ulegała zwłoce. Jednym z głównych zamiarów Pola było zwiedzić ważniejsze rynki księgarskie i zapewnić większy pokup wydawnictwom krajowym, a zwłaszcza *Bibliotece im. Ossolińskich*. Ze taki był powód podróży, dowodzi ten fakt, że gdy przyszło po latach kilku do zatargu między Polem a Zakładem im. Ossolińskich, poeta żądał zwrotu kosztów, pisząc:

»... zrobiłem podróż za granicę do Wrocławia, Poznania i Lipska i otworzyłem dla Biblioteki im. Ossol. i jej nakładów nowe drogi księgarskie... Podróż za granicę w celu otworzenia dróg księgarskich dla pisma i nakładów, jakie Zakład wydawać zamierzał, policzam 300 złr. M. K.«².

Ale nie był to jedyny powód; poeta umiał połą-

¹ K. Wróblewski: *Kornel Ujejski* (Lwów, 1902) str. 276.

² *Stan sprawy i t. d.*, koresp. A. Z. Helcla, Rękop. Akad. Umiej. w Krakowie Nr. 103a.

czyć przyjemne z pożytecznym: zobaczymy go na szczytach gór Olbrzymich i na wyspie Rugji, gdzie chyba »dróg księgarskich« nie otwierał.

Początek podróży nastąpił gdzieś w połowie sierpnia lub mało co wcześniej. Przebywszy przestrzeń ze Lwowa do Krakowa, wówczas jeszcze powozem pocztowym, z zamkniętymi — jak pisze — oczyma, gdyż nudził go widok dobrze znanej przestrzeni kraju, zabawił dni kilka w krakusowym grodzie.

»W Krakowie nie zastałem nikogo prawie ze znajomych naszych: jedni byli u wód, inni na wycieczkach po ziemi krakowskiej — lecz że to w Krakowie w braku żywych można się zająć jeszcze umarłymi, poszliśmy na zamek i słuchaliśmy mszy świętej w kaplicy Zygmuntońskiej, przy starożytnej wokalnejszej muzyce, która od czasu zejścia Zygmunta Starego brzmi co rano w tej kaplicy i tym samym śpiewem poważnym i tą samą pobożnością naddziadów naszych wita dzień każdy i każde pokolenie na nowo«¹.

Podumawszy nieco na grobach przeszłości i odwieziwszy w pracowni artystę malarza Stattlera, serdecznego przyjaciela swego, ruszył Pol w dalszą drogę i już w Gliwicach siadł do pociągu kolei żelaznej, który tegoż dnia dowiózł go do Wrocławia. Już przed kilku laty jeździł był poeta koleją, ale dopiero obecna podróż wzbudziła w nim szereg rozmyślań nad znaczeniem i przyszłością dróg żelaznych². Rozmyślenia te przerwał widok starożytnego miasta o gotyckich wieżach: to Wrocław. Pięknie opisał Pol wrażenia, których doznał zwiedzając miasto,

¹ Dzieła t. X, str. 171.

² Tom X, str. 174 i nast.



zwłaszcza nocą, przy świetle księżyca, »które rąbkiem bramowało gzymsy, rzeźby i koronki, zostawiając domyślności serca wykończenie reszty niewyraźnych konturów niknących w ciemności!«¹.

Poetyczny opis miasta uzupełnia Pol wiadomościami o stosunkach plemiennych, narodowych i językowych; wszystko to ujęte w formę listu »z wybieczki« przesyła do najbliższego zeszytu »Biblijoteki«. List ten może być dokumentem, jak bardzo zmieniły się tam stosunki w ciągu lat kilkudziesięciu. i jak niepodobny jest Wrocław i Śląsk z przed lat sześćdziesięciu — do dzisiejszego Wrocławia i Śląska. Mając na myśli główny cel podróży, udał się Pol do nakładców i księgarzy, i tam spotkała go miła niespodzianka: »Dziś rano — pisze — zwiedzałem tu tejsze księgarnie; księgarnia Hyrta i Szlettera jest prawie wyłącznie zajęta handlem książek polskich. Mnóstwo nowych i pięknych rzeczy, mnóstwo przedruków i nakładów świeżych, których nie znamy jeszcze; a to najdziwniejsza, że te same książki polskie sprowadzane z Lipska są tu daleko tańsze od tych, które nas (t. j. lwowian) wprost dochodzą z Warszawy, z Poznania, z Wilna, z Krakowa«².

Uwaga powyższa rzuca ciekawe światło na ówczesne stosunki wydawnicze.

Wrocław niedługo zatrzymał w swych murach Wincentego Pola; według dawniej powziętego zamiaru poeta udał się do Warmbrunu. Były to właśnie lata, gdy Warmbrun najliczniej był nawiedzany przez Polaków: zjeżdżały tu rodziny polskie ze wszystkich stron, z Królestwa i z Galicji, z Wielkopolski

¹ Tom X, str. 181.

² Tom X, str. 186—187.

i ze Śląska; i tym razem zjazd był niemniejszy. »Towarzystwo — pisze Pol — mamy tu bardzo dobre, bo przybyło tu kilku profesorów z Wrocławia, jest tu profesor estetyki, profesor astronomji pan Bogusławski, z którym pan Purkinie w najściślejszej żyje przyjaźni, towarzystwo dam bardzo wykształconych, a pomiędzy nimi młoda autorka znana już z pióra swojego w Niemczech, lecz jak dotąd jeszcze bezimiennie pisząca. Co drugi lub co trzeci dzień bywają w kąpielowej galerji wieczory, na których wyklada za każdą razą ktoś jakiś przedmiot z dobrowolnego wyboru popularnie dla całego towarzystwa i nie można przeczyć, że się tu pięknie bawić umieją«¹.

Pierwsze parę tygodni spędził Pol w bliskości domu, wśród towarzystwa lub w zasobnej bibliotece warmbrunskiej, gdzie znalazł wiele starych druków polskich i cenne rękopisy do dziejów Polski i Czech. Dopiero gdy przybył dr. Purkinie, z którym się już w Wrocławiu spotkał i umówił, rozpoczęły się wycieczki w góry. Biografowie Ujejskiego opowiadają, że w tych wycieczkach brał udział i twórca »Skarg Jeremiasza« i że razem z Polem, Purkiniem i jego synami był aż na Śnieżnej Kopie, najwyższym szczycie gór Olbrzymich; jednakże Pol w listach z wycieczki ani słowem nie wspomina o Kornelu; pisze on tylko:

»Od kilku dni robimy małe wycieczki z panem Purkinie i synami jego; a że w górach najżywiej przecie zajmuje natura, starałem się poznać nieco bliżej Sudety. Zwykle jedziemy do jakiegoś pewnego punktu, a dalej idziemy pieszo — i to jest pierwsza lekcja praktyczna nauk przyrodzonych,

¹ Tom X, str. 203.

którą pan Purkinie daje synom swoim pod niebem »Gór Olbrzymich« w tym pięknym gabinecie natury. Jest to niezawodnie najlepsza metoda naukowa i kto wśród żyjącej natury weźmie poświęcenie umiejętności, ten przylgnie z miłością do niej, a zostawszy badaczem natury, podsłucha jej tajemne głosy, nie wniesie trupich teorii do galerji żywych obrazów, nie oziębi ducha na długiej drodze analizy, lecz przezwycięży w sobie boleść anatoma i odda to z życiem, co z życia poszło i co żywe światu przekazać wypada¹«.

Wrażenie, którego doznał Pol zwiedzając góry Olbrzymie, nie było silne; znając dobrze Tatry, spostrzegał ciągle poeta, że są wyższe i piękniejsze, bogatsze w roślinność i ptactwo, obfitsze w szumiące potoki górskie; tutaj niejednych zjawisk brakowało, inne były jakby w minjaturze; słowem — pisał Pol — jest to najdrobniejszy widok alpejskiej natury, jaki tylko mieć można². Tym brakiem silniejszego wrażenia tłumaczy się zapewne, że podróż w góry Olbrzymie nie wydała ani jednej rzeczy twórczej, że nie wyraziła się w poezji. Była to poprostu wycieczka przyjemna i pożyteczna, która pozostała bez wpływu na życie duchowe poety. Trwał ten wypoczynek letni do pierwszych dni września; koło 10 września nastąpił wyjazd, zaś dnia 11 t. m. widzimy Pola w towarzystwie Ujejskiego we Wrocławiu; zarówno data, jak i szczegół ten z życia poetów są zupełnie pewne, gdyż dnia tego Pol i Ujejski wpisali się do albumu bawiącej wówczas we Wro-

¹ Tom X, str. 199.

² Tom X, str. 193.

clawiu panny Zofji Skrzyńskiej¹. Od połowy września aż do połowy października, a więc miesiąc cały, zajmuje trzytygodniowy pobyt w Berlinie oraz podróż na Rugję. Niewiele o tym okresie powiedzieć można: wiadomo tylko, że jadąc do Berlina, zatrzymał się Pol w Poznaniu i że bawiąc dłuższy czas w stolicy nad Sprewą, miał tam grono znajomych; zresztą cały pobyt w Berlinie pokryty jest tajemnicą i trudno nawet powiedzieć, czy Pol cały czas spędził w mieście, czy też wyjeżdżał w różne strony².

Dopiero podróż na Rugję i zwiedzanie tej wyspy opisał Pol dokładnie w utworze p. t. *Na wyspie*³, gdzie zręcznie połączył suche szczegóły geograficzne z anegdotami, prawdę z wymysłem. Z tego wspomnienia dowiadujemy się, że z Berlina dojechał Pol do brzegów Odry, a następnie statkiem parowym popłynął na Rugję; cała podróż trwała około 15 godzin. Wylądowawszy w miejscu kąpielowym, Podbórz, udał się zaraz ze swym towarzyszem w dalszą drogę, gdyż w tej podróży, jak pisze, »nie chodziło o kąpiele morskie, lecz o obejrzenie całej wyspy pod względem pomników starożytnych«⁴.

Zwiedzanie wyspy ułatwił pocie list polecający prof. Purkiniego. Podczas pobytu w Warmbrunie — pisze Pol — »często rozmawialiśmy o Rugji i Purkinie dał mi list do uczonego pastora, który na wy-

¹ Zob. Leopold Méyet. »Z nieznanych pamiątek«. *Kurjer Warszawski* r. 1905, Nr. 72 (13/III).

² Domyślać się tego można na podstawie notatki: W roku 1847 odbyłem podróż po północnych Niemczech i byłem na wyspie Rugji. Autobiogr. ogłosz. przez H. Biegeleisena w *Bibl. Warsz.* r. 1892.

³ Tom IV, str. 85—125.

⁴ Tom IV, str. 101.

spie od lat wielu czynił naukowe poszukiwania i bardzo szacowny zbiór starożytności miejscowych posiadał. Z listem tym odszukaliśmy ciche ustronie uczonego badacza¹.

Zwiedził więc Pol ciekawsze zabytki czasów przeszłych, dostał się do strażnicy morskiej z latarnią, obejrzał wioski rybackie, uczestniczył nawet w nocnym połowie ryb i wreszcie po kilku dniach powrócił do Berlina. Stąd dnia 10 października pisał do żony:

»Pojutrze wyjeżdżamy z Berlina na Drezno do Was moi drodzy; w Krakowie zabawię dni dwa i bardzo byłbym szczęśliwym gdybym zastał tam list od Ciebie, pod adresem Justynki lub pani Tadeuszowej, bo jestem niespokojnym o wasze zdrowie i radbym wiedział jak wszystko zastanę. Zdrowie moje polepszyło się, chociaż ból ostry w obu ramionach nie ustał jeszcze. Niechże Wicio powraca, kiedyś ty już powróciła, moja droga, żebym go zastał we Lwowie, bom taki spragniony za Wami i myślę się pocieszyć przy was dopiero. W całej podróży byłem moralnie i fizycznie cierpiącym. Bogu to polecić potrzeba i powracać do Was i do pracy. Ściskam Was do zobaczenia i polecam Bogu

Wiecznie Wasz Wincenty«².

W połowie października powrócił Pol do Lwowa, do zwykłych zajęć w zakładzie Ossolińskich, którego dobro bardzo leżało mu na sercu. Przy współudziale dyrektora zakładu Kłodzińskiego i kustosa Szlachetowskiego przeprowadził w ciągu kilku miesięcy cały księgozbiór przez cenzurę rządową, co było ważnym

¹ Tom IV, str. 101.

² Rękop. Bibl. Jagiell. Nr. 3772.

krokiem do otwarcia czytelní, dotychczas dla publiczności zamkniętej. Oprócz tego sprawy redakcyjne szły dawnym trybem. Ale z początkiem roku 1848 zachmurzyło się niebo nad redakcją *Biblijoteki*. Zbliżała się »wiosna ludów«; społeczeństwo polskie w oczekiwaniu czy przewidywaniu niezwykłych zdarzeń, połykało chciwie artykuły dziennikarskie, wiadomości polityczne, pożądało całą duszą prasy społecznej i politycznej, gdzieby się szczerze i swobodnie wypowiedzieć mogło; tym tłumaczy się wzrastająca obojętność dla miesięcznika, który w programie postawił sobie za zadanie przemileczać o sprawach społecznych. Gdy *Biblijoteka* po dawnemu dawała raz na miesiąc rozprawki historyczne i przyrodnicze oraz wyjątki z dramatów, prenumeratorzy zaczęli raptownie ubywać; idący stąd brak funduszków był głównym powodem, dla którego wydawnictwo zawieszono.

»Z końcem Marca 1848 r. — pisze Pol — oświadczył mi W-ny Kłodziński, Dyrektor Zakładu, że się z wydawnictwem Biblijoteki Im. Ossol. wstrzymać wypada, — lubo z upadkiem cenzury wydawnictwo pisma stawało się daleko łatwiejszem przedsięwzięciem dla Zakładu i Redakcyi, a daleko korzystniejszym być mogło dla literatury.

Od Marca 1848 r. aż do Lipca 1849 zgłaszałem się częściej nawet niż co miesiąc do W-go Kłodzińskiego, Dyrektora Zakładu, i oświadczyłem mu gotowość moją do Redakcyi pisma, — w tym czasie był już J. O. Książę Kurator we Lwowie, i tu dopiero w końcu Czerwca 1849 dowiedziałem się z ust jego, iż zakład znajduje się w tak złym finansowym stanie, iż na przyszłość pisma wydawać nie może¹.

¹ Stan sprawy mojej i t. d. Rękop. Akad. Um. Nr. 103 a.

Był więc Pol dłużej niż przez rok redaktorem *in partibus infidelium*; ani on, ani zarząd zakładu nie uważał umowy za zerwaną, wskutek czego Kłodziński wypłacał honorarjum za redagowanie zeszytów, które nigdy nie wyszły, Pol zaś, związany umową, nie mógł przyjąć innych zobowiązań. A właśnie nadarzyła się sposobność. Nowy gubernator Galicji, Franciszek hr. Stadion, kupiwszy od spadkobierców Krattera *Gazetę Lwowską*, pragnął uczynić z niej organ spraw krajowych, omawiający stosunki i potrzeby społeczne; na redaktora naczelnego wezwał Wincentego Pola, proponując mu honorarjum w kwocie 4000 zł. reńs. rocznie. Mimo warunków na owe czasy świetnych, Pol ofiarowanej posady nie przyjął, »składając się przyjętemi uprzednio zobowiązaniami względem Zakładu Im. Ossolińskich«. ¹

Redakcję *Gazety* objął M. Sartini, zaś poeta nasz został na razie bez zajęcia. »Od kwietnia 1848 r. — pisał Pol — zostałem bez posady w czasie rewolucyjnego ruchu, gdzie sobie literacką pracą nie mogłem zapewnić utrzymania, a będąc umową związany, nie mogłem wchodzić w obowiązki nowe«.

Nie należy jednak sądzić, że od tej chwili zniknie z widowni postać ulubionego poety i zabiegliwego redaktora. W tym burzliwym roku wiele o nim mówić będą; zobaczymy go jako literata i jako członka Gwardji Narodowej, zarazem jako działacza społecznego, tracącego popularność — i wreszcie — jako poetę-polityka i poetę-wieszczą.

¹ M. Dzieduszycki: »Co się komu należy«. Lwów 1860.



II.

Rok czterdziesty ósmy.

Udział w ruchu politycznym. — Spowiedź publiczna. — *Widzenie Janusza*. — *Słowo a sława*. — Wyjazd.

Po ogłoszeniu »patentu« z dnia 15 marca, po demonstracyjnym podpisaniu i doręczeniu gubernatorowi adresu w dniu 19 tegoż miesiąca, mieszkańcy Lwowa przeżywali dni niezwykle, gorączkowe, pełne radości, nadziei i podniesienia ducha. Były to chwile przedziwnego upojenia swobodą, tak bardzo upragnioną, tak długo oczekiwaną daremnie; nie znając umiarkowania w zapale, chciało społeczeństwo w ciągu dni kilku odmienić, ulepszyć, poprawić to, co było złe, niedostateczne, a zbudować, stworzyć to—czego nie było dotychczas wcale. Dobijano się u władzy swobód i praw coraz większych, korzystano z nich—zanim uzyskały zatwierdzenie. Jedną z najbardziej palących spraw było dziennikarstwo; niezależność prasy stała się koniecznym warunkiem swobodnej wymiany myśli. W tym celu utworzono deputację, złożoną z literatów i artystów, na czele której znajdowali się: Pol, Fredro, Bielowski i Szajnocha. Deputacja ta dnia 22 marca zjawiała się u Stadiona z żądaniem zniesienia cenzury i udzielenia koncesji na dziennik polityczny, którego wydawcą miał być prawnik Leon Korecki. Gubernator co do cenzury

dał odpowiedź wymijającą, ale na założenie dziennika przystał, obiecując, że sam się zajmie cenzurowaniem tego pisma i to w duchu jak najliberalniejszym. Na skutek tego oświadczenia już dnia 24 marca ukazał się pierwszy numer *Dziennika Narodowego*. Istotnie przez parę pierwszych dni Stadion sam przeglądał przeznaczone do druku artykuły, aż wreszcie po długiej konferencji z redaktorami zgodził się na zniesienie cenzury na pisma codzienne i perjodyczne. Z tą chwilą zrodziła się jednak obawa, aby piszący nie nadużywali tej swobody, zwłaszcza w widokach korzyści osobistej. To też w jednym z najbliższych numerów *Dziennika Mód Paryskich* (Nr. 14 z dn. 1 kwietnia) zamieszczono odezwę »Do braci literatów«, wzywającą do zabierania głosu li tylko w imię dobra ogólnego; »zostawcie na boku wszelką osobistość, a zaczepiajcie myśl waszą o dobro pospolite narodu swego, o dobro całej ludzkości«. Pod odezwą położono trzynaście podpisów, a między nazwiskami Fredry, Bielowskiego, Kłodzińskiego, Borkowskiego, Szajnochy i in. widnieje tam nazwisko Wincentego Pola.

W kilka dni później generał Józef Załuski ogłosił w *Dzienniku Narodowym* rozkaz dzienny do gwardji narodowej, który brzmiał jak następuje:

»Uwielamiam wszelkie oddziały gwardji narodowej, iż w dniu dzisiejszym objąłem dowództwo Gwardji. Dla zapewnienia biegu i porządku służby mianowałem szefem sztabu gwardji nar. kapitana Biełińskiego, adjunktem sztabu Wincentego Pola, szefem instruktorem piechoty w oddziałach gwardji majora Łosia«¹.

¹ Dnia 9 kwietnia.

Wstąpił więc poeta na nowe pole działalności publicznej, do owej gwardji narodowej, co według brzmienia statutu miała tworzyć »obronę konstytucyjnego monarchy, tarczę konstytucji i ustaw, filar utrzymania spokoju i porządku wewnątrz, a oraz być zachowawcą niepodległości i całości ogółu państwa, a więc odporem każdego nieprzyjacielskiego napadu zewnątrz«... Nie do szeregów jednak zapisał się nasz poeta, ale do kancelarji sztabu, był mianowicie adjunktem, czyli zastępcą i pomocnikiem szefa sztabu, Tadeusza Edwarda Bielińskiego, z którym oddawna łączyła go przyjaźń. Na tym stanowisku pozostawał Pol niezmiennie i wówczas, gdy dowódcą gwardji został generał Roman Wybranowski. Dopiero zajścia natury osobistej skłoniły go w miesiącach letnich do usunięcia się z widowni. W *Dzienniku Narodowym*, który stał się urzędowym organem gwardji, w miesiącach kwietniu i maju spotyka się podpis Pola pod zawiadomieniami, pochodzącymi ze sztabu. Nadmienić wreszcie trzeba, że wraz z Franciszkiem Łosiem, szefem instruktorem piechoty g. n., a byłym majorem wojsk polskich, opracował Pol i wydał: »Projekt do organiz. gwardji narod. na prowincji«. (Lwów, 17 kwietnia 1848, fol). Projekt ten żądał powołania w szeregi gwardji całej ludności męskiej z miast i wsi, w wieku od osiemnastu do sześćdziesięciu lat. Tymczasem zaszły sprawy, które boleśnie zapisały się na kartach jego żywota; wypadek niepowszedni, dla niego samego nad wyraz ciężki, dla innych przykry, przez różnych — różnie sądzony.

Zarody sprawy tej tkwiły podobno już od szeregu lat, ale utajone, skryte; trzeba było dopiero tak urodzajnej gleby, jak Lwów w owym pamiętnym roku,

aby te niecne ziarna zakiełkowały i wydały cierpki owoc. Podejrzliwość, która dotychczas była niemal wyłącznym przywilejem władz, — teraz stała się własnością ogółu; pomawiać kogoś o prywatę, sądzić bez rozwagi, zarzucać czyny niegodne — należało wówczas do rzeczy powszednich, codziennych. Póki Pol był poetą, uczonym, redaktorem pisma naukowego — wszystko było dobrze; z chwilą gdy stanął do wspólnej pracy społecznej — odżyły dawne niechęci, powstały nowe zawiści, niegodziwe plotki obiegały miasto, przez jednych przyjmowane z wiarą, przez drugich z oburzeniem, przez innych — obojętnie: zdania były podzielone. Sam Pol zachowaniem się swoim drażnił i wyzywał opinię publiczną; były to fakta na pozór drobne, ale fama rozdmuchiwała je, dając przytym odpowiednią barwę. Oto na przykład gdy rozwinęła się silna agitacja przeciw paleniu tytoniu, Pol nie tylko nie wyrzekł się ulubionych cygar, ale — co gorsze, chodził po ulicach z cygarem w ustach. Raz jakiś przechodzień zbliżył się z zamiarem odebrania mu cygara, ale poeta odrzekł groźnie: »Cygaro w ustach, a laska w ręku!« Gadano też wiele o zażyłości z Sacherem, dyrektorem policji, który w końcu marca dyskretnie zemknął ze Lwowa; starano się wyjaśnić cel ostatniej podróży Pola po Niemczech; przypominano sobie wpływy Stadiona na uwolnienie w roku 1846; dochodziło wreszcie do oszczerstw. Wincenty Pol, chcąc temu wszystkiemu tamę położyć, zdobył się na krok śmiały i stanowczy.

Dnia 16 maja zaprosił do swego mieszkania kilkadziesiąt osób; towarzystwo składało się z obywateli ziemskich, uczonych, literatów, duchowieństwa, przedstawicieli emigracji, gwardji narodowej i młodzieży akademickiej, wreszcie z przyjaciół i towa-

rzyszów szkolnych poety. Posiedzenie zagał Mikołaj Antoniewicz¹, oświadczając, że Pol pragnie usprawiedliwić się z ciężących na nim zarzutów; następnie sam poeta wygłosił długą przemowę, która była publiczną spowiedzią ze spraw i myśli całego życia. Więc najpierw dał poetyczny obraz swojej młodości, w którym zebrani łatwo dostrzegli wpływ getowskiego *Dichtung und Wahrheit*; następnie przeszedł do lat późniejszych, poczynając od r. 1832 t. j. od swego powrotu z emigracji. Zarzuty, które Pol starał się wyjaśnić i odeprzeć, dotyczyły dwu głównych spraw; pierwszą — były jego stosunki z przedstawicielami sfer rządowych, drugą — stosunki z arystokracją i sprzyjanie jej zasadom. Pierwsza sprawa jasna i prosta; Pol miał sumienie czyste, na usługach rządu nie był nigdy, a zatem bezpodstawność zarzutów, ich złośliwość i nieuczciwość wykazał łatwo; ktokolwiek wątpił jeszcze o charakterze znajomości z Sacherem, tego przekonał poeta podawszy fakt, że podczas ostatniej swej podróży do Księstwa Poznańskiego został niecnie oczerniony przez Sachera w gazetach pruskich; przytoczył też inne dowody, że nie cieszył się zaufaniem sfer rządowych, choćby ten np., że prezydent Krieg stanowczo sprzeciwiał się udzieleniu mu posady w Zakładzie Ossolińskich między 1834 a 1846 rokiem i fakt ten potwierdził obecny Gwalbert Pawlikowski. Trudniej jednak było uporać się z drugą sprawą; tu już samo postawienie rzeczy było niejasne. Czy miał się usprawiedliwiać z tego, że grono utytułowanych osób uważało go za swego przyjaciela? — Ależ to nie stanowi jeszcze

¹ Mikołaj Bołoz Antoniewicz, literat, piszący pod pseudon. »Mikołaj z Pokucia« (ur. 1801, zm. 1885).

winy. Więc może z tego, że wyznawał zasady i przekonania wyższych sfer? Na to pytanie mógł odpowiedzieć *tak* lub *nie*, atoli nie potrzebował odpierać zarzutów, takie bowiem czy inne przekonania, jeżeli tylko są szczerze i bezinteresowne, nie mogą stać pod pręgierzem opinii publicznej. Ostatecznie więc powinien był poeta odeprzeć tylko niegodziwy zarzut wysługiwania się arystokracji w celach korzyści osobistej. Tymczasem Pol sprawę rozmazał. Oświadczył on, że utrzymywał bliższe stosunki z rodzinami arystokratycznymi, mając nadzieję wpłynąć na zmianę ich przekonań, że »styczności jego z arystokracją miały na celu skierowanie umysłów i chęci na drogę postępu — i otwarte wypowiedzenie prawdy ludziom, którzy ducha czasu nie pojmowali lub dla samolubstwa pojąć nie chcieli«¹. Na dowód, że nie kierował się widokami korzyści materialnej — przypominał, w jak ciężkich nieraz znajdował się warunkach i że teraz również nie opływa w dostatki, ale piórem i pracą redakcyjną zarabiać musi na skromne utrzymanie. Wreszcie zakończył poeta swą spowiedź słowami: »Nie sądźcie, bym przemawiając do was chciał się wkupić w opinię i w życie publiczne. Nie! Aktem, jakim było to zeznanie całego życia, nie rozpoczyna się zawodu, ale się go kończy!«

W ogólności cała ta przemowa, wygłoszona przez łyzy, ale z uczuciem pewnej dumy i ze świadomością położonych zasług, różne na obecnych uczyniła wrażenie. Wszyscy wprowadzili dali się przekonać, że sumienie Pola jest czyste, a pobudki czynów szlachetne, ale nie wszyscy zgadzali się, że jego postępowanie

¹ *Dziennik Narodowy* Nr. 50.

zawsze było słuszne, taktowne i należycie umotywowane; zresztą nie mogło być zgody tam, gdzie ścierały się różne przekonania i dążności; w skutku więc zebranie to nie tylko nie zamknęło ludziom ust, lecz raczej wzmogło roztrząsania i sądy. Sprawa już jako rzecz publiczna przeszła do prasy i w *Dzienniku Narodowym*, jednym z najbardziej czytanych pism stronnictwa demokratycznego, zabrał głos Leon Korecki. O tonie przedmiotowym nie mogło być mowy w tym sprawozdaniu; zwłaszcza zaś gdy wypadło mówić o stosunku Pola do partji arystokratycznej i o jego wyjaśnieniu w tym względzie, nie obeszło się bez zółci; ale Korecki pisał z uczuciem wielkiej i szczerej życzliwości dla poety i skończył słowami, nad którymi Pol winien był się zastanowić; brzmiały one jak następuje:

»Jeden tylko mamy uczynić przyjacielski zarzut p. W. P., że niepotrzebnie zrobił rzecz publiczną z usprawiedliwienia swego, gdyż opinja niesłuszna najprościej i najdzielniej obala się czynem, który jej kłamstwo zadaje. Na sposobności dziś nie zbywa i długo zbywać nie będzie; o chęciach i zdolnościach jego nie wątpimy i dlatego też po scenie dla siebie i dla nas bolesnej nie do grobu wstąpić mu przystało, lecz na pole życia, gdzie go ojczyzna i wszyscy, co każdą z jej ozdób uwiecznićby chcieli, z otwartymi ramiony oczekują«¹.

Rozgłoszona przez dzienniki, obiegła sprawa całą ziemię polską, przez parę tygodni mówiono o niej szeroko i znów — różnie, w rozmaitym tonie. Taki np. Florjan Ziemiałkowski zapisał w swoim dzienniku d. 29 maja: »Był u nas Trentowski. Była mowa

¹ *Dziennik Narodowy* Nr. 50 (z dn. 22 maja).

o Pohlu, żałował żeśmy go niesłusznie potępili, — musiałem się tłumaczyć i po części przekonałem go, że zasłużył być potępionym. Nie przestawał wszelako twierdzić, że Pohl jeszcze się opamięta i stanie użytecznym krajowi¹. Ze wszystkich zdań i opinii zasługuje na szczególną uwagę głos Karola Szajnochy i to z wielu względów: najpierw dlatego, że pochodził od człowieka o szerszym widnokregu i wyższym umyśle, umiejącego bystro orjentować się nie tylko w zdarzeniach zamierzchłej doby, lecz i chwili bieżącej, — następnie dlatego, że Szajnocha był już od lat szeregu serdecznym Pola przyjacielem i z pewnością pisał szczerze, bez złośliwości i niechęci, a przytym ze znajomością charakteru i czynów poety; wreszcie i z tego względu głos ten zasługuje na uwagę, że Pol sam niewątpliwie zastanowił się nad nim, wziął do serca, życzliwą radę przyjął i — na razie przynajmniej — zastosował się do niej. Z dość długiego artykułu, który utonął w rocznikach *Tygodnika polskiego*, powtórzę tu ważniejsze ustępy:

Opowiedział nam p. Pol swoją biografię jako poety, to jest mimowolnie idealizując rzeczywistość... Wszakże w ciągu tej opowieści przeraził nas śrniało przez p. Pola uderzony dźwięk uczynionego mu zarzutu *szpiegostwa*, zarzutu oznaczonego przezeń najściślej co do jego autora, powodu jakoteż czasu rozsiania, — zarzutu ciężącego na p. Polu od lat 15, a niestety przeszłoroczną jego podróżą świeżo odnowionego. Najsmutniejszą przytym okolicznością nie jest sam zarzut, bo ten jest fałszem, — lecz okoliczność tak długiego ciążenia na kimś podobnego zarzutu. Nosić przez lat piętnaście taki, aczkolwiek nie-

¹ Pamiętniki Flor. Ziemiałkowskiego, t. II, str. 171, 172.

godziwie narzucony sobie zarzut, żyć z nim tak długo w towarzystwie, publicznie, nie zmazawszy go ze szczętem, a owszem — przy całej swojej literackiej zasłudze nowe do jego odświeżenia dawać powody, — jestto dowieść przynajmniej zupełnej niezdolności do życia publicznego, zwłaszcza do życia publicznego na jakie niewola nas skazywała. To życie wymagało żelaznej stanowczości, a miękka dusza poety, osobliwie takiego jak Pol poety, znać jej nie mogła; to życie żądało samobójczej decyzji między prawą a lewą stroną, a umysł poety szukał od wieków harmonijnej spójni, nie rozdwojenia w życiu; to życie wkładało obowiązek mściwego nienawidzenia wszelkich wrogów, a serce poety zawsze rade było kochać, nie nienawidzić... Dlaczegoż więc nie pojął poeta swojej natury i chciał zaszczepiać zgodę, gdzie obowiązkiem była nienawiść i burzliwość? organizować, gdzie zasługą było tamować wszelką organizację, bo wszelka organizacja organizowała tylko naszą niewolę? To więc, nie co innego, to niepojęcie swojej natury i przeciwnego jej, nienaturalnego stanu rzeczy, ta może z próżności pochodząca chęć przewodniczenia w życiu przy wewnętrznym nieusposobieniu do tego wrogiego życia, — czyniły nas przeciwnikami p. Pola jako charakteru publicznego, aczkolwiek prywatnej znajomości jego, jako poety, wiele najdroższych chwil zawdzięczamy. Toż samo nie wzbudza nawet i teraz pewnej w nas nadziei, aby p. Pol, przy obecnym niewyklarowaniu się jeszcze naszego życia publicznego, okazał się zbawiennym charakterem publicznym, i nie skłania nas do grzecznego zaprzeczania twierdzeniu, którym p. Pol powieść życia swojego zamknął, że »aktem, jakim było to zeznanie całego życia, nie rozpoczyna się, ale kończy się zawód«.

To jest: zawód publiczny, polityczny; — ależ nad ten zawód zostaje mu jeszcze inny, jedyny, z jakiego sądzić go będzie potomność, zawód poety, pisarza, zawód, od którego z krzywdą narodu nieszczęsne dwuznaczne życie publiczne go odrywało, a którego przeszłe zasługi oby były tylko zapowiednią świetniejszych jeszcze w przyszłości. Niech p. Pol służy ojczyźnie darem, jaki niebo nań zlało, a o resztę nie potrzeba ani jemu, ani przyjaciółom jego się troskać¹.

Te słowa serdecznego przyjaciela musiały zabołeć Wincentego Pola; mimo zawartej w nich życzliwości uraziły jego dumę osobistą, dowodziły jego niezdolności do życia publicznego, mówiły głośno i bez ogródek o chwiejności charakteru, dwoistości zasad. Rozgoryczenie, już przedtym niemałe, musiało wzrosnąć po tych i podobnych artykułach. Pol czuł, że dłużej nie wytrzyma w tym wirze zdań i stanowisk, w tym młynie, czyniącym zbyt wiele kłopotu i hałasu w stosunku do wykonanej pracy. To też już od końca maja nie spotyka się Pola w deputacjach i naradach, nie czyta się jego podpisu, — nazwisko i osoba znikają z widowni publicznej. Poeta opuścił Lwów. Co czynił od tej chwili, czym zajął letnie miesiące, co przez nie przemyślał i przeczuł? Drobna współczesna notatka wiele nam o tym powiada; Karol Szajnocha przesyłając Kornelowi Ujejskiemu lwowskie nowinki, pisał w lipcu tego roku:

»Wincenty wyprowadził się rzeczywiście ze Lwowa. Przemieszkuję częścią w Przemyśle, gdzie żona z dziećmi przy matce jego bawi, częścią za rogatką

¹ *Tygodnik polski*, dawny *Dziennik mód paryskich*, r. 1848, Nr. 21 z d. 20 maja (str. 171—172).

Łyczakowską w wynajętym od Nikorowicza futorze, gdzie przy pomocy pisarza układa, jak słyhać, materiały do geografji. Według doniesienia Bielińskiego miał napisać śliczny, obszerny poemat z powodu sejmu praskiego. Chodziłem umyślnie dla usłyszenia go za rogatkę, lecz nie zastałem Wincentego. Jakoż od czasu naszego ostatniego zejścia się u mnie w ów wieczór przedodjezdny, który wyście we dwójkę tak poetycznie zakończyli, ani ja, ani ponoś nikt inny go nie widział«.

A więc poeta poszedł za radą przyjaciela, postanowił »służyć ojczyźnie darem, jaki niebo nań zlało« i zaczął tworzyć. Zainteresowanie Szajnochy musiało być wielkie, skoro już za dni kilka stroniącego od świata poetę wyszukał, utwór odczytał i zdołał kilka fragmentów do druku wydostać; jakoż w numerze 32 *Tygodnika polskiego* podano bezimiennie wyjątki z tego poematu, opatrzone entuzjastycznym objaśnieniem Szajnochy. Jest to jeden z licznych okolicznościowych poematów czy wierszy, które wydał rok 1848; burzliwe wypadki, połączone z niemi refleksje i wspomnienia, wywołały mnóstwo wierszy o tonach najrozmaitszych: jedne — wzniosłe, górne, raczej *nade* niż *natchnione*, drugie — satyryczne, uszczypliwe, pod adresem tej lub owej osoby, inne jeszcze poświęcone pamięci i czci poległych za sprawę. Drukowało się to wszystko na świstkach, kartkach lub w dziennikach, których istny potop zalał teraz miasto Lwów i prowincje. Nie dla istotnej wartości tych utworów, ale jako wspomnienie tego, co zrodzone chwilą »górną i chmurną«, rychło w niepamięć przeszło, wymienić można kilka nazwisk i tytułów: Julian Goslar dał szereg wierszy, jak: Duma nie więźnia w Karmelitach, Kolenda Karmelicka,

Chrystus na puszczy, Chrystus w ogrodzie Getsemańskim; Wincenty Smagłowski pisał wesołe Krakowiaki porabacyjne, Ludwik Burzyna napisał wierszem Przegląd gwardji narodowej, podobnie Jakób Fel-sztyński: Do gwardji narodowej; pisali też M. Zdul-ski (Do młodych braci), G. Rozumiłowski (Do gwar-dzistów), Zygmunt Kaczkowski, Robert Nabelak, B. Szczucki, F. Boznański, J. Pawłowicz »i inni, których nie policzę«... Gdy tak przygodni piewcy dosiadali drewnianego pegaza, wystąpił równocześnie poeta z ustaloną sławą i rzeczywistym talentem; był nim Wincenty Pol. Śród mnóstwa świstków znajdzie się tam kilka, które wyszły z pod jego pióra; jest to: *Hymn patryjotyczny jenerała Dwernickiego*, dalej — utwór poświęcony pamięci Edwarda Dembowskiego p. t. *Emisarjusz* i wreszcie rzecz od tamtych wyższa: *Widzenie Janusza*¹.

W pamiętnym roku czterdziestym ósmym, w roku nadziei, złudzeń, zawodów i rozczarowań, wielka poezja polska milczała. Jeśli pominąć wiersz Krasiń-skiego na oblężenie Wiednia, wiersz Ujejskiego na bombardowanie Lwowa (*Krzyż a miecz*) i słabiut-kie *Cztery obrazy* Lenartowicza, to w poezji naszej jedy-nym trwałym dokumentem tych czasów, ich marzeń i złudzeń, będą dwa utwory Pola: *Widzenie Janusza* i *Słowo a Sława*; obydwie bardzo ważne jako ślad i pamiątka chwili, a niemniej cenne jako wyraz prze-konań i pragnień poety.

Widzenie Janusza, które musiało powstać na sa-mym początku wiosny przewrotów, gdzieś w końcu marca czy w kwietniu, jest szczerym wyznaniem sil-

¹ *Widzenie Janusza*. Lwów 1848, Milikowski, str. 8, cena złp. 1. Na dochód towarzyszyków broni, przybyłych z tułactwa do kraju.

nej, niezłomnej wiary w lepszą przyszłość narodu. Tę pewność, już nie nadzieję, ale pewność głoszoną z zapalem wytłomaczyć sobie można tylko ogólnym entuzjazmem i podniesieniem ducha, jakie wówczas Lwów nawiedziło, a brakiem refleksji i trzeźwego zastanowienia. Krasiński, ten co wiarę w przyszłość narodu jeżeli nie sam stworzył, to przynajmniej najsilniej rozwinął, utwierdził, — on sam w tym roku gorączkowego oczekiwania miał chwilę zwątpienia i smutku, — chwiał się:

Ach, płyną lata, ach, płyną i wieki,
Nim się myśl Boża w ciało przeistoczy;
Zguba wciąż blizka, a tryumf daleki —
Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy¹.

I gdy twórca *Psałmów* zdala od kraju rodzinnego spoglądał na sprawy jego ze smutkiem i zadumą, czując, że lepsza dola narodu coraz dalej, coraz głębiej w przyszłość się odsuwa, dawny śpiewak Janusz, stojąc wśród zgietku i gwaru, biorąc sam udział czynny w tym ruchu, ośmielił się zawołać do poruszonych tłumów: »Dzień ten już blizki!«

*Widzenie Janusza*² jest hymnem o przyszłości, wyśpiewanym przez tego samego pieśniarza, co przed laty kilkunastu witał lud swój w imię Boże i przynosił śpiew »o Lachu, o orlęciu i o krzywej szabli cięciu«. Janusz zakończył wtedy pieśni swoje *Proroctwem kapłana*, które było silną i wzniosłą wizją słonecznej przyszłości; ten sam Janusz teraz w roku 1848, w dniu wiosennych marzeń i złud, staje znów pośród braci, a pochwaliwszy Boga i jego karną czeładź, opowiada swoje *Widzenie*.

¹ »O, wiem, że Polska«... Pisma, III. 176.

² Dzieła, tom IX, str. 442—445.

Bóg mię w boleści skąpał aż na dnie,
 Aby miał ze mnie narzędzie,
 I oczyszczony, wiem dziś, co padnie,
 I widzę jasno, co będzie!

Początek poematu może przeciągnięty, zbyt patetyczny: »ducha mego z morza boleści puszczam na wieszcze rozkosze«; brzmi to jakoś dziwnie, ale chce się wierzyć, że poeta czuje i mówi szczerze, tylko wyraża się niezręcznie. Po tym wstępie przechodzi zwrot do narodu i już w strofie piątej mamy jasne postawienie sprawy:

Bóg cię wybawi! — boś w nim ocalał...

A więc wybawienie przez »Pana zbawienia i cudu!« Ta wolność będzie nagrodą i zadosyćuczynieniem za wieloletnie męki i zgryzoty, za cierpliwość i wytrwanie przy Panu; a stanie się to za sprawą Boga, prawie cudem, — co zaś ważniejsze: bez czynnego współudziału samego narodu polskiego. Gdy zbliży się ów dzień sądu i pomsty Bożej, wówczas »zapłoną ducha kagańce« i wszystkie narody aż po najdalsze brzegi mórz — zerwą się do czynu, chwycą za broń i »pójdą w krwawe zawody«. Nie będzie to jednak zwykła wojna zaborcza, bo

... piersi ogień rozgrzeje święty,
 I będą prawdą potężni!
 Z Bogiem i w Bogu bój rozpoczęty
 Podniosą w miłość orężni.

Poeta przewiduje tu jakąś wojnę powszechną w imię miłości, prawdy i sprawiedliwości, bój rozgrzany ogniem świętym, walkę o ideały wszechludzkie; jej skutkiem i owocem ma być ten fakt niechybny, że »Polska się dźwignie jak trawa w maju!« Oto konstrukcja poli-

tyczna, której dowolność i fantastyczność przerasta najśmielsze marzenia »wiosny ludów«. Jeżeli sam Janusz bodaj przez chwilę wierzył w sprawdzalność swojej wizji, to chyba opierał tę wiarę nie tyle na ówczesnym stanie umysłów, nie na stosunkach politycznych Europy, ile raczej na pewności, że wszechmoc Boska wszystko uczynić jest zdolna — chociażby cudem. Po tym widzeniu bojów za wolność narodu, który biernie i cierpliwie na wyniki miał czekać, następuje obraz kraju, niby z jakiejś zamierzchłej przedpiastowskiej doby zaczerpnięty; oto naród cały zbiegł nie się na jakiś wiec czy naradę:

Z pradiadów kosą ściągną Polanie,
Z strzelbą lud celny, lasowy,
Z toporkiem w rękę górski lud stanie,
A konno z dzidą — stepowy.

I lud »nad kmiącą sprawą zadumany, w poważną radę uderzy«. Wprowadza tu poeta, jak widzimy, sprawę aktualną, o której wiele wówczas mówiono we Lwowie i w Galicji całej; ujawniły się wtedy szlachetne zamiary, chęci a nawet czyny posiadaczy ziemskich, a nie od rzeczy będzie przypomnieć, że w szeregu tych, co najpierwsi z własnego popędu pańszczyznę znieśli, znalazły się osoby, z którymi nieraz w życiorysie Pola spotykać się trzeba, jak hr. Klementyna Miączyńska (uwolniła włościan w Tyśmienicy), Włodzimierz hr. Dzieduszycki (w Zarzeczu) i Henryk Janko (w Hoszanach). Sam poeta w latach późniejszych niezbyt pochwalał zniesienie pańszczyzny — i to dla kilku powodów, — ale o tym będzie mowa na właściwym miejscu; teraz, w roku czterdziestym ósmym, poetę porwał prąd ogólny a przeto

zagadnienie uwolnienia włościan rozstrzygał w kierunku twierdzącym. To też w *Widzeniu Janusza* daje obraz tego wiecu, na którym przez trzy dni toczyć się będą narady o prawach dla »pospolitej druzyny« i wreszcie »po raz pierwszy, odkąd kmieć orze, prawda dla ludu wypłynie«, a będzie ona czysta, spokojna i surowa.

Nie przeczuwał poeta, że tak rychło po jego słowach, bo już 17 kwietnia wyjdzie w Wiedniu rozporządzenie, okólnikiem Stadiona dnia 22 kwietnia urzędowo obwieszczone, a znoszące odrazu pańszczyznę, bez narad, bez trzydniowych wieców, — »z łaski rządu«.

Od strofy siedemnastej do końca *Widzenia* rozta-
czają się przed nami obrazy bez ważniejszego ideowego znaczenia; kmiecie znoszą »Bogu w darze« snopy, użęte w domu, na wolnym obszarze; układają z nich olbrzymi stos, a na wierzchu kładą godła dawnego ucisku; ogień spada z nieba i zapala stos;

A potym zbroję bogatą
Kmieć na wychódłym położy trzonie
I krzywą szablę szczerbatą.

Bo tylko pamięć krzywej szablicy
W tysiącu bitwach wsławiona,
Z złotym obrazkiem Bogarodzicy
Będzie z przeszłości poczczona.

A więc lud prosty ma czią otaczać i pieśnią
wsławiać starodawną szablę szlachecką.

Te słowa nie powinny być niespodzianką; wypływają one zupełnie słusznie i konsekwentnie z przekonań autora, który za godło życia dla siebie i rodaków wziął:

Wiernie stanąć na przeszłości,
 Jak krew ze krwi, jak kość z kości
 I sumiennie poczcić dzieje
 i t. d.

Zakończeniem *Widzenia Janusza* jest opis pielgrzymki dewocyjnej całego narodu na Jasną Górę do cudownego obrazu Najświętszej Panny.

W ogólności zaznaczyć trzeba, że *Widzenie Janusza*, przepowiadając blizki dzień wolności i zmartwychwstania całego narodu, łączy z tym i uzależnia od tego sprawę uwłaszczenia kmieci; historia dowiodła, że jedno bez drugiego doskonale obejść się może. W całej stronie ideowej jak i w wykonaniu, w pewnych obrazach czy wyrażeniach, dostrzec można daleki wpływ poezji Z. Krasińskiego. Dola-
 tują tu echa trzech psalmów (zwłaszcza *Psalmu miłości*) i *Przedświtu*, a większe pokrewieństwo jest z *Dniem dzisiejszym* i z *Ostatnim* (Paryż 1847). Pomysł ogólny, widzenie, przepowiednia — to przypomina »Ja wam zwiastuję«... z *Dnia dzisiejszego*, a gdy Krasiński mówi:

I będzie, — będzie — w tej Polsce i chwała,
 O którą szlachta w dziejach harcowwała,
 I będzie — będzie — i wolność ludowa,
 Ludziom romańskim i giermańskim nowa, —

to pokrewieństwo staje się widocznym, choć *Widzenie* do tej wysokości nie dorasta i nie zdobywa się na słowa, że będzie to »Ludzkości pierwsze Zmartwychwstanie«. Różnica najważniejsza ujawni się przy zestawieniu zakończenia *Psalmu miłości* z siódmą, ósmą i dziewiątą strofą *Widzenia*; »A gdy zagrmi — o żniw porze, wtedy naprzód — w imię Boże!« i t. d. Myśl w alegorię zamknięta, ale jasna, wyraźna; wiemy kto zacz są żniwiarze i na jakie wyjdą żniwo; gdy

tymczasem według proroctwa Janusza żniwiarze mają cicho a cierpliwie czekać zmiłowania Bożego, wyglądać, aż »trzykroć się zburzą narody« i stanie się cud!

Nie mamy dziś dowodów, jakim sercem, jaką wiarą przyjął ogół *Widzenie Janusza*, jak je osądził; zdaje się, że przeszło ono bez wrażenia, jako nieszkodliwy wierszyk patryjotyczny, jeden z wielu. Jeżeli poeta przywiązywał doń większą wagę, musiało go to zboleć; byłby to jeden więcej powód do rozgoryczenia i usunięcia się od świata. W zaciszu wiejskim powstał inny poemat, aktualny, programowy, polityczny: *Słowo a Sława*. Wywołał go wypadek polityczny pozornej doniosłości — zjazd słowiański w Pradze i udział w nim sprawy polskiej.

Pierwszy zawiązek tego wiecu powstał już w Wiedniu, po połowie maja, gdy różne deputacje spotkały się z podaniami u stóp tronu. »Deputacja galicyjska zastała w Wiedniu Czechów czekających na odpowiedź i mimo wstrętu, jaki każdy Polak ma dla Czecha, mimo niedowierzania oświadczeniom czeskim, weszła z niemi w stosunki za namową Lubomirskiego, który wychowany w Pradze marzył o Słowiańszczyźnie, jak dziecko, co nasłuchawszy się bajek, marzy o kryształowych pałacach. Przybyła też wkrótce po Polakach deputacja kroacko-serbska z żądaniami do tronu, z którą się deputacja (galicyjska) znieśli za pośrednictwem Lubomirskiego, mającego jako słowianofil sympatje dla ich sprawy«...¹

Członkowie tych deputacji przenieśli się do Pragi, gdzie dnia 31 maja otwarto wiec słowiański pod przewodnictwem Palackiego; sprawę polską reprezentowali tam: Jerzy ks. Lubomirski, Jan Dobrzański,

¹ Pamiętniki Florjana Ziemiałkowskiego, t. II, str. 30.

dr. Karol Malisz, Witalis Grzybowski, Smolka (delegat lwowskiej Rady Narodowej), Libelt i inni, którzy na wezwanie ze Lwowa i z Krakowa pospieszyli, ogółem kilkunastu przedstawicieli. Podobnie i Rusini wysłali swych rzeczników, którzy na dwie wrogie sobie rozpadali się grupy. Ostatecznie wszyscy uczestnicy zjazdu podzielili się na trzy sekcje: czeską, południowo-słowiańską i polską; przewodniczącym ostatniej został Karol Libelt, zastępcą jego — Grzegorz Gnilewicz, Rusin. Za zgodą Czechów, Morawian, Słowenów i Chorwatów ułożono odezwę »do ludów europejskich«, tchnącą duchem pansławizmu, zapoczątkowanego przez Kollara, i namiętną nienawiścią przeciw narodom niesłowiańskim, Austrię zamieszkujących. Przeciw tej odezwie oświadczyli się Polacy i ułożyli inną, głosząc w niej wolność, równość i braterstwo wszystkich członków politycznego społeczeństwa. Zanim zdołano rozesłać te odezwy »ludom Europy«, zaszły wypadki, które wszelkie nadzieje rozwiąły doszczętnie. Ks. Windischgrätz, wówczas komendant załogi wojskowej w Pradze, dopatrując się w działalności wiecu i manifestacjach narodowych — dążności separatystycznych, dnia 10 czerwca rozkazał wojsku wystąpić na ulice, a gdy przyszło do starć z ludnością, — miasto zbombardował i wiec rozpędził.¹

Upamiętnienie tych szczegółów ze znanego powszechnie faktu, daje nam parę punktów wyjaśniających poemat Pola. Najpierw czas powstania: oczywiście pierwsza połowa czerwca 1848 roku. A potem

¹ Por. J. Moraczewski: Opis pierwszego Zjazdu Słowiańskiego. Schnür-Pepłowski: Z przeszłości Galicji. Fl. Ziemiałkowski: Pamiętniki.

pytanie na pozór drobne: dlaczego poeta nie ogłosił wiersza tego w całości? Na to odpowiedziećby można, że zanim zdążył wydrukować, już wiec rozwiązano, nadzieje pierzchły, sprawa przestała być aktualną. Jednak bez względu na to, iż rzecz była spóźniona, Szajnocha ogłosił liczne wyjątki w swym tygodniku. Dlaczego nie ogłosił tu lub nie wydał osobno całości? Zapewne dlatego, że autor nie chciał się zgodzić, obawiając się znów narazić opinii publicznej. Strona ideowa poematu, choć była może samodzielnie przemyślaną i skonstruowaną, dziwnie przecież zgadzała się z dążnościami stronnictwa, które z każdym dniem więcej traciło popularność wśród społeczeństwa polskiego; panslawista i słowianofil — oto wyrazy, które niechybnie przylgnęłyby do Pola, gdyby swój utwór ogłosił wtedy w całości. Prawda, że po latach kilkunastu (około r. 1860 i później) miał zamiar drukowania *Słowa a Sławy* w całości, ale nie wiemy, czy nie wykonałby na tym wierszu operacji, jakiej dopuścił się na *Pieśni o ziemi naszej*. Spoczywając w rękopisie aż do zgonu poety, wiersz na zjazd w Pradze zachował postać pierwotną, i w tej postaci czytamy go w tomie VII dzieł (str. 321—339).

Myśl przewodnia *Słowa a Sławy*, mimo poetycznej szaty, jest jasna i da się przedstawić w kilku zdaniach.

Gdy Słowo Boże ogarnęło wszystkie ludy Europy, siejąc wśród nich światłość i miłość, Ojciec święty stał się głową kościoła, a cesarz panem świata. Lecz narody zbuntowały się przeciw władzy Rzymu i zerwawszy z kościołem, oddały się pod wyłączne panowanie cesarskiego jabłka złotego i krwawego miecza, co znaczy, że straciły Słowo Boże wśród walki orężnej i pogoni za bogactwem. Tymczasem wielkie

obszary na wschodzie Europy były zamieszkane od niepamiętnych czasów przez ludy, które Słowo aż do dni dzisiejszych przechowały we czci i czystości, a Sławę dziedziczą po ojcach. W tych to narodach spoczywa przyszłość świata i królestwo Boże; spokojne, zgodne i bogobojne, będą i nadal pracować na roli, miasto władzy miecza i jabłka wskrzeszą odwieczny ustrój gromadzki i wreszcie zamknąwszy dopływ fałszywym naukom Zachodu, wydobędą prawdy czyste i głębokie z łona ludu prostego.

Dla przeprowadzenia tej myśli, poeta stara się zbadać i wyjaśnić przeszłość ludów Europy, następnie ogarnia wzrokiem teraźniejszość i wreszcie daje rady i wskazówki ku osiągnięciu przyszłości, którą w wizji proroczej odgaduje i przepowiada. Stosownie do tego rozpada się poemat na dwie główne części: historyczną, a raczej historjozoficzną (I) i polityczno-socjalną (II, III i IV).

Obraz przeszłości zaczyna poeta chwilą, gdy Słowo Boże stało się ciałem i zamieszkało między nami;

I nowy zakon powstał dla świata,
Świat poznał światłość prawdziwą,
Człowiek w człowieku poczcic miał brata
Miłością świętą i żywą.

Ludzkość całą (trzeba rozumieć: ludność Europy) dzieli poeta na trzy wielkie gromady; są to ludy romańskie, »pokurcze z Rzymian i z dziczy«, dalej — ludy giermańskie, nieme »zawłoki z cudzych stron świata«, a wreszcie słowianie; ci ostatni dziedziczą ziemię »na północ i na zanie«, bez cudzej krzywdy siedzą od wieków na »ziemicy od Boga ojcom danej«; oni

...tu wzrosli, jak lasy rosna,
Razem z tym dębem i sosną:

»Słowo« od Boga dane w Ojczyźnie,
 »Sława« od Ojców w spuściźnie.

Jakiż więc po tym rozmieszczeniu ludów i objawieniu Słowa przedstawił się obraz? Jakie były losy tego świata? Oto

Ojciec święty w kościele głową,
 A cesarz świata był panem;

Ojciec święty surowo wzywał do Boga, a cesarz uwierzył w »państwo ziemi« i wzywał ludy do czci złotego jabłka i miecza; stąd powstała walka między władzą duchowną a świecką i trwała wieki całe,

I świat się gorszył i brał zgorszenie
 Z miecza i jabłka złotego,
 I ogłuszono w rzeszach sumienie
 I prawdę słowa Bożego.

Wówczas to ludy stały się »głuche na Słowo Boże odwieczne« i *nieme*, bo miecz wzbraniał je głosić, a wtedy »wiązły w pokusie i brnęły w zbrodnie, a li miecz rządził swobodnie«.

Napróżno Pan Bóg im błogosławił
 I na świeczniku postawił:
 Napróżno ziemię nadał im ciepłą
 I krew rumianą, nie skrzepłą,
 Napróżno w błędnej drodze im stawał
 I wielkich ludzi im dawał, —

mimo tych wszystkich łask i dobrodziejstw nie opamiętały się. »Podła ich przeszłość!« A zaś na wschodzie:

Był naród wielki, co w pokój wierzył,
 I pługiem ziemię zwyciężył —
 I sam się rządził i sam się sądził,
 I choć poganin — nie błdził...

Był to »wybrany« przez Boga lud Słowian do którego poszli ze Słowem wysłańcy pańscy: Curyl,

Metody i Wojciech; lud to przeznaczony na stwierdzenie prawd boskich i wierne noszenie krzyża Pańskiego. Z tej wielkiej rodziny słowiańskiej najbliższe posłannictwa swego są dwa narody, którym

...na ziemi nie zostało
Prócz pieśni, pługa i krzyża!

W takich zarysach przedstawiają się poecie losy narodów europejskich od utwierdzenia chrześcijaństwa, aż po dni dzisiejsze. Historjografja to nie tyle oryginalna i samodzielna, ile dowolna i fantastyczna. Poeta, stojąc na gruncie katolicko-słowiańskim, dąży do potępienia narodów zachodu i południa, a do wywyższenia całej słowiańszczyzny ze szczególnym uwzględnieniem Czech i Polski. Jakież są główne zarzuty, główne winy i zbrodnie przypisane Europie zachodniej? Są to — według poety: zerwanie z rzymskim kościołem, zerwanie z przeszłością, czyli z tradycją, a następnie popęd do krwawych walk i wojen oraz pogoń za złotem. Zerwanie z Rzymem — zapewne, że dla prawowiernego i uległego stolicy apostolskiej katolika jest to fakt ujemny, ale poeta w przedstawieniu tego faktu popełnia, jeśli się nie mylę, dwa grube błędy: po pierwsze — nie uwzględnia tej okoliczności, że nie w łonie władzy świeckiej powstał zaród reformacji i że jeżeli w konieczności dziejowej musimy doszukiwać się winy, to trzeba się zgodzić, że winą była obustronna; po wtóre — poeta generalizuje fakt historyczny w ten sposób, iż wydaje się, jakoby reformacja ogarnęła i pochłonęła całą Europę. W tym właśnie uogólnieniu spoczywa naciąganie zdarzeń do tezy; nie wiem, coby odrzekł poeta, gdyby go spytano, dlaczego Słowo zaginęło i wśród tych ludów, które dla Rzymu pozostały uległe i wierne.

Jak w przedstawieniu tych faktów poeta nie wykazał bystrego wzroku, tak też niewiele głębszym okazał się w traktowaniu tradycji narodów. Ale przyznać trzeba, że myśl o konieczności tradycji, o ciągłości życia narodowego bez przewrotów, bez zrywania z przeszłością — tak silnie tkwiła w umyśle poety, tak głęboko zapuściła korzenie w jego pojęcia o życiu narodów, że uważać ją można za jedną z głównych, przeważających cech jego charakteru.

Dzieje — to pamięć; kto pamięć straci,
Albo w szaleństwo popada,
Albo głupieje, — i zawsze płaci
Krwia i sumieniem zła rada.

Myśl, wypowiedzianą w tej formie, wygłosił poeta prawie dosłownie po latach kilkunastu, w jednej z prelekcji o literaturze polskiej, mówiąc: »Czym pamięć dla człowieka, tym jest tradycja dla narodu. Człowiek bez pamięci jest idjotą, lub popada w szaleństwo. Naród, który zrywa z przeszłością swoją, kąpie się, podług praktyki dziejów, we krwi własnej, bo jak mówi Krasiński: odrywa się tu ciało od duszy; broi w świecie materjalnym, szalem krwi pijane«. ¹

W obydwu wypadkach miał Pol na myśli zna-

¹ Pamiętnik literatury polskiej. Wykł. XI. *Dzieła* t. VIII, str. 166. W podanej tu strofie Pol przez *dzieje* rozumie pamięć przeszłości narodowej, ciągłość życia, *tradycję*; tej ostatniej nazwy użył też w przytoczonym wyżej ustępie prozą. Aby przekonać się, jak mało oryginalną jest ta myśl, wystarczy zestawić z poglądami Pola to, co Mochnacki mówi o historii (*O literaturze polskiej w w. XIX*. Warsz. 1830, str. 67 i 68). Obydwa z jednego czerpali źródła (Pol zapewne z drugiej ręki), z historjozofji niemieckiej, tylko że poeta na miejsce historii podstawił tradycję.

czenie tradycji w ogólności, dla każdego narodu. Jakie znaczenie przywiązywał do tradycji naszego narodu, wiadomo powszechnie i nieraz jeszcze wypadnie podkreślić; tłumaczy się to tym, że przeszłość naszą widział tak dobrą, czystą, świetną, nieskalaną, iż zrywać z nią byłoby zdradą i zbrodnią. Inaczej jednak wypadało ze słów poematu: *Słowa a Sława*. Poeta najwyraźniej twierdzi, że przeszłość narodów zachodu była złą, fałszywą, przewrotną: »Podła ich przeszłość! więc z nią zerwali... Pękła nieć dziejów!« A zatym — pytamy — dobrze się stało, teraz narody pójdą prostą drogą, odwróciwszy się od »podłych dziejów ucisku«... Gdzie tam! Pol nie mógł się wyrzec swej zasady ogólnej, nie mógł pochwalić zerwania z przeszłością (nawet tak złą, ciemną i krwawą) i popadł w sprzeczność, z której się już nie wyplątał. Podobnych sprzeczności i niedopatrzeń jest w historycznej części poematu więcej. Oto np. potępia narody Zachodu i Południa za to, że nie pługi ostrzą, ale krwawe miecze, a kto »w miecz uwierzył, tego nic z niebem nie łączy«. Tutaj znów zapomina poeta, że te właśnie miecze przez długie szeregi lat spieszyły na krańce świata w obronie Grobu Pańskiego, w obronie Ziemi Świętej, a później też miecze w walkach religijnych nie tylko stronę reformacji, lecz i stronę Rzymu trzymały, krwawiąc się w piersi bratniej. I jeszcze jedna niewłaściwość: ludy Zachodu i Południa zapomniały *Słowa*, odwróciły się od Boga, poszły w służbę miecza i złota, — przypuśćmy, że tak było; ale zaraz dalej czytamy, że Bóg im błogosławił, postawił je na świeczniku, dawał im wielkie myśli i wielkich ludzi... Jakże to pogodzić? A wreszcie rzecz dziwna: poeta, przedstawiciel ludów zgody i braterstwa,

szczyci się, że »doznał miłości cudu«, łaski przebaczenia,¹ a jednocześnie, o parę kartek wyżej, daje namiętny wyraz nienawiści plemiennej, nadaje ludom zachodnim obelżywe miana (zawłoki, pokurcze) i całą ich przeszłość nazywa podłą.

Po tym obrazie Zachodu, malowanym w barwach ciemnych i odrażających — następuje obraz słowiańszczyzny; to słoneczna sielanka, to krajobraz wysniony, wymarzony, pełen świeżej zieloności, gajów i kwiatów, woni i pieśni; po nim snują się postaci ciche, poważne, a pełne miłości i bojaźni bożej, jakiś lud prahistoryczny, wyczarowany ze słowiańskich baśni. To lud »wybranych«.

Bóg nie daremnie, — o bracia cześni,
 Dał nam niewolę i pieśni!
 Bóg nas — o bracia — otoczy chwałą —
 Bo i dziś cóż nas przybliża?
 Że nam na ziemi nic nie zostało,
 Prócz pieśni, pługa i krzyża!

Ale to jeszcze nie sojusz, nie zbratanie wszech ludów słowiańskich; to tylko naród polski oświadcza swą przyjaźń narodowi czeskiemu, — a powodem tego: wspólna wiara rzymsko-katolicka i wspólna, jednaka niedola; dla wydzwignięcia się z tej niedoli, łączy się Polak z Czechem, lecz nie do walki orężnej gotują się oni; nie tkną miecza ci, co znają tylko Słowo Boże, pieśń i rolę:

Ze Sławą ojców i z Słowem Bożym
 My dziś stajemy przed światem —

 My walczym słowem, nie dłonią;
 Kto mieczem walczy, od miecza ginie —
 Słowo zwycięża i słynie!

¹ Tom VII, str. 332.

Z tą ufnością i nadzieją łączy się Polak z Czechem w uścisku braterskim, wspominając sławne Żyszki oręż, święte groby Pragi, Wełtawy — krasawicy czeskiej fale szumiące. To uroczyste oświadczenie przyjaźni i zaufania mogło się w roku czterdziestym ósmym wydawać niezwykłym i przedwczesnym. Istotnie bowiem żyła w sercu Polaka-galicjanina uraza głęboka i słuszna; trwała jeszcze pamięć Czechów urzędników, tych słynnych rządowych maszyn, co tak dotkliwie dały się we znaki ludności galicyjskiej. To też znać, że słowa braterstwa nie są w tym poemacie wyrazem uczuć, zdawna i tradycyjnie w sercu przechowywanych, nie są potwierdzeniem rzeczywistości, ale tylko kombinacją, rachunkiem, przypuszczeniem; uczucie, jeżeli nawet jest szczere, to w każdym razie jest świeże i z rozumowań politycznych płynące. Podobny charakter ma też i cały ustęp liryczny, — poświęcony słowianom północnym. »Na tej biesiadzie« wielkiej rodziny słowiańskiej brak jeszcze jednego brata. Czemuż to? Poeta przyznaje, że i on dzielny, że »i w nim przecie duch nieśmiertelny«, ale dziś jeszcze »bez Słowa i Sławy«. Oczywiście: według poety *Słowo* dane było przez Chrystusa wyłącznie dla katolików, wiernych rzymskiej stolicy apostolskiej, — i poeta byłby konsekwentnym, gdyby był wyżej nie tak idyllicznie przedstawił Cyryla i Metodego, wielkich siewców *Słowa*, którzy — jak wiadomo — nie z Rzymu przybyli. W stosunku do słowian północnych poeta nie jest tak wyłanym i serdecznym, jak wobec Czecha, ale zdobywa się na rzecz wielką: przebaczenie; gotów jest zapomnieć krzywdy dawniejsze, gotów miłością otoczyć brata, ale wpierv żąda, pragnie, aby ten brat »Bogu ofiarę zapalił«.

Niechaj się z Bogiem pogodzi,
 Niechaj dla Słowa, Sławy odżyje,
 Niech się dla świata odrodzi!

I poeta cieszy się już na samą myśl, serce jego
 przepełnia radość bez granic, o tym wszystkim ma-
 rzy, roi,

Bo wolni słowem i równi sercem
 Jak słońce puścim w świat oko
 I ziemia będzie rajskim kobiercem,
 I mir zawładnie szeroko!

Oto więc pobratał już, pogodził i złączył poeta
 wszystkie narody słowiańskie, od morza do morza;
 łatwo mu to przyszło, tak łatwo, jak gdyby posiadał
 władzę czynienia cudów, — i nie zająknął się ani
 na chwilę, nie zawahał się... Tak będzie, w to wier-
 cie! I teraz tylko pomyśleć trzeba, jak urządzić, jak
 zagospodarować tę wielką krainę; temu pytaniu po-
 święcona jest część III i IV poematu.

Inaczej było, niż się dziś dzieje,
 I inny świat już nastanie;
 A jak wam stąpać w przyszłe koleje,
 To wam wyśpiewam — Słowianie!

Podstawą przyszłego życia słowiańszczyzny bę-
 dzie nowy, lepszy niż dawniej stosunek do ludu pro-
 stego; stosunek oparty na zasadach, które Pol wypo-
 wiada w tym roku i w tym poemacie — po raz
 ostatni; wypowiada je teraz — idąc za ogólnym prą-
 dem, olśniony jutrzrenką swobody, porankiem nowego
 życia. Jak więc z ludem się zbratać, jak go pozy-
 skać? Odpowie poeta, że

...lud nie będzie wam bratem,
 Jeśli do boju wy go zagrzewać
 Na wrogów świata zechcecie; —



Z nim trza się modlić, jemu trza śpiewać
I z nim trza radzić w powiecie.

A przestroga najważniejsza, — to nie zmieniać, nie przerabiać ludu, bo to praca daremna a niebezpieczna; czym lud był — »tym wiecznie zostanie«. Biada więc temu, kto zechce władać tłumem według obcych rozumów; »on nic nie przyjmie, co nie jest jego, a cudze«. A przeto rada jedyna: »nam tylko pojąć to, co w nim lepsze... nam w to uwierzyć, w co on wierzy, — reszta do czasu i Boga«. Tak załatwiał Pol sprawę ludową w roku czterdziestym ósmym; niewiele lat zbiegnie, — a wprowadzi do tych rad swoich ważne modyfikacje, — i zobaczymy, że wtedy stosunek jego do ludu nie będzie stosunkiem brata do brata, ale ojca do dziecka, które ostrożnie za rękę trzeba prowadzić, — i wtedy nie powie: »nam tylko pojąć to, co w nim lepsze« — ale naodwrot — lud ma pojąć i przyjąć od nas to, co w nas dobre (co znaczy: wiarę katolicką, miłość przeszłości, pracę na roli). Nie dziwmy się: inaczej widzi człowiek, który wiele przeżył i świat z bliska ogląda; inaczej poeta, przed którym przesuwają się słoneczne obrazy wyśnionej, wymarzonej słowiańszczyzny. To marzenie snuje się dalej; ukazują się pocie niespożyte zasoby światła, prawdy i miłości w tych ludach, a wtedy jego pierwsza myśl i troska: nie dopuścić wpływów obcych; więc woła, przestrzega:

Co złe u ciebie, to wszystko tobie
Dały te cudze rozумы...

»Nie obcą myślą tobie dziś ożyć«; ufaj tylko sobie i Bogu, a jak umiałeś cierpieć, tak teraz tworzyć potrafisz. I tu następują rady zbawienne:

Dziećmi surowo, prawem łagodnie,
A już gromadą żądz silnie!

Aż wreszcie wybija się myśl w krótką, lapidarną formę ujętą, z pozorem istotnej głębi: »Wolność — to własność«. Ależ to słowa z ust Maksa Stirnera wyjęte, to podstawa jego teorji; nie sądzmy jednak, że Pol czytał »Jedynego i jego własność« (1844), że stamtąd myśl tę wyjął, — lub że samodzielnie do podobnego doszedł wniosku. Chodzi tu o coś innego, mianowicie o pogląd, że istotną własność człowieka stanowi ziemia; »więc niechaj tylko ziemię lud trzyma« — i stąd już konsekwentnie wypływa rada:

Bracia słowianie, wy duże siola
Stawcie, a grody nieduże...

I myśl ta będzie się przewijać przez wszystkie pisma poety, jak motyw przewodni, jak pojęcie zasadnicze, myśl, że na roli i tylko na roli powinien żyć i pracować słowianin, bo »ten tylko kocha, co doma siedzi«, a przeto

Stój dziatwo sławna, czym stałaś zdawna,
Więc wszystkim braci swobodą,
Rola i śpiewem, wolą i *siewem*,
Radą, gromadą i zgodą!

»Radą, gromadą« — to ostatnie wskazówki na przyszłość, dotyczące ustroju wewnętrznego; narady starszych, jakieś patryjarchalne wiece będą podstawą przyszłego ustroju; na nich mężowie »od pługą, krzyża i śpiewu« (czytaj: rolnicy, duchowieństwo i poeci) naradzać się będą nad sprawami swego ludu, a raz na trzy lata wysłańcy wszystkich ludów słowiańskich zbiorą się na wiec powszechny. Poeta roi nawet, że odtąd już Słowiańszczyzna na trzylecia liczyć będzie swój żywot i sprawy, jak niegdyś Grecja starożytna na olimpiady czas liczyła. I to okazało się tylko złudnym marzeniem.

A więc *Słowo a Sława* jest kłamstwem, złudzeniem, fantazją od początku do końca? Niestety — dla rozumu dziś jest fantazją, i wtedy było złudzeniem; ale dla serca i wtedy było prawdą, i dziś nie przestaje nią być. Dla uczuć napiętych, gorących — prawdą były *Księgi narodu*, prawdą był *Przedświt*; podobnie za prawdę i w dobrej wierze przyjęto *Słowo a Sławę*. Kto w sercu nosił głębokie przeświadczenie o zgubności nauk z zachodu płynących, o zupełnym rozkładzie moralnym i rozstroju tam panującym, dla tego *Słowo a Sława* nie była kłamstwem. Kto w łonie wypiastował gorące pragnienie odrodzenia, zmartwychwstania, kto całą mocą ducha pragnął w nie wierzyć — dla tego *Słowo a Sława* nie była fałszem. Kto przejęty uczuciem szczerym a rzewnym dla cierpiących pobratymców słowian, widział włączeniu się z nimi podstawę i zapowiedź dni słonecznych — dla tego *Słowo a Sława* nie była ułudą. Kto w sercu przechowywał wiarą silną i niezachwianą, wiarę w sprawiedliwość Bożą, w miłosierdzie i wszechmoc, — dla tego *Słowo a Sława* nie była fantazją. Kto przejęty miłością dla ubogiego, uciśnionego kmiotka, chciał go do piersi przycisnąć, na ziemi ojców osadzić, żyć z nim jak z bratem, ukochać jego dolę i niedolę, — dla tego *Słowo a Sława* nie była złudzeniem. Poeta nie pisał rozprawy, dał poemat, a w nim to, czego każdy z upragnieniem wyglądał: zaspokojenie potrzeb serca. Bo pamiętajmy, że rok czterdziesty ósmy był chwilą, gdy społeczeństwo galicyjskie żyło nie trzeźwym rozumem, ale uczuciem (może po raz ostatni); a w takich chwilach znika granica między rzeczywistością a złudzeniem, możliwością a marzeniem; co z ducha wypływa — jest dla ducha prawdą. I nie dziw, że Karol Szajnocha nazwał poemat ten

W. Pol.

jednym »z rzadkich dźwięków harmonji w dzisiejszym rozstroju świata« i dodał życzenie: »Obyż on rychło ponad wrzawy dzisiejszej burzy się przebił!« A Kornel Ujejski, który podobnie jak Pol rok ten pamiętny przeżył i przeczuli, oceniając *Słowo a Sławę* pisze, że »duch Janusza wzniósł się do takiej wysokości, do jakiej może nigdy w najpiękniejszych swoich chwilach nie sięgnął«. ¹ Nie śmiem rozstrzygać, czy Ujejski pomylił się w sądzie...

Później odzywano się o tym poemacie z pewnym lekceważeniem, a i dziś nie znajduje należnego uznania — dla dwóch głównie powodów. Najpierw dlatego, że przykładając doń miarę zdrowego rozsądku, sprawdzian trzeźwej myśli politycznej, — widzi się fantastyczność, dowolność jego pomysłów i przepowiedni. Widzenia Pola nie sprawdziły się; ale czy sprawdziło się choć jedno proroctwo naszej poezji wieszczcej? Jeżeli nie lekceważymy przepowiedni naszych mesjanistów, nie lekceważymy też *Słowa a Sławy*. A powód drugi, — to że poemat za mało ma w sobie pierwiastku czysto poetycznego, — za wiele polityki, socjologii, tendencji. Ale inaczej być nie mogło; poeta pisząc utwór programowy, dowodząc swej tezy, dając rady i wskazówki na przyszłość, nie miał i nie mógł mieć na oku celów wyłącznie artystycznych.

A przecież tych wrażeń estetycznych, rozmyślnie czy niechcący, dostarczył w utworze tym niemało; pomimo całego balastu politycznego *Słowo a Sława* istotnie jest poematem. Jest nim przez ton ogólny, uroczysty, poważny, pełen spokoju epickiego i siły wyrazu; jest nim przez pierwiastek uczuciowy, trzy-

¹ K. Ujejski. Listy z pod Lwowa. (Lipsk 1861.) str. 127.

many w mierze, bez wybuchów, ale przenikający każdą myśl poety; jest nim przez język bądź obrazowy, bądź alegoryczny, wyrażający myśl krótko, lapidarnie, przysłowiowo. Za pomysł artystycznie szczęśliwy uważałbym kilkakrotne powtarzanie tu i owdzie tych samych wierszy, które jak refren przewijają się przez poemat, a zwłaszcza położenie na czele każdej z czterech części tego poważnie skandowanego czterowiersza:

Ponad Wełtawą a w Czeskiej Pradze
Na pierwsze ludów zebranie,
Zwyczajem ojców, w ojców powadze
Stanęli bracia Słowianie!

Włodzimierz Spasowicz, oceniając ideową stronę *Słowa a Sławy*, pierwszy zauważył (w r. 1878) podobieństwo jej do teorii słowianofilów moskiewskich. »Przez nienawiść ku rewolucji, — pisał Spasowicz, — poeta potępia cały zachód i bratając się pomimo wiedzy swojej z najsłabszymi z tak zwanych słowianofilów moskiewskich woła, że zachód ten, złożony z niemych i głuchych narodów, przegnił do szczytu«...¹ Ale krytyk na tej uwadze poprzestał i dalszych, istotnych podobieństw nie zaznaczył. Może dziś nie od rzeczy będzie zbadać tą sprawę dokładniej. Przede wszystkim przypomnijmy sobie, że już około roku 1840 najlepsza i najbardziej wykształcona część społeczeństwa rosyjskiego dzieliła się na dwa obozy: zachodowców (»zapadniki«) i słowianofilów; pierwsi

¹ W. Spasowicz: *W. Pol jako poeta*. Podobną myśl wypowiedział ten sam krytyk w swych *Dejach literatury polskiej*, mówiąc o poemacie, że »tkwi w nim to samo, co i w słowianofilach moskiewskich, przeświadczenie o gniciu »zachodu« i o fałszywej jego mądrości«.

mając na czele Hercena, Bielińskiego i Granowskiego, odrzucali przeszłość ojczyzny i domagali się, aby Rosja przyswoiła sobie zasady cywilizacji zachodniej, z tym wszakże zastrzeżeniem, aby je uprzednio zbadano, oceniono krytycznie i przystosowano do użytku samodzielnego; drudzy odznaczeni kierunkiem wybitnie narodowym i w dziejach Rosji doszukiwali się zasad wytycznych i haseł dla dalszego rozwoju. W tym obozie pierwszorzędne stanowisko zajmowali: Iwan i Piotr Kirejewscy, Konstanty Aksakow, a przedewszystkim — Aleksy Chomiakow. On był w tym kółku słońcem, z którego wszyscy inni czerpali światło wiedzy i ciepło uczucia. Chomiakow był istotnie mężem niepospolitym: teolog i metafizyk, historyk i polityk, krytyk literacki i filolog, — na każdym polu, w każdej dziedzinie pozostawił ślady swego potężnego umysłu. Otóż jeżeli uważając Chomiakowa za ojca słowianofilów, przedstawimy sobie w najogólniejszym zarysie jego zasady, podobieństwo do poglądów Pola, wyrażonych w roku 1848, stanie się widocznym. Pominąwszy jego nader ciekawe zapamiętania na Rzym i chrześcijaństwo, streszczę tylko pogląd na kulturę nowożytną Europy zachodniej. Ponieważ barbarzyńcy, zagarnąwszy ziemie cesarstwa rzymskiego, przejęli się zupełnie racjonalistycznym duchem zachodnio rzymskiej cywilizacji i prócz tego wszystkie państwa współczesne utworzyły się drogą podbojów, przeto ustrój polityczno-społeczny, który wyrobiły, znamionuje się nie tylko przez rozbrat kościoła i państwa, lecz także państwa i narodu, dalej przez podział narodu na kasty, wrogo względem siebie usposobione. Wynikiem zaś tego wszystkiego są, zdaniem Chomiakowa, ciągle wewnętrzne zatargi, kończące się nieraz krwawymi rewolucjami, które się

powtarzają przez całą historję średniowieczną i nowożytną do czasów ostatnich.¹ Podobieństwo, prawie tożsamość poglądów jest tu oczywista, choć pisarz rosyjski ujął swój przedmiot wszechstronnie i głębiej. Niemniejsza równoległość poglądów okaże się i w tym, co Chomiakow mówi o słowianach w ogólności; zdaniem jego słowiańszczyzna cała rozwijała się samodzielnie, niezależnie od zachodu; tu ma on na myśli przedewszystkiem Rosję i ze swego punktu widzenia ma niewątpliwie więcej słuszności, niż Pol — myśląc o samodzielnym, odrębnym wzrastaniu narodu polskiego; już to nieraz stronnicy słowiańskiej rasowości (jak np. Samaryn) nazywali właśnie Polaków odstępcami od słowiańszczyzny, awangardą zachodu, wciśniętą klinem w rdzeń słowiańszczyzny. Myśliciel rosyjski kładzie główny nacisk na okoliczność, poświadczoną przez pisarzy greckich i rzymskich, że słowianie nie lubili wojen, a poświęcając się przeważnie pracy około roli, nie wyrobili z tego powodu pośród siebie arystokracji. Łagodny i pokojowy charakter słowian i demokratyczne ich usposobienie² mają zapewnić im w przyszłości przodownictwo wśród innych narodów europejskich. »Jeżeli braterstwo ludów, — mówi Chomiakow, — jeżeli uczucia prawdy i dobra nie są marą, lecz siłą żywą i nieśmiertelną, — to zawiązki przyszłej cywilizacji tkwią nie w plemieniu germańskim, arystokratycznym i zdobywczym, lecz w słowianach. Słowianin, rolnik i demokrat, ma przed sobą szczytne zadania i świetną przyszłość«. (*Notatki o dziejach powszechnych*).

¹ Porówn. M. Zdziechowskiego: *Mesjaniści i Słowianofile*, (Kraków 1888) str. 211 i nast.

² Pol dodaje do tego bojażń Bożą i wierność kościołowi.

Wykazując powyższe podobieństwa, nie mam bynajmniej zamiaru mówić o wpływie; Pol z pewnością nie znał wtedy pism Chomiakowa (zwłaszcza że *Notatki* wydano dopiero po śmierci autora), ani jego stronników, a więc może tu być mowa tylko o pokrewieństwie poglądów, — nie o ich zależności. Wogóle Pol i w latach późniejszych miał niedokładne i jednostronne pojęcie o ruchu narodowym rosyjskim, rozpoczętym przez słowianofilów; widział w nim reakcję na towarzystwa religijno-polityczne w Europie zachodniej, narzędzie w rękach rządu i usposobiony dlań nieprzychylnie, obejmował nazwą »misticznego panslawizmu gabinetowego«. »Teoria gabinetowego panslawizmu — mówi Pol — miała urok nowości; gubiła ona się w poetycznych tradycjach pierwiastku ludów słowiańskich; dogodną była tym, że nie obiecywała nic zgoła pod względem politycznym i społecznym, a jeszcze dogodniejszą stała się przez to, iż w końcu przypadła korzystnie do polityki Piotra Wielkiego, bo albo obiecywała rozszerzenie wpływu rosyjskiego za pomocą panslawizmu, albo też rozszerzenie wpływu prawosławnej cerkwi.«¹

Jeżeli oceniając poglądy *Słowa a Sławy* można stanowczo zaprzeczyć wpływ słowianofilów rosyjskich, to z drugiej strony nie można stwierdzić, czy Pol pozostał niezależnym od panslawistów czeskich. Nie młodzieńczym już był wówczas zastęp uczonych badaczy przeszłości, przodowników odrodzenia czeskiego i zarazem gorących panslawistów; głęboką wiarę w jaśniejszą przyszłość swego narodu łączyli oni z wiarą w przyszłość całego plemienia słowian-

¹ Pamiętnik literatury polskiej. Wykl. X. *Dzieła* t. VIII. str. 144.

skiego, mającego niebawem — wedle ich przekonania — zająć pierwsze w Europie stanowisko. Czy Pol znał pisma, artykuły i mowy Franciszka Palackiego i Pawła Szafarzyka, lub starszego od nich Józefa Jungmana? Czy znał ówczesnych poetów czeskich, a przedewszystkim Jana Kollara i jego głośną *Córę Sławy*? Na te pytania — niestety — odpowiedzieć trudno. Prawdopodobieństwo, możliwość jest, — pewności niema. W każdym razie różnica między Kollar-em a Polem jest znaczna; pierwszy kładzie cały nacisk na Sławę, opiewając długi szereg walk, bo-jów, czynów bohaterskich; drugi — całą uwagę skupia na Słowie, najsilniej zaznacza duch religijny słowian, Sława zaś jest niejako dodatkiem tylko, uzupełnieniem, należycie nie umotywowanym. Aby wyjaśnić prawo ludów słowiańskich do Sławy, należało dać obraz ich walk i poświęceń, ich wojen w obronie wiary i ziemi rodzinnej, należało coś wspomnieć o czynach oręża — zaiste niepoślednich. Ale poeta nasz pominął to zupełnie, bo nie wchodziło w jego tezę, stało z nią poniekąd w sprzeczności: słowianie mieli być ludem pługą, pieśni i krzyża, a nie miecza.

A teraz z kolei nasuwa się pytanie, jaki jest stosunek *Słowa a Sławy* do mesjanizmu polskiego? Stosunek — oczywiście — może być tylko pośredni, polegający bardziej na analogji, niż pokrewieństwie, a to z tej przyczyny, że gdy nasza poezja wieszczą przepowiadała przyszłość Polski chrześcijańskiej, — Pol prorokował przyszłość słowiańszczyzny rzymskokatolickiej. Oprócz tej różnicy głównej, zasadniczej, są też pomniejsze. Chcąc najogólniej określić istotę mesjanizmu polskiego, powiedzieć trzeba, że była to wiara w opatrnościowe posłannictwo narodu naszego

i w przyszłe moralne, a na gruncie chrześcijańskim oparte odrodzenie zmaterjalizowanej, zepsutej i spróchniałej Europy dzięki życiodawczemu pierwiastkowi *uczucia*, który tylko słowianie umieli w sobie przechować w pierwotnej czystości i który to przez nich właśnie wprowadzony będzie do dziejów świata. »Wiara w opatrnościowe posłannictwo narodu, oparta nie na zdolnościach umysłowych i nie na wyższości jego pod względem oświaty i poloru cywilizacji, — ale tylko *na uczuciu* i na wypływającej stąd zdolności pojmowania i przejmowania się ideałami religijnymi i społecznymi, stanowi osnowę mistycyzmu patryjotycznego, czyli mesjanizmu«... ¹

Otóż Pol, pisząc w roku 1832 *Prorocтво kapłana polskiego*, był w zupełnej zgodzie z tym kierunkiem:

O! wszystkim ludom pójdiesz Polsko przodem!
Bo *wielkie czucie* łono two rozgrzeje,
A twa się cnota po świecie rozleje...

I rzecz jest charakterystyczna, że teraz punkt ciężkości przeniósł się z *czucia* na *Słowo*, a ściślej mówiąc — na wiarę katolicką, — i to właśnie wyróżnia Pola wśród mesjanistów polskich.

W innych motywach poeta nasz zbliża się do nich. Oto np. gdy mówi:

My, co najszerszą ziemię dziedziczym
Na północ i na zaranie...
Jak pamięć ludzka, nikt nie powiedział,
Ześmy stąd kogo wyparli,
Aby przed nami był tu ktoś siedział,
Byśmy mu ziemię wydarli....

¹ M. Zdziechowski, *Mesjaniści i Słowianofile* (Kraków 1888) str. 227.

»Słowa a Sławy« prawi dziedzice,
 Bez krzywdy dobro to dzierzym!
 Od Boga ojcom dane ziemice....

to mimowoli dolatuje nas echo jakiejś pieśni dobrze
 znanej, a dawno już wyśpiewanej:

Porwawszy w dłoń bezbożną zniszczenia pochodnię,
 Czyśmy kiedy szli gnębić bezbronne krainy?

.....
 Czy przeciw nam cierpiących powstały miliony
 I rzekły: Oni z bliźnich śmieją się męczarni,
 Podbijacze bez serca, tyrani bezkarni...

.....
 Lecz nie, — to nasza ziemia; tu naród nasz stary
 Zył od wieków, tu ojców groby i obszary!
 Cudzego nigdy chciwi, swojego zbyt hojni,
 Żyć, przestając na swoim, chcieliśmy spokoju... ¹

A znów gdy poeta nasz gromy rzuca na zachód
 i na południe, gdy cały ten świat wydaje mu się
 pogrążonym we krwi, w rozterce ducha i upadku
 moralnym, a to wszystko dlatego, że słowo Boże
 przez reformację i wojny zatracił, to przypominają
 nam się słowa: Od Grakków świat pogański nie
 spoczął, aż usłyszał obietnicę Chrystusa — od Lutra
 nowożytny nie ma pokoju — cywilną ogromną wojną
 i myśli i miecza rozłamuje się coraz bardziej — i on
 też nie spocznie, aż dojdzie nie już do usłyszenia,
 ale do zrozumienia i dopełnienia obietnicy Chry-
 stusa! ² A wreszcie gdy Pol mówi do plemienia sło-
 wiańskiego: »Co złe u ciebie, to wszystko tobie dały
 te cudze rozumy«, — gdy podnosi jego wielkie cnoty,
 które wyrosły na pniu rodzimym, a nie od obcych
 przyszły, gdy наконец uwielbia jego niechęć do bo-

¹ Ad. Czartoryski: *Bard polski*.

² Z. Krasiński: *Przedświt*.

gactw, do złota, za którym cały Zachód tak gonił, to same przez się nasuwają się słowa podobne:

Gdyby niegdyś ojce twoi
Cudzoziemców świeckich chodem
Weszli byli do podwoi
Tego gmachu, który stoi
Wkoło Polski, a dziś pada,
Bylibyście dziś, jak oni
Kramem tylko, nie narodem....¹

I jeszcze jedno ważne podobieństwo jest między Krasińskim a Polm, podobieństwo w sposobie ujęcia przedmiotu, mianowicie we wprowadzeniu pierwiastku rozumowego, analitycznego. Krasiński rozumuje trzeźwo, ściśle, logicznie, analizuje dzieje, wyciąga wnioski, słowem — stara się swoją tezę rozumowo, niemal naukowo uzasadnić (wstęp do *Przedświtu*); podobnie Pol w części pierwszej *Słowa a Sławy* analizuje, bada dzieje Zachodu, szuka przyczyn stanu obecnego, wyciąga wnioski; że nie potrafił być ścisłym i głębokim — to rzecz inna. Jest więc i w tym podobieństwo — ale raczej formalne; strona ideowa pozostaje nadal tak różną, że o pokrewieństwie nie może być mowy. Krasiński marzył o Polsce chrześcijańskiej, Pol w roku 1848 marzył o słowiańszczyźnie katolickiej. W roku czterdziestym ósmym — tylko! Bo jak jego mesjanizm w epoce drezdeńskiej, w epoce *Pieśni Janusza*, był czymś chwilowym, przejściowym, zda się — narzuconym, tak w roku przewrotów pansławizm — był chwilą górnego marzenia, które rozwiało się rychło.² Otrzą-

¹ Z. Krasiński: *Przedświt*.

² Podobnie J. I. Kraszewski miał około r. 1841 przejściowy okres słowianofilstwa, które ujawnił na łamach *Tygodnika*

snąwszy się z marzeń i rozejrzawszy po świecie poeta nasz pisał, że »Słowianom nie dały panslawistyczne teorie ani skupienia, ani pojednania, i owszem przyłożyły się do poróżnienia ich wewnętrznego«. ¹ A wreszcie myśli swoje o wszystkich prądach i kierunkach, o wzlotach i porywach, w których przez chwilę sam brał udział, zawarł w tym zdaniu, które ma moc i powagę zdobyczy życia, owocu długich doświadczeń: »Z walki... wielkich idei, któreśmy w tym wieku przeszli, a mianowicie encyklopedystów francuskich, słowiańszczyzny (u nas rozpoczętej panslawizmem rosyjskim), idei filozofji niemieckiej, radykalizmu francuskiego i mesjanizmu, z tej całej walki wynieśliśmy przekonanie, że nam tylko narodową drogą iść można, iść trzeba«. ²

Istotnie, tą drogą szedł odtąd wiernie... Służyć »pocziwej« sprawie, być mężem »dobrego posiewu« — stało się pragnieniem poety; zniechęcenie i odsunięcie się od spraw publicznych okazało się tylko chwilowym. Nawet bombardowanie Lwowa, które tak doszczętnie rozbiło górne nadzieje i rozwiało barwne widziadła marzeń, sprowadzając umysły do szarej rzeczywistości, — nawet ten wypadek nie zachwiał w Polu ufności w owocność dobrej woli i zacnego czynu. To też gdy na zimę osiadł po dawnemu we Lwowie, dał się znów wciągnąć w prace dla dobra społecznego. Niewiele dochowało się dokumentów, świadczących

Petersburskiego, gdzie nieco wcześniej (1837—1839) w głośnych artykułach Asmodeusza potępiał całą cywilizację zachodnią, zwłaszcza francuską, jako zwodniczą i do gruntu zepsutą.

¹ Pamiętnik literatury polskiej. Wykł. X. Dzieła T. VIII. str. 147.

² Tamże, wykł. XI; Tom VIII. str. 176.

o działalności Pola w tych czasach, ale te które są, dowodzą że poeta chciał i potrafił być pożytecznym.

Tak np. przechował się referat w sprawach szkolnictwa galicyjskiego, sporządzony na prośbę Jana Krausego, pośła jarosławskiego.¹ Zastanawiając się nad ówczesną organizacją nauki szkolnej, Pol widzi »konieczną potrzebę ustanowienia komisji oświecenia w każdej prowincji za wpływem ministerjalnym, aby w ogółach zakresłony plan studjów wypracowała i z prac swoich zdawała sprawę w perjodycznych raportach Sejmowej Komisji Oświecenia.... Do niej musieliby wchodzić nie tylko profesorowie, ale także mężowie nauki, zapatrujący się z narodowego stanowiska na potrzeby kraju i znający sferę oświaty polskiej... Jeżeliby tedy komisja ta miała być złożoną z samych rządowych figur, nie odpowie w żaden sposób powołaniu swemu, zwłaszcza gdy naszym zadaniem jest postęp w umiejętności, a zadaniem przeciwników będzie utrzymać dotychczasowy obskurantyzm, gdy nam przedewszystkiem o zaprowadzenie języka polskiego we wszystkich szkołach chodzi, a przeciwnikom naszym o utrzymanie w szkołach języka niemieckiego lub przynajmniej o zneutralizowanie języka niemieckiego przez wprowadzenie ruszczyzny«. Szczególną też uwagę skierował Pol na język ruski i jego znaczenie w nauce szkolnej; energicznie oświadcza się przeciw wprowadzeniu języka tego jako wykładowego, twierdząc »iż organem oświecenia publicznego nie może być język, którym dotąd nikt prawie nie pisze, a w którym czytać umieją tylko księża i djaki obrządku

¹ Pisany we Lwowie, dn. 18 stycznia 1849 r. Rękop. Bibl. Muzeum Polskiego w Rapperswilu.

greckiego. Język ten ruski nie jest wyrobiony, czyli właściwie mówiąc nie jest żadnym językiem, bo tylko dialektem nie ujętym jeszcze w karby piśmiennej mowy; w tym języku niema złożonej literatury, chybabyśmy pojedyncze dokumenta odnoszące się do dawnych wieków, do pojedynczych osób i praw, za literaturę uważać chcieli». Poeta wyraża przytym obawy, które sprawdziły się w znacznej mierze.

Drugim świadectwem ówczesnej działalności społecznej Pola jest protokół posiedzenia, własnoręcznie przez niego spisany.¹

Istniało we Lwowie Towarzystwo Dam Dobroczynności pod przewodnictwem ks. Heleny Ponińskiej; otóż dn. 5 marca towarzystwo to odbyło posiedzenie trzecie, na którym obecne były panie: Grabowska, Komarnicka, Kłodzińska, Tyszkiewiczowa, Pągowska, Komorowska oraz ks. kanonik Baraniecki. Pol, który powołany został na sekretarza i urząd ten stale piastował, brał bardzo żywy udział w obradach, toczących się nad urządzeniem »małego roboczego domu«; on to właśnie opracował cały projekt, zwiedzając w tym celu inne, podobne zakłady.

Tak tedy wciągnął się znów poeta w ruch życia stołecznego, gdy zaszły wypadki, które go nie tylko ze stolicy, ale i z kraju rodzinnego wydaliły na kilka miesięcy. Przypomnijmy sobie, że położenie ludności całej już wówczas nie było do pozazdroszczenia, bowiem od dn. 10 stycznia 1849 rozszerzono stan oblężenia na całą Galicję i Bukowinę; nastąpiła epoka śledztw i sądów doraźnych. Stosunki te pogorszyły się jeszcze, gdy przez ziemie polskie i czerwonoruskie zaczęły przeciągać długie kolumny wojsk ro-

* Rękop. Bibl. Ossolińs. Nr. 3148.

syjskich, dążące na Węgry. Już w pierwszych dniach maja poszczególne oddziały armji rosyjskiej przekroczyły granicę pod Michałowicami, Tarnogrodem, Radziwiłłowem, Wołoczyskami i Husiatynem, zaś we Lwowie pierwsze oddziały ukazały się dnia czternastego maja. Trwało to przez maj, czerwiec i początek lipca; niektóre pułki nawet dłużej pod Lwowem (w Winnikach) obozowały. Podczas przemarszu wojsk rosyjskich przez Galicję polecił Hammerstein naczelnikowi tajnej policji wojskowej, kapitanowi Heimerlemu, sporządzenie spisu osób niebezpiecznych, które na czas pobytu armji rosyjskiej w granicach monarchji miały być wydalone z Galicji i internowane poza granicami kraju. Na liście tej, obejmującej około czterdziestu nazwisk, musiał się znaleźć i Wincenty Pol, gdyż niespodzianie, dnia 29 czerwca, zostawiając we Lwowie żonę i dzieci, wyjeżdża z kilkoma przyjaciółmi do Marienbadu. »Przeznaczenie moje popędza mnie w świat, jak wielu innych«,¹ — pisał Pol do Edmunda Krasickiego na chwilę przed odjazdem. I wtedy rzucił poeta na papier wiersz pożegnalny, pełen żalu i smutnych przeczuć, któremu dał tytuł: *Bądźcie zdrowi*. Ten poetyczny wylew uczucia, dotychczas nieznany, podaję tu z opuszczeniem ośmiu środkowych wierszy².

Więc znów w świat ruszać i w cudze kraje,
Pod cudze dachy, pod obce nieba,
Wszystko co kocham tutaj zostaje,
A mnie porzucić przecie to trzeba!
I żadna miłość, żadna ochota,
Żadna nadzieja w świat nie popędza,

¹ *Przewodnik nauk. i lit.* r. 1905, str. 118.

² Rękop. Bibl. Jagiell. Nr. 3725.

Wiem co tam czeka — czeka tęsknota,
Wzgarda u obcych, ucisk i nędza!

.
Jako ja biorę, co z woli Boga,
Tak i wy bierzcie, moi kochani!
Przez krzyż do krzyża wiedzie ta droga
I wierni w Panu ukrzyżowani...
Lecz gdy go dźwignąć — to już nie boli
I kiedy Pan Bóg o nas stanowi,
Wyrzec się trzeba tej własnej woli...
Bądźcie mi zdrowi! Bądźcie mi zdrowi!

Za towarzyszków podróży miał Pol generała Wybranowskiego i majora Tadeusza Bielińskiego; z drugim zwłaszcza przyjaźnił się już od lat kilku. Tadeusz Edward Bieliński pochodził z Królestwa kongresowego, był z zawodu inżynierem i pracował przy budowie kanału Augustowskiego. W roku 1828 podczas kampanji rosyjsko-tureckiej przyłączony do korpusu inżynierji, odznaczył się przy oblężeniu Sylistrii i powrócił z wojny w randze kapitana, ozdobiony nadto krzyżem św. Anny. Następnie w roku 1830 i 31 jako inżynier wojsk polskich dosłużył się stopnia pułkownika; po wojnie przebywał czas pewien we Francji i w Szwajcarji, a wreszcie na stałe osiadł we Lwowie, gdzie był przedstawicielem lwowskiej filji krakowskiego towarzystwa ubezpieczeń. Z Wincentym Polem poznał się Bieliński we Lwowie przez Jana Podoleckiego; wspólna służba w sztabie gwardji narodowej zbliżyła ich jeszcze; ale nadewszystko łączyło ich coś wspólnego w charakterze, w usposobieniu i upodobaniach. Obydwa kochali przeszłość i lubili o niej rozprawiać, obydwu dobrze powąchali prochu i chętnie gawędzili o swych przygodach wojennych. January Poźniak, który znał Bielińskiego osobiście, utrzymuje, że był on człowiekiem

»literacko wszechstronnie wykształconym, a znakomitym gawędziarzem o tym naszym polskim kraju i prastarym obyczaju, — z opowiadań jego wiele korzystał nasz Wincenty. Bieliński przed powstaniem listopadowym tulił był koło siebie starca, kapitana legionów polskich, nazwiskiem Tarszę. Opowiadania Tarszy, które Bieliński czasami powtarzał, były tak zajmujące, że wielką jest szkoda, że Bieliński nie spisał tych opowiadań i nie ogłosił drukiem«¹.

Można więc domyślać się, na jakich to pogawędkach trawili wieczory oddaleni od kraju przyjaciele, a i generał Wybranowski, co też niejedno na wojence przeżył, dorzucał i swoje słowo. Tak przeszło parę miesięcy, spędzonych głównie w Marienbadzie; w połowie września bawił Pol w Pradze, ale bliższych wiadomości o pobycie w mieście tym nie mamy. Nakoniec pod jesień, gdy zwycięskie szeregi wojsk rosyjskich po stłumieniu powstania węgierskiego przeciągnęły przez Galicję z powrotem, — poeta nasz udał się do Wiednia, gdzie spędził przeszło dwa miesiące. Ambicje naukowe odżyły w nim znowu, podsycane tak przez uczonych czeskich, należących do towarzystwa przyrodniczego *Lotos* w Pradze, jak i przez Niemców, którzy wówczas rozwinęli bardzo żywy ruch w zakresie nauk przyrodniczych z powodu świeżo założonego instytutu geologicznego; raz jeszcze zapragnął poeta wybić się jako uczony geograf i zdobyć na tym polu jakieś trwałe i zaszczytne stanowisko. Musiał dobrze za sprawami swemi chodzić, skoro starania tak rychło i tak pomyslnym zostały uwieńczone skutkiem. Dnia 8 listopada został Winc. Pol mianowany profesorem nad-

¹ Notaty J. Późniaka. Rękop. Bibl. Jagiell. Nr. 3772.

zwyczajnym »powszechnej fizycznej i porównawczej geografji« na uniwersytecie krakowskim. Że obszerne stosunki i tak zwana protekcja niepowszednią odegrały tu rolę, — to jest rzeczą niewątpliwą. Dawny kolega Pola jeszcze z ławy uniwersyteckiej we Lwowie, dr. Leopold Neumann, był teraz wpływowym profesorem prawa na uniwersytecie wiedeńskim; jeżeli pomoc Neumanna nie jest w tym wypadku dostatecznie stwierdzoną¹, to natomiast pewną jest pomoc i uczynność ówczesnego ministra oświaty, hr. Leona Thuna; z tym znał się Pol jeszcze od r. 1844 i umiał go sobie pozyskać. Maurycy Dzieduszycki, dobrze poinformowany o tym, co wówczas w Wiedniu zaszło, pisze, że »kiedy minister oświecenia hr. Thun, zdawna w stosunkach *dobrego zachowania* z W. Polem zostający, zażądał po nim, aby objął w Krakowie *katedrę literatury polskiej*, odpowiedział mu, że po wykładach literatury słowiańskiej Mickiewicza nie podejmuje się takiego obowiązku (!), lecz uprasza o *postanowienie dla siebie nowej w Krakowie katedry*: »Powszechnej fizycznej i porównawczej geografji«, której się oddawał z zamiłowaniem od lat wielu. Jakoż wyszło naprzód prawo, że minister oświecenia jest uprawnionym do mianowania katedr, a następnie został W. Pol mianowany profesorem powszechnej fizycznej i porównawczej geografji w starej Jagiellońskiej szkole«².

¹ Wspomina o tym tylko M. Dzieduszycki w życiorysie, t. VIII, str. XX.

² M. Dzieduszycki: *Co się komu należy*. (Lwów, 1860).

III.

Profesor geografji.

Pierwsze dni. — Wykłady powszechne i ścisłe. — Uczniowie i koledzy. — Zeiszner, Kremer i Helcel. — Troska o dobro Wszechnicy. — Głos krytyki naukowej. — Zapowiedź nowych dzieł. — Utrata katedry, powody i okoliczności.

Działo się to w Krakowie, w początkach wyjątkowo mroźnego grudnia roku 1849. W domu hr. Piotra Moszyńskiego, położonym obok nowego dworca kolei żelaznej, w zacisznym gabinecie, przy biurku zarzuconym mnóstwem papierów, notat i książek naukowych, siedział świeżo mianowany profesor geografji i paląc cygaro, pisał następujące słowa:

Moja najdroższa Kornelciu!

Parę dni temu, jak do Ciebie pisałem i przesłałem Ci list z pieniędzmi a dziś lubo jeszcze nie czwartek, piszę, bo mi już tak tęskno i przykro bez Was, że sobie rady dać nie umiem. Chciałbym, żebyś jaki obmyślała sposób, żebyśmy wspólnie jaką radę wzięli i zakończyli to rozłączenie nasze — bo jak sobie pomyślę, że ja was tu do kwietnia mam czekać, to mnie aż trwoga zbiera — póki dzień, to jeszcze pół biedy, ale jak się wieczór robi — co począć? Tylko sam środek miasta oświecony, a ja miesz-

kam za plantami, więc już ani myśleć o tem, żeby wyjść z domu wieczorem, albo żeby do mnie kto przyszedł — Bóg widzi, żebym na skrzydłach do Was leciał i byłoby nawet dosyć czasu do tego w czasie Świąt Bożego Narodzenia — ale cóż, kiedy potrzeba się gotować na dalsze prelekcje a nadto jeszcze dokucza mi bardzo reumatyzm i lękam się drogi, bo i po podróży z Wiednia musiałem parę dni pozostać w pokoju cierpiąc na reumatyzm — więc nie chcę budzić biedy, kiedy mi ulżyło.... Praca moja idzie mi dosyć dobrze, wszystko jest wytrawniejsze i treściwsze, niż bywało — krótkie i powiedziałybym prawie duchowo bogatsze — tylko że w sercu ubogo i pogarda dla wszystkiego — co ztąd pochodzi, żem długo był za granicą, że nie mam nikogo wkoło siebie, co bym go mógł kochać. Dla tego potrzeba, żebyś mi choć na parę dni przybyła, bo potrzebuję lekarza dla duszy, pociechy dla serca... Co do druku poezji, żadnych nie mogę i nie chcę obecnie robić układów. — Pozycja moja nie pozwala mi dziś na ogłaszanie poezji — przeciwnie nakazuje zająć się zupełnie wykładem przedmiotu i choć częściowym wydaniem Geografii — z tego toru nie dam się niczem zbić z drogi — bo jednej tylko rzeczy służyć można i trzeba....¹

W tych prostych słowach, skreślonych do ukochanej małżonki, doskonale wyraził poeta stan swojej duszy. Tęsknił za żoną, za dziećmi, za domem rodzinnym, czuł się opuszczony, samotny; zwłaszcza te długie wieczory grudniowe dawały mu się we

¹ Rękop. Bibl. Jagiel. Nr. 3772. Z długiego listu opuściłem ustępy, dotyczące przeważnie stosunków rodzinnych i gospodarstwa. List z dn. 11 grudnia.

znaki, gdy gród podwawelski w one dobre czasy tonął w ciemnościach. Zajęcia naukowe pochłoneły go zupełnie; wszystkie siły wyteżał, aby przyjętym obowiązkom sprostać; wszak osiągnął to, o czym zdawna marzył, — będzie mógł pracować spokojnie i bez przerwy nad ulubioną geografją. To też otuchą i nadzieją jasnych dni przepełniło się jego serce.

Tymczasem poważny *Czas* w swym dodatku literackim z dn. 1 grudnia obwieścił *urbi et orbi*:

»W tych dniach przybył tu Wincenty Pol dla objęcia katedry geografji fizycznej przy uniwersytecie Jagiellońskim. Najwyższe podziękowanie winniśmy złożyć hr. Leonowi Thun, ministrowi oświecenia, że utworzył tę nową katedrę i że wybór jego padł na męża zasłużonego literaturze ojczystej. Rzecz bardzo prosta i dotykalna: jeżeli mają kwitnąć nauki i instytuty, potrzeba je obsadzać ludźmi uzdolnionemi i mającemi imię w narodzie. Zdolność powinna zawsze przodek trzymać przed długą służbą, która najczęściej bywa długą synekurą«.

Łudził się jednak *Czas*, jeżeli sądził, że wszyscy są tego samego zdania; okazało się bowiem, iż rzecz nie była tak »bardzo prosta i dotykalna«; znalazło się spore, nawet liczne grono niezadowolonych, i zanim jeszcze profesor wykłady rozpoczął, już na samą wieść o mianowaniu uczyniło nie lada huczek. W Krakowie i we Lwowie zerwała się burza, w której główną rolę grała nie tyle troska o losy nauki polskiej, ile — niestety — dawne niechęci i świeże zawiści. Tym wszystkim niechęciom i zawiściom dał wyraz najsilniejszy i najjaskrawszy — młody, zaledwie dwudziesto-czteroletni uczony, Walerjan Kalinka, w pamphlecie swym p. t. *Listy o Krako-*

*wie*¹. Rozprawiwszy się złośliwie i namiętnie z całym gronem profesorów starej wszechnicy, woła:

»P. Pol profesorem geografji fizycznej! Czy dlatego, że napisał kilka niezgorszych i kilka nędznych wierszyków? Czy dlatego, że z taborem jeździł po domach szlacheckich w podgórzach karpackich?... P. Pol od lat dwunastu pracuje w geografji, p. Pol wymierzył całe Karpaty, p. Pol pisał geografję fizyczną całej Polski... P. Pol nie czerpał z książek, p. Pol nie tłumaczył z niemieckich autorów, bo Niemcy jeszcze od nas mniej wiedzą w tym względzie; p. Pol bez wątpienia całą Polskę musiał objechać, wymierzyć wszystkie góry, pagórki, doliny, rzeki, jeziora, lasy, bagniska od morza Bałtyckiego do morza Czarnego, od Odry — ba — poza Odrę aż do Dniepru, p. Pol sam zrobił to, na co się we Francji towarzysztwa całe zbierały; do czego rząd pomagał, nad czym uczeni całe życie strawili, — to p. Pol zrobił sam jeden w ciągu dwunastu lat; nie wyjeżdżając z Galicji, wymierzył całą Polskę, baraszkując ze szlachtą i pisząc wierszyki, przejrzał na wskroś Karpaty.

Ale dość tych żartów i szarlatanerji! — Czyż uniwersytet jest domem podrzutków, czyż dlatego, że p. Pol może nie mieć na utrzymanie życia, służy mu prawo objęcia katedry, do czego go jedynie upoważniają gazeciarskie ogłoszenia i dwudziestoletnia fanfaronada. Ucho się od dzbana urwało i woda się wylała. Przez lat 12 daliśmy się łudzić, dziś żądamy prawdy. Jeśli krakowianie cieszą się, że autora »bajze baju po zwyczaju« mają w swoim gronie, ja przypominam, że minęły już te czasy, kiedy prenumerata

¹ Listy o Krakowie przez Pęclawskiego (Goznań, 1850), str. 73—76.



wieńczyła ludzi koroną literacką; ja zapytam p. Pola, jaką nam daje rękojmię, że ma wyobrażenie o przedmiocie, który na uniwersytecie ma wykładać. Uczyć się teraz za późno, a dźwięcznymi słówkami można uwodzić tylko kobiety i niedorostków».

Można sobie wyobrazić, jak boleśnie dotykały Pola podobne napaści, niesprawiedliwe a namiętne; zaiste mogło to zniechęcić i rozgoryczyć oddanego powołaniu swemu uczonego. Ale na szczęście takie i tym podobne zdania nie były głosem ogółu; przeciwnie — w wielu oczach czytał zadowolenie, otuchę i zachętę. To też pierwsze wrażenia były jasne, niemal radosne. Sam widok miasta, w którym mu teraz osiedlić się wypadło, miasta, pełnego wspomnień i pamiątek, odwiecznych gmachów i kościołów, działał nań dodatnio.

Tu dźwignięty ręką starą
Pierwszy kościół razem z wiarą —
I najstarsza tutaj szkoła
Do bojaźni Bożej woła...
Lud poważne chowa lice...
Puste place i ulice
I chodniki na wsze strony...
Lecz kościoły naród matczą,
Ludzie milczą — mówią dzwony,
A kamienie — jak człek świadczą.
Pusto — pusto na chodniku,
Lecz w kościołach jest bez liku
Ludu, co się Bogu korzy
I przymnaża chwały Bożej¹.

Poeta kochał Kraków. Poznał go już w r. 1834 i wtedy wyśpiewał *Pieśń o Krakusowym grodzie*. Później przejeżdżał nieraz pod Wawelem i zawsze

¹ Tom V, str. 131 i 132.

wiele miłych wrażeń odbierał. Tak np. po powrocie z Krakowa w zimie r. 1844, pisał do Edmunda hr. Krasickiego: »Powie Ci, iż bardzo miłe, szczęśliwe i potrzebne dla serca wyniosłem wrażenia z Krakowa, i dziś nie sowy lęgną się w starem orlem gnieździe! — Będąc parę razy na uroczystem nabożeństwie w katedrze krakowskiej, pomyślałem sobie — iż słusznie nazwano ten stary Kraków w Rzymie: *urbs orthodoxa, altera Roma!*«¹

Teraz, gdy się bliżej miastu przypatrzył, gdy się rozejrzał we wszechnicy jagiellońskiej, wśród grona profesorów, dobre wrażenie nie tylko nie zbladło, ale przeciwnie, wzmogło się jeszcze; w tym radosnym zadowoleniu pisał do tegoż przyjaciela: »W Krakowie znalazłem rzeczy daleko lepiej, niż sądziłem zrazu; polityczna gorączka przeszła, młodzież poczyną się brać do pracy, Towarzystwo naukowe Akademii Jagiellońskiej² poczyną się zajmować publikacją dzieł pożytecznych, a katedry w Uniwersytecie zajęli dawni współpracownicy naukowego Kwartalnika, i tak: wykłada filozofią i historią filozofii Józef Kremer, encyklopedyą umiejętności prawnych Rzeziński, historią prawa polskiego wykłada Antoni Helcel, ze stanowiska zupełnie nowego, podług najlepszych źródeł, krytycznie; Ludwik Zeiszner wykłada Kosmos Humboldta, a na mnie padła Geografia powszechna. Rektorem Uniwersytetu jest obecnie pan Majer, człowiek światły i prawy, miłujący kraj, młodzież i naukę, i dokładający wszelkiego starania do

¹ List z dn. 29 grudnia 1844. *Przewodnik nauk. i lit.* r. 1905, T. XXXIII, str. 32.

² Towarzystwo Naukowe Krak. było wówczas połączone z uniwersytetem.

podniesienia naukowego towarzystwa Akademii Jagiellońskiej; więc też rozumiem, kiedy się znowu skupiać poczynają ludzie dobrego posiewu w Ojczyźnie, to też może i zdrowe ziarno, rzucone z dobrą wolą, w serca poczciwe i młode, przyjmie się i wyda dobry owoc na pożytek kraju, na chwałę tej starożytnej szkoły krakowskiej i ku sławie Boga!

Kochany Panie Edmundzie powiedz »Amen«, bo widzę, żem mimowolnie wpadł w jakiś ton kaznodziejski; pojdziesz to wszakże, że się serca nasze, tylu boleściami dręczone, czepiają zawsze lepszej nadziei, i że potrzeba jest budować w czasach, w których tyle poburzano rzeczy, i stawić odpór tej nieszczęśliwej negacyi, która naród nasz prowadzi do zguby«¹.

Zbliżyły się święta Bożego Narodzenia. Poeta był samotny, tęsknił za domem rodzinnym; wówczas odszukali go mężowie »dobrego posiewu« i przycisnęli do serca. Na wilję zaprosił go kasztelan Franciszek Wężyk; pierwsze święto spędził Pol w gościnie u Bętkowskich, zaś drugie u Józefa Kremiera. Tymczasem nadchodził dzień rozpoczęcia wykładów. Na samą myśl, że wypadnie z katedry starej wszechnicy głosić słowa wiedzy ścisłej licznemu gronu słuchaczy — Pola ogarniało wzruszenie i niepokój. W tym nastroju ducha pisał on do żony:

»W pierwszy dzień, równo z rozpoczęciem szkół po świętach będę miał pierwszą prelekcję dnia 8 Stycz. 1850 — od 6-tej do 7-mej wieczorem, westchnij tam do Boga za mną, żeby dał siłę i natchnienie. Prelekcja ta wstępna będzie drukowaną, napisałem ją już, będę ją czytał, bo mówiąc nie zdołabym tyle rzeczy i myśli ująć i ścisnąć w ramach

¹ List z dn. 14 grudnia 1849. Tamże, str. 120.

jednej godziny — dobra jest — ale twarda — przeszlę Ci ją skoro wyjdzie z druku. Program dalszych prelekcji spisałem już i będzie ogłoszony litografią w Uniwersytecie z otworzeniem kursu, tylko pierwszą będę czytał, resztę będę z notatki mówił, bo rzecz jest świeższa daleko gdy mówiona — nie pierwszy to examini w życiu a może Bóg mnie wesprzeć zechce! — ale kontent byłbym już gdybym Ci mógł donieść, że już po examinie! Tyle daje mi to do czynienia, że prócz południowych godzin, w których chodzę dla zdrowia codziennie, niema ani chwili oddechu — w Bogu nadzieja, że następne lata lżejsze będą¹.

Gdy tak nowy profesor z wielkim nakładem pracy przygotowywał się do wykładów, jednocześnie wśród szerokiej publiczności wzrosło zainteresowanie ogromne. I powiedzmy odrazu, że nie o przedmiot tu chodziło, nie o naukę, w sposób nowy, według nowej metody wykładaną, ale właściwie o osobę prelegenta, o postać tak popularną, tak umiłowaną. Obiecywano sobie wiele, z ust poety spodziewano się słyszeć słowa natchnione, wieszczce... To też gdy nadzedł dzień 10 stycznia, dzień pierwszego wykładu, tłumy wypełniły niewielką salę dolną dzisiejszego Collegium physicum; oprócz uczącej się młodzieży można było tam spostrzec wielu mężczyzn poważnych, liczne grono dam a nawet dzieci. Profesor wstąpił na katedrę i w jednej chwili spełnił niecierpliwe pragnienie tłumów; z ust jego popłynęła mowa wiązana:

Wiernie stanąć na przeszłości,
Jak krew ze krwi, jak kość z kości,
I sumiennie poczcć dzieje...

¹ List z dn. 26 grudnia 1849. Rękop. Bibl. Jagiel. Nr. 3772.

a gdy wygłosił całe *Godło życia*, przyjęte entuzjastycznym oklaskiem, rozpoczął wykład pierwszy, poważny, ścisły, suchy; był to »Rzut oka na umiejętność geografji ze stanowiska uniwersyteckiego wykładu«¹.

Szeroka publiczność, która tak tłumnie zebrała się na pierwszej prelekcji, dopisywała odtąd stale; na wykładach Pola panował ścisk, niebываły dotychczas w salach wszechnicy. Kronikarz *Czasu* pisał, że »od lat wielu nikt (!) nie miał zwyczaju przysłuchiwania się wykładom profesorów tutejszego uniwersytetu. Czy brak ciekawych, czy same wykłady były tego przyczyną, tego rozbierać nie będziem... Rok szkolny bieżący inne przedstawił zjawisko. Uważano kilku ciekawych na wykładzie prawa ojczystego Z. A. Hlecla. Stworzenie katedry nowej geografji fizycznej i pojawienie się na niej Wincentego Pola, znanego powszechnie z swoich poezji, liczną publiczność do sal uniwersytetu ściągnęło. Ujrzano na jego prelekcjach i nasze damy: dzieci nawet ciekawsze przybyły. Nie długo przecież trwał ten zapal; bo twierdzą, że władza szkolna oddaliła z prelekcji uniwersyteckich nie wpisane do poczetu zwyczajnych słuchaczy osoby«...².

Znalazła się jednak i na to rada. Prof. L. Zeiszner pisze do A. W. Maciejowskiego: »Na lekcye Pola zaczęły damy uczęszczać, to wzbudziło zazdrość³ i teraz ustanowiono właściwe kursa dla dam; Pol wyklada w 10 godzinach — Geografia wschodu⁴, Ku-

¹ Dzieła, tom VI, str. 119—135.

² *Czas* r. 1850, 20 kwietnia. — Dod. lit.

³ W kim? Czy w innych profesorach, którzy Polowi zazdrościli damskiego audytorjum?

⁴ Pomylił się Zeiszner.

czyński o galwanizmie, Kremer — historia filozofii, ja mam coś o geologii mówić¹.

Dzięki tej wzmiance w przyjacielskim liście wiemy, że były to »właściwe kursa dla dam«; niełatwo byłoby się tego domyśleć, czytając urzędowe obwieszczenie sekretarza Uniwersytetu Jagiellońskiego z dn 1 lutego: »Senat akademicki w zamiarze uczynienia zadosyć wielostronnie objawionej sobie chęci korzystania z wykładów uniwersyteckich przez osoby, których uczęszczanie na zwyczajne, obowiązkowe odczyty profesorów nie mogłoby się zgodzić z ustępem 3-cim § 12 ogólnych urządzeń naukowych; — z drugiej zaś strony pragnąc, ażeby uczynienie zadosyć temu pożądanemu wyższego wykształcenia naukowego stało się korzystnym dla dawniej powziętego zamiaru obmyślenia pewnej liczby wolnych stołów dla młodzieży, która przybywszy tu na naukę z małym lub żadnym prawie zasiłkiem, łamać się musi z dotkliwą przeciwnością losu; zgodnie ze zdaniem wydziału filozoficznego, opartym na ustępie 3-cim reskryptu wysok. ministerstwa oświecenia z dn. 3 lutego 1848 r. Nr. 944, uchwalił:

ażeby korzystając z dobrej chęci ofiarujących się w tym celu profesorów, ogłosić kilka kursów naukowych nadobowiązkowych, za pewną opłatą, mającą posłużyć na wsparcie w sposobie wyżej nadmienionym tych z pomiędzy uczniów uniwersytetu, którzy w każdym względzie na toby zasługiwali.

W wykonaniu tej uchwały Senatu Akademickiego podaje niniejszym do wiadomości, iż poczynając od dnia 17 b. m. wykładane będą dla większej publicz-

¹ List z dn. 21 lutego 1850. Rękop. Akademji Umiej. Zbiór autografów Cypr. Walewskiego, t. VIII.

ności cztery kursa naukowe, mianowicie przez: prof. Kuczyńskiego — o zjawiskach, skutkach i zastosowaniu galwanizmu z objaśnieniami przez doświadczenia; prof. Zeisznera — rys obrazu świata; prof. Pola — geografja północnego wschodu Europy, mianowicie sarmackich i karpackich krajów; prof. Kremera — o duchu dziejów, czyli filozofja historii powszechnej«.

Tak więc Pol podjął się wykładania przez jedną godzinę w tygodniu (piątek od 6 do 7) i odczytów takich wygłosił 10, co nie pozwoliło mu wprowadzić tematu wyczerpać, ale rys ogólny podał w słowach przystępnych i barwnych. Świadek współczesny pisze, że Pol »zajął mocno całą publiczność i ważnością przedmiotu i jasnością wykładu; w nim on skreślił wymownie przyrodzone granice tego obszaru, który kraje dawnej Polski ogarnia. Czekamy ciekawie — pisze dalej — profesora P. przy Tatrach, albo raczej Bieskidach, bo wiemy dobrze, że poznaniu tych gór znaczną część swej usilności i życia poświęcił«¹.

Gdy w ten sposób szersza publiczność znalazła sposobność słyszenia ulubionego poety, nie przekraczając przytym litery przepisów, w salce wykładowej *Collegium physicum* grono słuchaczy znacznie zeszczupiało. Ubyła »publiczność«, pozostali »uczniowie«; tym podawał nowy profesor ziarna wiedzy ściślej, podawał je sucho, poważnie, ale z wielkim umiłowaniem przedmiotu i z niemniejszym umiłowaniem młodzieży. Rychło nawiązał się między nimi stosunek ogromnie serdeczny, co jednak bynajmniej nie prowadziło do przepędzania czasu na miłej pogawędce. Pol poświęcał cały czas i wszystkie siły, aby

¹ *Czas* r. 1850. Dod. lit. Nr. 11.

należycie przygotować się do każdego wykładu; to natężenie odbiło się na jego zdrowiu. Już koło 20 lutego musiał przerwać wykłady i miesiąc cały spędził w domu, a gdy ponownie na katedrę wstąpił, mówił w pierwszych dniach tak cicho, że go nie wszyscy mogli dosłyszeć. Do tego przyłączyło się cierpienie oczu; dni zimowe były krótkie, już po południu wypadało pracować przy lampie — nieraz do późnego wieczora; czytanie, a zwłaszcza ślęczenie nad mapami bardzo męczyło i osłabiało wzrok. Mimo tego profesor nie tracił ochoty do pracy i z wiarą spoglądał w przyszłość. Gdy wiosna nadeszła, rozpoczęły się z młodzieżą wycieczki naukowe po okolicy; dostarczało to pocie wielu miłych chwil. W tym upojeniu pisał Pol do Włodzimierza Dzieduszyckiego:

»Nasze naukowe wycieczki idą bardzo dobrze; cóż to za wdzięczny kraj ta Krakowska ziemia; jakie przeczyste i żywe zdroje, jakie lasy, co za flora, ile historycznych (!) pamiątek w każdym zakątku tej ziemi! Młodzież nasza bardzo dobra, rozsądna, wesoła — zaczyna brać coraz żywszy udział w naukach — i wyraźnie przybyło mi zdrowia z tą wiosną¹.

Tak na pracy wytrwałej i usilnej, na sumiennym wypełnianiu obowiązków profesora, na prowadzeniu młodzieży, umiłowania pełnym, zeszyły Polowi całe trzy lata. W ciągu tego czasu wyłożył on przedmioty następujące: r. 1850—1851, półrocze zimowe: Wykład pięciu części świata w zarysie (3 g.) i Oceanografia (1 g.), półrocze letnie: Gieografia monarchji austriackiej (2 g.) i Gieografia Syrii i Palestyny ze względem na historję biblijną i etnografię wschodu (3 g.

¹ List z dn. 6 czerwca 1850 r. Rękop. Bibl. Poturzyckiej we Lwowie.

od 7 do 8 rano); r. 1851—52, półr. zim.: *Gieografia fizyczna* (2 g.), *Gieografia północnego wschodu Europy* (2 g.), *Etnografia powszechna* (1 g.); półr. letnie: *Gieografia monarchji austryjackiej* (2 g.), *Gieografia ziemi świętej* (1 g.) i *Gieografia handlowa powszechna* (2 g.); r. 1852—53, półr. zimowe: *Gieografia fizyczna* (2 g.) i *Gieografia powszechna handlowa* (4 g.). Tematy wykładów — jak widać z powyższego, powtarzały się dość często; a jednak przygotowanie ich po raz pierwszy, chociażby z podręczników niemieckich i dawniejszych notat, niemało zabierać musiało czasu i pracy, zwłaszcza gdy Pol przez cały okres swej profesury podejmował się pięciu godzin wykładów na tydzień.

Ze sprawozdań i statystyki uniwersytetu możnaby wprawdzie wydobyć inne jeszcze cyfry, mianowicie napływ słuchaczy na poszczególne wykłady; ale wiadomo, że liczby urzędowe nie są w tym wypadku żadną rekojmią. Jakkolwiek dowiemy się, że w pierwszym roku jego wykładów z ogólnej liczby 158 słuchaczy wydziału filozoficznego zapisało się na *gieografię ogólną* — 2, na *oceanografię* 13, *gieografię Austrii* — 35, atoli są to cyfry niemiarodajne i nie mogą świadczyć o rzeczywistej frekwencji. Wypadnie więc w tym razie pójść nie za statystyką urzędową, ale za tradycją i świadectwem współczesnych. Otóż z tego źródła wiemy, że zapal, z początku nieograniczony, słabnął z każdym rokiem; wykłady publiczne już się nie ponowiły, wykłady zaś stałe, uniwersyteckie, coraz szczuplejsze grono słuchaczy przywabiwały. Osoba poety, popularna i głośna, która zrazu wzbudzała takie zaciekawienie, — opatrzyła się już i spowszedniała; wykłady *gieografji*, mimo nowej metody, nie znajdowały wytrwałych zwolen-

ników. A wreszcie dostrzec było można pewnego rodzaju zawód czy rozczarowanie; ogół spodziewał się od Pola więcej, niż on sam zamierzał i mógł dawać. Ten stosunek ogółu do poety doskonale wyczuł i przedstawił Kornel Ujejski:

»Prelekcje jego — pisze twórca *Skarg* — ściągały z początku liczną bardzo publiczność, której zdawało się, iż pomimo suchego na pozór przedmiotu, obranego przez pana Wincentego Pola, usłyszysz z ust kochanego poety nie słowo martwej nauki, ale słowo natchnione. Protegowanemu naówczas przez ministra oświecenia, z łatwościąby przyszło dawać niejedno słowo, poruszające łaknącą publiczność. Kto ma katedrę, ten ma potęgę w swym ręku, bez względu na obrany przedmiot. Michelet i Quinet w ostatnich latach panowania Ludwika Filipa, równie ściśnieni nieprzyjaznym dla natchnionego słowa czasem, potrafili jednak wyrzucić ogromny i korzystny wpływ na swoich słuchaczy. Pan Wincenty Pol ciągle przypominał sobie, iż ma biret doktorski na głowie, i ciągle dbając o to, aby odpowiedzieć powadze i uczoności zaimprovizowanego profesora — nie zadowolił ani tych, co szukali nauki, ani tych, co łaknęli natchnionego słowa. Po krótkim czasie sala wypróżniła się i pan Wincenty Pol mówił już tylko do kilku drzemających słuchaczy, których kiedy niekiedy ściągnął brak decyzji w rozrządzeniu czasu«¹.

Ujejski jak zwykle, tak i tutaj przesadził; bo na wykłady Pola nie zbierało się kilku drzemających słuchaczy, których nadmiar wolnego czasu lub brzydka pogoda sprowadzały do sali, lecz stale uczęszczała na nie garstka młodzieńców, których zgromadzało nie tyle zamię-

¹ K. Ujejski. *Listy z pod Lwowa*. (Lipsk 1861), str. 129 i 130.

wanie do przedmiotu, ile — powiedzmy prawdę — przywiązanie do osoby profesora.

Jak w stosunkach z młodzieżą Pol potrafił być zawsze serdecznym i ciepłym, zastępując powagę pedagoga — życzliwością ojcowską, tak i w stosunkach z gronem profesorów okazał się nie konwencjonalnym kolegą w urzędzie, ale serdecznym, wylanym przyjacielem. Nie ze wszystkimi oczywiście łączyły go jednakże bliskie związki; ale ci, z którymi się zżył, zachowali dla niego nazawsze prawdziwie braterskie uczucia. Czy to na przechadzce po plantacjach, czy w skromnych pokoikach przy ulicy Krupniczej Nr. 101, gdzie z żoną i dziećmi zamieszkał, zbierało się koło Pola grono życzliwych przyjaciół, z których przedewszystkiem wymienić trzeba Ludwika Zeisznera, Józefa Kremera i Antoniego Zygmunta Helcla.

Z Ludwikiem Zeisznerem łączyła Pola nie tylko wzajemna skłonność ale i wspólna praca; Zeiszner bowiem wykładał geologję, mineralogję i zoologję; biegły w naukach przyrodniczych, a zwłaszcza w specjalności swej — geologji, nieraz pomagał Polowi w pracy i udzielał wskazówek tam, gdzie profesor-samouk rady sobie dać nie mógł. Z drugiej strony i Pol, znający dobrze naturę kraju, a zwłaszcza Tatr, znający nadto bogate zbiory i muzea w Wiedniu, Pradze i Gracu, potrafił być koledze swemu pożytecznym. Przez pewien czas nosili się nawet z myślą wydania wspólnej pracy. Wiadomość o tym znajdujemy w liście Pola do Włodzimierza Dzieduszyckiego¹. »Jeszcze o jednym zapomniałem donieść, to

¹ List z dn. 7 marca 1850 r. Rękop. Bibl. Poturzyckiej we Lwowie.

jest, że z p. Zeisznerem i z panem Kazimierzem¹ zamierzamy wydać monografią Tatrów i że tego lata zrobimy ostateczną wycieczkę«...

Gdy ministerjum przyznało Zeisznerowi znaczną sumę na nowe szafy do gabinetu zoologicznego, Pol poruszył wszystkie znane sobie sprężyny, aby się przyczynić do zapełnienia tych szaf okazami. Kołatał więc parokrotnie do hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego², a jeszcze energiczniej do Edmunda hr. Krasickiego, syna Ksawerego.

»Znany Ci pan Zeiszner — pisał poeta — jest dyrektorem gabinetu natury i razem z nim ułożyliśmy temi dniami projekt, jakby podnieść tujsze gabinety natury, ubogie w zbiory i mało uposażone w fundusze. Przedewszystkim chodzi o zebranie tego, co kraj posiada, a więc do Ciebie, jako syna pana Ksawerego, uciekamy się po zasiłek dla zoologicznego gabinetu, bo jużciż rozumiem, że nie zatraciłeś obyczaju myśliwstwa w domu Krasickich... Chodzi nam o niedźwiedzia i niedźwiedzicę z Połonin, o piastuna, jeżeliby można i bartnika, jeżeli się znajdzie, o rysia z Czulni, o żbika z Janowiec, o parę borsuków z Łazów, o dzika, nade wszystko samicę z Sokowatego działu, o wydry z pod Kalenickiego jazu, — o łasice, kuny, tchórze, które pod wszystkimi Twemi śpichlerzami żyją; a w końcu o różne rodzaje myszy, do których taką urazę mają ogrodnicy po inspektach. Rozumiem ja, że to niemałe zadanie, ale chodzi tu o dobry przykład i o zachętę dla drugich; zrestą to jest rzecz, która ma służyć dla nauki powszechnej, dla poznania kraju własnego i postępu umiejętności. Wypychacza zwierząt mamy

¹ Kazimierz hr. Wodzicki zajmował się ornitologją.

² List z dnia 6 czerwca 1850, Bibl. Poturzycka.

doskonałego, a za wszystko, co by nam przysłać raczono, wdzięcznie i uroczyście podziękujemy.

Wiesz Szanowny Panie Edmundzie o tym, iż czemu tylko w życiu służyłem, służyłem całym sercem, więc i dziś popierać to wypada, co do zakresu obowiązku należy«¹.

Józef Kremer był przyjacielem Pola już od lat kilkunastu; po szeregu przygód i zmiennych losów spotkali się na katedrach Almae Matris. Łzawy musiał być uścisk, którym się powitali dawni zapaleńcy. Poeta przeszedł cierpień, trosk i doświadczeń wiele; zwiędły kwiaty jego złudzeń, — teraz myślał o owocach, o ziarnach »dobrego posiewu«, które kochającą dłońią rozrzucał dokoła. Zmienił się też i filozof, — z hegeljanisty zawziętego stawał się coraz uleglejszym wobec katechizmu, a Boga, który mu zrazu zginął wśród wichrowatej myśli-absolutu, widział coraz wyraźniej i stawiał na czele wszego stworzenia. Teraz gdy Kremer spojrział w oczy dawnemu przyjacielowi, — poczuli obydwaj że są sobie bliżsi. A nie tak dawno jeszcze Pol biadał, że metafizyka Kremera jest za mało katolicką, a estetyka jego za mało polską; czuł on, że jedno i drugie jest duchowi narodu naszego obce, że jest niemieckie, ba — nawet pogańskie. To też pisząc poufny list do A. Z. Helcla, sarkał poeta: »Są czasy, w których najlepiej jest nie należeć do czasu i ograniczyć się na tym kole działalności własnej, które o swojej sile zapełnić zdołamy. Józef Kremer nie chciał mnie zrozumieć, kiedym mu o tem mówił i zmarnował się. Gołuchowski powiada iż u nas muszą przejść wszystkie myśli ożywcze

¹ List z dnia 14 grudnia 1849. *Przewodnik nauk. i lit.* r. 1905, str. 121.

przez pryzmat gospodarskiego rozumu« i może poniekąd słusznie»¹.

Teraz Pol zmienił już gruntownie zdanie swoje o młodym filozofie, widząc, dokąd ten zaszedł i jaką przebył ewolucję. W roku 1851 pisał o nim do Henryka Rzewuskiego, popularnego powieściopisarza: »Kremer przyjął z wdzięcznością to, co o nim w moich listach było; kończy on tej zimy swe dzieło o filozofji, zamyśla w czasie przyszłych ferji o podróży włoskiej, a następnie przystąpi do wykończenia drugiego tomu »Listów z Krakowa«. To, coś mu Szanowny Pan Dobrodziej o filozofji jego powiedział, nie zostało bez wielkiego wrażenia i skutku na jego naukowe prace. Mnie żal tego czasu, który nad tą filozofją że tak powiem zmarnotrawił; jest to ów kamień Kaaby, który od tylu tysięcy lat otoczony czcią ludzką, pozostanie wiecznie niepłodnym kamieniem dla świata! Może być, że Arabowie dlatego tylko tak celowali w filozofji, bo się modlili do kamienia przez wieki, że sobie urobili cysterny walące się, a żywego źródła odbiegli!... otóż taką walącą się cysterną jest filozofja, bo i Kremer nie doprowadził w końcu dalej tej nauki, jak do pierwszych prawd katechizmu, a co nałożył drogi! a jaką jest potęga jego ducha? Kto to w te ślady pójdzie? Kto potrafi poświęcić znowu tyle czasu i takie siły tej nauce? Dziwne to przeznaczenie rzeczy, że ci sami ludzie, którzy do nas wprowadzili filozofję niemiecką, zdają się być powołani do dania jej odprawy w literaturze naszej, to zdanie jest bardzo nauczające, gdybyśmy byli więcej usposobieni do przyjmowania prawdy»².

¹ List z roku 1841. Rękop. Akademji Umiej. Nr. 103 a, Korespond. A. Z. Helcla.

² *Przewodnik nauk. i lit.* rok 1905, str. 123.

Przytoczyłem tu większy urywek z listu Pola do Rzewuskiego, bo znajdujemy w nim szczerzy i dokładny wyraz stosunku naszego poety do filozofii wogóle. Wynika z tego, że był on nieprzyjacielem filozofii jako takiej, przekładając nad nią dogmaty katechizmu. Wprawdzie widząc niezgodność systemu Hegla z katolicyzmem, mógł każdej chwili wyszukać sobie inny system, któryby wymaganiom jego odpowiadał, np. św. Augustyna. Ale — niestety — do tego nie doszło, i w umysłowości poety pozostanie nadal aż do śmierci ta ważna luka, mianowicie brak pogłębienia filozoficznego. Miejsce nauki nauk zajmował u niego dogmat, rozprzeźniony nadmiernie, a pojęty dosyć płytko.

I dziwić się można, że blizki stosunek z Kremerem, który bądź co bądź filozofem był, nie podziałał na Pola w kierunku wykształcenia filozoficznego. Kiedy w roku 1840 zapisał z pewnym zadowoleniem, że Kremer w r. 1835 uczył go filozofii Hegla¹ i że od poznania Kremera nabrał »trochę ładu w głowie«, to teraz raczej z pewną dumą radby był napisał, że pomógł Kremerowi zapomnieć o Heglu i wypenił z głowy jego nieład, wszczepiony przez myśl o absolucie.

W owych latach (1850—52) Kremer był jedynym profesorem filozofii w uniwersytecie krakowskim; to wkładało nań obowiązek wygłaszania nauk, objętych programem i przepisami; trzeba było w kursie paroletnim zamknąć całość nauk filozoficznych. Istotnie też wykłada Kremer bez przerwy: historję filozofii, encyklopedję umiejętności filozoficznych, logikę, etykę, metafizykę i psychologję; zaledwie mu czasu starczyło na ogłoszenie jakichś dodatkowych

¹ Autobiografia. Dzieła t. VIII, str. 445.

godzin, które poświęcał zagadnieniom szczegółowszym, jak np. »imaginacji i fantazji«. Na lekcje jego zapisywało się średnio 50 słuchaczy. Ta praca natężona i prowadzona z dnia na dzień nie przeszkadzała Kremerowi przygotowywać do druku większych dzieł, które miały zawrzeć całokształt jego poglądów filozoficznych.

Drugim takim profesorem, który mimo sumiennie przygotowywanych wykładów miał czas na tworzenie dzieła niezmiernie źródłowego, pomnikowego i jedynego w swym rodzaju, był Antoni Zygmunt Helcel.

Z Helclem poznał się Pol za pierwszej bytności w Krakowie, w r. 1834; o rok młodszy od niego uczony, pełen zapału i zdolności, przypadł mu odrazu do serca. W ręce Helcla, który wówczas zakładał »Kwartalnik Naukowy«, oddał Pol pierwsze swoje rozprawki; wkrótce potem rozstali się. Helcel założył drukarnię i rozpoczął wydawnictwo, które mimo zdolnych współpracowników, jak np. Kremer, zostało zwinięte po wydaniu 4-go tomu. W roku 1836 Helcel osiadł na wsi, w Górkach, i tam zajmując się gospodarstwem, jednocześnie z wielkim wysiłkiem pracował nad dziejami prawa polskiego; jednakże dopiero po latach dwudziestu, w r. 1857 wyszedł tom pierwszy »Starodawnych prawa polskiego pomników«. W tym czasie Helcel korespondował z Polem, rzadko — ale serdecznie. Raz np. po dłuższym milczeniu, poeta odezwał się do przyjaciela:

»Dawno straciliśmy siebie z oczu, z myśli nie straciłem Cię nigdy; pomiędzy owym a dzisiejszym czasem legło wiele niemiłych wspomnień; ja zgłaszałem się do Ciebie dwa razy, ale nie odebrawszy odpowiedzi, umilkłem... Bolało mnie nieraz, że nie wiemy o sobie, żeśmy się tak bez wieści rozstrzelili,

jakby nie jedną drogą iść nam przystało; wierzyłem w to zawsze, że się jeszcze gdzieś spotkamy w życiu i nie zawiodłem się. List Twój świadczy o swobodnej myśli i to cieszy mnie — znać, żeś człowiek pocziwy, że pracujesz, że masz dobrą żonę, że mieszkasz na wsi — znać, żeś resztę zdał na Boga.

Kiedym słyszał, żeś porzucił redakcją Kwartalnika i żeś sprzedał drukarnią, smuciłem się tym zrazu; ale później trochę zdało mi się, żeś Cię zrozumiał...¹

Rok 1848 wyrwał Helclę z wiejskiego zacisza. Brał on udział w zjeździe słowiańskim w Pradze, a następnie posłował na sejmie kromieryskim, gdzie stał na stanowisku wszechsłowiańskim. Po rozwiązaniu sejmu skończył swój zawód polityczny, powróciwszy do ksiąg, i w r. 1849 powołany został na katedrę prawa polskiego w Krakowie. Oddany wiedzy z wielkim zamiłowaniem, majątkowo niezależny, był Helcel temperamentu żywego, trochę dumny i uparty, ale w gruncie — gorących i szlachetnych uczuć; z pochodzenia Niemiec, żywił dla nowej ojczyzny przywiązanie synowskie i wiernie jej służył słowem i czynem. Pol żywił dla niego, obok przyjacielskiej życzliwości, rzeczywisty szacunek i uznanie dla charakteru i wiedzy. Niejednokrotnie też zasięgał od niego rady w sprawach poważniejszych, a gdy w roku 1852 chciał zakończyć oddawna ciągnący się spór z Zakładem im. Ossolińskich i złożył sąd obywatelski dla przyznania mu pewnej sumy od kuratora Zakładu, księcia Jerzego Lubomirskiego, na sędziów w tym sporze zaprosił hr. Eugenjusza Dzieduszyca-

¹ List z roku 1841. Rękop. Akademji Umiej. Nr. 103 a. Korespondencja A. Z. Helclę.

kiego i — Helcla. Oddani sobie koledzy, jednocześnie na katedry starej Wszechnicy wezwani, jednego też wkrótce mieli doznać losu.

Zanim jednak ta ciężka chwila nadeszła, obydwu poświęcali wszystkie myśli i starania dobru Almae Matris. Wiele możnaby wyliczyć faktów na dowód, jak bardzo Polowi leżały na sercu sprawy uniwersytetu; już wyżej była mowa o zabiegach poety w celu powiększenia zbiorów zoologicznych, — ale to była tylko jedna z licznych trosk o rozwój, wzrost i powodzenie Wszechnicy Jagiellońskiej.

Nie zaszkodzi tu przypomnieć sobie, że od r. 1850 uniwersytet krakowski rozpoczął nową epokę swych dziejów; na mocy świeżo wydanych praw zaprowadzone zostały liczne zmiany, a z tych najważniejszą było wprowadzenie t. zw. systemu wolnego nauczania. Życzliwie usposobiony minister Leon Thun pozyskał sobie szczerą wdzięczność za swą działalność, pełną taktu i wyrozumiałości. Liczba uczącej się młodzieży zwiększyła się dzięki temu, i gdy jeszcze w r. 1846—47 wynosiła ogółem 129, w r. 1849—50 wzrosła do 276 (teologia 9, prawo 83, medycyna 115, filozofja 69). Jednocześnie okazało się rzeczą niezbędną powiększenie liczby katedr; to też Senat Akademicki przedstawił Ministerjum Oświecenia potrzebę rozdzielenia katedry historii naturalnej na cztery osobne katedry, t. j. geologii, botaniki, zoologii i geografji. Sprawa znalazła się na dobrej drodze. Wiemy już, że katedra geografji pozyskała zatwierdzenie i powierzona została Polowi; katedrę botaniki objął Czerwiakowski, geologję zaś — po dawnemu — wyładał Zeiszner. Nieobsadzoną pozostawała katedra zoologii, zastępczo zajmował ją Zeiszner, ale czynił to niechętnie, gdyż trudno mu było

naraz poświęcać się dwum specjalnościom. Otóż Pol, myśląc nad godnym obsadzeniem tej katedry, upatrzył dla niej znanego z prac i studjów zoologicznych Konstantego Pietruskiego.

»Żywię nadzieję, — pisał — iż przy niniejszym niezawisłym, umiejętnym stanowisku Uniwersytetu Krakowskiego zechcesz może Wielmożny Pan Dobrodziej stosowne poczynić kroki, byś mógł zająć katedrę zoologii w Akademii Jagiellońskiej«¹. Do tego wezwania dołączał prośbę o zawiązanie z nim stałej korespondencji naukowej. Pietruski zachował się chłodno wobec jednej i drugiej propozycji. Ale Pol widocznie lubił rozdawać katedry, bo w archiwach odnalazł się list w podobnej sprawie, tylko od poprzedniego ciekawszy.

Oto ni mniej, ni więcej, tylko twórca »Pieśni Janusza« powoływał twórcę »Zamku Kaniowskiego« na katedrę literatury polskiej. Goszczyński bawił wówczas w Paryżu; pewnego poranku otrzymał list z Krakowa i ku wielkiemu zdziwieniu czytał: »Szanowny, drogi Sewerynie!... Z całych przeszłorocznych ruchów tyleśmy odnieśli korzyści, że się nowe ognisko dla oświaty Polskiej da utworzyć w Krakowie. Prawem wydanem dla Uniwersytetów jest przyszłość naszej oświaty zapewniona, a jeżeli z tego prawa nie będziemy chcieli lub umieli korzystać, w tem nasza już wina. To spowodowało mnie do zajęcia katedry w Uniwersytecie Jagiellońskim i pogodzenia się zresztą ze stanem rzeczy, jaki jest, kiedy za tą cenę da się przynajmniej coś zrobić dla oświaty kraju; to powoduje mną dziś, że Cię z całą otwartością dawnej

¹ List z dnia 22 grudnia 1849. Korespond. Konst. Pietruskiego. Rękop. Bibl. Ossolińskich Nr. 4391.

przyjaźni zapytuję, czybyś nie chciał potrzebnych uczynić kroków dla otrzymania w Uniwersytecie Jagiellońskim katedry literatury polskiej, która obecnie wakuje, a której zajęcie nie byłoby dla Ciebie tak trudne, jeżelibyś zkądinąd skłonił się do tego. Może nigdy niebył w kraju większy brak ludzi, jak właśnie obecnie, bo starsi zeszli już z pola, a młode pokolenie nic nie wydaje, bo żyjąc negacją, nie wierzy w nic i nie może znaleźć wiary; więcej przeto niż kiedy potrzebaby ludzi dobrego posiewu w Ojczyźnie, a już i mówić o tem Ci nie potrzebuję, ileby mnie to uszczęśliwiło, gdybym w dawnym towarzyszku i przyjacielu po mieczu i lutni znalazł dziś znowu kolegę, z którymby na los szczęścia można przejść razem po tym krwawo zoranym zagonie i rzucić ziarno na Boże miłosierdzie dla szczęśliwszej może przyszłości...«¹

I to wezwanie pozostało bez skutku; zapewne Goszczyński nie czuł się powołanym do pracy pedagogicznej, może zraziła go wiadomość, że »młode pokolenie nic nie wydaje, bo żyjąc negacją, nie wierzy w nic«, a może poprostu nie miał zamiaru »pogodzenia się zresztą ze stanem rzeczy jaki jest...« Autor »Sobótki« pozostał nadal w Paryżu, a katedrę na długie lata zajął — Mecherzyński.

Jeżeli Pol w pieczołowitości swojej o naukę polską dochodził aż do niefortunnego rozdawania katedr, to zarazem wykazał, że dla dobra uniwersytetu i należących do niego skarbów narodowych potrafi wznieść się do poświęceń, połączonych z narażeniem życia. Dowód tego oczywisty i najlepszy dał podczas pa-

¹ List z dnia 27 lutego 1850 roku. Papiery po Sewerynie Goszczyńskim. Bibl. Muzeum Polskiego w Rapperswilu.

miętnego pożaru Krakowa w r. 1850. Straszny to był dzień 18 lipca; znalazłszy zaród i pierwszą pastwę gdzieś przy końcu ulicy Krupniczej, w Dolnych Młynach, rozhukany ogień biegł z kierunkiem wiatru co raz dalej i co raz szybciej, przemieniając cały pas miasta, obejmujący parę dzielnic, w jeden olbrzymi stos, w jedno morze płomieni. A zanim doszedł do starożytnych tumów gotyckich przy klasztorach: franciszkańskim i dominikańskim, spotkał po drodze gmachy Almae Matris; kolegjum większe, mniejsze i fizyczne, a więc uniwersytet z całą biblioteką, ze wszystkimi zbiorami i pracowniami znalazł się w ostatecznym niebezpieczeństwie.

Wówczas to Pol, Muczkowski i Kuczyński pierwsi pobiegli na ratunek zagrożonych skarbów; za miemi pospieszyła gromada młodzieży akademickiej, która pod wodzą ulubionych profesorów do późnej nocy wszelkich dobywała wysiłków, aby rozszały żywioł powstrzymać. Snopy iskier buchały na dachy, a zwłaszcza na gmach biblioteki i co chwila ukazywał się gdzieś płomień; ale stu pięćdziesięciu młodzieńców utworzyło na dachu szpaler, a następnie łańcuch po drabinach i po schodach aż do studni, i bez przerwy podawali sobie wiadra z wodą. Pol i Muczkowski kierowali obroną i znajdowali się tam właśnie, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo, gdzie sypały się najgęstsze snopy iskier, gdzie najsilniejszy panował żar. Opowiadają, że ówczesny dyrektor policji, Neusser, dowiedziawszy się o tej bohaterkiej obronie, zwrócił się do Pola prosząc o raport z wymienieniem tych co się szczególnie odznaczili, a to dla przedstawienia ich do honorowej nagrody. Ale poeta miał odpowiedzieć Neusserowi: »Nie wiem, kto się odznaczył w czasie obrony gma-

chów uniwersyteckich, bo każdy robił tylko swoje i nie patrzył na drugiego; dwóch jest ciężko rannych i przypłacą to zapewne życiem. Uniwersytet nie zgorzał, zrobiliśmy swoje, więcej powiedzieć nie umiem».

Smutny widok przedstawiał Kraków po tych pamiętnych dniach. Sto pięćdziesiąt domów zniszczonych tak, iż jeno mury okopcone zostały; kilka świątyń w gruzach; setki ludzi bez dachu i najpotrzebniejszych sprzętów. Śród kilku komitetów, które z wielką gorliwością niosły pomoc nieszczęśliwym i pracowały nad odbudowaniem zgorzałej dzielnicy, zwracał na siebie uwagę jeden, który nie zaspokajał wprawdzie najbliższych, koniecznych potrzeb, ale ożywiony myślą szlachetną, pracował na korzyść miasta i narodu. Był to wydział archeologiczny Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. Zawiązany już z początkiem r. 1850 na wniosek Karola Kremera, dyrektora budownictwa, składał się początkowo z czterech tylko członków Tow. Naukowego, a mianowicie z K. Kremera, Wincentego Pola, Józefa Muczkowskiego, dyrektora biblioteki i profesora, oraz Teofila Zebrowskiego, inspektora komunikacji. Pierwotnym celem tego komitetu było zbieranie rozproszonych po kraju i za granicą zabytków sztuki polskiej i ich odpowiednie pomieszczenie, t. j. stworzenie muzeum. Po wielkim pożarze Krakowa zakres czynności wydziału tego powiększył się ogromnie; przybrawszy do grona swego A. Z. Helcla, Józefa Łepkowskiego, Józefa Jerzmanowskiego i Erazma Niedzielskiego, wydział archeologiczny rozwinął ożywioną działalność, aby ocalić od zupełnego zniszczenia i ruiny cały szereg starodawnych zabytków budownictwa, pomników sztuki i przeszłości; uratowano wtedy wiele cennych rzeźb, ozdób kamiennych, okuć artystycznych i t. p. Zarazem pamięć-

tano też o wzbogaceniu muzeum, dla którego kącik znalazł się przy Bibliotece Jagiellońskiej; w ciągu roku zebrało się tam niemało rzeźb i sprzętów starożytnych, znaczna liczba numizmatów i dokumentów.

Wincenty Pol nie był w tym gronie ostatnim; korzystając z obszernych stosunków, kołatał gdzie się dało, a i sam też swój obol złożył, wiadomo bowiem, że dnia 4 maja 1850 r. ofiarował do »Zbioru starożytności krajowych« 58 sztuk oryginalnych dyplomatów i aktów z lat 1366—1780.

Atoli działalność jego jako członka Tow. Naukowego Krak. nie ograniczała się na czynnościach wydziału archeologicznego; występował on tam częściej jako geograf, a niekiedy jako (do pewnego stopnia) urzędowy poeta Tow. Naukowego. Żadne posiedzenie publiczne nie mogło się odbyć bez udziału Pola; widocznie był on prawdziwym ulubieńcem publiczności, którą samo nazwisko poety ściągało na posiedzenia naukowe. Tak np. dn. 9 lutego 1850 na posiedzeniu publicznym Tow. Nauk. Krak. odczytał opis Ukrainy, rozpoczynając go wyjątkiem z »Pieśni o ziemi naszej«, a sprawozdawca *Czasu* pisze, że jego »wdzięczny pędzel« przypomina »uroki stylu autora »Harmonji Natury« (Bern. de St. Pierre), a oraz dosadność i trafność Humboldtowych opisów sawan i łąk amerykańskich«¹. Podobnie 13 lipca t. r. czytał prof. Pol »pogląd na tegoroczne wycieczki naukowe«, a sprawozdawca nazwał to »lekkim piórem skreśloną przechadzką po puszczy Niepołomskiej, w której zajmującymi były niektóre ustępy«. Raz nawet (8 marca 1852 r.) prof. Pol wygłosił dłuższy, okolicznościowy wiersz do prof. Jana Purkiniego w Pradze, napisany z okazji utworzenia tam zakładu fizjologicznego.

¹ *Czas* r. 1850. Dod. liter. Nr. 5.

Na ścisłych posiedzeniach Tow. Naukowego również nie brakło Pola, który kilkakrotnie zgłaszał swoje odczyty i referaty. W Rocznikach Tow. Nauk. z lat 1850—52 znajduje się cały szereg jego rozpraw, jak: Rzut oka na umiejętność geografji¹, Kilka słów o wycieczkach naukowych do Niepołomic, Opis Dniestru, Zasługi Długosza pod względem geografji; w ostatniej pracy autor tłumaczy dosłownie część geograficzną z Długosza, nie wiedząc zapewne, że już w r. 1841 dokonał tego Bornemann.

W tym czasie wydał też Pol swoje większe studja naukowe, mianowicie: Północny wschód Europy pod względem natury² i Rzut oka na północne stoki Karpat³. To drugie dziełko doczekało się wkrótce rzeczowej oceny; napisał ją jakiś specjalista, w naukach przyrodniczych biegły, ukrywający się pod literami K...r (nie Kremer). Ponieważ naukowe recenzje z prac geograficznych Pola należą do rzadkości i przeto nie jest ustalone zdanie o wartości tych studjów, może dobrze będzie poznać powyższą ocenę bodaj w kilku ważniejszych wyjątkach.

»Pan Pol — pisze recenzent — zajmuje się od dawna geografją Karpat. Dziełko jego właśnie ogłoszone pod tytułem »Północne stoki Karpat«, z wyjątkiem dodatku etnograficznego, znaleźmy już z dodatku do *Rozmaitości Lwowskich*, przed 8-iu czy 10-ciu laty ogłoszonego⁴, tudzież z nowo w roku zeszłym litografowanych poszytów. Mimo tak ponawianych

¹ Wykład wstępny, także w osobnej odbitce.

² Prelekcje. Zesz. I. Kraków 1851. Nakład autora, str. 111.

³ Prelekcje. Kraków 1851. str. 132. To samo, wyd. 2 pomnożone z 4 tabl. nakł. aut., str. 132, c. 5 zlp.

⁴ W *Rozmaitościach* (dod. do *Gazety lwowskiej*) z r. 1842, Nr. 83—84.

wydań wyznać trzeba, że pismo to nie odpowiada jeszcze ze wszystkim wymaganiom nowego stanu geografji; liczne bowiem prace tak fizyczne jako i geologiczne, botaniczne i zoologiczne nad temi częściami Karpat nie zostały stosownie użyte przez p. P. i dlatego dokonany obraz w wielu względach zmieniłby wypadało. Nie radząc się nowych postępów umiejętności przyrodzonych, porobił sobie autor teorie, które może go wiele pracy kosztowały; bliżej jednakże obejrzane nie okazują się tego trudu godnemi, jako pojęcia oddawna za nieprawdziwe uznane i dlatego zarzucone«.

Po tym wstępie ogólnym, recenzent rzeczowo i poważnie wykazuje na szeregu dowodów, że pojęcia geologiczne Pola nie odpowiadają postępom nauki. »Nie tylko szczegóły są niepewne w dziele, o którym mówimy — pisze dalej — ale, co nie bez przykrości zarzucić mu przychodzi, nie znajdujemy w nim wniosków ogólnych, jakie wyprowadzićby wypadało geografowi uważającemu oddziaływanie natury skalnej na rośliny one okrywające i świat zwierzęcy, od ostatnich zawisły, jako i na człowieka... Podobną nieścisłość znajdujemy w liczbach, mających dać wyobrażenie o stosunkach fizycznych. I tak mieszkania zimowe na północnych stokach Tatrów mają według p. Pola dochodzić do 2300 stóp nad poziomem morza (nie wiadomo jakie stopy), tymczasem wielki piec Zakopanego wraz z licznemi pomieszkaniem stanowiącemi prawie miasteczko leży 3032 stóp paryskich nad poziomem morza;... górna granica uprawy owsa na polanach według p. P. sięga 2400 stóp, tymczasem najbujniejsze owsy rosną na górze Gubałówka 3328 stóp wysokości«...

Część etnograficzna zasłużyła sobie na pochwałę, choć i tu wykazano pewną dowolność w podziale górali na szczepy.

»Na zakończenie wypada nam poczynić kilka uwag nad stylem tej książki. W umiejętnościach przyrodzonych styl prosty, jasny, zrozumiały, uważają za nierównie wyższy od obrazowych i przenośnemi wyrazami najeżonych perjodów. Jan Śniadecki, aczkolwiek teraz zapomniany, nie przestanie być nieporównanym wzorem. P. Pol niekiedy używa wyrazów zupełnie odmiennie, jak je dotychczas pojmowano i dlatego staje się nieraz niezrozumiałym. Mówi on np. na samym początku: »samą miazgę europejskiego lądu można podzielić na dwie połowy«. Miazga znaczy coś miękkiego, miazga w drzewach znajduje się pomiędzy białem a korą, trudno jest domyśleć się, co p. Pol istotnie przez miazgę rozumie, w górach nie masz nic miękkiego. W innym miejscu powiada: »tysiącem turni wystrzeliła kraina Tatrów ku górze«. Schultes obrachował szczyty tatrowe i wymienia ich 77; te dwie liczby jakże są od siebie dalekie! a jeżeli więcej jest wierzchołków, aniżeli liczba, którą Schultes podaje, to tysiąców nigdy nie można w Tatrach przypuścić. Znajdują się też perjody niełatwe do zrozumienia, jak np. »dział sokowaty, który wychodzi na zastrzał od Beskidu ku północy« — wypadłoby go przetłumaczyć ku użytkowi powszechnemu... Co ta książka zamyka dobrego, to z pociechą uznajemy i za to prawdziwie wdzięczni jesteśmy autorowi; w czym nie odpowiedziała obecnemu stanowisku nauk przyrodzonych, to właśnie z miłości tych nauk wytknąć musieliśmy w przekonaniu, że i sam autor uzna słuszność naszych uwag i w ponownym wydaniu korzystać z nich nieomieszka, albo

w przeciwnym razie wskaże nam powody, dla których zgodzić się z niemi nie może¹.

Na tę recenzję Pol nie odpowiedział; nie wziął go też w obronę żaden z przyjaciół, jak to w innych wypadkach stale się powtarzało; widocznie zarzuty były słuszne. Ukryty pod literkami recenzent² rzeczowo i spokojnie, bez namiętnych okrzyków, bez zawiści i stronniczości, ale też i bez dymku kadzideł — dowiódł tego, co już oddawna ten i ów zaufanym do ucha szeptał, mianowicie że poeta w naukach ścisłych, nie wyłączając swej specjalności-gieografji, był dyletantem.

Nie zadowolili więc profesor Pol wymagań powag naukowych; co więcej — nie zadowolili i szerokiego ogółu. Ale powody tego drugiego niezadowolenia były inne. Oto nie mogło społeczeństwo zapomnieć, że wykłady, książki, broszury i mapy zabrały mu ulubionego poetę; publiczność chętnieby darowała Polowi jego prelekcje i wycieczki naukowe, byleby znów słyszeć i czytać jego poezje. Tak więc gdy jedni domagali się erudycji, drudzy przypominali mu, że od czasów *Obrazów z życia i podróży* (1846) nie wydał ani jednej rzeczy, godnej dawnego talentu (cykl *Z więzienia* leżał jeszcze w rękopisie). To też gdy rozsypała się po mieście óma redutowych wierszyków (tradycyjny zwyczaj krakowski, zaniechany od

¹ Czas r. 1851, Nr. 179 z dn. 6 sierpnia.

² Czy nie Zeiszner? Litery te oznaczałyby końcówki imienia i nazwiska: Ludwi-*k* Zeiszne-*r*. Zdaje się, że ten najbardziej był powołany do napisania recenzji, zwłaszcza co do strony gieologicznej. W liście Zeisznera do A. W. Maciejowskiego z d. 6 czerwca 1856 znajduję o Polu słowa: Jak to dziwnie *jak się wda w coś ścisłego to bredzi*; o tem i o owem prawić to umie wcale pięknie (Zbiór autogr. C. Walewsk. w Akad. Umiejętn.).

lat kilkudziesięciu), znalazło się kilka skierowanych do Pola, a między niemi gorzkie upomnienie:

Głos twój powiał raz i wtóry
Przed zbryzgane krwią ołtarze.
Czy cię zlekły blade twarze,
Czy cię wstrząsły krew lub chmury,
Żeś oniemiał? Biada! biada!
Czyje milkną pieśń i rada,
Gdy ich żąda lud w boleści,
Opuszczony i bez wieści.

Atoli uważny czytelnik *Czasu* mógł być już w początkach r. 1851¹ wyłowić z jego szpalt wiadomość, która zaciekaiała zwolenników poezji i radowała wielbicieli Pola. Oto »Wydawnictwo dzieł katolickich« wymieniając szereg wydanych świeżo książek, jak: pisma księdza Karola Antoniewicza, *Skarga i jego wiek* Dzieduszyckiego, *O sztuce chowu koni* ks. Wład. Sanguszki i t. p., dodało w końcu wiadomość o dziełach będących w druku lub przygotowanych, a między temi: »*Mohort* (poemat chrześcijański) przez W. Pola«. Na tej wzmiance skończyły się zdobycze »Wydawnictwa dzieł katolickich«, zapowiedziany *Mohort* nie ukazywał się i znów przez długi czas było cicho i głucho; aż dopiero w marcu roku następnego *Czas*, trzymający zawsze »rękę na pulsie społeczeństwa«, tym razem już od siebie podał wzmiankę następującą: Wincenty Pol po dość długim milczeniu w świecie poezji, zapewne wskutek nowych zatrudnień profesorskich, napisał poemat: *Zgoda Senatorska*, który jest jakby dalszym ciągiem *Przygód* Benedykta Winnickiego, tak wdzięcznie przyjętych przez czytającą publiczność. Spodziewamy

¹ Nr. z dn. 18 stycznia.

się wkrótce podać niektóre wyjątki i rozbiór onego poematu, przewidując, że sprawimy tym niemałą przyjemność, obudzając żywy interes i t. d.¹

Od tej chwili już szeroko rozprawiano po mieście, na plantacjach i w handelkach, że profesor Pol ujął znów pióro poety i napisał poemat rycerski o jakimś Mohorcie, oraz dalszy ciąg Przygód imię pana Benedykta, których treści nikt się nie domyślał. Co skłoniło Wincentego Pola do pisania, co powróciło go poezji, o której — jak niedawno jeszcze mawiał — nie pozwalało mu myśleć obecne stanowisko? Czy wewnętrzna potrzeba tworzenia, jakiś spontaniczny nieukojonny popęd? Czy namowy przyjaciół, domaganie się publiczności i obietnice księgarzy? Czy wreszcie stało się to tylko zapełnieniem wolnych chwil, miłym odpoczynkiem po pracy (zwłaszcza że niektóre przedmioty wykladał już powtórnie, z gotowych notat, co mniej wymagało przygotowania)? Trudno oświadczyć się stanowczo za tą lub inną możliwością; może najśluszniej będzie przyjąć, że wszystkie te powody weszły w grę i razem złożyły się na odrodzenie Pola-poety.

Gdy tak z niecierpliwością wyglądano zapowiedzianych utworów, gdy i sam poeta, zżywszy się z katedrą i światem uczonym, gotów był dalej z nieślabnącą pracować energją, nie łamiąc jednocześnie pióra twórczego, — niespodziewanie zaszedł fakt, który stanął w poprzek jego spokojnej drogi i ciężko zaważył na szali przyszłych losów. Dnia 1 stycznia 1853 r. ówczesny namiestnik Galicji, Agenor hr. Gołuchowski, przybywszy w sprawie urzędowej do Krakowa, zawezwał czterech profesorów uniwersytetu

¹ *Czas*, r. 1852, Nr. 66 z dn. 20 marca.

Jagiellońskiego: A. Z. Helcla, Ant. Małeckiego, Józ. Zielonackiego i Winc. Pola; przybyłym oświadczył, że są pozbawieni katedr i wykreśleni z listy profesorów wszechnicy krakowskiej.

Sprawę całą pokrywała głęboka tajemnica; zapytywane przez poszkodowanych władze wyższe odpowiadały grzecznie, ale wymijająco: faktów, istotnych powodów nie zdołano wydobyć. Wiele i szeroko na ten temat rozprawiano, różne krążyły domysły, szukano winowajcy, a wtedy opinia publiczna (słusznie czy niesłusznie) wskazywała prof. Antoniego Walewskiego; mniemano powszechnie, że on był tym ukrytym, tajemniczym sprawcą, co umiał dla wiadomych sobie celów nacisnąć odpowiednie sprężyny. Od tego czasu przeszło lat pięćdziesiąt z górą; dziś, gdy trwa jeszcze żywa tradycja i pamięć tego faktu¹, gdy dostępnymi stały się korespondencje prywatne oraz wydobyto z archiwów nieco ciekawych dokumentów, gdy zebrał się cały szereg szczegółów i przyczynków, można będzie w ogólnych zarysach i z wielkim prawdopodobieństwem przedstawić tę tajemniczą sprawę, ważną nie tylko dla życiorysu Pola, lecz i dla dziejów Wszechnicy Jagiellońskiej.

Przedewszystkim uprzytomnić sobie trzeba, jakie to były czasy; wiadomo, że po r. 1849 nastąpiła doba najsilniejszej reakcji politycznej, srogiego prześladowania bodaj słabych przebłyków myśli narodowej, namiętnego doszukiwania się spisków i knowań. Wobec najwyższych sfer rządzących br. Hammerstein jeszcze przed zbombardowaniem Lwowa zjednał Galicji opinię niebezpiecznego dla całego państwa i dla

¹ Prof. Antoni Małecki spisał dla mnie wspomnienia swe o tej sprawie, za co Mu na tym miejscu najgłębszą wyrażam wdzięczność.

jego stosunków z ościennemi mocarstwami siedliska wszelkich emigracyjno-spiskowych knowań, zmierzających do odbudowania Polski, a nadto także opinie ogniska zachodnio-europejskich mrzonek komunistycznych, które połączywszy się z temi knowaniami, rzekomo rozpoczęły akcję niebezpieczną na popularnym tle darowania pańszczyzny. Sprawy Galicji pogorszyły się jeszcze wskutek wykrycia spisku Juliana Goslara; wobec przesadnej podejrzliwości ówczesnego rządu smutne konsekwencje tego faktu zaciężyły nie tylko na poszczególnych osobach, które ze straconym Goslarem pozostawały w jakichkolwiek stosunkach, lecz także do pewnego stopnia na całym społeczeństwie polskim w Galicji, jako nowy dowód jego nieuleczalności z choroby spiskowej, dowód bardzo pożądanym dla wrogów kraju, zarówno wiedeńskich, jak i domowych. »Wstrętne akcesorium reakcji — pisze Bron. Łoziński — stanowiła wszędzie w Wiedniu, na Węgrzech, a w Galicji przedewszystkim, zgraja denuncjantów, oczerniających przed władzami wszystkich, którzy się im narazili lub wogóle nie podobali, nie wyjmując urzędników i wojskowych, którzy w danym razie okazali się słabemi, albo tylko pobłażliwemi. Nikczemnicy ci narzucali się władzy policyjnej ze swojemi dobrowolnemi usługami, lub na ochotnika zasypywali ją bezimiennemi donosami«...¹

Żyjąc wśród takiej miłej atmosfery, jakoś pod koniec września r. 1851 Winc. Pol dowiedział się, że na ręce szefa *alias* ministra policji br. Kempena złożono denuncjację na niego i prof. Małeckiego, oskar-

¹ Bron. Łoziński: *Agenor hr. Gołuchowski* (Lwów 1901), str. 101.

żającą obydwu o brak lojalności¹; jednocześnie też usłyszał poeta, że świeżo powołany na katedrę historii powszechnej w Krakowie Ant. Walewski bawił w tym samym czasie w Wiedniu. Walewskiego poznał Pol jeszcze w r. 1849, gdy ten stałe w Wiedniu mieszkał; ugrzeczniony i nadskakujący, pozyskał sobie jego zaufanie, drobne wyświadczał przysługi i gdy poeta na wiedeńskim bruku znalazł się w kłopotach materialnych, chętnie pożyczył mu pewną sumę, którą Pol z Krakowa odsyłał². Wiedział Wincenty, że Walewski posiada obszerne stosunki tam u góry i że zawzięcie kokietuje władzę; to też zdawało mu się rzeczą naturalną zwrócić się teraz do przyjaciela i prosić go o obronę przed niecną denuncjacją. Pełen tedy niepokoju i troski pisał do swego kolegi:³

Szanowny Mości Dobrodzieju!

Bardzo żałuję, że nie wiedział o tem, żeś Szanowny Kolega wyjeżdżał do Wiednia. Nie umiem wyrazić, ile mnie przeraził ten wypadek, świadczący o braku zaufania Władz Politycznych przeciwko mnie. Były czasy gdzie jakakolwiek opozycja przeciw Rządowi mogła uchodzić za różność mniemania, po doświadczeniach 1846 — i 1848 roku, jest według mego przekonania wszelka opozycja *nie tylko zbrodnią, ale chańbą!* (!) Zwłaszcza w pozycji naszej. Nikt nie zna tego lepiej od Szanownego Kolegi, ja-

¹ Bezpośrednim skutkiem tego były jakieś badania policyjne, którym Pola poddano.

² List Pola z dn. 7 grudnia 1849. Koresp. A. Walewsk. Rękop. Bibl. Jagiell. Nr. 3560.

³ List z dn. 29 września 1851 r. Korespond. Ant. Walewskiego. Rękop. Bibl. Jagiell. Nr. 3560.

kie stanowisko wobec młodzieży zajmuję. bądź tedy
mym obrońcą! Nie chodzi tu o mnie, ale chodzi
o korporację, do której mam zaszczyt należenia. Przy-
sięgi są dla mnie święte, bo mam Boga w sercu
i sumienie i dzieci, którym nie chciałbym zostawić
Imienia Krzywoprzysięzcy! Wczoraj donosząc Panu
Ministrowi ¹ o tem, co mnie spotkało, upewniłem go
o niewinności mojej i upraszam o to Szanownego
Kollegę, abyś raczył przedstawić Panu Ministrowi
i Panu Radcy Tomaszek tę sprawę w świetle właści-
wym, gdy się poda do tego sposobność. Z politycznie
podejrzanemi ludźmi i sprawami nie mogę mieć ża-
dnej styczności — to się da *a priori* udowodnić —
a nie znając faktu, który na mnie podejrzenie mógł
rzucić, nie będąc o nic pytanym i czując się w su-
mieniu zupełnie niewinnym, nie widzę ani środka
ani możliwości praktycznej obrony dla siebie. Zrazu
miałem zamiar pisania do wielu osób w Wiedniu,
ale przyznam się Szanownemu Kolledze, iż mi wstyd
— i nie mogłem się zdobyć, jak tylko na jeden list
do Pana Ministra — za tą cenę, nie zależy mi na
mojej posadzie, jeżeli mam stać w fałszywym poło-
żeniu do Rządu, do Uniwersytetu i do młodzieży!
Ubogim byłem zawsze, ale chańbą (!) nie dozwolę
pokryć mego Imienia nawet wówczas, jeżelibym na-
nowo miał paść ofiarą jakiejś nie znanej mi kabały.
Racz Szanowny Kollega przyjąć odemnie zapewnie-
nie wysokiego poważania, z jakim mam honor zo-
stawać Jego

Kollegą i Sługą
Wincenty Pol.

¹ Pisał do hr. Leona Thuna.

List powyższy podaję bez zmian i opuszczeń, a to w tym celu, aby dobieraniem poszczególnych zdań i wyjątków nie poddawać czytelnikowi wniosków, ale pozwolić mu na samodzielne ich wyciąganie z tego autentycznego materiału *in crudo*. Wplecione w list ten wyznanie wiary politycznej Pola z lat pięćdziesiątych, wypowiedziane jasno i szczerze, przyczyni się zapewne do ustalenia zdania, że mimo głębokiego umiłowania przeszłości narodowej, mimo gorącego przywiązania do ziemi rodzinnej, poeta nasz potrafił być najlojalniej myślącym obywatelem państwa austriackiego i wszelką myśl, nieprzyjazną czarno-żółtym barwom, poczytywał za złamanie przysięgi, zbrodnię i hańbę...

Wracając do faktu denuncjacji powiedzieć trzeba, że nie na wiele przydała się poecie samoobrona, wystosowana w listach do Walewskiego i hr. Thuna. Raz obudzona czujność policji chodziła w ślad za Polem i już na wiosnę roku następnego poszła nań do władz rządowych druga denuncjacja. Tym razem autorem jej był dyrektor policji krakowskiej, Neusser. Powód był zaiste błahy. Dorocznym zwyczajem Pol zorganizował wycieczkę naukową i z gronem swych uczniów oraz z kilkoma profesorami (śródtach był Kuczyński) udał się do Zakopanego; tam śpiewano chórem pieśni religijne, jak np. Kto się w opiekę... a w dolinie Kościeliskiej na jakimś opuszczonym grobie postawiono krzyż z napisem: »I nic nad Boga!« Czujny i niezmordowany Neusser, zebrawszy o tym wiadomości, przesłał Namiestnictwu raport, w którym przedstawił uczestników wycieczki jako niebezpiecznych spiskowców.

Gdy tak systematycznie to do Lwowa, to do Wiednia napływały denuncjacje na różnych profesorów,

gdym nadto fakt powitania cesarza Franciszka Józefa przez Senat Akademicki w togach¹, a nie w mundurach urzędowych, wytłomaczono sobie jako manifestację narodową, zaniepokojony tym minister oświecenia zażądał szczegółowej relacji o stosunkach w uniwersytecie panujących. Zadanie to wypełnił Neusser, ale dokładność tej relacji, drobiazgowość w szczegółach i doskonała znajomość stosunków (choć stronnictwo przedstawionych) każe się domyślać kogoś innego, co potrzebnych danych dostarczył i w ułożeniu relacji pomógł; tą tajemniczą osobą mógł być tylko profesor uniwersytetu². »Wincenty Pol, — według słów dokumentu, — którego antecedenecje są znane, umie-

¹ Za bytności cesarza w Krakowie w r. 1851. Togi, od dawna zarzucone, wskrzeszono na wniosek A. Z. Helcla; stąd i Helcel znalazł się na liście proskrypcyjnej.

² Relację Neussera z dn. 21 marca 1852 r. podał Bron. Łoziński w cytowanym dziele. Warto poznać z niej chociaż parę ciekawszych wyjątków. »Profesorowie Ignacy Hammer, Edward Fierich i Michał Korczyński są rządowi oddani i zasługują na zaufanie, ale zawsze jeszcze są lękliwi w manifestowaniu swoich poglądów i sympatji... Natomiast profesorowie Antoni Helcel, Józefat Zielonacki i adjunkt Julian Dunajewski należą stanowczo do stronnictwa rewolucyjnego... Wydział medyczny dotąd ciągle jeszcze pozostaje całkowicie pod wpływami profesorów Fryderyka Skobla i Józefa Majera, którzy zawsze otwarcie przyłączali się do stronnictwa rewolucyjnego... Na wydziale filozoficznym... profesorowie Maksymilian Weisse i ks. Bratranek są przywiązani do rządu i zasługują na zaufanie. Antoni Walewski jawnie występuje jako zwolennik rządu i z tego powodu jest znienawidzony w przeciwnym stronnictwie. Profesor Ludwik Zeuszner jest pod względem politycznym bezbarwny. Natomiast profesorowie Ignacy Czerwiakowski, Florjan Sawiczewski, Józef Muczkowski, Józef Kremer, Stefan Kuczyński, Antoni Małecki i Wincenty Pol należą do nieprzyjaznego rządowi stronnictwa rewolucyjnego»...

szany jest w knowania Goslara w Krakowie» (??) i na tej podstawie Neusser zalicza go »do nieprzyjaznego rządowi stronnictwa rewolucyjnego (!)«.

Przy końcu tego jedyne go w swoim rodzaju dokumentu policyjnego czytamy wnioski i spostrzeżenia ogólne: »Dotąd jeszcze uniwersytet niechętnie poddaje się austriackim urządzeniom i wszelkimi siłami opiera się temu, żeby przekształcony został na austriacki instytut rządowy. Wszystkie nowe urządzenia uważa uniwersytet za narzucone, wszystkich z staro-austriackich prowincji przysłanych profesorów z austriackimi przekonaniem i za intruzów, których teroryzuje, a jeżeli to się daremnym okaże, nienawistnie traktuje. Dla uczącej się młodzieży ten stan opozycji i separatyzmu nie stanowi żadnej tajemnicy, a duch panujący w senacie akademickim w zupełności dotarł do sal wykładowych. Tutejszy uniwersytet nie jest wyłącznie zakładem naukowym, lecz także nieprzyjaznym dla rządu klubem politycznym«¹.

Można przypuszczać, że rozsądny minister Thun, odczytawszy tę relację, w której nie podano ani jednego konkretnego faktu, ale same podejrzenia i zarzuty, dotyczące nie tyle działalności, ile raczej usposobienia i poglądów (a i to w wielu wypadkach nietrafnie), byłby złożył szanowny dokument do kosza; ale niestety »w sprawach tego rodzaju za ówczesnej dyktury wojskowo-policyjnej głos przeważający miał minister policji, generał hr. Kempen, dla którego takie zarzuty, jak przytoczone w relacji Neussera, mianowicie nazwanie uniwersytetu »klubem politycznym«, knującą zdradę stanu, obwinianie profesorów, że dążności swoje wprowadzają do sali wykładowej

¹ Br. Łoziński. Op. cit. str. 107.

między młodzież, a jeden z nich nawet wmieszany jest w tak głośną sprawę powieszonego w Wiedniu Juljana Goslara, wystarczyły już zupełnie, nawet w ogólnikowym brzmieniu, aby bez dalszych śledztw i inwigilacji cisnąć gromy dyscyplinarne na podejrzanych«...¹

Ciężkie chmury zawisły nad Wszechnicą Jagiellońską, zbierało się na burzę, lada chwila spodziewano się gromów. Gdy bowiem pod koniec wakacji zjechali się profesorowie w celu rozpoczęcia nowego roku szkolnego, okazało się, że nie nadeszło jeszcze z Wiednia zatwierdzenie nowego rektora i dziekanów, przedstawionych przez Senat. Objęli więc urządowanie rektor i dziekani zeszłoroczni, a tymczasem rozeszła się wieść, że prof. Walewskiego wezwano do Wiednia dla udzielenia pewnych wyjaśnień; i w tym tkwiła jakaś złowroga tajemniczość. Nareszcie nadeszła chwila ostatecznych faktów. Czytelnicy *Czasu* znaleźli urzędową wiadomość, że postanowieniem N. Pana z dnia 5 grudnia zamianowani zostali zwyczajnymi profesorami przy uniwersytecie krakowskim p. p. Dr Antoni Walewski, nadzwyczajny profesor historii przy tymże uniwers. i Dr Bernard Jülg, nadzw. prof. filologii i literatury klasycznej² przy uniw. lwowskim. Wkrótce potem na usilne żądanie ministerjum zjechał do Krakowa namiestnik hr. Gołuchowski i obwieścił wyrok. Starą Wszechnicę ukarano w sposób następujący: rektor i dziekani, wybrani przez Senat, nie pozyskali zatwierdzenia; na miejsce rektora Piotr Bartynowski, prezes sądu wyż., mianowany został *kuratorem* Uniwersytetu, dzie-

¹ Br. Łoziński. Op. cit. str. 107.

² Zbudziło to niedobre przecucia, gdyż katedrę fil. i lit. klasycznej zajmował od maja r. 1850 prof. Antoni Małecki.

kanami zaś zostali: ks. Laurysiewicz, Brück, Fierich i *Antoni Walenski*. Nadto Ant. Z. Helcel, prof. prawa polskiego, J. Zielonacki, prof. prawa rzymsk., Ant. Małecki prof. filol. staroż. i Wincenty Pol, prof. geografji powsz. otrzymali dymisje.

Przemilczałem tu wiele szczegółów nader charakterystycznych, a mimo tego widzę, że za szeroko rozwiodłem się nad smutną sprawą; ale bez dowodów i dokumentów trudno mi było rzucić snop światła na ciekawą kartkę z życia naszego poety i z dziejów *Almae Matris*...

IV.

Lata smutku i żałoby.

Pobył w Polance. — Praca literacka. — Pomoc księdza Scipiona. — Artykuły prozą. — Kłopoty wydawnicze. — Szymon Dutkiewicz. — Troski i zgryzoty. — Śmierć żony. — Brodowicz i Siemieński. — Myśl o wyjeździe. — Nowe kłopoty wydawnicze. — Pobył w Wiedniu. — Śmierć matki. — Wyjazd.

I przyszły na poetę lata ciężkie, twarde, Nielitościwe, przyszły godziny łez i boleści pełne, rozpoczął się okres żywota, w którym chwile jasne, pogodne i ciche były rzadkim promykiem, oświetlającym długie szare dni. Zgryzota i smutek, żal po stracie najdroższych głów i gorzka walka o chleb powszedni przygniotły zbolełe serce Wincentego Pola. Inny może byłby wtedy w zupełne popadł zwątpienie, możeby się rozpaczy oddał, pióro złamał i zamilkł; ale Pol miał to głębokie przeświadczenie, że jest mężem »dobrego posiewu« i uważał za swój święty obowiązek wytrwać na stanowisku i rzucać ziarna na rolę suchą i niewdzięczną, rzucać bez względu kto i kiedy zbierze. Nie brakło wprowadzić serc życzliwych i przywiązanych, które pocie pozostały wierne; ale czy dziwić się można, że tyle niepowodzeń i zawodów zraziło go ostatecznie do ludzi i świata, że w krakusowym grodzie widział jeno głuche kamienie i zimne groby; a w takiej chwili z głębokości duszy wołał:

Ach, ożyjcie groby!

Bo pęknie serce, zginie od żałoby!

A że tak głucho w tej ciszy grobowej,

Tom gwar rozbudził rzeszy sejmikowej,

I na tę prośbę rycerz z pod szyszaku

Powstał z mogiły i ruszył wzdłuż szlaku,

I stary rzeźbiarz porwał znowu dłuto,

Któremu żywot jak i mnie zatruto¹.

Z piórem w ręku zaskoczony został Pol bolesną wieścią dymisji, pióra nie wypuścił odtąd pozbawiony katedry profesor; »orał gęsią« pocziwie i wiernie, jak cichy i pokorny kmieć Boży. W kąt poszły wszystkie mapy, notaty i księgi geograficzne, zajęcia naukowe uległy zawieszeniu na czas dłuższy i poeta nasz całkowicie oddał się pracy literackiej. Już z początkiem roku 1853 teka literacka Wincentego Pola wypełniona była wcale pokaźnie; spoczywał w niej ukończony 28 grudnia 1852 r. *Mohort*, oraz cała *Senatorska Zgoda*, w maju tegoż roku skończona. Z dnia 19 stycznia 1853 r. pochodzi zupełny, własnoręcznie nakreślony plan *Sejmiku w Sądowej Wiszni*; dowód, że praca nie ulegała przerwie i że zaraz po ostatnich wierszach *Mohorta* rzucał na papier dalszy ciąg *Pamiętników Winnickiego*. Tak zesza zima i wiosna cała; a kiedy zakołysały się bujne łąny i lasy zaszeleściły liściem, ogarnęła go tęsknota za widokiem »wsi spokojnej, wsi wesołej«. Więc gdy go dawny a serdeczny przyjaciel zaprosił na letnie wczasy, — nie oparł się pokusie i z zadowoleniem opuścił duszne mury miasta.

A więc odwiedzić trzeba ścieżki stare,

A i odnowić te zarosłe ślady;

¹ Z nieznanego wiersza Pola według rękopisu w Bibl. Portrzyckiej.

Dotknął Bóg czleka? — ha to dał i wiarę,
 Że stara przyjaźń może doda rady...
 Jeśli nie rady, to może pociechy...
 Miłość się zwykła trzymać starej strzechy,
 więc idźmy, gdzie strzecha,
 Na kwietne łąki i cieniste lasy,
 Na ciche ranki i na wiejskie wczasy,
 Gdzie z bydła sytość, a z ziemi pociecha!¹

Dnia 18 czerwca wyjechał Pol do Tytusa Trzecieckiego, zamieszkałego w Polance pod Krosnem. Nie obce to były strony dla poety, pamiętne z czasów pobytu w Marjampolu i wzajemnych przyjacielskich odwiedzin, pamiętne i z czasów krwawej rozprawy, tam to bowiem w roku czterdziestym szóstym poznał Pol kosy i cepy rozjuszzonej czerni. I Trzecieski wtedy równego doznał losu²; po siedmiu latach spotkali się znowu:

.... jakie było z dworem powitanie?
 Jam spojrział w oczy — on na moje włosy,
 I po spojrzeniu pojęliśmy jasno
 Ubiegłe lata i rzucone losy —
 I będę świata — i tę drogę własną!
 Wielka to była, choć krótka rozmowa,
 Chociaż on milczał, a jam nie rzekł słowa³.

Rychło zagospodarował się poeta w starym dworze, znalazł tu kącik spokojny i wygodny, serca życzliwe, a nadewszystko ciszę małej wioski, oddalonej od miejskiego gwaru i ruchu.

¹ Tom V, str. 194 i 195.

² Dn. 7 maja 1857 r. pisał Pol: »Pani Tytusowa Trzecieska z domu Węglińska skończyła; wypadałoby mi jechać do Polanki; *losy nasze z Tytusem idą zawsze na równi*«. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

³ Tom V, str. 198.

I siadłem w dworku drewnianym gościną,
 I ciche ranki, ciche wody płyną,
 I rosą spadły niejedne pociechy!
 I myśl niejedna budzi się z pod strzechy...¹.

To też gdy pewien przyjaciel, domator wielki, za-
 pytał poetę, jak tam spędza swe wiejskie wczasy,
 odpowiedział mu wierszykiem:

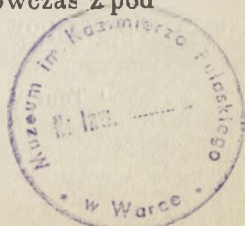
Pytacie
 Mój Bracie
 Co robię
 W tej dobie?
 A siedzę
 We dworze
 I gęsią
 Znów orzę.

Pieśń pierwsza
 Najszczęsza:
 »Z klasztoru
 I z boru«,
 Pieśń wtora:
 »Ze dwora«².

Tak płynęły spokojne dni, dzielone między pracę
 twórczą a przechadzki po łąkach i wzgórzach. W Po-
 lance powstaje zbiorek drobnych utworów, znany
 pod ogólnym tytułem *Ze dworu* oraz pewna część
 wierszy, zebranych później w cyklu *Z klasztoru i z boru*;
 nadto w tym zacisznym dworku (dn. 12 lipca) koń-
 czy Pol w zimie jeszcze rozpoczęty *Sejnik w Sado-
 wej Wiszni*. Wywiózł więc z pod gościnnej strzechy
 tekę dobrze wypełnioną; ale wywiózł też coś droż-
 szego jeszcze, bo ukojenie i pociechę zboląłego serca,—
 przynajmniej na chwilę. Z poezji, które wówczas z pod

¹ Tom V, str. 199.

² Tom V, str. 203.



pióra jego wyszły, wieje pogoda i cicha rezygnacja, a obok tego spotka się tam łzawe spojrzenie wstecz, na minione lata. Odwiedzał Pol dobrze znane sobie miejsca okoliczne, więc i pustynkę świętego Jana z Dukli i Malinową górkę nad Wisłokiem i Krosno, a przede wszystkim dawną swoją siedzibę, dworek w Marjampolu; smutne to były odwiedziny:

Jak dawniej zdala wita dąb wyniosły,
I zapach znany z łąki pokoszonej,
I znane sercu te gorlickie dzwony,
A moje drzewa — ach, jakże porosły!

Domku mój stary! domku pod dębami!
Obaśmy widzę na świecie już sami...
Źle ci beze mnie, — źle i mnie bez ciebie!
Tyś zalazł w ziemię, — moje wyschły kości...
A co najgorsza, kiedy świat tak grzebie,
Trudno i myśleć nawet o przyszłości!...

Chwast na dziedzińcu — w sadzie zrosła dziczka,
Zginęły róże — ale źródło grzeczne!
I dęby stoją jak dawniej bezpieczne,
I pozostała na dębie kapliczka,
A więc zostało — co czyste i wieczne!¹

Pobył Wincentego Pola w gościnie u Trzeciejskich przeciągnął się do jesieni; jeszcze 8-go września bawił poeta w Polance i dopiero na jesień do Krakowa powrócił. Tu rozpoczętej pracy literackiej nie przerywał i jedno dzieło następowało szybko za drugim. W ciągu dni czterdziestu, od 17 grudnia do 25 stycznia r. 1854 powstaje cały poemat *Wit Stwosz*. O powstaniu tego utworu krążyła po Krakowie oryginalna tradycja; opowiadano sobie, że »poemat *Wit Stwosz* powstał o zakład. Gdy bowiem w pewnym

¹ Tom V, str. 224.

towarzystwie w Krakowie była mowa o Stwoszu, Pol, który się tam także znajdował, powiedział, żeby o tym rękodzielniku można nieco napisać. To zdanie miał ktoś ze słuchaczy a przyjaciel Pola znegować, może umyślnie, aby tym bardziej poetę zaprawić. Słowo po słowie, aż wreszcie Pol odezwał się: proszę o 3 dni namysłu a odpowiem, czy będę pisał, lub nie. Po trzech dniach rozpoczął pisać«...¹. Ile ta anegdota ma w sobie prawdy, trudno orzec; to wszakże twierdzić można z pewnością, że jeżeli to przypadkowe zdarzenie dało jakąś pobudkę, to jednak do napisania skłoniły też poetę inne powody, poważniejsze i głębsze, które na właściwym miejscu postaram się uwydatnić. Sam proces tworzenia *Wita Stwosza* był równie oryginalny; już nie o szybkość tu chodzi, ale o to, że utwór był niejako improwizowany, gdyż poeta dyktował go przyjacielowi codzień po kawałku. Tym przyjacielem i poniekąd współpracownikiem Pola, któremu w żywocie poety osobna należy się karta, był ksiądz Jan Scipio ².

Należąc do stanu duchownego, doszedł ksiądz Scipio w hierarchji kościelnej stopnia kanonika kapituły krakowskiej; wyższych godności nie dobijał się i nie dbał o nie, gdyż do służby Bożej szczególnego powołania nie czuł; natomiast z wielkim zamiłowaniem oddawał się naukom humanistycznym. Spędziwszy młodość we Włoszech, poznał tam sztukę starożytną i nowszą i w dziejach jej był biegłym; podobnie poznał dokładnie literaturę polską i obcą, a już erudytem prawdziwym był w dziejach ojczystych.

¹ A. Sozański. *Ciekawe szczegóły*. Kraków. 1885. str. 176.

² Ks. Jan hr. Scipio, syn Karola, ojca chrzestnego W. Pola, ur. w r. 1801, zmarł w r. 1891.

Rozmiałowany w przeszłości narodowej, zbierał skrzętnie nieznane źródła, robił wyciągi ze starych ksiąg i rękopisów, przechowywał całe stosy notat i materiałów; ale też na tym kończyły się jego prace; zrobić coś z tego, opracować, napisać — nigdy nie zdołał. Czy mu chęci brakło, czy zdolności, czy czasu — daremnie pytać; wiadomo tylko, że z tego głównie powodu przyjaciele uważali go za wielkiego oryginała.

W pamiętniczku swoim zanotował Pol w styczniu r. 1855:

»Ksiądz kanonik Scipio zgromadził znowu wiele nowych »Pomników do dziejów języka polskiego« z archiwum kapituły krakowskiej. Dokumenty te, od najstarszych pomników języka, przedstawiają szereg aż do czasów Stefana Batorego. Uderzyło mię, że język w listach używany nie jest ten, który znamy z mowy spisanej, ale potoczny, znać daleko obrotniejszy i wyższy. Nie wiedzieć, co w tych dokumentach więcej podziwiać, czy myśl, czy sposób wyrażania się? czy powagę ludzi stanu, czy wielki sojusz społeczeństwa polskiego? czy Boga w narodzie, czy naród w kościele?

Namawiamy księdza kanonika z panem Teofilem i z panem Szymonem¹, aby to dał do druku. Objasnienia układa i zdaje się, że przyjdzie do tego. Co też powiedzą na szereg takich monumentalnych rzeczy nasi zawołani historycy, co najprzód okradli Polskę, a potem oszczekali ją? Co też powie na to literacka warszawska tandetka? *pecus* mecenasów i mechesów? Co powie na to owa wielka konspiracja

¹ Teofil Żebrawski i Szymon Dutkiewicz.

przeciw historycznej prawdzie, przeciw kościołowi i Polsce na takie dokumenty?«...¹.

Niestety, ksiądz Scipio zawiódł oczekiwania przyjaciół; »szereg monumentalnych rzeczy« nie ukazał się w druku i nie zawstydził ani »warszawskiej literackiej tandetki«, ani »naszych zawołanych historyków«. Ale kapłan-filolog po dawnemu foljały przeszukiwał i robił wyciągi; przez tę swoją skrzętność, pracowitość i umiłowanie przeszłości narodowej przypadł ogromnie do serca naszemu poecie. Poznali się w r. 1850 i odtąd trwa przyjaźń szczerą i serdeczną aż do r. 1857, t. j. do wyjazdu Pola z Krakowa na czas dłuższy; później stosunki oziębły znacznie i gdy poeta na jesień życia swego znów pod Wawel powrócił, do dawnej zażyłości już nie przyszło. Jaki był powód?

.... Różnie słyhać o tym,
Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas, ni potem.

Otóż księdzu Scypionowi przedewszystkiem zawdzięczał Pol ułatwienie studjów przygotowawczych do *Wita Stwosza*; razem zwiedzali katedrę na Wawelu i kościół Marjacki, aby wszechstronnie poznać stwoszowe dzieła i przeniknąć zaklętą w nie myśl; razem przeglądali fotografie i albumy rzeźby średniowiecznej, a zwłaszcza arcydzieła Norymbergi; razem wreszcie szperali po kronikach, aby wydobyć tło epoki, obraz stosunków i — ile zdołali — duch średniowiecza. Po tej wspólnej pracy przygotowawczej zasiedli do dzieła: codzień regularnie o pewnej godzinie przychodził ks. Scipio, brał pióro i słuchał; poeta musiał improwizować. Sarkał nieraz pan Wincenty, że go przyjaciel męczy, że mu każe

¹ »Nieznany pamiętnik W. Pola« ogł. H. Biegeleisen. *Świat*, Warsz. r. 1901, nr. 41.

dyktować nawet wówczas, gdy czuł się nieusposobionym; ale rad nierad ustępował i robota szła. Tak powstał *Wit Stwosz* — i poeta, poświęcając go przyjacielowi »w dowód czci i uwielbienia«, pisał: Z Twego posiewu przyjm owoc, Scipionie!¹

Ksiądz Scipio tak widać zasmakował w roli współpracownika, że zaraz szukać zaczął dla przyjaciela nowych tematów, nowych źródeł. Rzecz była zamierzona na szeroką skalę, przystępowano do niej z całym aparatem studjów archiwalnych.

Pierwszą wzmiankę o tej pracy znajdujemy w pamiętniczku Pola, zapisaną w styczniu r. 1855.

»Z księdzem kanonikiem Scipionem czytamy razem od kilku tygodni »Księgi hetmańskie« Sarnickiego. To cały świat nowy — prawdziwa kopalnia, choć autor, pełen najgłębszej erudycji, tylko z przypadku niby i mimojazdem mówi o swoich rzeczach i *ad rem*. Ale ciekawa jest rzecz, co też nasi historycy aż po te czasy robili, kiedy o sposobie wojowania w ojczyźnie i o takiej instytucji, jak była hetmańska, nikt z nich nie umiał trzech słów mądrych powiedzieć? Z każdym dniem przekonywam się więcej, iż co innego stoi w dokumentach historycznych, a co innego u tak zwanych historyków naszych. Czy nie umieli czytać? Czy nie chcieli widzieć tego co było? Czy takie liche głowy? Czy tyle złej wiary? Pono jedno i drugie. Wszystko tedy, co do wyświecenia instytucji hetmańskiej przy Sarnickim posłużyć może, mamy pod ręką, ale rzecz hetmana Tarnowskiego² idzie górą. — Znać wysokie stanowisko

¹ Cytow. według rękopisu.

² Ma na myśli *Consilium rationis bellicae* Jana Tarnowskiego, h. k. (Kraków, 1558).

w jego piśmie i czuć się to daje, że był pierwszym dożywotnim hetmanem. Instytucja poczyną się od niego ustalać i wcielać.

Z tego wszystkiego wypada coś zrobić. Myśl napisania »Pacholęcia hetmańskiego« ożywiła się we mnie bardzo. Przy notatach z Sarnickiego »Ksiąg hetmańskich« można już coś zrobić, bo barwy wieku leżą jak na palecie nałożone, a wszystko bardzo nowe, choć stare, bardzo świeże, choć już więcej jak przeszłe, bo zapomniane.

Napiszę, jeśli Bóg dozwoli, »Pacholę hetmańskie« na dworze Jana z Tarnowa. Formę poematowi chcę dać szlacheckiego djarjusza »Anno Domini i t. d.« Czy się to uda? Forma byłaby nową i narodową, ale ją upoetyzować trzeba. Ksiądz Scipio wysłuchał całego planu, ale nie mam jeszcze pewności, czy mu się nadaje«¹.

Następna wiadomość o pracy przygotowawczej pochodzi z marca t. r. Poeta pisze:

»Ksiądz kanonika Scipiona widuję teraz rzadko, bo jest bardzo zajęty; kończy wypisy z »Ksiąg hetmańskich« Sarnickiego dla mnie i transsumpt roczników Reszki z biblioteki Jagiellońskiej«².

A wreszcie z kwietnia t. r. pochodzi charakterystyczna notatka:

»W dzień św. Wincentego³ byliśmy na Piasku w kościele. Przez całe dwa dni byłem u ks. kanonika Scipiona, bo przyjęcie gości bardzo trudzi Kornelję. Było jednak wiele gości łaskawych i pamięt-

¹ »Nieznany pamiętnik W. Pola« ogłosił H. Biegeleisen. *Świat*, r. 1901, nr. 40.

² Tamże, nr. 42.

³ Dnia 5 kwietnia imieniny poety.

nych przyjaciół. Wychodzę znowu z domu¹, więc z księdzem Scypionem rozpoczęliśmy na nowo pracę. Więc »Pacholę hetmańskie«. Plan już napisany, a materiały wertujemy po całych dniach«².

Tak powstał pomysł nowego poematu i w tak szybkim tempie postępowały wspólne studia przygotowawcze; niektórzy nawet twierdzą, że główny pomysł tego utworu zawdzięcza poeta księdzu Scypionowi.³ Wiadomo, że w kwietniu gotowy już był plan, i widocznie zaraz przystąpił Pol do tworzenia, skoro już dnia 2 lipca tegoż roku pisał:

»Ja utrudziłem się temi czasy bardzo; *Pachole Hetmańskie* — to sęk twardy — czasy jagiellońskie — rzecz jakaś duża — chciałem skończyć, nie skończyłem — trzecia część większa od Mohorta«⁴.

¹ Przez kilka tygodni cierpiał na nogę i nie mógł opuszczać mieszkania.

² Tamże, nr. 43.

³ Władysław Zawadzki pisze: Pierwszą myśl do wzięcia za przedmiot poematu postaci hetmana Tarnowskiego i jego epoki podsunął Polowi kanonik kapituły krakowskiej Scypio, wysoce przezeń poważany przyjaciel z lat dawnych. On też był mu pomocny w owych przygotowawczych studiach przez dostarczenie różnych mało znanych materiałów. Jakoż słyszałem Pola po wielekroć powtarzającego, że zasługa pierwszej pobudki i ułatwienia zamiaru napisania *Hetmańskiego Pacholęcia* należy się księdzu kanonikowi Scypionowi w Krakowie. Jest to ostatnie dzieło Pola, które własną jeszcze napisał ręką. *Literatura w Galicji*, (Lwów, 1878), str. 85.

⁴ List do Klementyny hr. Miączyńskiej z dn. 2 lipca 1855 r. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

Podobna wiadomość w liście Szymona Dutkiewicza do Władysława Syrokomli z dn. 4 listopada 1855. »Obecnie jest większa rzecz pod ręką, niż to, co p. Wincenty dotąd napisał; tytuł tego *Pacholę Hetmańskie*. Czasy Jagiellońskie — główną figurą poematu Jan hetman z Tarnowa, forma, jak mi się zdaje, zupełnie nowa, język nie książkowy, ale taki, jakiego w owym

I rzecz prawie nie do wiary, że w tym okresie, gdy »materiał wertowali po całych dniach«, gdy poeta układał plan *Pacholecia* i wreszcie przystąpił do pracy twórczej, w tym samym okresie, jednocześnie powstaje pomysł innego dzieła, również na szerszą zakrojonego skalę i, co więcej, — część dzieła zostaje wykonaną. Oto gdy obmyślając i pisząc księgi *Pacholecia* Wincenty Pol cały zatapiał się w wieku XVI, usiłując oddać jego barwy, nastrój i duch, jednocześnie myśl jego uparcie wracała do drugiej połowy wieku XVIII, do wesołej szlachty sanockiej, do hucznych polowań, do tłumnych biesiad, wreszcie do spokojnego żywota w zacisznym dworku szlacheckim. Te czasy były mu bliższe; znał je nie z ksiąg, ale z tradycji żywej; może dlatego były mu droższe.

I wtedy, gdzieś w końcu r. 1854 czy pierwszej połowie 1855 powstaje pomysł nowej trylogji na tle tradycji szlacheckich, niejako ciągu dalszego Pamiętników Ben. Winnickiego; jak na pierwszą serję Pamiętników złożyły się trzy gawędy: *Przygody*, *Senatorska zgoda* i *Sejmik*, tak i ten ciąg dalszy składać się miał z trzech gawęd: *Stryjenka*, *Banita* i *Polowanie*. Szymon Dutkiewicz pisał dn. 28 czerwca 1855 roku:¹ »Każda z tych części będzie tyle, co *Sejmik*, albo i większą, a *Stryjenka* jest już gotowa«. A więc w ciągu kilku miesięcy zdołał Pol napisać nie tylko część *Pacholecia*, »co do objętości większą od *Mohorta*«, ale całą nową gawędę p. t. *Stryjenka*. Świad-

czasie używano w listach. Materiałów dostarczyły tutejsze archiwa. Rok przeszło upłynął nad samymi studiami, trzecia część poematu napisana i co do objętości większa od *Mohorta*«. Rękop. Bibl. Jagiell. Nr. 3752.

¹ List do księgarza B. M. Wolffa w Petersburgu. *Biblijot. Warsz.* r. 1892, t. I, str. 554.

czy to zapewne o płodności pisarza, ale więcej jeszcze o łatwości, z jaką mu przychodziło pisanie; pozostałe rękopisy dowodzą, że zasiadwszy raz do pracy poeta był w stanie pisać po kilkadziesiąt i więcej wierszy, a wszystko było jakby improwizowane, gdyż poprawki i przekreślenia w autografach należą do rzadkości. Przy *Pacholęciu*, jak widzieliśmy, niemało było trudu, ale tylko przy gromadzeniu źródeł i materjałów; gdy z tym ukończono, — praca już poszła gładko. Szybciej jeszcze i z mniejszym trudem powstawał ciąg dalszy *Pamiętników* Imię Pana Benedykta, mianowicie część pierwsza nowej trylogji; tu już nie trzeba było szperać po starych foljałach. Śród szlachty z epoki saskiej Pol czuł się jak w domu, więc farby leżały na palecie gotowe; pozostało tylko malować. Lecz jak i co? Oto po prostu, dawnym trybem, gawędowo a potocznie, bez wysokich aspiracji; o treść zaś, o fabułę też nie było trudno. Miał pan Wincenty i w tece i w głowie zabawnych anegdot, dziwnych zdarzeń i facecji zasób niewyczerpany; można było sięgnąć do teki po jakąś anegdotę naszkicowaną dawniej, uzupełnić ją, rozszerzyć i stworzyć rzecz »tyle co *Sejmił*, albo i większą«. Otwarcie też przyznał Pol w liście do przyjaciela:

»To co piszę — jest dawnego zapasu, lat lepszych, i jest to tedy co piszę jakoby pamiętnik«...¹

Do tych kilku prac większych dodać jeszcze trzeba długi, bardzo długi szereg utworów drobnych, które Pol później zebrał i wydał pod tytułem ogólnym *Z podróży po burzy*. Różnie bywał poeta usposobiony, różne też z pod pióra jego wychodziły wierszyki;

¹ List z roku 1855 do Bazylego Lewickiego. *Przewodn. nauk. i lit.* r. 1905, str. 235.

czasem zdobył się na rzecz większą, jak np. legienda klasztorna *Czarna krówka*, do której, jak się zdaje, i ksiądz Scipio przyłożył rękę. Wyzyskując łatwość wierszowania, rzucał Pol wierszyki niemal na zawołanie, przy każdej sposobności. Ale w tym okresie paroletnim miewał też chwile rzetelnie twórcze i natężnione, gdy narodziny wierszyka nie były nałogiem pióra, ale potrzebą, koniecznością ducha poety; i wtedy powstawały takie perły liryki polskiej, jak *Przebolało*, jak *Cicho a cicho*, jak *Królewskie dęby*.

Spoglądając na plon ostatnich lat, uczuwał Pol głębokie zadowolenie; miał tę świadomość, że dał wiele i że niejedno jeszcze dać może; to też z pewną dumą mówił o sobie: »więcej napisałem temi laty, niż przez całe życie«¹, a dawnemu znajomemu zwierzał się: »Lata te ostatnie nieurodzaju powszechnego były dla mnie bardzo owocne, napisałem więcej niż w całym życiu«...²

Niezupełnym byłby obraz działalności literackiej Wincentego Pola z okresu od stycznia 1853 r. do końca sierpnia r. 1855, t. j. do chwili, gdy nieszczęście rodzinne wytrąciło mu pióro z ręki, jeżelibym bodaj w krótkości nie omówił jego pism prozą. W formie bądź większych artykułów, bądź feljetonów, bądź wreszcie korespondencji, drukowane były współcześnie w dziennikach i pismach perjodycznych. Różne treścią, rozmaitych dotyczące dziedzin, nie wszystkie oczywiście mogą być przedmiotem naszych studjów; zatrzymamy się więc tylko na artykułach literackich.

W jednym z nich, drukowanym w odcinkach

¹ Cytowany wyżej list do Bazylego Lewickiego.

² List do Erazma Kamińskiego tamże, str. 128.

*Czasu*¹, Wincenty Pol zabiera głos w sprawie krytyki, uprawianej przez niepowołanych, służącej celom osobistym i partyjnym, wprowadzającej zamęt i pierwiastek rozkładowy do literatury współczesnej. Artykuł ten posiadał cechę aktualności, którą już dziś utracił; wypadki, o które potrąca autor, dawno przebrzmiały. A jednak niektóre ustępy mają dla nas niewątpliwą wagę, bo dają poznać stanowisko Pola w podobnych sprawach, jego poglądy na literaturę i jej twórców, na krytykę i jej zadanie.

»W literaturze — pisał Pol — szuka każdy żywiołów dodatnich, pragnie się zbudować pobożnością, pokrzepić wspomnieniami historycznej wielkości, pragnie się utwierdzić w przekonaniu i wśród walki żywota widokiem wielkich postaci, malowidłem zacnych charakterów, więc coś za zawód bolesny, jeżeli wszędzie tylko na negację natrafia, która zadając śmiertelne ciosy życiu moralnemu, duchowemu i artystycznemu narodowi, zaród śmierci w sobie nosi. Zapytujemy się, na karb czego to się dzieje? Oto na rachunek jakoby postępowych zasad, których katonicka surowość ma uwalniać oddanych tym zasadom nawet od miłości bliźniego pod pozorem miłości prawdy i surowego wymiaru sprawiedliwości...

Rzecz bardzo prosta, ci co w literaturze świecą, nie wystąpili z przypadku, ale z powołania w ten zawód; Bóg jeden tylko wie o tym i osądzi to, ile potrzeba na to zaparcia się siebie, aby całe życie oddać w miłości tym, co nas tylko żółcią karmią. Wszakże jest i cierpliwości pewna miara, a gdy ludziom z namaszczeniem nie przystoi walczyć z obozem nie-

¹ »Korespondencja« w *Czasie* z r. 1854, Nr. 212, 222 i 223. Podpisane literą W.

czystej negacji, usuwają się z pola literatury i za tym idzie zawsze upadek pism czasowych, bo pamflet i radykalna krytyka może się tylko żywić obok twórczej i produkcyjnej literatury...

Krytyki! Krytyki nam potrzeba, oto głos powszechny; a ja powiadam, nam potrzeba twórczości, a obok takiej radykalnej krytyki nie może się ostać twórczość. Twórczość to miłość Boga, kraju i bliźniego. Krytyka to negacja i po wszystkie czasy nie była żadna twórcza epoka krytyczną. Więc zapytujemy się co chcecie? czy życia i jędrnego oddechu twórczych pomysłów, czy chcecie śmierci i sekcji, która dopiero po śmierci następować zwykła«...

W tych kilku przytoczonych ustępach Pol wyraził swoje *credo* literackie w tak jasnych, dobitnych słowach, w tak lapidarnej, niemal dogmatycznej formie, jak nigdy przedtem, ani później. Istota jego poglądów zostawała zawsze ta sama, niezmienna; ale w tych kilku zdaniach, myślę, że znalazła wyraz najsilniejszy i najszczerszy. »Twórczość — to miłość Boga, kraju i bliźniego«... któżby nie poznał tu tego serca, zawsze zwróconego ku Stwórcy i ku »ziemi naszej«? Albo: »krytyka to negacja«, a do tego *nieczysta* negacja, — i tu tkwi cały Pol, nieprzejednany wróg wszelkiego przeczenia. Nie należy jednak sądzić, że poeta nasz potępiał krytykę *a priori*; nie, uznawał on jej znaczenie i pożytek, ale marzył o takich krytykach jak Lessing, jak Mochnacki, takich zaś dokoła siebie nie spostrzegał. Sam posiadając pewne pojęcia o tej krytyce, co nie burzyć ma i przeczyć, ale budować i twierdzić, ze szczerością zdania, bezstronnością poglądów (przynajmniej co do osoby autora), spróbował sił na tym polu i posłał do *Czasu* refleksje swoje z powodu improwizacji Deotymy.

Był to czas, gdy młoda panienka, obdarzona darem improwizacji rzeczywiście wyjątkowym, wprawiała w podziw całą Warszawę, a w szczególności krytyków i recenzentów. Ci ostatni tracili wszelką miarę w zachwytach i widzieli w niej już nie tylko gienjusz poetycki, ale jutrzenkę nowej epoki poezji polskiej. Śród tych okrzyków i dytyrambów zachował Pol zdanie poważne i niezawisłe. Po raz pierwszy zabrał głos w czerwcu r. 1854¹, po przeczytaniu improwizacji Deotymy, wydanych w jednym tomie. Odrazu przystępuje do rzeczy trzeźwo a spokojnie:

»Improwizacje Deotymy wyszły ilustrowane i zebrane w książkę bardzo okazałą; zatym wolno dziś o nich sądzić, bo należą jako zbiorowa całość do literatury bieżącej. Nieszczęściem jest krytyki naszych czasów, że się nie ogląda na przeszłość, ale utwór każdy ceni według natchnienia chwili, według potrzeb, zachceń, lub upodobań dnia dzisiejszego. Improwizacje Deotymy winny głównie tej jednostronności krytyki swoje dzisiejsze rozślawienie i wziętość; nowość pokonała zasługę«. Nie będę tu mnożył wyjątków z artykułu pełnego trafnych spostrzeżeń, ale nie mającego już dziś właściwego znaczenia; dość powiedzieć, że Pol był pierwszym, który wydał na improwizacje Deotymy wyrok surowy, ale ogłoszony w imię sprawiedliwości i wielkiej czci, jaką poeta nasz otaczał istotną twórczość narodu naszego. Gdy w październiku tegoż roku głośna improwizatorka przybyła do Krakowa, Pol trzykrotnie obecny był na jej popisach, ale zdania swego nie zmienił; w feljtonie p. t. »Kilka myśli o improwizacjach Deotymy

¹ *Czas*, r. 1854, Nr. 145.

w czasie jej pobytu w Krakowie¹ chwali zdolności wyjątkowe, przyznaje nawet talent, ale jak dawniej — zachowuje się chłodno, bo nie dostrzega tam tego, co uważał za istotę poezji: przedewszystkim głębszego uczucia.

Na tym kończą się literackie artykuły Pola, drukowane w czasopismach z tych lat; liczniejsze i większe są jego rozprawy, zamieszczone pod pseudonimem »z Jasielskiego« w krakowskim »*Tygodniku rolniczo-przemysłowym*«. W poecie naszym tkwiła zawsze jakaś żyłka do gospodarstwa; mimo własnych niepomysłnych prób i doświadczeń, lubił on gospodarstwo wiejskie, zdawało mu się, że się na nim znał, i chętnie też w tym przedmiocie rozprawiał.

Gdy więc zdarzyła się sposobność współpracownictwa w świeżo założonym piśmie specjalnym, z przyjemnością chwycił za pióro; »bo to ta rola zostanie w Polsce *credo* i osią, na której się wszystko obraca«... pisał w pamiętniczku swoim. »Dawna to miłość moja, więc przy tej sposobności jest miejsce powiedzenia niejednego, co się wie lub wiedziało«. ²

Pierwsza jego rozprawka miała tytuł: »O potrzebie ogrodowej uprawy jarzyn w gospodarstwach mniejszych³. Wywołała ona energiczną polemikę; mianowicie ks. Adam Jakutowski zbijał poglądy Pola artykułem »Kilka słów o proletarjacie«, a poeta ze swej strony odpowiedział obszerną rozprawą p. t. »Koleje, jakie przeszło gospodarstwo wiejskie w Galicji od początku tego wieku⁴.

¹ Czas r. 1854, Nr. 244.

² Cytow. pamiętnik. *Świat* Nr. 42.

³ Rok 1854, Nr. 28, 29, 30, (lipiec i sierpień).

⁴ Nr. 32—39 (sierpień i wrzesień).



W następnym roku zamieszcza tamże dłuższą rzecz p. t. »Odwrótne strona medalu«¹.

Nie tu miejsce roztrząsać rozprawy Pola z zakresu gospodarstwa wiejskiego; zauważyć jednak trzeba, że jak obiecał sobie autor »przy tej sposobności« powiedzieć niejedno, tak istotnie poruszył wiele zagadnień natury ogólniejszej; stąd rozprawy te nie są i dla nas pozbawione znaczenia². Tak np. w ostatniej z wymienionych rozpraw omawia szeroko wady i grzechy współczesnej szlachty galicyjskiej; rodzina obywatelska — zdaniem jego — bardzo już odbiegła od dawnego typu; a pierwiastki ujemne mnożą się i zagrażają zupełnym rozkładem rodziny. Już w samym wychowaniu młodzieży czuć się daje duch nowy, obcy dworom szlacheckim z wieku XVIII.

»Synowie obywatelscy idą pospolicie do pewnych lat trybem szkolnym, lub chodzą do pensjonatów prywatnych, gdzie się wszystkiego uczą, prócz tego, coby im było właściwie potrzebnym w ich przyszłym powołaniu. W ukształceniu zaś kobiet tworzymy idealną sferę salonu i ściśle do tego jest zastosowane całe prowadzenie się, cały zwyczaj i obyczaj dzisiejszego dworu. Kawaler ma mieć wszechstronną encyklopedyczną ogłębłą, panna ma być ozdobą salonu, życie przyszłe tych ludzi układa się estetycznie, jak teatralna rola, którą gdzieś i kiedyś odegrać przyjdzie. Do tej perfekcji dojść niełatwo, bo to i przetarcie, i wytarcie, i wypolerowanie, i taniec, i języki, i talenta, a wszystko ma być w największej perfekcji,

¹ Rok 1855 w dziewięciu numerach od sierpnia do grudnia.

² H. Biegeleisen w *Bibliotece Warszawskiej* z r. 1892, t. I. (str. 561—573) streszcza rozprawy gospodarcze Pola i podaje z nich wyjątki, uwzględniając nie tylko drukowane, lecz i za-
legające w rękopisie.

bo tak jest tam i tu, i tak trzeba, żeby wszędzie było. Czego się panicz nie nauczył w szkole lub w pensjonacie, tego dokona oczywiście wojaż, wojaż u kawalera, a u panny roczny lub dwuletni pobyt w wielkim mieście za granicą, dla skończenia edukacji, jak się to mówić zwykło.

Tak biadając nad wychowaniem nowoczesnym, a wspominając z żalem dawne dobre czasy, Pol daje się unieść rozpędowi moralizatorskiemu i roztacza przed czytelnikiem tak ponury obraz, że możnaby zwątpić o przyszłości rodziny polskiej.

»Sięgnijmy wstecz pamięcią — pisze Pol, a ujrzymy, że niepomyślność dworu polskiego poczyną się w każdej pojedynczej rodzinie od tego czasu, od którego poczęto dzieci edukować za granicą. Babki były jeszcze gospodynie wielkie, miały staropolskie apteczki i spiżarnie, komory, lamusy i piwnice, wierzły w dozór, w ład, w oszczędność, w klucz, w zamknięcie i zapas; nie lubiały się mężom spowiadać z swych potrzeb, bo miały drób, młyn, pasiekę, sad, nabiół i przysiewki lnu i konopi, prządki i motki, półsetki i skóry, i w szczęśliwym pokoju, szanowane od sąsiadów i rodziny, starzały w jednym domu, przesiadywały wiek w jednym krześle, przemodliły święta w jednym kościele i legły w grobie ojców, ciesząc, lecząc, ucząc, żywiąc i bawiąc tych, co je otaczali, których im Bóg za najbliższych dał i przeznaczył, z którymi padło im sąsiadować, krewnić lub koligować. — Była powaga, był wielki posłuch w domu, wielka cichość, spokojna praca, i było miłe świąteczne wytchnienie. Matki poczęły się już wyłamywać zwolna z obowiązków babek; poczęły więcej żyć w bawialnym pokoju i w stołowej izbie, w ogrodzie zabawnym, dla zabawy i gości, za domem w spra-

wach publicznych; ale wiedziały jeszcze, jak za ich matek bywało, umiały utrzymać dom w karności, dzieci w posłuszeństwie, i wiedziały, czego się domagać można od klucznicy, gdzie leży sekret ładu, czego do domu potrzeba. Córkę ich straciły już zupełnie tradycje domowego zarządu i ładu, a wnuczki są kompletne lafiryndy, które tylko gospodarzą pełną sakiewką złota, podług adresu, i szpajzcetlą(!), i to nie w kraju, ale za granicą».

Podobnych ustępów, gdzie Pol ukazuje nam się już nie jako praktyczny gospodarz, ale jako dobry obywatel, dbający o przyszłość »domu naszego« i stojący uparcie »na stanowisku przeszłości«, możnaby wiele przytoczyć. Są one nader charakterystyczne dla poglądów jego i niejednokrotnie rozwijają szerzej myśli, rzucone mimochodem w utworach poetycznych. To też znajdujemy tu poniekąd klucz do zrozumienia, dlaczego poeta zachowywał się odpornie wobec zniesienia pańszczyzny i jakie widział skutki praktyczne tego doniosłego faktu.

Krótko mówiąc, uwłaszczenie kmieci — zdaniem Pola, zniesło tradycję uświęconą, patryjarchalny sojusz między dworem i plebanją a chatą, wytworzyło ubogi a leniwy proletarijat wiejski, zniszczyło dobrobyt włościanina, który, dopóki był poddanym, miał zaspokojone wszystkie potrzeby materialne i moralne. »Ze zmianą stosunków włościańskich wskutek uwłaszczenia — pisze Pol — zmieniły się prawa i urzędnictwa, lecz nie zmieniła się rzecz sama: lud wiejski nie był nigdy producentem, lecz konsumentem¹, on mógł być tylko najemnikiem, a gdy cały kapitał siły

¹ Czy się Pol nie pomylił? Czy nie pan raczej był »konsumentem« ciężkiej pracy chłopa-niewolnika?

roboczej wiejskiego ludu nie został, ze zmianą stosunków, z dworskich gruntów przeniesiony na grunta usamowolnionych, stąd poszło, że niepowrotnie przepadł, że produkcja rolnicza nie podniosła się w gospodarstwach małych, a upadła w gospodarstwach wielkich». Proletariuszy wiejskich traktuje nasz poeta jako wyrzutków społeczeństwa, zasługujących na energiczne tępienie. »Dobrze mówić w mieście o korzyściach proletariatu rolniczego: miasto odsyła gminom wiejskim zhultajone żebractwo, jak go się bardzo przyzbiera na bruku, a dla reszty jest zawsze gotowe lekarstwo, bo filiżaneczka rumforckiej zupy, a tu znów pole do chrześcijańskich i obywatelskich zasług. Na wsi inna praktyka: tu potrzeba dać chleba albo pie-niędzy, i nie można ubogich odsyłać do Opatrzności Boskiej, bo Opatrznością Boską był dla nich od wieków dwór i plebanja, ani do dobroczynnych zakładów, bo tych na wsi niema, ani do pracy w polu, bo kto we dworze siedzi, wie o tym dobrze, że taka zwleczona nędza pracować nie będzie«.

Do tej ciekawej sprawy powrócę jeszcze przy sposobności...

Aby skończyć z artykułami Pola, poprzestanę już tylko na wzmiance o paru drobnych pracach, mających za przedmiot kościoły i klasztory krakowskie; w *Bibliotece Warszawskiej*¹ zamieścił »Wiadomość o kościele św. Katarzyny na Kazimierzu w Krakowie«, w odcinkach *Czasu*² drukował rzecz o kościele i klasztorze Franciszkanów, kreśląc dzieje tej świątyni, jej zniszczenie podczas pamiętnego pożaru i postępowanie restauracji; wreszcie w feljetonie p. t. »Ma-

¹ Rok 1854, t. IV, także osobna odbitka (Warszawa, 1855) str. 35.

² Rok 1854, Nra 292, 293 i 297.

lowidło na szkło»¹ omówił nowy witraż Juljusza Hübnera, oliarowany do kościoła Dominikanów. Z powyższych artykułów wyciągnąć można ten jeden wniosek, że sprawy kościelne żywo obchodziły naszego poetę, że losy domów Bożych leżały mu na sercu; jako mógł, słowem i piórem, przyczyniał się do odbudowy pogorzałych świątyń, zachęcając do dalszych składek.

W ślad za ożywioną i płodną pracą literacką, której Pol w tych latach całkowicie się poświęca, idą sprawy wydawnicze; gdy poeta nowy jakiś poemat czy gawędę pisał, już pogłoski i doniesienia dziennikarskie obiegały kraj cały; zaledwie pióro odłożył, sypały się zgłoszenia redaktorów z prośbą o wyjątki i zgłoszenia wydawców z ofertą nabycia dzieła. Ale Pol umiał cenić swą pracę, wiedział jak był popularny, jak rozchwytywano jego pisma, — nakładał też na nie ceny dotychczas niesłychane; z drugiej strony nakładcy rozumieli, jak dobrym interesem jest wydawanie pism najpopularniejszego wówczas poety, i ubiegali się o to, mimo ciężkich warunków. Przez szereg lat utrzymywał Pol stosunki wydawnicze z księgarzem i nakładcą petersburskim, B. M. Wolfem, który miał tę zaletę, że wydawał starannie i ozdobnie, ceny za tomy ustanawiał przystępne, a honorarjum wypłacał takie, jakiego poeta żądał. Za trylogję: *Pamiętniki Winnickiego* wyliczył 6000 zł. pols., a zachęcony widocznie dobrmi obrotami, starał się o nabycie *Mohorta*, *Wita Stwosza* i zbioru drobnych poezji, tu jednak wszelkie układy rozbiły się o zbyt wygórowane warunki; dość powiedzieć, że za drobne utwory poetyczne żądał Pol 4 zł. pols.

¹ *Czas* r. 1854. Nr. 267.

od wiersza¹. Z tych też powodów *Wił Stwosz* dopiero w dwa lata po napisaniu poszedł pod prasę. Zaledwie bowiem poeta dyktowanie utworu tego skończył, już dnia 4 lutego 1854 r. otrzymał z Warszawy list od Aleksandra hr. Przezdzieckiego, zasłużonego badacza przeszłości i wydawcy, który prosił o odstąpienie *Spółce nakładowej* pierwszego wydania poematu. Pol zgodził się chętnie, ale postawił warunki, o jakich nawet się nie marzyło nakładcom warszawskim; ni mniej, ni więcej, jak sześć tysięcy złotych polskich za jedno wydanie poematu, z prawem własności na lat cztery i z wypłatą całej sumy niezwłocznie po wyjściu rękopisu z cenzury. Przezdziecki namyślał się rok cały, obliczał, targował, aż wreszcie zmuszony był zrezygnować i rękopis zwrócił. Podobnie i Wolff zwinął chorągiewkę, otrzymawszy takie same warunki; to też od tej pory rozpoczął Pol wydawanie dzieł swoich nakładem własnym².

Na pierwszy ogień poszedł *Mohort*. Odbijany w drukarni *Czasu*, wyszedł z pod prasy na nowy rok 1855, w ilości 1000 egzemplarzy. Mimo wysokiej ceny, pięć złotych reńskich, cały nakład rozchwytyano w ciągu jednego miesiąca. Już w początkach lutego pisał nasz poeta w swym dzienniczku: »Mohort rozszedł się po świecie. Czy pieniądze powrócą, to znowu rzecz inna.

¹ B. M. Wolff pisze do Sz. Dutkiewicza: »Cena 4 złp. od wiersza jest tak bajeczną, że nie tylko żadnemu polskiemu pocie nie była opłacaną, ale nawet V. Hugo jej nie pobierał«. List z 26 maja 1855 r. Rękop. Bibl. Jagiel. Nr. 3752.

² Wyjątek stanowi wydany w Bochni drobny utwór p. t. *Czarna krówka* (str. 51) za który otrzymał poeta 600 zł. pols. i kilkadziesiąt egzemplarzy. Utwór ten dzięki niskiej cenie (30 centów) rozchodził się szybko i w ciągu lat czterech miał 3 wydania osobne i raz drukowany był w zbiorze ogólnym.

Za miesiąc rozeszła się edycja. — Nie spodziewałem się tego. Pan Eugenjusz Dzieduszycki nastąpił na to, żeby zrobić drugie wydanie; ja, co miałem tyle kłopotu i wahania się z pierwszym, bałem się tego, ale on sprowadził papier i drukuje na swój koszt. Wstrzymało to wydanie dalszych tomów¹, ale niech i tak będzie.² Istotnie na Wielkanoc tegoż roku wyszło z pod prasy wydanie drugie, które już znacznie wolniej się rozchodziło. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że z nakładu pierwszego żaden egzemplarz nie poszedł do Królestwa Polskiego, które jak dziś jest, tak i wówczas było głównym miejscem zbytu w handlu księgarskim, że i w Poznańskie poszło zaledwie 30 egzemplarzy (do Żupańskiego), to olbrzymie powodzenie wydania tego możemy sobie wytłumaczyć tylko sposobem, w jaki Mohort był rozpowszechniany. Z całego tysiąca poszło do księgarni galicyjskich i do Poznania 305 egz. (za które autor w przeciągu sześciu tygodni otrzymał 1525 zł. reńskich); resztą egzemplarzy zajęli się przyjaciele³. W ten sposób około 700 tomów rozebrano w krótkim czasie; czy wszystkie zdołano rozprzedać, — to rzecz inna; ale wtajemniczeni wiedzą, iż niejednen życzliwy nabywał do swej biblioteczki dziesięć i więcej egzemplarzy, aby w ten delikatny sposób przyjąć z pomocą poecie, znajdującemu się w kłopotach materialnych.

¹ Sz. Dutkiewicz pisze do B. M. Wolffa: «Mohort jest pierwszym ze czterech tomów, które teraz z kolei wyjdą. Drugi i trzeci będzie zawierał drobne poezje, czwarty *Wita Stwosza*». Zamiar ten wykonano ze zmianami w r. 1857. (*Bibl. Warsz.* rok 1892, str. 553).

² Cytowany pamiętnik. *Świat* Nr. 41.

³ Zob. list Szym. Dutkiewicza do B. M. Wolffa z dn. 23 czerwca 1855 r., drukowany w *Bibl. Warsz.* r. 1892, t. I, str. 553—555.

Już to trzeba przyznać, że jeżeli w stosunkach z księgarzami nieraz doznawał poeta przykrości, a z wydawnictwami własnymi wiele miewał kłopotów, to zarazem i przykrości te i kłopoty łagodziła życzliwa pomoc przyjaciół. Był zwłaszcza jeden, który w tych sprawach uchodził za prawą rękę naszego poety, był jego pełnomocnikiem i sekretarzem, korespondentem i buchalterem; słowem, gdyby nie jego pomoc, niejeden układ czy to z Wolffem, czy z Orgelbrandem z pewnością nie doszedłby do skutku. Mówię o Szymonie Dutkiewiczu.

Urodzony w Sandomierskim, wychowywał się Dutkiewicz najpierw u OO. Cystersów w Koprzywnicy, następnie w liceum św. Anny w Krakowie. Uzupełniwszy wykształcenie swoje studjami w uniwersytecie Jagiellońskim, zamieszkał stale w grodzie krakusowym i poświęcił się pracy pedagogicznej. Synowie zamożnych rodzin obywatelskich, przybywający po wiedzę do Krakowa, znajdowali pomieszczenie, troskliwą opiekę i pomoc w naukach u Dutkiewicza w jego konwikcie, żartobliwie zwanym »instytutem wychowawczym«. Jako pedagog, pan Szymon wybitnymi zdolnościami się nie odznaczał; również i jako uczony nie dał się światu poznać, chociaż przez całe życie szperał w dziejach ojczystych. Pomagał wprawdzie biskupowi Łętowskiemu przy wydawnictwie dzieł Długosza, ale świadomi rzeczy twierdzą, że udział Dutkiewicza ograniczał się do przepisywania *Liber beneficiorum*.

Szymon Dutkiewicz był postacią dobrze znaną w Krakowie, z którym się żył przez długi szereg lat, nie opuszczając jego murów ¹. Stary kawaler —

¹ Zmarł dn. 9 listopada 1877, dożywszy późnego wieku.

po staroświecku się nosił: twarz wygolona, kołnierz wysoki ze sterczącymi rogami, halsztuk czarny i długi zapięty surdut. Jego skromne mieszkanko przy ul. Kanoniczej 123 posiadało też cechy charakterystyczne, od starego famulusa Ignacego Wrońskiego, który przez lat trzydzieści wiernie panu swemu służył¹, — kończąc na staroświeckich mebelkach, które — zda się — przyrosły już do swoich miejsc, na sztychach i obrazkach, które — zda się — wisiały na tych samych ścianach od dni stworzenia.

Poczesne miejsce w »kancelarii« pana Szymona zajmowała »Smocza jama«. Było to wielkie staroświeckie biurko z bezdennymi szufladami, nazwane tak przez przyjaciół zacnego pedagoga, którzy dostrzegli to przedziwne podobieństwo: bo jako ongi w smoczej jamie pod Wawelem ginęło wszelkie żywe stworzenie, tak biurko Dutkiewicza pochłaniało wszelką ciekawszą bibułę; gdy jaki autograf czy list od znakomitej osoby, sztych czy rysunek znalazł się w bliskości Smoczej jamy, pewno już światła dziennego dłużej nie oglądał. Tam zaś, w szufladach, systematycznie i w największym porządku spoczywały stare akta, dyplomy i dokumenty, sięgające jeszcze średniowiecza, a obok tego nowsza korespondencja, autografy, wiersze ulotne, imionniki, rysunki i t. d. Między innemi był tam bardzo ciekawy zbiór rycin i widoków, odtwarzających dawny Kraków. Skromny w wymaganiach, oszczędny, Dutkiewicz każdy odłożony grosz wydawał na powiększenie swoich zbiorów; gdy zmarł bezpotomnie, przeszły one na własność Biblioteki Jagiellońskiej².

¹ Zmarł dn. 30 stycznia 1869 r.

² Samych luźnych kartek, listów, autografów i t. p. zebrało się na dwie wielkie teki, z których do dziś dnia czerpią

W specjalnej szufladzie mieściły się rękopisy »pana Wincentego« i wszystko, co dotyczyło życia i twórczości drogiego przyjaciela, a więc kopje listów, wycinki z gazet i t. d. Wincenty Pol poznał się z Dutkiewiczem około r. 1850 i odrazu przypadli sobie do serca; zbliżyło ich podobieństwo przekonań i usposobień. Obydwa przywiązani do kościoła, dbali o wykonywanie najdrobniejszych praktyk religijnych; obydwu miłujący przeszłość z żalem gawędzili o dawnych dobrych czasach; obydwu biadali nad upadkiem świata współczesnego, obydwu nie cierpieli żydów i obydwu zrzędzili na »mecenasów i mechesów warszawskich«. Pan Szymon, natura miękka i łagodna, zazwyczaj wesoły, kpiarz i facecjonista, zżył się z panem Wincentym, który mimo częstych gorzkich chwil nosił czoło pogodne, wąż do góry, lubił pokpić i pożartować niewinnie. Poeta cenił wysoko przyjaźń kochanego Szymcia; składając mu egzemplarz *Pamiętników Winnickiego*, z takim się zwrócił doń wierszykiem:

Jakież przytoczyby Waszmości *dicta*,
Składając księgi Pana Benedykta?
Oto Ci chyba tylko tyle powiem:
Że jedno przyjaźń dla człowieka zdrowiem —
I sam wiesz o tym: Gdy już wszystko stygnie,
Stary przyjaciel jeszcze z grobu dźwignie....¹

Serdeczni przyjaciele odwiedzali się prawie codziennie, przesiadując u siebie po kilka godzin, gwarzyli o tym i owym, zwierzali się ze swych smutków i kłopotów, a wtedy okazywało się, że stary kawaler,

badacze przeszłości, tak co do dziejów narodu, jak i piśmienictwa polskiego.

¹ Tom V, str. 335.

choć ciężkich przejść w tych latach nie miewał, przecież łatwiej tracił fantazję i głowę opuszczał, niż poeta, któremu nie brakło powodów do smutku. Gdy tak pan Szymon »kwaśił się i grymasił«, pisał mu pan Wincenty na pocieszenie taki np. wierszyk:

Dzisiaj sobota, więc dzień Matki Boskiej;
 Pocóż do serca puszczasz jakieś troski?
 Dzień naszej Pani niech płynie wesoło.
 Więc w górę serce, w górę Szymciu czoło!...
 Co nam się smucić? mój Panie Szymonie!
 Dopóki Boga wielkiego na niebie
 A pocziwego serca jeszcze w łonie,
 Nikt nas skórą pono nie zagrziebie, —
 Bo co najgorsze, — dla nas już przebyte.
 A chociaż przyszłe przed duszą zakryte,
 Człowiek tam wierzy w przepowiednie stare
 I w obietnice Pańskie i w tę wiarę,
 Jaką tam stali ci, co poszli przodem,
 A dzisiaj w niebie świadczą za narodem!...¹

A gdy już ani wiara w »przepowiednie stare« ani »w obietnice Pańskie« nie mogła ukoić żalości w czarnych godzinach, wtedy strapieni przyjaciele powtarzali:

....niechaj to słodzi
 Cierpki nasz żywot, że mówimy sobie:
 »Non omnis moriar«, choć legniemy w grobie!²

Szymon Dutkiewicz nieraz wyświadczył rzetelną przysługę poecie, a już w interesach wydawniczych był jego prawą ręką. Na nim ciążyła korespondencja z wydawcami, bo pan Wincenty zbyt był drażliwy w podobnych rzeczach; gdy nakładca ofiarował ho-

¹ *Do Pana Szymona*. Tom V, str. 357.

² Tom V, str. 334.

norarjum niższe od żądanego. poeta obrażał się, uważając podobne targi za rzecz niegodziwą. Zabiegał tedy pan Szymon, starał się sprawę załagodzić, tu namawiał, tam pisał zachęcająco i rzeczywiście do pomyślnego układu doprowadzał.

Teraz następowała część druga pracy pana Szymona, bo trzeba było rękopis przygotować do druku, to znaczy przepisać utwór czytelnie i ortograficznie, które to dwie zalety rzadko były właściwe autografom Pola. Naturalnie w nagrodę za poniesione trudy autografy szły do »Smoczej jamy«; w ten sposób znalazły się tam: *Mohort*, *Senatorska zgoda*, *Sejmik* i cały zbiór luźnych kartek, stanowiący tom *Z podróży po burzy*, nie licząc rmnóstwa drobnych rzeczy. Zdarzało się nieraz, że poeta otrzymywał wiadomości i hołd od brata po lutni, np. od Lenartowicza lub Syrokomli; szedł tedy do kancelarji pana Szymona pokazać mu i przeczytać; list taki zazwyczaj nie wracał już do rąk pana Wincentego, ale przepadał w szufladach Smoczej jamy. Najobszerniejszy połów miał zapalony zbieracz po wyjściu *Mohorta*. »*Mohort* rozchodzi się, — pisał Pol w swym dzienniczku. Zewsząd powracają listy o nim... Pan Szymon zbiera te listy. Napisał parę słów pan Zygmunt Krasiński, a prócz tego listu zajęły mię listy Bielińskiego, Lewickiego i p. Edmunda Krasickiego«...¹ Zbyt długo może zatrzymuję się na tej cichej, skromnej postaci, której imię zapewne nie wybiegło po za mury Krakowa, ale w żywocie twórcy *Mohorta* słuszenie należy jej się karta; bo Dutkiewicz był jednym z tych najbliższych przyjaciół, co znękanemu pocie pomagali pchać ciężką taczkę życia codziennego.

A zaiste nie różami wysłana była ścieżka poety;

¹ Cytowany pamiętnik. *Świat* Nr. 41.

ciernie trafiały się na niej częściej od kwiatów. Prawda, twórca *Mohorta* i *Pieśni o ziemi naszej* był głośny, znany, popularny, ceniony wysoko, otaczany czcią i uznaniem, miał to, do czego dąży każdy szczerzy twórca i artysta: sławę. Ale przy ustawicznych troskach i zabiegach życia powszedniego sława zdawała się Polowi czymś tak błahym i marnym, że nie rozumiał, jak ktoś mógł dobywać resztki sił dla jej osiągnięcia. To też gdy raz jakiś znajomy prosił go o poparcie dla młodego artysty malarza, poeta nasz myślą tą przejęty i własnym utwierdzony doświadczeniem, odpisał:

»Wierz mi, że niema dla mnie większej boleści, jak widzieć młodego człowieka zacnych uczuć, znakomitych zdolności, pocziwego kierunku, wstępującego na pole artystyczne i powiększającego szeregi niepotrzebnych ofiar w narodzie! Pierwsza tedy myśl, która mnie nasiadła, była, aby go całą siłą zbijać z tej drogi i żeby go wstrzymać można nad tą przepaścią, po której krańcach wieszają się kwiaty, lecz z której głębi śmierć i zniszczenie zieje, a co gorsze — nędza!... Co za smutna kolej ofiary, która iść musi całe życie po cierniowej drodze, a w końcu nie dojdzie nawet cierniowej korony, to jest tej nagrody artysty, którą nazywają *sławą*!... Sława to rzecz bardzo czcza i marna; tysiąc razy zdepcze świat szlachetne serce, zanim raz przyzna zasłudze prawdziwej wieniec«¹.

Do wygłaszania podobnych zdań mogły skłaniać Pola różne powody przemijające; ale był jeden powód trwały i bodaj że najważniejszy: oto poeta miał

¹ List W. Pola do M. Chylińskiego z r. 1851. *Przewodnik naukowy i lit.* 1905 r., str. 124—125.

głębokie przekonanie, że zawód artysty i literata nie zabezpiecza przyszłości, nie zaspokaja potrzeb codziennych. A sprawa nie była dla Pola tak bez znaczenia, jak się to może zdawać. Już od szeregu lat, chyba od r. 1846, żył w ustawicznej walce ze zmiennym losem; różnie bywało: raz lżej, raz ciężej, ale odkąd pozbawiony został katedry i zmuszony był żyć tylko z pióra, troska o chleb powszedni nie opuszczała jego domu.

Rzecz na pozór dziwna. Poeta pobierał za utwory swoje największe honorarja ze wszystkich pisarzy współczesnych w Polsce; dzieła jego rozchodziły się w tysiącach egzemplarzy; ciekawy szperacz mógłby obliczyć, że dochód wynosił średnio parę tysięcy złotych reńskich rocznie, a tymczasem w domu poety bywało nieraz chłodno i głodno. Tłomaczy się to tym, że Pol, który tyle zdrowych rad udzielał wszystkim, który tyle zbawiennych dawał wskazówek, sam nie potrafił sobie życia urządzić i tkwił po szyję w kłopotach materialnych. Dzieci rosły, wymagały już nie tylko wychowania domowego, ale kształcenia szkolnego, wydatki zwiększały się co rok. Przy dochodach znacznych ale niestałych wypadało myśleć o jutrze, żyć z kredką w rękę, — ale tego Pol nigdy nie potrafił: w interesach jego panował nieład najzupełniejszy¹.

Nie była to jednak rozrzutność, ale pewnego rodzaju lekkomyślność, nieoględność, — no i za dobre, za miękkie serce. Zbyt często kierując się uczuciem i wyobraźnią, jak prawdziwy poeta, żył Pol w wieczystych złudzeniach, sprowadzających go w ży-

¹ Ed. Rastawiecki pisze do Cypr. Walewskiego: »Co do p. Altha, poręczenie Pola nie bardzo zadawalniające, bo on do poezyi kompetent, ale do interesów wcale nie poważny«. List z dn. 17 maja 1856 r. Rękop. Akad. Umiej. zbiór Walewskiego.

ciu codziennym na przykrościach usłane drogi i nie pozwalających nigdy zaprowadzić równowagi w położeniu materialnym. Trudnoby było wskazać człowieka, któryby mniej potrzebował osobiście i mniej na siebie wydawał. Skromny w wymaganiach, niewymyślny w ubiorze, zazwyczaj w szaraczkowym, zapiętym pod szyję surducie i czarnym halsztuku, na jeden tylko pozwalał sobie zbytek, — cygara, które palił nieustannie, co mu się do utraty wzroku znacznie przyczyniło. Ale Pol, tak mało wydając na siebie, przy ładnych dochodach, jakie mu dzieła przynosiły, rozsypywał hojnie, z nieogłędnością i niepraktycznością poety dla drugich¹. Jednemu rewers poręczył, drugiemu pożyczył większą sumę, innemu poprostu zapomogi udzielił, gdy widział rzeczywistą potrzebę. Czy z rodziną, czy ze znajomym gotów był zawsze podzielić się ostatnim groszem; opowiadano fakt, że raz wydostawszy kilkadziesiąt złotych reńskich z poczty czy księgarni, oddał je w całości ubogiemu studentowi, którego po raz pierwszy na ulicy spotkał i sam zaczepił. Nietrudno się domyśleć, że wiedząc o uczynności i miękkim sercu Pola, nadużywano tej uczynności na wszystkie strony. Skutkiem naturalnym i koniecznym podobnej gospodarki były ciągłe kłopoty materialne i faktyczny brak pieniędzy nawet na najpierwsze potrzeby². Zdarzały się też w domu poety zabawne a zarazem żałosne sprzeczności.

¹ Porówn. Wł. Zawadzki. *Literatura w Galicji*. (Lwów 1878) str. 92.

² Aleksander hr. Krasicki do Wiktora hr. Baworowskiego pisze dn. 12 stycznia 1855 r. «J'ai vu et entendu à Cracovie Vincent Pol! Dieu merci il vit encore mais dans une profonde misère. Je lui ai donné ce que j'ai pu!»... Rękop. Bibl. Baworowskiego we Lwowie.

Oto w gospodarstwie chłodno i głodno w rzeczywistym słów tych znaczeniu, — a tu zjawia się jakaś dostojna osoba z wizytą; albo w kasie pustki, jeżeli nie deficyt, a tu przynoszą jakiś dyplom honorowy czy odznaczenie. Raz np. »po umęczonym dniu w nocy stukają.... telegram! W pierwszej chwili strach, potem śmiech; ironja przypadku: literaci zgromadzeni w Poznaniu czy w Warszawie piją zdrowie twórcy *Pieśni o ziemi naszej* i telegrafują toast wieńczącowi. A ten zmęczony złorzeczy niemal sławie, co jeść nie daje i spać nie pozwala«¹.

Gdy się spogląda na te szare karty żywota, mimowoli nasuwa się na myśl inny poeta, którego po przedstawieniu teatralnym obnoszono w tryumfie na rękach, nie wiedząc, że autor sztuki od rana nic nie miał w ustach; przypomina się biedny, poczciwy Syrokomla, którego wieczysta walka o suchy kawałek chleba tak wcześniej zepchnęła do grobu.

Możnaby wprowadzić przemilczeć o kłopotach materialnych Pola i nie wglądać w jego sprawy domowe, gdyby nie ta okoliczność, że nieustanna walka z losem i troska o chleb powszedni wybiła na jego duszy piętno rozgoryczenia i przygnębienia. Pozornie wesoły, krotochwilny, z obliczem pogodnym, ukrywał przed otoczeniem zgryzotę i nigdy nie narzekał na ubóstwo swoje; raczej dowcipkował na ten temat. »Moja skarga was nie znudzi... żale toną wgląb« — jak mawiał śpiewak Janusz; ale na dnie serca zbierała się gorycz, aż wreszcie wybuchnęła skargą żalną, beznadziejną:

¹ Wspomnienie o W. Polu A. Dołężyny. *Tygodnik Ilustr.* r. 1880.

I rano wstałem i błagałem nieba
O jedną iskrę Bożego natchnienia,
I iskra spadła, — lecz nie było chleba,
Nie było nawet nory do schronienia.

I rano wstałem i mówiłem sobie:
Ach, byle pracy, pracy dla narodu,
Toć jeszcze może i na chleb zarobię —
I Bóg dał pracę, — a jam mdlał od głodu.

I rano wstałem, — a gdym duszą łzawą
Szukał ratunku u ziemi i nieba,
Dał mi świat imię, a razem ze sławą
Dał nieprzyjaciół, ale nie dał chleba.

I rano wstałem — ale coraz ciężej
Było pług ciągnąć na odłogu węży,
I tak mię ciasnym wróg opasał kołem,
Że już nie łzami, lecz krwią opłynąłem.

I rano wstałem — a wszystko daremno,
Bo choć dzień świta, to już dla mnie ciemno,
Boś mię pod jesień moją już pobiedził,
Boś dom mój, Panie, ubóstwem nawiedził¹.

Taki głos boleści — to już nie »literatura«, nie »wierszyk liryczny«, nie mistyfikacja, ale coś, co z głębi duszy łka i zawodzi, coś, co z bezsilną rezygnacją głowę opuszcza i załamuje ręce. Tę skargę zbolełego serca uważam za bezwzględnie szczerą; tło faktyczne, rzeczywistość — jest tu zbyt wyolbrzymioną, barwy za ciemne, za ponure; lecz strona uczuciowa musi być wierną, a to nam daje dowód i miarę, jak miękkie, tkliwe serce poety odczuwało swój stan majątkowy. Stąd uraza do świata, do ludzi,

¹ Wiersz nieznany (trzy początkowe strofy opuszczone) z rękopisu Bibl. Jagiell. Nr. 3725.

stąd gorycz i żal. Po czyjej stronie była wina? Czy świat za mało pamiętał o potrzebach poety, czy poeta nie potrafił urządzić sobie życia? Zdaje się, że wina była wspólna....

Troska o chleb nie była jednak w życiu codziennym Pola jedynym powodem smutku i zgryzoty; był drugi niemniej ważny, — to choroba, która rzadko i nie na długo opuszczała dom poety. Małżonka jego oddawna już zapadała na zdrowiu; mąż przywiązany i tkliwy przerywał wtedy prace swoje i największą troskliwością otaczał chorą towarzyszkę życia¹. Wkrótce jednak i jego samego zmogła choroba: cierpienia reumatyczne zapędziły go do łóżka. Przygnębiony i smutny, pisał w swym dzienniczku:

»Porównanie marcowe jeszcze daleko, a ja już i spać nie mogę i stare bole kołacą do łóża. Lewa noga nabiegła mi w kostce po raz pierwszy i rwania wielkie... Że też tak bez czasu postarzałem, a tu dzieci drobne i prace nieukończzone; Bogu to wszystko ofiarować trzeba; jak Bóg łaskaw, to dźwignie«².

Najcięższe było lato roku 1855. Żona po świeżo przebytej chorobie potrzebowała dalszej kuracji u wód; sam poeta miał zalecone kąpiele mineralne, myślał też o wyjeździe.

Trzebaby zdrowia poratować latem,
Więc Swoszowice! Niebardzo zabawne,
Ale co wody, to wody tam sławne.
Otóż stanęło w końcu zresztą na tem,

¹ Lucjanowa Siemieńska do hr. Włodzimierzowej Dzieduszyckiej pisze dn. 31 marca 1854. »Pani Pollowa chora na krzyże mocno, leży; on pocziwy pielęgnuje ją; zastałam go siedzącego przy piecyku i gotującego kawę, na którą i mnie prosił... Rękop. Bibl. Poturzyckiej we Lwowie.

² Cytow. pamiętnik, *Świat* Nr. 41.

Że do Swoszowic z Dziekanem pojedziem
I tam o dalszej biedzie radzić bedziem ¹.

Ostatecznie po wielu przykrych przejściach ² udało się Polowi z rodziną całą zamieszkać w Swoszowicach pod Krakowem, gdzie też niezwłocznie rozpoczął brać kąpiele siarczane; ale kuracja jakoś się nie wiodła. Przytym nad wszystkiemi wisiało ponure widmo zarazy, która w roku tym szerzyła się w Galicji. »Bóg nawiedził nas znowu chorobami — biadał Pol — i obawa nie spuszcza z wędzidła; ale pomór przechodzi i od dni kilku oddechamy wolniej... Cholera zaskoczyła i przerwałem pracę dla kąpieli, kąpiele dla powszechnej trwogi — otóż i cała hystoryja!« ³

Tak cały lipiec spędził w Swoszowicach, trochę się lecząc, trochę pisząc, a niekiedy zaglądając do krakowskich murów; jeszcze dnia 4 sierpnia tam przebywał i najspokojniej oddawał się pracy twórczej ⁴, nie przeczuwając, że anioł śmierci za parę tygodni nawiedzić miał jego ciche domostwo i zabrać mu najdroższą głowę.

Dnia 28 sierpnia ukochana jego Kornelja zasnęła snem wiecznym ⁵.

¹ Tom V, str. 150.

² Szym. Dutkiewicz do Wład. Syrokomli: »...żona Jego, którą do wód do Krynicy w góry wysłał, zasłabła ciężko w drodze i nie miał już głowy myśleć o ekspedycji i wydawnictwie«... *Bibl. Warszawska* r. 1892, t. I, str. 555.

³ List do hr. Klementyny Miączyńskiej, pisany dn. 2 lipca 1855 r.

⁴ Datę »W Swoszowicach dn. 4 sierpnia 1855« nosi w autografie wiersz *Wieczór w Swoszowicach*. (T. V. str. 149).

⁵ Z karty żałobnej: Kornelja z Olszewskich Wincentowa Polowa, przeżywszy lat 44, Przenajśw. Sakramentami opa-

Odeszła wierna towarzyszka doli i niedoli, cicha powiernica wspólnych nadziei, trosk i zawodów, miłująca małżonka i najczulsza matka. Dusza skupiająca w sobie wszystkie szlachetne pierwiastki kobiety polskiej, od przywiązania bez granic i łagodności anielskiej, do troskliwości nieustannej o spokój, ład i porządek domu, — dusza ta opuściła wątłe, chorobami znękanе ciało; ile boleści przeżyć musiał poeta, składając do grobu ukochane szczątki, — ten tylko zrozumieć potrafi, kto najdroższą sobie istotę widział w trumnie.

Jak zwykle w podobnych okolicznościach, zaczęli schodzić się przyjaciele, wyrażać współczucie, pocieszać; — na cóż to wszystko? Czy stratę choć w części zastąpi? Poeta nie znajdował nigdzie i w niczym pociechy, a jeżeli chwilami jakiej ulgi doznawał, to tylko na myśl, że nieszczęście spadło nań z woli i wyroku Boskiego. Nie pozostało mu nic, krom pobożnej rezygnacji. Boleść i choroba powaliły go na łóżko; pióro wypadło z ręki... Zaledwie po siedmiu tygodniach zdobył się na nakreślenie kilku słów, dziękując za okazane mu współczucie; a zanim rozpoczął pisać, postawił na czele litery IND; w imię Boże ujmował pióro po raz pierwszy po tej ciężkiej stracie.

»Pierwszy to list, który piszę po nieszczęściu mojem, którem się podobało Panu Bogu nawiedzić nas i dotknąć tak bardzo; chociaż dawno to czułem, że wypadało napisać do Pani Dobrodziejki, miałem nawet wielką potrzebę duszy odniesienia się w mym

trzoną, po długiej i ciężkiej chorobie przeniosła się do wieczności dn. 28 Sierpnia 1855 r. Eksportacja prosto na cmentarz z domu N. 101 przy ulicy Krupniczej odbędzie się dzisiaj dn. 29 b. m. o godzinie 4 po poł.

ucisku do Pani, ale nie miałem ani siły, ani odwagi do tego, bom się lękał zajrzeć w przepaść mego smutku. Ciągłe jestem chorym, a od dwóch niedziel nie wstaję z łóżka i do napisania tego listu podniosłem się tylko na chwilę. Dopóki Kornelija żyła, — miałem zawsze jeszcze nadzieję, że się i dla nas coś jeszcze zaświeci w tem życiu; dziś — wypadało się z całą przeszłością obliczyć i czuję to, że wszystko poszło nieszczęśliwie! Nie mam ani odwagi, ani siły, a ogrom obowiązków zatrważa mnie; trudno żeglować bez portu, walczyć ze światem bez punktu oparcia. Nic dla mnie nie ma bezpiecznego, więc cierpliwie i z oddaniem się na wolę Bożą czekam co mi przeznaczyć raczył, — znać nie walkę, kiedy sił zabrakło«¹.

Przeszło parę miesięcy, pierwsza boleść minęła, ale na jej miejsce przyszła długa, dręcząca tęsknota i ten brak ukochanej głowy, dający się odczuwać każdej godziny, każdej chwili.

Aniele Strózu! opiekuńczy duchu
Natchnienia mego i tej lutni mojej!
I któż bez Ciebie mą lutnię nastroi?
Kto pieśni mojej użyczy posłuchu?
Kiedy Cię Pan Bóg zabrał nam w potrzebie,
W sierocym domu któż zastąpi Ciebie?
Kto miłościwie pośrodku nas siedzie?
Kto czułą pieczę o nas mieć dziś będzie?...²

I jak zazwyczaj w chwilach smutku i zwątpienia zwracał Pol oczy ku niebu i w niezmierzonej łasce Stwórcy całą pokładał nadzieję, tak i teraz ukorzył się przed Panem, a myśli i uczucia swoje zawarł

¹ List do Klementyny hr. Miączyńskiej z dn. 19 października 1855 r. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

² *Treny*, Tom V, str. 336.

w rzewnej spowiedzi, którą zakończył cichą, błagalną modlitwą:

Panie! zwątpienie ogarnęło duszę
I cały żywot zaciężył i grzechy —
Myśl bez natchnienia — serce bez pociechy —
I jak mur stary w kawałki się kruszę...

Czym ludzką może pogrześlił miłością?
Czy zbytnią wiarą, czy ziemską nadzieją,
Że cały żywot tak mi staje kością,
Że się zwątpienia chwasty w duszy sieją?...

O, był stróż Anioł, co nademną czuwał
I chmury z nieba i z czoła odsuwał,
I łódź żywota kierował na strugi, —
Dziś niema portu, niema i żegluga!

Nie przez me Panie, lecz przez Jej cierpienie
Daj prostą drogę i życia strzeżenie —
Niechaj nie ginę już pod koniec bitwy,
I od zwątpienia oczyść — przez modlitwy! ¹

Są utwory, do których nie ma się odwagi podejść z nożem anatomicznym, wagą i miarą, których się nie śmie rozkładać na pierwiastki, a każdą cząstkę z osobna ważyć, oglądać, oceniać na zimno; — sercem je trzeba odczuć! Do takich utworów zaliczyłbym dwa powyższe. A przeto uchylwszy głowy przed cierpieniem, nie bądźmy jako natrętna gawiedź uliczna, która drzwiami się wciska i przez okna zagląda do domu żałoby.

Wierni przyjaciele nie opuszczali poety, który po-

¹ *Do trenów*. Tom V, str. 337 z poprawkami według autografu.

padł w zupełne odrętwienie i apatię¹; pocieszali jak mogli, starali się go rozerwać, zająć czymś i w inną stronę skierować myśli. Ulegając ich namowom przystąpił Pol do uporządkowania i wydania drobnych poezji, stanowiących plon ostatnich trzech lat. W styczniu roku 1856 rozpoczęto druk, a dn. 14 kwietnia pierwsze egzemplarze opuściły prasę². Poeta rozdawał je najbliższym znajomym jako »swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty«, a szczególną uwagę zwracał na *Makowe ziarno*. Jak zawsze przy wydawnictwie, tak i teraz pomagał zacny pan Szymon; zaglądał też jak dawniej ksiądz Scipio, ale kończyło się tylko na pogawędkach i spacerach, — do dalszej pracy nad *Pacholęciem hetmańskim* miał jeszcze poeta za mało sił i równowagi umysłu.

Ze starszego pokolenia życzliwie nawiedzał Pola dr. Brodowicz³. »Był u mnie pan Brodowicz, słysząc żem na nogę cierpiący, uspokoił i pocieszył. Co to za czysty rozum u tego męża, ile dobrej, świętej woli — pomimo to, że go taką goryczą nakarmił

¹ »...u mnie dziś o postanowienie trudno i z własnego natchnienia nie umiem się wzięść do niczego«. List do Włodz. Dzieduszyckiego z dn. 30 stycznia 1856 r. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

² Poezje: *Z podróży po burzy*. Kraków 1856. Nakładem autora. Drukarnia *Czasu* dała w tym wydaniu wzór, jak się robi »grube« tomy. W zbiorze dzieł mieści się to na 240 str., szerokim drukiem i z wieloma *in blanco*; drukarnia *Czasu* potrafiła zrobić z tego str. 338 i IV. Odpowiednio do grubościznaczono cenę 5 złr.

³ Dr. Józef Brodowicz, ur. 24 lutego 1790, w r. 1823 objął katedrę na wydziale medycznym uniw. Jagiellońs., rektorem był dwukrotnie, ustąpił w r. 1850, zmarł 22 stycznia 1865 r. przeżywszy lat 95. Wydał szereg prac specjalnych, autobiografię i zbiór wierszyków.

świat!«¹ Te kilka słów, zapisanych dorywczo w dzienniczku osobistym, nieprzeznaczonym do druku, dowodzi istotnej sympatji i uznania, które poeta żywił dla tego męża niepospolitych zasług. Brodowicz mieszkał na krańcu miasta (a jak wówczas — za miastem) na Wesołej, gdzie wybudował sobie domek i założył ogród. W tym ogródku, wśród drzew i kwietników zdala od miejskiego gwaru i turkotu, lubił Pol prześadywać; milej mu było tutaj niż w opustoszałym domu, gdzie każdy kąt przypominał bolesną stratę².

A kiedy zatęsknił za tchnieniem spokojnego domu rodzinnego, za widokiem pogodnych twarzy, za wesołym szczebiotem dziecięcym, — wtedy szedł w odwiedziny do Siemieńskich; tam był zawsze witany z całą serdecznością, nie jako gość, ale jako przyjaciel prawdziwy. Dawna to już była znajomość z panem Lucjanem; ciągnęła się jeszcze od czasu między 1835 a 1840 rokiem, kiedy to Siemieński przed wyjazdem na czas dłuższy za granicę mieszkał we Lwowie, przekładał *Rękopis Krółodworski* i wspólnie z Bielowskim pracował nad zbiorem pieśni ludowych. Po latach niewidzenia spotkali się w Krakowie; Pol był wtedy na katedrze, Siemieński zaciągnął się do *Czasu* jako stały kierownik działu literackiego. Od-

¹ Cytowany pamiętnik, *Świat* Nr. 42.

² Częstym gościem na Wesołej był też Dutkiewicz, którego dr. Brodowicz przyzywał wierszykiem:

Przy takim ranku
Warto mój Panku
Zapomnieć smutku,
I dla zabawki
Napić się kawki
W moim ogródku...

świeżona znajomość wkrótce przerodziła się w przyjaźń. Równi sobie wiekiem, zgadzali się też co do poglądów; pod wpływem niedawnych wypadków ulegszy zasadniczej zmianie swych przekonań, począł Siemieński wyznawać i szerzyć ideały, które już od dawna grały na lutni Pola, wiernego syna kościoła i przeszłości. Pierwszy posiadał oczytanie wielkie, znajomość literatur obcych niepowszednią, wykształcenie estetyczne, smak subtelny i bystry zmysł krytyczny; drugi — nie dorównywał mu wykształceniem ale przewyższał talentem. Istniał nawet między nimi pewien rodzaj wzajemnego podziwu. Miał bowiem pan Lucjan przywilej wyciągania z teki przyjaciela niedrukowanych fragmentów i drobnych utworów; szło to oczywiście do feljetonów *Czasu*. Tak już w r. 1854 zamieścił Siemieński w pięciu numerach *Czasu* cały szereg utworów, które opatrzył wstępem, tu i owdzie streścił, a wszystko uwagami krytycznemi połączył; z uwag tych wieje żywe uznanie dla talentu. I później, cokolwiek Siemieński o Polu pisał, — zawsze wyrażał się z życzliwością i uznaniem; czy jednak w pochwałach jego było szczere podniesienie talentu twórczego, czy raczej poparcie dla kierunku literackiego i dla zasad, które Pol szerzył, — to jeszcze pytanie. Pan Wincenty był niewątpliwie szczerzy, gdy pisał w swym pamiętniczku: »Pan Lucjan czytał mi ustępy ze swojej »Historji literatury powszechnej«¹. Rzecz dobra i nowo postawiona. Szczególniej zajęły mnie ustępy z literatury hebrajskiej i całe stanowisko tego dzieła, że na czoło stawia naród w jedynego Boga wierzący. Co na to powiedzą

¹ Mowa o »Przeglądzie dziejów literatury powszechnej«, którego tom I wyszedł w r. 1855.

panteiści? Szkoła filozofji niemieckiej upada u nas coraz więcej. Za parę lat trudno będzie temu uwierzyć, że tak bardzo zaśmiecono Polskę i literaturę temi pojęciami. Dzieło to przyczyni się praktycznie w historycznym wykładzie do rozproszenia tej émy filozoficznej. Rad jestem z duszy temu, że się drukuje. Znać w nim pośpiech, ale wykład jasny i pełen uroku. Winszuję Łuckowi!«¹

Siemieński zwiedził kawał świata, niejedno widział, niejedno przeżył, a wiele przeczytał, miał więc o czym opowiadać; sam usposobienia wesołego — umiał drugich rozruszać i rozweselić. Jak pan Wincenty celował w opowieściach z przeszłości, z polowań, z wojny o niepodległość, tak znów pan Lucjan miał zasób ogromny dykteryjek i krotochwilnych anegdot, które opowiadał z werwą i humorem.

To też poeta częstym bywał gościem na ulicy Florjańskiej; tam zastawał oprócz przyjaciela i małżonkę jego, Ludwikę z hr. Potockich. Pani Lucjanowa żywiła szczerą i bezinteresowną przyjaźń dla całego domu poety²; chorowitą małżonkę jego odwiedzała nieraz, a gdy tej zabrakło, starała się przynajmniej w pewnych chwilach osieroconym córkom zastąpić matkę.

Tak cała gromadka życzliwych serc, państwo Siemieńscy i ksiądz kan. Scipio i Dutkiewicz, a w dalszym rzędzie: Brodowicz, Kremer, Paweł Popiel, otaczała zbolatego poetę, dając mu słowem i czynem dowody współczucia. Widzieli to wszyscy, że Pol potrzebuje kuracji; namawiali go przeto na wyjazd latem do wód zagranicznych; ale nie tego spragniony

¹ Cytow. pamiętnik. *Świat* Nr. 41.

² Przekonanie to powziąłem na podstawie korespondencji familijnej.

był twórca *Pieśni o ziemi naszej*... »Lekarze wyprawiają mnie do wód, ale mnie innego zdrowia potrzeba, niż tego, jakie mi może dać zagranica; mnie by potrzeba wielkiej ciszy, oddechu starej dąbrowy, wiary w pocziwe serca, widoku szczęśliwych twarzy, żebym znowu mógł w co uwierzyć, żeby się serce znowu miało oprzeć o co... Czuję to, że z pożytkiem narodu i z pożytkiem własnej duszy mógłbym jeszcze pracować, ale walki ze światem podjąć nie zdołam, bo mnie Bóg rozbroił wielką boleścią«¹.

Ciszy pragnął... Marzył o wsi spokojnej, o szumiącej dąbrowie, o falujących łąkach, śnił o wypoczynku pośród grona życzliwych ludzi, zdala od miasta i jego codziennych, szarych spraw. Tam, na Rusi, na Pokuciu wyobrażał sobie jakiś żywot błogi, zaciszny, bez trosk i niepokojów, — tego pragnął gorąco. Zapraszano go serdecznie; wiedział, że i u dawnego ucznia swego, Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego w Pieniakach i u Klementyny hr. Miączyńskiej w Podpieczarach znajdzie otwarty dla siebie dom i serce. To też gdy wiosna nadeszła, nie mógł już w mieście wytrzymać. »Ja wyprawiłbym cały świat na wieś. — pisał. W mieście to tylko dla kupców bardzo zdrowo, a dla kancylarzyistów bardzo przyzwoity pobyt!«² Niestety, — nie był wolny; wstrzymywały go obowiązki ojca. Ze wszystkimi dziećmi jechać w gościnę nie mógł, czy nie śmiał; w Podpieczarach nie był jeszcze wówczas tak zadomowionym, jak to później bywało. Myślał więc przede-

¹ List do Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego z dn. 30 stycznia 1856 r. Rękop. Bibl. Poturcz. we Lwowie.

² Do Włodzimierza Dzieduszyckiego, dn. 10 czerwca 1856. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

wszystkim o pozbyciu się dzieci, a dopiero w zależności od tego dalsze układał plany.

»... Jest taki projekt, — pisał dnia 15 kwietnia, że po Zielonych Świątkach mamy ze Stasiem¹ i z Xie-dzem Scypionem jechać na Ruś; naprzód tedy do Podpieczar, potem do Pana Ostaszewskiego do Rakowca, a w końcu do Pieniak... Czuję to, że wyjechać trzeba mi koniecznie, ale dotąd nie wiem czy wyjadę, bom nie sam sobą«².

Pierwszą jego troską był los dwóch dorastających córek. W Krakowie na Gródku, w klasztorze panien Dominikanek osiadła na resztę lat swoich sędziwa matka poety; u niej znalazły dziewczęta tymczasowe schronienie i opiekę. Ale osiemdziesięcioletnia starsuszka nie mogła podołać wychowaniu wnuczek, które potrzebowały nie tylko kobiecej opieki, ale i dalszego kształcenia. W tej chwili krytycznej przełożona pensji klasztornej panien Norbertanek w Imbramowicach³, panna Trzebińska, znając położenie poety, sama oświadczyła gotowość przyjęcia jego córek pod swą opiekę. Pol przyjął tę ofertę z wdzięcznością i po załatwieniu formalności paszportowych dnia 1 lipca wyprawił córki do klasztoru.

Trudniejsza była sprawa z synem Wincentym, który już wówczas siedemnaście lat ukończył. »Wicio nie nachodzi na rękę« — uskarżał się poeta i postanowił koniecznie oddać syna pod opiekę księży Jezuitów, »bo znam to — mówił — z doświadcze-

¹ Najmłodszy, wówczas dziewięcioletni syn, ur. dnia 25 kwietnia 1847 r.

² Do hr. Klementyny Miączyńskiej. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

³ Imbramowice w Królestwie Polskim blisko granicy, powiat Olkuski, djecezcja Kielecka.

nia, choćby długo błędził, będzie miał do czego powrócić po próbach życia i burzliwej młodości«. Pisał więc do przełożonego konwiktu jezuickiego w Tarnopolu, gdzie sam rok jeden swej młodości spędził; ale odpowiedź nie nadchodziła, — a czas uciekał. Ostatecznie umieścił syna na stacji u Dra Szuberta w Krakowie, poczym zwinął zupełnie dom i — odetchnąwszy swobodnie — wyruszył w drogę.

Całe trzy miesiące trwały wiejskie wczasy poety. Dopiero w pierwszych dniach października stanął z powrotem w Krakowie.

Spokojniejszy, weselszy i zdrowszy — powrócił do równowagi umysłowej, nabrał znów ochoty do pracy twórczej, otrząsnął się z przygnębienia i apatji, czuł, że odżył, »ozdrowiał« na ciele i duchu.

To wyrodziło w nim myśl, która go już odtąd nie opuszczała, aż stała się czynem; myśl, aby na stałe Kraków opuścić i osiąść w bliskości przyjaciół na Rusi.

Zaszła w nim jakaś dziwna, niewytłomaczona zmiana sympatji na obojętność; nie tak dawno jeszcze zachwycał się okolicami Krakowa, kochał Wawel i kościoły krakowskie, żył w szczerej i gorącej przyjaźni z garstką życzliwych. A teraz:

»...czuję to, iżby lepiej było, żebym nigdy nie był wyjechał z tej Rusi, czuję, że czas wielki schować się gdzieś przed światem, żem tu obcy, że tu wszystko dla mnie obce«¹.

I ta myśl opuszczenia miasta i zaszcucia się gdzieś w cichym kąciku na Podolu czy Pokuciu tak zajmuje poetę, tak wzrasta i potężnieje, że odtąd wszyst-

¹ Do Włodz. Dzieduszyckiego dn. 30 stycznia 1856. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

kie jego zajęcia i czynności dążą tylko do urzeczywistnienia tego zamiaru. A pierwszym krokiem na tej drodze było podjęcie nowego wydania pism. Po układach przedwstępnych udał się Pol do Wiednia, i tam dnia 4 grudnia podpisał kontrakt z właścicielem drukarni, Zamarskim. Poeta obiecywał sobie, że nowym wydaniem znacznie poprawi swoje położenie materialne, — ale tym razem zawiodły go oczekiwania, a to dzięki bardzo zawikłanej umowie, którą zawarł z księgarzem warszawskim, Orgelbrandem. Całość składała się z czterech tomów, ale z tych jeden tylko dawał rzecz nową, t. j. *Wita Stwosza*, który po raz pierwszy ukazał się tu w druku. Trzy pozostałe tomy zawierały przedruki rzeczy dawniejszych, mianowicie *Pamiętniki Winnickiego*, *Mohorta* i drobne poezje *Z podróży po burzy*. Ściśle mówiąc, przedruki te były niepotrzebne, bo drugie wydanie *Mohorta* rozchodziło się wolniej, *Pamiętniki* wydane w Petersburgu przez Wolffa również nie były jeszcze na wyczerpaniu, co zaś do poezji drobnych, które na wiosnę tegoż roku opuściły prasę, to wprawdzie z wydania tego Orgelbrand nabył tysiąc egzemplarzy od autora za sumę 3000 zł. reńs., ale ich bynajmniej nie rozprzedał; stąd i Wolff i Orgelbrand słusznie rościli pretensje. Ostatecznie Orgelbrand kupił tysiąc egzempl. wydania wiedeńskiego za 6000 zł. reńs., a że sam druk wyniósł około 4600 fl.¹, nie licząc kosztów podróży do Wiednia i innych wydatków, więc poeta na razie zyskał około tysiąca złr. Wprawdzie wydrukowano 4000 egz. czyli 16.000 tomów, ale według umowy autor nie miał prawa pusz-

¹ Umowa z drukarnią i rachunki Zamarskiego znajdują się w kod. rękop. Bibl. Ossolińs. Nr. 3148.

czać reszty w obieg. dopóki Orgelbrand swego tyśiąca nie rozprzeda. W te różne warunki, zastrzeżenia i umowy przy coraz to świeżych przedrukach tak się wreszcie poeta zawikłał, że już wybrnąć z nich nie było rady ani sposobu. Stanowczo nie miał do interesów głowy. Gdyby był tego wydania wiedeńskiego w 4 ch tomach zaniechał, a tylko *Wita Stwosza* do druku oddał, z pewnością byłby uniknął wielu ciężkich przykrości. Już w czasie druku prze-czuwał, że się wplątał w niepewny interes.

»Na prawdę mówiąc strach mi bardzo wilków, ale tych, co to w Warszawie siedzą i książkami kupczą! Wdałem się w ciężką antreprizę i boję się, żeby mnie wilki nie zjedli!« — zwierzał się w liście poufnym ¹.

Ale stało się. Umowy podpisane, druk rozpoczęty. Na cały styczeń przyjechał Pol do Krakowa; uciekając przed gośćmi, którzy mu czas zabierali i przeszkadzali w pracy, przesiadywał poeta bądź u Dutkiewicza, bądź u księdza Scipiona i dyktował im objaśnienia do *Wita Stwosza* oraz dodatek do objaśnień do *Mohorta*. Dyktował — tak, niestety; pisać już nie mógł, bo oczy coraz częściej wypowiadały posłuszeństwo; zaledwie na list czasem się zdobył, a i wtedy musiał pisanie przerywać dla cierpień ocznych i bólu głowy.

Gdy kolej przyszła na druk *Wita Stwosza*, osobiście udał się znów do Wiednia i przez sześć tygodni roboty doglądał. Zastał tam towarzystwo rodaków, których już dawniej znał, jak oto: Mikołaja Antoniewicza, literata, księdza Konstantego Ma-

¹ Do Klem. hr. Miączyńskiego z dn. 24 stycznia 1857 roku. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

niewskiego, proboszcza z Podpieczar, Jana Radwańskiego, przyjaciela z Krakowa; a przede wszystkim wymienić tu trzeba bawiącą wówczas w Wiedniu z rodziną całą Klementynę hr. Miączyńską, wielbielkę talentu i życzliwą protektorkę, u której autor *Mohorta* spędził ostatnie lato. To właśnie grono przyjaciół i znajomych zgotowało poecie owacyjkę z okazji ukończenia druku. Dnia 17 marca podczas uroczystej uczty ofiarowano mu pamiątkowy puchar srebrny oraz wydaną na jego cześć broszurkę, składającą się z kantaty na trzy głosy męskie oraz kilku wierszyków pióra przeważnie księdza Maniewskiego. Niepotrzebnie starano się później nadać temu zdarzeniu szerszy charakter i drobny fakt rozdmuchać do wielkości hołdu narodowego; w istocie była to serdeczna przyjacielska uroczystość w zamkniętym kółku i nic więcej.

Dnia 21 marca 1857 powrócił Pol do Krakowa i czekał tylko chwili, aby to miasto opuścić. I tu spotkało go wkrótce drugie w ciągu ostatnich lat nieszczęście rodzinne, nowa bolesna strata. Dnia 15 kwietnia w klasztorze P.P. Dominikanek na Gródku po krótkiej chorobie zmarła sędziwa matka poety, Eleonora, przeżywszy lat 82.

»Trzymałem się duszą, — pisze Pol, ale siły nie dopisały mi, gdy przyszło starszą głowę odnieść do grobu, zdało mi się, że mnie któreś z moich dzieci podeprze, ale żadnego nie było, bo nawet Staś nie mógł być ze mną. Coś niedobrego stało się w mózgu moim, kiedy po nabożeństwie na Gródku ruszył kondukt na smętarz... Na całej drodze przed sobą widziałem szereg trumien i poznawałem każdą od trumny mego ojca począwszy, a kończąc na trumnie Kornelii; trwało to tak długo, żeśmy od Gródka

doszli aż do domu Pana Piotra Moszyńskiego; bardzo mnie to męczyło, żem wszystkie trumny widział, a nie wiedziałem czyja jest ostatnia, której nie znałem; nie wiedziałem kogo prowadziem do grobu; czułem, że to zły stan a nie umiałem sobie radzić. »Trzymaj się« — rzekł mi ktoś i chwycił mnie silnie za rękę; poznałem Pana Piotra i podparty zdążyłem tak blisko do trumny, że lubo z trudnością przeczytałem napis, który był na tarczy w głowach położony; to dało mi znowu przytomność i siłę, aby iść dalej ¹.

Po tej nowej stracie przyszedł Pol do równowagi znacznie prędzej, niż po zgonie Kornelji; nie odczuwał tak ciągłego braku ukochanej głowy, jak wówczas; rozumiał to, że z wolą i łaską Boga czas był tej sędziwej staruszce odejść do lepszego świata. I teraz myśl o porzuceniu Krakowa na zawsze tym silniej go opanowała, że nie miał tu już nikogo z blizkich: pozostawiał tylko na cmentarzu rakowickim dwa groby. Czekał więc odpowiedniej pory, bo znów, jak roku poprzedniego, wstrzymywały go obowiązki ojca; należało dzieci ze szkół odebrać i umieścić u życzliwych przyjaciół na czas wakacji. W tym celu jeździł poeta na parę tygodni do Królestwa i odebrawszy córki z klasztoru, pozostawił je w gościnie u państwa Popielów w Kurozwękach pod Staszowem. Mały Staś dopiero 8 lipca miał zdawać egzamin; czekał więc i na to, potym zaś należało jechać do Stanisławowa i odebrać syna, który cały rok przebył tam w szkołach. A tu jeszcze księgarz Orgelbrand zjechał do Krakowa i męczył poetę, dobijając targu; a tu znów ojcowie Dominikanie zamó-

¹ List do Kl. Międzyńskiej z dn. 1 maja 1857. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

wili książeczkę o św. Jacku, którą trzeba było co prędzej na czas jubileuszu zakonu skończyć.

»Bóg widzi, iż robię, co mogę, — skarżył się Pol, — ale więcejby niż jednego potrzeba na to«... Najbardziej dokuczały poecie listy w różnych sprawach, na które musiał odpisywać i »niepotrzebni« goście, których rad nierać przyjmować musiał.

»...u nas jarmark, z domu nie wychodzę i mam przez dzień cały gości, a gości bardzo niepotrzebnych; źle się bawimy, bo ja chciałbym bawić, a nie mam czem, — oni chcieliby admirować, a nie ma co!¹ Bardzo jestem strudzony i spasowany i fizycznie i moralnie. Wielki czas do pasieki i do dąbrowy!«²

Na domiar złego przywołano Pola korespondencją *pro publico bono*. Towarzystwo Naukowe Krakowskie, oddzielone od Uniwersytetu, rozpoczęło budowę własnej siedziby przy ul. Sławkowskiej; dla pozyskania funduszków postanowiono wydać album, zawierający prace wszystkich żyjących uczonych i literatów. Autor *Mohorta*, zaproszony do komitetu redakcyjnego, wziął na siebie obowiązek rozpisywania listów do osób, odznaczających się bądź wiekiem podeszłym, bądź tytułem, bądź zasługami na polu literackim. Począwszy od sędziwego generała Franciszka Morawskiego i Fryderyka hr. Skarbka, kończąc na młodszych, jak Maurycy hr. Dzieduszycki, późniejszy biograf poety, wszystkich obsyłał Pol długimi zaproszeniami, które przeważnie własną pisał ręką mimo ciągłego cierpienia oczu i częstych bólów głowy. Umęczyło go to bardzo. »Album na rzecz N. Towarzystwa tępo idzie, przestałem pić wody i piszę

¹ Do Kłem. Miączyńskiej dn. 7 maja 1857. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

² Do Włodzim. Dzieduszyckiego dnia 6 maja t. r. Tamże.

wezwania i listy, ledwo że by nie łatwiej było samemu napisać tę książkę, niż spędzić artykuły współpracowników, którzy prześliczne odmowne listy piszą»¹.

Tak przygnieciony żalobą i troskami, smutny, zakłopotany, ulatywał na skrzydłach tęsknoty do przyjaciół swoich na Ruś, na Pokucie; i wtedy na nutę Mohortowej dumki wyśpiewał rzewną piosenkę powrotu:

Czas do domu czas,
Zabawili nas!
Czas to miasto grobów rzucić
I na Ruś do swoich wrócić —
Czas do domu, czas,
Zabawili nas!

Poszło z sił i z lat...
Zmienił mi się świat!
Czasby wytechnąć wielki Boże!
Gdzieś śród jaru na futorze —
Czas do domu, czas,
Zabawili nas!

Patrzę na ksiąg stos,
Jak na własny los,
Jak na bracią i ich rany
Po tej bitwie nam przegranej,
Czas do domu, czas,
Zabawili nas....²

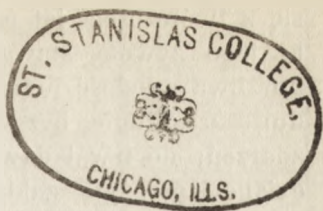
Nadeszła wreszcie chwila. W początkach sierpnia poeta siadł na »wóz Antychrysta« i opuścił miasto grobów, spiesząc do swoich, na Ruś. Z wielką nadzieją, z wiarą w przyszłość witał podwawelski gród

¹ L. do Klem. Miączyńskiej z dnia 6 lipca 1857. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

² *Panu Brodowiczowi przy wyjeździe...* Tom V, str. 325 z poprawkami według autografu.

w roku 1849, z rozgoryczeniem, zawodem i troską opuszczał jego mury w r. 1857. Ta chwila wyjazdu zamykała pewien okres jego żywota, szereg lat, przez które niejedno przeżył, a wiele przemyślał. Dla poety był to okres twórczości najobfitszy, najpłodniejszy; dla człowieka — były to dalsze lata prób wprowadzenia w życie tego *credo*, które w r. 1846 zdobył doświadczeniem i pracą ducha: »Wiernie stanąć na przeszłości, jak krew ze krwi, jak kość z kości, i sumiennie poczcć dzieje...« Przez lata krakowskie Pol i jako człowiek-obywatel i jako poeta usiłuje być »mężem dobrego posiewu«, rozrzucając ziarna prawd, które uważał za zbawienne. Nie wszystkie ziarna wydały kłos, ale przyjęło się, zakiełkowało wiele; — znać gleba była przygotowana odpowiednio. Sam poeta w tym okresie uzupełnia swój program, ukazuje nam własnym przykładem, jak należy *Godło życia* w różnych okolicznościach stosować. Przyszła nań wprawdzie chwila zwątpienia »po tej bitwie nam przegranej«, ale nie przypuszczał nawet, iżby *Godło* było złe, niewystarczające; — nie, to świat stał się zły, przewrotny, nikiemny. Nigdy przedtem ani później poeta nasz tyle szat nie narozdzierał nad nędzą świata współczesnego, jak w tym okresie krakowskim. Były to lata refleksji, zadumy nad światem i nad sobą, jako jednostką świata przeciwstawioną. Myśl o losie współczesnych a zarazem bolesne wypadki własnego życia zmuszały go do obliczenia się z samym sobą; rzucał wtedy spojrzenie wstecz, aż od kolebki dziecięcej poczynając, przechodził wszystkie chwile przełomowe, wszystkie stadja i słupy graniczne, czynił przed sobą spowiedź z całego życia. A myśli o świecie współczesnym i wyznania swoje najszczerze, wrażenia bez-

pośrednie, chwilowe, i rezultaty długich godzin zadumy, — wszystko to skupiał, streszczał i oddawał wiernie w swych krótkich, często przygodnie kreślonych drobnych poezjach: tak powstała księga *Z podróży po burzy*.



V.

Z podróży po burzy.

Wspomnienia młodości. — *Jako bywało* i *Makowe ziarnko*. —
Wiejskie wczasy. — Poezja opisowa. — *Zimą w puszczy*
i *Czarna krówka*. — Uwagi ogólne.

W roku 1831 był Pol świadkiem wielkich wydarzeń; co widział, co zapamiętał, — to odtworzył dokładnie, biorąc fakta z życia, z rzeczywistości, dodając do nich żar własnego uczucia i zapału. Między r. 1835 a 1840 spoglądał poeta na krajobrazy piękne i potężne, wdzierał się na śniegiem pokryte wirchy, wsłuchiwał się w poszum siklawy, obcował z ludem górskim, który żyjąc zdala od ognisk cywilizacji, przechował strój i obyczaj, pieśń i legendę, tchnące żywą, przyrodzoną poezją; i w tym wypadku poeta oddał wiernie co widział i co czuł na widok wspa-
niałej natury górskiej, oraz powtórzył miejscowe po-
dania i gadki. Jak w r. 1831 sam temat zawierał w sobie ogrom pierwiastku bohaterskiego i lirycz-
nego zarazem, tak później widoki gór i legenda
ludu podawały temat niezmiernie wdzięczny, który
do dziś dnia nęci i zapewne długo jeszcze nęcić
będzie pióra poetów; tutaj temat sam przez się
wdzięczny i poetyczny, ujęty poprostu — dał rzecz
pełną wdzięku i przedziwnego uroku. Inaczej stało

się z twórczością lat późniejszych W. Pola. Wypadki jego żywota stawały się coraz powszedniejsze, burzliwa młodość przeminęła niepowrotnie; nastały dni szare, długie, bez wielkich czynów i niezwykłych zdarzeń; ale trwał dawny popęd, aby wszystko widziane i przeżyte zaklinać w rymy. Tak powstała poezja życia codziennego, w którym najdonioślejszymi wypadkami był wyjazd na wieś, albo odwiedziny proboszcza w Niepołomicach, albo przechadzka pod murem kapucyńskiego ogrodu. Zamiast Gierlachu, Świnicy i Morskiego Oka oglądał poeta okolicę Krakowa i Krosna; tematy, motywy tej poezji stawały się coraz prostsze, coraz powszedniejsze.

Otóż cała wartość takiej poezji polega na rodzaju talentu, jakim pisarz rozporządza. Twórca o wyobraźni bogatej i lotnej potrafi najbliższy przedmiot tak oprząść subtelną nicią swych natchnień, takimi klejnotami ozdobić, taką mocą wonnego kwiecia zarzucić, że przedmiot traci swe pospolite kontury, ginie po za tęczową aureolą poezji. Ale znając cechy talentu Pola, można było z góry przewidzieć, że nie zdoła on zdarzenia powszedniego otoczyć nimbem blasków i woni; co widział to zawsze odtwarzał albo raczej opisywał wiernie; co słyszał — powtarzał bez zmian. To też czytając liczne karty tego ostatniego zbioru, ma się prawie ciągle świadomość, że to jest wiersz, ale jeszcze nie poezja. Jedyną rzeczą, która miejscami ratuje te obrazki życia powszedniego od zupełnej szarzyzny i miernoty, jest pierwiastek uczuciowy. Nie jest to wprawdzie ten dawny żar i zapal, dawny entuzjazm i wiara w przyszłość, ale jakaś tęskna a rzewna zaduma, spoglądająca ze łzami na przeszłość, z niepokojem i trwogą na przyszłość, a nad dniem dzisiejszym z rezygnacją załamująca ręce.

Gdzie to uczucie przenika treść powszednią i oddaną po prostu, tam można mówić o poezji; gdzie miejsce uczucia zastąpił suchy morał, a wyobrażenia twórcza nie dopisała zupełnie, tam spotykamy wiersze »od niechcenia« pisane. Na pierwszych zatrzymać się warto, o drugich lepiej byłoby zamilczeć.

Na rok przed śmiercią Wincenty Pol, ociemniały i jak gołąb siwy, na schyłku dni swych sięgając wstecz pamięcią, mówił:

Potęgo wspomnień lat minionych wcześniej!
Jakże powracać do ciebie boleśnie,
Kiedy się wszystko dokoła zmieniło,
Co takim czarem, taką stało siłą;
Wszystko — prócz serca, co wiecznie boleje,
Że je zawiodły młodości nadzieje...

To uczucie »bolesne«, towarzyszące rozpamiętywaniom lat dzieciństwa i młodości, tak częste u starców nad grobem stojących, oddawna już rozgościło się w sercu Pola. Choć liczył zaledwie czterdzieści kilka lat, już przeczuwał, że zbliżyła się jesień żywota, że nie ujrzy już nigdy wiosennego słońca, ani tej rosy porannej perlącej się na kwiatach pierwszych uczuć, ani tych ptasząt przybywających z wyraju na nowe życie, nową pieśń.

W duszy ludzkiej tkwi głęboko istotny i jedyny powód, dla którego na jesieni żywota stroi człowiek w kwiaty i tęcze dziecinne swe lata i pierwsze kroki młodości. Każdy wiek ma swoje troski i zgryzoty, ma je też i wiek dziecięcy; kilkoletnie dziecko, zanosząc się od płaczu, cierpi naprawdę, że jego największe, najsilniejsze pragnienie nie sprawdza się, chociaż pragnienie to polegać może na potrząśnięciu grzechotką lub dotknięciu lalki. Ale w latach późniejszych zawsze gotów człowiek twierdzić, że te czasy ubiegłe

były jasne i szczęśliwe; z tęsknotą do nich powraca myślą, idealizując je mimowiednie. Uczucie to, właściwe wszystkim — znajduje szeroki wyraz w poezji. Ono to kazało wieszczowi Adamowi, gdy nań przyszedł »wiek męski, wiek klęski«, pisać z utęsknieniem:

Polaly się lzy me czyste, rześiste
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i chmurną...

I czy to będzie u Słowackiego *Godzina myśli*, czy u Gaszyńskiego *Sielanka młodości*, czy u Zaleskiego ustęp VI *Ducha od stepu*, wszędzie znajdziemy obrazki i sceny z życia, przesłonięte mgłą oddalenia, prześycone uczuciem rzewnym i tęsknym.

Z tych samych przyczyn psychologicznych i tegoż uczucia powstał jeden z najlepszych wierszy Wincentego Pola: *Przebolało*.

Dzieciństwo jego było »czyste, ciche i szczęśliwe, a jak ziemia miłościwe«; im bardziej odsuwało się w przeszłość, tym więcej zyskiwało w pamięci poety tęczyowych blasków i tajemniczych dźwięków. Stworzył on sobie z dziecinnych lat jakiś świat zaczarowany, daleki od rzeczywistości; w nim przebywając, doznawał ukojenia i słodyczy, znajdował ucieczkę od codziennych trosk. Bo, jak mówi Konstanty Gaszyński,

... są wspomnienia

Co ożywiają serce. — Głos ich uroczysty,
Czuły, jak sen tułacza o ziemi ojczystej —
Jak westchnienie miłości, jak wieszczą marzenia.
One, gdy serce smutne, gdy umysł się chmurzy,
Błyskają mu pociechą jak tęcza wśród burzy;
I zwiędłe życia błonie świeżym strojąc kwiatem,
Łączą kolebkę z grobem, a człowieka z światem.

Śród takich żyjąc wspomnień, Pol już przed laty kilkunastu stworzył z nich mały, niezmiernie wdzięczny i szczery obrazek, który mu posłużył za punkt wyjścia do głębszych refleksji i zwierzeń (*Z życia*, wiersz VII, »O czarnoksięski młodych lat uroku«¹). Teraz, gdy »żywot mu zacieżył«, kiedy »upał pierś wysuszył«, szukając pociechy i ukojenia we wspomnieniach młodości, pragnął przywołać dawne ukochane twarze, uprzytomnić sobie chwile, przeżyte w szczęściu i swobodzie, oczarować je technieniem marzenia i utrwalić w słowie. To było pierwsze jego pragnienie i potrzeba tęskniącego serca. Nie ścierając ze wspomnień tęczowej patyny lat kilkadziesiątu, stworzyć wymarzony świat, w którymby żaden zgrzyt, żaden pobrząk łańcucha nie mącił harmonji chórów anielskich. Ale był jeszcze powód drugi, któremu wiersz *Przebolało* zawdzięcza swe powstanie i taką a nie inną postać.

Młodość, Mistrzu, jest rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot cały,
Choć przemienie sama szparko,
Cios jej dłuta wiecznotrwały.

Pol, jak gdyby znał te słowa Kraszińskiego, postanowił przedstawić młodość swą jako rzeźbiarkę wykuwającą żywot cały, uwydatnić każdy cios dłuta z osobna, iżby widocznym było, dzięki jakim okolicznościom i ludziom jego jaźń ukształtowała się w ten właśnie sposób. Taki był niewątpliwie zamiar poety, — i stosownie do tego zamiaru przystąpił on do rozłożenia swej duszy na poszczególne pierwiastki. I widział tam najpierw wiarę w Boga, ujętą

¹ Tom IX, str. 254 i n.

w kamienne ramy Składu Apostolskiego, i z wiary tej płynący pogląd na dzieje ludzkości; dalej widział umiłowanie przeszłości narodowej i wierną służbę »ojców sławie«; potym dostrzegał w sobie nieprzeparty pociąg do zacisznego życia sielskiego, gdzieś wśród sadu, przy pasiece; a dalej — uświadamiał sobie, jak wysoko ceni prostą, nieuczoną twórczość ludu, jego pieśni, legiendy naiwne i podania teńjące duchem czasów zamierzchłych; nakoniec czuł to, że jest poetą, że przychodzą nań chwile natchnień, gdy odrywa się od świata rzeczywistego »i ku gwiazdom w niebo dąży, i z sferami razem krąży«...

W ten sposób rozłożywszy jaźń swoją na części składowe, usiłuje poeta w wierszu *Przebolało* wykazać, że wszystkie te pierwiastki wszczepione były weń już w latach dzieciństwa i wczesnej młodości; wywołuje przeto szereg postaci, z których każda ma zadać jakiś »cios dłuta«, a wszystkie razem mają wykuć »żywot cały«. Stąd wiersz *Przebolało*, pozornie składający się z luźnych obrazków, chronologicznie ułożonych, ma wewnętrzny związek, płynący z powziętego z góry planu; stąd także brak temu utworowi naiwnej szczerości i bezpośredniości, jaką zazwyczaj mają w poezji wspomnienia młodszych lat. Przy pierwszym czytaniu *Przebolało* posiada urok niezwykły, ujmuje serdecznością i prostotą, a jednak po chwili namysłu widzi się, że tu czegoś brakuje, i to rzeczy koniecznych. Jakoż istotnie nie znajdujemy ani wzmianki o tej, co przy kołysce nocie bezsenne spędza a później rączki dziecięcia składa, ucząc pierwszych wyrazów modlitwy, — ani słowa o matce; dalej — ani słowa o ojcu, braciach, siostrach, o towarzyszach zabaw i nauk, o starym gawędziarzu Winnickim; a wiemy

przecież, że ci wszyscy otaczali małego Wicusia. Co więcej, — ma się takie wrażenie, jakby poeta nigdy domu rodzinnego nie miał, jakby się ciągle tułał w futorze pasiecznika i gdzieś nad brzegiem stawu, jakby się wychowywał tylko w jakimś tajemniczym zamku, przy księdzu i kozaku. Powyższe braki rażące tym się tłumaczą, że poeta ze wszystkich postaci, zachowanych w pamięci, wybierał tylko te, które najwięcej odpowiadały jego zamiarowi, które wchodziły w jego plan; inne odrzucił, przemilczał o nich, aby nie psuły ułożonego z góry pomysłu. A więc: wiarę silną i pogląd na świat ze stanowiska religijnego ma w młodzieńcu zaszcześcić ksiądz Bazyljan; umiłowanie przeszłości wyniesie z dworu starego szlachcica; sędziwy pasiecznik ze swym sadem i pasieką rozbudzi w nim pociąg do życia sielskiego; kozak, śpiewak z nad Dniepru, nauczy go odczuwać pieśń i podanie ludu; wreszcie długie noce, spędzane z rybakami na wodzie, rozwiną w nim marzycielskość, szukanie natchnień na gwiazdnych szlakach.

W pierwszym ustępie wywołuje poeta cień sędziwego pasiecznika i daje nam obrazek z dzieciństwa swego tak wdzięczny, tak pełen słońca i kwiatów, pszczoł brzęku i świergotu ptasząt, że istotnie działa nam na wyobraźnię, budząc w nas uczucie dziecinnej radości i rzewne wspomnienia tych jasnych, swobodnych lat, kiedy to najmiłszym darem bywały »plastry miodu i łuszczaki, z pod wiewiórki podebrane«. Ten ustęp uważałbym za jedną z najpiękniejszych sielanek, jakimi poszczycić się może poezja polska; barwami zupełnie prostymi i swojskimi maluje poeta wdzięcznie i lekko i z uczuciem szczerym, a zachowując tę właściwą miarę, która broni od przesłodzenia i zbytniego roztkliwiania się.

Ustęp drugi już mniej posiada pierwiastku poetycznego: suchy opis pokoiku, potym sylwetka księdza, z której wieje pewien chłód. Więcej serca włożył poeta, odtwarzając kozaka Sokoła, co »wieczorem dumy śpiewał, nocą gadki opowiadał«, choć i tego zbytecznie nazywa »człowiekiem do usługi«. Potym następuje zmiana krajobrazu: »inne strony, inni ludzie«. Młodzieniec z książką błąka się nad brzegiem stawu, aż raz wieczorem siada do łodzi rybackiej i odtąd stale bierze udział w nocnych połowach. Nie postać rybaka i nie opis połowu są punktem ciężkości w tym obrazku, ale odtworzenie tych pierwszych chwil, gdy młodzieniec »natchnienie biorąc z góry«, podsłuchiwał w nocnej ciszy

I niejeden głos natury,
I niejedną tajemnicę,
Co się po dniu nie odgadnie —
Lecz wybije jak na lice,
Gdy się nocą duch wykradnie,
I ku gwiazdom w niebo dąży
I z sferami razem krąży!

W młodzieńcu rozwija się marzycielskość, myśl jego szybuje coraz dalej, coraz szersze obejmuje horyzonty, ale brak jej jeszcze jakiegoś stałego punktu oparcia; stąd błąkanie się i rozterka wewnętrzna.

A czym głębiej się zanurzył
Duch mój, nurek, w toń bezdenną,
Tym też bardziej świat się chmurzył,
I chodziłem z duszą senną.

Na szczęście rychło nastąpiło przebudzenie; poeta ujrzał się w sadzie pod dworem łowczego. Tu następuje ostatni obrazek, który jako dalekie, rzewne echo pierwszej miłości mógł być wdzięczny i ujmu-

jący, ale niestety uległ zepsuciu przez ten drugi motyw, przez konieczność uwydatnienia nowego »ciosu dłuta«; w tym celu wprowadził poeta łowczego z całym dworem. Ta postać starego szlachcica pozornie jest tu zupełnie zbyteczna; zdawałoby się, że to dygresja, wada kompozycji; ale nie: bo wzór czy też widok »starego szlachcica« ma obudzić w młodzieńcu umiłowanie przeszłości. Cały ten ustęp wykonany jest najślabiej; opowiadanie rwie się raz po raz, jakieś niedomówienia, ciemności tajemnicze (Noc to była cicha, ciemna, A jak przyszłość tak tajemna), które miały potęgować wrażenie, a w istocie zaciemniają myśl przewodnią. Ta dopiero w słowach przysięgi przebija się i jest niespodzianką dla czytelnika, który nie spodziewał się tak patetycznego zakończenia pierwszej młodzieńczej miłości.

Na tym kończy się szereg obrazków i postaci.

To ostatnia chwila złota
W owej nocy, w owym dworze...
A na resztę dni żywota
Spuść zasłonę wielki Boże!

Jakże to? A czasy wileńskie? A pułk dziesiąty ułanów? A Drezno i Klaudyna Potocka i Mickiewicz? O tym wszystkim zapomina poeta i od tych słów rozpoczyna gorzki, namiętny akt oskarżenia, rzucony w twarz całemu światu.

Któż mnie śledził po tej wstędze?
Gdzież jest świadek mojej drogi?
Sławę cisnął świat pod nogi...
Ja mu rzucam moją nędzę!
Bo z wszystkiego mnie odarto,
Co od Boga było dane;
A więc kwita -- bo zmazane
Krwawe życie -- krwawą kartą!

I tak aż do końca ciągnie się jeden wybuch żalu, rozgoryczenia, zwątpienia, niemal rozpacz; jeden potok cierpkich słów, którym nie można odmówić siły i szczerości, ale które są w wysokim stopniu niesprawiedliwe. Trafiają się momenty niepospolicie piękne jak np. cały ten ustęp: »O, jest wielka natchnień wstęga, Co sojusze ziemskie sprzęga«... Ale mieszają się do nich zgrzyty głębokiej urazy i zniechęcenia. Zazwyczaj czytając *Przebolało*, zwraca się całą uwagę na pastelowe obrazki dzieciństwa; — zakończenie przebiega się pospiesznie, gdy tymczasem kilkanaście ostatnich strof zasługuje na bliższe rozpatrzenie. Do psychologii poety jest to materiał pierwszorzędny; cały utwór od początku do słów »To ostatnia chwila złota«... w ust. V, ma za cel, oprócz odświeżenia i utrwalenia wspomnień, wyidealizowanie rozwoju duchowego poety; zakończenie zaś jest rękawicą, rzuconą w twarz światu. Poeta przeciwstawia sobie tym, co ze wszystkiego go odarli; »Sławę cisnął świat pod nogi... Ja mu rzucam moją nędzę!« Swego doskonałego, w najwznioślejsze pierwiastki bogatego ducha przeciwstawia złości i podłości świata. Często spotyka się u Pola narzekanie na świat z powodów ogólniejszych; tutaj, w *Przebolało* dał ujście swej goryczy — z powodów osobistych; znalazł na to wyrazy silne, chwilami piękne, ale zawsze — niesprawiedliwe.

Gdyby nie to zakończenie, stanowiące złowrogi rozdźwięk po harmonijnych melodjach dzieciństwa, *Przebolało* byłoby wzorem rzewnych sielanek, osnutych na wspomnieniach młodości. Jest tam częste u poetów podniesienie do ideału rzeczy powszednich, które oglądane przy świetle zachodu mają jakąś niezwykłą, niecodzienną barwę; jest prostota wielka

w połączeniu z wdziękiem i pogodą; jest wreszcie ogólny ton, rzewny, tęskny, melancholijny. Oto przykład, jak środkami najprostszymi potrafi Pol wyrazić bezmiar przywiązania, tęsknoty i żalu:

Gdy nadchodzi noc bezsenna,
 A pierś ciężko coś uciska:
 To po dziś dzień, wielki Boże!
 Jak się wsłucham w nocną ciszę,
 Jak się w tamte czasy wdrożę,
 To pieśń jego jeszcze słyszę,
 Jak od stepów, jak od szlaku...

 Gdzieżeś, gdzieżeś mój śpiewaku?

I takich pytań rzuca kilka; czy to gdy pierwszy ustęp zamyka słowami: »Gdzieżeś, gdzieżeś przyjacielu, Mój ty stary pasieczniku?« Albo gdy przy końcu ustępu III pyta »Gdzieżeś, gdzieżeś mój stawniczy?« — Pytania te zostawia poeta bez odpowiedzi, bo byłaby zbytęczną; wszyscy domyślamy się, że i pasiecznik i kozak i stawniczy bądź w grobie już spoczywali, bądź stali nad grobem, — wszyscy wiemy, że to już czasy niepowrotne, — stąd *lacrimae rerum*.

Wiersz *Przebolało* wyróżnia się z całego zbioru *Z podróży po burzy* przede wszystkim dzięki temu, że gdy w znacznej większości utworów rzeczy zwykłe, zdarzenia pospolite z życia współczesnego przedstawione są mniej lub więcej realistycznie, — tutaj fakty bardziej oddalone, chwile dawno minione odtworzone są z wyraźnym usiłowaniem idealizacji; to właśnie nasuwa przypuszczenie, że ten rodzaj czy typ twórczości, jako wyjątkowy u Pola (w danej zwłaszcza chwili), mógł być przejęty, naśladowany. I gdy zadamy sobie pytanie, do kogo

najbardziej zbliżył się tu nasz poeta, to najpierw przychodzi na myśl Zaleski. Sam pomysł: uczynić przegląd swej młodości w najważniejszych jej momentach, — spotyka się w ustępie VI *Ducha od stepu*, ale to podobieństwo pomysłów może być zupełnie przypadkowe. Inaczej się rzecz przedstawia, gdy spojrzymy na *Rusałki*. Różnice są wielkie: tu treścią wyłączną jakaś tęczowa miłość młodzieńcza, tam cała młodość w szeregu obrazków; tu wprowadzony świat baśni, postaci fantastyczne, u Pola ani śladu świata fantastycznego. Atoli obok tych różnic są i podobieństwa: rytm ten sam, podobne wyrażenia tu i owdzie; na przykład pierwszy wiersz u Zaleskiego: Święć się, święć się wieku młody; w *Przebolało*: Gdzieżeś, gdzieżeś wieku młody? Druga połowa wiersza u Pola dosłownie z Zaleskiego wzięta, pierwsza zaś — musiała powstać pod jego wpływem. U twórcy *Rusałek* powtarzanie jednego wyrazu było częste, u Pola bardzo rzadkie; gdyby autor *Mohorta* nie naśladował tu Zaleskiego, byłby pewno rozpoczął »Gdzieżeś to tam wieku młody?«

Wreszcie znajduję w *Przebolało* dwa miejsca, których pokrewieństwo z *Rusałkami* wyjaśni się przez zestawienie. I tak u Pola czytamy:

Tam ogródki i dworeczki,
Między łąki, między zboża
Płyną drogi i ścieżeczki.
Z drugiej strony staw i rzeka,
I dąbrowa gdzieś daleka...

U Zaleskiego odpowiedni ustęp brzmi:

Był na przedzie bór ponury,
Bliżej rzeka: po nad rzeką
Kwitła łąka wzdłuż, daleko
W prawo skały, w lewo góry.

Nazad ścieżka między zboża,
Widać wioskę mało-wiele...

Scena pożegnania z kochanką — w *Przebolało*:

...w tym cichym starym dworze
Jam ślub złożył Tobie, Boże!
Wiernie służyć wiernej sprawie
I pocziwej ojców sławie,
I czcić sercem, co jest święte,
I w światłości tam poczęte...
Przy otwartym oknie stałem,
Patrząc w gwiazdy u jej boku,
A gdym przysiągł, łzę ujrzałem,
Łzę anielską i w jej oku.
Ach i ręki jej ściśnieniem
Utwierdzony, pożegnany
Niby świętym namaszczeniem,
Jam się rzucił w świat nieznany.

W *Rusalkach* scena pożegnania z podobnych składa się momentów:

Prawda, ludzkość serce tknęły,
I zapasnik, w puste szranki,
Z tkliwych objęć mej kochanki
Za świetnemi biegłem dzieli.
I promieniać łzą źrenice,
Przysięgałem dumną duszą:
Że mnie pojma, pojąć muszą
Ludzie, światła (!) spóldziedzice!
A Zoryny smutne oczy
Nad mym dumnym tkwiły czołem;
Uściśniony, uściśnałem...
I jak zorza łni na wodzie,
Jak maluje świt niebiosą,
Łza czyściejsza niżli rosa
Zajaśniała na jagodzie.
Lecz zaciekły, niewstrzymany,
Pożegnałem brzeg dniewowy...

Przytoczone powyżej ustępy nie są wprawdzie dowodem rozmyślnego naśladowania, ale świadczą o naśladowaniu bezwiednym, reminiscencji, a przeto wystarczają, aby twierdzić, że Pol, tworząc wiersz *Przebolało*, pozostawał pod wpływem Bohdana, a zwłaszcza jego *Rusalek*. To przekonanie wyjaśnia nam też ów idealistyczny, tęczowo-sielankowy nastrój niektórych części utworu (ust. I i w ust. IV miejsca dotyczące kochanki). W całości przecież *Rusalki* są poematem o wiele pogodniejszym i nie kończą się jak *Przebolało* rozdzwiękiem i zgrzytem.

W tym więc utworze sprzeniewierzył się poeta najzupełniej obietnicy Janusza:

Moja skarga was nie znudzi...
Żale toną wgląb!

Następny cykl ma wprawdzie tytuł: »Cierpienia bez ceny i treny nie-treny«, jednak ani cierpień tam nie znajdujemy, ani trenów, z wyjątkiem chyba *Makowego ziarnka*. Przeciwnie — panuje tam nastrój pogodny, a nawet jakaś chłodna obojętność.

Mam tu mianowicie na myśli szereg utworów, zwanych pierwotnie przez autora *Elegjami Słowiańskimi*. Są to jakby epigrafy, napisane na zamówienie uczonego ku ozdobie poszczególnych rozdziałów podręcznika geografii. Widzimy więc dwa morza: Bałtyckie i Czarne, jezioro Gopło, dalej siedem rzek: Boh, Dniestr, Dźwinę, Dniepr, Niemen, Wisłę, Odrę, a potem wiersze osobne do Tatr, do Zielonego Beskidu, Do stepów, Do puszczy, Do łąków i t. d.

Nic głębiej nie odczute, wszystko zda się robione na zimno z notatek geograficznych; poeta często daje opis, — obrazu nigdy. Ubóstwo pomysłu idzie tu o lepsze z manierą wykonania. Oto wzór:

...cie
...sta
...to
...sta
...a, n
...nia
...strój
...sta
...ssą
...nie
...ta

...nia
...ta.m
...Ma-
...strój

...rów.
...ciem-
...wre-
...nów
...orza:
...rzek:
...dę,
...Be-

...sione
...często
...idzie



WINCENTY POL
w r. 1858.

Według fotografii rysował J. Buchbinder.

Beskidzie graniczny! Beskidzie zielony!
 Od Boga pomiędzy narody rzucony!
 Coś źródła podzielił na morza, na dwoje,
 O powiedz mi, powiedz! czy jeszcze twe źródło
 Tak żywo jak dawniej i grają i pienią?...

Już od samego początku geograf naucza nas, że
 Beskid, rzucony pomiędzy narody, odgranicza wody
 dwu mórz, że z jego źródeł biorą początek rzeki,
 należące do różnych wodozbiorów i t. d. Podobne
 wskazówki naukowe znajdziemy wszędzie, np.

Odno graniczna!
 Odno prześliczna!

Siostró! co bieżysz młodszych Piastów krajem,
 My tobie wdzięcznie wszystką Wartę dajem...

Zazwyczaj poeta zwraca się ze stereotypowym
 zapytaniem, jak:

O powiedz mi, powiedz! czy jeszcze twe źródło...
 (Do Ziel. Beskidu)

Powiedz mi, powiedz, czy morzu naszemu
 Świat cześć oddaje jeszcze po staremu?...
 (Do Gopła)

Powiedz mi, Niemnie! puszcz obywatelu, —
 Które ci strony twych porzeczy miłe?...
 (Do Niemna)

Powiedz mi, proszę, za co cię tak rano
 Morzem Gościnnym po świecie nazwano?...
 (Do Morza Czarne)

a zapytana rzeka, jezioro, czy morze musi odpowia-
 dając uzupełnić opis geograficzny lub wygłosić ja-
 kąś myśl, która rzadko bywa głębszą, czasem trafną,
 niekiedy płaską, jak owe słowa Morza Czarne:

Bo tam gościna puścizną po Bogu,
 Więc głosy¹ serca nie cedzą przez zęby,

¹ Zam. głosów, — galicjanizm.

Lecz chlebem gościa witają u progu
I plackiem do nóg, pierogiem do gęby...
I po te czasy obyczaj ten samy,
Choć lis borsuka wyparował z jamy.

Ta przysłowiowość i rubasznosc, bardzo charakterystyczna, byłaby doskonałą w jakiejś kontuszkowej pogawędce; w danym wypadku zastosowana — pozostawia tylko niesmak.

Trudne to zadanie wydobyć z całego szeregu utworów miernych i zmanjerowanych choć parę drobniaków, któreby nam przemówiły do serca lub wyobraźni. Chyba wskazaćby można wiersz *Do Dniestru*, w którym znajdujemy wdzięczny obrazek wybrzeży (niestety i tu szablon: pytanie — odpowiedź) oraz *Do stepów*, bardziej liryczny niż opisowy, owiany tchnieniem cichej melancholji; od tych dwu głębszy i piękniejszy jest wiersz *Do Tatr*, ale plon to dawniejszego posiewu, dobrze już nam znany, a wcielony tu tylko dla kompletu ¹.

Gdzieś na szarym końcu, pod skrzydłem *Makowego ziarenka* przytulił się mały, niepozorny wierszyk p. t. *Cicho a cicho*. Istny to wonny fijołek, ukryty za zielkiem i trawą. Jesteśmy gdzieś w zacisznym kąciку na Rusi. Stara cerkiewka, otoczona murem obronnym. Mur i baszta oddawna już niepotrzebne, bo »Pan Bóg na pokój zamienił tu wojnę... I wszystko ciche i wszystko spokojne«; więc »w starych strzelnicach kwitną polne róże«, brama od wieków rozwarła, a w wylocie pękniętego działa ptaszek usłał sobie gniazdo. Jak w zaścianku Dobrzyńskich »wygnała Marsa Ceres gospodarna«, tak tu dawne narzędzia

¹ Napisany około 1840, druk. w roku 1846 w zb. *Z życia i podróży*.

walki poszły na służbę Bożą, — i oto u wejścia do cerkiewki moździerz obrócony na kropielnicę, a pod złocistym ikonem Marji Dziewicy zawisły noże tatarskie. Dokoła cmentarzyk bujnie piołunem zarosły i kilka sędziwych dębów, — a wszystko otoczone smutkiem rzeczy minionych i ciszą, wśród której tylko brzęk pszczoły słyszeć się daje.

Śliczny to obrazek; barwy łagodne i proste, ani śladu sztucznie robionego nastroju, a przecież wieje stąd melancholja rzewna i szczerą, bo nie ze słów płynąca, ale z rzeczy.

Na początku i na końcu tego cyklu, składającego się z wierszy opisowo-lirycznych, zamieścił poeta dwa utwory wyłącznie liryczne: *Jako bywało* i *Makowe ziarnko*.

Jako bywało wyróżnia się charakterem moralizatorskim, pouczającym; są to rady, jak i gdzie szukać należy szczęścia i prawdziwych skarbów życia, jak uniknąć daremnego błakania się po bezdrożach, jak osiągnąć błogi spokój i najwyższe zadowolenie. Wszystkie te wskazówki i rady, proste i łatwe do spamiętania (choć niełatwe do wykonania), krążą dokoła dwu zasadniczych punktów: po pierwsze — czcij Boga na niebie, czynь wszystko z Bogiem i w Bogu, uznawaj tylko prawdy Boże, o resztę nie troszcz się, »bo świat jest Boży, — a Bóg jest wielki!« Po wtóre: trzymaj się domu i roli ojcowej, i mogił kryjących dziadów kości, pilnuj starej dąbrowy, sadów i pasieki,

Boć skarby życia ten odniósł w zysku...

Kto i to robi i o tym radzi,

Co mu po ojcu i dziadu padło,

I znaną drogą konia prowadzi,

A i tam siedzi, gdzie im się siadło.

Pozostawiając na stronie pierwsze rady, które konsekwentnie płyną z przekonań religijnych poety, poświęćmy chwilę rozważań drugim. Zapewne każdy się zgodzi, że są one dziwnie ciasne i w zasadzie błędne. Najpierw dlatego, że niszczą w zarodzie wszelki postęp i uniemożliwiają rozwój; potem z tego względu, że nie dają się zastosować do całego społeczeństwa, ale tylko do pewnej klasy czy grupy, mianowicie do szlachty osiadłej, lub do włościan posiadających grunta. Wreszcie są one błędne nawet co do tej grupy, bo jeżeli każdy z kilku synów ziemianina zechce tam siedzieć, gdzie się ojcu siadło i pilnować tej samej roli i tegoż dworku, to urosną z tego stosunki ekonomiczne wprost niemożliwe.

Czy stąd jednak wynika, że Pol świadomie szerzył rady fałszywe i zgubne? Nie, i po stokroć nie! Podobne zdania wygłaszał on niewątpliwie *w dobrej wierze*, ale niestety horyzont jego zwężał się coraz bardziej, stąd ciasnota poglądów i jednostronność sądu. Szlachta rolnictwu oddana stała się jedynym jego ideałem; ją kochał, na niej opierał wiarę w przyszłość. O resztę nie dbał; już nie tylko o gmin, lecz nawet o warstwy średnie. Z kupców i »kancylarzy-stów« pokpiwał poeta, traktując ich jak *profanum vulgus*. Czego nie domówił wierszem, to dopowiedział prozą, i to już nie w poufnym liście do przyjaciela, ale publicznie, w »Objaśnieniach« do *Mohorta*. Obok przyjacielskiej sympatji dla mieszkańców dworu widzimy tam lekceważenie wszystkich, co tradycji »nie wzięli puścizną«. Poeta sam siebie stawia na wysokim, odosobnionym piedestale, do którego przystępu nie ma ani krytyk (chyba Siemieński), ani dziennikarz, — nikt oprócz obywatela w kontuszu.

»Przywykły... od lat dwudziestu pięciu — pisze

Pol — widzieć słuchaczy moich po za kołem pism czasowych, nie w kawiarni, ale *w dworze szlacheckim*, odzywam się do nich i dzisiaj... O znaczeniu, wartości i mocy tradycji nie będziemy chodząc w zapasy z temi, którzy jej nie znają i ocenić nie zdolni, którzy jej nie wzięli i wziąć nie mogli puścizną, którzy jej nadewszystko niechętni w nicości swojej z wido-ków osobistych... Nasze *izolowane stanowisko* jeżeli potrąciło pewne żywotne kwestje dla historii i literatury, stało się to bez żadnego zarozumienia — i czy to łaskawie, czy niełaskawie będzie przyjęte, na tym mi mało zależy ¹.

Rzecz to łatwa do przewidzenia, że z chwilą gdy Pol usypał wysoki szaniec z tradycji i odwiecznych przywilejów, gdy zatknął pośrodku krzyż i porozwieszał tarcze herbowe, gdy wreszcie z grupą szlachty ziemian zamknął się w tych nowych okopach świętej Trójcy, musiał wzbudzić pewne niezadowolenie i niechęć tych wszystkich, co się nie pieczętowali żadnym herbem, nie siali pszeniczki, nie hodowali koni wierzchowych, nie trzymali sfory chartów lub ogarów. Istotnie niechęć wzrastała. Pol uparcie powtarzał swoją maksymę:

Więc niech sobie co chce będzie,
Ty się trzymaj ojców wiary
I obyczaj chowaj stary,
A dobremu dobrze wszędzie!²

Lecz widocznie albo maksyma była zła, albo Pol nie był »dobry«, skoro nie wszędzie było mu »dobrze«. Przeciwnie — narzekał, że go świat goryczą na-

¹ Tom III, *Mohort* str. 143—144.

² Tom VII, str. 400, z poprawką według rękop. Bibljot. Ossolińskich Nr. 3148.

poił i ze wszystkiego odarł, że niema dlań ukojenia, — chyba w gościnie, w jakimś szlacheckim czy wielkopańskim dworze (Polanka, Podpieczary, Pieniaki i t. d.) Zapytywał wtedy sam siebie, jakie są przyczyny, że nie znalazł miru? W kim szukać winy? Czy tylko w ludziach? A może i on zawinił... Przychodziły nań chwile skruchy i wielkiego ucisku, kajał się, spowiadał przed sobą i światem, szukał ratunku u ludzi i nieba... Taką spowiedzią z całego żywota, takim wyznaniem wszystkich uczuć, zamiarów i porywów ma być *Makowe ziarnko*, napisane w chwilach ciężkiej boleści, wkrótce po śmierci małżonki. »Pierwsza to rzecz, którą się odważyłem napisać po śmierci Kornelii«...¹

Z czysto lirycznych utworów Pola jest to najdłuższy, a przecież dziwnie mało dostarcza pewnych danych, na których oprzećby się można, odtwarzając historję ducha poety. Nie jest to bowiem obraz przeżytych lat, minionych pragnień, porywów i wzlotów, — ale sen o nich. Jak w marzeniu sennym rzeczywistość wyparta została przez kojarzenie wyobrażeń, niekiedy zupełnie dowolne.

Wielką popełniłby nieostrożność, kto idąc krok w krok za słowami *Makowego ziarnka*, starałby się według nich wykreślić linję rozwoju duchowego poety i ścieżki, któremi on chadzał. Że za osnowę posłużyły tu wspomnienia młodych i dojrzałych lat, — nie ulega to wątpliwości; lecz osnowa — rzeczywistość zginęła pod haftami fantazji, ukryła się w draperjach frazeologii, bądź patetycznej, bądź zagadkowej. Wprawdzie *Makowe ziarnko* z powyższych przy-

¹ List do Klem. Miączyńskiej z dn. 2 stycznia 1856. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

czyn posiada wartość wątpliwą jako obraz minionych chwil, to jednak ma wagę niepoślednią jako przyczynek do charakterystyki twórcy w tej właśnie chwili, w której powstało. Wyjaśnia nam w sposób jasny, jak sam poeta spoglądał na przeszłość swą z oddali dwudziestu i trzydziestu lat, jak — zbliżając się ku jesieni żywota — oceniał i sądził czasy swe minione, jak wysoko je podnosił, a wreszcie jak przedstawiał sobie wzajemny stosunek swego ducha do świata — i odwrotnie. Z tego względu *Makowe ziarnko* mimo przesady i niejasności jest spowiedzią poety, doniosłą dzięki podmiotowej ocenie własnych myśli, uczuć i czynów.

Jakież są motywy przewodnie tego utworu? Oto najpierw młodzieniec sposobi się do czynu, zdala od świata wzbogacając duszę skarbami ziemi i nieba, następnie puszcza się w świat, siejąc miłość wszechludzką, która zostaje fałszywie rozumianą, i wreszcie jako mąż dojrzały, widząc daremność wysiłków, gardzi światem i zamyka się w sobie, zachowując głęboki żal i urazę. Stosownie do tych trzech myśli, można rozdzielić *Makowe ziarnko* na tyleż części: pierwsza, od początku do słów: »nam padł żywot w pracy i bez płacy«, druga — od »Dziwne sny miałem« do »grzechy mojego żywota« i wreszcie trzecia od »Jest świat miłości«... do końca utworu.

Więc z młodu szeroko »sięga umysł hardy« zbierając »ludzkie i ziemskie i niebne«, a przychodzi mu to z wielkim trudem i móżdżem wśród wahań i zwątpień, »bo praca ducha — to wielka tortura«; a że wszystkie znane drogi i ścieżki zdały mu się marne i niegodne jego ducha, więc »torował sobie drogę własną« (jedno z wieczystych złudzeń poety), a wiodła ona »przez gęstą puszcę trwogi i boleści«. Wy-

rzeka się wówczas »wdziękowi niewieściego« i »wdziękowi cichej strzechy«, i dostatku i sławy, bo rozumie, że poświęciwszy wszystko, w skupieniu i »w cichości serca trzeba się sposobić, wprzód urość musi i praca i wola«. Ale niejasne są jeszcze jego marzenia i zamiary, brak mu ściśle wytkniętego celu; wierzy tylko, »że to gdzieś komuś będzie tam potrzebne« i że »ktoś tam kiedyś na tym urość może«¹. Napomyka jednak, że gdy wypełni się czas, wtedy cichy sercem — posiedzie ziemię, a »wielką władzę odziedziczą prości«.

I przyszła chwila (utworu część druga). Z niejasnych snów i natchnień budzi go głos tajemny słowami:

Puść się w świat Boży! Wielkiego posiewu
Szeroko w świecie Pan rozrzucił ziarna...

i dodaje przestrogę, że »bez miłości wszelka sprawa marna«. A więc poeta, już jako mąż dojrzały, bogaty w miłość i wszystkie skarby ducha, puszcza się w świat; ciężkie były pierwsze kroki, bo »łamać się z sobą i ze światem trudno«.

Lecz wielkie były i serca pociechy,
I wiele wdziękowi i wiele uroku,
Kiedy świat Boży grał w duszy i w oku,
Kiedy mnie owiał wielkimi oddechy!

Poeta uczy się rozumieć głosy przyrody i oto słyszy, że wszystko naokół, i źródła przeczyste i staro-drzewne lasy i kłóśne łąny i mogiły cierniem porośłe, skoszone wonne łąki, srebrne sieci pajęczyn

¹ Porówn. w *Posłaniu do braci Brodzińskiego*: Każdy niech ma pragnienie i wiarę, iż Bóg obrać go może za narzędzie ku zbawieniu ludu; niech się w pokorze ducha sposobi, bo na każdego łaska paść może.

i fale rzek, wszystko swoim szmerem, szelestem i wonią powtarza mu słowo »Kochaj!«¹ Tak »ośmielony w końcu temi głosy«, podąża poeta do chat, serdecznie powitany pod włościańską strzechą. Tu następuje chwila przełomu i rozczarowanie:

Ale com złożył, było zapoznane,
I nie tak wzięte, jako było dane:
»Za co on kocha!« — wrzasnęła hołota...
I owo grzechy mojego żywota!

Część trzecia, ostatnia, odtwarza dzieje ducha, odkąd jego »miłości świat obłożył chłostą«, odkąd »po marnych radach i zabiegach wielu« spostrzegł, że »z próżną nosił się mazołą«. I znów jakiś głos tajemny, zapewne ten sam, co go w świat wyprawił, naucza:

Kochać — to nie dosyć!
Kto chce miłować, musi krzyż ponosić,
W ramionach krzyża tylko jest zbawienie:
Jednym — cierpliwość, drugim przebaczenie.

Ale ta nauka jest spóźniona; już umysł niegdyś »hardy« i ufny w potęgę uczucia nie ogarnia jak za młodu szerokich kręgów, lecz idzie *ślimakiem* t. j. spiralnie, coraz mniejszy zataczając pierścień, aż dochodzi do jednego punktu, którym jest jego własne, biedne, samotne serce. Niejasna, zagadkowa alegoria makowego ziarnka i pobożne westchnienie zamykają utwór.

Przeznaczenie tych wyznań lirycznych staje się teraz zrozumiałym; poeta chciał sobie uprzytomnić i drugim wyjaśnić (podobnie jak w wierszu

¹ Ujejski próbował tę rozmowę z naturą tłumaczyć symbolicznie, podstawiając zamiast źródeł — lud, zamiast drzew — szlachtę i t. d. (*Listy z pod Lwowa* str. 237—239). Tłomaczenie to uważam za zupełnie dowolne.

Przebolało) tę wielką zmianę, jaka się w nim dokonała z biegiem lat. Rozumiał doskonale, że innym jest jak dawniej, że stroni teraz od ludu, do którego przedtem Ignął całym sercem; sądził zarazem, że nie jego to wina, ale świata otaczającego, tej *hołoty*, co »jak padalec — żmija, ledwo że ujrzy, już jadem zabija«. To też wyniesienie swego ducha, wychwalenie własnej wyższości i doskonałości dosięga tu, zwłaszcza w części pierwszej, miary niespotykanej gdzieindziej u Pola.

Poeta wyrasta zrazu na mędrca, zgłębiającego największe tajemnice wśród niewymownych tortur ducha i na bohatera, torującego ludzkości nowe drogi, a potem na jakiegoś proroka czy odkupiciela gotującego się do wielkiej sprawy, i nie waha się kłaść sobie w usta słów Chrystusa Pana: Królestwo moje nie jest z tego świata. W części drugiej występuje jako samozaparcia i poświęcenia pełen siewca miłości, niby Franciszek z Assyżu, miłujący wszystko co żyje na bożym świecie, od najlichszej trawki do człowieka cichego serca, — wreszcie staje się niewinną ofiarą ludzkiej podłości. Jakiż to kontrast niesłychany z tym wrzaskiem *hołoty*; słowa te skrzypią »jak zgrzyt żelaza po szkłe«, — choć wyjaśniają niewiele. Co rozumieć przez *hołotę*? Jaki powód tej nienawiści? Dlaczego duch, przez tyle czasu pracujący nad wyrobieniem silnej woli i miłości, tak rychło, tak odrazu zwątpił i opuścił skrzydła? Czemu wszystko uważa za daremne i stracone? To są pytania, na które wystarczającej odpowiedzi nie znajdujemy.

Utwór ten posiada jedną jeszcze właściwość, zasługującą na uwypatnienie. Oto Pol, nieubłagany wróg wszelkiej negacji, a co za tym idzie — przeciwnik bajronizmu w poezji, sam jako autor *Makowego ziarnka* bardzo zbliża się do tego kierunku.

Znajdujemy tu niemal wszystkie cechy przekwitającego bajronizmu, który jeszcze do tych lat grasował w literaturze polskiej; a więc: poczucie własnej wyższości i doskonałości blizkie pychy i głęboka uraza do świata blizka pogardy; obok tego -- rozczarowanie, zwątpienie, gorycz, skargi na osamotnienie, najmniej spodziewane u Pola, a tu często powtarzane, jak: »wiecznie było samotnie i ciasno«, dalej — »szedłem... bez opatrzenia i bez towarzyszy« i jeszcze »bez towarzyszy i bez przewodnika idąc«... Słowem — beznadziejny pesymizm w myśli przewodniej i bajronistyczna frazeologia w wykonaniu. Czym to wyjaśnić? W znacznej części — oczywiście — nastrojem poety w chwili tworzenia; przynębiony świeżą stratą ukochanej małżonki, a skołatany chorobą i troskami domowymi, skłonny był widzieć wszystko w barwach posępnych i ciemnych. Ale oprócz tej przy-, czyny głębszej musiała istnieć druga, powierzchowna, — a tą było bezwiedne naśladowanie liryki współczesnej; powtarzam — bezwiedne, gdyż trudno przypuścić, aby poeta nasz świadomie przejmował pozę bajronistyczną; lecz mimowoli mógł wpaść pod wpływ i przejąć niejeden zwrot czy wyrażenie, bo pewnik to niezbity, »że na literaturę działa przedewszystkiem literatura« (M. Kawczyński).

To ostatnie spostrzeżenie doprowadza nas już do rozpatrzenia w *Makowym ziarnku* strony nie ideowej, ale estetycznej. Pod tym względem utwór należy do średnich; posiada zalety niewątpliwe, lecz nie jest bez wad. Z tych najważniejszą okazuje się pewna gadatliwość, prowadząca do powtarzania tych samych myśli, obrazów i słów. Trzeba jednak przyznać, że utwór utrzymany jest w tonie jednolitym; czuć tam bowiem nastrój podniosły i surową powagę

której nie zamąca żadna folwarczna czy myśliwska gadka, żadne pospolite przyrównanie. Mocy daremnie szukać, polotu także brak, ale jest parę miejsc prawdziwie pięknych, jak np. w części drugiej osiem wierszy od słów: »Lecz wielkie były«...

Po tym krótkim ustępie zaczyna się rozmowa poety z naturą; pomysł ogromnie wdzięczny. Talent wyższy, subtelniejszy zrobiłby z tego rzecz przecudną; u Pola niestety czy pośpiech, czy brak wyobraźni, czy poprostu taki a nie inny rodzaj talentu nie pozwolił na artystyczne wyzyskanie tego pięknego pomysłu. Aby nie wyszukiwać przykładu, weźmy pierwszą z brzegu strofkę:

A więc pytałem źródeł, idąc krajem:
Skąd się to tyle czystej wody bierze?
I komu czyste niesiecie w ofierze?
I rzekły do mnie: »Kochaj, bo my dajem!«

Pytania poety ani głębokie, ani piękne, — odpowiedź jeszcze gorsza. »Kochaj, bo my dajem!« Co dają źródła? Oczywiście — »czystą wodę«... Powie kto, że nie należy tego pojmować dosłownie, że to symbol. Zgoda, — podstawmy więc na miejsce źródeł, jak chce Ujejski, lud, który powiada »Kochaj, bo my dajem!« Co daje lud? Na ten temat każdemu wolno fantazjować, — ale to nie znaczy jeszcze wyjaśnić myśl poety, która pozostaje zagadkową. Wreszcie sama odpowiedź, jakkolwiek ją pojmujemy, dosłownie czy symbolicznie, wydaje mi się poziomą. Kochaj, *bo my dajem*, a więc miłość ma być skutkiem jakiejś korzyści lub pożytku, kochać trzeba dlatego, że coś nam dają.

Zbytecznie może wchodzę w takie szczegóły; chciałem tu tylko zaznaczyć, że Pol nie zawsze

umiał dać sobie radę z pomysłem wdzięcznym dla artysty. Cóż dopiero, gdy temat sam przez się był powszedni: tam już musimy spotkać prozę. A właśnie do tej grupy utworów wypada przejść z kolei; składają się one na dwa cykle: większy — *Z klasztoru i z boru* i mniejszy *Ze dworu*.

Cykl *Ze dworu* obejmuje około 20 utworów, które powstały podczas lata r. 1853 w Polance pod Krosnem, gdy poeta bawił w gościnie u Tytusa Trzecieckiego. Cała ta grupa należy do rodzaju utworów, które powinno się drukować w niewielkiej liczbie egzemplarzy i rozdawać przyjaciółom jako pamiątkę mile spędzonych chwil; z twórczością nie ma to nic wspólnego. Poeta opowiada jak przyjechał, jak się witał, potym jak mu pokoik urządzono, jak pierwszą noc przespał, — a dalej przechadzki, spacer po okolicy, wyjazd w niedzielę do kościoła, wszystko zaś opowiedziane tak po prostu, tak bez dbałości o stronę artystyczną, że aż staje się bląhą, cczą i rozwlekłą gadaniną (jak np. *Krzyż na stepie*). Nawet dla biografa są to drobiazgi bez znaczenia. Jedyna rzecz, która zatrzymuje i do uczucia przemawia — to wiersz *W Marji-Polu*, istotnie rzewny, smutny i szczery. Obok tego postawić trzeba wiersz *Do Walentyny Trojanowskiej*, refleksyjny, w którym poeta pięknie wyraził swe myśli o dorobku twórczym narodu naszego w pierwszej połowie XIX w.; »z podniosłym sercem i duszą wyniosłą« spoglądając na ubiegłą część stulecia, przypomina, że wszystkie struny tej lutni naszej drżały »ojczystemi dźwięki«, — i to uważa za jej najwyższą zasługę. Po tych słowach uwielbienia i radości niespodziewanie przychodzi gorzka refleksja, już tylekroć powtórzona u Pola na różne tony:

Nowe zawiodło, a runęło stare,
 I duch narodu na długo zatruty,
 I znowu jedna tylko jeszcze droga:
 Kto nie miłością, ten drogą pokuty
 Pójdzie do Boga, albo mimo Boga¹.

Zresztą panuje w cyklu *Ze dworu* »wieś spokojna, wieś miła i lubych skarbnica wczasów« — jak mówi Gawiński; a jest to cechą znamionną, że wsi prawdziwej, tej ze złocistym łąnem i zieloną łąką, z chatą i stodołą, kmieciem i bydełkiem, — widzi się tu bardzo mało, gdyż poeta siedzi we dworze, gawędzi z dziedzicem, na piękną naturę spogląda przez okno lub z powozu, a jeżeli opuści dwór na chwilę, jeżeli wyjdzie na przechadzkę, to stara się trzymać od chat w przyzwoitej odległości. Nawet w kościele, gdy podczas nabożeństwa spojrzy po gromadce włościan, zadaje sobie pytanie:

Czy Bogu miłe te modły? — któż powie?
 Czy zmażą stare i te nowe grzechy?²

Zadawniona niechęć do ludu nie tylko w tym wiejskim ustroniu nie zmalała, lecz przeciwnie — wzrosła. Wyrazem tego najjaskrawszym jest wiersz p. t. *Cóż tam w starym dworze?* Zawiera on namiętne potępienie zuchwałego chłopca i apoteozę zanego dziedzica.

... Cóż tam w starym dworze?
 Bo wsią prowadzi niewesoła droga —
 Chaty jak ule, w których pszczoła spadła,
Czeladź ponura i tępa i sroga,
 I podła nędza coś ludzi przysiadła...
 Błogosławionej *zabrakło karności*...

 A cóż Pan na to?

¹ Tom V, str. 232.

² Tom V, str. 207.

— Chodź czeladź niekarna,
Pan między głodne dzieli resztę ziarna. —
— Cóż sama Pani? —

— Pani miłosierna!
Jak dawniej jeszcze leczy i pociesza,
A chociaż *czeladź podła i niewierna*,
Modli się za nią i w sercu rozgrzesza¹.

Nie zatrzymując się na roztrząsaniu powyższych słów, których znaczenie i wartość każdy należycie osądzi, chcę jeszcze zwrócić uwagę na inny wiersz, w którym sprawa włościańska poruszona jest z ogólniejszego stanowiska, choć niemniej subiektywnie; tytuł jego: *Przednowek skończony*. Po drobnym, wdzięcznym opisie (nie obrazku) życia wiejskiego w okresie zbiorów i młócki, po cierpkim przycinku pod adresem »gramatykarzy«, następuje tu refleksja nad ówczesnym stanem ekonomicznym. Wiadomo, że były to lata nieurodzaju i głodu, a przytym sprawy włościańskie wkrótce po zniesieniu pańszczyzny nie zostały jeszcze uregulowane i między dworem a chatą nowe stosunki nie ułożyły się. Pol, nie zadając sobie trudu głębszego wnikięcia w rzeczy, łączy dwa te fakty w związek przyczynowy i daje do zrozumienia, że nieurodzaje i głody są skutkiem zniesienia pańszczyzny, zarówno jak wcześniejszego o lat kilka czy kilkanaście — upadku moralnego kmieci; to ostatnie, jak sądził, stało się z winy radykalnych »faryzeuszów«, siejących truciznę wśród ludu i odrywających go od Boga. Do tego przyłączał poeta jeszcze jedną okoliczność, która jest właśnie treścią trzeciego ustępu wiersza *Przednowek*. Pol wytyka ekonomji naukowej jej niezaradność wobec smutnego stanu rzeczy.

¹ Tom V, str. 195 i 196.

Ekonomiści mądre księgi piszą:
Lecz głód jak czyścił — ciągle ludność czyści,
A stare dwory zaledwie już dyszą!
Bo u nas zdawna ekonomja taka:
Jak Bóg zarodzi — to jest chleba dosyć,
Ledwo go przeżąć i ledwo przekosić,
I bresze nawet wesoło sobaka!
Jak nie zarodzi — a przednowku pora,
To wór na plecy i dalej do dwora!
»Daj Panie chleba!« —

A więc póki staje,
Pan jako dawał, tak i dzisiaj daje...
Lecz jak już w worach wyniesie się zboże,
I uprawnienie równe nie pomoże...¹

Widzimy, że i tu nie zapomniął poeta o dobroczynnym dziedzicu, rozdającym zboże aż do ostatniego ziarna, a przytym zauważył, że równouprawnienie na klęskę posuchy i głodu niezdolne jest zaradzić.

Nie tu miejsce roztrząsać po szczególe zapatrywania Pola na sprawę włościańską, na stosunek dziedzica do chłopu, na skutki zniesienia pańszczyzny (co po części wyżej już uczyniłem, mówiąc o artykułach w *Tygodniku roln.*) i t. d.; tym mniej można je sądzić, gdyż wchodzi to w zakres nauk społecznych. Przecie trudno jest powstrzymać się od jednej uwagi: Pol twierdzi, że za jego czasów działo się na wsi bardzo źle; przyznajmy, że stosunki były nienajlepsze. Ale poeta zapewniał, że dawniej było bez porównania lepiej, dawniej, t. j. za pańszczyzny, a dopiero za Rzeczypospolitej, np. w epoce saskiej! Na to już zgodzić się niepodobna; zarazem jednak dostarcza to nam ciekawego spostrzeżenia. Na czym poeta opierał swe mniemania? Przedewszystkiem, jak sam przyznawał, na żywej tradycji; według niej zie-

¹ Tom V, str. 221 i 222.

nia polska była dla kmiecia rajem, a dziedzic — narzędziem opatrności. Ten pogląd wypowiadał Pol już nie tylko wierszem, lecz i w artykułach (jak było wyżej wskazane), obszernie, i to z taką pewnością, z takim przekonaniem, z takim rzekłbym — uporem, że doprawdy trudno mu nie ufać. A tymczasem — cóż mówią świadectwa współczesne, co pisarze poważni i ze wszech miar wiarogodni, jak król Leszczyński w *Głosie wolnym*, wojewoda Garczyński w *Anatomji Rzplitej*, Staszic w *Uwagach* i w *Przestrodzie*, że innych już nie wspomnę? I teraz stajemy wobec dręczącego dylematu: albo Pol tych świadectw, tych pism nie czytał, nie znał (jednego Matuszewicza pamiętników znać nie mógł), albo znając, uważał za kłamliwe i pozostawał wiernym *tradycji*, tęskniąc za złotymi czasy pańszczyzny wieku XVIII. Którąkolwiek z tych dwu możliwości uznamy za prawdę, wniosek zawsze będzie smutny; to pierwsze możnaby jeszcze wybaczyć, drugie — świadczyłoby o dziwnym uporze i rzucałoby pewien cień na dobrą wiarę poety.

Treść cyklu *Ze dworu* dała nam powód do powyższych uwag; a teraz — czy forma jego zewnętrzna posiada jakąś właściwość, na której zatrzymaćby się można?

Jest jeden utwór, zasługujący na uwydatnienie choćby z tego względu, że bywa przytaczany we wszystkich »teorjach poezji« jako osobliwość wersyfikacyjna; tytuł jego: *Do pana Szymona*. Sam początek (Pytacie, Mój Bracie, Co robię, W tej dobie) i zwrotka trzecia są wzorem wiersza trójzgłoskowego, składającego się z jednego amfibrachu; zresztą cały dość długi utwór ułożony jest wierszem sześciogłoskowym, utworzonym wyłącznie z połączenia

dwu amfibrachów (A siedzę we dworze, I gęsią znów orzę). Istotnie jest to rozmiar rzadko używany i bynajmniej nie łatwy; tutaj u Pola płynie gładko i swobodnie, z wyjątkiem paru miejsc, gdzie akcent pada niewłaściwie (np. Jąłbym się na nowo). Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że stopa amfibrachiczna spotyka się często u Pola; łącząc cztery takie stopy w jeden wiersz dwunastozgłoskowy, stworzył on ten charakterystyczny swój rozmiar, którym napisane są *Przypadki Winnickiego*, *Wieczór przy kominie* i *Starosta Kiślacki*. O wierszu *Do pana Szymona* powiedziec można, że ta lekka, prawie żartobliwa szata przystoi mu tylko z początku; dalej, gdy zbliżamy się ku końcowi, ton utworu poważnieje, podnosi się, a wtedy odczuć się daje niewłaściwość tego krótkiego, swawolnego rozmiaru. Pomysł użycia takiej formy w liście do przyjaciela zapewne przyszedł samodzielnie; gdyby jednak poeta chciał szukać poprzednika i wzoru, znalazłby go w znanych powszechnie, lekkich dydaktycznych wierszykach Krasickiego: *Do pana Jana* i *Do pana Ignacego*, pisanych czterozgłoskowcem (podwójny trochej).

Od cyklu *Ze dworu* wyżej pod każdym względem stoi cykl *Z klasztoru i z boru*; liczebnie jest on największy, a co do wartości — na ogół biorąc — najlepszy z całej księgi *Z podróży po burzy*. Czas powstania tej grupy utworów oznaczyć można okresem kilkoletnim, mianowicie od wiosny r. 1850 do jesieni r. 1855.

Jak w innych grupach, tak i tu są rzeczy lepsze obok słabszych, ale prawie wszystkie trzymają się pewnej średniej miary, pewnego stopnia myśli, uczucia i wyrazu, ponad który nie wznoszą się. I słusznie można powiedzieć, że przez to właśnie są typowo

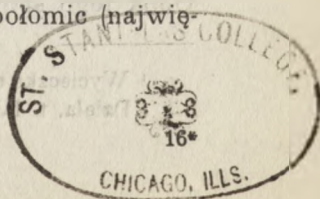
polowskie; poeta nie silił się dać więcej, niż stać go było, niż pozwalała miara i rodzaj jego talentu. Zdaje się, że sam Pol rozumiał to dobrze i poetycznie wyraził w wierszyku *Na dzień dobry panu Szymonowi*. Nie chce on latać górną, »jak orlę lub sokolę«, lecz woli trzymać się ziemi rodzinnej — jak skowronek;

Bo gdy trudno już w niebiosy
Wzlecieć człeku w niebo głosy,
To zachwycić dobrze rosy,
I niziutko sieść u ścieku,
Jak skowronek — między kłosa¹.

Istotnie, brak tam wielkich, szerokich widnokręgów, które orzeł z wysokości swego lotu ogląda, ale są te wszystkie miejsca skromne, zaciszne i »pocziwe«, które piosnką swoją rozwesela skowronek.

Pol kochał się we wszystkim, co mu żywo przypominało ubiegłe czasy; czy to był dąb-olbrzym odwieczny, czy w ziemię zapadła, opuszczona kapliczka w puszczy, czy ustronna plebanja z sędziwym proboszczem, czy legienda klasztorna, czy wreszcie jakaś staroświecka *silva*. Nie znać, żeby poeta umyślnie jeździł po kraju, zwiedzał ruiny zamków i starożytne klasztory — i starał się opisy ich przekazać w pieśni (tak np. w poezjach jego niema ani słowa o uroczym Tyńcu ani o Tęczynku, choć Pol przez szereg lat w Krakowie mieszkał). Jednak wszędzie, gdzie go los zaprowadził, — a prowadził w niewielkim promieniu od Wawelu, — wszędzie potrafił odszukać coś »pocziwego« i pięknego. Przesuwają się w tym zbiorze wspomnienia z Niepołomic (najwię-

¹ Tom V, str. 96.



cej), z Mogiły, ze Swoszowic, z Bielan i z Ruszczy, a gdzie indziej znajdzie się i miejscowy, krakowski obrazek. Brak tu zgoła czystej fikcji, udział fantazji bardzo ograniczony, natomiast każdy utwór dotyczy jakiegoś poszczególnego zdarzenia, wszystko ma swój rzeczywisty podkład. Na innym miejscu, przygodnie, pisząc o wycieczkach naukowych, które odbywał z uczniami jako profesor geografii, rzucił Pol słowa, które w znacznej mierze objaśniają powstanie tego cyklu utworów:

»...Od owej pierwszej wycieczki¹ do puszczy Niepołomskiej poszło zapoznanie się z miejscowymi ludźmi — i następnych lat każdej wiosny, każdej jesieni, gdy kilka dni wolnych było, odszukiwałem z upragnieniem tę leśną ustron i bawiłem nieraz po tygodniu w puszczy, chcąc bliżej poznać i oddech natury miejscowej i podania miejscowe. Tak powstał tu zbiorek poezji »Z boru« — a *Silva Rerum* w tym zbiorze nie jest poetycznym wymysłem, ale rzeczywiście miejscową legendą i rzuca wielkie światło na naturę puszczy, na osiedlenie miejscowe i powolne szerzenie się chrześcijaństwa w wiekach, które historia już za chrześcijańskie podaje².

Co tutaj mówi poeta o pewnej grupie utworów, to *mutatis mutandis* da się zastosować do całego cyklu. Sam tytuł (*Z klasztoru*) i wybór tematów już uprzedza o nastroju, jaki tu panuje; ważne miejsce zajmuje jednak nie tyle pierwiastek ascetyczny czy mistyczno-religijny, ile kantyczkowo-pobożny, połączony z poglądem na świat zaściankowo-klasztornym. Obok tego spotykamy zrządzenie i biadanie nad cza-

¹ Wycieczka naukowa z uczniami na Zielone Świąta r. 1850.

² Dzieła, t. IV str. 329.

sem obecnym, potępienie nowych poglądów, obyczajów, nawet wynalazków (np. kolei żelaznej w w. *Wyjazd z domu*); a to wszystko dochodzi do uogólnienia i przekracza wszelką miarę w w. *Wieczór w Swozowicach* (napis. 4 sierpnia 1855 r.).

Jest to wylew liryczny, w którym niema już śladu osobistych uraz ani własnych obrachunków ze światem, — natomiast taki wybuch oburzenia i goryczy, taki żal, »że nic na Boskie nie jest podobieństwo«, taka powaga i siła wyrazu, jak rzadko spotkać u Pola. Wyjaśnić dokładnie, zastosować ten wylew ponurych myśli do pewnego wypadku (np. do wojny krymskiej) byłoby trudno; ogólnie tylko stwierdzić można, że poeta biada tutaj nie nad ziemią rodzinną, ale nad całym światem cywilizowanym, a zwłaszcza nad Europą zachodnią, której nowe teorie, nowe prądy i wreszcie nowe porządki napawały go żółcią. Pol śledził pilnie sprawy społeczne i polityczne, lubił o nich rozprawiać i gawędzić, ale wiadomości swoje czerpał z drugiej ręki, a przeważnie z rubryk politycznych *Czasu*; że w oświeceniu tego dziennika nie wszystkie sprawy Zachodu wyglądały pochlebnie, to rzecz znana; że Pol, przywiązany do kościoła i tradycji, brał te dziennikarskie referaty zanadto do serca, że ich koloryt ponury potęgował jeszcze, że z danych przesłanek groźne wyciągał wnioski, — to zrozumieć łatwo. I wtedy, w godzinie ciężkich myśli, w godzinie smutku, żalu i obrzydzenia wypływały z pod jego pióra takie palące strofy:

Świat się w skorupę zatwardziałą zaszył,
I w tym pancerzu zabrął w takie błędy,
Że się i Boga i siebie przestraszył,
Że nie ma drogi tędy, ni owędy...

Świat tak dziś stanął, że mu ani radzić,
Ni potakiwać, ani można przeczyć,
Że ni iść za nim, ani go prowadzić,
Ni z nim umierać, ani go wyleczyć.

Więc tylko można a i bardzo trzeba
Gdy tak stanęło, za ten świat się modlić,
By go Pan więcej już nie dawał spodlić...¹.

Te posępne rozmyślania — jak zawsze u Pola — kończą się pobożnym westchnieniem.

Roztrząsać bliżej stronę ideową cyklu *Z klasztoru i z boru* znaczyłoby powtarzać spostrzeżenia wyżej zrobione i po raz drugi ukazywać już wydobyte pierwiastki: pod tym bowiem względem nie spotykamy tam nic, czegoby nie było w grupach poprzednich. Atoli strona artystyczna jest nieco odmienna a nawet — rzekłbym — wyższa; nie zamierzam oczywiście mówić o utworach, z powodu których sam poeta trafnie zauważył:

Po oo to piszę? Albo ja wiem po co?
Ot widzisz Wasze: kiedy czlek starzeje,
To rano wstaje, a mało śpi nocą,
Więc i dziwaczna myśl się w mózgach sieje,
I dziwnie chodzi z myślami ta głowa...²

Istotnie zdarzało się, że gdy poeta z myślami nie mógł dojść do ładu, niesforne pióro tymczasem pisało a pisało, nie pytając o zdanie ani rozwagi, ani dobrego smaku. Więc nie o tym będzie mowa, ale o tym, co przez swą formę artystyczną, przez wykonanie jeżeli nie doskonałe, — to przynajmniej poprawne i staranne, zasługuje na pamięć i chwilę zastanowienia.

¹ Tom V str. 148, 149.

² Tom V str. 157.

Z zastrzeżeniem, że sądy estetyczne posiadają zawsze podkład subiektywny i że przez to bywają nieraz mylne, — ośmielałam się najpierw wymienić wiersz p. t. *Królewskie dęby*. Poeta stoi wobec »żywych świadków potęgi niezmarłej«, sędziwych dębów-olbrzymów, a na ten widok duch mu się »wielmoży i myśl się krzepi«, jak gdyby rapsod Homera odczytał. Nie opis to ani nawet nie obraz, ale wrażenie osobiste, które musiało być głębokie, skoro w tak pięknych i silnych wyraziło się słowach. Rzadki u Pola. a przez to tym cenniejszy przykład dostojnego wyrażania się o rzeczach wielkich i czcigodnych, przykład podniesienia ducha i wyrazu na ten stopień, aby tematu nie zbanalizować, aby przed wielkością uchylić czoła, a nie gawędzić po przyjacielsku. Rytmem spokojnym, słowem powagi i namaszczenia pełnym wylewa się z wezbranej piersi cały ogrom skruchy i bojaźni Bożej, uwielbienia i czci dla minionej potęgi, wreszcie gorącego ukochania i przywiązania do żywych świadków przeszłości; nawet język przedziwnie dostraja się do wyższego tonu, jakiś twardszy, niedzisiejszy, zlekka patyną wieków przyćmiony. I jest tam jedna strofa, jedna refleksja w poetyczną formę ujęta, której zapewne nie powstydziliby się mistrz słowa Kochanowski:

I kiedy Pan Bóg tak dozwolił drzewu
Wyrość w ojczyźnie z drobnego posiewu.
I strzelić górą w niemego olbrzyma,
Choć się bez ducha z burzami szamoce,
Jakoż miał urość ten, co go Pan trzyma,
Co z walki bierze i łaski i moce?

W całym cyklu omawianych utworów nie widzę drugiego, któryby na tym stopniu postawić można;

są inne — niższe, ale w swoim rodzaju niemniej zajmujące. Takie np. *Leśne jezioro*, opis nocy letniej, poczynawszy od chwili gdy

W ostatnim blasku gasnących promieni
Gra słup komarów bujno i swobodnie,

przez godziny wieczorne i północne aż do momentu,
gdy

Jutrzenka wyszła z ciemnego błękitu —
W dalekiej chacie zapiał kur do świtu...

Krótką, ciepłą, ożywczą noc czerwcową, spokojną i pogodną. Dla poety trudna to sprawa dać żywy, ruchomy obraz, kiedy na wszystko zasłona mroków spadnie, gdy tylko gwiazdy patrzą z góry, a wśród cienia gdzieś błysnie świętojański robaczek. Ale wtedy, gdy dla oka nic prawie nie zostaje, cała uwaga, całe napięcie skupia się w słuchu; każdy moment, od zorzy wieczornej aż do świtu, ma w lesie czy nad jeziorem właściwe sobie głosy, śpiewy, poświsty i szmery. I tu, w tym utworze widzimy, z jaką niepospolitą pilnością badał i poznawał Pol każdy szmer, każdy poświst i głos natury, jak doskonale wszystko rozumiał i z jaką miłością wsłuchiwał się w nocną ciszę. Wszystko tu jest, z największą drobiazgowością oddane i wyjaśnione zarazem, poczynając od wrzasku kawek, pohukiwania bąka w trzcinię, plusku ryby i wabienia przepiórki, której drobna dziatwę dograbkiem rozproszono, kończąc na chichocie puszczyka i pianiu koguta w opłotkach. Dziwnego uroku dodają temu opisowi krótkie, wtrącane niby mimochodem refleksje poety, jak np. ta rzewna uwaga, rzucona pierzchliwej czapli:

Nie bój się czapłol nie o ciebie chodzi,
Bardzoś ty dzisiaj bezpieczna w tym domu,
Nikt na królewskie piórka twe nie godzi,
Bo czaplej kitki niema nosić komu...

A ktoby narzekał, że w całym tym dość długim utworze za wiele szczegółowego opisu, a za mało duszy, lotu, natchnienia, — temu wskazać można ostatnie ustępy liryczne, poczynwszy od słów: »Gwiazdy promienne! Teraz duch w niebiosy wzlatuje ku wam«... aż do końcowych słów, które brzmią:

Ledwo że zgasły te zorze nieszporne,
A już poranne palą się od wschodu,
I z jednej przędzy marzenia wieczorne
I pierwsze kwiaty z jutrzeńki ogrodu.
Rosę poranną nocna woń przenika,
Po rąbku ziemi zorza się przesuwą,
I sennych marzeń ocknięcie dotyka,
Ni sen — ni jawa, a duch czujny — czuwa...

Zaraz obok *Leśnego jeziora* postawiłbym *Ranek w puszczy*, ale nie cały, lecz jego pierwszą połowę, t. j. część opisową; jest to niezmiernie wdzięczny, jasny, słoneczny, pełen życia i ruchu, śpiewu rannych ptasząt, woni bzów i konwalji — obrazek, tchnący gorącą miłością natury, nawskroś prześwietlony liryzmem. Szkoda, że część druga, anegdotyczna, nie dorasta tej miary.

W ogólności powiedzieć można, że nieraz w tym zbiorze spotyka się rzeczy w połowie lub w jakiejś części bardzo dobre, — a zresztą liche i bez wartości, jak gdyby poecie tchu brakło, jakby nie miał cierpliwości drugi raz do tego samego utworu wrócić, przerobić go lub wykończyć; stąd wiele rzeczy niedociągniętych, np. początek piękny, a ciąg dalszy byle jak dopisany, albo odwrotnie, jak w wier-

szu *Kruk fundator ołtarza* — podanie klasztorne o kruku z Mogiły powtórzone wcale zręcznie, do tego zaś dorobiony wstęp gadatliwy i błahy. Ze stanowiska artystycznego są to oczywiście usterki poważne.

Trafiają się jednak utwory, gdzie pewna gadatliwość, ton potoczny, nieco rubaszny, dygresje i przycinki, dowcipy i przyrównania zdrowym, szlacheckim humorem tchnące, stanowią właśnie swoistą cechę artystyczną, tworzą pewien osobny typ o właściwym sobie charakterze. Takim jest np. wiersz początkowy:

Bogdaj to tak jeździć czleku,
Jak jeździli ludzie z wieku:
Wozem, końmi, sam i z cicha, —
A nie piecem gdzieś do licha!

W stopniu wyższym skupia w sobie wszystkie te — nie powiem zalety, ale właściwości stylu utwór p. t. *Zima w puszczy*. Rzecz utrzymana w formie dIALOGU, w tonie rozmowy poufalej, swobodnej, przyjacielskiej; przypomina niezrównany dIALOG SIELAWY z Karskim w *Szlachcie na winie*, ale sprawy, około których krąży, jakże zmieniły się, do jakiegoż spadły poziomu! *Zima w puszczy* składa się z trzech realistycznych, żywych obrazków, związanych następstwem czasu i tożsamością osób, których jest dwie: sam autor — gość z miasta i gospodarz, szlachecki domator, mieszkający w puszczy. Pierwszy, jak mówi,

. . . wypadł dla spoczynku,
By posiedzieć przy kominku,
I obaczyć stare dęby,
Pomknąć w sankach między zręby...
I jeżeli już nie strzelić,
Głos myśliwskiej słyszeć trąbki...

Więc powitanie i »bez ogródki, kiedy zimno — to daj wódki!« A że godzina przedwieczorna, to zaraz »Kaź dać kawy!« i »Kaź dać lulkę, miły bracie!« Zasiadają wreszcie przy ciepłym kominku; gospodarz radby się dowiedzieć, co słyhać na świecie, obchodzą go sprawy publiczne, ale poeta nie chce o tym mówić.

»Jednak — jednak — cóż tam... wojna?«
— Czyż ci bracie wojny trzeba?
Chata tutaj tak spokojna —
Komin ciepły — kawał chleba —
Ot — byś tylko Boga chwalił
I bił sarny i zające...

Minie pół wieku niespełna, a *Dziennikarz* podobnie *Czepcowi* odpowie:

Ja myślę, że na waszej parafji
świat dla was aż dosyć szeroki...
Niech na całym świecie wojna,
byle polska wieś zaciszna,
byle polska wieś spokojna

Co u Pola uchodziło za myśl »zdrową«, to za naszych czasów u Wyspiańskiego stało się gryzącą satyrą.

Gdy tak poeta nierad mówi o sprawach politycznych, zaczepia go przyjaciel o literaturę; tu już nie może autor powstrzymać się od upuszczenia żółci. Cały ten ustęp o literackiej tandecie i kupczących nią żydkach miał być w zamiarze poety satyrycznym i dowcipnym; naprawdę jest złośliwy, zgryźliwy i niesmaczny. Takie zdania, jak:

Aby zmarłych okraść można,
Na to piszą się dziś dzieje, —
By kraść żywych, czeladź zdrożna
Dziś powieści tylko sieje.

Otóż że ta sprawa leży
 Niedaleko od kradzieży,
 Od kradzieży i tandétki,
 Więc koło niej krążą żydki...

świadczą niepochlebnie o charakterze pisarza, a jeżeli dziś rażą, to o ileż bardziej razić musiały wówczas, gdy można było palcem wskazać osoby, do których poeta przycinki swoje stosował. Ostatecznie rozmowa na tym się urywa, bo przy kominku

Kiedy sucha płonie kłoda
 I jest chwilka *miłych wczasów*,
 Szkoda tracić ją dla kwasów.

Drugi obrazek rozpoczyna się nazajutrz, z chwilą przebudzenia się poety; zamierzano łowy, leśnych wysłano przed świtem jeszcze na objazdy, — jakież są pierwsze myśli, pierwsze słowa gościa z miasta?

Ledwo człowiek przetań oczy,
 A tu o nas już ktoś radził,
 Bo w kominku blask uroczy,
 I już kawą ktoś zakadził,
 Izbę ogrzał już kominek
 I kawiany szumi młynek
 I ktoś dobrze gospodarzy,
 Bo śmietanka już się warzy.

Wracają leśni, znaleziono wilcze tropy, lecz na obławę nie pora, bo szronem miecie i droga zbyt kopna... Więc schodzi dzień na przejażdżce saniami i zastrzeleniu zajaczka. Część trzecia — nazajutrz: »djabła zawierucha!« ani myśleć o obławie; trzeba czas czymkolwiek zająć: oglądają zbiór gniazd i jaj ptasich, prowadząc przyjacielską pogawędkę.

Fabuła — jak widzimy — nader skąpa, akcji prawie żadnej; ale zalety tego utworu tkwią podobno w humorze zamaszystym, szlacheckim, w tonie pou-

fałym i krotochwilnym, w stylu kontuszwowym, w wyrażeniach rubasznych (np. str. 133, na świecie djablo miecie... str. 134, co ci djabli wiedzieć o tym... str. 135, odkąd wszystko w worku siedzi, djabł słuha ich spowiedzi... str. 139, jakże djablo wiara goni... str. 143, ależ djabla zawierucha!). Przyjąć to można z ważnym zastrzeżeniem, mianowicie że pod tym względem utwór jest nierówny, niedociągnięty; autor nie potrafił należycie oddzielić tego, co dowcipne, wesołe i dziarskie — od tego, co płaskie i pospolite (Anglik nazwałby: *trivial*). Wyjaśniam to na przykładzie: oto poranek zimowy w puszczy, przygotowania do łowów, — chwila dla poety bardzo wdzięczna... U Zaleskiego znajduje się motyw podobny, który dla porównania przytaczam:

O, dzień dobry! jakże zdrowie?
 Jak się macie? czy się spało?
 In gratiam was, panowie,
 Rozryweczkę zrobię małą;
 Bo coś w chacie tu wyśnicie?
 Lepsza w polu myśl o świecie.
 Żwawo, żwawo zwiedźcie głowy!
 Jazda przednia, niedaleka,
 Cały przybór już gotowy,
 Psy i konie — wszystko czeka...

A śniadanie
 Na co stanie,
 Po myśliwsku na pniu dam.
 Co mi tam!¹



Tak pisze twórca *Rusalek*, którego słodycz i tkliwość już w przysłowie wchodzi; a teraz zobaczmy, co z tego motywu zrobił Pol, o którego zacięciu szlacheckim i zdrowym, jędrnym humorze wiele się mówi:

¹ Z wiersza: *Co mi tam! czyli poranek starego myśliwca.*

Ha! dobry dzień! jak się spało?
 A czy sucho tam się wstało?
 Czy nie boli ze snu głowa?
 A kawuńcia czy gotowa?
 Wszystko dobrze, byle cicho,
 Bóg dał łaskę a myśl zdrową.
 Cóż na dworze?

»Okiść wiechą!

I cichutko a ponowa:
 Leśnych pchnąłem już do gwiazdy
 Saneczkami na objazdy,
 Bo ślad trzeba przetorować
 I wypada zapolować«.

Nie wskazując tu rzeczy, które każdy niepozba-
 wiony smaku wyczuje i oceni, zostawiam już *Zimę
 w puszczy*, aby choć w krótkości omówić jeszcze je-
 den większy utwór, dotychczas pominięty.

Do cyklu *Z klasztoru i z boru* włączył Pol rzecz
 dłuższą, drukowaną wcześniej w osobnym tomiku;
 tytuł jej: *Czarna krówka*. Autor nazwał to »legiendą
 z naszych czasów«, ale jeżeli się zgodzimy, że w le-
 giendzie musi być jakiś pierwiastek cudowności
 lub świętości, to właściwiej będzie nazwać *Czarną
 krówkę* — po prostu — powiastką z życia klasztor-
 nego. Błahość fabuły, niepewność rysów obyczajowych, zu-
 pełne chybień charakterów, wadliwość budowy, —
 wszystko to każe uznać ten utwór za jedno z naj-
 słabszych dzieł Pola, a za takie uznaje się z pewną
 obawą, aby nie zostać posądzonym o względy ubocz-
 ne, np. uprzedzenie do życia klasztor-
 nego.

Co do pomysłu: starczyło go doskonale na jeden
 rozdział VI, a zarazem ostatni, gdzie całą sprawę
 poznajemy ze słów spowiedzi; wszystko inne — to
 dodatki, wstęp, ciągnący się przez pięć rozdziałów.
 Z tą wadą ściśle łączy się i wada konstrukcji: za-

ledwie przy końcu dowiaduje się czytelnik — o co chodzi; aż do rozdziału VI cała sprawa jest dlań tajemnicą. Wreszcie wada — może najpoważniejsza — leży w charakterach. Prowincjał przedstawiony jest jako postać bez własnej inicjatywy i świadomej woli, bez rozwagi i sądu samodzielnego; we wszystkich wypadkach, czy chodzi o rozporządzenia podczas wizytacji, czy o rozgrzeszenie przy spowiedzi, ucieka się do losowania wyroku za pomocą przypadkowego otwarcia biblij; jeżeli był to rys obyczajowy, to wartość jego bardzo wątpliwa, a zastosowanie nietrafne. Z postaci głównej, z brata Wigilego, zrobił Pol bajronistę w habicie; dręczy go myśl urojonej zbrodni, opanowuje melancholją rozpacz blizka; ten jego stan przenosi się na całe otoczenie... Że mnich o drażliwym sumieniu mógł w danym wypadku uczuwać pewne skrupuły, że mógł swój miłosierny postępek za grzech poczytać, a z powodu śmierci przyjaciela nosić smutek i żalobę w sercu — to jest słuszne i prawdopodobne; ale skąd i na co te straszne zgryzoty sumienia, ponure milczenie, groźna tajemniczość i czarna melancholją?

Słowem — jest w *Czarnej krównce* nie tylko wiele błędów, lecz także sporo naiwności i niedopatrzeń, wynikających z braku rozwagi, z braku pogłębienia psychologicznego, wreszcie z braku należytego ustosunkowania między przyczyną a skutkiem. Dodajmy do tego zagadki językowe, za rozwiązanie których możnaby konia z rzędem przeznaczyć, jak np. zdanie, wygłoszone przez prowincjała: »Ci najgorsi, co na dobre hardzą!« Że *Czarna krówka* doczekała się w krótkim czasie trzech wydań, to świadczy nie o jej wartości artystycznej lub ideowej, bo ta równa się

zeru, ale o smaku i upodobaniach ówczesnej czytającej publiczności¹.

Zamykając przegląd księgi z *Podróży po burzy* pozwalam sobie na sformułowanie uwagi ogólnej, która będzie miała charakter ostatecznego wniosku, wyciągniętego z wyżej uwydatnionych przesłanek. W długim szeregu utworów poeta wyraził niezadowolone z dążeń i czynów ludzkich, swój żal do świata, zniechęcenie, rozgoryczenie, w mniejszym lub większym stopniu, subiektywnie lub ze stanowiska ogólniejszego, ale prawie wszędzie, gdzie dotyka spraw i stosunków współczesnych. A więc pesymizm... Jednak nie jest to pesymizm filozoficzny, konsekwentny i wszystko obejmujący, nie to głębokie przeświadczenie, że istotę bytu wieczną i niezmienną stanowi zło powszechne, ból, zgryzota; pesymizm Pola nazwałbym społecznym, gdyż dotyczy tylko danego środowiska, danej chwili dziejowej, danych warunków i okoliczności. Od pierwszego nie masz ratunku, chyba śmierć; od drugiego możliwe jest wyzwolenie, polegające na ucieczce od świata, zaszyciu się w cichym kąciку, w domku wśród puszczy lub w celi klasztornej... Tę drogę wskazuje poeta, a jest to droga biernego kwietyzmu.

W liryce jego (a mówię wciąż o liryce po r. 1850) nie zabrzmi bodaj echo pobudki do czynu; natomiast są morały i rady, które streścić się dają w tych słowach: urządz sobie życie tak, abyś Bogu był miłym, ludziom nie zawadzał, pędził dni swoje zdala od zamętu i złości świata, w ciszy, skromnie, pocziwie,

¹ Obszerne oceny *Czarnej krówki* zamieszczono współcześnie w *Czasie*, r. 1854, nr. 177 (L. Siemieńskiego), w *Przeglądzie Poznańskim* r. 1855, t. XXI i w *Nowinach* r. 1854, nr. 97.

a wtedy »droga się wyprości przez boleści do miłości...«¹. Nietrudno spostrzec, że jednostka, któraby według tych wskazówek prowadziła żywot, byłaby społecznie obojętną i niepłodną, ściśle mówiąc — znalazłaby się poza społeczeństwem, którego dążenia, troski i zawody stałyby się dla niej obcemi. Sam Pol jako człowiek nie był takim, ale jako poeta — takie głosił zasady.

Jest więc Pol wyznawcą pobożnego kwietyzmu. Tom *Z podróży po burzy* staje się apoteozą skromnego życia rodzinnego, na kawałku roli ojcowej, wśród sędziwych grusz i dębów, przy starym pochylonym kościółku, a typem — ideałem poety jest szlachcic domator, zamykający oczy i uszy na wszystkie nowe obrazy i dźwięki, ograniczający swą działalność do pilnowania gospodarstwa, swą wiedzę — do katechizmu i kilku pożółkłych ze starości ksiąg, swe stosunki — do proboszcza, kvestarza i najbliższych sąsiadów, swe rozrywki — do polowania i rybołówstwa, swe wytchnienie do pogawędki przy płonącym kominku.

Do tych zasad, ideałów i wzorów potrafił Pol ze szczególnym darem czy instynktem zastosować formę poetyczną. Jego sposób ujęcia przedmiotu, budowa, rozkład i następstwo myśli, styl i język — doskonale harmonizują ze stroną wewnętrzną. W zbiorze *Z podróży po burzy* spotykamy zazwyczaj połączenia opisu z dydaktyką, opowiadania z morałem, ujęte w formę niewymyślną, prostą, przejrzystą, taką właśnie, jaka od niechcenia sama się nasunęła; i gdyby nie pewne niesforności stylowe, gdyby nie wyrażenia, które sam autor tworzył i sam tylko dokładnie rozumiał, — to

¹ Tom V, str. 11 i 85.

jego drobne poezje byłyby dostępne warstwom najszerszym.

Styl Pola i język nazwałbym szczerze polskim nie dla poprawności gramatycznej (bo błędy, zwłaszcza galicjanizmy, spotykają się często), ale dla ducha narodowego, który w tym zbiorze panując niepodzielnie, wyłącza i tępi wszystko co obce, od porównań zbyt wyszukanych, zdaleka sprowadzonych, od mitologii i gieografii obcej do tych poszczególnych wyrazów, które acz zadomowione, nie brzmią swojsko. Na to miejsce wprowadza poeta całą armję słów, które dotychczas w poezji polskiej rzadkim bywały gościem. Są tu potoczne wyrażenia, właściwe swobodnej, wesołej pogadance; są wyrazy żywcem przejęte z języka myśliwskiego, inne — z gwar ludowych, jeszcze inne — wątpliwego pochodzenia, które sam poeta na wzór starej polszczyzny urabiał, kierując się intuicją. Właściwością jego stylu jest częste wpłatanie przysłów, gadek i utartych wyrażen, wziętych z języka warstw średnich i gwary folwarcznej; oto szereg przykładów:

na króciutkim ma toporzysku — str. 35.

zebrane na króciutkiej wici — str. 39.

siekierka znaczy i siekierka ścina — str. 50.

plackiem do nóg, pierogiem do gęby — str. 52
i 154.

lis borsuka wyparował z jamy — str. 52.

zbiegło tak lato, jak z bicza wystrzelił — str. 61.

na Spasa bociany do cieplic, a bąki do lasa —
str. 61.

w tym sęk cały — str. 82.

kościół nie macocha — str. 82 i 173.

djabłu świeczkę ktoś już zapalił — str. 105.

to nie przelewki! to tłusta owieczka! — str. 121.

czorta masz za skórą — str. 129.
 twarde każesz gryźć orzechy — str. 136.
 psa nie wygnać nawet z domu — str. 143.
 rzecz do sęku i do jądra — str. 144.
 nie przebiję muru czołem — str. 147.
 nie dopędzi szczęścia koniem — str. 147.
 nie wszystko jeszcze zginęło w kąkolu — str. 174.
 prosto jak za sznurem — str. 182.
 Bóg radzi po dobrych kątach o swojej czeladzi —
 str. 194.

Obok tego pojawiają się gdzieniegdzie wyrażenia rubaszne, jak np. bresze nawet wesoło sobaka! (str. 221) — całą gębą głupi (str. 157) — zjadłbyś djabłów trzysta (str. 159). Zdarza się jednak, że poeta w tym sposobie pisania przebiera miarę i wpada w manjerę; tak np. gdy czytamy:

— Ha, to widzę, bieda nasza:
 Serce sercem — kaszą kasza!
 Na mogile czy na grobie,
 Człowiek sobie — a czort sobie!

staje się aż nadto widocznym, że to już nie przy-słowie ani parafjanizm, lecz osobisty grzech autora.

Gdy teraz zadamy sobie pytanie, czy ten styl w poezji był wynalazkiem Pola, czy on pierwszy wprowadził go i rozwinął, — to po chwili namysłu odpowiedzieć trzeba przecząco. Nie należy sięgać w oddalone wieki, do fraszek i facecji doby odrodzenia, ani nawet do czasów zepsucia smaku, kiedy to pospolitość obrazów i prostactwo wyrażen było chlebem powszednim; ale przecież w epoce pseudoklasycyzmu, obok starannego wyszukiwania słów i zwrotów pięknych, przyzwoitych, wytwornych, a pilnego unikania w poezji wszystkiego co pospolite, nieokrzesane i płaskie, nawet wtedy spotyka się w pewnych

formach poetycznych, mianowicie w satyrze i w bajce, język powszedni, potoczny. W stopniu znacznie większym styl ten rozwija się i przyjmuje w komedji pisanej wierszem; wzór stylu żywego, jowialnego, okraszonego bądź conceptem, bądź przysłowiem, a przytym zachowującego naturalny tok rozmowy, — wzór dotychczas nieprześcigniony dał w komedjach swych Aleksander Fredro. A więc pod tym względem nie był Pol ani pierwszym, ani jedynym, ale z pośród wielu — jednym z lepszych.

VI.

Poezja przeszłości.

Uwagi ogólne. — Wiek XVIII i pierwsza ćwierć XIX. — Fredro i Malczewski. — *Pan Tadeusz* i *Pamiętki Soplicy*. — Upodobania ogółu. — Legjon gawędziarzy.

»Była w starożytnym Rzymie świątynia, bogowi wojny poświęcona; bóg ten nazywał się Janus... Posąg Janusa był to wyniosły słup, ozdobiony u góry dwoma twarzami, czaszką wspólną zrosłemi ze sobą, co znaczyło, że wyobrażały jedną tylko myśl w dwóch kierunkach życia; jedna twarz przedstawiała starca patrzącego na zachód, druga pięknego młodziana, patrzącego na wschód. W twarzy starca malowała się mądra i czuła powaga, malował się wyraz wielkiej pamięci przeszłości, mądrości wyniesionej z zapasów życia, doświadczenia zdobytego w ciągu dzieł i spokojnej rozwagi... W twarzy młodzieńca malowało się otwarte serce, malowała się nadzieja, zapał i energia ducha, zapowiadająca czyny w przyszłości... Postawmy przed posągiem Janusa, patrzącego w przeszłość i przyszłość, krzyż Chrystusów na ziemi naszej, a będziemy mieli symbol literatury polskiej XIX wieku, która jedną twarzą i duchem narodowych tradycji spogląda w przeszłość okiem

starca, a drugą twarzą patrzy w przyszłość nadzieją promienną młodzieńca«¹.

Słowa te wygłosił Wincenty Pol w r. 1866 i zawarł w nich spostrzeżenie, któremu niepodobna odmówić trafności; istotnie bowiem literatura polska w. XIX (w poezji i filozofji zwłaszcza) wzrokiem orlim i proroczym sięga w przyszłość daleką, mglistą, a równocześnie (w poezji, powieści i historji) rzuca tęskne spojrzenie wstecz.

Było to koniecznością niechybną, że duch narodu polskiego, narodu wygnańców, tułaczy i niewolników, pragnął poznać swój los i przeznaczenie, usiłował przewidzieć przyszłość, dowiedzieć się, zali rychło tułactwo i niewola się skończą i »słońce swobody zabłyśnie«; stąd wypłynęło niewyczerpane źródło poezji wieszczej. Ale zarazem duch tego narodu był jako syn sierota, boleści i tęsknoty pełen, żaloszny po rodzicach świeżo złożonych do grobu. I jako ten syn rozgląda się po pustych kątach, gdzie z umiłowanemi dziecinne spędził lata, otacza się pamiątkami, odczytuje dawne listy, uprzytomnia sobie ich głos, wyraz ich twarzy, podobnie naród polski starał się wskrzeszać w pamięci, odnawiać w słowie to wszystko, co już przestało być ciałem. Więc dawne postaci i typy, dawne obyczaje i obrzędy, dawny strój i te drobne przeszłość przypominające pamiątki,—wszystko to z synowską miłością zachowuje, zbiera, czci jak najdroższy skarb i świętość.

•Harda i potężna ruina jakiegoś zamku, z którego niegdyś na dalekie okolice rozchodził się gwałt, mord i pożoga, skoro kości raubritterów, co go dźwignęli, rozsypał czas i wiatr rozniósł, staje się dzisiaj sied-

¹ *Pamiętnik literatury polskiej*. Dzieła t. VIII, str. 8—10

liskiem cudownych legiend, źródłem poezji, wciele-
niem wzruszających i szczytnych marzeń... Takie
ruiny myśli, pojęć, obyczajów i stosunków ciągle
przeciwstawiają się nowemu życiu i często są rze-
czywistym ukojeniem wobec podłości i lichoty te-
go, co chwilowo zapanowuje nad ludzkim światem,
a niekiedy tkwi w nich poprostu poezja przeżytych
uczuć, poezja wspomnień tak bezwzględnie konieczna
dla ludzkiej duszy, że są ludzie, dla których ona je-
dna stanowi urok życia¹.

A więc pierwiastek uczuciowy gra tutaj zawsze
rolę niezmiernie ważną; atoli nie koniec na tym.
Obok uczucia występuje w znacznym stopniu czyn-
nik drugi, mianowicie pewien wrodzony człowie-
kowi konserwatyzm, to co w fizyce nazywamy pra-
wem bezwładności. Wiek starszy niechętnie wy-
zbywa się swego sposobu myślenia i życia, swych
przyzwyczajzeń i nałogów; przechodzą one z pokole-
nia na pokolenie i tą drogą utrwała się i utrzymuje
tradycja. »Ludzie epoki przeszłej, mówi Mickiewicz,
ludzie z duszą wyschłą i niezdolną do zapалу, uży-
wają wszelkich sposobów, żeby zatrzymać tych, co
postępują naprzód. Ich giest jest giestem wstrzymu-
jącym... »Poczekaj! ostrożnie! nie zapalaj się! — to
ich mowa, połączona z kurczem ręki, podobnym do
chwywania się konającego, który zamiast poglądać
w niebo, czepia się stojących przy nim, jakgdyby
chciał ich z sobą pociągnąć do grobu². Aż oto wy-
stępują naraz czynniki, stające wpoprzek utartej drogi,
do publicznego lub domowego życia przedostają się
pierwiastki nowe, obce, trudne do przyswojenia.

¹ Stan. Witkiewicz. *Juljusz Kossak*. Warszawa 1900.

² Prelekcja z dn. 9 stycznia 1844 r.

Oczywiście budzi się reakcja: pewna, zazwyczaj znaczna część społeczeństwa w imię uświęconych zasad i obyczajów, w imię tradycji powstaje przeciw najazdowi, — i wtedy w literaturze, która jest wyrazem ducha narodu, zjawiają się dwa wydatne motywy, dotychczas bądź nieobecne, bądź niedostrzegalne. Motyw pierwszy — to ośmieszenie i nagana, skierowana w stronę nowatorstwa; motyw drugi — to sympatja, uczczenie i zachęta po stronie narodowej tradycji.

Przedstawmy sobie duszę szlachcica z połowy XVIII w.; domator i hreczkosiej z dziada pradziada, skory do korda i krzyków, niezbyt oświecony (kształcił się na Alwarze i *Nowych Atenach*), trochę rubaszny, jedzie w odwiedziny do sąsiada i zastaje tam młodzieńca, który za granicą podróżował, obcy strój nosi, obce wyrazy wtrąca, w jedzeniu wybredny, w obejściu dziwaczny; ten sam szlachcic u innego sąsiada spotyka guwernera Francuza, jakiegoś Damona w pudrowanej peruce, kierującego młodzieżą na nowy, zagraniczny sposób. Cóż dopiero, gdy poczciwy domator pojedzie w jakiejś sprawie do Warszawy, gdy tam napatrzy się golonych twarzy, kusznych strojów, nowych mód i obyczajów, gdy nadomiar złego obsłucha się nowych zasad i teorii, żywcem z Francji przejętych, — dopieroż zaklnie pod wąsem! I wyraz takiego uczucia rzeczywiście tkwi już w literaturze wieku osiemnastego; nie wyczerpując sprawy, wystarczy uwydatnić parę takich tonów.

Tak np. Franciszek Bohomolec w *Paryżaninie polskim* ośmiesza młodego Polaka, Roberta, któremu podczas pięcioletniego pobytu w Paryżu najzupełniej przewróciło się w głowie; osiadszy w kraju rodzin-

nym, popełnia szereg niedorzeczności, drwi ze wszystkiego co polskie, szydzi z tradycji, obyczajów i wiary ojców, trwoni pieniądze i zaciąga długi. Ojciec jego, niezamożny szlachcic Starski, przywiązany do ziemi i tradycyjnego trybu życia, gorzko żałuje, iż zezwolił na wyjazd syna w obce kraje.

Podobnie Adam Naruszewicz jest przeciwnikiem powierzchownej ogłady zagranicznej, przez którą nie osiąga się prawdziwej wiedzy, lecz tylko obce mody i dziwactwa.

Patrz-no na tego mędrka, na ten łeb misterny,
Co opachał kawiarnie Paryża i Berny,
Co głowę wymeblował modnemi nauki.
Umie robić pomadę, nastrzępiać peruki...¹

A przecież naśladowanie zagranicy nie jest jedynym powodem zepsucia, które tak rozpanoszyło się w ojczyźnie; według Naruszewicza przyczyna leży nadewszystko w tym, że Polacy sprzeniewierzyli się cnotom i obyczajom przodków. Zamiast poczucia rzeczywistych i osobistych zasług zapanowała fałszywa duma i szczylenie się rodem, zamiast odwagi i męstwa — zniewieściałość i tchórzostwo, miejsce rozsądku, szczerości i tym podobnych cnót zajęły głupota, obłuda, pochlebstwo, ciemnota, karcjarstwo i ogólny upadek obyczajów.

Więc gdy zły czas wygładził stare obyczaje,
Poszedł prawdziwy honor w obce kędys kraje.
Osiadła miejsce próżność, a miasto zasługi
Hajdukami się szczyli i pięknemi cugi...²

Na widok podszytego tchórzem rycerza biskup smoleński wspomina dawne wojowników polskich zastępy i woła oburzenia pełen:

¹ Satyra *Głupstwo*.

² Satyra *O prawdziwym szlachectwie*.

Oddaj dzikim Sarmatom kiryś i przyłbicę,
 Były pod ich szabliskiem nietknięte granice,
 Kiedy zgodni, porządni, twardo wychowani,
 Miłośnicy swych królów i wierni poddani,
 Bez ślifów i oliwek, choć w prostym paklaku,
 Panowali od źródeł Dniepru do Krępaku...¹

Ignacy Krasicki był pod tym względem mniej stanowczy i zdecydowany; w umyśle jego spotkał się żywioł rodzimy, tradycyjny z krytycyzmem francuskim, humanizmem zachodnim i dążnościami reformatorskimi; urodzony satyryk i moralista, trochę sceptyk i dworak, nie zdobywał się na głębię przekonań, na siłę zapалу, — stąd dwa te pierwiastki: tradycyjny i reformatorski, nie wyłączały się wzajemnie, ale godziły w łagodnych kompromisach. Krasicki nie tai wad starszego pokolenia, nie zamyka oczu na pielęgnowaną w starych dworach prywatę, ciemnotę i pijaństwo; ale ten sam Krasicki niejednokrotnie żałuje dawnych dobrych czasów i odzywa się o nich ze szczerą sympatją.

Placzesz? Ojczyzna niegdyś zbyt dostatnia
 W skarby, orężę i cnoty,
 Dziś w innym stanie! podłych duchów matnia!
 Upłynął ojców wiek złoty...²

Tego ojców złotego wieku Krasicki nigdy bliżej nie oznacza; poprzestając na ogólnikach, ucieka myślą w przeszłość, w te dobre czasy, gdy panowała cnota, gdy żyli obywatele, dbający więcej o dobro publiczne, niż o swoje własne.

Gdzieżeś, cnoto? gdzieś, prawdo? gdzieście się podziały?
 Tuście niegdyś najmiłsze przytulenie miały.

¹ Satyra *Reduty*.

² Wiersz *Do...*

Czcili was dobre nasze ojce i pradziady:
A synowie, co w bite stąpać mieli ślady,
Szydząc z świętej pocziwych swych przodków prostoty,
Za blask czczego poloru zamienili cnoty...¹

Podobnie jak inni satyrycy w. XVIII, występuje Krasicki przeciwko niewolniczemu naśladownictwu obczyzny, przeciw śmiesznym modom i zwyczajom, żywcem z zachodu przejętym; gani otwarcie rozszerzający się zwyczaj trzymania w domu guwernerów cudzoziemców (Damon w *Doświadczyńskim*); stojąc na gruncie rodzimym, tworzy w *Panu Podstolim* ideał domowego życia szlacheckiego, w którym zdrowy rozsądek z narodową tradycją łączą się doskonale. Nie pochwała też Krasicki podróży po obcych krajach, czy to dla zdobycia wiedzy, czy tylko z ciekawości.

Jeszcze można wybaczyć, gdy ostatnia nędza
Z domów, jeśli je mają, ubogie wypędza;
Ale kiedy bogaty puszcza się w podróżę,
Ja o jego rozumie, iżby miał, nie wróżę...
Ostatnia — to po rozum za granicę jeździć.
Jeśli się on pod własnym dachem nie chciał gnieździć,
Darmo go indziej szukać...²

Jednak epoka stanisławowska umiała zachować miarę i trzeźwy sąd w ocenie tego, co było rodzime i uświęcone tradycją; ożywiona myślą ratunku, a szukająca go w szybkich, koniecznych reformach, daleka była od bezkrytycznego uwielbienia wszystkiego, co myszką trąci. Przeciwnie, spoglądając baczniej na dwory i dworki szlacheckie, widziała dobrze ile popełnia się tam grzechów głównych, niezaszczytnego

¹ Satyra *Świat zepsuty*.

² Satyra *Podróż*.

dziedzictwa epoki saskiej. Wtedy to wszedł do literatury stanisławowskiej dworek wiejski z całą galerją właściwych mu typów; satyra gryząca, upokarzająca, a niestety na rzeczywistości oparta: mam na myśli *Sarmatyzm* Franciszka Zabłockiego.

Ten »Marek Guronos, dumny i kłótniwy szlachcic domator, Ryksa, żona jego, w takimże ułożeniu, nieco trunkowa«, Żegota, Burzywoj, Retorta, — są to uosobienia tak zw. sarmatyzmu, którym to mianem epoka stanisławowska ochrzciła cechy charakterystyczne czasów saskich, jak fałszywą dumę, chęłpienie się rodem, kłótniwość i pieniactwo, ciemnotę i tchórzostwo, pijaństwo, obżarstwo i inne obrzydliwości, budzące wstręt w człowieku cywilizowanym. Przejdzie lat kilkadziesiąt, — i będzie się mówiło o tym z uśmiechem pobłażliwym, nieledwie z żalem, że już do przeszłości należy; ale teraz, pod koniec XVIII w., czuje się całą szkodliwość owych szanownych zabytków, chciałoby się wyrwać je z korzeniem, uderza się biczem satyry; a jednocześnie dostrzec można krótkie, tęskne spojrzenie wstecz, ku tej przeszłości, co istotnie była jaśniejszą i lepszą. I gdy *Sarmatyzm* kończy się okrzykami »Kochajmy się!« wiwatami na cześć zgody i braterstwa, Skarbimir »szlachcic rozsądny« mówi: »To, to narodową Polaków niegdyś było cnotą! Ona (t. j. zgoda i przyjaźń) przewodniczyła ich męstwu, ich radom; czas dalszy zniósł ją, nowym dawszy miejsce wadom...«

Z takimi poglądami na przeszłość i tradycję dochodzimy do trzeciego rozbioru i końca w. XVIII. Zarazem jest to chwila pierwszej emigracji. »Polska — mówi Adam Mickiewicz — ukazuje się teraz podwójna, rozcięta na dwie połowy. W kraju wszystko, co było jeszcze umysłowo wyższego, usiłuje utrzymać

tradycje, ocalić prawa narodowe, zachować Polskę starodawną... Ale z drugiej strony, co tylko czuło w sobie zapęd do czynu, co goniło za przyszłością, szukało natchnienia, to wszystko szło szukać ojczyzny gdzieindziej, składało ludność emigrancką. Duch Polski wyniósł się w kraje obce¹. A zanim duch ten z legjonami powrócił »z ziemi włoskiej do Polski«, wypadło stoczyć walkę z żywiołem obcym, który żywiołowi rodzimemu groził zalewem i zgubą.

Literatura według sił i możliwości stara się strzec pilnie narodowego pamiątek kościoła, czerpać z niedawnej przeszłości i w ten sposób utrzymywać ciągłość życia narodowego. Zanim rysy obyczajowe świata szlacheckiego weszły do powieści i poezji, zebrał je i wydał w szeregu dzieł źródłowych Łukasz Gołębiowski. W komedji jak dawniej ośmiesza się pociąg do obczyzny, cudzoziemskie wychowanie, podróžomanję, a zachęca do trzymania się dawnych dobrych obyczajów i tradycji, do pielęgnowania cnót na ojczystej ziemi; w tym duchu pisane są: Niemcewicza *Dom pocztowy* i Dmuszewskiego *Szkoda wąsów*.

W r. 1815 wychodzą *Dwaj panowie Sieciechowie* Niemcewicza, powieść ważna i ciekawa zarówno przez tendencję swoją, jak przez formę nową i zupełnie oryginalną. Pod postacią djarjusza rodzinnego znajdujemy tu paralelę dwu pokoleń, setką lat przedzielonych: dziad z czasów Augusta II i wnuk z doby Księstwa Warszawskiego. Pierwszy, typowy sarmata epoki saskiej, wychowanek jezuitów i warchoł hetmański, ciemny a wygadany, do pijatyk jedyny, gardłuje w interesie możnowładcy, broni *Liberum Veto*,

¹ Wykład z dn. 26 kwietnia 1842 r.

powstaje przeciw płaceniu podatków, słowem — jeden z tych, co tonącą nawę Rzeczypospolitej coraz to głębiej pogrążali; wszystkie swe myśli i sprawy ku wiecznej pamięci w djarjusz zapisuje właściwym epoce językiem makaronicznym. Drugi, zrazu niezbyt obiecujący, sfrancuziały, pusty, lekkomyślny, opamiętywa się w stosownej chwili, okazuje się godnym synem ojczyzny, poświęca dla jej dobra i mienie i życie. A więc tendencja powieści polega na potępieniu czasów saskich, a uznaniu obywatelskich zasług w pokoleniu nowym; stanowisko to niedługo się utrzyma, przyjdą po Niemcewiczu pisarze, których poglądy okażą się biegunowo przeciwnie. Ale chociaż strona dydaktyczna *Dwu panów Sieciechów* nie znajdzie naśladowców, to jednak forma ich dojdzie z czasem do znacznego stopnia rozwoju; mianowicie część, poświęcona odtworzeniu epoki saskiej, jest pierwszą na tradycji osnutą powieścią historyczną, którą dla odróżnienia od powieści opartej na badaniach historycznych należałoby nazwać tradycyjną. Za wzorem tym pójdzie niebawem Klementyna Tańska i na podstawie tradycji ustnej, listów i pamiętników żywo i trafnie odmaluje obyczaje sfer wyższych z połowy XVIII w. w *Listach Elżbiety Rzeczyckiej* (1824) i *Dzienniku Franciszki Krasińskiej* (1825).

W owych to czasach, w części kraju najbardziej zagrożonej wynarodowieniem, w mieście noszącym charakter cudzoziemski, pośród Niemców, Czechów, Rusinów, Ormian i t. p. powstaje silna placówka polskości; jest nią teatr polski we Lwowie, a w nim komedje Fredry. Krytyka wykazała u Fredry silne wpływy komedji obcej, znaczne pożyczki od Moliera, niektóre postaci uznała za przejęte żywcem, a mimo

tego wszystkiego nie zdołała obalić tej prawdy, że komedja jego jest na wskroś polską. W długim szeregu utworów, które przez lat kilkanaście wchodziły na scenę w Warszawie i Lwowie, bez trudu wyczuć się daje, mimo nazw obcych i wzorów, duch szczepolski, objawiający się nie tylko w swojskim humorze, dowcipie, języku, ale w samych postaciach, w ich sposobie myślenia i działania. Nie tutaj miejsce zastanawiać się nad znaczeniem Fredry i charakteryzować jego twórczość; pragnę tylko uwidatnić fakt, że autor *Ślubów* wiąże się ściśle z tym prądem, co wychodząc z satyry i komedji wieku XVIII, rozwinie się później w obfitą literaturę szlachecką. Oczywiście nie cała twórczość Fredry da się tutaj podciągnąć, ale jest kilka komedji, pisanych wyraźnie w tym duchu tradycyjno-narodowym, opartym o przeszłość, bogatym w pierwiastki rodzime, zachowawcze; są to: *Cudzoziemczynna*, *Pan Jowialski* i *Zemsta*.

Pierwsza, wystawiona w r. 1824 w Warszawie, należy do rzędu satyr, wymierzonych przeciw naśladownictwu obcych mód i obyczajów; staje więc w obronie tego, co swojskie i uświęcone tradycją. Radost jest to »najlepszy Polak w sercu«, zacna, uczciwa dusza, dziedzicząca po przodkach serce czyste, prawe i porywcze; ale Radost »zrzucił kontusz, pas, czapkę, przywdział modne stroje«, za oficjalistów przyjął cudzoziemców, służbie kazał zgolić wasy, a koniom obciąć ogony, »słowem, co cudze, modne, to tylko na względzie«; chwilowe to wszystko i powierzchowne, bo w ostatniej scenie wychodzi już »po polsku ubrany, bez peruki, czapka na bakier, karabela przy boku«. Czy jednak czyni to dlatego, że »miłe cudze kraje, lecz milsza ojczyzna«? Nie, —

on tylko przekonał się, że cudzoziemcy źle rządzą w jego majątku, narażają go na straty materialne,— więc niechaj będzie wszystko po dawnemu. Oczywiście, że autor nie staje tu na straży ducha narodowego, bo ten na szwank wystawiony nie jest, ale w obronie narodowych strojów i obyczajów; chodzi mu nadewszystko o kontusz z wylotami, karabelę u boku, o buty dla służby, zamiast drewnianych sabotów. Kto wie, czy przedmiot podobny w *Paryżaninie polskim* Bohomolca nie został ujęty głębiej.

Dwie inne komedje Fredry o charakterze wybitnie swojskim powstały znacznie później, już po roku 1830. *Pan Jowialski*, napisany w r. 1832, wystawiony we Lwowie w r. 1833, uchodzi za komedję specyficznie polską nie przez intrygę naiwną i starą (jeszcze Baryka jej próbował), nie przez tło obyczajowe, ale dzięki postaci naczelnej. Jowialski, zamożny szlachcic, obywatel wiejski, staruszek sędziwy a więc żywy świadek przeszłości, dobroduszny, pogodny, pełen łagodności i dobroci serca, jest zawsze wesół i uśmiechnięty, a dowcipu i humoru posiada zasób niewyczerpany. Największą jego cechą charakterystyczną jest łatwość, z jaką do każdego niemal zdania wtrąca przysłowia; *Adagia* Knapskiego umie doskonale, nadto pamięta z młodszych jeszcze lat nieskończony szereg bajek i bajeczek, które przy łada sposobności przytacza. Głębszego podkładu ideowego w nim nie szukać. W pierwszych latach po wprowadzeniu Jowialskiego na scenę starano się dopatrzyć w nim typu historycznego czasów saskich, ubierano go w kontusz i żupan; sarkał na to stary Fredro twierdząc, że on tylko sportretował jakiegoś poczciwego staruszka z sąsiedztwa. Zapewne sam autor nie dostrzegł, jak bolesną zgotował satyrę. Jowialski

już dobrze ósmy krzyżyk na plecach dźwiga, a więc urodził się gdzieś między 1750 a 1760 rokiem, jako młody chłopiec musiał być świadkiem pierwszego rozbioru, za jego lat męskich odbył się rozbiór drugi i trzeci, a potem gdy się ku starości zbliżał, nadeszły czasy legjonów i rok 1812. Cóż przez to pół wieku czynił pan Jowiański? Jejmość pani Jowiańskiej bajeczki opowiadał. Żadne żywsze uczucie, żadna myśl poważniejsza ani wyrzut sumienia nie zamąciły jego spokojnych dni. Jak żył sam, tak i syna wychował; ów synalek, noszący dziś tytuł szambelana, strawił życie całe na chwytaniu ptaszków w samotrzaski i struganiu klatek; istota najzupełniej bierna i bezmyślna, nawet dowcipu ojca nie dziedziczy. Tego ojca i syna, z dodatkiem Janusza, płytkiego trefnisia »z intrat rozumnego«, — odnajdziemy niebawem w całym szeregu kontuszowych gawęd rozmaitych autorów; zmieniają się nazwiska, zmieniają i właściwości charakterystyczne: Jowiański zamiast powtarzać bajeczki będzie strzelał do zajęcy i kuropatw, gonił z chartami, polował do upadłego; szambelan będzie odwiedzał braci szlachtę i pił garncem miód albo węgrzyna. Role i zajęcia odmienne nieco, ale duch pozostaje ten sam: ta sama bezmyślność i bezczynność, ochota do zabaw i rozrywek, próżne trwonienie czasu, zupełny brak myśli społecznej a obojętność na sprawy polityczne. Fredro stworzył ten typ.

Po Jowiańskim, który przeniesiony w czasy około r. 1830 czynił wrażenie okazu kopalnego, stworzył Fredro kilka postaci z dawniejszych jeszcze czasów, ale osadził je na tle epoki właściwej; stąd powstała już nie osobliwość antykwarska, ale kawał życia, tchnącego właściwym sobie duchem. Czy Fredro pisząc *Zemstę* (1834) miał na widoku cele moralizator

skie, dydaktyczne? Czy ośmieszając wady przodków, pragnął wnuków poprawiać? Jeżeli zamiar taki miał, to musiał go odsunąć gdzieś wgłąb, na plan nieledwie ostatni; w wykonaniu tej znakomitej komedji strona artystyczna przeważała i przesłoniła inne.

Dać kilka typów staroszlacheckich, wszechstronnie i subtelnie opracowanych, otoczyć je figurami drugorzędnymi, któreby charakter danej epoki uwydatniały, tchnąć w to wszystko ducha niedawnej przeszłości, tej, co zniknąwszy już ze świata widomego, żyła jeszcze w tradycji ustnej, w pamięci i w sercu narodu, — ten musiał być zamiar autora; wykonany zaś został tak, jak może wykonać tylko prawdziwy psycholog-artysta. Nie chodziło tam o fabułę zupełnie nową, oryginalną; kłótnia dwóch domów z wplecioną intrygą miłosną, — temat stary, unieśmiertelniony przez Szekspira; Fredro nie potrzebował nawet pożyzczać od twórcy *Hamleta*, miał wzór bliższy, rodzimy — u Zabłockiego. Jednak trzeba mieć bardzo krótki wzrok, aby w *Zemście* ujrzeć tylko poprawną przeróbkę *Sarmatyzmu*. *Zemsta* była na owe czasy czymś zgoła wyjątkowym, bodaj że jedynym. Fredro nie z obserwacji, nie z życia skopjował postaci Cześnika, Rejenta i Papkina, i nie z cudzych wykrawków je pozszywał; mimo niewątpliwych reminiscencji z innych pisarzy (Moliera i Zabłockiego) twierdzić można stanowczo, że on postaci te stworzył; a przeto *Zemsta* wchodzi w zakres literatury twórczej tj. poezji, tej mianowicie, której celem było żywe odtworzenie narodowej przeszłości.

Już od samego wejścia *Zemsty* na scenę śmiano się z komicznego Papkina, oklaskiwano przebiegłego Rejenta, ale sympatją najwyższą otaczano zawsze

postać Cześnika. Działo się tak zapewne dlatego, że mimo swych ułomności jest to charakter dodatni, w gruncie zacny i szlachetny; a może i z tego powodu, iż widziano w nim nie figurę teatralną, *dramatis personam*, ale istotę żywą, prawdziwą, a tak szczerze i na wskroś polską. »Nieraz w wielkiej niby poezji i u niby wielkich poetów — pisze St. Tarnowski — zdarzają się staropolskie postaci, ale między temi (z wyjątkiem *Pana Tadeusza* naturalnie) mało takich, w którychby rzeczywistości, prawdy czy staropolskiej, czy ogólnie ludzkiej, czy poetycznej było tyle co w Cześniku...«¹.

Aczkolwiek wartość *Zemsty* polega głównie na znakomitym wykonaniu trzech postaci, z których dwie są typowo polskie, to jednak i w całości posiada ona moc szczegółów drugorzędnych i na pozór zbytecznych, które wprowadzają nas w daną epokę i środowisko. Wreszcie dodać trzeba, że komedja napisana jest przepyszną polszczyzną, która mimo umyślnych staroświeckich pierwiastków nie przestaje być naturalną, wybucha zdrowym humorem i swobodną wesołością.

Ten, w ręce którego naród polski po r. 1850 złożył berło poezji wogóle, a w szczególności — poezji opiewającej przeszłość narodową, takie wygłosił zdanie: »...w *Zemście* sięgnął on (Fredro) już do skarbnicy historycznego dramatu i postawił w dwóch postaciach dwa wielkie historyczne typy polskie, tak jak one się rozwinęły w przeciągu dziejów oryginalnie w niezawisłości polskiego obywatela i w pieśniactwie przewrotnego palestranta. *Zemstą* otworzył

¹ *Studja do hist. lit. pol.* Tom II (1896) str. 86.

Fredro rozległe widoki dla historycznej poezji polskiej spostaciowaniem tych dwóch charakterów«¹.

Zanim niezrównane typy szlacheckie Fredry ukazały się na scenie, wcześniej o lat 9, bo już w r. 1825 wyszła »powieść ukraińska« Antoniego Malczewskiego, a w niej — postać Miecznika. Odkąd zaś poczęto rozumieć i odczuwać *Marję* (a nie zaraz to się stało), od tej też chwili poznano Miecznika znaczenie i wartość.

Maurycy Mochnacki spostrzegł, że »Malczewski podniósł do ideału historyczną postać. Idealizuje, cechą poetycką znaczy popularne wysłowienie, — idealizuje wszystkie szczegóły, wszystkie zewnętrzne narodowe znaki w mowie, stroju. On pierwszy szatę polskiego szlachcica — żupan, kontusz, toż broń jego — kord, karabelę do poetyckiej wzniósł godności, i w poetyckim pokazał świetle«².

Jak znakomity krytyk pierwszy ocenił należycie *Marję*, tak on też najtrafniej choć zwięźle określił znaczenie Miecznika w poezji polskiej.

Istotnie jest to ideał szlachcica — rycerza, złożony z najlepszych, najczystszych pierwiastków dawnej szlachty polskiej. W myślach, uczuciach i czynach tego starca żyje przeszłość Polski, podniesiona do ideału, otoczona przedziwną aureolą poezji. Z szablą w dłoni, na usługach ojczyzny spędził on znaczną część żywota swego, a i dziś jeszcze, choć okryty siwizną, zawsze gotów wyruszyć na wroga w obronie wiary i ziemi rodzinnej; na pierwsze wezwanie opuszcza cichą zagrodę, mężnie staje na czele za-

¹ *Pamiętnik literatury polskiej*. — Dzieła t. VIII, str. 130.

² O literaturze polskiej w w. XIX. (Warszawa, 1830) str. 150 i 151.

stępu i bije się jak bohater. Ten stary szlachcic o żelaznym, surowym charakterze jest dumny ze swego stanu, ma poczucie godności osobistej i rodowej, ale bez pychy i wyniosłości. Chrześcijanin prawy z ducha, nie z obrządków tylko, pozbawiony najdroższego skarbu — ukochanej córki, nie myśli o zemście, ale zdobywa się na czyn chrystusowy, — na przebaczenie, i w pobożnej rezygnacji, w cichej modlitwie szuka ukojenia.

Ci wszyscy, co później, około r. 1850 zwłaszcza, usiłowali literaturę polską zaludnić typami szlacheckimi, mieli w tej »powieści ukraińskiej« wzór zaiste naśladowania godny; i przykro pomyśleć, że w całej tej literaturze, z tradycji czy z pamiętników czerpiącej, takich Mieczników nie znalazło się więcej. Zamiast pełnego cnót i zasług rycerza, rąbiącego się z Tatarzynem gdzieś na stepach Ukrainy, stawiano nam przed oczy aż nazbyt często krzykliwego szlachetkę, rąbiącego się z bracią szlachtą przy brzęku kielichów.

Przyszedł wreszcie ten, co w uniesieniu twórczym wołał:

... mam tych skrzydeł dwoje;

Wystarczą: od zachodu na wschód je rozszerzę,

Lewym o przeszłość, prawym o przyszłość uderzę...

Mickiewicz wiernie obietnicy dopełnił; uderzenie prawego skrzydła — to widzenie księdza Piotra, to »artykuły pielgrzyma polskiego«, to prelekcje paryskie, to myśli, słowa i czyny do końca żywota; uderzenie skrzydłem lewym o przeszłość — to *Pan Tadeusz*.

Słowacki po przeczytaniu »historji szlacheckiej« pisał do matki: »Wszystko co zniknęło w przeszłości ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos.

Adama nowy poemat obudził we mnie wiele dźwięków przeszłości. Czym wyjaśnić ten urok niewymowny, czym wytłumaczyć to przedziwne wrażenie, jakie *Pan Tadeusz* wzbudza do dni dzisiejszych i zawsze wzbudzać będzie? Czy poemat zawdzięcza to skrzętnemu zgromadzeniu wszystkiego, co naszą przeszłość przypomina i uprzytomnia? Czy świetnej charakterystyce »ostatnich egzemplarzy starodawnej Litwy«? Czy pełnym życia scenom obyczajowym, czy przepysznym krajobrazom, czy wreszcie gienjalnej intuicji, z jaką poeta oddaje charakter i ducha epoki? Wszystko to tam znajdziemy i wszystko to było konieczne, ale jeszczeby nie wystarczyło, aby uczynić *Pana Tadeusza* tym, czym jest. Trzeba było nadto głębokiej miłości i ogromnej tęsknoty; te uczucia w wysokim napięciu posiadał twórca i dzięki nim poemat ma dla nas tak niezwykły urok i czar.

A przecież Mickiewicz nie stworzył ideału, nie wymarzył arkadyjskiej krainy, ani jej bohaterami nie zaludnił; ten obraz niedawnej przeszłości jest doskonale realistycznym, z życia wziętym, pełnym prawdy i naturalności, niemal powszednim. Poeta w liście do Niemcewicza donosił: »Piszę teraz poema wiejskie, w którym staram się zachować pamiętkę dawnych naszych zwyczajów i skreślić jakkolwiek obraz naszego życia wiejskiego, łowów, zabaw, bitew, najazdów etc.« Zamiar ten wykonał w zupełności; trudno bowiem o dokładniejszy a zarazem piękniejszy obraz szlacheckiego życia domowego, wiejskiego, rodzinnego i towarzyskiego głównie, po części społecznego i politycznego, tego życia, co już należąc do przeszłości, w chwili zamierania pochwycone rozpoczęło żywot drugi, nieśmiertelny, w przedniej »historji szlacheckiej«.

Polska w. XVIII, w której przez dziwną pomyłkę tak długo doszukiwano się kwiatu i korony narodowej przeszłości, ma w tej epopei obyczajowej swych wybitnych przedstawicieli. Już przez to, że akcja toczy się w r. 1811, muszą to być ludzie starzy, znaczną częścią żywota należący do poprzedniego stulecia, a wyobrażeniami i poglądami swemi tkwiący w nim całkowicie. Nie miejsce tu przyglądać się każdemu z nich dokładnie, ale kilku z nich trzeba poznać koniecznie, mianowicie tych najbardziej typowych, a są nimi: Podkomorzy, Sędzia i Wojski.

Podkomorzy jest postacią o zakroju epickim, niby Nestor homerowy; starszslachecki pogląd na świat, przywiązanie do tradycji i ojców wiary, jak również poczucie godności nie tylko narodowej i stanowej, lecz i hierarchicznej znajdują w nim swój najżywszy wyraz. Jego zdrowy rozum opiera się na tradycyjnych zasadach i doświadczeniu życiowym; stojąc na stanowisku wyłączności narodowej i szlacheckiej, wygłasza sądy w swej jednostronności ogromnie charakterystyczne. Znakomitą jest np. jego satyryczna mówka o tej lekkomyślnej młodzieży, co wprowadzała obce mody i obyczaje,

Prześladując w ojczyźnie Boga, przodków wiare,
Prawa i obyczaje, nawet suknie stare...

Czytając ustęp o Podczaszycu i jemu podobnych, ma się złudzenie, jakgdyby to był fragment z jakiejś ciętej satyry, napisanej za króla Stanisława. Podkomorzy wyznaje ojców wiare ślepo i po prostu; gdy widzi zjawisko, które zabobonne pospólstwo za cud podaje, woli »o cudzie prostaków poradzić się«, niż słuchać naukowego wyjaśnienia.

Przeszłość szlachecka przemawia ustami Podko-

morzege i blask przeszłości bije z całej jego postaci; widzi się ten jego »żupan złotem szyty, kontusz grodeturowy z frendzlą i pas lity, przy którym karabela z głównią jaszczurową« i na zawsze utkwii w pamięci »wielka tabakiera, cała z szczerzego złota, z brylantów oprawa, we środku, za szkłem, portret króla Stanisława«.

Może nie tak piękną i pociągającą jest postać Sędziego, jednak i w nim niemniej zawiera się prawdy i rysów charakterystycznych. Sędzia jest typem nie tyle palestranta, co szlachcica-gospodarza w stylu Pana Podstolego. Wypełnia on skrupulatnie i gorliwie wszystkie obowiązki ziemianina starej daty: sam dobytku dogląda, rachunkiienne sprawdza i nigdy nie zaniedbuje »gospodarskich ważnych powinności«. Chociaż za młodu przetarł się trochę w świecie, był w Piotrkowie i w Dubnie, jeździł nawet do Warszawy, przecież umysłowość jego sprowadza się do zdrowego szlacheckiego rozsądku, który pełną garścią czerpie ze skarbnicy domowej tradycji i gospodarskiego doświadczenia. Jako szczerzy patryjota Sędzia doskonale uosabia tę miłość ojczyzny, co niedopuszczona do szerszej widowni, umie być wielką i głęboką w sferze wiejskiego domowego bytu. Soplicowo jego — to »centrum polszczyzny; tam się człowiek napije, nadysze ojczyzny,« bo Sędzia »Polskę kocha nad wszystko, polskie obyczaje chowa...« Jest to doskonały typ staropolski nawet w swych wadach i przywarach; znajdziemy w nim sporo dumy i uporu, porywczosć i gwałtowność, znamionujące temperament narodowy, a nadewszystko — nieprzewyciężoną żylkę do pieniactwa, ten najczęstszy grzech dawnej szlachty.

Obok tych dwu przedstawicieli stanu szlache-

kiego: jednego karmazyna, drugiego ze średniej ale zamożnej szlachty, umieścił poeta niezrównaną postać szlachecka-rezydenta, sędziwego przyjaciela domu. Wojski trochę z przywiązania i wdzięczności, ale więcej z zamiłowania kieruje ładem domowym i życiem towarzyskim tak, aby na krok nie odstępowano od zwyczajów tradycją przekazanych, naśladować ojców i dziadów. Ale na tym nie kończy się znaczenie Wojskiego; w poezji niedawną przeszłość szlachecką opiewającej ma on miejsce osobne i niezmiernie ważne; jest mianowicie znakomitym typem staropolskiego gawędziarza, niezgłębioną studnią tradycji, anegdot, dziwnych przygód i facecji. Zapalony myśliwy, bywalec na sejmikach, zjazdach i dworach, patrzył z blizką na wielu głośnych swego czasu ludzi, wiele przygód sam widział, o innych nasłuchiwał się co niemiara, i teraz gotów o wszystkim opowiadać, a czyni to z werwą, plastyką i humorem. Pogląd jego na sprawy polityczne i społeczne jest typowym poglądem szlacheckiego gawędziarza starej daty:

.... wśród naszej burzliwej szlachty samowładnej,
Zbrojnej, nie trzeba było policyi żadnej:
Dopóki wiara kwitła, szanowano prawa,
Była wolność z porządkiem, i z dostatkiem sława!

Kiedy to wiara kwitła i kiedy powszechnie szanowano prawa, łącząc wolność z porządkiem, tego ani Wojski, ani żaden inny gawędziarz dokładnie oznaczyć nie potrafi, ale na te złote czasy zawsze będą się powoływać. Wogóle powiedzieć można, że Wojski jako typ starego gawędziarza, niewyczerpanej skarbnicy osobliwych wydarzeń (przygoda Rejtana i księcia Denasów), staropolskich tradycji (nauka o gwiazdach, tajemnice kuchenne) i zabawnych aneg-

dot (Domejko i Dowejko) jest rodzonym bratem imię pana Seweryna, cześnika parnawskiego, a ojcem wszystkich Winnickich i Dęborogów, Nieczujów i Kwestarzy.

Dla uzupełnienia przeglądu typowych postaci szlacheckich wymienić jeszcze trzeba klucznika Rębajłę i Maćka z Dobrzyńa; ci dwaj, podobnie jak i poprzednie typy, należą umysłowością swoją zupełnie, życiem zaś — w znacznej części do wieku XVIII. Urodzeni za ostatniego Sasa, a może i dawniej, wychowani zdala od ożywczych prądów epoki stanisławowskiej, uosabiają nieprzejeđnaną, nieruchomą i zamkniętą w sobie przeszłość szlachecką. Stary Maciej mimo rozumu i nieskazitelnego charakteru nigdy już nie pogodzi się z nowymi porządkami, chociażby one wiodły ku dobru i prawdzie; cześć dla tradycji i dawnych obyczajów zastęła w nim i stężała, nie pozwalając na żadne kompromisy. Podobnie i sędziwy klucznik Gierwazy, typ wiernego sługi magnackiego, jest przedstawicielem stojącej nad grobem przeszłości; on też z nowymi porządkami pogodzić się nie może i krzywo patrzy na usamowolnienie chłopów.

W tej gałęzi literatury, co odpowiadając uczuciom i pragnieniom narodu wzięła sobie za cel odtwarzanie przeszłości rodzimej i wskrzeszanie starodawnych postaci, opierając się nie tyle na drukach i pergaminach, ile na wspomnieniach i tradycji, *Pan Tadeusz* jest dziełem najwyższym. Jest on najdoskonalszą »pamiętką dawnych naszych obyczajów« i niezniszczalnym dokumentem zmarłej przeszłości. Słusznie też wyraził się jeden z krytyków naszych, pisząc: »Gdy resztki przeszłości znikną, gdy żywe wspomnienia zamrą, wówczas w tym poemacie, jakby za-

balsamowany, przechowa się *charakter narodu*, i z tego poematu kiedyś przyszłe pokolenia będą się uczyć i poznawać te *obyczaje narodowe*, które powszechna cywilizacja coraz więcej ze świata usuwa¹.

Jeszcze pomysł *Pana Tadeusza* nie był się urodził, gdy poeta bawiąc w r. 1830 w Rzymie spotkał człowieka, który nie mając żadnych literackich aspiracji, nie myśląc zgoła o zawodzie pisarskim, znany był w kołach towarzyskich jako niezrównany narrator. Niedawna przeszłość, bo druga połowa w. XVIII, czasy konfederacji barskiej i późniejsze były przedmiotem jego opowiadań, wygłaszanych z ogromną plastyką, życiem i humorem, a w słowach zupełnie prostych, lecz malowniczych, jędrnych i szczerze polskich. Człowiekiem tym był Henryk hr. Rzewuski; zachęcony przez Mickiewicza, spisał podobno jeszcze w r. 1830 dwie tradycje szlacheckie: o księdzu Marku i o panu Dzierżanowskim. Nie kwapiąc się jednak z ogłoszeniem, złożył je autor do teki, która stopniowo wypełniała się coraz to nowymi utworami w tym samym rodzaju. Ale tymczasem wyszedł na świat *Pan Tadeusz*, zbiegło jeszcze lat kilka, a o tych skromnych szlacheckich pogadankach nikt nie wiedział, z wyjątkiem chyba najbliższych przyjaciół. Aż oto w r. 1839 wyszły bezimiennie dwa niewielkie tomiki, zatytułowane: »Pamiętki Imci Pana Seweryna Soplicy, cześnika parnawskiego«. Wrażenie tego dziełka było olbrzymie, odkryty autor stał się odrazu sławnym.

Już to przyznać trzeba, że Henryk Rzewuski był stworzony na autora takiego zbioru powiastek. Nikt

¹ A. Bełcikowski. Główne prądy poezji polskiej w XIX w. (*Ze studjów*, str. 398.).

nie znał dokładniej od niego epoki saskiej i lat późniejszych, zwłaszcza gdy chodzi nie o głębszą znajomość, sięgającą do jądra spraw społecznych i politycznych, lecz o znajomość tego, co najsilniej w oczy bije, co jest malownicze choć powierzchowne, co żyje w obyczajach i tradycji żywej, w głowie przeciętnego szlachcica o szczupłym widnokręgu. Wychowanie domowe Rzewuskiego, jego tradycja rodowa i otoczenie, potem wychowanie jezuickie według starodawnego systemu, później znów stosunki towarzyskie, a wreszcie niepospolity talent narratorski, wszystko to składało się, aby zrobić zeń panegirystę w. XVIII, aby autor »Pamiętek« mógł wierzyć w to, co mówił ustami starego cześnika parnawskiego. Zresztą Rzewuski jako człowiek nie obchodzi nas; dość powiedzieć, że był to charakter wielce niesympatyczny a sprzeczności pełen. Obchodzi nas jedynie pierwsze jego dzieło, bo w literaturze stanowi poniekąd epokę, bo w tej gałęzi, którą rozpatrujemy, stwarza nowy typ, nowy rodzaj, dając w nim wzory dotychczas niedoścignione; wreszcie, znajdując licznych następców i naśladowców, wytwarza szkołę; jest to szkoła staropolskiej gawędy szlacheckiej¹.

Czymże są »Pamiętki J. Pana Seweryna Soplicy«? Oto cześnik parnawski, dożywszy sędziwego wieku, zasiadł do spisywania »pamiętek« czyli pamiętników, a to w tym celu, żeby wnukom i prawnukom zostawić obraz nie tylko swego żywota, lecz i życia dawnej Rzeczypospolitej; zarazem pragnie on przy-

¹ Chodzi mi nie o nazwę »gawędy«, której po raz pierwszy użył Pol, ale o rzecz; wprawdzie w poezji pierwszą gawędą jest niewątpliwie Pola »Wieczór przy kominie« (w *Pieśniach Janusza*), utwór ten jednak, zupełnie odosobniony, nie stworzył typu i naśladowców nie znalazł.

szłe pokolenia nauczyć, jakie to wielkie były wówczas charaktery, jak piękne czyny, jak złote czasy. Może wnukowie, wpatrując się w takie wzory i przykłady, opamiętają się i poprawią; albowiem pan cześnik bynajmniej nie tai, że coraz gorzej dzieje się na tym świecie: »Wszystko dawniej szło lepiej niż teraz. Takie przestępstwa, coby je dzisiaj miano za żart, to ludzi gorszyły i widocznie kary od Boga ściągały; a teraz już namnożyło się tyle złego, takie paskudztwa, o których dawniej ani słuchu, że Panu Bogu naprzykrzyło się karać¹... Śmieją się z nas starych, że my radzi zawsze mówić o dawnych czasach i o dawnych ludziach. Ależ kiedyż bo i czas i ludzie, wszystko to było lepsze niż teraz!²«

Na pierwszy rzut oka *Pamiętki* są zbiorem obrazków i wspomnień, poświęconych bądź jakimś głośnym swego czasu osobistościom (Król Stanisław, książę Radziwiłł, Tadeusz Rejtan, ksiądz Marek, Ogiński, Sawa i t. d.), bądź wypadkom, na które pan cześnik własnemi patrzył oczyma, lub nawet w nich czynny brał udział. Ale przy dalszym czytaniu okazuje się, że wszystkie te pozornie luźne i zamknięte w sobie opowiadania, w rozmaite tytuły zaopatrzone, tworzą poniekąd organiczną całość, składają się na jeden wielki, jaskrawy, różnobarwny obraz, wybuchający pełnią życia i szlacheckiego temperamentu. W całej książce jednolity panuje duch: ta sama pobożność, utożsamiająca religję z obrządkami, to samo uwielbienie szlacheckiego klejnotu, ten sam zaściankowy pogląd na świat i naiwne przeoczenie, że wyśławiana wolność obywatelska aż nazbyt często prze-

¹ Pan Bielecki.

² Tadeusz Rejtan.

radzała się w warcholstwo i wystugiwanie się magnatom; w całej książce spotykamy podobne charaktery i sytuacje, podobne golone łby i zawadjackie animusze, nawet niektóre postaci stale się powtarzają w różnych obrazach (Radziwiłł najczęściej), mimo że każda z nich ma poświęcony sobie rozdział osobny. Sceny domowe i dworskie, wojenne i sejmikowe, trybunalskie i klasztorne przesuwają się szybko, łączą z sobą, zmieniają się jak w kalejdoskopie, a wszystkie tak barwne i plastyczne, że zostawiają wrażenie niezatarte.

Szczególnego uroku dodaje *Pamiętkom* strona podmiotowa, która jakoby nie od autora, lecz od sędziwego Soplicy pochodzi; gawędziarz mówi o przeszłości z poszanowaniem, uwielbieniem i tęsknotą. To uczucie niewątpliwie szczere oraz brak myśli krytycznej sprawiają, że dawna Rzeczpospolita szlachecka przedstawiona jest jako najmędrszy i najtrwalszy organizm polityczny, jej wolni obywatele, z wyjątkiem kilku znienawidzonych, jako najcnotliwsi, najzaczniejsi, najdzielniejsi ludzie myśli i czynu.

Wprawdzie już pierwsi czytelnicy *Pamiętek* nie mogli w żaden sposób zgodzić się na pewne poglądy, uparcie wygłaszane w gawędach, lecz nie gorszono się tym bynajmniej; bo jeśli ogół spostrzegał tam jakieś zdanie przestarzałe, ciasne i błędne, brał je za głos przeszłości, za głos sędziwego cześnika parnawskiego, a nie za pogląd autora, który dopiero w *Mieszaninach obyczajowych* Jarosza Bejły (1841 i 1843) rogi swoje pokazał.

W ostatecznym jednak skutku *Pamiętki* wyrządziły szkodę umysłom XIX w., bo nauczyły je fałszywie patrzeć na w. XVIII i fałszywie go oceniać; społeczeństwo tak ukształtowało swe poglądy na

przeszłość według ideału gawędziarzy, że wszelkie próby otworzenia oczu przez długi czas spełzały na niczym, a historia krytyczna i naukowa okazała się bezsilną.

Czym dzisiaj jeszcze imponują nam *Pamiętki*, to niesłychaną prostotą środków, któremi autor osiąga wielką plastykę, ruch i prawdę. W kompozycji poszczególnych gawęd nie znać żadnego z góry obmyślanego planu; co się przypomni starcowi, to zaraz zapisuje, stąd powstają dygresje ustawiczne, gawęda mniejsza wchodzi w inną większą (np. opowiadanie Dziumdziuryka w *Siczy zaporoskiej*), — a jednak to przerywanie toku, zbaczanie od przedmiotu nie razi tutaj, a co ważniejsze — nie nudzi, bo autor ani na chwilę nie przestaje trzymać uwagi naszej na uwieży. Używa on zdań najpotoczniejszych i najskromniejszych, wyrażen prostych, powszednich; cały słownik pana Seweryna doskonale mieści się w głowie przeciętnego barszczanina; pozatym żadnych upiększeń, żadnych ozdób stylowych, najmniejszego gonienia za efektem.

Streszczając wszystko, coby się dało powiedzieć o tej nowej formie literackiej, którą Rzewuski stworzył, a inni, każdy na swój sposób, naśladowali, zestawzić można określenie następujące: *gawęda szlachecka*¹ jest pewnym typem powiastki (noweli) obyczajowej, mianowicie typem, który odtwarzając przeszłość nie opiera się na badaniach historycznych, ale czerpie z tradycji żywej, lub przynajmniej ze źródeł najbliższej tradycji stojących, jak np. pamiętniki, listy poufale, *silvae rerum*, zapiski w kalendarzach

¹ Gawędę szlachecką należy odróżniać od mieszczańskiej, ludowej i żołnierskiej.

gospodarskich i t. p.; nadto piszący nie ocenia charakterów i zdarzeń ze stanowiska swego pokolenia i nie własnym przemawia językiem, lecz stara się i przedstawieniem rzeczy i formą (t. j. kompozycją i językiem) naśladować bądź pogawędki starych bywalców, świadków przeszłości, bądź ich własne pamiętniki, ku zbudowaniu dzieci i wnuków spisywane¹.

Powodzenie *Pamiętek*, jak już wspomniałem, było ogromne; zachwyty ogółu czytającego podzielała w zupełności kierowniczka opinii publicznej, krytyka literacka. Michał Grabowski, znany i ceniony krytyk, otrąbił »tryumfu hymn« na cztery świata strony, wielbiąc autora, wynosząc pod niebo dzieło, snując daleko idące wnioski i widoki na przyszłość. Rzewuski to »pierwszy gienjalny Polak«, a w jego arcytworze »dawne ukształcenie, odrębny charakter narodowy, nasz sposób widzenia i czucia raz pierwszy znajdowały mowę i plastyczną formę sztuki«; przed nim, zdaniem Grabowskiego, »nie było żywej i szczerzej tradycji narodowej«. Gdyby Grabowski był ograniczył się do nadmiernego przecenienia *Pamiętek Soplicy* i na tym się zatrzymał, mielibyśmy do czynienia z faktem podrzędnym i wcale częstym; lecz krytyk ten poszedł dalej i w dwutomowej »Korespondencji literackiej« (1841—43) usiłował całą li-

¹ Powyższe określenie gawędy szlacheckiej polecam rozważce naszych teoretyków literatury. Porówn. określenie P. Chmielowskiego: Obrazek lub powiastka, nacechowane pewną rubasnością i jowialnością staropolską, chętnie uskakujące w bok od tematu głównego dla zrobienia jakiejś uwagi, najczęściej przytyku do teraźniejszości, w stylu zlekka makaronicznym, nazywają się *gawędą* lub *pogadanką kontuszoną*. Stylistyka polska. (Warsz. 1903) str. 331.

teraturę pchnąć na wskazane przez Rzewuskiego tory; odtąd zadaniem literatury polskiej miało być na tradycji oparte odtwarzanie przeszłości szlacheckiej w duchu zachowawczo-katolickim.

Istotnie tym torem poszła wielka część autorów naszych. Przypisywać bujny rozwój nowego kierunku wpływom Grabowskiego i powodzeniu *Pamiętek* byłoby nieogłędnie. Zaważyły tutaj powody głębsze, płynące z ducha, z uczuć i pragnień narodu.

Im gęstsza mgła oddalenia przesłaniała Rzeczpospolitą dawną, niepodległą, im silniejsze budziły się w sercach potomności uczucia tęsknoty i umiłowania tych czasów, tym jaśniej uświadamiano sobie fakt, że właściwie cała literatura wieku XVIII nie została żadnego obrazu, któryby w barwach prawdziwych i ciepłych oddawał życie tej epoki, wyrażał jej dolę i niedolę, jeżeli nie wszechstronnie, to bodaj w jednej sferze — stanu szlacheckiego. Utwierdziło się zdanie, że »z literatury osiemnastego wieku, sprowadzającej natchnienie z zagranicy, niepodobna wydobyc żadnego świadectwa o czasie, prócz że z wierszy pochwalnych wnioskować można o przedpokojowych usposobieniach autorów... W ówczesnej społeczności polskiej pisali wszystko ludzie, co nie kochali swojego świata. Zbierali zeń wzorki lub mu prawili morały, żaden go nie malował miłośnicie i poważnie«¹.

Gdybyż czasy saskie lub stanisławowskie zostały po sobie choć taki nieoceniony dokument, jak Pamiętniki Jana Chr. Paska, w r. 1836 po raz pierwszy przez Raczyńskiego wydane².

¹ Z przedmowy do II parysk. wyd. *Pamiętek Soplicy*.

² Wydanie Pamiętników w tym właśnie czasie dołało oliwy do ognia, rozniecanego na ołtarzu szlacheckiej przeszłości;

Ten zuchowaty, do szabli i kielicha stworzony Mazur, wskrzeszony z pyłów bibliotecznych, przykuwał uwagę, zapalał wyobraźnię, chwycił za serce. W naiwnej, bezpretensjonalnej książce znajdował czytelnik żywcem pochwycony i z jaskrawą świeżością barw przechowany obraz życia szlacheckiego, czy to na wojence, czy na sejmiku, czy w domu na roli; obyczaje i stosunki, sposób myślenia, czucia i mówienia, wszystko przedstawione tam wiernie i bezpośrednio, bez idealnych oświeleń i dydaktycznych ustępów. Ale Pasek — to czasy dawniejsze, wiek XVII.

Z osiemnastego był wprowadzie Kitowicz; ten powinien był pociągać jako wielbiciel »słodkiego panowania« Sasów, jezuickiego systemu wychowania i starodawnych zwyczajów, a przeciwnik reform politycznych. Jednak przeciętny czytelnik jakoś nie mógł się w nim rozmiłować, — zrażała go zbytńia drobiazgowość i systematyczność; mówiono nadto, że »Kitowicz pełen zółci do tego, co nienawidzi, nie umiał patrzeć poetycznie na to, czego żałował«.

A Krasicki, ten typowy przedstawiciel swego wieku? Otóż przyznać trzeba, że wprowadzie Krasicki wiele światła rzuca na umysłowość i obyczaje swej epoki, przecież pragnień potomności zaspokoić nie zdołał, a to najpierw dlatego, że w Satyrach i Bajkach, Monachomachji i Doświadczyńskim — ośmieszał, karmił, wytykał wady, grzechy i uchybienia, przeoczał zaś cnoty i zalety; a potym dlatego, że tworząc ideał

o wielkim ich powodzeniu świadczy skwapliwe ponawianie wydań w latach 1837, 1840, 1843, 1854 i t. d. aż do cztertnastego. Pasek wywarł na gawędziarzy naszych, od Rzewuskiego poczynając, wpływ niewątpliwy i znaczny.

szlachcica-ziemianina w otoczeniu domowym, zapomniał tchnąć w niego duszę ludzką. »Pan Podstoli — pisano — nie ma nic życia, nic prawdy; jest to figura zupełnie konwencyjna, pokrewna wszystkim plebanów, dobrych ojców, dobrych matek i t. p.«. Potomność doszła do przekonania, że Krasicki okazał się nieprzydatnym nawet jako surowy materiał dla tych, co przeszłość szlachecką ze czcią i miłością odtwarzać chcieli. »W Satyrach i w Doświadczyńskim — mówi Ropelewski — Krasicki wyświecił niejedną ciekawą stronę polskiego towarzystwa, ale to światło przedrzeźniające zamiast być pomocą dzisiejszemu malarzowi przeszłości, razi mu owszem źrenicę i przeszkadza temu lubemu spojrzeniu na wsteczne czasy, z którego się rodzą obrazy historyczne«¹.

Tak uczyniwszy około r. 1840 jeneralny przegląd literatury wieku XVIII, z żalem stwierdzono, iż niema tam obrazu, przed którym możnaby się modlić do ojców i dziadów i uroczyste nabożeństwa na cześć ich odprawiać. Postanowiono więc obrazy takie stworzyć, i to stworzyć co prędzej, póki czas jeszcze, póki tradycja przemawia, póki szczątki obyczajów dawnych trwają, zanim reszta świadków przeszłości nie wymrze. »Póki więc jeszcze czas, — pisze Gaszyński — obowiązkiem jest naszym, jak kto może, ocalać od zapomnienia to wszystko, co stanowiło typ pokolenia, którego jeszcze ostatnie szczątki przesunęły się nam przed okiem. Polska kontuszowa zapadła w przeszłość; owa serdeczna fantazja szlachecka, o której Pasek tak często wspomina, zamienia się na jakąś etykietalną grzeczność salonową; — wiadomości czerpane z Gazet zastępują wśród przyjacielskich pohulanek

¹ Z przedmowy do II parysk. wyd. *Pamiętek Soplicy*.

dawne dykteryjki wojenne, sejmikowe lub trybunalskie; — a czytanie romansów zabiło owe niewyczerpane a wesołe gawędy, skracające niegdyś długie wieczory zimowe, pośród rodzinnego koła¹.

Całą tę gałąź literatury stworzyła istotna potrzeba, pragnienia narodu (ściśle mówiąc: szlachty). Wzory już były gotowe i to wzory znakomite; dało je kilka wybitnych talentów i jeden gienjusz. Że jednak gienjusza naśladować niełatwo, więc tylko generał Morawski pokusił się Mickiewiczowi sprostać; inni rwali z *Pana Tadeusza* strzępy, nalepiali na swoje obrazki, ale wzorem dla nich pozostał Rzewuski. Śród autorów i krytyków zaszło teraz chwilowe nieporozumienie co do tego, jakie strony życia szlacheckiego, jakie mianowicie typy i charaktery odtwarzać powinna literatura przeszłości. Jedni żądali dawnego blasku i świetności, królów, wodzów, bohaterów, kształtów wielkich, posągowych; dla nich nawet *Pan Tadeusz* był za niski, za powszedni, bo — zdaniem Witwickiego — »w Panu Tadeuszu dawna Polska jest pokazana z szarego końca i w taratatie folwarcznej, zaściankowej«.... Inni znów zgadzali się, że wierne oddanie życia publicznego wytworzyłoby niezbyt pochlebny sąd o przeszłości, zwłaszcza w wiekach ostatnich; nawet obyczaje warstw najwyższych rzadko bywały nienaganne. Natomiast żywot domowy, powszedni, dostarczał materiału do wielu zajmujących i miłych obrazków, gdyż tylko pod skromną strzechą szlacheckiego dworku znaleźć było można poczciwość, pobożność, przyjaźń i inne staropolskie cnoty. »Zepsucie było na wierzchu, spodnia warstwa długo jeszcze pielęgnowała i stary poczciwy obyczaj

¹ *Kontuszone pogadanki*. Przedmowa autora.

i stare rodowe cnoty«¹. Ostatecznie w praktyce doszło do kompromisów i zgody; bo kiedy jedni wyciągając na światło dzienne staroświeckie okazy zaściankowe, przedstawiali je jako najczystsze, najdoskonalsze wcielenie ducha narodowego, drudzy tymczasem wprowadzając osobistości głośne a nawet sławne (Krasicki, Radziwiłł), usiłowali wykuwać posągi, ale były to posągi na miarę jarmarcznego krawca, nie Fidjasza.

Literatury tradycyjnej nie można odsądzać od pewnych zasług; wśród ciężkich warunków nowego, odmiennego bytu ona utrzymywała związek z przeszłością i podczas zewnątrz idących usiłowań wy-narodowienia, a zwewnątrz płynącego zobojętnienia rozbudzała uczucia narodowe. Ale i szkody, które wyrządziła, były znaczne: stojąc na stanowisku ciasnym i wyłącznym, podsuwała fałszywe sądy o przeszłości, uczyła jednostronnej i bałwochwalczej czci dla dawnej szlachetczyzny; nie docierając do głębi życia narodowego, objawy zewnętrzne, jaskrawe, zazwyczaj ujemne, a nieraz trywialne i chorobliwe otaczała nimbem uwielbienia; zamiast krzepiącego napoju podawała szumowiny i męty.

Utrzymuje się błędne mniemanie, jakoby gawędziarstwo staropolskie dopiero po r. 1848 za czasów gwałtownej reakcji rozpoczęło bujny swój żywot. Wystarczy zestawień luźne tytuły i daty, aby przekonać się, że prąd ten już od r. 1840 szeroką rzeką płynął, pochłaniając coraz to nowe dopływy. Ale za-razem prawdą jest, że po r. 1848 nastały warunki szczególnie sprzyjające rozwojowi gawędy. Gdy po wysiłkach i wybuchach nastał okres ogólnego znie-

¹ Rec. z *Podan literwskich* I. Chodźki. Czas r. 1851, nr. 87.

chęcenia i znużenia, gdy duch reakcji zapanował wszechwładnie, siejąc mrok i martwość, wówczas gawęda stała się czymś, co najzupełniej dostosowywało się do ówczesnego stanu umysłów. Blask wielkich wieszczów naszych zbyt był rażący, drażnił zmęczony wzrok, a tymczasem gawęda rozlewała światło tak łagodne i skąpe, że nie budziło z uspienia, przeciwnie — usposabiało do wpółsennych rozmyślań o dawnych dobrych czasach. Gawęda podtrzymywała ciasnotę poglądów, utwierdzała w przekonaniach już nie zachowawczych, ale raczej wstecznych; ona wreszcie dostarczała lekkiego i przyjemnego pokarmu tym umysłom, co bajronizmu i mesjanizmu strawić nie mogły.

Dalszy przegląd literatury szlacheckiej byłby zbyt długi, ponieważ — jeśli się nie mylę — zamiar swój wypełniłem w dostatecznym stopniu. Mianowicie chodziło mi o wykazanie, kiedy i w jaki sposób weszły do literatury polskiej trzy następujące elementy: po pierwsze, co do ducha, uwielbienie przeszłości, jej zasad, cnót i obyczajów; po wtóre, co do przedmiotu, szlachta polska XVIII w.; po trzecie, co do źródeł i formy, gawęda osnuta na tradycji. Należyte uwypatnienie tych trzech elementów było z tego względu potrzebne i ważne, iż wszystkie gawędy Wincentego Pola dadzą się rozłożyć na nie bez reszty. Oczywiście wniosku nie potrzebuję chyba formułować, każdy wyciągnie go z łatwością. Pozostaje tylko rozstrzygnąć pytanie: jak Pol obszedł się z tym, co już zastał gotowe? Jak z tego korzystał i co potrafił stworzyć? Czy był przynajmniej *primus inter pares*? Na to pytanie będzie można odpowiedzieć dopiero na podstawie bliższego rozpatrzenia jego gawęd. Ale zanim do tego przystąpię, niech mi wolno będzie

dla łatwiejszej orientacji naszkicować ogólny schemat literatury tradycyjnej, poczynając od r. 1839, na którym zatrzymaliśmy się.

Cała ta gałąź rozrasta się na trzy odnogi i przedstawia się pod trzema postaciami; różnice między nimi się powierzchowne, formalne, duch i przedmiot, nawet źródła pozostają niezmiennie.

Ze względu na kompozycję, szerokość malowidła i pogłębienie charakterów pierwsze miejsce zajmuje powieść tradycyjna, zazwyczaj nazywana historyczną, ale od tej odmienna, bardziej rodzima i oryginalna. Bo gdy powieść historyczna przez długi czas z naśladowania Walter-Scotta wybrnąć nie mogła, wydając *Jana z Tęczyna* (1825), *Pojatę* (1826) i wiele, wiele innych, powieść tradycyjna tymczasem, znalazzszy początek i wzór w *Dwu panach Sieciechach* Niemcewicza, przez dwie powiastki Klementyny Tańskiej i przez dowcipnego gawędziarza szlacheckiego Fryderyka Skarbka (*Pan Starosta*, powieść obyczajowa) dochodzi do lat czterdziestych, aby w r. 1845 wydać rozległy i świetnie wykonany obraz dziejów wewnętrznych szlachty polskiej w drugiej połowie w. XVIII, p. t. *Listopad*. Po Rzewuskim najlepszą w tym rodzaju powieść dał w r. 1854 Z. Kaczkowski; jego *Murdelio* nie zawiera wprowadzie ważnych wypadków politycznych, obraca się w kole stosunków domowych, ale jako malowidło obyczajów, jako zbiór znamiennych postaci, wreszcie jako najwierniejszy wyraz dawnych uczuć i myśli ma wartość i znaczenie niepospolite.

Postać druga — to gawęda starszlachecka pisana prozą; jej typem najdoskonalszym są *Pamiętki Soplicy*. Prawie równocześnie występuje Ignacy Chodźko, w odtwarzaniu przeszłości umysł bezkry-

tyczny o ciasnym widnokręgu, lubujący się w domowych starożytnościach Litwy szlacheckiej; od Rzewuskiego zrazu niezależny, w kolorycie nie tak jaskrawy, ma więcej pogody, rzewności i tęsknoty; z pięciu serji *Obrazów litewskich* (1840—1850) najwyżej stoją wydane w r. 1844 *Pamiętniki Kwestarza*; po *Obrazach* nastąpiły cztery serje *Podañ litewskich* (1852—1860). Wincenty Pol w *Obrazach*, wydanych w r. 1845, dał dwa utwory, należące do tego typu; są to: *Trefniś* i *Obiad czwartkowy*, pierwszy — z czasów Sobieskiego, drugi — Stanisława Augusta. Kiedy Rzewuski zaczął puszczać w świat coraz to słabsze utwory, wystąpił młody Zygmunt Kaczkowski i odrazu zjednał sobie powodzenie i sympatję drobnemi powiastkami historycznemi, które posiadają wszystkie cechy gawędy. Rozpoczął *Bitwą o Chorażankę* (1851), gdzie treść błaha i poniekąd barbarzyńska przesłonięta jest szeregiem scen malowniczych, fantazji i zawadjectwa pełnych, z nieodłącznym rąbaniem się, pijaństwem i krzykiem. Za *Bitwą* poszli *Junakowie*, *Swały na Rusi*, *Kasztelanice Lubaczewscy*, a dalej »tradycje szlacheckie«, jak: *Basia Karsznicka*, *Kuchmistrz litewski*, *Edmund Chojnacki*. Opowiadania imci pana Marcina Nieczui, który nawiasem mówiąc był rodzonym bratem Seweryna Soplicy, wypełniły sześć tomów (1853—1855). Niektóre z tych gawęd, osnutych na tle pospolitych burd, najazdów, bijatyk i pijaństwa, drukował w swym odcinku poważny *Czas* (1851—1852), co daje ciekawe świadectwo o upodobaniach czytającej publiczności. Wymieniając gawędziarzy prozą piszących, nie można pominąć Konstantego Gaszyńskiego; w r. 1851 wydaje on *Kontuszowe pogadanki i obrazki z szlacheckiego*

życia, utwory, mimo wzorowania się na Pamiętnikach Paska, bezbarwne i rozwlekłe.

Trzecią wreszcie postacią tego rodzaju literackiego jest gawęda szlachecka wierszem; stworzył ją Pol *Wieczorem przy kominie* w »Pieśniach Janusza«, lecz za tym wzorem ani inni, ani on sam na razie nie poszedł, napisany bowiem później nieco *Wachmistrz Dorosz* jest gawędą żołnierską, a nie starszlachecką. Dopiero wydanie *Pamiętek Soplicy* dało mu pobudkę do opowiedzenia wierszem *Przygód Benedykta Winnickiego* (1839); po nich następuje długa przerwa. Gdy jednak pod koniec roku 1850 (z datą 1851) wyszedł Morawskiego *Dworzec mego dziadka* i gdy Kaczkowski zaczął o dawnej szlachcie sanockiej gawędzić, wówczas Pol czując, że i on miałby coś do powiedzenia o szlachcie sanockiej, że między Morawskim a Kaczkowskim nie będzie gorszym, a może nawet wyższym, chwyta ponownie za pióro i w ciągu lat kilku pisze dwie części *Pamiętników Benedykta Winnickiego* oraz *Mohorta*, wreszcie zamierza ciąg dalszy *Pamiętników* i z cyklu tego wykonywa jedną część — *Stryjankę*. W ostatnich latach życia, na podstawie dawnych notatek ułożył Pol jeszcze jedną »tradycję szlachecką imię pana Benedykta Winnickiego« p. t. *Pan Starosta Kiślacki*.

Dodać wreszcie trzeba, że z rokiem 1853 rozpoczyna się długi szereg wierszowanych gawęd Syrokomli, ale z nich niektóre tylko należą do typu gawędy starszlacheckiej, na tradycji opartej. Pierwsze utwory Mieczysława Romanowskiego: *Pan Chorąży* i *Chart watażki* (1854) należą do tegoż typu.

W przeglądzie powyższym wymieniłem utwory powszechnie znane; poza niemi istnieje kilkanaście nazwisk a kilkadziesiąt tytułów, których wyliczać

niema potrzeby. Wystarczy powiedzieć, że od r. 1840 aż po 1863 znaczna część drugo i trzeciorzędnych pisarzy gromadziła się pod znakiem staropolskiej gawędy, a literatura nasza zamieniała się stopniowo w »sklep gratów, czerwonych butów i żupanów«. Po r. 1863 schodzą powoli z pola rapsodowie sejmików, polowań i pijatyk; na stanowisku zostanie tylko Wincenty Pol i wytrwa na nim do zgonu.



VII

Trzy gawędy.

Senatorska zgoda. — Sejmik w Sądowej Wiszni. — Stryjanka. — Winnicki czy Pol?

Miał Rzewuski swego Soplicę, miał Chodźko kwe-
starza, więc i Pol według przyjętego zwyczaju wpro-
wadza imię pana Benedykta Winnickiego, czyniąc go
świadkiem dawnych czasów i autorem »tradycji szla-
checkiej«. Spisywał cześnik parnawski swe »pamięt-
ki«, pisał brat Michał pamiętniki, więc i pan Bene-
dykt zostawia po sobie »Pamiętniki«, które poeta do
wiadomości podaje. Wprawdzie i Soplica, i Kwestarz,
i Nieczuja — to osoby zmyślane, gdy tymczasem
Winnicki był przecież postacią rzeczywistą, poeta
go znał, słuchał jego opowiadań, po raz ostatni wi-
dział mając lat dwadzieścia; ale różnica między rze-
komemi autorami pamiętników jest tylko pozorna.
Póki pan Benedykt wspomina swoje przygody, jak
na dwór Radziwiłła jeździł, jak powracał, jak go oj-
ciec batogiem przywitał, póty wierzymy, że on sam
opowiada, mniejsza o to czy ściśle trzymając się
prawdy, czy zmyślając i upiększając na wzór Paska.
Ale choćbyśmy chcieli wierzyć, że dalsze części pa-
miętników: *Senatorska zgoda*, *Jenerał sejmik* i *Stry-
janka* powstały na podstawie jego opowiadań, autor

sam przykładą rękę do tego, aby złudzenie czytelnika doszczętnie rozwiązać, w przypisach bowiem zwierza się najszczerzej, co od kogo słyszał i skąd co zapożyczył. Tak więc imię pan Benedykt Winnicki w gawędach pisanych po r. 1850 jest figurą konwencjonalną, którą Pol wprowadza na wzór Soplidy, Kwestarza i Nieczui, i jej ustami przemawia, naśladowując styl i język starego gawędziarza.

Senatorska zgoda jest pierwszą w szeregu utworów, złożonych z tradycji dawno słyszanych a spisanych fragmentarycznie.

Jaki był pierwszy pomysł, jaki zamiar poety, gdy do pisania *Senatorskiej zgody* przystępował?

Wy dziś rozumu głodni, więc powiem o człeku
Najsławniejszym z rozumu za mojego wieku!

Te słowa starego Winnickiego wyrażają niewątpliwie pierwotny zamiar samego autora; Pol chciał w tej »tradycji szlacheckiej« przedstawić Biskupa Warmińskiego, uczynić go postacią główną, dokoła której ugrupowałyby się wypadki i postaci podrzędne.

Idąc za zwyczajem gawędziarzy, postanowił nie doszukiwać się faktów i rysów charakterystycznych w materiałach historycznych, zachowanych w archiwach, ale chciał Krasickiego przedstawić takim, jaki żył w tradycji ustnej, rodzinnej i miejscowej. Przechowywały się bowiem w Sanockim dawne wspomnienia z pobytu Księcia Biskupa w Dubiecku. Tradycja mówiła, że Biskup odwiedzał sanocką i przemyską szlachtę, podejmowany uroczyście, że sam nawzajem ugasał, i że raz, pono w r. 1768, podczas uczty pogodził oddawna poważnionych magnatów, podkomorzego Bala i starostę Mniszcha.

Po raz pierwszy słyszał Pol o tym zdarzeniu od pani Truskolaskiej z Płonnego, następnie wielu drobniejszych szczegółów dostarczyli mu pani Podolecka z Rzepedzi i Stanisław Łukasz Morelowski, sędziwy rezydent domu Krasickich, chodząca kronika i archiwum ziemi sanockiej. Nadto poeta w młodszych latach przebywając często w towarzystwie Ksawerego Krasickiego, poznał tradycję rodzinną jego domu, a wreszcie zebrał nieco wiadomości o tych czasach z tradycji miejscowej szlachty i górali sanockich. Nie zaniedbał też zaglądać do herbarzy, często radząc się *Korony* Niesieckiego. Takie to źródła złożyły się na *Senatorską zgodę*.

Zebrane wiadomości miały tę słabą stronę, że nie podawały żadnego poważnego zdarzenia z tych biskupich odwiedzin. Pogodzenie szlachty było jedynym zapamiętanym faktem, — i poeta nie zawahał się tego drobnego i błahego wypadku uczynić osią całego utworu¹. Imć pan Benedykt Winnicki był wów-

¹ Zasługują na przypomnienie następujące uwagi K. Ujejskiego: Nigdzie nam poemat nie tłumaczy: skąd ta nienawiść podkomorzego brała się dla starosty. Drażliwa byłaby to kwestja dla autora; więc oględny autor, unikający wszelkiej drażliwości i negacji, nie podnosi jej wcale. Tymczasem my wiemy z dopisku, iż przybycie biskupa Krasickiego do Dubiecka, które poemat całą swoją treścią uświetnia, odbyło się »we dwa lata po objęciu stolicy biskupstwa w r. 1766«, a więc w r. 1768. Była więc to chwila rozpoczynającej się rzezi humanńskiej, a gromadząca pierwsze zastępy konfederacji barskiej, a przed którą rok przedtym uwiozła Moskwa biskupów i senatorów świeckich z Warszawy. Biskupa Sołtyka porwano nawet z domu tego samego starosty Mniszcha, związanego urzędem z dworem Poniatowskiego, który zadowolonym okiem patrzył na ten nowy dowód opieki nad krajem potężnej i dobroczynnej swej aliantki. Podkomorzy Bał, gorliwy i gorący patryjota, nie mógł więc znosić widoku pana Mniszcha, a zmuszony

czas w Dubiecku, stał się świadkiem owej zgody, a co widział i od innych słyszał, to teraz opowie. Taki musiał być plan ogólny, a potwierdza to tytuł gawędy, nie obecny jednak, ale pierwotny, który jeszcze na autografie przeznaczonym do druku widnieje; brzmi on jak następuje: »Bytność w Dubiecku JP. Benedykta Winnickiego czasu pobytu tamże Xięcia Biskupa Warmińskiego Ignacego Krasickiego«. Dopiero Szymon Dutkiewicz, przepisując utwór na czysto, zawyrokował, że tytuł ten będzie za długi i opierając się na słowach w zakończeniu gawędy umieszczonych, przezwiał cały utwór *Senatorską zgodą*¹.

Gdy już gawęda w głównej osnowie była napi-

przybyciem biskupa do ocierania się o niego, gdy raz wracał z uczty od pana Mniszcha i przypomniał sobie zapewne nie-szczęśliwą Warszawę i Sołtyka,

... kazał podać wina, bo był coś ponury
I jakiś taki smutny, jakby po pogrzebie,
I bał się też o drugich: czy się nie struł który?

Listy z pod Lwowa. Lipsk. 1861. str. 134.

¹ Znaczenie tego wyrażenia, a pośrednio i tytułu gawędy, wyjaśnia jeden z współczesnych recenzentów. »Na każdej kartce historii naszej — pisze on — zdybujemy najświetniejsze przykłady Zgody Senatorskiej. Stronnictwa polityczne stają do zaciętej walki o śmierć lub życie, nieraz jak pod Guzowem i pod Montwami już krew się leje potokami, nieraz waśni stronnictw zagrażają powszechnym zaburzeniem kraju. Występują pełni poświęcenia dla kraju ojcowie ojczyzny, najczęściej z senatu duchownego, i powagą swą, wziętością powszechną, szczerem, nieposzlakowanym poświęceniem przywodzą do skutku zgodę i kraj ocalają od zguby. Zgody podobne znane są i w tradycji narodu i w historii pisanej pod nazwą: Zgody Senatorskiej. Wincentego Pola Zgoda Senatorska jest parodią tej szanownej tradycji narodowej!« *Nowiny* (Lwów) r. 1854, t. II nr. 66.

sana, rozpoczął poeta uzupełniać ją i rozszerzać sposobem niejako mechanicznym. Więc najpierw dodał wstęp, który nie zostaje z resztą ani w logicznym, ani w żadnym innym związku; nie zdołał nawet wstępu tego zgrabnie przyczepić, bo mówi poprostu:

Lecz gdzież to ja odbiegłem, ho ho ho, Mosanie!

Nie o tym miałem mówić Ci moje kochanie!

Wy dziś rozumu głodni, więc powiem i t. d.

Po tym pierwszym następuje zaraz drugi wstęp o klejnocie Rogalitów i pochodzeniu Krasickich; dalszą wstawką jest obszerna tradycja o Jaśku, mężu Krasickiej, potem znów długi epizod o starej lipie w Dubiecku, a dalej anegdota o panu Krupie, gawęda o Popielu i Leszczyńskim, wreszcie legiendy o Gozdawie i morał końcowy, przystawiony bez związku; znaczna część tych epizodów i dygresji może być bez szkody dla całości usunięta, bo związku wewnętrznego tam niema, a zewnętrzny jest zazwyczaj nieudolny, jak np.

Ale znowu odbiegłem dawszy sercu wodze,

Bom miał mówić o sławnych, a na świętych schodzę...

Ze względu na sposób tworzenia, czyli raczej układania tej gawędy jest szczegółem ciekawym, że wstawiona w nią anegdota o p. Krupie oraz obszerna tradycja o Leszczyńskim i Popielu¹ oznaczone są w autografie² jako »Wyjątek z gawędy *Karczma na Chwanionie* z dalszego ciągu Pamiętników JP. Benedykta Winnickiego«. A więc Pol rozszerzył w ten sposób *Senatorską Zgodę*, ale za to popsuł *Karczmę na Chwanionie*, której już po tej amputacji świata nie pokazał.

¹ Według tomu III. Dzieł str. 78—87.

² Rękop. Bibl. Jagiell. nr. 3726.

Skutek takiej kompozycji łatwo da się przewidywać; oto główny fakt zginął pod nawalem epizodów i dygresji; utwór utracił wprowadzić spójność organiczną i perspektywę, ale zyskał za to na rozmiarach i obfitości podań miejscowych. Pierwotny zamiar poety również uległ przekształceniu wskutek wadliwości wykonania; w zamiarze leżało odtworzenie Biskupa Warmińskiego, gdy tymczasem środek ciężkości przeniósł się na swary szlacheckie i ich załagodzenie; Krasicki zginął gdzieś za opowiadaniem o sporach i ucztach.

Spróbujmy jednak z tych rozproszonych ułamków złożyć — o ile się da — postać biskupa i zobaczmy, jaką ona jest. Przedewszystkiem nasuwa się pytanie, czy Krasicki nadawał się na bohatera staropolskiej »tradycji szlacheckiej«. Jest to właściwością gawędy, od jej istoty zależną a przykładami stwierdzoną, że między bohaterem a gawędziarzem musi zachodzić stosunek sympatji, uznania i czci; stary bazarz rad opowiada o tych tylko, których pamięć ukochał, których stawiać może za wzór cnót czy to rodzinnych, czy obywatelskich. Ale też cechą gawędy charakterystyczną i konieczną jest umiłowanie tradycji, a niechęć wobec wszelkiego nowatorstwa i obczyzny tak w myślach, jak i w czynach. Zdawałoby się więc, że postaci tak mało »staropolskie« jak Biskup Warmiński lub Stanisław August bohaterami gawęd być nie mogą. Atoli w praktyce dzieje się inaczej. Póki o królu Stanisławie zdaleka dochodziły wieści, naderżał się książę Panie Kochanku a z nim i Seweryn Soplica na pana stolnika co niemiara; ale gdy król na Litwę przybył, tak sobie potrafił szlachtę ująć, że cześnik parnawski rozrzewnił się, rozczulił i z płaczem jak długi do nóg królewskich runął. Po-

dobnie imć pan Winnicki ocenia postaci wzrokiem, nie wybiegającym za widnokrąg ziemi Sanockiej; Krasicki dworak Stanisława i Fryderyka dla niego nie istnieje, o sprawkach nielicujących z powagą biskupią nic on nie wie. Zanim biskupa i senatora na ziemi Sanockiej nie ujrzał, zna go tylko ze słyszenia i z pism; panu Benedyktowi imponuje mitra książęca, krzesło w senacie i rozgłośna sława pisarska; dumny jest, że urodziła go ta sama ziemia Sanocka. Ale Krasicki jako człowiek zaczyna dla gawędziarza istnieć dopiero z chwilą przybycia do rodzinnych stron; cóż o nim mówią?

Grzeczny, miły, dowcipny. a jak król dostojny,
Pogodny jako słońce, a jak ziemia hojny;
Choć wierszem komu przyciął, każdy to przebaczył,
Gdy się tylko pokazał lub przemówić raczył...

A Książę Biskup wiedział, jak do szlachty przemówić trzeba, wiedział w którą strunę uderzyć:

Czym są gwiazdy na niebie, tym jest szlachta w kraju.

W stosunkach rodzinnych przedstawiony jest jako czuły i wdzięczny syn i kochający brat; dla znajomych i starych sług pełen dobrotliwości, o każdym pamięta, każdemu przywozi stosowny gościniec. Wreszcie jako dobry obywatel, dba o zgodę w ziemi rodzinnej i przykłada rękę do załagodzenia waśni.

Do charakterystyki Krasickiego odnosi się też krótko opowiedziany tryb jego życia:

Książę Biskup miał w zamku codziennie mszę poranną...
Po mszy wracał do siebie — i trzy godzin prawie
W ciszy innej zupełnie poświęcał zabawie,
Bo albo listy pisał, lub wiersze dyktował,
Gdy go szatny ubierał, a fryzjer pudrował...
Potym się poczynaly ranne odwiedziny;

Księżę Biskup obchodził dokoła mieściny
I tu stanął przed drzwiami, tam w okno zapukał,
Każdemu coś powiedział, każdego odszukał..
Z kolei więc śniadania, z kolei obiady,
Z kolei szły wieczerze i szumne biesiady,
Podwieczorki w gaiku i podkurki w mieście.
I przejażdżki w sąsiedztwa i po Sanie wreszcie.

Tyle tylko dowiadujemy się o biskupie z opowiadania imię pana Benedykta; żadną miarą nie można z tego wyrozumieć, dlaczego uchodził on za »najślawniejszego z rozumu«. To, co mówi (a mówi bardzo niewiele) nie jest ani zbyt rozumne, ani głębokie, zaś to co robi... Zlewa dwa kielichy do olbrzymiego puharu, wznosi nim zdrowie poważnionych i duszkiem wypija »aż do dna«. Pomysł to godzien Zagłoby, ale nie uczonego biskupa!

Scena nalewania kielichów i wychylania toastu jest jedyną sceną, w której się Krasickiego jako tako *widzi*, jest jedynym obrazem, który byłby żywym, gdyby nie długie perory i gawędy; zresztą postać bohatera tak skąpo jest uwzględniona i przedstawiona, a raczej omówiona tak blade, że trzeba ją uznać za chybioną zupełnie.

Cóż dopiero o innych figurach powiedzieć? O bohaterach waśni i rozdziwienia w ziemi sanockiej, Balu i Mniszchu, imię pan Benedykt wspomina tylko w ogólnikach:

Podkomorzy miał serce i potężną głowę
I gdyby Jan Chryzostom tak piękną wymowę...

W czymże ujawnia się ta potężna głowa? Oto pan Bał przekręca nazwisko starosty, a gdy już z tego powodu przyszło do niesnasek, po festynie u Mniszcha markotny i zawzięty

...myślą się uganiania

Jakby ten cały festyn i szlachcie zohydzić,
I partję starościńską przed światem zawstydzić.

Więc »mnóstwo szlachty zaciągnął do siebie«,
spoił węgrzynem i skłonił do zapalenia stu smol-
nych beczek.

Jeszcze mniej wiemy o panu starościu; zaryso-
wuje się tylko jego pycha magnacka i próżność;
wpada on w gniew, że go śmia przezywać nazwis-
kiem prostego szlachcica Mniszka, chorążego prze-
myskiego. Ważny powód do obrazu, bo przecież
Mniszchy

...to panowie,

Biskupi, Kasztelani i Wojewodowie,
Rodzina co się w krzesłach tylko przesiadała
I gdzieś od Wandalinów swój początek brała...

Wyraźniej nieco od tych dwóch bladych sylwe-
tek wystąpił w gawędzie profil sędziego Chojnac-
kiego. Według imię pana Benedykta

...był to człek mądry i bardzo zuchwały,
Wstrząsał rady i sejmy, wstrząsał trybunały.

Czy jednak pan Chojnacki wstrząsał trybunałem
i sejmem w imię dobra Rzeczypospolitej, czy w in-
teresie opiekuna magnata, czy wreszcie prywacie dał
się ponosić, o tym gawędziarz przemilcza; stwierdza
on tylko, że

...niemało w świecie Pan Sędzia nabroił,
I niemało ran zadał i własnych wygoił,
Bo nie w domu, lecz głównie na sejmach rej wodził,
A gdzie słowem lub szablą natarszy ugodził,
Tam nie było repliki i nie siadła mucha,
Bo mówił jak Cycero, a rąbał od ucha.
Głos miał taki potężny, że gdy huknął w kole,
To nawet najzuchwalszy zgasł by żaczek w szkole,

A co słowem zakroił, zawsze odciął szablą;
Ale miał też i głowę nasiekaną djabło.

Z charakterystyki powyższej zdaje się jasno wynikać, że pan Sędzia był awanturnikiem, zawadzą i krzykaczem w rodzaju tych, co byli stworzeni do zrywania sejmów, rozniecania rokoszy i prowadzenia zajazdów. Przyszły wreszcie i na niego »borsukowe lata«, wiek sędziwy zaciężył, a gdy w dodatku spostrzegł, że z powodu rozdwojenia w ziemi sanockiej nie na sejmiku nie sprawi, bo liczniejsza Sieniawszczyzna brała zawsze górę, wtedy zamknął się w swoim zaścianku, odsunął od spraw publicznych,

... niby na dewocji siadł z księdzem kwestarzem,
I skromnie się zabawiał miodem i brewiarzem.

Dopiero przybycie biskupa Krasickiego wydobyło go z ukrycia; przyjechał na ucztę, opowiedział fację o panu Krupie, potym dał radę, aby dla utrwalenia zgody strony powaśnione wiązały się małżeństwami, wreszcie, korzystając z ogólnej sympatji i poważania, szeregiem wyroków kompromisarskich zadawnione spory rozstrzygnął. W rysach Chojnickiego doszukać się można podobieństwa ze starym Maćkiem Dobrzyńskim i z klucznikiem Gierwazym (za młodszych jego lat), jednak podobieństwo to może być zupełnie przypadkowe.

Na wzmiankę zasługuje tu jeszcze epizodyczna figurka Margrabiego Pińczowskiego, traktowana satyrycznie; jest to człowiek dumny i zarozumiały, który po dworach obcych wysiedziawszy się

... tak się na zamorskich szyderstwach wyprawiał,
Że i strój kusy przybrał, i obcych zwyczajem
Szydził sobie z wszystkiego, co tylko jest nasze;
I na szlachtę pocziwą patrzył bardzo z góry.

Stąd słuszone oburzenie całej szlachty sanockiej, a z nią i pana Benedykta Winnickiego.

O tej »szlachcie pocziwej« można sobie wyrobić niejakię pojęcie na podstawie opowiedzianych w *Zgodzie senatorskiej* zdarzeń; obraz to wprowadzie jednostronny i niezupełny, ale w znacznym stopniu prawdziwy, bo oddany w prostych barwach ze szczerym, naiwnym realizmem. Szlachta sanocka i przemyska, która się przed nami przesuwą z okazji zjazdu i uczt, jest to tłum bardzo liczny, krzykliwy, do awantur i bitki skory; niebezpieczna to rzecz zadrzeć z nim i pozwolić sobie na żart ze stanu szlacheckiego, z herbu lub z miłej mu osoby,

Bo żarcik, co się gładko w pokoju wyśliźnie,
Gdy wpadnie między szlachtę, to nieraz krwią bryźnie.

Istotnie też rąbią się z łada powodu. Ale niech tylko pogłaska kto ich dumę, niech przypodchlebi, niech jaki znaczny pan uściska którego i wypyta o żonę, dzieci, przyjaciół, — wtedy tłum cały jak jeden mąż gotów iść w ogień za niego. To też magnaci potrafią sobie jednać »pocziwego szlachcica« kielichem i pochlebstwem; stąd szlachta dzieli się na partje, na wrogie sobie obozy, zależne od woli magnatów. Całe życie publiczne tego szlacheckiego mrowia sprowadza się do przekrzywienia i przekreślowania na sejmiku partji przeciwnej, aby swego kandydata przeprowadzić.

I stanęły dwie partje naprzeciwko siebie,
I już siły nie było nawet i w potrzebie,
Gdy jednych Podkomorzy, drugich wiódł Starosta.
To jak na sejmik spadną i narobią krzyku,
Słabsi od trzeciej partji...

Życia domowego, rodzinnego *Senatorska Zgoda* nie odtwarza, natomiast mamy tu wcale żywy z realizmem i w śmiałych rysach nakreślony obraz życia towarzyskiego. Oto przybył w strony rodzinne mąż znakomity stanowiskiem i sławą pisarską, więc szlachta cała zjeżdża się, aby powitać i poczcic ziemi swojej chwałę;

Więc *viritim* też szlachta na konia usiadła,
I jak gdyby na sejmik do Dubiecka spadła.

Stają gdzie kto może, gdzie przytułek znajdzie:
jedni w gościnie we dworze, drudzy na probostwach
i wikarjach, inni w mieście u mieszczan lub w ży-
dowskich gospodach.

W każdym domu możniejszym i stół i kapela,
I przyjęcie od serca i kupsko wesela!...
Przesadzały się dwory w polskiej gościnności,
A co trzeci dzień zwykle przyjmował dwór gości.

Przypatrzmy się teraz, jak wyglądała uczta we dworze. Na dziedzińcu, skąd roztaczał się piękny widok na kręty San i na wzgórza, w cieniu sędziwej Ksieni ustawiono stoły w cztery podkowy.

Podług wieku i stanu, zasług i godności,
Sadowił Pan Marszałek wkoło stołu gości,
I zrazu szła rozmowa poważna i cicha...

Ale rychło poszły w kolej kielichy coraz to częstsze i coraz głośniejsze wiwaty, a gdy jeszcze pękaty »Karzełek« obiegił stoły i ksiązę biskup podchlebnie do gwiazd szlachtę przyrównał, wówczas

...szlachta *ad astra* na niebie zrównana,
Z kielichami przed księciem padła na kolana:
»Dla duszy, Mości Ksiązę, tyś w Polsce Podczaszym,
My gwiazdy, a tyś słońce na tym niebie naszym!«...

Co się działo, gdy każdy do dna wychylił kielich »Sandomierski«, w którym mieściły się dwa wielkie puhary i jeszcze trzeba było dolewać, — o tym już gawędziarz przemilecza; ale »czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa«, że po tym toaście i Księżę Biskup i Podkomorzy Bal i Starosta Mniszech znaleźli się pod stołem, ściskając się i gorące wynurzając afekty, a stara lipa Ksieni ze smutkiem patrzała, jak to się bawia i kochają *lumina* Rzeczypospolitej.

Cała ta strona obyczajowa, jakkolwiek niewesoła i gorsząca, złożyłaby się na pewną niepozbawioną wartości całość, gdyby nie była poprzerrywana, a jak sądził autor — uzupełniona długim szeregiem epizodów i dygresji. Wprawdzie i Mickiewicz epizody uznawał; w *Panu Tadeuszu* znajdziemy anegdotę Teli-meny i opis arcyserwisu i inne pomniejsze dygresje; tylko że wszystkie one nie psują harmonji, a wiążą się z całością, uzupełniając ją organicznie, nie mechanicznie. Tymczasem Pol nie potrafi zachować związku ani też właściwej miary nawet w tym stopniu, jak Rzewuski; korzysta z byle okazji, żeby jeszcze coś wsunąć. Dodatki te różnego są rodzaju: ustęp o rodzie Krasickich i legienda o Gozdawie mocno herbarzem i panegiryzmem trącą; opis prastarej lipy, co potężnemi konarami cały podwórzec osłania, dając cień ludziom i schronienie wszelakiemu stworzeniu, — opis ten zdradza silny wpływ Kochanowskiego. Obok tradycji rodzinnych, facecji i anegdot spotykamy tu obszerny wstęp obyczajowo-dydaktyczny. Imć pan Benedykt rozprawia w nim szeroko o dawnym życiu rodzinnym, opartym na radzie familijnej¹ i pa-tryarchacie;

¹ »Rada familijna« i jej znaczenie w dawnej Polsce jest wymysłem poety, sprzecznym z historją i tradycją.

W każdej prawie rodzinie był ktoś jeden głową,
I świętym było wszystkim każde jego słowo.
Był to człowiek w rodzinie zwykle najmożniejszy,
Albo wiekiem najstarszy, albo najradniejszy...

Jemu ulegała rodzina cała, a on rozciągał nad nią pieczę i każdym kierował. Prawda, że nie zawsze wyszedł z takiego domu »szlachcic poczciwy« lub kapucyn; trafił się czasem zawadjaka, awanturnik, co popełniał bezprawia i gwałty; jednak i taki posłuchał głowy rodziny i wreszcie nawracał się, odkupiwszy grzechy bądź w zakonie, bądź w służbie wojskowej na pograniczu. Bo żyło jeszcze w narodzie sumienie, bojaźń boska i uczucie braterstwa; uboższym dopomagali sąsiedzi, opiekowano się wdową i przygarniano sieroty. W takich pięknych, idealnych zarysach przedstawia gawędziarz życie dawnej szlachty.

Można staremu Winnickiemu wierzyć na słowo, lub nie; można mu wybaczyć poglądy ciasne i stronne, można mu wreszcie darować rozwlekłość i powtarzanie się; ale zrozumieć niepodobna, dlaczego pan Benedykt wpada ciągle w sprzeczności i wygłasza zdania, znoszące przed chwilą wyrażone poglądy. Oto np. mówi, że

Kto zawładnął rodziną, ten rządził uważnie,
Z łagodnością, słodyczą, lecz bardzo poważnie.

A teraz zobaczmy, jaka to była słodycz i łagodność w wychowaniu dzieci:

... chłopak podpasany łyżkiem i rzemyczkiem
Rósł na barszczu czeladnim, na kluskach i kaszy,
A uganiał na oklep po gromadzkiej paszy,
Aż już dorósł batoga, i ławy i księgi,
Ojcowskiej, dyrektorskiej lub klasztornej cięgi.
Tam uczyli posłuchu i bojaźni Boga,
Słać tam wprawdzie *nauka często od batoga*,

Lecz on formował rękę i uczył łaciny,
 Miłości i bojaźni, i niesforne syny
 Służyły później sformie i ludziom i Bogu —
 I każdy błogosławił rękę po batogu!¹...

A jakież były skutki tej nauki batogiem? Winnicki nie zająknie się i przyzna otwarcie:

Dola była złota,
 Szabla wiecznie przy boku, do bójki ochota,
 Człek *za młodu trzymany surowo i bity*,
 Więc jak się rozparł później w Rzeczypospolitej,
 To nie było fantazji czasem i granicy,
 I krzywda nieraz siadła na krzywej szablicy...

Tradycyjno-moralizatorska przedmowa jest jedynym długim ustępem, w którym imię pan Benedykt swoje osobiste zapatrywania obszernie wyraża; zresztą w ciągu całego opowiadania stary gawędziarz usuwa się na bok, bierze na siebie rolę biernego świadka zdarzeń i czasem tylko o sobie mimochodem wspomni, wtrąciwszy np. »Za mojej już pamięci«, lub »za moich czasów«, albo »I jam też wówczas przybył tam«...

¹ Powyższą apologję batoga można porównać tylko z Naruszewicza odą *Do bizuna*; oto parę wyjątków:

O, z wieków cudotworny synu byczej skóry!
 Złych duchów egzorcyzo, poprawco natury!
 Stróżu durnej młodości, proszku doskonały
 Na upór, muchy w nosie, miłosne zapaly...

.

Bito wszędy, i młódź też lepsza była bita.
 Czego Pijar nie dobił, albo Jezuita,
 Dwory poprawowały...
 Tak przez różne przechodząc pletnie i batogi,
 Tracił wiek wpółszalony zwolna swe nałogi...

Atoli mimo toku opowiadania pozornie obiektywnego, posiada *Senatorska Zgoda* wybitną i charakterystyczną stronę podmiotową, która w danym wypadku nie idzie na rachunek autora, ale kontuszowego bazarza, imć pana Benedykta. Ze sposobu opowiadania, z oświetlenia, w jakim przedstawione są osoby i zdarzenia, słowem — z całego stosunku między gawędziarzem a przedmiotem opowiadany widzieć, że Benedykt Winnicki jako postać konwencjonalna zbliża się sposobem postrzegania i myślenia do starego Wojskiego i do imć pana Seweryna Soplicy. Szlachcic szaraczkowy domowego chowu, z poglądem na świat kwestarsko-gospodarskim, powtarza wprawdzie, iż szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie, ale krzesła w senacie imponują mu ogromnie, a przed mitrą gotów plackiem padać. Kto najgłośniej krzyczy — ten dla niego zuch, kto gęsto łby kiereszkuje i uszy obcina — ten dzielny, a kto trafnie dykteryjki przytacza i dowcipami sypie — ten mądry. Niestety po przodku swym, Wojskim, nie dziedziczy pan Winnicki żadnego talentu, ani do myśliwstwa, ani do gry na rogu, ani nawet do kucharstwa; gorzej jeszcze, iż pan Benedykt mimo blizkiego pokrewieństwa z cześnikiem parnawskim, nie potrafi tak jak on zajmująco i żywo opowiadać.

Jednak to przyznać mu trzeba, że jak na szlacheckiego gawędziarza przystało, ma on swój własny, odrębny styl kontuszowy. Mówi gładko, bez zająknięcia i naturalnie, jakgdyby prozą mówił, a nie wierszem i do rymu; prawda to, że rymy częstochowskie, że przez niedbalstwo już nie Bogu ducha winnego Benedykta, ale samego poety i rymy i porównania powtarzają się, jak np. na str. 65:

Więc mnóstwo jeszcze szlachty zaciągnął *do siebie...*
I jakiś taki smutny, *jakby po pogrzebie...*

dalej zaś na str. 68:

I już z Sądowej Wiszni, *jakby po pogrzebie,*
Smutno Sanocka Ziemia wracała *do siebie...*

mimo to przecież odmówić mu nie można pewnego zacięcia i czysto kontuszowych zwrotów.

Obok swojskich przysłowiowych wyrażen, w rodzaju: »dmuchać komu w kaszę« (str. 73) lub »Krew Mospanie nie woda!« (str. 52) ważną rolę odgrywa tam łacina, którą pan Benedykt szafuje znacznie obficie, niż cześnik parnawski¹.

Nieszczególna to łacina, bo raz bardzo wątpliwa (Więc *viritim* też szlachta na konia usiadła — str. 61), to znów wytarta jak stary szeląg, np. *in vino veritas, mea culpa*, to wreszcie sprowadza się do luźnych wyrazów, w tekst polski bez potrzeby wtrącanych, jak np. *Varios modos bibendi* miewają Polaki, cyfrę *cuius festum* w gwiazdy oświecono, *in quantum possum, de iure et de corda, lumen terrae, sub umbra, autor anonimus* etc.

W stylu *Senatorskiej zgody* spostrzec można parę wpływów *Pana Tadeusza*, mianowicie epikom właściwe powtarzanie tego samego wiersza. U Pola wiersz »Słuchasz, patrzysz, poznajesz, czy cię oko ludzi?« — powtarza się dwa razy (str. 47 i 48); zgrabniej wypadło inne powtórzenie; na str. 88 czytamy:

A potym się obejrzał zwolna w całym kole
I puhar niewypity postawił na stole...

¹ Pol musiał pójść za złym przykładem pana Paska, którego Pamiętniki w wyd. Lachowicza (1843) zawierają wszystkie zwroty łacińskie, umieszczone pod spolszczonym tekstem.

a nieco dalej na str. 89:

I tu Panu Mniszechowi pokłonił się w kole,
I kielich niewypity postawił na stole.

Drugą właściwością, od Mickiewicza przejętą, jest wyliczanie nazwisk, i to nie fikcyjnych, ale rzeczywistych, znanych w danej okolicy; jak w pieśni pierwszej (w. 936 i nast.) opowiada poeta:

Tak przekradł się Gorecki, Pac i Obuchowicz,
Piotrowski, Obolewski, Różycki, Janowicz,
Mierzejewscy, Brochocki i Bernatowicze,
Kupść, Giedymin i inni, których nie policzę...

podobnie Pol wymienia szlachtę, co na uczcie do Dubiecka spieszy:

A więc Pan Wojewoda Ossoliński z Liska,
I Biskupi Przemyscy przy pomocy Bożej,
Ba, dalej z Baligroda Pan Bal Podkomorzy,
I Pan Mniszech Starosta z pocztem okazałym,
I panowie Stadniccy z swoim dworem całym...
Dalej z Nowego-Tańca Jaworsey, Bruniccy,
I z Haczowa Urbańscy, z Leszczawy Humniccy,
Z za Otrytu Krajewscy, z Kosiny Prekowie,
I z Dynowa Trzeciescy, i z Hoczwi Fredrowie...

Niestety zachodzi tu ten smutny fakt, że gdy poeta-artysta potrafił zachować właściwą miarę, Pol przebrał ją i w dwudziestu z górą wierszach wylicza około pięćdziesięciu nazw i nazwisk!

Od *Senatorskiej Zgody* nie różni się sposobem wykonania ciąg dalszy Pamiętników Winnickiego, wydany pod tytułem »Sejmik generał województwa ruskiego odprawiony 1766 r. w Sądowej Wiszni«.

Przedmiot był inny, wdzięczniejszy dla poety, obyczajowo ciekawszy; tam pokazana była szlachta w szcu-

płym zakresie życia towarzyskiego, z kielichem w ręku a wiwatem w ustach; tutaj otwierało się szerokie pole życia publicznego, wszystkie jego dodatnie i ujemne strony, niezmiernie charakterystyczne. Sam autor wyznaje, że zamiarem jego było »objaśnić wewnętrzne polityczne życie, i w części choć przynajmniej owe pobudki moralne, zasady i obyczaje, które kierowały działającymi ludźmi«¹.

Na tę »sejmikową szlachecką tradycję«, a raczej na szereg zestawionych tradycji, anegdot i szczegółów złożyły się opowiadania różnych osób; źródłem jednych był Benedykt Winnicki, innych — pan Morelowski; tradycja o hetmanie Sieniawskim pochodzi od pani Truskolaskiej, wreszcie pan Ksawery Krasiński z detalami opowiadał, jak »ktoś całej Sieniawszczyźnie ściągnął szarawary«. Atoli nie wszystko słyszane dało się zmieścić w jednej gawędzie; część tego rada nierada musiała pójść do »objaśnień«, gdzie oprócz wyciągów z czterech djarjuszów sejmowych znajdzie czytelnik wiele ciekawych wiadomości o kiełbasie i flakach, o kurdeszu i słynnych stadninach, gdzie go też autor z całą powagą zapewni, że »kiełbasa była wielką dźwignią w prywatnym i publicznym życiu«²...

Mimo tej technicznej trudności spostrzec można usiłowanie autora, aby w tradycji sejmikowej niczego nie zabrakło, ani epizodycznych wypadków, ani autentycznych anegdot, ani płaskich figlów; są tu wszystkie możliwe fortele i »praktyki«, kaptowanie stronników, burda i krew w kościele, ksiądz z monstrancją, a nadewszysztko jadła i napoju wbród. Imć pan

¹ Tom III, str. 171.

² Tamże, str. 172.

Benedykt umie korzystać z okazji: więc kiedy mowa o księciu jenerale ziem podolskich, to trzeba zaraz obszernie omówić całą rodzinę Czartoryskich, a nawet Sieniawskich, bo książę wojewoda pojął ostatnią Sieniawską za żonę; skoro zaś mowa o Sędzi Chojnackim, to wypada opisać jego wino w piwnicach u Reformatów przemyskich, a zarazem i tego, co po wino jeździł; ten zaś, pan Łowczyc, odwiedził kogoś chorego, więc i o chorym przy sposobności; potem ten sam Łowczyc miał awanturkę nad Sanem, o czym także ze szczegółami opowiedzieć da się.

Wprawdzie niełatwo będzie nawrócić do wątku i od jakiejś obojętnej dygresji przejść do rzeczy, ale na to drukarz zaradzi, kładąc linię poziomą lub większy odstęp robiąc, — niby nowy rozdział. Czasem jednak i pan Benedykt, choć poniewczasie, zmiarkuje się, że z drogi zjechał, a wtedy swym zwykłym sposobem mówi: »Ale wróćmy do rzeczy«. Śród podobnych zwrotów jest jeden klasyczny, który powtórzyć i zapamiętać warto:

Ale hola Mosanie! bo to się nie nada,
I stary gdy się puści, to gada i gada!
A Waści, jak się zdaje, już i słuchać nudno,
I z tego, co tu mówię, rzecz zrozumieć trudno;
Więc się muszę poprawić, by nie podrwić głową,
I rzecz całą raz jeszcze poczynam — *ab ovo*.

Przyznając imć panu Benedyktowi słuszną zupełną, żałuje się tylko, że podobna refleksja nawiedziła go dopiero po trzydziestu ośmiu stronach gawędzenia.

Bezradność wobec źródeł, nieumiejętność korzystania z materiału, rozwinięcia i wyzyskania przedmiotu, brak wyobraźni i zupełna nieudolność kompozycji ujawniają się tutaj »w całej ozdobie«. O *Senatorskiej*

Zgodzie można było powiedzieć, że fabuła zginęła tam pod nawalem wtrętów, dodatków i dygresji; o *Sejmiku* nawet tego powiedzieć nie można, bo tu właściwie niema fabuły, niema osi, dokoła której skupiałyby się postaci i zdarzenia. Przypuszczalne jądro gawędy — sejmik jest zbyty tak krótko i pobieżnie w stosunku do całej reszty, że wątpi się, czy na nim punkt ciężkości spoczywa. Czy raczej wzajemny stosunek dwu partji, ich intrygi, mające na celu przekreskowanie przeciwników, nie stanowią tu osi opowiadania? Jeżeli tak, to w długiej gawędzie mamy tylko drobny fragment, gdyż początku nie widać, ani końca. Kończy się sejmik, a z nim i gawęda, lecz waśni stronnice bynajmniej nie skończone i staremu Benedyktowi dadzą powód do opowiedzenia jeszcze długiego szeregu zdarzeń, podobnych do niniejszych jak dwie krople wody.

Z samego braku jasnej, rozwiniętej i zamkniętej w sobie fabuły nie możnaby jeszcze wielkiego czynić zarzutu, trafiają się bowiem dzieła znakomite, mimo intrygi ubogiej i odsuniętej na plan ostatni; ale czego powinien każdy od epika wymagać, — to obrazów z życia i charakterów, ujawniających się w tych obrazach. Jakże się ta strona w *Sejmiku* przedstawia?

W *Senatorskiej Zgodzie* szlachta cała dzieliła się na wrogie sobie obozy, na stronników Bala i Mniszcha; podobnie w *Sejmiku* wielki, szary tłum szlachty rozpada się na dwie partje: jedna — to »mitraże« czyli stronnicy księcia Czartoryskiego, pospolicie sieniawszczyzną zwani (»cała szlachta Lwowskiej i Przemyskiej ziemi«), druga składa się z drobnej szlachty sarnockiej i występuje solidarnie przeciw księciu; pierwsza ma swego wodza i opiekuna w osobie generała

ziem podolskich, druga daje się kierować trybunowi ludu szlacheckiego, którym jest znany już z *Senatorskiej Zgody* Sędzia Chojnacki. Dwie więc postaci, książę i sędzia, wysuwają się na czoło gawędy jako główni działacze, wprowadzający w ruch wielkie bezimiennne gromady drobnej szlachty.

Imć pan Benedykt, zanim jeszcze samego księcia przedstawił, rozprawiał szeroko o jego przodkach, i to z wielkim szacunkiem, czią i uznaniem zasług, gdy zaś o księciu jenerale mówić wypadło, kieruje się partyjnemi uprzedzeniami i sądzi go z wysokości zaściankowych opłotków ziemi sanockiej. Pośród szlachty Czartoryski znany był jako facecjonista i kpiarz,

... wszystkie facecje księcia jenerała,
Co wówczas cała Polska sobie powtarzała,
Trudnoby było spisać na wołowej skórze...

Książęce anegdoty i żarty nie podobały się szlachcie, bo odkrywała w nich złośliwe drwiny i przytyki; zwłaszcza sanoczenie nie mogli darować księciu, że ich »wołową szlachtą zza Otryta« nazywał, a i reszta szlachty żywiła urazę za śmiałe koncepta, np. o ośleju szczęce i szlacheckich pyskach. Drugą cechą, która zniechęcała panów braci, było nieprzyzwojne magnatowi skąpstwo:

Sam książę nie dbał wiele o przyjęcie gości,
I mawiał: »Szlachta nie je, pobożna więc pości«;
A marszałek znów rządził według swojej głowy,
I barszcz bywał bez rury, a krupnik jałowy.

Nic też dziwnego, że:

Choć mu drogę utarła stara domu sława,
Książę w niewielkim mirze u szlachty zostawał,
Bo drwić lubił ze szlachty, a lichu jeść dawał...

Ale nie koniec na tym; było jeszcze coś, co do reszty zraziło i zasmuciło przyjaciół domu; oto na domiar złego książę »polski strój porzucił, przebrał się po francusku w szaty haftowane, nosił szpady i guzy kameryzowane«. Zdawałoby się, że gdy nadejdą sprawy publiczne, jakiś sejmik czy wybory, książę generał zostanie opuszczony przez wszystkich przyjaciół i stronników; tymczasem działo się przeciwnie, partja jego była najliczniejsza i na sejmiku

Gdyby książę był siłą chciał iść od początku,
Byłby nakrył czapkami swoich adwersarzy...

Znać, że »nie był w ciemni bity« i wiedział, jak sobie braci szlachtę zjednać i ująć. Wyruszając na sejmik, zostawiał w Sieniawie wszystkie swoje żarty i dowcipy, zostawiał też skąpstwo znane w okolicy, zabierał natomiast cały dwór, więc marszałka, szatnych, koniuszych, krawców, piwnicznych, kucharzy i znaczny poczt grubo płatnych jurgieltników, nadto wyprawiał w drogę olbrzymie zapasy jadła i napojów, konie i piękne uprzęże, postawy sukna i kontusze, cenne pasy — a nawet buty. We wsi Twierdzy, na gościńcu między Mościskami a Sądową Wisznią, stawał główną kwaterą, zajmując z czołem sieniawszczyzny wszystkie trzy karczmy; tu dopiero na dobre rozpoczynało się ściąganie stronników i przystrajanie ich w zielone czapki. Każdego przejezdnego spotykało »bractwo« na drodze, wiodło do koła, witało, karmiło, poilo, ujmowało pochlebstwem i darem, a gdy się jeszcze opierał, prowadzono go do księcia generała. »Książę znał całą Litwę i całą Koronę, wszystkie domy szlacheckie i pańskie rodziny«, więc mu nietrudno było z nazwiska i z herbu wymienić cały szereg krewnych brata szlachcica,

a potem już jako »starego znajomego« uściskać, że zaś »takowej praktyki zawsze sukces pewny«, więc liczba stronników wzrastała szybko.

Takim pan Benedykt przedstawia księcia jenerała; chociaż czuje się, że to nie prawdziwy Czarторыski, że za poziomy, za płytki i jednostronny, ale przecież zaciekawienie wzrasta; oczekuje się chwili, gdy książę po tych przygotowaniach na czele dwóch ziem na sejmiku wystąpi. Nadchodzi wreszcie otwarcie sejmiku, nabożeństwo z kazaniem, zagajenie, — Czarторыskiego jeszcze niema, bo sieniawszczyźnie skradziono szarawary. Nazajutrz dopiero książę jenerał z wielkim tłumem przybywa, wchodzi do kościoła, wstępuje na ambonę...

Gdy przemówił do koła — to jak Demostenes...

Oto jeden jeszcze klasyczny przykład na dowód, że autor *Sejmiku* na epika bynajmniej stworzony nie był. Wysunąć jakąś postać na czoło, zapowiadać wiele, wprowadzić ją wreszcie w samo jądro sprawy, w obrady sejmikowe, nawet na mównicę, i naraz powiedzieć, że przemówiła jak Demostenes, nie włożyć jej w usta ani jednego zdania, ani jednego słowa, — jest to coś, czego żadną miarą ani pojąć, ani usprawiedliwić nie można. Prawda to, że i Morełowski i Winnicki zapewne nie pamiętali mowy Czarторыskiego; ale przecież elementarne zasady twórczości epicznej wymagają, aby autor mowę taką wymyślił. Wyobraźmy sobie, jak wyglądałaby rada w Dobrzyń, gdyby Mickiewicz poprzestał na wzmiance, że Gierwazy przemówił, a szlachta przyznała mu słusność. Pol nie rozumiał, że skoro już księcia na ambonę wprowadził, obowiązkiem jego było ułożyć jakąś mowę, którąby książę wygłosił; poecie zdawało

się, że uczynił zadosyć, przytoczywszy we wstępie długą a bezmyślną anegdotę o złośliwych pyskach i koncept o »wołowej szlachcie«.

W postaci Czartoryskiego, artystycznie chybionej zupełnie, pozbawionej plastyki i duszy, usiłował poeta przedstawić typ magnata polskiego, który, ulegszy złym wpływom, nadewszystko modzie obcej i nowym obyczajom, staje wpoprzek odwiecznej, tradycją uświęconej drogi życia szlacheckiego. Szlachta nie może darować drwin ze swego stanu, nie może znieść zagranicznego ubioru i wstrzemięźliwości przy ucztach, stąd jawna niechęć, którą otacza księcia imć pan Benedykt, jako przedstawiciel opinii szlacheckiej.

Tej postaci, niemiłej sobie a sądzonej stronnice, przeciwstawia gawędziarz ideał »poczcziwego szlachcica«, pana sędziego Chojnackiego, starego haraburdę, siłacza, rębacza i awanturnika pierwszej wody. Imć pan Benedykt otacza go żywą sympatją, widząc w nim najlepszy, najczystszy okaz stanu szlacheckiego.

Chojnacki, w ogólnych zarysach znany z *Senatorskiej Zgody*, w *Sejmiku* ukazuje się jako wódz i obrońca drobnej, szaraczkowej szlachty, którą z całej ziemi sanockiej zbiera i na sejmik prowadzi. Nie kierują nim żadne głębsze i szlachetniejsze pobudki, chodzi mu tylko o zgniecenie partji książęcej, a w tym celu posługuje się szlacheckim tłumem, zupełnie nieświadomym spraw politycznych i obojętnym na nie. Imć pan Benedykt opowiada szczegółowo, w jaki to sposób pan Sędzia przed sejmikiem agituje. Kiedy się zbliżała pora przedsejmowych narad i uczt po magnackich dworach, Chojnacki dosiadał konia i »znikał jak kamfora«; cała okolica nie wiedziała, gdzie się podział, różne chodziły o nim wieści, zazwyczaj fałszywe, a on tymczasem objeżdżał oddalone wsie

szlacheckie, nawiedzał dwory i dworki »i tam zbierał dla siebie sejmową drużynę«. Każda wieś zamieszkała była przez szlachtę jednego herbu a nawet jednego nazwiska (porówn. zaścianek Dobrzyńskich); każda znów z tych licznych familji posiadała pewne odrębne cechy i zamiłowania. Pan Sędzia znał je doskonale, wiedział czym którą zjednać, jak w upodobania trafić i do swojej partji tym silniej przyciągnąć; miał więc dla każdej wsi szlacheckiej inne »praktyki« i wybiegi: pieniaczom Suzańskim roztrząsał sprawy, rozpatrywał pozwy i dekrety, jako w prawie biegły; z rębaczami Terleckimi mocował się, bił w palcaty, uczył niezwykłych cięć i sztuczek; z Dobrzańskimi rozprawiał o szlacheckiej »równości i wolności złotej«; Kulczyckim dawał rady i pomoc w wychowaniu synów. Słowem — do każdej wsi, do każdego dworu umiał trafić, wszędzie stronników sobie jednał i na sieniawszczyznę podszczuwał, a wszystko to nie w imię Rzeczypospolitej, nie dla jej dobra i zbawienia, ale w imię stronnicych, zaściankowych waśni, mając na celu jedynie przekreskowanie »adwersarzy« i przeprowadzenie swych postów.

Przez długie lata pan Sędzia niewiele sobie robił z kościoła i jego sług, ale na starość, gdy zmuszony okolicznościami przez pewien czas w domu cicho siedział, dostał się pod wpływ kwestarza, a ten tak mu słowami Pisma, cytatami z ojców kościoła i przykładami świętych pańskich do sumienia przemówił, że hardy szlachcie zmiękł, postanowił poprawę, obiecał pokorę i skrucę i na Sakrament przysiągł, że nigdy już na sejmiku szabli nie dobędzie. Była to skrucza i pobożność typowo szlachecka; dość było pierwszej okazji, a pan Sędzia w kościele karabeli

dobył i o mało tego samego kwestarza nie rozplątał jak szczupaka.

Przed sejmikiem Sędzia razem z księdzem Prokopem kaznodzieją i z innym jeszcze »tęgim teologiem« układają sejmikowe kazanie, w którym rozżalają się »nad losem biednej matki Ojczyzny«, wytykają prywatę, chwałę cnoty i zasługi.

Gdy Sędzia z kaznodzieją i Bielińskim razem

Ułożył już kazanie, rzekł wesoło sobie:

»Tą razą Sieniawszczyźnie nie puścimy płazem,

Lecz trzeba i o winie pomyśleć na dobie«.

Przepyszny jest ten skruszony i bogobojny szlachcic, co układając z księdzem kazanie cieszy się, że przeciwnej partji da się we znaki, a zarazem niebardzo ufając sile słowa bożego i skuteczności kazania, posyła do swych piwnic po najstarsze wina (kuchnię już był dawno do Wiszni wyprawił). Ten rys ma w sobie tyle prawdy, wprost z życia wyrwanej, tyle charakteru, że błyszczy jak djament pośród wszystkiego, co pan Benedykt o Chojnackim opowiada.

Zapewnia on o rozumie i zręczności Sędziego, tymczasem gdy nadeszła właściwa chwila, gdy sejmik otwarto, tego rozumu i zręczności nie widać zgoła; przeciwnie, rzecz można, iż Sędziemu nic się nie wiedzie. Za jego natchnieniem skradziono »mitrażom« szarawary, a jednak sztuka nie udała się, bo z obiorem marszałka przeczekano do dnia następnego. Wie on, że liczebnie jest słabszy od Sieniawszczyzny, więc chyba nadzieję pokłada w burdach i rąbaniu »adwersarzy«. Istotnie też rębacza Terleckiego, co pierwszy dobył korda i Jankowskiemu łeb rozciął, nie kto inny zwerbował, jeno mądry i bogobojny pan Sędzia Chojnacki.

W pierwszym dniu sejmiku krzyczy i hałasuje, domagając się obioru marszałka z pogwałceniem sprawiedliwości, bo ziemia Lwowska i Przemyśka nie stały się jeszcze. Nazajutrz, widząc zdala ogromny tłum Sieniawszczyzny, »miarkował, że bezpieczniej czekać na nią w sali« i zniknął z placu, ukrywając się za plecami stronników. Dopiero gdy przyszło do awantury i bitki, gdy krew pociekła na posadzkę kościoła, Sędzia wrzeszczy z innemi, rzuca się »niby tygrys srogi«, dobywa szabli, nie mogąc się w tłoku przedostać do swej partji, biegnie dokoła przedsionkiem, aż tu kwestarz drzwi podpira, zasuwa drągiem i pluje ze złości. Sędzia rzuca się, ryczy: »Puszczaj księżę, bo splątam Waści jak szczupaka«! Następuje chwila patetyczna, opamiętanie i skrucha. Gdy kwestarz zagroził piekłem, przypomniał, że »od sejmiku starsze pono *dziesięcioro*« i zapytał: »Co powie święty Gwalbert«, wówczas Sędzia »zbladł nagle jak ściana i w tył się zatoczył... i oparł się o ścianę«, wyrzucając urywane słowa: »Rozum mi się błąka, ratuj księżę, bo pono — już i żywot rwie się...«, a wreszcie, ujrawszy gwardjana z monstrancją, »niby konający zsunął się po ścienie i padł twarzą na ziemię — i osłabł ze szczętem«.

Już to do scen patetycznych nigdy Pol nie miał szczęścia; kiedy chciał wywołać grozę, wrażenie potężne lub wzniosłe, zawsze stworzył coś nienaturalnego, co mijało się w zupełności z prawdą psychologiczną i z pięknem artystycznym; tak i w tym wypadku cała scena razi brakiem właściwej miary i prawdopodobieństwa; jest to rodzaj tragizmu, który przez swój sztuczny patos żywo przypomina wędrowne teatryki.

A przecież gdyby nie zakończenie, gdyby nie przesadna, a chybiona scena z kwestarzem, przyznaćby trzeba, że Sędzia Chojnacki jest jedną z najlepszych kreacji Pola. Nie pod względem moralnym, bo wartość moralna tego człowieka jest ujemną i za wzór, a tym bardziej za ideał szlachcica polskiego uchodzić nie może. Także nie pod względem artystycznym, gdyż postaci Chojnackiego zbywa na plastyce i ruchu; za wiele o nim się opowiada, za mało on sam działa i mówi. Ale Sędzia jest wcale udatną kreacją jako zbiór charakterystycznych rysów obyczajowych, jako starodawny typ, żywcem z zapadłego kąta ziemi sanockiej na światło dzienne wyprowadzony; Chojnacki jest obyczajowo prawdziwym okazem rębacza, zawadjaki, szlacheckiego agitatora i sejmikowego krzykacza i gdyby nie usterki artystyczne w wykonaniu, powinienby zostać w literaturze jako smutna pamiątka »złotych czasów«.

To samo rzechy można o całym *Sejmiku*, rozpatrując go jako obraz życia szlacheckiego w pewnej epoce i miejscowości. Ze względów artystycznych *Sejmik* nie posiada wartości żadnej; co samo napraszało się pod pióro epika, to zbyte jest krótko i sucho, zamiast obrazów mamy wzmianki, zamiast scen z życia — pobieżne wyliczenia nazwisk i zdarzeń; punkt kulminacyjny — sejmik opisany jest w sposób, który już nie w poemacie epicznym, lecz nawet w dobrej gawędzie nie uchodzi. Jeżeli jednak zwrócimy uwagę na stronę obyczajową tej »sejmikowej tradycji«, uważając ją za zbiór wiadomości o życiu publicznym dawnych czasów, to wówczas *Sejmik* nabierze cech *sui generis* dokumentu.

Dokument to nad wyraz smutny i bolesny. Gdyby ktoś pałając chęcią obrzydzenia i poniżenia przeszłości

naszej, starał się odmalować ją w najciemniejszych barwach, zapewne nie stworzyłby bardziej gorszego i wstrętniejszego obrazu, niż ten naiwnego realizmu pełen *Sejmik w Sądowej Wiszni*. Śród tej szarej masy mrowia szlacheckiego panuje atmosfera moralna i umysłowa tak duszna, tak przygnębiająca, że trwać w niej dłużej staje się rzeczą nieznośną. Tymczasem imię pan Benedykt Winnicki jakby z umysłu wszystkie te brudy i obrzydliwości wyciąga na jaw, pokazuje wszem wobec i rozgląda się w nich z dziwnym upodobaniem i pobłażliwym uśmiechem.

Co w przedstawionych zarysach najbardziej uderza, to ta niesłychana sprzeczność między teorią a praktyką, między zasadą i prawem — a życiem. Oto na mocy wymuszonych przywilejów cała brać szlachecka powołana jest do udziału w rządzie, do obrad i wyborów sejmikowych, a tymczasem tę brać herbową ani losy Rzplitej ani poważniejsze sprawy polityczne nie obchodzą zgoła. »Byle sygnet na palcu, łyżka za cholewą«, jedzie szlachcic na sejmik, bo go magnat potrzebuje i przynęca, lub agitator podszczuwa i napędza; nie zna on spraw ani kandydatów, nie wie o co chodzi, waha się ciągle do której przystać partji, aż wreszcie tu lub tam wciągnięty gotów burdę wszcząć bez powodu i nawet zerwać sejmik, jeśli go tylko ktoś w porę podjudzi. Wyśługiwanie się magnatom za łyżkę barszczu prowadzi brać szlachtę do utraty godności osobistej:

A to szlachcic Mosanie kiedy zbroił czasem,
Przyjął nawet batogi, byle na kobiercu,
I znowu go Pan ujął koniem, albo pasem...

Wiele się tam gardłuje o przyjaźni i braterstwie, ale »co robi przyjaciół«?

Ty w bramę — misa na stół i pełna butelka,
A gdzie półmiski wielkie, tam i przyjaźń wielka.

O brzuch pełny troszczył się »pocziwy szlachcic«
nadewszystko, brzydził się głodem jak śmiertelnym
grzechem i gorszył się, jeżeli przybywszy na sejmik
przepisanych dwunastu półmisków nie zastał na
stole;

A gdy szlachta po mieście przyciągała pasa,
A pas ciągle folgował, nie było z nią rady,
Bo czekaj do wieczora na pańskie obiady,
Kiedy człeku aż pachnie wódka i kielbasa,
Więc nieraz tak się działo, że partji odstąpił,
I wziął go bez obrotu, kto rano nie skąpił.

Stąd już konsekwencja naturalna i prosta:

Któż górą na sejmiku? Ani ten co z rodu,
Ani ten co z zasługi znany u narodu,
Ani głowacz, ni siłacz, ni bogacz Mosanie,
Ale ten, co najraniej umiał dać śniadanie.
Bo to głosy wychodzą przez gardło i zęby,
I grzeczne za nadobne — więc daj co do gęby!
Kochasz? — kocham! — to daj jeść — i buzi i basta!

W dalszym ciągu jednak zmiarkuje pan Benedykt, że za daleko zajechał, uogólniając wpływ wczesnego śniadania na sprawy polityczne, są bowiem inne jeszcze, niemniej ważne pobudki:

Był taki, co znów nie dbał o *pacta* i jadło —
Wypił wódki i flaków podjadł przy ognisku,
Ale że szaro gładko na Sejmik mu padło,
Rad był choć buty nowe lub czapkę mieć w zysku.
Cóż dopiero gdy szatny całego wystroił,
Lub na taką mu miarę z postawu przykroił,
Ze jeszcze i dla żony na bekieszkę stało.

Wreszcie rozpatrzywszy dokładnie wszystkie okoliczności, które odgrywały pierwszorzędną rolę w wybo-

rze posłów, a więc pośrednio i w losach ojczyzny, imć pan Benedykt dochodzi do następujących wniosków:

Różną czeladź pan chowa — Bóg ma różne slugi,
Jeden dbał o estymę, a o korzyść drugi;
Jednemu konia z rzędem, drugiemu popręgi,
Jednemu pas się dostał, drugiemu bat tęgi...
A był taki, co przyjął kutas do trenzelki;
I czasem więcej ujął szlachetkę kutasem,
Niż delijką z tumaków, albo słuckim pasem.

Oto skromna wiązanka kwiatów, zebrana w tym szlacheckim wirydarzu; wystarczy, aby dać wyobrażenie o reszcie.

Ujejski czytając *Sejmik* wołał w uniesieniu: »Nie, nie, tak źle nie było, tak być nie mogło; takiej podłości nie miała nigdy szlachta polska, nawet w najstraszniejszych chwilach swego zepsucia!«¹ Tymczasem dziś, gdy przestaliśmy już spoglądać na przeszłość przez pryzmat poematów, powiastek i gawęd, gdy zaczęliśmy ufać badaniom historycznym i świadectwom współczesnym w rodzaju pamiętników Matuszewicza, dziś nie wyrwie się nam taki okrzyk protestu, bo wiemy, że »tak źle było, tak być mogło«, choć nie zawsze i nie wszędzie. Ale też wzamian za stracone złudzenia zdobyliśmy zastanowienie i sąd moralny, który już w Ujejskim się odezwał, a który obcy był jeszcze Matuszewiczowi i znacznie późniejszemu — imć panu Benedyktowi Winnickiemu. W *Sejniku* uderza brak rozeznania między tym, co dobre, zbawienne i pochwały godne, a tym, co złe, szkodliwe i zgubne. O tym braku świadczy już sam ton gawędy, który brzmi swobodnie i żartobliwie tam właśnie, gdzieby powinien wybuchać oburzeniem i żalnością;

¹ *Listy z pod Lwowa*. (Lipsk 1861). str. 141.

więcej jeszcze świadczy o braku sądu etycznego cała część moralizatorska, mianowicie wstęp obyczajowo-dydaktyczny i zakończenie z sensem moralnym.

We wstępie gawędziarz rozprawia o różnicy między publiką a prywatą; przez publikę rozumie on życie publiczne szlachezca, a do spraw publicznych imć pan Benedykt zalicza nie tylko sejmy, sejmiki i trybunały, lecz także biskupie wizyty, imieniny, polowania i zapusty! Prywatą zaś nazywa nie egoizm wprowadzony go spraw narodowych, jak to zdawna i powszechnie nazywać przyjęto, ale życie prywatne, domowe, odosobnione (»i dom i rodzina, i przy domu okazja«...). Otóż w ostatecznym wniosku twierdzi nasz moralista, że

Szlachcic, gdy się w publice skąpał, bywał czysty,
I katolik prawdziwy, i w sercu ognisty!...
Tam rosły animusze i myśli serdeczne,
Bo się człowiek oglądał na to, co jest wieczne!

Zdarzyło się raz panu cześnikowi parnawskiemu, że w apoteozie dawnej szlachty za daleko zabrnął dowodząc, iż takie było w Polsce poszanowanie prawa, takie posłuszeństwo i uległość wobec wyroków sądowych, że szlachcic życie wolał stracić, niż zgwałcić prawo i z pod wyroku wymknąć się. Rzec była trudna do wiary; aż tu imć pan Soplica opowiada historję prawdziwą o panu Leszczycu, co przez sądy grodzkie skazany na gardło, po wielu latach tułaczki i zgryzot sumienia stawiał się i o ścięcie prosił, aby sprawiedliwości stało się zadość. Wypadek rzadki, niesłychany; cześnik parnawski uogólnił go, aby dowieść swego założenia — i to mu wolno było; wyszedł obronną ręką.

A tymczasem jakże to w podobnym wypadku postąpił Benedykt Winnicki? Za ideał żywota dziel-

nego i sprawiedliwego podał życie publiczne szlachcica, gdy zaś wypadło tę wątpliwą tezę przykładem udowodnić, opowiedział rzecz gorszącą i wstrętną. Nie spostrzegł, jak zamiast zapowiedzianych cnót wyliczył szereg występków, z których jeden tylko (zerwanie sejmiku) zganiony; zło moralne, które istotnie w *Sejmiku* tkwi, tym silniej uwydatnia się wskutek nieszczęśliwego zastosowania wstępu dydaktycznego. Cóż z zapewnień gawędziarza, że »szlachcic, gdy się w publice kąpał, bywał czysty«, skoro każdy nieuprzedzony widzi, że na sejmik szlachcic przybywał brudny, a odjeżdżał brudniejszy, bo w bagnie się kąpał.

Sejmik napisany jest językiem, który w zupełności odpowiada przedstawionym sprawom; niema w nim jędrności, szlachetności ani wdzięku; natomiast szerzej niż w poprzednich gawędach rozpiera się tu słownik jarmarczny, bogaty w wyrażenia i zwroty nie tylko żartobliwie rubaszne, ale nawet prostackie i niesmaczne.

Z nielicznych stylu tego zalet podnieść należy obfitość wyrażen przysłowiowych; zbieracz przysłów i gadek miałby tu połów na każdej stronie; oto np. str. 130: trudno spisać na wołowej skórze, znikać jak kamfora, str. 131: spieszyć jak w dym, zabić komu klina, czekać jak kania deszczu. Atoli obok wyrażen z żywej mowy wziętych spotkać można inne, które autor wpadając w manjerę sam tworzył; między temi są i niejasne, i pretensjonalne, i z duchem języka niezgodne jak np.:

— toś go miał już w saku!

I żeby jaka ryba, żeby jaki zamęt,

Upokorzył się szlachcic i poszedł na raku!

albo: do razu się poczuł na krwi i na cnocie (?).

Senatorska Zgoda i *Sejmik*, rozpatrywane jako obrazki obyczajowe, posiadają wybitną barwę miejscową, składają się bowiem z tradycji, przywiązanych do ziemi Sanockiej. Był to błogosławiony zakątek Rzplitej, gdzie zarówno warunki przyrodzone kraju jak i umysłowa odporność mieszkańców powstrzymywały dostęp świeżych prądów cywilizacyjnych; dlatego to w ziemi Sanockiej, oddalonej od widowni życia politycznego i osłoniętej od wpływów zagranicznych, najdłużej przechowały się staroświeckie obyczaje i poglądy w swej niezmienniej postaci. Już w Koronie wiedzano coś o potrzebie reform, zdawano sobie sprawę z groźnego stanu Rzplitej, przemysłowano o sposobach ratunku, a tymczasem szlachta sanocka cieszyła się, że ma »dobre czasy, pokój ciągły, obfitość wszystkiego«, jak mówi Kitowicz. Wprawdzie opowiedziane w gawędach zdarzenia przypadają na pierwsze lata Stanisława Augusta, ale ze wszystkiego tam wieje miła atmosfera epoki saskiej, kiedy to zadowolona z siebie szlachta jadła, piła i popuszczała pasa, o nic się na całym świecie nie troszcząc. Nawet rozbiory kraju mało wpłynęły na zmianę wewnętrznych stosunków wśród sanockiej szlachty; przekonania i obyczaje czasów saskich sięgały tu jeszcze głęboko w wiek XIX i łatwo też przez samego poetę mogły być zaobserwowane; co zaś znikło ze świata, to żyło jeszcze w tradycji ustnej, dając się bez trudu zebrać i zużytkować w literaturze tradycyjnej; stąd też nie tylko Pol, lecz i Kaczkowski przez długi czas czerpał, obfite znajdując źródło.

Pol, niezbyt dbały o chronologję (daty *Zgody* i *Sejmu* nie odpowiadają sobie), okazał się skrupulatnym pod względem miejscowości i osób. Wprawdzie koloryt lokalny w opisach blado się zarysowuje, ponie-

waż dane są tylko ogólne wzmianki o Dubiecku nad Sanem (w *Zgodzie*) i krótki opis góry Otrytu (w *Sejmiku*); natomiast nazwy wsi i miasteczek, jak również nazwiska domów szlacheckich spotykamy tu nader liczne i autentyczne. Widocznie poeta znał dobrze ziemię Sanocką, znał też i rodziny szlacheckie, na ziemi tej osiadłe, a dopomagał sobie djarjuszami sejmowemi, z których całe litanje nazwisk przytaczał. Atoli można mu na tym właśnie punkcie postawić zarzut, zrobiony już swego czasu Kaczkowskiemu z powodu jego gawęd i powieści z życia szlachty sanockiej. U Pola jak i u Kaczkowskiego cała Sanoczyzna wydaje się już w połowie w. XVIII gęsto nabitą osiadłemi domami szlacheckimi, które od wieków ziemię tę uprawiają i dziedziczą. Zdawałoby się, że partje takiego Bala czy Mniszcha, a nawet Chojnackiego — liczyłby można na setki szabel. Tymczasem rzecz niezawodna, że z wyjątkiem podgórza sanockiego reszta górskich obszarów była albo królewszczyną, albo składała majątki Ossolińskich, Mniszców, Stadnickich i Balów. Były to tak zwane górskie i wołoskie wsie, dokąd panowie zjeżdżali zwykle na łowy, spasając całkowity urodzaj owsa; o dworach nie słyszano tam wtedy i jeszcze w połowie w. XIX zwano je sołtysostwami. Dopiero gdy ta część kraju dostała się pod panowanie Austrii, wraz ze sprzedażą królewszczyn i rozbiciem wielkich fortun rozpoczęła drobniejsza szlachta powoli posuwać się w góry i w dworach osiadać.

Na *Sejmiku* nie kończą się »Pamiętniki JP. Benedykta Winnickiego«; wiadomo, że po tej trylogji (*Sejmik* i *Zgodę* wydano razem z dawniejszemi *Przygodami*) zamierzył Pol nowe trzy części p. t. Stryjanka, Banita i Polowanie; pierwsze ogniwo z tego

cyklu zostało ukończone w połowie r. 1855, wyszło zaś drukiem w r. 1860¹.

Stryjanka (nazwa tańca staropolskiego) miała wraz z poprzednimi gawędami dać pewien całokształt życia szlacheckiego w drugiej połowie w. XVIII; w *Senatorskiej zgodzie* przedstawił autor sceny z życia towarzyskiego, w *Sejmiku* — z życia publicznego, w *Stryjance* zaś znaleźć się miały zarysy życia domowego osiadłej szlachty. Przynajmniej taki był zamiar poety: »składam czytelnikom moim — pisał Pol — nowy obyczajowy obrazek, wzięty ze sfery domowego życia, bo rozumiem, że wprowadzanie coraz nowych typów z przeszłości jest zadaniem poezji«².

Czy *Stryjanka* jako obraz obyczajów stoi na wysokości zadania? Jest to właściwością bodaj nieodłączną utworów literackich z wybitnym tłem obyczajowym, że malują życie w pewnym kraju czy okolicy, oraz w pewnej epoce historycznej; nie da się bowiem zaprzeczyć, że inne obyczaje panowały w Polsce wieku XVI, a inne w w. XVIII, jak również inaczej żyła szlachta na Rusi, inaczej zaś na Litwie czy w Wielkopolsce. Otóż w gawędzie Pola już pod tym względem da się spostrzec wielka niejasność; trudno wymiarkować, gdzie i kiedy to wszystko się dzieje; ziemia, ludzie i obyczaje są tu jakieś ogólnopolskie, bez wyrazistego charakteru. Rzecz dzieje się w Bączali, ale trzeba dopiero do objaśnień zajrzeć, aby się dowiedzieć, że Bączala leży nie na Litwie i nie

¹ *Stryjanka*, tradycja szlachecka. Warszawa. 1861 (faktycznie 1860, bo recenzje w czasopismach pochodzą z jesieni t. r.), nakł. Błaskowskiego, str. 229. Wyjątki wcześniej zamieszczano w *Kronice*, *Kółku rodzinnym* i *Czytelnicy dla młodzieży*.

² Tom VII str. 95.

w ziemi Mazowieckiej, ale na Podgórzu karpackim; podobnie też wypada dobrze sobie zapamiętać mimochodem rzucone słowa:

Bo działa się za czasów ostatniego Sasa:
A więc hulaj braciszku i popuszczaj pasa!

gdyż inaczej byłoby trudno domyśleć się, w jakie to czasy poeta nas przeniósł.

Zapowiedziana »sfera domowego życia« świeci nieobecnością; jest wprawdzie dom, nawet stary zamczek, tylko że jego pan i gospodarz cały rok prawie bawi w gościnie, a jeżeli przybywa, to idzie wprost do kaplicy i przez cały adwent modli się za dusze zmarłych przodków. Nie rozumiał Pol, że chcąc życie domowe przedstawić, nie można samotnego dziwaka osadzać w pustych murach, ale trzeba pokazać jakiś dom rodzinny, pełen żywych ludzi, jeżeli już koniecznie starokawalerski, to przynajmniej taki, jak dom Sędziego w Soplicowie. Tymczasem strona obyczajowa jest w *Stryjance* albo pominięta zupełnie, albo zbyta tak krótko (zajazd, imieniny), że żadną miarą za rzecz główną uchodzić nie może; natomiast cały punkt ciężkości spoczywa na stronie anegdotycznej.

Pod tym względem *Stryjanka* przewyższa nawet poprzednie części »Pamiętników«; tam spotykało się zlepek różnych tradycji, wspomnień, facecji, — tutaj widzimy zamkniętą w sobie ośnowę powieściową, jedną sprawę, od początku do końca z pewnym planem opowiedzianą, prawda, że rozwlekła i bez życia, ale też bez przerywania toku i tak częstego w poprzednich gawędach zbaczania od przedmiotu. Nie znać tu tych ciągłych wysiłków, aby jeszcze jakiś

szczegółik staroświecki, jakiś opis czy anegdotę wtrącić.

Dygresje oczywiście są, bez nich nie dałyby się pomyśleć Pamiętniki imć pana Benedykta; ale budowy całości nie psują, opowiadania nie rwą, bo umieścił je autor na samym początku; jest to historia rodu Bączalskich, z której wybijają się dwie dłuższe tradycje: o koniuszym babińskim i o rotmistrzu. Tu więc przez okazję znalazła się jedna dygresja o rzplitej babińskiej, druga o Strusiu i jego trzykrotnym pojedynku z Bączalskim (czasy Sobieskiego); ta ostatnia tradycja ma w sobie więcej rozmachu i plastyki, niż cała *Stryjanka*.

Historja rodu, na którym ciąży klątwa babki, służy za wstęp; po nim rozpoczyna się dopiero właściwa fabuła. Treścią jest tu zadawniony spór dwu spokrewnionych rodów o mniemany skarb ukryty w zamku; po jednej stronie chciwość, po drugiej słuszny opór. Ile z opowiedzianych tam zdarzeń i szczegółów wziął Pol z tradycji żywej, ile sam dotworzył, trudno tego dociec, nie mając przed oczyma żadnych źródeł, żadnych notat pierwotnych; wszelako ze wszystkich gawęd Pola *Stryjanka* najwięcej wzbudza podejrzeń co do swej oryginalności.

Przedewszystkim liczne i rażące podobieństwa spostrzec można między *Stryjanką* a *Panem Tadeuszem*. Tam treścią jest spór o zamek, tutaj głównie o skarb w zamku ukryty, ale pośrednio i o zamek; tam doprowadza spór do zajazdu, tutaj również; tu jak i tam spór kończy się małżeństwem i zgodą powaśnionych stron. Jak w *Panu Tadeuszu* stary kłucznik Gierwazy zamku wiernie pilnuje i jest chodzącą historją wygasłego domu, tak w *Stryjance* »stary Andrzej, murgrabia i kredencierz« wiernie strzeże od-

wiecznych murów, z narażeniem życia broni przed zajazdem i w tajemnicy chowa wiadomość o kryjówce skarbu; jego rozmowa z ostatnim z rodu Bączalskich odpowiada rozmowie Gierwazego z Hrabią, ostatnim potomkiem znakomitego rodu. W *Panu Tadeuszu* epilogiem jest taniec — polonez, w *Stryjance* również do zakończenia prowadzi taniec do poloneza zbliżony. Nakoniec u Mickiewicza Sędzia, stary kawaler, zajmuje się wychowaniem i na spadkobiercę przeznaczają bratanka; u Pola Cześnik, również stary kawaler, wychowuje i spadkobiercą swym czyni przybranego syna czy wnuka, dalekiego krewnego (tegoż nazwiska i herbu). Wszystkie zaznaczone tu podobieństwa trudno chyba wyjaśnić zbiegiem przypadkowym; czy nazwiemy to zapożyczeniem świadomym, czy bezwiednym, w każdym razie wpływ *Pana Tadeusza* na stronę anegdotyczną *Stryjanki* zdaje się rzeczą niewątpliwą.

Nadto błakają się jeszcze w tej gawędzie Pola reminiscencje z *Dęboroga* i *Dworca mego dziadka*; jak na rodzie Dęborogów ciąży krzywda niegdyś wyrządzona Brochwiczom, tak na rodzie Bączalskich przez siedem pokoleń ciąży klątwa babki; z *Dworca* zaś mógł poeta przejąć opis portretów w sali jadalnej.

Patrzyły na te uczty i huczne wiwaty
Z ram niegdyś wyłaczanych dziarskie antenaty.
Jeden w lśniącym kirysie i z podpartym bokiem,
Wygolony rudowąs, groźnym ciskał wzrokiem...

ten musiał się przyjaźnić z Rotmistrzem Bączalskim,
dzielny wojakiem z czasów Sobieskiego;

Drugi z brodą kępiastą i czubem na głowie,
Zdał się stare ojczyzny wyobrazić zdrowie...

to znów niby imć pan Koniuszy Babiński »wesoly i śmiały«, co »jak z portretu widać, bywał dobrej tuszy«.

U Morawskiego też spotykamy w gościnie jowialistę Kubusia, figlarza nad figlarzy, hulakę i tancerza walnego, co »najhuczniej po wszystkich kuligach wywija i rej wodzi w drabantach«; pan cześnik Bączalski również rej wodzi w stryjance, na skrzypkach do tańca przygrywa i prawie cały rok w gościnie spędza, od dworu do dworu jeżdżąc, w zamiarze zaś autora i on miał być *jowialistą*.

Morawski w przypiskach do *Dworca* mówi z powodu Kubusia, że »dość często, w mniej zamożnych nawet domach, spotykano podobnego jowialistę. Nie miał on stałego zamieszkania, lecz obrawszy sobie kilkanaście domów objeżdżał je i po kwartale lub dłużej w nich przebywał. Był to zwykle ubogi szlachcic, a całym jego mająteczkiem bryka i para koni wypasionych po dworach. Powołaniem jego było mieć w zapasie na czas swego pobytu mnóstwo żarcików, anegdot, politycznych nowinek, zdarzeń okolicznych... On to wszystkie kuligi układał i na nich przewodził. Zabitym zwykle był patryjotą, wielce nabożnym i nieostatnim do kielicha«. Widzimy więc, że szlachcie jowialista, rezydent kilkunastu dworów, był polskim typem obyczajowym, a jako taki zasługiwał na wprowadzenie do literatury tradycyjnej; to też Pol powziął zamiar typ taki odtworzyć i we wstępie zwierza się czytelnikowi: »wchodzimy dziś w sferę domowego życia w *Stryjance*, a w Cześniku Bączalskim pragnęlibyśmy dać typ jowialisty z czasów saskich«¹.

¹ Tom VII, str. 96.

Tak pojęta i zamierzona postać Cześnika uległa znacznemu przekształceniu w wykonaniu. Można przypuścić, że autor pragnął charakter ten rozwinąć, pogłębić i wycieniować; fabuła powieściowa dawała sposobność pokazania go z różnych stron, w odmiennych życia okolicznościach; stąd to w Bączalskim odnajdujemy dwu zupełnie odrębnych i niepodobnych do siebie ludzi. Jeden z nich to Cześnik »w gościnie wiecznej«, gdzie zawsze dopisuje mu

... dobry humor, fantazja i zdanie,
I koncept i piosneczka jak na zawołanie;

niezmordowany to grajek na skrzypkach, rej wiodący w tanach, wesoły, swobodny, ulubiony towarzysz zabaw, bez którego żadne chrzciny, imieniny czy zapusty obyć się nie mogły. Otóż ten Bączalski, ulubiony gość, dowcipny jowialista i tancerz niezrównany, w gawędzie Pola — ściśle mówiąc — nie istnieje; zapowiadziany jest tylko, wspomniany w kilku ogólnikach, lecz ani razu nie pokazany we właściwym sobie otoczeniu.

Znając rodzaj talentu Pola, można było przewidzieć, że mu się typ staropolskiego jowialisty nie uda; nie umiał nasz poeta wzbudzać szczerego, niewymuszonego śmiechu, jak to Fredro potrafił; ani swobodny komizm ani jowialność nie leżały w jego zakresie; spotykamy u niego facecje i żarty, ale są to żarty niewybredne, trochę ciężkie, czasem płaskie. Gdyby więc Cześnik był pokazany jako dowcipny, jowialny szlachcic, zapewne zbywałoby mu na plastyce, prawdzie i tej *vis comica*; jednak i takiego Pol w gawędzie swej nie dał. Ten jakoby głośny z dowcipu i fantazji człowiek nic dowcipnego nie robi, nawet nic nie mówi; autor nie wkłada mu

w usta ani jednej facecji czy anegdoty, których przecie zapas miał obfity i gdzieindziej bez potrzeby je umieszczał. Cała jowialność czy dowcip Cześnika sprowadza się do wygrywania skoczego tańca i przypiewywania jednej ciągle piosenki, ani dowcipnej, ani ładnej.

Tak więc Bączalski jowialista, zapowiedziany wierszem i prozą, nie ukazuje się wcale; atoli istnieje drugi Bączalski, niemłody szlachcic, podtatusiały kawaler, co

Miał zameczek w Bączali, gnieździe rodowitym,
Wziął krew z acną po ojcu, z matki cnotę wyssał,
Pieczętował Gozdawą — Cześnikiem się pisał.

Bączalski w domu u siebie jest innym zgoła, jak w gościnie; tutaj jest zazwyczaj zamyślony i smutny, w ciszy i w pokorze ducha modli się za dusze przodków, potym duma i wzdycha i trapi się, że na nim ród Bączalskich się kończy.

Bo Pan Cześnik naprawdę nie był tak wesoły,
Jak o nim rozumieli jego przyjaciół.

Pod względem społecznym czy patryjotycznym jest to zupełne zero, chyba że za zasługę narodową policzymy mu dbałość o przedłużenie sławetnego rodu Gozdawitów Bączalskich.

Cały rok był w gościnie, — bez niego pług orze,
Bez niego się i zbierze i omlóci zboże;
Lecz na adwent i maik zjeżdżał do Bączali —
A gdy mu wierni słudzy roczne karby zdali,
Kazał przemierzyć szpichlerz, ludzi obrachował,
Pszeniczkę — (bo pszeniczka to już ciż rzecz pańska)
Więc wodą świętojańską wyprawił do Gdańska,
Arendę poodbierał, — złoto tylko schował...

Świadczy to zapewne o wierności sług, karności poddanych i porządku w gospodarstwie, jednak działało

się to wszystko bez udziału pana cześnika, który pędząc żywot beczynnego pasorzyta, spokojnie gromadził do skarbony zapracowane przez chłopów dukaty.

Mimo sympatycznych rysów, któremi poeta chciał Cześnika przyozdobić, jak pobożność skrupulatna, dążenie do zgody, uczucie dla wdowy i sieroty, łagodność dla poddanych, mimo tego wszystkiego tak swemi skargami i łzami nie wzbudza on współczucia, jak swą piosenką nie wzbudzał wesołości. Jest w tej postaci liryzm, jest łagodny powiew melancholji, uczucie osamotnienia i smutku, ale wyrażone tak sztywnie i prozaicznie, że za serce nie chwyta.

W obojętnej figurze Cześnika zarówno jak i w całej gawędzie trudno doszukać się głębszego podkładu ideowego; odbiera się wrażenie, że autor chciał coś opowiedzieć, ale *przez to* nie powiedzieć nie zamierzał, czyli że nie miał do przeprowadzenia żadnej prawdy lub myśli przewodniej. Tymczasem w zamiarze poety leżał podobno sens moralny, nauka, którą czytelnik ku zbudowaniu miał wyciągnąć. Świadczy o tym *motto* na czele wstępu położone:

I wobec dziejów, przed Bogiem i krajem,
Co stać ma tylko, stoi obyczajem...

świadczą też sentencje moralne, gęsto w całej gawędzie rozsypane, a utrzymane w stylu imć pana Benedykta, jak np.

Bo miała szlachta swoje *sacra et arcana*:
A kto domowych bogów a i krwi świętości
Nie poczi i nie wzniesie do zastępów Pana —
Znać, że nie jest krew ze krwi, ani też kość z kości!

Wreszcie przystawiony do *Stryjanki* długi wstęp obyczajowo-dydaktyczny każe się domyślać, że gawęda niniejsza przeznaczona była nie tylko ku roz-

rywce, lecz i ku nauce i zbudowaniu młodego pokolenia. Wstęp ten zawiera *credo* staroszlachetczyzny, sformułowane na podstawie znajomości życia i własnego doświadczenia; więc najpierw przestroga dla młodych, aby daremnie nowych dróg nie szukali, bo jedyna i najlepsza droga wiedzie po tropach ojcowskich; kiedy raz człowiek na nią trafi, to choć za młodu podróżował po świecie, choć »przechodził rozumem ministery... robił wielkie rzeczy«, przecież zwykle kończy na tym,

Że nikogo nie uczy, ani też kaleczy,
Krokiem z domu nie ruszy, — że orze i sieje,
A już dobrze, gdy kontusz do kościoła wdzije:
I ile drogi ubiegł w życiu nadaremnie —
Tyle w powrót nakłada....
I szczęśliwy, Mosanie, kto się blisko żenił,
A zwyczajów po ojcach w domu nie odmienił...

Poglądów we wstępie wyrażonych nie należy brać za wyznanie wiary ogółu dawnej szlachty polskiej; jeżeli zasad tych trzymała się pewna część, to była to grupa ciemnych zaściankowych domatorów, odpornych na prądy cywilizacyjne, zatwardziałych w swym konserwatyzmie i beczynnym kwietyzmie, obojętnych na sprawy społeczne i polityczne. Były to te wiekopomne okazy, co przekładając wygodne życie w dziadowskim dworze nad niebezpieczeństwo bojów, pozostawały głuchemi na rozpaczliwe wezwania do pospolitego ruszenia. Źle było, gdy się szlachcic domator wśród zacisznych opłotków zamknął, ale pono nie lepiej, gdy do spraw ogólnych przyłożył rękę; co się wtedy działo, widzieliśmy już w *Sejmiku w Sądowej Wiszni*. To jednak nie przeszkadza imć panu Benedyktowi unosić się nad rozumem szlacheckim, nad przenikliwością i trafnością sądu:

Furda rozum łaciński, a nawet i grecki!
A grunt — znać się na ludziach i ów zmysł szlachecki,
Co to wiatru nie straci na pierwszym trąceniu,
Co to jeszcze i w trzecim nawet pokoleniu
Jucht humański zdaleka lub czosnyczek chwyci¹
I zawsze aż do kłębka dojdzie po tej nicil...

Zaiste jeżeli dawny kontuszuwiec, gardząc rozumem łacińskim i greckim, badał tylko dawność rodów i czystość krwi szlacheckiej, to nie należy żałować, że zniknął z powierzchni ziemi. Nie spostrzega tego Winnicki i domowe życie szlachcica, pogrążonego w bezmyślnym trzymaniu się tradycji, zaściankowej ciemnocie i sentymentalnym rozmyślaniu o przodkach, otacza aureolą najwyższego uznania i czci. Powie kto, że są to poglądy starego szlachcica, który w takich zasadach i w takim otoczeniu wychowany musiał takim też okiem na świat patrzeć i nieinaczej go sądzić; autor nie mógł Winnickiemu włożyć w usta nowoczesnych zasad, gdyż byłby prawdę sfałszował i artystycznie chybił; autor więc nie odpowiada za wygłoszone we wstępie poglądy, jakiegokolwiek one są, rozumne czy naiwne, wsteczne czy współczesne.

Otóż może będzie tu miejsce raz ostatecznie załatwić sprawę stosunku poety do wprowadzonego moralisty, inaczej mówiąc — stosunku Pola do gawędziarza Winnickiego. Odrzućmy probierz moralny czy społeczny, zapomnijmy na chwilę, czy te wstępy dydaktyczne i te gęsto rozsiane sentencje wyrażają zasady starszlacheckie czy drobnomieszczańskie, zachowawcze czy postępowe, zbawienne czy szkodliwe; pomijając tę całą stronę, zastanówmy się tylko, jaki jest w danym wypadku stosunek Pola jako

¹ Przymówka do pochodzenia nieszlacheckiego.

poety do strony moralistycznej jego gawęd, upostaciowanej w osobie konwencjonalnego gawędziarza nazwanego Benedyktem Winnickim.

Przedewszystkim należy tu wyłączyć możliwość literackiej mistyfikacji, której dopuszczają się niekiedy pisarze artyści, mający na względzie jedynie cele artystyczne. Tak postąpił np. Prosper Mérimée, ogłaszając w r. 1825 pod przybranym nazwiskiem Józefa L'Estrange dziełko p. t. *Théâtre de Clara Gazul, comédienne espagnole*, jakoby zbiór utworów rzeckomej autorki hiszpańskiej, o której nawet krótką rozprawkę zamieścił. W literaturze polskiej trudno wskazać wypadek, żeby autor, sztuce tylko służąc, uciekał się do mistyfikacji.

Natomiast częste są wypadki rozszerzania pod tą postacią idei społecznych, moralnych czy filozoficznych, które bądź bezimiennie rzuca się w świat, bądź przypisuje jakiejś osobie fikcyjnej. Jako typ tego rodzaju mistyfikacji literackiej wskazać można Krasińskiego *Trzy myśli Ligenzy*. Jakiś szlachcic hreczkosiej, gozdawita Mielikowski, wydaje przypadkowo znaleziony we Włoszech rękopis po zmarłym tam Henryku Ligenzie. Wiadomo było, że *Trzy myśli* wraz z doskonale wystylizowaną przedmową wyszły z pod pióra Krasińskiego. Otóż pytam, czy którego z krytyków nawiedziła myśl tak niedorzeczna, iżby stronę artystyczną, inaczej mówiąc — formę tych utworów pozostawiając Krasińskiemu, całą stronę ideową nie jemu, ale jakiemuś fikcyjnemu Ligenzie przypisać? Jeżeli przeprowadzone tam konstrukcje myślowe i poglądy sądzymy jako wyraz ducha samego poety, jakim prawem — pytam — przypisywać możemy moralizatorskie przedmowy w gawę-

dach szlacheckich fikcyjnemu Winnickiemu, a nie Polowi?

Wielka to różnica między typem czy postacią wprowadzoną do utworu a postacią, od której rzekomo utwór pochodzi. Postać wprowadzona — to np. Podkomorzy lub Wojski w *Panu Tadeuszu*; przypisywać poecie poglądy wygłoszone przez którego z tych starców byłoby niesłusznie. Mickiewicz nie odpowiada za zdanie Podkomorzego o Francuzach wymownych, co wymyślili równość ludzi; stary karmazyn musiał tak mówić, gdyż inaczej postać jego nie byłaby prawdziwą ani historycznie, ani psychologicznie. Atoli inna zupełnie rzecz, gdy autor używa pewnej postaci jedynie jako rzecznika swych poglądów (nie pomijając oczywiście i względów artystycznych, np. charakterystycznego stylu). U Pola Krasicki, Chojnacki, Bączalski — to osoby wprowadzone, ich zdań i poglądów poecie przypisywać nie można; ale Benedykt Winnicki — to tylko rzecznik autora, to posłuszne pióro w jego dłoni.

Gdyby autor tego rodzaju co Pol, a więc mający względy artystyczne na planie ostatnim, a przede wszystkim dbający o względy narodowe, społeczne i moralne, gdyby taki autor nie zgadzał się ze swym rzecznikiem przynajmniej na pewnych punktach, byłby to niechybnie dał do zrozumienia, byłby w jakikolwiek sposób swe odmienne zdanie zaznaczył, np. przedstawiając go w oświeceniu satyrycznym. Co więcej — sądzić można, że każdy autor obiera sobie takiego rzecznika, jaki najwierniej własne jego poglądy wygłosi.

Któż bronił Polowi zrobić Winnickiego szlachcicem nieco rozumniejszym. jaśniej na świat patrzącym? Dlaczego Winnicki nie wybuchł oburzeniem

na przekupstwo wśród głosującej szlachty, dlaczego nie gromi pijaństwa i obżarstwa, czemu z uwielbieniem klęka przed bezmyślnym domatorem, pilnującym starego kominka i starych portretów wówczas, gdy ojczyzna ginąc o ratunek synów swych błaga? Nie Winnickiego to wina, ale poety; gdyby poeta inaczej był patrzył na starą szlachtę sanocką, byłby niezawodnie na ziemi polskiej znalazł innego imię pana Benedykta, któryby również i z dobrego rodu pochodził, i sygnet miał na palcu, i w kontuszu się nosił, a któryby przecież nie był tak zaślepionym i jednostronnym. Można więc przyjąć, że poglądy Benedykta Winnickiego — to poglądy Wincentego Pola; poeta mówi jakoby nie od siebie, ale mówi to, co sam myśli.

Nie jest to zresztą wypadek odosobniony, zwłaszcza w rodzaju gawędowym. Jakże się dzieje z Rzewuskim? Czytając *Pamiętki* przypisywano wszystkie przestarzałe zasady fikcyjnemu Soplicy; tymczasem *Mieszaniny* Jarosza Bejły i przypiski do *Listopada* udowodniły naocznie, że Soplica a Rzewuski to jedno.

Zajrzyjmy teraz do tych obszernych i licznych objaśnień w gawędach Pola. Jeżeli ktoś uparcie zechce obstawać przy zdaniu, że moralizatorskie wstępy od kontuszowego gawędziarza, a nie od współczesnego poety pochodzą, może go przypiski zdołają przekonać. I cóż w nich jest? To samo ślepe uwielbienie przeszłości i to nie w tym, co w niej było najlepsze, ale w tym, co mierne, a nawet poślednie; to samo zamięłowanie do wszystkiego co stare, do każdego strzępa, każdego drobiazgu; to samo skrupulatne wyliczanie rodów, przodków, pokoleń, wypisy z Nieścieckiego, Potockiego, djarjuszów sejmowych i Bóg

wie nie skąd; najwyższe uznanie dla dawnego trybu życia, dawnego gospodarstwa, dawnego wychowania, dawnych stajni, dawnej kuchni, — słowem to samo co w gawędzie, tylko nie do rymu opowiedziane.

A wreszcie za dowód ostateczny tożsamości sądów poety a fikcyjnego autora »Pamiętników« niech posłuży fakt, że w artykułach prozą i w drobnych utworach poetycznych Pola spotykamy poglądy i zdania jeżeli nie zupełnie jednkie, to przynajmniej w głównych punktach identyczne. Proste zestawienie wyjaśni rzecz najdokładniej. Oto np. wyjątki z wiersza p. t. *Jako bywało*.

Boć skarby życia ten odniósł w zysku...
 Kto i to robi i o tym radzi,
 Co mu po ojcu i dziadu padło,
 I znaną drogą konia prowadzi,
 A i tam siedzi, gdzie im się siadło.
 Bo choć wybiegniesz w bucie młodzieńczej
 Na inne drogi, na inne światy,
 To przecież skronie tylko uwieńczy
 Szczęściem ten widok rodzinnej chaty;
 Bo choćbyś drogi świata zrozumiał,
 A nawet dziejów dożył na sobie...
 Przecież z pielgrzymki wrócisz dalekiej
 Bardzo spragniony do skarbów naszych:
 Do tego sadu, do tej pasieki...

.
 I chociaż wówczas innym już będziesz,
 Gdy przy ognisku lub w cieniu siedziesz,
 Jednak Izę otrzesz na głos skowronka,
 Lub na wołanie wiejskiego dzwonka...

.
 Więc rola twoja, więc dom ojcowy,
 I one wdzięczne stare dąbrowy,
 Więc i mogiły, gdzie dziadów kości,
 Toć twoje skarby, toć twe miłości¹...

¹ Tom V. str. 35—37.

A teraz dla porównania parę wyjątków ze wstępu obyczajowo-dydaktycznego, który na początku *Stryjanki* włożony jest w usta Benedyktowi Winnickiemu:

Rodem kury czubate! — Syn za ojcem goni,
I niedaleko pada jabłko od jabłoni!
Dopóki człowiek młody — maca w świecie drogi
I swym strojem poczyną w każdym pokoleniu;
Lecz jak szron już przyprószy, a świat przytrze rogi...

.....
To sam powiada sobie: »nie tędy go wiedli!«
I długo i frasownie myślami się wodzi,
I powoli na tropy ojcowskie nachodzi;
A choć bywał i strojny i mowny i bystry...

.....
To kiedy przejrzał wreszcie — zwykle kończył na tym,
Że nikogo nie uczy, ani też kaleczy,
Krokiem z domu nie ruszy, — że orze i sieje...
I ile drogi ubiegł w życiu nadaremnie —
Tyle w powrót nakłada; choć się czego dobił,
Mówi sobie: »Być mogło tam także bezemnie,
A bezpiecznej to robić, co i ojciec robi!«
Otóż kiedy już padnie człowiek na te tropy,
To i łzami by obmył ojców swoich stopy...

.....
... czuje to serce mocno i głęboko,
Gdy łzą taką zabiegnie na jesieni oko,
Że dziewięć rzeczy bierzem z dziesięciu w spuściznie,
I dlatego to sercu tak miło w ojczyźnie!...

.....
Więc choć odbiegł od swoich daleko za młodu,
Powraca do tradycji i zwyczajów rodu:
Więc gdzieś jeszcze odszuka szablę po pradziadu...
I strzeże drzew ojcowskich, jak oka, wśród sadu...



VIII.

Mohort.

Gieneza, źródła i kompozycja. — Sądy o poemacie. — Mohort jako typ rycerza. — Mohort jako charakter. — Bohaterstwo «trwania». — Z powodu formy słów kilka. — Opisowość a malowniczość. — Zakończenie.

Dawno to już było, między 1836 a 1840 rokiem, gdzieś na Podgórzu karpackim, w ustronnej wiosce Kalenicy. Tam to młody wówczas poeta spędzał długie wieczory na słuchaniu dzielnego, rycerskiego starca, co młodość swą z szablą w ręku na służbie ojczyzny spędziwszy, teraz w zacisznym dworze przy kominku zasiadał i wypoczywając po łowach, gawędził o dawnych czasach. A miał o czym opowiadać pan Ksawery Krasicki; wiele widział, niemało prochu się nawąchał, przeżył ostatnie tryumfy i ostatnie klęski ojczyzny i wówczas dopiero szablę nad łóżem zawiesił, gdy już się na nic przydać nie mogła. Kiedy zaczął prawić o latach swej młodości, to myśl jego uparcie wciąż wracała do owych bezbrzeżnych ukraińskich stepów, gdzie służby swoje rozpoczął, do tego sędziwego starca, co go, pacholę wówczas młode, pierwszy w rzemiośle rycerskim ćwiczył.

Był to mąż blisko stuletni, »dzielny, surowy i z je-dnej sztuki kuty jak ze stali«, z duszą czystą i prawą, z wysokim poczuciem honoru wojskowego i obo-

wiązku zaszczytnej, ale twardej służby. Ten to starzec upodobał sobie młodzieńca, zaufaniem i przyjaźnią darzył, o swej młodości nieraz opowiadał; z nim odbył ostatnią podróż do klasztoru i tam przeżywając bliską śmierć, darował mu na pamiątkę piękną karabelę¹.

Nie dziw, że chociaż prawie pół wieku już zbiegło od chwalebного zgonu rycerza, Ksawery Krasicki widział wciąż tę postać przed oczyma pamięci, miłował jak dawniej i rad był przekazać ją potomnym. Tę cześć i miłość dla dzielnego starca potrafił też wpoić w serce poety. Opowiadał mu często o sędziwym poruczniku kawalerji narodowej, Szymonie Mohorcie, aby jego »młodość wzmocnić i zasilić«; a słowa pana Ksawerego płynęły tak pięknie i żywo, że »od niechcenia sam się rapsod składał«.

Z ujmującą prostotą i szczerością wtajemnicza nas poeta w powstanie tego »rycerskiego rapsodu«, usprawiedliwiając zarazem to, co by się komu niewłaściwym zdawało. »Niema wprawdzie zwyczaju — pisze Pol — wyprowadzać na scenę bohatera poematu śpiącego, ale ten śpiący Mohort na koźle w straźnicy wydał mi się dziwnie poetyczną istotą, i ta scena w opowiadaniach p. Ksawerego złożyła mi się do razu w kształcie rapsodu. Mohort na koźle drzemiący w stancy dał mi prawdziwe wyobrażenie starego rycerza na kresach ukraińskich czuwającego wiecznie, jak żóraw na straży. Kiedy mnie ten obraz pochwylił, rzekłem p. Ksaweremu: »ja to opiszę«. Zachnął się i przestał opowiadać: »jak to?« zapytał — »to panowie zaraz wszystko na piórko bierzecie?

¹ Ksawery Krasicki liczył wówczas lat 18, służył jeszcze jako »towarzysz« bez rangi oficerskiej.

tradycja ma być żywą, a nie pisaną». I wiele ubiegło czasu, zanim się udało naprowadzić p. Ksawerego znowu na wspomnienie młodości jego. Jakoż póki żył, nie śmiałem sięjąć tego przedmiotu; ale kiedyśmy go stracili, z każdym rokiem rosła większa tęsknota za każdym jego słowem, a wśród ucisku czasu i duszy uciekałem się jak po pociechę do tych wspomnień i dawno zaczęty rapsod nie kończyłem dlatego tylko, aby żyć wśród tych obrazów i wspomnień jak najdłużej¹.

Ale nadszedł czas, gdy poeta poczuł ów szlachetny popęd przelania w rymy tego, co dotychczas żyło tylko w pamięci i w podaniu; zapragnął oddać narodowi to, co był otrzymał z jego przeszłości. Ta postać bohatera, żyjąca w podaniu kilku starców, sięgających w przeszłość pamięcią, miała teraz rozpocząć nowe życie wśród pokolenia nowego.

Załawionym okiem patrzył Pol na to pokolenie skarłate i słabe, bez woli, hartu i wiary; całą siłą bolejącego serca pragnął wywieść je z obłądnych ścieżek i wskazać drogę prostą a nieomylną, wypróbowaną doświadczeniem dawnych lat. I myślał poeta: oto wezmę puchar niekunsztowny, prostej rodzimej roboty; wypełnię go po brzegi napojem ożywczym i krzepiącym, balsamem wiary, miłości i ukojenia; ze starodawnych zapomnianych ziół wywarzę soki przeczyste i stworzę kordjał uzdrawiający dla serc wątplych i złamanych.

Oto pochylę do ust narodu mego ów starożytny ciężki puchar i wsączę w łona wątplące wiarę silną, wolę nieugiętą, hart ducha i tę niezłomną moc wytrwania.

¹ *Mohort*, t. III, str. 120.

Oto postawię przed oczyma jego mocarną postać rycerską, iżby w niej poczczone były wszystkie cnoty i zasługi naszej nieodżałowanej przeszłości.

I myślał poeta, że postaci tej nie godziłoby się wywołać z wyobraźni twórczej, bo wtedy życie jej byłoby życiem złudnych powietrznych mar; ale powstać ona musi jako krew ze krwi i kość z kości, z tego co najwierniej prawdę o przeszłości naszej w niepokalanej przechowało szacie, — powstać musi z tradycji żywej, ze szlacheckich podań.

Te podania zebrać, ułożyć jeno, nie zmieniając ani dodając, oto — sądził on — zadanie poety, pragnącego za dni naszych wywołać z martwych bohatera minionych czasów. Tak też uczynił. Z największym pietyzmem zebrał i podał to, co mu przekazane zostało w żywym słowie. Oto świat, z którego przybył sędziwy Mohort; poeta dokładał wszelkich starań, iżby nic z tego, co podał, nie uchodziło za fikcję lub domysł.

Sam tytuł utworu już o tym powiadamia; *Mohort* nazwany jest rapsodem rycerskim *z podań*. W objaśnieniach do poematu pisze Pol: »Tradycje te zebrałem i podaję je w tej formie, w jakiej na mnie przeszły«; uprzedzając zaś możliwe zarzuty co do niedokładności opisów, dodaje w innym miejscu: »Wszystko, com tu dał, mam nie z miejscowości, ale z podania«. Jeszcze raz przypomniał to w objaśnieniach do trzeciego wydania, pisząc: »*Mohort* z natury swojej wyszedł ze sfery książkowej, bo cały wzięty ze sfery tradycji«¹.

Wiemy już, kto był tej tradycji źródłem. Zbyteczne tu są wszelkie domysły, skoro sam poeta naj-

¹ Tom III, str. 116, 139 i 144.

wyraźniej zaznacza, że postać Mohorta zawdzięcza Ksaweremu Krasickiemu z Bachorca, byłemu majorowi kawalerji narodowej, przyjacielowi i dobrodziejowi swemu, z którym kilka lat najszcześniejszych przeżył¹.

»Kalenickimi wieczorami — pisze Pol — nazwałem tu zebrane tradycje, bom je od p. Ksawerego Krasickiego w Kalenicy słyszał... Starłem się nie tylko w całym opowiadaniu, ale nawet w pojedynczych zwrotach mowy i w sposobie wyrażania się zachować pamięć p. Ksawerego dla tych, co go razem ze mną kochali i czcili«².

Ostatnie z przytoczonych tu słów świadczą też o stosunku uczuciowym, który musiał wywrzeć wpływ na pewne ustępy poematu; wkrótce po wyjściu *Mohorta* poeta pisał do Edmunda hr. Krasickiego, syna Ksawerego: »Dla całego świata jest »Mohort« poematem, tylko nie dla nas obu. — Ty uczujesz na nowo, coś w Ojcu stracił, tak jak ja w tej chwili czuję, kogom w Nim czeił i kochał«...³.

Atoli poważne względy przemawiają za tym, że Ksawery Krasicki był wprawdzie źródłem tradycji najobfitszym i najważniejszym, ale bynajmniej nie jedynym; a świadczą za tym znów własne poety słowa. Okazuje się, że podania o starym poruczniku Mohorcie płynęły z kilku ust, niemniej zresztą wiarogodnych.

Przedewszystkim wymienić trzeba księcia Eustachego Sanguszkę; ten mógł Mohorta widywać i znać osobiście, gdyż w r. 1789 został zrazu rotmistrzem,

¹ Zob. t. III. str. 116.

² Tamże, str. 117 i 119.

³ Przewodnik nauk. i lit. T. XXXIII str. 237. List z dn. 19 stycznia 1855 r.

a następnie majorem kawalerji narodowej w brygadzie jenerała Wielhorskiego, biorąc zaś udział w wojnie r. 1792, (już jako brygadjer) był świadkiem krwawej potyczki na grobli Boruszkowieckiej. Według podania — ks. Sanguszko przybył na Ukrainę z księciem Józefem i tam rozpoczął swój zawód wojskowy; od Mohorta miał otrzymać przepysznego konia, który mu szesnaście lat dzielnie służył. Ks. Eustachy opowiadał Polowi o Mohorcie za ostatniej swej bytności w Gumniskach¹.

Reszty szczegółów o starym poruczniku dostarczyli poecie Kazimierz Ostaszewski z Zarszyna, były rotmistrz kawalerji narodowej, który swego czasu pod Mohortem służył i w r. 1794 liczył już 25 lat wojskowej służby, — oraz Antoni Dembiński z Nieadowej, który w czasie bitwy na grobli Boruszkowieckiej dowodził bataljonem strzelców².

Ta okoliczność zmienia już nieco punkt widzenia, z którego patrzymy na Mohorta: a więc nie jest to szereg wieczornych gawęd pana Ksawerego, spisanych wierszem najdokładniej, ale utwór synoptyczny, złożony z podań i wspomnień, pochodzących od różnych osób. A zatym poeta nie spisywał niewolniczo opowiadań p. Ksawerego, lecz krążące dokoła jednej postaci wspomnienia i tradycje zbierał, kombinował, jedno drugim uzupełniał.

Tu może wypadaloby się zatrzymać, ufając autorowi, że wszystko w tym poemacie z podania jest wzięte. Atoli są powody, które wątpliwości budząc skłaniają do dalszych badań. Nie o drobiazgi tu chodzi, nie o jakieś szczegóły czy epizody podrzędne

¹ Porówn. tom III, str. 116, 134 i 137.

² Tom III str. 116.

(jak np. podanie o orle Sobieskiego przejęte z Janiny), lecz o rzeczy ważne, mianowicie o wszystko, co dotyczy pobytu Mohorta w Warszawie.

Mohort nauczycielem księcia Józefa, — pięknie to brzmi w poemacie; czy jednak poważni i wiarogodni świadkowie przeszłości mogli o tym fackie opowiadać? Kiedyż to się działo? Księżę Józef wzrastał za granicą, w 17-ym roku życia wstąpił jako podporucznik do armji austryjackiej, w której do r. 1789 bez przerwy służył, odbywszy kampanję turecką i osiągnąwszy stopień pułkownika. W sierpniu 1789 r. przybywa do kraju, w październiku t. r. otrzymuje rangę generała majora, a już na wiosnę 1790 r. obejmuje IV dywizję bracką i na Ukrainę dąży. Oto kilka dat i faktów, znanych powszechnie; gdzież tutaj miejsce na instrukcje Mohorta?

Poecie widać marzyły się owe dawne czasy, gdy to książątka i królewicza oddawano pod opiekę starym, doświadczonym rycerzom, aby je w rzemiośle rycerskim ćwiczyli. Ale czyż można przypuścić, żeby generał major, zresztą dzielny kawalerzysta, potrzebował nauk od jakiegoś starego porucznika, zwłaszcza od porucznika kawalerji narodowej, na którą ks. Józef najbardziej narzekał, bo znalazł ją w zupełnym upadku? Stąd wniosek jedyny, że cały ustęp o Mohorcie jako instruktorze młodego księcia jest fikcją zarówno w głównej osnowie, jak i w szczegółach¹.

¹ Co do szczegółów: wprowadzony tam hetman Ogiński był pierwotnie marszałkiem Bielińskim. Dopiero w ostatecznej redakcji (zob. autograf w Bibl. Jagiel.) poeta wykreślił siedmioletni ustęp o Bielińskim i gdzie było trzeba tytuły i nazwiska zmienił. Zwracam też uwagę, że król nie mógł Mohortowi ofiarować krzyża, bo ten dopiero w r. 1792 ustanowiony został; i na odwrót — król ofiaruje szyszak i pancerz wów-

Zapewne, że w poezji fikcja ma wszelkie prawa bytu; z tym jednak zastrzeżeniem, że poeta winien oględniej obchodzić się z tak dobrze znaną postacią historyczną, jak ks. Józef; a po wtóre — nie trzeba w objaśnieniach tak uroczyście zapewniać, że wszystko w poemacie prawdą jest.

Mohort pisany był ze znacznymi przerwami przez lat kilkanaście; co pewien czas poeta wracał do tego ulubionego dzieła, uzupełniał je i rozszerzał, ale gruntownie nie przerabiał; stąd są tam ustępy, pisane jeszcze przed rokiem 1840, pod świeżym wrażeniem opowiadań, obok części dopisanych w r. 1852. Do najdawniejszych należy, jak się domyślać można, cała część pierwsza, a zwłaszcza ustęp o przybyciu pana Ksawerego do stepowej strażnicy. Kornel Ujejski zapewnia, że słyszał »w pierwszych latach po r. 1840 najpiękniejsze fragmenta *Mohorta*, odczytywane przez samego autora«¹; atoli twórca *Maratonu* ustępów tych bliżej nie wskazuje.

Co do rozmiarów *Mohort* w pierwotnej postaci był tak drobną gawędą, że autor zamierzał wydać go jako jeden z sześciu utworów w tomie drugim »Pieśni Janusza«. Około r. 1850 rozmiary tego poematu wzrosły znacznie, *Mohort* stanowi już »całość około dwóch tysięcy wierszy liczącą«²; atoli i tę »całość« potrafił jeszcze poeta uzupełnić, gdyż w ostatecznej postaci ów rapsod rycerski ukończony dnia 28 grudnia 1852 r. co do objętości przekracza 3000 wierszy.

czas, gdy zbroi tej już nie używano (od zniesienia chorągwi pancernych w r. 1776). Te wahania i niedokładności tym silniej świadczą, że pobyt Mohorta w Warszawie jest wymysłem autora.

¹ K. Ujejski. Listy z pod Lwowa. (Lipsk 1861.) str. 143.

² Rękopis Bibl. Ossolińsk. Nr. 3148.

Gdybyśmy nawet nie posiadali tych faktycznych danych, świadczących, że *Mohort* powstał stopniowo przez cały szereg lat, to już samo rozejrzenie się w układzie poematu doprowadziłoby do wniosku, że utwór pisany był dorywczo, bez pierwotnego planu.

Szereg luźnych wspomnień i epizodów nie składa się tu na całość epiczną, gdyż brak jest fabuły jednolitej, któraby je łączyła. W układzie faktów niema porządku chronologicznego, wskutek czego są to, jak trafnie zauważył Chmielowski, »jakby na wrót dzieje bohatera«. Nie zachował poeta ani perspektywy, zbytecznie rozszerzając szczegóły podrzędne, ani artystycznego stopniowania wrażeń. Niema spójni organicznej, dającej pewien wewnętrznie jednolity całokształt, ani też spójni logicznej, łączącej wypadki w łańcuch przyczyn i skutków; wreszcie brak tu i psychologicznego związku, jak to np. widać z długich rozpamiętywań bohatera o nieszczęśliwej miłości z przed lat osiemdziesięciu, teraz między przygotowanie na śmierć a ostatni bój wsuniętych¹. Autor nawet przed oddaniem do druku nie pomyślał o należyтым ułożeniu i uporządkowaniu poszczególnych części, z których wiele zupełnie przypadkowo znalazło się na niewłaściwym miejscu.

Poemat podzielony został na sześć pieśni czy rozdziałów, z których każdy może uchodzić za osobną całość; w tych rozdziałach wyróżnić łatwo jeszcze mniejsze części, zgoła do siebie nie przystające. Tak np. w pieśni drugiej po charakterystyce Mohorta i opisie klasztoru prawdziwą niespodziankę stanowi

¹ Może Pol poszedł za przykładem Mickiewicza, który opowiadanie Jacka Soplicy o nieszczęśliwej miłości kładzie w usta bohaterowi na łożu śmierci.

podanie o rzekomej podróży bohatera do Warszawy. Sprawa wyjaśnia się nieco, gdy zajrzymy do autografu; tam pieśń druga rozpada się na kilka ustępów, zaopatrzonych w tytuły: Charakterystyka Mohorta, Monaster OO. Bazylianów, Wezwanie do Warszawy. Dopiero w druku tytuły tak w tej, jak i w innych pieśniach opuszczono, łącząc pozornie w jedną całość to, co było tylko szeregiem mechanicznie zestawionych opisów i epizodów. Słowem — *Mohort* posiada kompozycję zupełnie przypadkową i bezładną; jedynie postać bohatera słabo łączy nieprzylegające do siebie wspomnienia i tradycje.

Jak dziwne koleje przechodził *Mohort* w okresie swego powstawania, tak też dziwnych a wielce zmiennych losów doświadcza od pół wieku krążąc po ziemi naszej. Zrazu wielbiony, wynoszony pod niebo, za arcydzieło uznany — doczekał się za dni naszych sądu surowego i niemal potępiony został.

Wkrótce po ukazaniu się poematu pisał Syromla: »Nad pięknym rojem pieśni i piosnek, które się świeżo z pod strun lutni wylały, króluje potężny rycerski rapsod *Mohort*, kuty spiżowy *Mohort*, niepożyty pomnik wieszczcej chwały Wincentego Pola«¹.

Jeszcze w siedem lat później F. Faleński w podobnym tonie pisał: »Nie jest to już poemat miejscowej lub okolicznościowej doniosłości, ale wielkie słowa o wielkim bohaterze. Powtarzamy, jest coś lwiego w tej wzniosłej pieśni, coś z królestwa pustyni, coś z poglądów orlich, strzelających prosto w słońce. Mohort jest arcydziełem swego wieszcz«².

¹ Korespond. w *Gazecie Warszawskiej* r. 1855 nr. 343.

² *Tygodnik Ilustrowany* r. 1862. Przypominam też entuzjastyczne zdania o *Mohorcie* w poemacie Karola Balińskiego p. t.: *Śpiewakowi Mohorta bratnie słowo*.

A teraz posłuchajmy sądu prof. St. Tarnowskiego, według którego poeta »scenom potocznym nie nadał życia ani ruchu, patetycznym dał charakter przesadny i fałszywy, figurom nie dał charakteru ani lizjonomji, opisom natury (gdzie one są) nie dał wdzięku ani poezji: nie już natchnienie i wyobraźnia, ale tylko zastanowienie, tylko smak, tylko estetyczne wykształcenie, znajomość i zamiłowanie wielkich dzieł poezji, zmysł artystyczny wreszcie, powinny były ostrzec go, że tak się wielkich poematów nie pisze, nauczyć, że niema poematu bez akcji, bohatera bez zamiaru i bez działania«...¹

Przyczyny tego zjawiska szukać należy nie tyle w chwiejności ludzkich sądów i upodobań, ile w punktach widzenia. Gdy przed laty pięćdziesięciu starano się dojrzeć w poemacie apoteozę przeszłości, wyczuć w nim tętno życia narodowego, dziś przystępuje się doń na zimno z subtelną miarką sądów estetycznych; że utwór, który już w zamiarze autora miał być skarbnicą narodowej tradycji a nie dziełem sztuki, traci swą wartość i urok wobec takiego probierza, — dziwić się nie można. Syrokomla pisząc o *Mohorcie* słusznie zauważył, że »nie chłodny rozbiór, nie krytyka, ale serca ogółu wznoszą podobne temu utwory na ołtarz potomnej cześci«².

Byli już krytycy, co po bakałarsku wzięwszy się do rzeczy zastanawiali się, czy *Mohort* jest poematem, czy nie? Czy jest gawędą, czy może tylko »obszerną w swoich rozmiarach Balladą?«³. Obok nich stanęli inni, co wmawiali w czytelników, że *Mohort*

¹ Historia literatury polskiej, t. VI. cz. I. str. 51—52.

² Korespond. w *Gazecie Warszawskiej* r. 1855 nr. 343.

³ Określenie Lewestama.

jest poematem ideowym, że autor »założył sobie przeprowadzić *ideę obowiązku*«¹. Znalazł się nawet taki, co gotów był uznać *Mohorta* za utwór symboliczny, twierdząc, że »poeta usymbolizował w nim dawne rycerstwo polskie«². Jak pierwsi — zdaniem moim — daremnie tracili czas, tak drudzy za wysoki dzwon rozkołysali. Nie naśladowując tych ani tamtych, starajmy się pójść śladem poety w przekonaniu, że na tej drodze najwięcej będzie można wyjaśnić.

Oto co mówi poeta:

»Autorowi chodziło w tym rapsodzie o wskrzeszenie jednej tylko postaci, o skreślenie jednego tylko charakteru — i to jest stanowisko, w którymby rad ujrzał czytelnika swego.

Mohort jest jedną z takich istot, które przeżywszy kilka pokoleń były niejako nicią narodowych tradycji i żywym pomnikiem przeszłości... Życie w choraągwi miało oddzielną cechę; na tym pograniczu stepowej Ukrainy wyrabiały się odrębne charaktery i wiernie starałem się z tradycji pochwyć te odrębne rysy i tony, które w historycznym żywocie starożytnej Polski jeden strojny składają akord, dopełniając obyczajowo-publiczne i prywatne życie narodu«³.

A więc wszystkie wysiłki poety zdążyły do wiernego i wszechstronnego odtworzenia jednej tylko postaci, która miała się stać żywym pomnikiem przeszłości. W tym celu wyrzekł się autor jednolitej fabuły powieściowej, lekcewazył wprowadzone do poematu postaci, poczynawszy od Ksawerego Krasickiego i ks. Józefa, kończąc na pani Pupardowej i Kafarku;

¹ *Gazeta Warszawska* r. 1856 nr. 65.

² Lucjan Siemieński.

³ *Mohort* tom III str. 115—117.

natomiast szeregiem skrzętnie zebranych szczegółów starał się uwypuklić swego bohatera.

Dwojako można rozpatrywać Mohorta: raz jako typ rycerza polskiego, jako uosobienie wszystkich cnót i rysów znamiennych starodawnego syna i obrońcy ojczyzny; po wtóre — jako charakter indywidualny, ujawniający się w czynach i w słowach, posiadający pewne cechy wybitne, bądź wrodzone, odziedziczone z krwią i tradycją, bądź wytworzone i utrwalone dzięki wypadkom życia.

Chcąc wyrobić sobie zdanie o wartości Mohorta jako typu, poradzić się trzeba źródeł historycznych; tam to, a nie w poematach i powieściach o różnych rycerzach i »rycerzykach« szukać trzeba sprawdzianu i ujawnić całą prawdę, chociażby była niepochlebną i przykrą.

Obszerniejsze zarysowanie tła dziejowego, na którym Pol umieszcza swego rycerza, pozwoli nam nie tylko zrozumieć, czy Mohort jest typowym przedstawicielem swoich czasów, ale zarazem posłuży do ocenienia rysów obyczajowych, hojnie rozsianych w poemacie.

Przenieśmy się więc myślą w wiek osiemnasty i poszukajmy w dziejach odpowiedzi na pytania: jakież to było rycerstwo polskie w. XVIII, czym się odznaczało, jaki żywot wiodło, zwłaszcza na pograniczu Ukrainy, w bliskości Dniepru i dzikich pól, gdzie poeta bohatera swego osadza?

Historyk wojsk polskich, Konstanty Górski, którego trudno posądzać o rozmyślne fałszowanie przeszłości, stwierdza fakt, że zwycięstwo pod Wiedniem było ostatnim świetnym czynem jazdy polskiej. Odtąd duch jej wątleje, słabnie i nareszcie upada zupełnie. Podczas wojen z Turkami, które ciągnęły się do

śmierci króla Jana, a i później jeszcze trafiały się przegrane, ale zdarzały się i zwycięstwa. W wojnie zaś następnej ze Szwedami jazda polska klęski tylko ponosiła. Ta jazda wspaniała i butna na pozór, wystawnie wyekwipowana, dosiadająca dzielnych rumaków, nie może dotrzymać placu mającym pod sobą nędzne szkapy dragonom szwedzkim i ucieka przed nimi z pola bitwy pod Kliszowem¹.

Nastają czasy saskie, okres głębokiego spokoju i rozleniwienia, sprzyjający ostatecznemu upadkowi dawnego rycerstwa. Świadek współczesny, Kitowicz, opisując stan żołnierski za Augusta III, mówi: »Rotmistrz nigdy nie należał do żadnej służby wojskowej, i podobno, choćby był chciał, nie byłby przypuszczony. o czym nie umiem czytelnika mego uwiadomić, gdyż się ta pretensja za życia mego nigdy nie zdarzyła. Porucznik i chorąży, ci już jeżeli chcieli, mogli się interesować do swoich powinności, lecz i to rzadko się trafiało«. Prawdę powyższych słów stwierdza wykaz urzędowy z r. 1773, według którego w partji ukraińskiej, gdzie według tradycji Mohort służył, na 44 mocno zdekompletowane chorągwie przypadało tylko sześciu oficerów².

»Pospolicie rząd cały chorągwi i komendę trzymał namiestnik, którym bywał jeden z towarzystwa z pomiędzy starszych. Ten już zawsze przy chorągwi siedział, wszystkiemi pocztowemi i całym gospodarstwem chorągwanym zawiadywał. Towarzystwo tylko wtenczas podlegało subordynacji jakiegokolwiek namiestnika, kiedy chorągiew bądź cała, bądź część jej jakowa za ordynansem regimentarskim ruszała

¹ K. Górski. *Historja jazdy polskiej*. Krak. 1894. str. 114.

² K. Górski. *Op. cit.* str. 149.

z miejsca. Wtenczas znajdujący się przy chorągwi towarzysze obowiązani byli słuchać komendy namiestnika, tak co do stawania w szyku, jako też co do marszu i stacji i to było wszystko, czym mógł namiestnik komenderować; nie było albowiem więcej nigdy rezydujących przy chorągwi towarzystwa nad czterech, pięciu, a najwięcej sześciu; a i ci nie ustawicznie, ale więcej po sąsiadach, obywatelach, przyjaciółach, trybunałach, komisjach, lub po swoich interesach zabawiali. Musztry do tego lub innych ćwiczeń żołnierskich nie znało wojsko polskie, oprócz tych dwóch tempów, w przysłowiu częstym, w używaniu rzadkim będących: nabij, zabij«...¹.

Słusznie też uskarża się ks. Józef Poniatowski, pisząc w swoich wspomnieniach: »Przybywszy do Polski, zacząłem dokładać wszelkiego starania ku sprostowaniu licznych nadużyć i fałszywych zasad wkorzenionych w wojsku polskim. Tworzenie się tego wojska szło nagle; lecz prawdziwy punkt honoru i duch karności zaledwie przebijając się zaczynały. Wielu oficerów było zbyt młodych, albo za starych, po większej części nieobeznanych z wiadomościami wojskowemi... Złe pochodziło z przesądów narodowych, którym nie śmiano sprzeciwić się«².

Tak się przedstawia ogólny rzut oka na rycerstwo polskie wieku XVIII. Przejdźmy teraz do szczegółów, mianowicie do tych oddziałów i posterunków wojskowych, co rozrzucone na południowo-wschodnich krańcach Rzplitej utrzymywały bezpieczeństwo i spokój Ukrainy. Słusznie bowiem mógłby kto zauważyć, że stan chorągwi w głębi kraju, a stan ich

¹ Kitowicz. *Opis obyczajów*. Tarnów 1881. str. 144—145.

² Cyt. według rękop. Bibl. Jagiel. Nr. 5736.

na lukach i strażnicach — to rzeczy zupełnie różne. Tu spokój i próżniactwo, — tam czujność, gotowość, męstwo, poczucie obowiązku i honoru wojskowego, narażanie życia nieustanne. Więc może tam właśnie, nad Dnieprem, Bohem i Dniestrem przechowały się tradycje rycerstwa, tam była jego szkoła, tam ów kwiat i korona jazdy polskiej, — a Mohort jest typem tego rycerstwa...

Nazwą Ukrainy obejmowano olbrzymie obszary żyznej, urodzajnej ziemi na południowym wschodzie Rzeczypospolitej, tworzące dwa wielkie województwa: kijowskie i bractawskie. Obszary te, przechodzące za Dnieprem w bezbrzeżne stepy, a od południa w »dzikie pola«, ku morzu Czarnemu i Azowskiemu rozpostarte, w w. XVIII skolonizowane były obficie, choć uprawiane wcale nieudolnie. Zboża zasiewano bardzo mało, gdyż czarnomorski handel zbożowy nie istniał jeszcze; zapasów żadnych nie zbierano, a najżyźniejsza gleba zostawała na zimę niezoraną. Pola zasiewano głównie kukurydzą, a w tak zwanych basztanach, czyli sadach w polu rozrzuconych, sadzono kawony, melony i jarzyny do użytku domowego. Dochody kolonistów płynęły głównie z chowu bydła, z miodu, wosku i sadła; wzbogacano się także różnego rodzaju handlem (np. z Zaporozem), a zwłaszcza dostawianiem furazu wojskom rosyjskim, które wówczas stały wzdłuż Dniepru lub na granicy tureckiej.

Ukraina w. XVIII miała za sobą przeszłość bujną i krwawą, która w połączeniu z niezwykleimi warunkami bytu nadała ziemiom piętno wielce oryginalne. Można powiedzieć, że dzieje Ukrainy zaczynają się w drugiej połowie w. XVI, odkąd losy jej połączyły się ściśle z losami Rzplitej. Po Unji Lubelskiej i przy-

łączeniu ziem ukraiennych do Korony ruch osadniczy zaczyna ogarniać niezmierzone pustkowia, stepy i dzikie pola, sięgając daleko na południe. Z każdym rokiem mnożą się futory i obronne zameczki, przybывая coraz to nowi osadnicy, oczywiście szlachta, mająca tu nie tylko pole do pracy na roli, ale też do zasług rycerskich, niespokojne bowiem obszary często potrzebowały szabli dla obrony swych granic. Tym trybem rozwija się kolonizacja Ukrainy aż do okresu wielkich wojen kozackich.

Kilkanaście krwawych lat przywodzi do zupełnego opustoszenia krainę od niedawna zabudowaną; wielokrotnie przez wojska polskie i kozaków zdobywane zamki legły w gruzach, sioła zamieniły się w zgliszcza. Sami Tatarzy przeszło milion spokojnego ludu rolnego uprowadzili w jasyr do Krymu.

Atoli wkrótce po tym strasznym spustoszeniu ogniem i mieczem rozpoczyna się drugi okres kolonizacji Ukrainy; trwa on lat kilkadziesiąt, od rozejmu Andruszowskiego (1667) do połowy w. XVIII. Gdy burze wojenne ucichły, gdy trawa zazieleniła się na popieliskach, pracowity rolnik zjawił się znów na urodzajnych obszarach. Kto życie swoje uratował, kto niewoli szczęśliwie uniknąć zdołał, wracał teraz do ojcowizny, i choć zastawał jeno zgliszcza i popioły, nie upadał na duchu, ale chwycił za pług i topór, orał leżącą odłogiemię ziemię i stawiał nową sadybę. W południowych i wschodnich częściach Ukrainy rozciągały się ziemie starościńskie i szerokie włości magnackie; w tych ogromnych posiadłościach, gdzie panowie i właściciele nigdy osobiście nie przebywali, osiedleniem ziem i urządzeniem gospodarstwa zajmowali się ich oficjaliści i pełnomocnicy, sama szlachta herbową. Energji i waleczności stanu rycers-

kiego w obronie swych wiosek zawdzięcza Ukraina nadzwyczajnie szybką kolonizację; tak np. wojew. Bractawskie pod koniec w. XVIII liczyło do półtora tysiąca wsi, nie licząc mnóstwa rozsianych pojedynczo sadyb i futorów.

Przytoczony przez Szajnochę Kulisz pisze, iż »kulminacyjnym punktem tej kolonizacji ziem ukraińskich była połowa wieku XVIII... W dobrach Lubomirskich i w starostwach Sanguszków, Jabłonowskich, Potockich, tudzież innych, najskuteczniejszym środkiem osiedlenia ziem pustych okazało się rozdawanie szlachcie praw i gruntów na zakładanie osad. Otrzymywano prawa takie bez najmniejszej trudności i ubiegało się o nie niemało ochotników, bądźto z pomiędzy samychże rządców tych włości, bądź też z dzierżawców części pomniejszych, wreszcie z różnej przedsiębiorczej szlachty, garnącej się na Ukrainę z głębokiej Polski. Zgłaszali się nadto o takie ziemie wojskowi z oddziałów, stale na kresach Ukrainy konsystujących¹, a stąd partję ukraińską nazwanych. Ci wojenni ludzie, nawyknięwszy do stron tutejszych, pozbywali się chęci powrócenia do domu i korzystając ze swobody zajmowania się czymkolwiek obok swoich obowiązków wojskowych, zakładali pospolicie zagrody i zaprowadzali w nich stałe gospodarstwa, niezdala od stanowisk chorągwi swoich«.

Jakkolwiek liczba miasteczek, wsi i futorów wzrastała ciągle, nie da się przecież zaprzeczyć, że osadnictwo polskie trzymało się pewnej granicy, poza którą nie śmiało się wysuwać. Gdy przy końcu w. XVI i do połowy XVII zaborczo usposobiony

¹ Takim właśnie żołnierzem i rolnikiem zarazem był według podania Mohort.

szlachcie swobodnie bujał po »dzikich polach«, poza Dniepr wyglądał, za czambułami tatarskimi zapędzał się aż pod Oczaków, teraz osadnik, wyparty z »dzikich pól« przez koczownicze hordy, cofał się wciąż ku północy, aż znalazł naturalną granicę w korycie Siniuchy i dolnej Taśminy; zabory pług polskiego skurczyły się do województw braclawskiego i kijowskiego.

Jednakowoż i w tych uszczuplonych granicach osadnik polski nie czuł się bezpiecznym; w pięknej i żyznej, ale niespokojnej krainie trwał w ciągłej obawie o swoje życie i mienie, i trwożnie poglądał w stronę tatarskich »szlaków«¹. Wprawdzie w w. XVIII wielkie najazdy całej ordy tatarskiej żyły już tylko w tradycji, ale mniejsze niespodziane zagony i napaści należały do częstych wypadków.

»Jeżeli daleka Wielkopolska — pisze Karol Szajnocha — nie znała wcale zagonów krymskich, jeżeli powiaty województwa ruskiego tylko co lat kilka doznawały tej plagi, tu na kresach ukraińnych toczyła się nieustająca walka między nowymi osadnikami a najeżdżającym ich z pobliza tatarstwem pogranicznym. Były to napady każdodziennie, w małych zwyczajnie podejmowane garstkach, często przez kilku albo jednego opryszka tatarskiego na tyłuż chrześcijan. Nie mogli z tej przyczyny osadnicy ukra-

¹ Dwoma głównie szlakami nadciągały z południa dra pieżne czambuły; szlak czarny, zwany też wśród szlachty ukraińskiej szlakiem hetmańskim, biegł między dopływami Dniepru i Bohu; drugi — Kuczmański ciągnął się między Bohem a Dniestrem. Po dojściu do okolic zaludnionych czambuły dzieliły się na pomniejsze zagony i dążąc po wielu ubocznych szlakach wewnątrz Ukrainy, pokrywały kraj jakby siecią, zaskakując znienacka mieszkańców i ich dobytek.

inścy wychodzić po jednemu do pracy w polu, lecz musieli stawać gromadnie, nigdy bez rusznicy lub innej broni«.

Drugą plagą Ukrainy, może niemniejszą od tatarskiej, były zbójckie bandy hajdamaków, którzy z niesłychaną śmiałością napadali na wsie, dwory, a nawet i miasta przez cały wiek XVIII. Dodajmy do tego buntownicze usposobienie miejscowej ludności wiejskiej, podburzanej systematycznie a zawsze do wybuchu i rzezi gotowej, — a zrozumiemy łatwo, że szlachcic polski, na żyznej glebie ukraińskiej osiadły, zwłaszcza w częściach ku południowi wysuniętych w sąsiedztwie dzikich pól, mało zaznał spokoju i wczasów.

Bo trzeba wiedzieć, choć nie było wojny,
Przecież na kresach rzadki dzień spokojny...
Tam na dwór jakiś Tatary napadli
Na podgraniczu i cerkiew złupili,
To znów Kozacy tabun nam ukradli,
Czeladź uwiedli, lub wioskę spalili,
Czasem i łotry od multańskiej dziczy
Wtargnęli...

Ustawiczne niebezpieczeństwo życia i mienia tworzyło też odpowiednie środki obrony. Domki i dwory otaczano wałem i ostrokołem, za którym chronił się nie tylko szlachcic z rodziną swą i czeladzią, ale i okoliczni wieśniacy, którzy zaskoczeni znienacka uciekali do takich właśnie obronnych miejsc albo lasów, zostawiając na łasce tatarzyna swe ubogie zagrody.

Nadto cała Ukraina, a w szczególności główne »szlaki« tatarskie usiane były mnóstwem zamków i zameczków, których przeważna część stanowiła własność prywatną. Zameczki posiadały stale własną

załogę, zawsze gotową do odparcia najazdu. Nie można też przemilczeć o klasztorach Bazylijskich, które w tej niespokojnej krainie miały wygląd drobnych twierdz. W klasztorach, otoczonych zazwyczaj wysokim murem,

Były armatki, moździerze i prochy,
I dość żywności i niepróżne lochy.

Tam to zakonnicy z niewielką załogą, wzmacnianą zwykle przez zastęp naprędce zwołanej szlachty okolicznej, mogli odpierać nawet większe zagony tatarskie, które zresztą nienawykłe do regularnej wojny, stawały się bezsilne wobec obronnych murów.

Była więc jako tako zorganizowana obrona ziem ukraińskich, dzięki której rozwijało się rolnictwo i podnosił dobrobyt mieszkańców. Atoli zapamiętać to należy, iż największa i niemal całkowita zasługa w tej sprawie przypada czujnej, odważnej i rycerskiej szlachcie osiadłej¹, a nie tym, co z powołania swego powinni byli mieczem strzec bezpieczeństwa Rzplitej. Była to obrona własna, swego życia, mienia domu i kawałka zoranej ziemi, ale nie obrona z obowiązku żołnierza. Wojska regularne odegrały na południowo-wschodnich granicach Rzplitej rolę tak skromną, że zaledwie wspominać o nich warto.

Stałej, systematycznie zorganizowanej obrony pogranicza przez wojska koronne nie było aż po ostatnie dziesięciolecie w. XVIII. Za Sasów i Stanisława Augusta były to raczej próby dorywcze, nad którymi nikt się dłużej nie zastanawiał. Pamiętnikarz epoki

¹ Typem takiej szlachty jest Miecznik w poemacie Malczewskiego.

saskiej, Kitowicz, podaje, że przeciw rabusiom t. j. hajdamakom i tatarom »wyprawiali Hetmani koronni co roku dywizje od różnych regimentów pieszych i konnych, chorągwie polskie, pancerne i lekkie... Nad takim korpusem czynili jeneralnym komendantem jakiego porucznika, dawszy mu tytuł regimentarza«. Wiadomość tę uzupełnia Kitowicz w innym miejscu, pisząc: »Na hajdamaków najwięcej zażywano lekkich chorągwi, ale ztrudna kiedy ruszano całe chorągwie, tylko od tej i owej po trosze na przemianę«.

Już ta drobna wzmianka pamiętnikarska pozwala nam wnioskować, że nie były to oddziały należycie zorganizowane i wyćwiczone, ale — *sit venia verbo* — zbieranina, z różnych pułków i chorągwi dorywczo gromadzona. Na olbrzymiej przestrzeni od ujścia Rosi po ujście Siniuchy, czyli brzegiem Dniepru od Rosi do Taśminy i od Dniepru aż po Boh strzegło linji granicznej zaledwie sześć chorągwi lekkich, i to bardzo niekompletnych. Siły te były nie tylko za szczupłe dla zamknięcia kordonem »dzikich pól«, ale nawet za słabe dla utrzymania w karbach ludności miejscowej.

Nieliczne chorągwie rozpadały się na mniejsze jeszcze oddziały, rzadko pod dowództwem oficera, zazwyczaj pod nadzorem namiestnika; te drobne oddziały tworzyły szereg posterunków granicznych w bezbrzeżnych ukraińskich stepach od strony dzikich pól, a także na prawym brzegu Dniepru i lewym Dniestru. Kilka prowizorycznie zbudowanych szop i namiotów oraz niewielki majdan otaczano wałem i ostrokołem; to stanowiło strażnicę, pewien najpierwotniejszy typ fortu, zwany w tamtejszym nareczu »luką«. Owe luki czyli drobne posterunki

graniczne, utrzymywane wyłącznie przez konnicę, czy to z kawalerji narodowej, czy to z pułków przedniej straży, rozrzucone na znacznej przestrzeni jeden od drugiego, ginęły wśród niezmiierzonych a skąpo zaludnionych obszarów. Dla utrzymania komunikacji między lukami oraz z krajem rozstawiano stale łańcuch jeszcze drobniejszych posterunków, zwanych kresami; był to rodzaj poczty wojskowej, której linje biegly tuż nad granicą od luki do luki, oraz wgląb do miasteczek, jak np. do Czehrynia, Humania lub Bracławia.

Przy sposobności trzeba tu zwrócić uwagę na niewłaściwe użycie wyrazu »kresy«, wprowadzone do literatury przez Pola, a przejęte nawet przez historyków, jak np. przez Szajnochę. Jeżeli mówi się »kres podróży, kres cierpień«, to ostatecznie można powiedzieć i »kres Rzeczypospolitej« w znaczeniu jej końca, granicy, brzegu; atoli w tym znaczeniu wyraz »kres« używany nie był do tych czasów, dopóki najniesłuszniej nie pomieszano z nim wyrazu »kresa«. Żołnierzy wysyłano z posyłkami lub rozkazem kolejno, na kogo padła kreska czyli kresa, stąd i pocztę wojskową przewano kresą (według ówczesnej pisowni »kressa«). Że w w. XVIII mówiąc o kresach to tylko rozumiano, nie ulega żadnej wątpliwości. Tak np. Kitowicz pisze, iż »rozstawiano chorągwie lekkie po kresach, gdy hetman lub regimentarz interesowany do trybunału chciał prędko wiedzieć, jak się udała jego reassumeja«; podobnie w dokumencie urzędowym z r. 1790 czytamy: »Te dwie dywizye rozstawia Kressy od Markowki do Cekinowki... Rapporta wszelkiego gatunku od wspomnionych Korpusów Kressami odesłane bydlz mają... Rapporta Szwa-

dronów Dzierzka idą posterunkami do Targowicy, potem Kressami do Granowa...»¹.

Linję, po której stale przebiegała poczta wojskowa zwano na Ukrainie linją kres lub kresów, używając częściej wówczas końcówki *ów* dla rzeczownika rodzaju żeńskiego, który to zwyczaj uwiecznił Słowacki formą »kościów«, dodawszy do niej rym »niegramatycznościów«. Dopiero od czasów *Mohorta* zaczęto wyrazu »kresy« używać niewłaściwie; sam Pol mieszał znaczenie istotne z przyplątanym², ale już jego następcy przez kresy rozumieli wyłącznie części Ukrainy, sąsiadujące z dzikimi polami i Dnieprem, a z czasem nazwa przeniosła się wogóle na części ziem naszych dotykające obcych krajów³. Dzięki autorowi *Mohorta* utrwalilo się nawet wyrażenie »rycerz kresowy«, choć jako żywo żaden »towarzysz« nie dałby się z listem wysłać, gdyż obowiązki te ciążyły na pocztowych czyli pachołkach⁴.

W istotnym swym znaczeniu kresy na stepach Ukrainy miały na celu nie obronę ziemi i walkę z tatarzynem, jeno utrzymanie komunikacji, — i można się domyślać, że żołnierz kresowy, usłyszawszy po-

¹ »Teraźniejsze rozlokowanie korpusów dywizji Braclawskiej i Kijowskiej« — podp. Józef ks. Poniatowski G. Major.

² Gdy Pol pisze: Kresy ściągnięto (str. 65), rozumie słusznie drobne stójki wojskowe; ale myli się pisząc, że ks. Eustachy Sanguszek »służbą na kresach swój zawód wojskowy rozpoczął« (str. 134).

³ Dziś używając utartego zwrotu »szkoły polskie na kresach zachodnich«, nie domyślamy się nawet, że to owoc grubego nieporozumienia.

⁴ Na niewłaściwe użycie wyr. »kresy« zwracali już uwagę. T. Korzon (*Wewn. dzieje Polski*, t. IV cz. II str. 84—85), M. Dubiecki (*Obrazy i studia hist. serja II*. str. 129) i Z. Gloger (*Encyklopedja staropolska*, t. III. str. 99).

dejrzany szelest w oczeretach, zmykał co koń wyskoczy do najbliższej strażnicy. Natomiast luki czyli okopane strażnice stepowe obowiązane były czuwać i bronić granicy, wysyłać patrole i podjazdy; atoli rzadko obowiązek swój należycie spełniały. »Pocztowi« poroszani na kresy, »towarzystwo« bądź na polowanku, bądź w gościnie po wsiach i dworach. Chorągiew reprezentował pan namiestnik, człowiek zazwyczaj stary i zdawna tam osiadły, dbający więcej o swój futor i rolę, o pasiekę i konie, niż o porządek i rygor w chorągwi. O ćwiczeniach wojskowych nie było tam mowy; nieład i próżniactwo wyparły resztki ducha rycerskiego. Jesienią chorągwie ściągaly z posterunków granicznych na zimowe leże, do wsi i miasteczek, gdzie aż do wiosny dzieliły czas między wypoczynek a różne przygodne zajęcia, — z wyjątkiem wojskowych.

O zupełnej niezdolności szczupłych wojsk koronnych do obrony ziem ukraiennych najlepiej świadczą częste a zuchwałe napady hajdamaków i tatarów; jedni i drudzy z pewnością nie poczynaliby sobie tak śmiało, gdyby wiedzieli, że ich zaraz u Taśminy czy Siniuchy spotkają szable kawalerji narodowej. Przy czujnej i zorganizowanej obronie zapewne nie doszłoby też do buntów i do pamiętnej koliszczyzny.

Tak trwało aż do r. 1790 t. j. do chwili, gdy wskutek zlecenia sejmu, przewidującego wiszącą w powietrzu wojnę, Komisja wojskowa wysłała w tamte strony trzydzieści kilka szwadronów z różnych brygad i pułków, dodawszy im niewielką ilość piechoty i artylerji. Przy rozmieszczeniu ich popełniono gruby błąd, rozrzucając drobne oddziały na ogromnych przestrzeniach, utrudniając przez to ćwiczenia wspólne i komunikację, a nadto osłabiając ich siłę i odpor-

ność. Nie wchodząc w szczegóły, wystarczy powiedzieć, że załoga Ukrainy, znacznie wzmocniona ilościowo, co do jakości i znaczenia mało się zmieniła. W tym stanie zastał ją ks. Józef Poniatowski.

Historyk, który zapewne nie zamierzał oczerniać przeszłości, tak charakteryzuje rozmieszczone na Ukrainie oddziały:

»Wojsko, którego komendę obejmował książę Poniatowski, w smutnym znajdowało się stanie. Brakowało mu największej części tych zalet i tego porządku, które tylko dłuższą pilną administracją i ścisłym ćwiczeniem mogą być otrzymane. Ludzie w nim byli piękni, ale obdarci, bez rynsztunków odpowiednich, konie i rzędy w największym nieładzie, bez jedności w umundurowaniu i uzbrojeniu, bez zaopatrzenia, przyzwyczajeni rabować (!) i żyć uciskiem okolicy (!)... Te wszystkie wady szczególnie były rażące w kawalerji narodowej, której urządzenie wszelkiemu pojęciu nowszemu wojskowości było przeciwnie i odrazu księcia Józefa tak raziło, że za jedną z najpierwszych rzeczy podał Komisji wojskowej projekt swój innego urządzenia całej jazdy, która w Polsce mogła być najlepszą, a przez zadawniony zwyczaj ochotnictwa szlacheckiego, bez żadnej oddawna wprawy wojennej, stawała się najgorszą«¹.

Na potwierdzenie powyższych słów historyka podać można drobny wyjątek z raportu lustratora, który przyjrawszy się zbliżka brygadzie Wielhorskiego², tak o niej pisze: »Oficerów skład nie tylko znarowionych i do subordynacji po większej części nie-

¹ F. Paszkowski. *Książę Józef Poniatowski*. Kraków, 1878. str. 15.

² Gdzie według podania służył Mohort.

przywykłych, ale też wcale niezdolnych i nieumiejętnych; namiestników — nie ze zdolności do służby, ale z partykularnego swoim rotmistrzom przypodobania się kreowanych. Zgoła cały ekwipaż, a szczególnie kulbaki złe i do użycia niezdolne, musztuki zbrakowane, rzemienie ozdobami i ciężarem zajęte... Zgoła, że wszystko opuszczone, pierwiastkowych prawideł nie znające zastawszy ksiązę, zebrał jedno kapralstwo do Tulczyna i postawiwszy w odpowiedniej stajni, kazał uczyć, jak mają odpowiedzieć powinnościom swoim... Młódź, pełna dobrych chęci, nauczyć się będzie mogła służby, czego dotąd nie umiała, gdyż starzy samym zdzierstwem i ciągnięciem korzyści zajęci zwykle powtarzali, że nie bywało tego dawniej a Polacy byli bitnemi«¹.

Oto co mówi historia...

Zestawmy teraz z temi zarysami rycerską postać Mohorta, a zrozumiemy, że żadną miarą uważać jej nie można za typowego przedstawiciela tych czasów. Że niegdyś rycerstwo polskie było zdolne do wielkich czynów i cnót, — któż wątpi? Ale w w. XVIII należało to już do przeszłości; dopiero w ostatnim dziesięcioleciu odradza się duch wojenny, — wówczas jednak i Mohort i dawna tradycyjna Polska już zeszyła do grobu. Męstwo, wytrwałość, powaga, surowość, spokój, skromność, wstrzemięźliwość, wysokie poczucie honoru wojskowego i najwyższa ścisłość w wypełnianiu obowiązków swego stanu, — wszystkie te cnoty i właściwości przypisane Mohortowi spotkać było można w w. XVIII tylko u wyjątkowych jednostek; ogółowi stanu rycerskiego były one obce, — i dlatego Mohort nie jest typem. Gdyby

¹ K. Górski. *Historja jazdy polskiej*. str. 212 i 213,

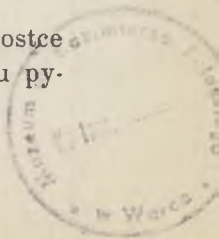
był poeta osadził swego bohatera na tle czasów dawniejszych, jak np. Malczewski swego Miecznika, wtedy niejeden rys z życia i z charakteru Mohorta stałby się wyrazem rzeczywistości; tymczasem w danej epoce i w danym środowisku Mohort ze stanowiska historycznego oceniany musi uchodzić za postać na wpół fantastyczną.

Atoli poemat cały, rozważany jako obraz przeszłości, jako odtworzenie zwyczaju i obyczaju na pograniczu Ukrainy, mieści w sobie dużo prawdy i rysów wiernie zachowanych. Okopana strażnica wojskowa na brzegu Dniepru, futor z pasieką i młynem na dnie zadrzewionego jaru, stada koni w stepie, klasztor Bazylijański, obrona klasztoru przed hajdamakami, — są to zarysy obyczajowe, ściśle z rzeczywistości wzięte.

Z niemi spotkała się tu i połączyła fikcja, mająca główne źródło w uczuciu patryjotycznym. Sędziwi świadkowie przeszłości w opowiadaniach swych starali się upiększać i podnosić do ideału ukochaną przeszłość, a poeta, spisując ich podania, niejedno jeszcze od siebie dodał ku większej chwale stanu rycerskiego.

Czytająca publiczność razem z krytyką literacką przyjmowała tę mieszaninę prawdy z wymysłem za najczystsza rzeczywistość. Działo się to z dwu głównie powodów. Najpierw dlatego, że brak dostatecznych źródeł i opracowań historycznych do niedawna jeszcze uniemożliwiał sprawdzenie, o ile poeta wyidealizował stronę obyczajową. Powód drugi miał podkład psychiczny: każdemu dogadza pochlebny sąd o przeszłości narodu i nikt się rad nie wyzbywa przyjemnych złudzeń. *Mundus vult decipi...*

Przyjrzyjmy się teraz Mohortowi jako jednostce indywidualnej. Przedewszystkiem nasuwa się tu pytanie, czy Mohort jest postacią historyczną?



Przez cały wiek XIX w pracach naukowych głucho było o starym poruczniku Mohorcie i dopiero w ostatnich czasach nazwisko to wypłynęło na karty obszernego dzieła o wojnie r. 1792¹. Mianowicie w ustępie, opisującym »niepomyślne spotkanie Wielhorskiego pod Boruszkowcami«, czytamy, że »między zabitemi był Michał Bieliński, sztabs-kapitan artylerji, — i Szymon Mohort, stary oboźny, odtworzony fantastycznie w poemacie Pola«.

Wiadomość ta weszła na karty historii — moim zdaniem — nie skąd inąd, jak z pamiętnika księcia Eustachego Sanguszki, gdzie czytamy ją w tej postaci: »Zginęli pod Boruszkowcami Szymon Mohort oboźny i Bieliński kapitan artylerji«². Wzmiankę powyższą możnaby było uznać za wiarogodną, gdyby pochodziła rzeczywiście od uczestnika bitwy na grobli, księcia Sanguszki; ale słowa te znajdują się nie w tekście, a w przypisku, którego autorem był wydawca Józef Szujski. Skąd Szujski nazwiska te wydobyl, jest to zupełną tajemnicą. Powołuje się wprawdzie w tym samym przypisku na dzieła jen. Zajączka, Paszkowskiego (*Dzieje Tad. Kościuszki*) i księcia Józefa (*Wspomnienia*), lecz w żadnym z wymienionych pism nazwiska Mohorta i Bielińskiego nie istnieją. Słusznie więc można przyjąć, że Szujski umieścił je w swym przypisku idąc za *tradycją*, nie mając zaś w ręku żadnych dowodów rzeczowych.

Podobnie też świadectwa Stef. Buszczyńskiego³

¹ Tadeusz Soplica (pseud.). Wojna polsko-rosyjska 1792 r. Tom I. Kraków, 1906. Zob. str. 188.

² Ks. Eustachego Sanguszki *Pamiętnik* wydał Józef Szujski. Kraków, 1876. Zob. str. 13.

³ Stef. Buszczyński. *W. Pol i jego pisma*. (Kraków 1873). str. 14.

i M. Dubieckiego posiadają tylko charakter *tradycji* rodzinnej, i to dość niedokładnej.

A przeto do dni dzisiejszych nie mamy żadnego zupełnie pewnego dowodu ani dokumentu, któryby stwierdzał, że stary oboźny Szymon Mohort istniał i że na grobli pod Boruszkowcami poległ.

Ale gdyby nawet w archiwach wojskowych czy też wśród nieznanych pamiątek znalazło się jego nazwisko, — będzie to tylko nazwisko lub krótka wzmianka, a nie postać historyczna, z którąby można było zestawiać i porównywać kreację poety. Gdy dzisiaj z łatwością możemy rozstrzygać, czy ks. Jeremi Wiśniowiecki przez Sienkiewicza stworzony podobny jest do osoby historycznej, studjum takie nad Mohortem ani dziś, ani zapewne nigdy możliwe nie będzie.

A więc pozostaje nam tylko, uznając Mohorta za postać *tradycyjną*, w dobrej wierze rozważyć wszystko, co poeta o nim na podstawie podań opowiada.

Pan Szymon Mohort, z pochodzenia szlachcie litewski, w bardzo młodym wieku rozpoczął służbę wojskową jako towarzysz chorągwi pancерnej i wkrótce został namiestnikiem (szczegół wątpliwy, bo namiestników obierano ze starszej, poważnej i doświadczonej szlachty). Były to czasy ostatniej wojny szwedzkiej. Biorąc w niej czynny udział, młody rycerz pozyskał łaskę i przyjaźń hetmana (którego — bliżej nie wiemy). Gdy po zawarciu pokoju pana Mohorta nawiedziły miłosne afekty i chęć do żeniaczki, hetman ofiarował mu się na swata, do zaręczyn pomysłnie doprowadził, a chcąc zapewnić spokojny i dostatni kawałek chleba, wypuścił mu dobra swoje w dzierżawę na bardzo dogodnych warunkach. Atoli

nagła śmierć narzeczonej inaczej pokierowała losem młodzieńca.

Rzuciwszy strony rodzinne, udał się na Ukrainę i tam zaciągnął się do jednej z nielicznych chorągwi pancernych, strzegących pogranicza. Dosłużywszy się stopnia porucznika, wyższych godności ani zaszczytów nie pragnął, trwając w cichej a wiernej służbie kościoła i ojczyzny przez lat osiemdziesiąt. Gdy w r. 1776 na skutek uchwały sejmu chorągwie husarskie i pancerne wcielono do kawalerji narodowej, pan Mohort został porucznikiem kaw. nar., i w tej broni aż do śmierci służył. W latach, kiedy młodziutki Ksawery Krasicki przyłączył się do jego chorągwi, należała ona do brygady kaw. nar. jenerała M. Wielhorskiego, a następnie przeszła pod dowództwo Stan. Mokronowskiego, gdy Wielhorski otrzymał jedną z trzech dywizji.

Od niepamiętnych czasów chorągiew Mohorta stanowiła załogę małej strażnicy pogranicznej. Idąc za słowami poematu, trzeba szukać tej pierwotnej forteczki w województwie Kijowskim, powiecie Czehryńskim, na prawym brzegu Dniepru, nieco w górę od ujścia Taśminy, może w okolicach Kryłowa lub Borowicy¹.

Była to sobie taka twierdza mała
Nad brzegiem Dniepru — okop był sklepiony,
W nim stały konie na bramie strażnicy,
Nad bramą obraz był Boga Rodzicy,
A pod nim napis — »Pod Twoje obrony«.

W tym to okopie pan Mohort ze swym oddziałem siedział »od śniegu do śniegu«, wyprawiając

¹ M. Dubiecki niesłusznie umieszcza Mohorta »nad łatwo zbrodzić się dającymi nurtami Wysy, która swą błotnistą falą zdążyła do Taśminy«. *Obrazy i studja histor.* serja II, str. 126.

»kresowych«, urządzając czaty i objazdy, utrzymując rygor i porządek wojskowy (*pia desideria*). W okolicy całej czuł się jak u siebie w domu:

Znał każdy futor, każdy młyn stepowy,
Każdą pasiekę pomiędzy parowy,
Każdą krynicę, każdy krzyż przy drodze...

Nieopodal strażnicy miał stepu kawał i uprawną ziemię oraz futor, zwany »żelaznym ulem«, do którego przywiązane było ładne podanie o pszczoło hetmańskiej. Do futoru należała pasieka i młyn. Wszystko to ukryte w pięknym zadrzewionym jarze, rozweselanym szmerem strumienia i pszczoł brzękiem. Co rok stary porucznik choć kilka zagonów sam zorał i zasiał, doglądał ogrodu warzywnego, pasieki i bydła, a już z prawdziwym zamiłowaniem oddawał się hodowli koni. W jego ogromnym stadzie znajdowały się okazy najslynniejszych stadnin polskich. Mohort znał się na koniach znakomicie, z wyglądu, z budowy, maści i znaków umiał odgadnąć wszystkie zalety i wady.

A co zbierał przez rok cały w czasie
Z sadu, z pasieki, z bydła i ze młyna,
Z tego szła więcej niżli dziesięcina
Do monasteru ojców Bazyłjanów.

Znać że niezłe zyski ciągnął pan Mohort ze swego gospodarstwa, skoro dziesięcinę stanowiło kilka dobrze ładownych wozów razem z wołami.

Cztery mil prawie od granicznej luki
Był tam monaster ojców Bazyłjanów;

z tym to klasztorem oddawna żył Mohort w przyjaźni. Miał tam własną celę, a w niej przechowywał kosztowną broń i rzędy sadzone, turecki namiot

i wschodnie kobierce, cenne puhary i księgi, a wreszcie kilka pamiątek i familijne papiery.

Miał i piwnicę własną dla wygody,
Co swoim sumptem przed laty zmurował,
W niej stare wina i wytrawne miody,
A jak mówiono i stary grosz chował...

Na cały wielki post zjeżdżał zazwyczaj do klasztoru, odbywał rekolekcje, przyrządzał balsam jerozolimski, maść Matki Boskiej od zranienia, kordjał rycerski z ziół i okowity na wewnętrzne bóle, kartki do zamawiania febry, nadto »dla klasztornej i własnej wygody przepędzał wódki i rad sycił miody«, w wolnych zaś chwilach »dla sławy narodu, przy postnych grzankach i przy szklance miodu« spisywał *silvam rerum*.

Tak między strażnicą, futorem i klasztorem schodził stateczny żywot, zajęty cichym krzątaniem się przy pasiece i stadzie, objeżdżaniem kresowych stójek i pobożną modlitwą.

Tymczasem przeszła epoka saska, na tron już wstąpił król Stanisław, wreszcie zawiązała się konfederacja Barska, ale panu Mohortowi nic nie zdołało zakłócić regularnego życia.

Nigdy do związków w kraju się nie łączył
Bo światem wicherzyć nie rozumiem cnotą!
I zawszem Boga prosił tylko o to,
Bym tak jak zaczął, przy chorągwi skończył;
Bo wojskowemu służba rzecz najzdrowsza.
Jeszcze te związki przeciwko obcemu!...
Lecz jak nastąpiła już praktyka nowsza,
Że związek stawał wbrew królowi swemu,
To już tę sprawę niech sam Pan Bóg sędzi,
I pono tylko w służbie człek nie zbłądzi!

Minął pierwszy rozbiór, minął i dzień trzeci maja,

a pan porucznik wciąż nad granicą siedział, w niczym nie zmieniając ustalonego trybu żywota. Raz na dobę jadał, z wieczora tylko sypiał, w maju krew puszczał i pił jakieś zioła, krzątał się koło gospodarstwa, hodował przepyszne rumaki, a wszystko to czynił »z prze-rażającą regularnością automatu«, jak zauważył Spasowicz.

Dopiero wojna r. 1792 wyprowadziła go z równowagi, ale na czyny już było za późno. Pan Mohort po stu latach twardego i pobożnego żywota w pierwszej zaraz potyczce zginął, nawet Zieleniec nie do-czekawszy.

Do ostatniej chwili starzec ten krzepko się trzy-mał, cieszył się dobrym zdrowiem, a jak ciało jego zachowało dzielność, tak też i umysł był zawsze przytomny i sprawny.

Tylko że ten umysł nigdy bogactwem się nie odznaczał, sprowadzając się do kilku najprostszych linji. Mohort był człowiekiem wierzącym i pobożnym, wszystkie obrządki i praktyki religijne skrupulatnie wypełniał, co wreszcie weszło już u niego w nałóg, bez którego żyćby nie potrafił; ta religijność zgadza się u niego z wiarą w sny i z różnemi zabobonami oraz pozwala mu zamordować trzech bezbronnych parlamentarzy, z obozu hajdamackiego przysłanych.

Obok pobożności ważną cechą jego charakteru sta-nowi przywiązanie do chorągwi i do ziemi, którą przez lat kilkadziesiąt uprawiał, a nadto ślepe umi-łowanie tradycji i niechęć wobec wszelkich zmian; dzięki temu pan porucznik

... sejmem takim nad wszystko się smucił,
Co starą władzę Hetmanów ukrócił...

Dodajmy do tego wielki pietyzm w rozpamięty-

waniu dawnych czasów, powagę dochodzącą do surowości i skromność ascetyzmu bliską, — a będziemy mieli wszystko, co kryło się w głowie i w sercu dzielnego starca.

Żył w czasach, kiedy stan rycerski w zupełnym pogrążony upadku nie miał pola do popisu; żadnej wojny zewnętrznej nie prowadzono, konfederacja była raczej zamieszką wewnętrzną, pełną bohaterstwa, ale dorywczą. To też całe życie Mohorta zbiegło na mrówczym krzątaniu się i wiernej, wytrwałej, ale bardzo jednostajnej służbie.

Nie jeden już krytyk, przypatrując się postaci Mohorta, dochodził do wniosku, że właściwie nie jest to postać bohaterska, ponieważ nie zdobi jej ani jeden wielki orężny czyn, ani nawet wewnętrzny pęd do walki i czynu. »Mohort nie działa, ale tylko trwa« — jak mówi Spasowicz. Ciało bohatera silne i zdrowe, lecz duch jakiś ciężki i ospały; nie rwie się do dzieła i przez cały stuletni żywot nie spełnia nic, coby było godne rycerza-bohatera w naszym pojęciu. Wprawdzie Mohort poległ na grobli Boruszkowieckiej, lecz jego zgon trudno nazwać bohaterskim; takich poległych od granatu czy kartacza były w tej potyczce dziesiątki, może setki, — a w ciągu tej wojny — tysiące... Więc ostatecznie Mohort jest bohaterem bez wielkiego czynu, bez heroicznego zamiaru.

Stwierdziwszy ten fakt, krytycy poprzestają na zaliczeniu go do ułomności poematu i udzielają autorowi nagany. Atoli jeśli zadaniem krytyki ma być nie tylko chwalenie i ganienie, lecz przede wszystkim zrozumienie i wyjaśnienie utworu nawet w jego ułomnościach, to nad tym faktem wypadnie się chwilę zastanowić.

Dlaczego Mohort nie spełnia żadnego bohaterskiego

czynu? Odpowiedź zdaje się prostą: oto w opowiadaniach Ksawerego Krasickiego i innych, którzy starego porucznika znali, nie było mowy o żadnym wielkim czynie, stąd też i w poemacie go brak. Takie byłoby wyjaśnienie, ujmujące sprawę od zewnątrz; ale zobaczmy, zali od strony wewnętrznej nie znajdują się jakieś głębsze, istotniejsze motywy.

Autor pasuje Mohorta na rycerza — a nie pozwala mu działać, nie daje się rozwinąć i ujawnić jego bohaterstwu. Czy jedyny tego powód tkwi w źródłach, w tej ułamkowej, może niezupełnej tradycji? Jeżeli poeta mógł wymyślić podróż Mohorta do Warszawy, jego lekcje sztuki wojσκowej, udzielane ks. Józefowi, jeżeli w opisie bitwy kazał Polakom zdobyć działa rosyjskie, choć rzecz stała się wprost przeciwnie, — to również mógł dotworzyć coś, coby uzupełniając zasłyszane tradycje, pozwalało uwydatnić bohaterstwo Mohorta. Dlaczego nie wymyślił ani jednej potyczki z czambułem tatarskim? Czemu jeżeli nie pokazał, to choć nie powiedział, że Mohort z narażeniem życia i walecznością wielką obronił jakąś wioskę czy klasztor od napadu hajdamaków (trudno bowiem bohaterstwem nazwać opowiedzianą obronę klasztoru z za silnych murów, uzbrojonych w armaty)? Ileż dałby mu pola do pokazania odwagi i dzielności, gdyby mu przypisał udział w konfederacji Barskiej! To wszystko przecież nie stałoby w sprzeczności z tradycjami Krasickiego, tylko je poetycznie uzupełniało, jak uzupełniają mniej potrzebne epizody o Sobieskim według Janiny i o koniach według Dorohostajskiego. Powyższe rozważania prowadzą do wniosku, że nie mamy tu do czynienia z przypadkowym zbiegiem okoliczności, lecz z powziętą z góry myślą autora.

Oto według Pola Mohort jest postacią bohaterską dlatego właśnie, że nie wybija się żadnym wielkim czynem. Twierdzenie to wygląda na paradoks, ale postaram się zaraz wyjaśnić, że nie jest to tak dziwne, jak się zrazu wydaje.

Mohort jest istotnie bohaterem, lecz w stylu Pola, to jest zupełnie konsekwentnie stworzonym według jego pojęć o bohaterstwie. Przypomnijmy sobie, co poeta jeszcze w r. 1846 w więzieniu spędzając czas na rozmyślaniach, zapisał jako zdanie swe o istotnej zasłudze:

Chwila uniesień duszy nie wysila,
I kto ma skrzydła, temu lekko w locie,
Jako skok łatwa poświęcenia chwila...
Ale *na drodze obowiązku* ciernie —
I podróż na niej i krwawa i długa!
I po tej drodze pójść do końca wiernie,
To nie u ludzi — ale jest *zasługa*¹.

Otóż i w Mohorcie jego najwyższą zasługą, jego bohaterstwem jest owa długa podróż na drodze obowiązku, jest to, »że wiecznie siedział na miejscu i łęku«. Heroizmem nie nazwie Pol kilku świetnych czynów, gdyż o chwilę uniesienia, zapału czy poświęcenia łatwo jest i zdobędzie się na nią każdy, »kto ma skrzydła«. Ale Mohort, który »przez wszystkie czasy jak słup graniczny na granicy siedział«, który przez lat z górą osiemdziesiąt pełnił wiernie i wytrwale ciche, mrówcze, nieraz uciążliwe obowiązki, — oto prawdziwy bohater!

Wytrwać! — wytrwać! — to zadanie,
Kto pocziwej sprawie służy:
Choć ci wszystko wpoprzek stanie...

¹ W zbiorze *Ptaszków*. Dzieła t. IX. str. 284.

pisał Pol w lat kilka po *Mohorcie*. A więc nie jest rzeczą przypadkową »bezczynność« starego porucznika; jego wielkość polega — zdaniem poety — na tym właśnie, że nie wybijając się nad innych czynem, przerastał ich spokojem, powagą ducha i wytrwałością... Oto słowa, które powinny być położone na czele poematu jako *motto* i najlepszy komentarz:

Wytrwaj — wytrwaj u łańcucha —
Bo *nie w czynie*, ani w zdaniu,
Lecz *zasługa* w sile ducha
I w *niezłomnym Bożym trwaniu*¹.

Takim bohaterem niezłomnego trwania jest Mohort.

Rozmyślne usunięcie wielkich, wyróżniających się czynów i wydarzeń odjęło poematowi charakter epiczny, a uczyniło go więcej opisowym; stąd pochodzi pewna jednostajność i rozwlekłość, chwilami wywołująca znużenie.

Dostrzegając brak życia i ruchu, starano się wyjaśnić to w znacznej części formą poematu, mianowicie opowiadaniem nie od samego autora, ale przez usta bądź wprowadzonej osoby (Krasickiego), bądź bohatera. Ciekawa jest w tej sprawie uwaga Konst. Gaszyńskiego, rzucona w przyjacielskim liście; oto co pisał Gaszyński: »Prawda, że Mohort ma przesłiczne miejsca, ale brak mu ruchu, trochę monotony — wina to formy, bo opowiadanie wprowadzone jako epizod podoba się, ale cały długi poemat w opowiadaniu jest nużący«².

Zdanie to utrzymuje się do dni dzisiejszych; atoli nie sądzę, iżby było należycie umotywowane i słuszne.

Przedewszystkim trzeba zauważyć, że pod tym

¹ *Pieśń o domu naszym*. Dzieła, t. IX str. 346.

² List z dn. 23 maja 1855 r. Rękop. Bibl. Jagiel. Nr. 3755.

względem forma *Mohorta* nie jest jednolita; znaczną część poematu opowiada Ksawery Krasicki, zrazu o sobie, potem już tylko o Mohorcie, jego życiu i przygodach; ale oprócz Krasickiego opowiada też sam bohater o sobie kilka dłuższych ustępów. Mamy więc słowa bohatera o nim samym i słowa osoby trzeciej. Co do pierwszego sposobu — nie mam zamiaru sprzeczać się z temi, co twierdzą, że długi poemat znużyłby w tej formie; mówmy o poematach mniejszych. *Więzień Chillonu* lub *Ojciec zadżumionych* rozpędzą chyba wszelkie wątpliwości, czy forma taka się nadaje, a przecież ustępy włożone w usta Mohorta nie są od tych poematów dłuższe, przytym zawierają fabułę więcej urozmaiconą, niż np. poemat Słowackiego, dlaczegóżby więc ta forma miała pozbawiać je plastyki i życia. Zresztą w poezji jest ona uprawniona już chyba od czasów, gdy rapsodowie greccy wygłaszali bardzo a bardzo długie opowiadanie Odysseusa na dworze króla Feaków.

A teraz co do drugiego, co do wprowadzonej postaci narratora, — cóż nam przeszkadza w ciągu poematu zapomnieć o niej i wyobrażać sobie, że to sam poeta był na Ukrainie, Mohortowi się przyglądał i teraz opowiada wszystko co widział i słyszał? Jabym sądził, że takie włożenie słów w usta trzeciej osoby, artystycznie zastosowane, nie oddala nas od postaci i czasów, lecz przeciwnie — zbliża. Ileż zyskał na prawdzie i plastyce taki np. Rzewuski, wprowadzając starego Soplicę! Więc nie piszę się na zdanie, że ten sposób opowiadania szkodzi poematowi; o jego żywości stanowi nie forma, ale jakość, rodzaj opowiadania. Niech gawędzi kto chce, byleby gawędził dobrze, byleby opowiadał z życiem i plastyką, byleby

dawał złudzenie, że to wszystko przed naszymi dzieje się oczyma.

A tego — niestety — w *Mohorcie* niema. Rodzaj i stopień talentu autora jest tu powodem jedynym. Ci, co śpiewali hymny na cześć plastyki i obrazowości u Pola, byli chyba nieszczerzy. Najwspanialsze przygody wyjdą blade i nużące, jeżeli się zacznie opisywać je po kronikarsku, suchym stylem sprawozdawczym. Poezja musi dawać obraz, musi pokazać naocznie jak coś się dzieje, bez względu na to, czy to się działo bardzo dawno, czy wczoraj, bez względu czy to są wypadki żywota zewnętrznego, czy stany ducha. Nie dość powiedzieć, że ktoś był smutny lub zamyślony; poezja musi stworzyć ten smutek i zadumę, pokazać myśli i uczucia, ich stopnie i odmiany. Otóż w *Mohorcie* podobnego przedstawienia rzeczy jest bardzo mało, zarówno gdy chodzi o świat wewnętrzny bohatera, jak też o jego przygody.

Wskazać można jedno tylko miejsce, gdzie Mohort przykuwa do siebie i odsłania duszę; jest to chwila pożegnania z klasztorem. Tu przynajmniej widzimy na jego obliczu smutek i jakąś przedzgonną powagę; odczuwamy, co się w nim dzieje, że czegoś tęskni, czegoś mu żal. Gotuje się na śmierć, rozporządza majątkiem, żegna się z przyjaciółmi, rzuca sygnet do wody, — wszystko to jest ludzkie i prawdziwe. Rozumiemy, że to żywy i czujący człowiek, a nie pełen enoty automat, od stu lat powtarzający te same wyrazy i czynności.

Zresztą postać starego porucznika zaciera się i rozprasza na drobne szczegóły, na wyliczanie zwyczajów i obyczajów, na dodatki ciekawe może jako zabytek dawnych czasów, lecz dla całości obojętne.

Jak wyżej wspomniałem, — ogólny charakter po-

zbawionego akcji poematu jest więcej opisowy, niż epiczny. Jeżeli w ustępach epicznych nie znaleźliśmy plastyki ani ruchu, może choć w opisowych odkrywamy malowniczość... Niestety i tej bardzo tu mało. Taki np. epizod o stadzie Mohorta — to wierszowany traktat o różnych typach, maściach i oznakach konskich, a nie żywy i malowniczy obraz. Staropolski erudyta przygniótł tu poetę i malarza.

Autor umieścił sprawę na stepach Ukrainy, na brzegach Dniepru; zdawałoby się, że wyzyska choć w części to niezgłębione źródło obrazów przyrody, z którego już tylu pisarzy z powodzeniem czerpało (wystarczy wspomnieć niezrównane opisy Dniepru i stepów u Hohola). Ale Pol swoim zwyczajem poczyną sobie bez poetycznych lotów, tak poprostu, jakby to opowiadał który z ukraińskich osadników, spędzający życie między stadem a pasieką.

Śliczny był wieczór, cichy i pogodny,
I miesiąc zeszedł i stepy oświecał,
Konie szły rażno pośród nocy chłodnej,
Czasem się w polach ogień gdzieś rozniecał;
Czasem w przelocie ozwały się ptaki...

Tak się opisuje księżycową noc na stepach! A teraz nieco dłuższy ustęp o początku wiosny na Ukrainie:

Kogóż nie zbiedzi i kogóż nie znudzi
Na Ukrainie ta rozkał wiosenna?
Lecz co za rozkosz, gdy się ziemia senna
Po długiej nocy znowu ze snu budzi!
Wówczas się wiosna do razu już robi,
Bo to zaledwo że się śnieg roztopił,
A tu wiatr ciepły i deszczyk przekropił,
I już zielono...

i tak dalej wylicza poeta wszystko, co się »dorazu już robi«, — łudząc się zapewne, że tworzy poemat.

Ze skąpej liczby drobnych i suchych opisów przyrody wyróżnić można rzut oka na Dniepr, widziany z okopu Mohortowej strażnicy:

Dniepr u przepaści wstęgę swą rozłoczył,
A jak najdalej sięgło tylko oko,
Świat się rozłożył za Dnieprem szeroko,
A na wzdłuż rzeki pomiędzy skałami
Mgła się poranna zwijała kłęбами,
I w teże chwili pierwszy blask promienny
Ocknięte stepy z ukosa zadrasnął,
I świat się budził — ale Dniepr był senny
I spać się zdawał — jak pod mgłami zasnął...

Nie jest to głęboko odczute, za mało przesączone przez wrażliwą duszę artysty, — ale przynajmniej nie razi poczucia estetycznego. Za najpiękniejszy opis w całym poemacie uważam futor Mohorta w chwili, gdy ks. Józef doń przybywa.

Jar był szeroki i pięknie obrosły,
Jak uroczysko, niby pełen czaru —
Drzewina kwitła, dąb strzelał wyniosły,
A na dnie jaru jeszcze z nocnej rosy
Trawy nietknięte, — w dali jakieś skały,
Nad nami w krzewach leśnych ptasząt głosy,
A żywe wody pod nami zagrały...

Święty Onufry z brodą za kolana
Kłęczał w pustyni wśród małej pieczary,
A wniósł do niej brzost ocieniał stary,
A u stóp jego krynica rozlana
Żywym do jaru upływała zdrojem —
I jar oddychał uroczym pokojem,
I wonne jego owiały nas chłody —
A niżej nieco zbierały się wody
W stawku niewielkim i turkotał młynek;
Dalej pasieka pośrodku kalinek,
A jeszcze dalej laszek czeremchowy,
A w nim rozpięty namiot Mohortowy.

Wszystko to bardzo proste, a w swej prostocie ogromnie wdzięczne i miłe. Już to Pol nieraz zbliżał się do mistrzostwa w kreśleniu takich zacisznych ustroni. Przypomnijmy sobie ze zbioru jego drobnych poezji ten stary wiejski kościółek, albo poranek letni w puszczy, albo noc nad leśnym jeziorem. Podobnie i tutaj poeta z naiwną dokładnością układa plan bliższy, ustawia na nim drzewa, napełnia je śpiewającym ptactwem, wśród krzewów ukrywa kapliczkę, przeprowadza szemrzący strumyk, puszcza w ruch młyn, potym rozwiesza dalsze dekoracje, lasek czeremchowy, zarosłe stoki jaru, »w dali jakieś skały«, — aż wszystko złoży się na całość piękną i ujmującą.

Z opisów w *Mohorcie* zasługuje też na wyróżnienie krótki a bardzo trafnie pochwycony obraz płynącej kolumny wojsk różnej broni:

Jako po stepie szeroki szlak płynął,
Tak krętą rzeką korpus się rozwinał,
I wstęgą suną pułki coraz nowe,
W powietrzu wieją znaki narodowe,
Na przedzie widne i jeźdźce i konie,
Dalej się czernią tylko górą kaski,
Dalej kolumna płynie jak most płaski,
A jeszcze dalej błyszczą tylko bronie,
I ponad wojskiem tylko tuman płynie.
A już nareszcie step w obłoku ginie...

Atoli gdy wypadło dywizję Wielhorskiego przyprowadzić pod Boruszkowce i tam z całą grozą i życiem roztoczyć obraz nieszczęsnej potyczki na grobli, to subtelne spojrzenie malarza — obserwatora nie dopisało pocie. Bitwa przedstawiona blade i po kronikarsku nie jest ani punktem kulminacyjnym poematu, ani wstrząsającym finałem.

Raz jeszcze rzuciwszy okiem na całość, wyrazić

można przypuszczenie, że wiele scen i epizodów silniejsze czyniłoby wrażenie, głębsze ślady żłobiłoby w pamięci, gdyby ton opowiadania był cokolwiek wyższy, podniesiony do powagi i godności przedmiotu, gdyby język mniej był potoczny i gadatliwy, a bardziej skupiony, zwarty i jędrniejszy. Wielce szkodził poematowi złe nałogi stylu, rodem z pamiętników Winnickiego, tutaj zbytecznie przeszczepione:

Barszcz był wyborny, a baran był z różną,
I jajecznicą a arcy-wielmożną,
Bo przystrojona wieńcami kielbasy...

O księdzu rektorze czytamy, że

Przybył z zapasem i klasztornym dworem,
Z miodem, i ze mszą, i przywiózł specjalę...

Tak to u Pola msza św. znalazła się między miodem a specjalami. Nieco dalej pisze poeta, że

Rektor z piwnicą mieścił się w stebniku,
Licząc gąsiory i butle w kąciku...

Po odczytaniu podobnych ustępów można się wahać, czy rektor bazyljański miał na pieczy klasztor i służbę Bożą, czy piwnicę i szlacheckie miody.

Do ułomności stylistycznych przyłączają się gdzieś zaniechania techniczne. O zupełnym lekceważeniu tej strony świadczyć może zwrotka w charakterystyce Mohorta zamieszczona:

Miarkując z tego, co sam opowiadał,
Już dobrze z górą sto lat sobie liczył,
Jakoż na konia z klocka tylko siadał,
Z wieczora sypiał, raz na dobę jadał,
A już z północkska wszystkie kury liczył.

W różnych czasach poświęcono *Mohortowi* wiele drobnych studjów i ocen. Najobszerniejsze dali: prof.

Stan. Tarnowski¹ i Marjan Dubiecki². Pierwszy z wielką subtelnością uwydatnił wszystkie ułomności poematu; drugi usiłował odtworzyć tło obyczajowe, ale zapomniawszy o Polsce zboczył na Zaporozże i dlatego wniosków swych należycie nie uzasadnił.

Zasługują też na przypomnienie uwagi Włodz. Spasowicza (w szkicu *W. Pol jako poeta*) i Stan. Koźmiana (w *Przeglądzie Poznańskim* r. 1855).

Za dni naszych sądy krytyczne, ustalone co do pewnych stron poematu (np. kompozycji), różnią się znacznie na innych punktach. Tak np. według P. Chmielowskiego »opowiadanie o pierwszej i jedynej miłości rycerza, ujęte w słowa proste, ale tętniące głębokim uczuciem, jest najpiękniejszą rzeczą, jaką w tym rodzaju Pol kiedykolwiek napisał«³. Tymczasem prof. Tarnowski o scenie porwania trumny pisze, iż jest to przykład »niezręczności Pola w traktowaniu sytuacji poetycznych. Ta rozpacz jest przesadna a zimna to rozpacz z melodramatu, ale nie z prawdziwej i poważnej poezji«; o całym zaś epizodzie miłosnym ten sam krytyk mówi, że »byłby mógł być bardzo pięknym, gdyby Pol był inaczej i lepiej umiał odczuć, wyobrazić sobie i traktować sytuacje miłosne i patetyczne. Ale tak jak jest, ustęp ten jest pod wszystkimi względami zupełnie chybiony«⁴.

Wobec takiego wahania się sądów jeszcze po latach pięćdziesięciu od ukazania się poematu, trudno przewidzieć, jaki wyrok wygłosi nad nim przyszłość

¹ Historia literatury polskiej. Tom VI cz. I, str. 33—53.

² *Mohort, rycerz kresowy* w II serji *Obrazów i studjów hist.* (Warszawa 1899).

³ Historia literatury polskiej. Tom VI str. 39.

⁴ Op. cit. str. 46 i 47.

Jedno tylko zdaje się niewątpliwym, — że *Mohort* zostanie w literaturze na zawsze.

Czy jednak zostanie w rękach ogółu? Czy nie zejdzie do poziomu obowiązkowej lektury szkolnej na podobieństwo jakiej *Wojny Chocimskiej* Krasickiego?

Przyszłość to pokaże.

Ze śmiercią Mohorta zstąpił do grobu świat, którego on był przedstawicielem. Rzeczpospolita szlacheckorycerska przeszła do historii. Świat nowy »urodzony w niewoli, okuty w powiciu«, w odmiennych żyjąc warunkach, innemi drogami stąpa — i dlatego sędziwy porucznik nie będzie dlań nigdy przewodnikiem ani zwiastunem przyszłych dni.

Atoli nie będąc chorążym nadchodzących pokoleń, zostanie dla nich zawsze czcigodną i drogą pamiątką.

Kto zapragnie poznawać przeszłość naszą ze słów tych, co z miłością wielką i tęsknotą o niej pisali, ten odczytawszy dzieje ostatniego zajazdu i pożegnawszy w Soplicowie »ostatnie egzemplarze starodawnej Litwy«, sięgnie może po ten »rapsod rycerski«, aby dowiedzieć się jak żył i jak zginął w ostatniej wojnie Rzeczypospolitej »ostatni rycerz z pod szyszaku, ostatni od szlaku«...



IX.

Wit Stwosz.

Nowy rodzaj. — Zródła biograficzne. — Dramat Fr. Wagnera. — Własność poety. — Teza i jej przeprowadzenie. — Pierwiastek subiektywny. — Właściwości stylu.

»*Wit Stwosz* nie jest podobny do niczego, com kiedykolwiek napisał...«¹. W słowach tych wyraził poeta prawdę, którą nie dość jasno uświadamiano sobie dotychczas. A przecież oceniać poemat ten według jednego dla wszystkich dzieł polowskich szablonu jest rzeczą niewłaściwą i nieoględnie postępuje krytyk, który kładzie *Wita Stwosza* do szufladki z napisem: gawędy staropolskie.

Różnice między tym »poematem z pomników historycznych XV wieku« a dawniejszemi gawędami czy »tradycjami« są liczne i różnostronne. Rozpatrzmy je, postępując od formalnych do istotnych.

Gawęda była zawsze opowiadaniem starego szlachcica, Winnickiego lub Krasickiego, utrzymanym w stylu potocznej pogadanki; Benedykt opowiadał o swych przygodach w podróży, o tym co w Dubiecku i w Sądowej Wiszni widział; pan Ksawery opowiada o Mohorcie, powtarza, co z jego ust słyszał. Tymczasem

¹ W. Pol do A. Przezdzieckiego dn. 9 lutego 1854 r. Rękopis Bibl. Jagiel. Nr. 3752.

w *Wicie Stwoszu* autor wyrzeka się podobnej mistyfikacji i odrazu zaczyna przemawiać od siebie. Wprawdzie część najważniejsza poematu włożona jest w usta bohatera, ale Stwosz jest wprowadzony, niejako sam do nas przemawia, stąd też jego słowa są świeższe, niż np. opowiadanie Mohorta. Nadto początek i zakończenie pochodzą wprost od autora, w stosunku zaś do całości stanowią więcej niż piątą część¹.

Co do budowy — tamte utwory były zlepkiem rozmaitych anegdot i epizodów, tutaj mamy do czytania z jednolitą powieścią, przedstawiającą żywot bohatera w najważniejszych chwilach, i to nie jak w *Mohorcie* — na wywrót, lecz od wczesnej młodości do sędziwych lat. Jest więc i tu różnica, polegająca na obmyślanej fabule powieściowej i na kompozycji, odpowiadającej wymaganiom sztuki.

Po tych niejako technicznych stronach podkreślimy różnice wewnętrzne. Kim jest Wit Stwosz, a kim byli bohaterowie »tradycji« i rapsodu? Młody Winicki był szlachcicem — bałagułą, stary Chojnacki — szlachcicem na zagrodzie, rębaczem i zawadżką; Bał, Mniszech, Czartoryski, Krasicki — to szlachta magnaci i senatorowie; cześnik Bączalski — to szlachcic próżniak i wesołek, wreszcie sędziwy Mohort — rycerz i ziemianin. Obok nich jakże odmienną i obcą jest postać Wita Stwosza. Nie szlachcic, ale mieszczanin, i do tego dumny ze swego mieszczaństwa a gardzący herbem; nie ziemianin ani rycerz, lecz artysta i mistrz cechu. Wreszcie tamci wszyscy —

¹ Z obliczenia stron według tomu I. Dzieł, po opuszczeniu poświęcenia i kart *in blanco*, wypada na poemat str. 54, a z tego na początek i zakończenie str. 12, co daje stosunek 9 do 2.

to wiek osiemnasty, czasy Sasów i Stanisława Augusta, tutaj epoka bardzo odległa, panowanie Kazimierza Jagiellończyka i syna jego Olbrachta, schyłek wieków średnich.

Ta odległość epoki, z której treść poematu zaczerpnięta, prowadzi za sobą różnicę największą.

Czymże były poprzednie gawędy, jeżeli nie szeregiem luźnych anegdot i wspomnień, zapamiętanych czy zapisanych swego czasu, ułożonych następnie w pewne całości? Materiał gotowy, mianowicie podania szlacheckie opracowywało się zgrubsza, przelewano w rymy i na tym — ogólnie mówiąc — kończyła się praca autorska. Wyobraźnia twórcza odgrywała w gawędach tak podrzędną rolę, że z trudem dałoby się wskazać nieliczne momenty, w których ona głos zabiera. W *Wicie Stwoszu* rzecz ma się odwrotnie. Wiek XV — gdzież tu szukać żywej tradycji? Może przechowała się jakaś legienda czy podanie, czasów tych sięgające, — ale jakże zbudować z tego cały poemat? Tu już wyobraźnia twórcza pracować musi, chociażby nawet miała jakiś podkład anegdotyczny. Zabrakło żywej tradycji, pozostały tylko kroniki, dokumenty, listy, dzieła sztuki, zabytki przemysłu; wszystko to dać może tło czyli kanwę i pęk różnobarwnych jedwabi, — haft musi być dziełem twórcy. I oto na tym stanowisku znalazł się Pol jako autor *Wita Stwosza*. To już nie anegdoty, facecje i epizody, potocznie opowiedziane, lecz *poemat* na tle historycznym osnuty.

W przedstawieniu faktów historycznych poeta korzysta z przynależnych mu praw i więcej ufa własnej intuicji, niż dokumentom. Wprawdzie kroniki norymberskie świadczą, że Stwosz niewątpliwie podpisał Bannera sfałszował i że go słusznie spotkała kara

piętnowania, ale Pol na to odpowiada: »Jak długo trwa to przekonanie, że tylko pergaminowy dokument lub to jedynie, co jest pisane, będziemy brali za materiał historyczny, tak długo nie będziemy mieli historii«¹. Więc jak prawdziwy poeta puszcza wodze wyobraźni twórczej i opiera się na przekonaniu wewnętrznym; to zaś przekonanie nie pozwalało mu wierzyć, »aby człowiek, który był naczyniem Bożym i narzędziem w jego ręku, oddany sztuce w służbie kościoła, mógł być się dopuścić nیکczemności, o jaką go oskarżono, za jaką go piętnowano«².

Dlaczego Pol od uprawianego stale rodzaju gawędy przerzucił się raptownie do innego? Czemu z w. XVIII sięgnął odrazu do XV? Jakie powody skłoniły go do wejścia w świat tak niepodobny do tego, w którym dotychczas przebywał?

Dzieje literatury podają nam jeden powód, oparty wprawdzie na domysle tylko, lecz z wielkim prawdopodobieństwem. Jest to wyjaśnienie prof. Tarnowskiego, które we własnych jego słowach brzmi jak następuje:

Nikt nie pisał, a nawet nie mówił głośno, ale niejednen myślał i mówił po cichu, że Pol nie jest dość artystą. Jeżeli go takie sądy doszły, a dojsć łatwo mogły, to musiały go zabołec i wywołać chęć zwycięskiego odparcia tych zarzutów. »Mówicie, że ja nie jestem artystą? Otóż ja wam pokażę, że się mylicie. Wprowadzę w poemat artystę, a z tego poznacie, jak ja sztukę miłuję i jak ją pojmuję«. Ale Pol się pomylił. Nie o to chodziło, czy on sztukę zna i rozumie, tylko o to, czy sam sztukmistrzem jest,

¹ Dzieła T. I., str. 96.

² Tamże, str. 115.

czy jego dzieła są dziełami sztuki w całym znaczeniu tego słowa...¹.

Obok tego powodu prof. Tarnowski zaznacza zlekka i drugi. Oto na Pola działać musiała średniowieczna architektura gmachów krakowskich; gotyckie kościoły i *Collegium maius*, grobowce i ołtarze, — wszystko to pociągając zmysł piękna i budząc wspomnienia odległych a świetnych epok, niejako napraszało się do odtworzenia w poemacie.

Takie więc być mogły dwie silne pobudki, które skłoniły poetę do napisania *Wita Stwosza*. Do nich dodałbym trzecią, jak dwie poprzednie żadnym świadectwem dostatecznie nie stwierdzoną, ale wysnutą ze słów poematu.

Zaraz na początku zjawia się pocie ewangeliczna »mądra panna« z lampą w dłoni i niby muza mitologii greckiej w te przemawia słowa:

Tam w obcej ziemi leżą czyste kości —
Ciebiem wybrała, abyś je wybawił,
I w domu ojców pocziwie postawił;
Boć w dziejach moich pono nie nowina,
Ze matka zwłoki wykupuje syna.
Zapłać co trzeba, Pan ci to policzy,
A niech co swoje ziemia ta dziedziczy.

Cóż to znaczy? O jakiej obcej ziemi mowa i o czyich kościach? Oczywiście poeta ma tu na myśli prochy Wita Stwosza, spoczywające w ziemi obcej t. j. na cmentarzu w Norymberdze. Chrześcijańska muza powołuje poetę do zbożnego czynu: ma on wykupić z obczyzny i w domu ojców pocziwie postawić te szczątki, aby ziemia nasza dziedziczyła to, co było jej własnością. Znaczy to, że Pol zabiera głos w sporze

¹ Historia literatury polskiej. T. VI. cz. I. str. 53.

dwu narodów, przywłaszczających sobie znakomitego artystę i postanawia odebrać Stwosza Niemcom, a przypisać go całkowicie ojczyźnie swojej. Przedstawić Wita jako Polaka z urodzenia i z ducha, jako krew ze krwi i kość z kości, oto — sądził Pol — zadanie narodowego poety; spełniając je, zwiększa się galerję znakomitych mężów i wzbogaca rodzinny dorobek artystyczny.

W tym też kierunku pewne światło na genezę i znaczenie poematu rzuca własne autora zdanie, wyrażone w liście do jednego z nakładców.

Wit Stvos — pisze Pol — jest przedmiot odległy czysto artystycznej natury. Wyprowadzam go na tle dziejowem dla przyswojenia wyjątkowego zjawiska, czyli raczej dla okazania, że to było u nas bardzo normalnem zjawiskiem, cośmy nawykli uważać za wyjątkowe. Co w tradycji, w sercach, w głowach, w cnotach, w obyczajach żyło, to upadło, rozproszyło się, to jest dziś zapomniane, — co w marmurze zostało, uważamy stąd za wyjątkowe... *Wit z Krakowa* jest człowiekiem i artystą epoki, nie tylko u nas, ale w całej Europie. Europa była wówczas arcyartystyczną, a Polska arcykatolicką, — te przeto cechy charakteryzują poemat w ramach średniowiecznych i cechowych obyczajów...¹

W czasach późniejszych brano za złe Polowi (głównie W. Spasowicz), że w zapale patryjotycznym poszedł za daleko i nie tylko wielkiego artystę odebrał Niemcom, ale co gorsza — przypisał mu najznakomitsze dzieła, których on nie stworzył, jak np. grobowiec św. Sebalda i cyborjum w kościele św.

¹ Bruljon listu W. Pola do A. Przezdzieckiego z dn. 9 lutego 1854 r. obcą pisany ręką. Rękop. Bibl. Jagiel. Nr. 3752.

Wawrzyńca. Sąd taki płynąć może tylko z nieznajomości źródeł, z których poeta czerpał. Tym źródłem musimy się bliżej przyrzyć, gdyż dopiero poznawszy to, co Pol zastał i z czego korzystał, będzie można uwydatnić jego własną zdobycz i ocenić pracę jego wyobraźni twórczej.

W przedstawieniu życia Wita Stwosza oparł się Pol na dwu autorach polskich: Ambrożym Grabowskim i Edwardzie Rastawieckim; pisarzy niemieckich możemy pominąć, gdyż cokolwiek się u nich ciekawego znalazło, zwłaszcza o życiu Wita w Krakowie, to Grabowski uwzględniał i w tłumaczonych wyjątkach podawał.

Z prac Grabowskiego niewątpliwie znane były poecie następujące: *Starożytności historyczne polskie* (1840), *Kraków i jego okolice* (wyd. IV—1844), *Dawne zabytki miasta Krakowa* (1850) i *Starożytnicze wiadomości o Krakowie* (1852). W każdym z tych dzieł znalazł Pol wiadomości o Stwoszu, które zebrane razem złożyły się na następujący materiał faktyczny:

Wit Stwosz (inaczej Stoss) urodził się w Krakowie w r. 1447. Najprawdopodobniej pochodził z rodziny niemieckiej, osiadłej w Krakowie w owych czasach, gdy prawie ogół handlujących i rzemiosłami trudniących się mieszczan stanowili przychodnie z Niemiec. Znakomity ten snycerz t. j. rzeźbiarz w drzewie blisko do końca w. XV mieszkał w Krakowie, gdzie był starszym cechu malarzy i rzeźbiarzy. W roku 1486 wybrał się w podróż do Norymbergi, może na odgłos sławy z biegłości w sztuce wezwany tam do robót snycerskich. Po trzyletniej przerwie zjawia się znowu imię jego w r. 1490, a ostatni raz w r. 1495 i tu już wszelkie o nim dalsze wiadomości w doku-

mentach krakowskich urywają się¹. Wiadomo też, że opuszczał Kraków wdowcem, warsztat zaś snycerski pozostawił synowi swemu, Stanisławowi. Sam osiada na stałe w Norymberdze i tu prowadzi największą pracownię rzeźbiarską, głośną i w obcych krajach. Dziełami swemi wywiera wpływ na znakomitego odlewnika Piotra Vischera; nawet grobowiec św. Sebalda wykonany został w znacznym stopniu według rysunku Stwosza, nakreślonego przezeń w r. 1488, za pierwszej bytności w Norymberdze. Ociemniawszy na starość, zmarł w r. 1542, przeżywszy 95 lat².

Z robot Wit Stwosza w Krakowie, których autentyczność jest niewątpliwa, Grabowski wymienia tylko dwie: ołtarz wielki u P. Marji i sarkofag Kazimierza Jagiellończyka w Katedrze.

Do charakterystyki rzeźbiarza posłużyć mógł dokument, podany przez Grabowskiego, a będący kopją ze starego pergaminu, znalezionej w puszcze za wielkim ołtarzem. »Mistrz abo rzemieśnik tej roboty (t. j. ołtarza u P. Marji) był mistrz Wit, dziwnie stateczny i pilny i życzliwy, którego rozum i robota po wszystkim chrześcijaństwie z pochwałą słynie, którego też ta robota zaleca na wieki«³.

Co w podanych przez Grabowskiego szczegółach uderza, to że niema tam ani słowa o przestępstwie Stwosza i o karze, która go spotkała. Wiadomość o tym fakcie, przez uczonego krakowskiego umyślnie zatajoną, znalazł Pol w dziele Edw. Rastawieckiego.

¹ Porówn. A. Grabowskiego *Starożytności historyczne polskie*.

² Według nowszych badań Wit Stwosz urodził się około r. 1438, zmarł w r. 1533.

³ A. Grabowskiego *Kraków i jego okolice*.

W tomie II »Słownika malarzów polskich« (Warszawa, 1851) czytamy: W. Stoss strawił był potąd część większą życia swego jako człowiek nieskazitelny i cnotliwy, w mieście swym rodzinnym Krakowie posiadał powszechny szacunek, z wysokiej zaś sztuki swojej, dla przybytków Bożych najwięcej poświęconej, pozyskał więtość i sławę... Atoli zaledwie osiedlił się w cudzoziemskim grodzie, gdy go skazano za dopuszczenie się jakiegoś fałszowania listów i r. 1503 piętnowany został, a przysięgać musiał, że się przez całe życie z miasta Norymbergi nie wydali... Rodzaj przestępstwa Stossa nie jest dostatecznie wyjaśniony; czyli zaś w karze na nim wymierzonej nie można upatrywać jakowej przeciw cudzoziemskiemu artyście zawiści,... czyli nie szukano w tym pozoru zatrzymania sobie na zawsze jego zdolności, — oddać to dziś należy bezstronnego sądu rozbiorowi¹.

Pol trzymał się ściśle przytoczonych wyżej szczegółów; sprawę Stwosza niejasno przedstawia, przyczyny zaś podaje te same, co Rastawiecki, chociaż ten tylko w formie domysłu je podsuwa.

Kramni i mistrze zawarli przymierze,
Żem się poważyl tak wielmożnie chlubić,
I uradzili, ażeby mnie zgubić...

.....
Wystąpił jakiś kłamany wierzyciel...
Jam zaparł listu, zbił skargi nieprawę;
Lecz kupnych świadków przywiódł oskarżyciel,
I zaprzysięgli krzywą jego sprawę.
I w mgnieniu oka było w mieście świętno,
Że jemu grzywny, mnie wyrok na piętno!

.....
Nie dość, że z piętnem miałem już pójść światem,

¹ Str. 230—232.

Z pręgierza w powrót stawiać mię przed radę:
I na krucyfiks przysiądz mi kazano,
Że nigdy w życiu z miasta nie wyjadę!

Tu zrozumiałem jasno, o co chodzi,
Że moja praca i sława im szkodzi...
A jako Tatar przetrąca kolano
Jeńcowi swemu, tak tu rzecz pamiętna,
Że ja pod piętnem — a oni bez piętna!

Jednakże w przedstawieniu dalszego życia Stwosza poeta zupełnie odstępuje od wiarogodnych źródeł. Wiadomo, że po tym przykrym wypadku mistrz bynajmniej od świata się nie odsunął, że pracował i tworzył jak dawniej. Nie tylko Niemcy, lecz i Rastawiecki podaje, że »po tym smutnym zdarzeniu znajdujemy znowu W. Stossa tym samym pracowitym i gienjalnym artystą, którego dzieła chciwie są w Niemczech poszukiwane, a którego sława coraz się bardziej i rozlegle szerzy«. Tymczasem u Pola z chwilą sądu i wyroku kończy się też działalność Wita, który zupełnie z ludźmi zrywa i pogrąża się w boleści.

Dom mój zamknąłem jako grób bez mała,
By mię żrenica ludzka nie dojrzała;
A zestarawszy, w miłości zakrzepłem,
I wpośród wrogów na końcu — ośleplem.

Uwydatniłem wyżej cały szereg faktów i szczegółów, a nawet rysów do charakterystyki bohatera które Pol zdobył na drodze studjów przygotowawczych i w poemacie uwzględnił. Z kolei wskazać trzeba dość liczne motywy, które przedostały się do *Wita Stwosza* drogą pożyczki literackiej.

Podrzędny pisarz niemiecki, Fryderyk Wagner wydał w Norymberdze r. 1852 książkę p. t. *Scenen aus Nürnbergs alter Künstlervelt*. Są to cztery dro-

ne utwory dramatyczne z życia mistrzów norymberskich: Dürera, Kraffa, Vischera i Stwosza. Pol nigdzie ani słowem o tych utworach nie wspomniał, choć miałby po temu sposobność w dodanych objaśnieniach, co do objętości równych poematowi; tymczasem nie ulega wątpliwości, że dziełko Wagnera znał i z niego korzystał.

Obchodzi nas tu oczywiście tylko czwarty w szeregu utwór, dramat w jednym akcie a trzech odsłonach wierszem, noszący tytuł: *Veit Stoss*. Występują w nim: stary ociemniały Stwosz, jego młoda wnuczka, patrycjusz Pfinzing i syn jego, Henryk. Treść jest następująca:

Sędziwy mistrz lubi wysiadywać przed domem w towarzystwie wnuczki, jedynej swej opiekunki. Gdy tak raz siedział, zbliżył się przechodzący młodzieniec i zawiązał rozmowę. Zyskawszy sympatję starca, wyznaje, że jest synem zamożnego patrycjusza, że na życzenie ojca szuka sobie małżonki, a tą, którą mu serce wskazuje, jest właśnie wnuczka Stwosza. Otwarcie więc prosi o jej rękę. Stwosz usposobiony przychylnie pragnie poznać ród i nazwisko młodzieńca. Gdy ten wymienia nazwisko: Pfinzing, — starzec zrywa się, przywołuje wnuczkę i szybko oddala się. Henryk nie rozumie powodu i spieszy po wyjaśnienia do ojca. Zdarzyło się, że właśnie Pfinzing ojciec przeglądał dawne papiery rodzinne i ku wielkiemu zdziwieniu odnajduje list ojca swego pisany do Stwosza. Henryk opowiada o swej przygodzie, poczym obydwaj spieszą do ociemniałego mistrza. Tymczasem starzec zasiadł o zmroku w fotelu i gawędząc z wnuczką, opowiada dzieje swego życia. Był czas, że zdobywszy sławę artystyczną zaczął żyć

nad stan i wpadł w długi, za co groziło mu więzienie. Wówczas dla zdobycia pieniędzy sfałszował rewers; ale rychło wykryto podstęp i wymierzono karę piętnowania. Najbardziej nad tym bolał, że najlepszy przyjaciel Pfinzing, którego wstawienie się mogło uratować od piętna, opuścił go w tym nieszczęściu. Gdy tak Stwosz użala się, słychać pukanie do drzwi i wchodzi Pfinzing ojciec. Zdumionemu starcowi odczytuje list dawnego przyjaciela, w którym ten na krótko przed śmiercią usprawiedliwia się i błaga o przebaczenie. Stwosz z radością słucha, oświadczywszy o wnuczkę przyjmuje, — wtym nagle opada na fotel i umiera.

W głównej osnowie dramat Wagnera, jak widać już z powyższego, różni się znacznie od poematu Pola, przedewszystkiem zaś tym, że posiada intrygę miłosną. Atoli w obydwu utworach znajduje się tyle miejsc pokrewnych, że wpływ niemieckiego pisarza na naszego poetę uznać trzeba koniecznie.

Najpierw co do osób: u obydwu autorów Stwosz jest już starcem sędziwym, ociemniałym, moralnie złamanym i blizkim grobu; obok niego młoda i piękna wnuczka, z największą troskliwością opiekująca się dziadkiem. Wagnerowi potrzebna była wnuczka dla zawiązania intrygi miłosnej, Pol zaś przeniósł ją do swego poematu bez koniecznej potrzeby. Pfinzingowie ojciec i syn u Pola wprawdzie nie występują, ale w scenie z radcami miasta Stwosz woła: »Czy Fincyng nie żyje?« Nazwisko to zapewne przeszło z omawianego dramatu, a nie z dokumentów norymberskich, gdzie jest tylko drobna wzmianka o budowniczym Pfinzingu, któremu Stwosz sprzedał jakiś »wóz polski«.

Za podobieństwem w osobach idzie podobień-

stwo miejsca. Początek w obydwu utworach zupełnie jednakowy:

... niewiasta młoda
Przez próg ostrożnie rękę komuś poda.
I wyszedł starzec — a ona prowadzi,
I na ławeczce w cieniu go posadzi...

a nieco dalej Wit przemawia:

Coś orzeźwiałem — a skąd tam tchy Boże?...
Bo jakoś dziwnie czuję się skrzepiony.

U Wagnera dziewczę wyprowadza przed dom starca, który mówi:

.... führe mich heraus in's Freie,
Im Zimmer ist's so schwül, lass auf dem Ruhstein
Mich niedersitzen, wie ich's gerne thue.
Hier fühle ich die frische Luft, die stärkend
Mir Stirn und Schläfe kühlt...

Pod koniec poematu Pol przenosi akcję do komnaty Stwosza, który »w poważnym krześle« siedzi, »a przy nim niza koronkę niewiasta«; tak go zastają wysłańcy rady. Podobnie u Wagnera odsłona trzecia ukazuje »Zimmer bei Stoss. — Stoss sitzt in einem Lehnstuhl«... i tu odbywa się scena analogiczna — przybycie Pfinzinga.

W sytuacjach znaleźć można miejsca bardzo zbliżone. Tak np. obydwaj autorowie wprowadzają opowiadanie Stwosza o przebiegu życia; tu jak i tam wnuczka nic nie wie o dawnych losach dziadka, ten zaś rozpoczyna opowieść jednakowo w obu utworach. U Wagnera mówi:

Lass dir von längstvergangner böser Zeit
Den Schleier heben, eh'es ist zu spät,
Denn die Erschütterung bracht', ich fühl es tief,
Mich einen weiten Schritt dem Grabe näher.

Polowski Wit przemawia:

Tobie mój żywot, wnuko, znaćby trzeba,
Nim mnie Pan w łasce do siebie powoła....
Czuję to, wnuko, że się koniec zbliża...

Drugim miejscem, zdradzającym silny wpływ, jest u Pola przybycie wysłańców miasta, u Wagnera zaś scena z Pfinzingen synem, a potem z ojcem. Oto chwila, gdy młodzieniec wymienił swoje nazwisko:

Stoss (sich aufrichtend)

Wie?

Ein Pfinzing! Sprech nicht weiter! Kind! mein Kind!
Wo bist du? Her zu mir, dass ich dich fasse...

.....

Sag, er soll fort, weit weg aus unsrer Nähe!

W poemacie Pola podobny moment tak jest przedstawiony:

Na to się zerwał starzec, jak lew srogi,
I krzyknął gniewnie: »Czy na nowe zdrady
Bies was prowadzi w zapomniane progi?
Córko daj rękę!...
Dziś ja lew ślepy, ale mam pazury,
I nie leż gadzie, nie leż do lwiej nury!«

Wreszcie przytoczony poniżej wyjątek z opowieści sędziwego mistrza wykaże, iż w wielu motywach poeta nasz zbliżył się do niemieckiego autora.

Du weisst, ich stamm' aus Polen. Frühe schon
Trieb mich ein wilder, ungezählter Geist
Zu manchem kühnen Streich, doch hatt' ich auch
Ein offen, glühend Herz für alles Schöne,
Und mit Begeistrung weih't ich mich der Kunst.
Früh ward ich als Bildhauer hoch geschätzt
Und meine Werke reich belohnt, doch trieb
Mein Sinn mich in die Weite und ich kam,
Von Nürnbergs reicher Kunst gelockt, hieher.

Hier war mein Feld, ich schuf der Werke viele,
Doch bald verwöhnt durch reichen Lohn und Ehre,
Ergriff mich eitler *Stolz*...

O swojej pysze już wyżej czynił Stwosz wzmiankę, mówiąc, że jest on teraz »vom einst'gen *stolzen* Bau nur die Ruine«.

Przedstawiwszy dane biograficzne, z których Pol złożył swego bohatera, oraz wykazawszy, jak daleko sięgają w poemacie pożyczki literackie, można teraz przystąpić do rozpatrzenia tego, co stanowi niezaprzeczoną własność autora.

Przedewszystkiem zatrzymuje uwagę wstęp, poświęcony charakterystyce wieków średnich i z niemi związanej architektury gotyckiej. Uzupełniając intuicyjnie wiadomości historyczne, poeta trafnie uwydatnia ustrój hierarchiczny i podział ludności na stany. Ulega on złudzeniu, że średniowieczny ustrój społeczny był najżywszym wcieleniem myśli bożej, jakoby przez Ducha świętego natchnionym.

Nie bez zdziwienia spostrzega się, że autor piszący w drugiej połowie w. XIX tęskni za średniowiecznym podziałem na stany i cechy:

Dobrzy ci byli, co dzierżyli w cechach
Niesforą czeladź bogobojnie, karnie;
Co się na bezwstyd dziś rozlało w grzechu,
I trując duszę samo ginie marnie,
To na wędzidle wiek surowy chował
I ile można — ku Bogu kierował...

Po takim wstępie rozpoczyna się opowieść o życiu Stwosza, w głównych zarysach na znanych nam źródłach oparta. Wyobraźnia twórcza uzupełnia te dzieje w kilku miejscach, dodając szczegóły życiorysem nie objęte.

Jednym z takich poetycznych uzupełnień jest sen,

w którym artysta odbiera namaszczenie od muzy chrześcijańskiej, wcielonej tu w postać »mądrej panny« z ewangeliji według Mateusza. Widzenie to przeniknął duch ściśle religijny; artysta otrzymuje na drogę żywota krzyż, który ma odtąd nieść z poświęceniem i miłością. Obraz ten jest uplastycznieniem myśli, wyrażonej przy końcu poematu:

Boską jest iskra, która z nieba spadła,
Lecz krzyżem temu, na kogo upadła!

Po widzeniu sennym następuje praca nad krzyżem; i ten ustęp jest owocem wyobraźni twórczej. Z wielką intuicją wżył się poeta w umysłowość średniowiecznego artysty i znakomicie przedstawił te trwogi judaszowe, gdy Chrystusowi z drzewa ciosanemu wypadło bok otworzyć. Duszy współczesnej ta męka rzeźbiarza wydać się może przesadną i nie-naturalną; przenieśmy się jednak myślą w te czasy, gdy tak plastycznie i naiwnie odtwarzano wszystkie szczegóły męki Zbawiciela, gdy wiara prosta i głęboka prowadziła do najwyższego przeczulenia nerwów. Te cierpienia młodego Stwosza przy robocie krucyfiksu ze stanowiska umysłowości dzisiejszej trzeba nazwać chorobą, atoli na tle wieków średnich wydają się zupełnie naturalnemi, w poemacie zaś oddane zostały ze znajomością duszy ludzkiej i poczuć artystycznym. Do nielicznych skarbów wyobraźni twórczej Pola wkład to wcale poważny.

Do zdobyczy jego wyobraźni należą też postaci, otaczające w poemacie Wita Stwosza. Na pierwszym miejscu postawiłbym wnuczkę. Ta młoda osóbką prawie nic nie mówi, siedzi cicho przy boku starca i słucha jego smutnej opowieści; lecz w tej skromnej roli posiada jeden moment, który bardzo pochlebnie świad-

czy o talencie twórcy. Jest to ustęp opisujący, jak wnuczka słuchała opowieści dziadka. Poeta po mistrzowsku oddaje to wzbieranie smutku i boleści, stopniowanie uczuć, wyrażające się w twarzy i w ruchach i wreszcie doprowadzone do »serdecznego łkania«. Piękny też jest obraz odtwarzający ociemniałego starca, który tklwym dotknięciem i słowem koi żalność ukochanej dziewczeczki.

W samym opowiadaniu rzeźbiarza występują dwie postaci: Długosz i Berdysz. O pierwszej pisze Pol w objaśnieniach: »Z wielką tylko nieśmiałością tknąłem się takiej postaci historycznej, jak jest Długosz. Wszakże dla dania obrazu wieku wypadało zbliżyć do siebie dwie największe znamienitości równoczesne i okazać różnicę stanowiska znamienitości w owym społeczeństwie według stanu«. Zamiar poety pozostał tylko zamiarem, w wykonaniu bowiem Długosz jest figurą epizodyczną o konturach niejasnych, bez ruchu i duszy.

Drugą postacią, wprowadzoną dla uwydatnienia epoki, jest lutnista królewski, Berdysz. »Królowie i wielcy panowie — czytamy w przypisku — trzymali na dworach swoich śpiewaków i lutnistów, także rybałtami zwanych... Rybałci byli to ludzie wędrowni, wolni, oddający się w służbę panom... A jak po dzisiejsze czasy mają lirniki i odpustowe dziady dziwnie coś mistycznego w sobie, tak to było niezaawodnie i wówczas. Tak pojąłem lutnistę, którego zbliżył do Wita i uczynił pośrednikiem pomiędzy nim a Długoszem, piastunem wszelkich dziejowych tradycji swojego czasu«.

W Berdyszu starał się Pol połączyć dwie osoby, natchnionego śpiewaka i tajemniczego mędrca. Jako śpiewak Berdysz

Bywał na zamku lutnistą królewskim,
Postać wspaniałą krył płaszczem niebieskim,
A w rysy kołpak głowę przyodziewał,
I czystym głosem czyste pieśni śpiewał.

.
A pieśni jego były jak zdroj czyste,
A jak żar Ziemi Świętej tak ogniste...

Nikt nie wiedział, z jakiego rodu i stanu pochodził lutnistą, lecz szanowano go powszechnie i »każde serce było mu posłuszne«.

Bo chodził światem długo i szeroko
I znał co bywa i patrzył głęboko.

Z mądrością niepowszednią łączył talent poety-pieśniarza. Zdobywszy rozgłosną sławę w Polsce pieśniami o królu Władysławie i klęsce warneńskiej, został nadwornym lutnistą króla Kazimierza.

Dla Wita Stwosza żywił Berdysz przyjaźń serdeczną i trwałą. Nawiedzał go życzliwie, »dodawał dusznego wesela«,

Czasami zagrał, czasami zaśpiewał,
A czasem kazał robić mi przy sobie...

Rozmawiał z mistrzem »o przedniejszych sprawach«, a jako człowiek rozumny nieraz usłużył wyjaśnieniem.

I kiedy radę w dluto mi położy,
To sam to czułem, że się praca boży!
Więc z rady jego było wiele wzięte...

On to doglądał roboty przy grobowcu Kazimierza i »każde cięcie mierzył«.

Ten mędrzec i pieśniarz natchniony posiadał też dar wróżenia, którego się był wyuczył podróżując po Wschodzie. »Wróżenie ze złotego puharu — pisze Pol w objaśnieniach — należało do misterjów wschodu; po krucjatach rozniesły się te mistyczne nauki po

całej Europie i rybacy wróżyli patrząc w głębie złocistych puharów». Otóż i Berdysz lubił patrzeć w »złocistą głębię«, czytając z niej tajemnice przyszłości. Patrząc w błyszczące dno puharu, dwukrotnie wywróżył Stwoszowi nieszczęście, które go w obcym kraju miało spotkać. Dlatego też odradzał mu podróż:

W puharze, mówię, zakipiało czarno,
Trzymaj się domu, bo tam zginiesz marno.

Owe przestrogi tajemnicze i wróżby, które się rzeczywiście spełniły, stanowią pierwiastek mistyczny w poemacie. Pol wykazał niemały zmysł historyczny, wprowadzając ten pierwiastek do opowieści na tle wieków średnich. Wszak średniowiecze to epoka przesądów i czarów, w której religijność do ekstazy posunięta łączy się z zabobonną ciemnotą, gorliwe tępienie heretyków i czarownic z naiwną wiarą we wróżby i czary. Poeta musiał mieć na względzie to znamię epoki, ponieważ oprócz tajemniczych przepowiedni lutnisty wprowadził złowieszczy znak na policzku wyrzeźbionego popiersia oraz niepomyślne wróżby cyganki, którą Stwosz spotkał w podróży.

Wszystko to świadczy, że w poemacie znajduje się wiele rzeczy obmyślanych, choć niezawsze dobrze wykonanych. Żałować trzeba, że do tych słabo wykonanych stron należy właśnie to, co miało być punktem ciężkości w poemacie, a chlubą twórcy i świadectwem jego uzdolnień artystycznych. Mam tu na myśli opis arcydzieł, które wyszły z pod dłuta mistrza Stwosza.

Trudno powiedzieć, czy Pol miał przed oczyma jakie wzory, czy też całkowicie polegał na pomyślności własnej; to tylko pewna, że błędnie pojął

zadanie poety i wszedł na drogę niewłaściwą. Zda-
wało mu się, że opis dokładny, na kształt obszer-
nego komentarza w historii sztuki, zastąpić może
wyraz artystycznego odczucia i przeżycia. Tymczasem
najsumienniejsze wyliczanie wszystkich motywów
i szczegółów nie da nam jeszcze tego, czego właśnie
oczekujemy od duszy twórczej. Dla poety wrażli-
wego na piękno — dzieło sztuki powinno być tylko
punktem wyjścia, rzeczową podstawą i powodem jego
natchnionych wizji i wynurzeń. Najdoskonalsze wzory
tego rodzaju twórczości zawiera *Italia* Marji Konop-
nickiej; tam dopiero widzimy, w jaki sposób dusza
poety reaguje na piękno sztuki i jak wrażenia swe
wyraża w artystycznej formie. Ale Pol obchodzi przed-
miot z różnych stron, rozgląda się, szuka drogi,
a przecie ani razu na właściwe tropy nie wpada.

Najpierw idzie opis pracowni Stwosza, opis fan-
tastyczny, nie oparty na żadnym świadectwie. Sam
pomysł razi naiwnością. Mistrz ozdobił pracownię wła-
snoręcznie wykonanemi siedziskami dla wszystkich
stanów; jest tam tron dla króla, stolec dla biskupa,
drugi dla hetmana, osobne stalle kanonicze i ława
dla burmistrza, słowem cały skład mebli, opisany
najdokładniej, drobiazgowo i sucho. Z ustępu tego
nie wydobywa się ani jedno tchnienie twórcy, ani
jedno wrażenie szczerze artystyczne. Zamiast poety
widzimy antykwariusza, lubującego się w staroświec-
kich alegorycznych »kawałkach«, które zbiera i układa
według tej myśli przewodniej, że

Z góry szło światło, z góry namaszczenie,
I łaska z góry od nieba do tronu;

.

I w boże węzły wszystko zawiązane
Od prawa królów aż do bractwa cechu.

Drugi z kolei opis poświęcony jest ołtarzowi w kościele Marjackim. Długie przygotowania, dwanaście lat pracy, modlitwy o słońce, jeszcze jedno proroctwo lutnisty, że słońce wyjrzy zza chmury, nareszcie zasłona spada. I tu najzupełniej opuszczają poetę siły twórcze; o tym arcydziele rzeźby gotyckiej nie umie powiedzieć nic ponad to, że grało w słońcu wszystkimi kolorami tęczy, mówi zaś o tym chłodno i zaledwie w kilku wierszach.

A jednak Pol rozumiał piękno stwoszewego dzieła. Kto zajrzy do objaśnień, przekona się, jak żywo odczuwał poeta przedziwny urok tego ołtarza o różnych porach dnia, przy różnym oświetleniu. Czymże wytłomaczyć, że w dodatkach tak pięknie, z takim uczuciem i odczuciem artystycznym opisuje prozą to, czemu w poemacie podołać nie mógł?

Przypomnijmy sobie, że *Wil Stwosz* ukończony został w styczniu r. 1854, objaśnienia zaś dyktował Pol księdzu Scypionowi dopiero po latach kilku, na początku r. 1857. Czy nie w tym leży wyjaśnienie zagadkowej sprawy? Poemat pisany był pospiesznie, z dnia na dzień, »od ciągu do ciągu«; może ustęp o wielkim ołtarzu powstał właśnie w chwili zmęczenia, bez namysłu i tej swobody ducha, która jest konieczna dla wżycia się w dzieło sztuki. Tymczasem objaśnienia mogą być owocem rozmyślań i wrażeń w bardziej sprzyjających warunkach.

Grobowiec Kazimierza Jagiellończyka opisany jest najobszerniej. Wiele starań i pracy włożył w to nasz poeta. Wiadomo, że zamierzał nawet dodać do poematu rysunki, wykonane według odlewów gipsowych, aby uprzystępnąć zrozumienie poszczególnych motywów. Różne części i ozdoby sarkofagu są tu skrupulatnie wyliczone, podobnie baldachim opisany szcze-

gółowo; poeta wymienia umieszczone tam figury i sceny z Pisma Świętego, podaje treść ich, wyjaśnia znaczenie alegoryczne, — wszystko obszernie i dokładnie, jak w katalogu rzeźby średniowiecznej.

Opis ten ma więcej od poprzednich charakteru twórczego, dopuszcza do głosu wyobraźnię, atoli przeładowany został drobiazgami. Mozolna praca archeologa wyparła stąd swobodne odczucie piękna.

Idea przewodnia, którą poeta usiłował w *Wicie Stwoszu* przeprowadzić, przedstawia się jak następuje: Bóg karze pysznych; fałszywe oskarżenie i piętnowanie Stwosza było karą boską za grzech pychy.

W objaśnieniach do poematu pisze Pol: »Co mnie uderzało zawsze w jego dziełach i w czym ma wielkie podobieństwo do Michała Anioła, jest zuchwałość fantazji i pomysłów jego kompozycji, — stąd też rozumem, iż szkopał, o który się roztrącił w życiu, była pycha artysty. Tak pojąłem go i tak nakreśliłem tę postać rozumiejąc, że nieszczęście, jakie go spotkało, było karą za wyniosłość ducha«...¹.

W opowiadaniu żywota Stwosza poeta kilkakrotnie podkreśla motyw pychy, ale nigdzie dość silnie, dlatego i kara wydaje się za surową w stosunku do grzechu. Już Kornel Ujejski (w r. 1860) trafnie zauważył, że »wszystkie prawie motywa i objawy pychy Wita Stwosza są w tym poemacie nienaturalne, naciągane«².

Najpierw odtrącił mistrz ofiarowany przez Długosza zaszczyt podniesienia do stanu szlacheckiego i przyjęcia do herbu. Po wtóre — zdarzało się artyście uczuwać dumę ze swych dzieł, a zwłaszcza z gro-

¹ Tom I, str. 115.

² *Listy z pod Lwowa*, str. 189.

bowca Kazimierza Jagiellończyka i z cyborjum o zagiętym wierzchołku; to poczucie wyższości prowadzi go do rzucenia zuchwałej odpowiedzi norymberskim mistrzom cechu:

Ja was tu wszystkich na czeladź zabiorę!

Wreszcie grzechem Stwosza, płynącym z próżności i fałszywej pychy, było szukanie sławy wśród obcych:

Bóg mię ukarał ciężko za me grzechy,
Ze nęcić mogła jeszcze inna sława
Oprócz tej sławy — co Ojczyzna dawa!

Jako człowiek o przekonaniach średniowiecznych, Stwosz we wszystkich wypadkach dostrzega wolę bożą, we wszystkich przygodach — wyraz wiekui-
stej sprawiedliwości; to też z pobożną rezygnacją poddając się nieszczęściu, szuka w sobie winy i powodu obecnych losów. Poeta byłby go uczynił jeszcze doskonalszym chrześcijaninem, gdyby mu był przypisał przebaczenie w stosunku do krzywdzicieli; ale tego ostatniego kroku starzec nie robi i przechowuje głęboką urazę. Jeszcze w końcowej scenie ocie-
mniały i zgrzybiały rzeźbiarz chwytą dłuto, chcąc mordować rzekomych nieprzyjaciół, i dopiero wówczas uspokaja się, gdy mu donoszą, że wrogowie już wszyscy wymarli.

Obdarzając Stwosza wieloma pierwiastkami średniowiecznej duszy chrześcijańskiej, od naiwnie realistycznego pojmowania męki Pańskiej (przebicie boku przy robocie krzyża) do uczucia skruchy i religijnej rezygnacji, zapomniał Pol o tym najważniejszym — o przebaczeniu.

W scenie odrzucenia szlachectwa również przeoczył poeta ważny motyw psychologiczny. Jeżeli Stwosz

był artystą z bożej łaski, winien był w danym wypadku odpowiedzieć, że nie przyjmie herbu, bo to znaczyłoby wyprzeć się sztuki. Wszak szlachcie niewolno było zajmować się rzemiosłem, a nie za co innego uchodziła wówczas twórczość Wita.

Obok podobnych niedopatrzeń dostrzec można pewne wahanie w charakterze Stwosza; raz bowiem przedstawia go poeta jako duszę wysoce religijną, wzniosłą i skupioną, to znów jako umysł dumny, uparty i zawzięty.

Aleksander Tyszyński pierwszy spostrzegł i zaznaczył, że w charakterystyce Wita ważną rolę odgrywa pierwiastek subiektywny. »Ze wszystkich gawęd Pola jest to jedyna, w której autor ten nie tylko był wierne przedmiotowym, ale też może w części i subiektywnym w kreśleniu uczuć swego bohatera. Z uczuciem np. szczególnym kreśli tu oburzenie i boleść tego bohatera na napaści niesłuszne«...¹

W niedrukowanym wierszu okolicznościowym Pola znajduję słowa:

I stary rzeźbiarz porwał znowu dłuto,
Któremu żywot jak i mnie zatruto.

Świadczy to, że sam poeta uświadamiał sobie podobieństwo własnych losów do życia Stwosza. Zebrane wiadomości biograficzne zawierały zdarzenia, ale nie ukazywały duszy, którą trzeba było dopiero stworzyć. Poeta, widząc pewną analogję zdarzeń,

¹ Najpierw w *Bibliotece Warszawskiej* r. 1873 t. IV, następnie w *Wizerunkach polskich* (Warsz. 1875) str. 295. To bystre spostrzeżenie autora *Amerykanki* pozostało odosobnionym; dopiero po latach trzydziestu p. Ignacy Chrzanowski poświęcił tej sprawie dłuższą chwilę rozważań. Zob. *Skarga skrzywdzonego poety* w księdze zbiorowej »Na powodzian«. (Warsz. 1904. str. 354 i 356—359).

wnioskował o pokrewieństwie dusz i dlatego tworząc uczucia i myśli rzeźbiarza, ukształtował je na obraz i podobieństwo własnych.

Skrzywdzony, złamany i przygnębiony starzec — to jakgdyby sam autor w epoce powstania tego poematu. Wiekiem znacznie młodszy, ale mający podobne chwile wielkiego smutku i zwątpienia, cichej boleści i rezygnacji. Ku Bogu zawsze zwrócony sercem, przyjmował Pol z poddaniem ciężki żywot, jak i ów rzeźbiarz pobożny i w sobie szukający winy. A jak twórca *Pozdrowienia anielskiego* popadłszy w zadumę, wyznawał przed wnuczką sprawy swego życia, zarówno poeta czynił spowiedź przed narodem, pisząc takie szczere i osobiste wyznania, jak *Makowe ziarnko* lub *Przebolało*. W pierwszym utworze oraz w ostatniej części drugiego znaleźć można wiele motywów, które przewijają się przez opowiadanie skrzywdzonego mistrza.

Młodość Stwosza, według słów jego, była górna i nadzieją brzemienna.

Czyś ty widziała, wnuko ukochana,
Onego orła pełnego potęgi,
Co jakoś czyta z ocz świętego Jana,
Kiedy apostoł pisze święte księgi?
Takim ja orłem byłem, dziecię, z młodu,
Gdym wśród wielkiego ocknął się narodu,
I jak ów orzeł, jam z pod świętej stopy
Przy łasce Bożej brał w niebo pochopy.

Podobnie z wiarą w swe siły, z nadzieją i zapalem wstępował w życie młody poeta. »Szeroko z młodu sięga umysł hardy« (*Makowe ziarnko*), a »w krzyżowe życia drogi szedłem długo i ochotnie« (*Przebolało*), marząc, że wszystko powiedzie się szczęśliwie, że jak na wstępie życzliwym sercem

śpiewaka Janusza przyjęto, tak też i zawsze otaczać go będzie braterska zgoda i przyjaźń.

Tak samo roił młody Wit Stwosz:

I wierzyłem, że pójdę tym torem,
Ze mi się życie złoży gdyby wianek,
Ze będzie wieczór taki, jak był ranek,
Ze przejdę w pracy poważnie i śmieie.

Przychodziły na mistrza ciężkie chwile zwątpienia, kiedy niewprawny jeszcze i niedoświadczony przestawał ufać swym zdolnościom, upadał pod nadmiernym trudem.

I ciężko z dłutem począłem się łamać...
»Mistrzu, nie dźwignę!« — wołałem przy pracy.
A mistrz mi na to: »Bywali już tacy,
Co krew oddali z żywotami swemi,
Nim się dobili obiecanej ziemi!«
Więc bardzom bolał....

Podobne chwile zwątpienia i ciężkiego trudu miewał też młody poeta, dążąc do poznania spraw tego świata:

Często zwątpienia ogarnęła chmura,
Często w podróży zachwiały się nogi:
Bo praca ducha — to wielka tortura!
(*Makowe ziarno*).

Rozpoczęły się wreszcie owe smutne wypadki, które raz po raz niszczyły kwiaty jego złudzeń, ukazując gorzką i bolesną rzeczywistość.

Ale com złożył, było zapoznane
I nie tak wzięte, jako było dane...
(*Makowe ziarno*).

Jako człowiekowi — zarzucano mu słabość charakteru, chwiejność zasad, przechodzenie od jednego stronnictwa do drugiego; jako poecie — wypominano

brak głębi myślowej, brak natchnienia i gonienie za łatwą sławą. Już w r. 1845 Leszek Borkowski dobrze dogryzł Polowi, poświęciwszy mu w *Cymbaladzie* cztery uszczypliwe oktawy. Do szczytu doszła złość ludzka i zawiść w r. 1848, zmuszając poetę do spowiedzi publicznej, do oczyszczania się z niegodziwego posądzenia o szpiegostwo. Plotkarskie roztrząsania czynów i słów oraz dziennikarskie artykuły, nieraz złośliwe i stronne, ileż bólu musiały wówczas sprawić biednemu poecie. Ale nie koniec na tym. Przyszedł rok 1850, katedra geografji, — a razem z nią szyderczy pamflet Kalinki. Wreszcie sprawa pozbawienia katedry wypełniła po brzegi długo zbierany kielich goryczy. Co my dzisiaj uważamy za dzieło przynajmniej w połowie policyjno-rządowe, to Pol mógł wówczas uważać za czyn osób prywatnych, płynący z zawiści i złości.

Jest świat miłości, który kocha prosto,
A obok niego jest świat złości drugi,
Który serdeczne zwykł okładać chłostą,
I na padole trapić Boże slugi...

(*Makowe ziarno*).

Jakże podobne są te słowa do skarg ociemniałego artysty.

Ale mnie mierzył taki żywot chłodny,
Żem tak od ludzi musiał sercem stronić
I stać na straży i w czujności wiecznie,
I że się przyszło tylko dumą bronić,
I mieć się tylko od świata odsiecznie.

I jego żywot zatrzała ludzka przewrotność i zawiść.

Na co się zdało pocziwe i święte,
Co tam w ojczyźnie było rozpoczęte,
Kiedy świat zmarnił pocziwe miłości.

.

Tu zrozumiałem jasno o co chodzi,
Że moja praca i sława im szkodzi...

Jak przygnębiony starzec zdobywa się na silny
i goryczy pełen wybuch:

Ja byłem orłem, kiedym do was zjechał,
I świat szeroki sławą się uśmiechał....
I choć gościna moja tu pamiętna,
Wyście do orła przyłożyli piętna...

podobnie skrzywdzony ciężko a niesłusznie poeta
skarżył się w boleścią tchnących wyrazach:

Bo z wszystkiego mnie odarto,
Co od Boga było dane;
A więc kwita, bo zmazane
Krwawe życie — krwawą kartą!
(Przebolało).

Żyje więc bolejąca dusza Wincentego Pola w star-
czej postaci Wita Stwosza, którego ustami poeta
z głębokości serca woła:

Panie! wszak jam Ci żywotem nie kłamał!
I wierniem służył, kiedyś łask nie skąpił!
Za coś mnie, Panie, na starość odstąpił?

Subiektywizm poety, tak silnie uwydatniający się
w słowach ociemniałego Stwosza, wywarł też wpływ
na ogólny ton poematu. Pod tym względem jest to
u Pola utwór wyjątkowo jednolity, utrzymany w na-
stroju pełnym powagi, spokoju, cichej boleści i re-
zygnacji. Wskutek jednolitości tonu poemat traci
może na plastyce i ruchu, staje się monotonny; atoli
pamiętać trzeba, że opowieść płynie z ust sędzi-
wego starca, złamanego nieszczęściem i stojącego
nad grobem.

Dawne przysłowia i gadki, sentencje szlacheckie
i łacińskie słówka, ożywiające tok opowiadania czy

to w Pamiętnikach Winnickiego, czy w drobnych utworach, wyplenił stąd poeta z wielką starannością. Ich miejsce zajmuje znaczny zastęp archaizmów, które wprowadzone są tak dla podniesienia powagi, jak i dla zaznaczenia odległej epoki. Archaizmy w języku *Wita Stwosza* dwojakie mają źródło. Jedne pochodzą z pisarzy polskich w. XVI, głównie, jak się zdaje, z Pisma Świętego w przekładzie Wujka; drugie są bardzo wątpliwej autentyczności i życie swe zawdzięczają pomysłowości autora. W użyciu starej polszczyzny znać pewną przesadę i sztuczność; oto kilka przykładów:

Wyzór daleki i cale przyjemny...

.....
Bom był poczynił cale zdatne gracie...

.....
Tak się modliłem mych wnętrzości siłą...

.....
W nich kramna czeladź roi się wesoła,
I cenną kupię z całego już świata
Do tych sukiennic cały naród zmiata...

Poza tą cechą najwidoczniejszą wskazaćby można w języku *Wita Stwosza* drobne wpływy stylu romantycznego, a zwłaszcza manjery Malczewskiego. Dotyczy to dwu niewielkich ustępów, znajdujących się w poemacie tuż przed rozmową starca z wnuczką.

Ukazawszy sędziwego Stwosza, zapytuje poeta: »I któż to będzie ten starzec w żupanie?«, dalej zaś powtórnie pyta:

Kto jest ten starzec? kto jest ta niewiasta?
I skąd się biorą w tym zakątku miasta?

Podobnie Mickiewicz rozpoczynał balladę od słów: »Jakiż to dziadek jak gołąb siwy?« albo »Jakiż to chłopiec piękny i młody? Jaka to obok dziewczica?«

Zdań pytających w toku opowiadania używa też Malczewski, np. Jakież to grały trąby za przyległym lasem?... Czyjaż tam pierś rycerska w kurzawie się wala?...

Po tym zapytaniu Pol mówi: »O! kto nań okiem choć z przypadku rzuci«... Od wykrzyknika i Malczewski lubił rozpoczynać, np. O! póki ten, co w moim nazawsze był sercu... O! jakże szczęście ładnie, jak żywo oświeca...

Atoli najsilniejszy wpływ stylu *Marji* znać w użyciu pojęć oderwanych; cały ten opis postaci Stwosza:

Bo jakaś wielka i dzielna wspaniałość
 Świeci od czoła zoranego znojem;
 W całej postawie jakaś dziwna stałość
 Przemawia ciszą i wielkim pokojem,
 A jednak robią jeszcze brwi krzaczyste,
 Jakby wikłane przez burze wieczyste;
 A przytym dziwna jakaś myśli żywość,
 Świadcząca temu, jaką była stałość;
 Ale po wszystkich rozlana jest tkliwość
 I choć spokojna, ale wielka żalność....

utworzony został na modłę *Marji*, gdzie znajdujemy takie bliźniaczo podobne ustępy:

A na ich bystrych oczach siedziało zwycięstwo,
 A na ich serc opoće kwitły dobroć, męstwo...

.....
 Wtedy w schowanej szabli uraz zapomnienie,
 W pysznym spojrzeniu dobroć, w ustach przebaczenie...

.....
 Taż sama w ustach słodycz, a w czole sędziwość,
 Taż sama bladeść twarzy, ale oczu żywość...

Oczywiście są to szczegóły, drobiazgi, na które mimochodem zwraca się uwagę, bez zamiaru wyciągania stąd wniosków o wartości poematu.

Kilka motywów zapożyczonych, czy to w formie,

czy w treści, nie może zmienić zasadniczego poglądu na poemat; mimo wykazanych wpływów i pokrewieństw *Wit Stwos* powinien uchodzić za jedno z najbardziej twórczych dzieł Pola, ponieważ uczucie i wyobraźnia zajęły tu należne w poematach stanowisko.

Uczucie podmiotowe, umiejętnie wprowadzone do serca postaci głównej, czyni ją więcej ludzką i żywszą, niż poprzednie tegoż poety kreacje, przystrojone w kontusze i lite pasy, ale tak często pozbawione wyrazu i duszy.

Wyobraźnia twórcza, nie skrzepowana więzami kontuszowej tradycji, mniej skrupulatna i trwożliwa, składa tutaj dowody swego istnienia; a chociaż zawrotnych szczytów nie osiąga, przecież na swych własnych, a nie pożyczanych skrzydłach wznosi się nad powszedniość szarego życia w sfery wyższe i czystsze, i bodaj przez chwilę buja ponad wszystkim, co pełza¹.

¹ Doskonale studjum estetyczno-literackie, pełne trafnych spostrzeżeń, poświęcił poematowi F. H. Lewestam w warszawskiej *Gazecie Codziennej*, r. 1857, nr. 214—217.

X.

Kartki z podróży.

Tyśmienica i Lwów. — *Pieśń o ziemi naszej*. — Warszawa i Lublin. — Powrót na Pokucie. — Lwów i *Kółko rodzinne*. —
Pobyty w Lubieniu. — *Listy z pod Lwowa*.

Z uczuciem wielkiej ulgi i nietajonej radości witał nasz poeta »czarno zaoraną Ruś czerwoną, Ruś hreczaną!« Wydostał się wreszcie z pośród przykrych warunków, w których ostatnie lata w Krakowie przeżył; ze starożytnych dusznych murów wydobył się na wolne powietrze, na otwarte wiejskie błonia, na uroczne polany leśne i brzegi szumiących rzek. Z rozrzewnieniem spoglądał na ziemię czerwonoruskie, gdzie dziecinne i młodzieńcze spędził lata, na ulubiony Dniestr, »co popłynął jarem kręto«, na wiele innych rzek i rzeczek, które za młodszych, lepszych lat poznał i opisał w swych dziełach geograficznych.

»Wyruszywszy z Krakowa — wyznaje Pol — czuję się na nowo Geografem i widzę to, żem na Uniwersytecie wszystkiego zapomniał, czegom się na świecie nauczył«¹.

Zapewne przywiązanie Pola do tych stron nie by-

¹ List do Dra Brodowicza, dn. 14 grudnia 1857 r. z Tyśmienicy. Korespond. Brodowicza. Rękop. Bibl. Jagiell. Nr. 4571.

łoby tak silne, gdyby nie miał licznych a bardzo serdecznych stosunków wśród sfer obywatelskich. Oprócz wielu dworów szlacheckich na Podolu i Pokuciu, gdzie zawsze mógł się spodziewać życzliwego przyjęcia, dwa domy darzyły go szczególną przyjaźnią i czcią: Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego w Pieniakach i Tadeusza hr. Miączyńskiego w Podpieczarach. Tam też przedewszystkiem skierował swą drogę.

Jadąc na Lwów, wczesną jesienią przybył do dawnego swego ucznia, pana Włodzimierza, a wypocząwszy pod jego dachem, odetchnąwszy powietrzem leśnym i ożywczą atmosferą gościnnego domu, udał się stamtąd do Podpieczar, gdzie w roku zeszłym tak serdecznego doznał przyjęcia. Na Pokuciu widział poeta ową ziemię obiecaną, do której tak długo tęsknił; tu, w bliskości oddanych sobie serc pragnął pozostać, — nie żeby w bezczynności czas trawić, ale żeby poświęcić się pracy twórczej i naukowej, której koniecznym warunkiem jest cisza, swoboda ducha i bodaj względny spokój o jutro. »Podług tego, co tu zaszło, — pisał Pol — mam niepłonną nadzieję, że osiedę na wsi, jeżeli Bóg dozwoli, w tych stronach«¹.

Niestety, nadzieja jego okazała się zwodniczą. Od chwili przybycia na Pokucie rozpoczyna się kilkolatni okres, w którym poeta ciągle myśli o osiedleniu się, o założeniu stałego domowego ogniska, ale zamiary jego dzięki rozmaitym nieprzyjawnym okolicznościom zawsze spełzają na niczym. Gdziekolwiek przebywa, — jest jakby w drodze; gdziekolwiek mieszka, — zamieszkuje tymczasowo, z myślą o przeniesieniu się lub wyjeździe. Czy to w Tyśmienicy czy

¹ Cytow. list do Brodowicza.

we Lwowie, w Warszawie czy w Lublinie, w Lubieniu czy w Przemyśle — Pol ustawicznie jest w podróży, często bez dzieci swych, nieraz bez koniecznych książek i notat, zawsze bez własnych sprzętów domowych.

Ta odyseja rozpoczyna się z dniem wyjazdu z Krakowa i jak prawdziwa podróż dostarcza pocie wrażeń najrozmaitszych, od podniosłych i miłych — jak hołdy w Warszawie, do smutnych i nad wszelki wyraz przykrych — jak *Listy z pod Lwowa*.

Pierwszy dłuższy etap tej podróży przypada w małej mieścinie ormiańsko-żydowskiej Tyśmienicy, na wschód od Stanisławowa. W dworku Ormianki pani Wartanowej wynajął Pol małe skromne mieszkanko, gdzie tymczasowo się umieścił, myśląc o wyszukaniu sobie stałej siedziby na wsi. Zamieszkał samotnie, dzieci bowiem żyły rozproszone po szkołach: córki jak dawniej u Norbertanek w Imbramowicach, dorastający syn Wincenty w Stanisławowie.

Najmłodszy ojcowski benjaminek pozostał wprawdzie w Tyśmienicy, ale umieszczony był w konwikcie szkolnym. »Stasia oddałem do pana profesora do Tyśmienickiej akademii na stancję, która dzięki Bogu po dziś dzień jeszcze jest wierną kopią owej w Zbarażu; ile chłopców, tyle sienniczków, katechizm i grochówka, za obrazem palma i różga, pedagogia sumienia, barszcz, kluski i kasza, a na rekreację pierogi hreczanne z serem; bardzom szczęśliwy i spokojny, żem tu umieścił Stasia«¹.

Atmosfera małego miasteczka dziwnie przypadła pocie do serca. »Zdaje mi się, — pisał — że pod taką konstellacją i poetyczna vena znowu powróci,

¹ Cytow. list do Brodowicza.

gdzie ani pisku z dworca kolei żelaznej nie słysząc, ani płataniny dzisiejszej cywilizacji nie widząc¹.

Zdawałoby się, że zdobywszy takie warunki poeta zamknie się wśród czterech ścian, odsunie od towarzystwa, nastroi od lat kilku zapomnianą lutnię i będzie zażywać spokoju, za którym tak długo tęsknił. I takby zapewne się stało, gdyby przed domek pani Wartanowej nie przychodziły ciągle konie z pobliskich Podpieczar. Jak niegdyś pałac w Zagórzanach, tak teraz dwór w Podpieczarach z serdeczną gościnnością otwierał dlań swe podwoje; tam spędzał poeta najmiłsze i najszcześniejsze chwile, które były prawdziwym ukojeniem po przeżytych zgryzotach i troskach.

Mateusz hr. Miączyński, dziedzic dóbr tyśmienickich i Podpieczar, człowiek niemłody i chorowity, ustąpił pierwszego miejsca w domu małżonce swej, Klementynie. Była to kobieta wyjątkowej zacności, kierująca się we wszystkich sprawach sercem szlachetnym i współczucia pełnym. To miękkie serce matrony polskiej łączyło się z wielką uczynnością nie tylko dla blizkich, lecz i dla obcych. To też hojność w udzielaniu zapomóg i bezzwrotnych pożyczek wywołała wreszcie rozstrój w interesach majątkowych.

Wincenty Pol poznał panią Miączyńską około r. 1850 w Krakowie przez Siemieńskich. Stosunek, odrazu postawiony na stopie serdecznej, utrwał się z roku na rok. Gdy w r. 1853 zięciem pp. Miączyńskich został Włodzimierz Dzieduszycki, poety uczeń i najżyczliwszy przyjaciel, węzły łączące Pola z rodziną całą tym silniej się zacieśniły, — i pani Kle-

¹ Tamże.

mentyna staje się protektorką, opiekunką i czcicielką naszego poety. Przez długi szereg lat trwa między niemi częsta wymiana listów, które rzucają wiele światła nie tylko na sprawę bieżące i stosunki domowe, lecz także na umysłowość poety¹. Będąc wielbicielką talentu Pola, pani Miączyńska znaczną część jego utworów umiała na pamięć, — a podziw dla poety przenosząc na człowieka, otaczała go szacunkiem, przyjaźnią i szczerą życzliwością.

Nawzajem autor *Mohorta* żywił dla niej cześć najgłębszą, przywiązanie i wdzięczność; widział w niej uosobienie wszystkich cnót matki polskiej, od pobożności wielkiej do dbałości o starodawny obyczaj życia rodzinnego. »Jest to Dama, — pisze Pol — z którą jest widocznie łaska Boża. Rysy do Matrony Polskiej, które streściłem w *Pacholeciu Hetmańskim*, były z jej postaci zdjęte, z jej myśli, uczuć i spraw zanych Pani Polskiej i Polskiego Dworu obyczajów«².

Nie można wątpić, że Pol w r. 1857 opuściwszy Kraków dlatego drogę swą na Pokucie skierował i tymczasowo w Tyśmienicy osiadł, aby żyć w bliskości Podpieczar. Dom ten był zakątkiem opatrnościowym tak dla niego, jak i dla dzieci, które tu stałe na wszystkie święta i wakacje znajdowały najżyczliwszą gościnę. Poeta miał tam wyznaczony pokój zaciszny, gdzie zawsze oddawać się mógł w spokoju pracy twórczej.

I rzeczywiście »poetyczna vena«, której powrotu oczekiwał, nawiedziła go w podpieczarskim dworze;

¹ Listy W. Pola znajdują się w prywatnych zbiorach Włodzimierzowej hr. Dzieduszyckiej we Lwowie; część listów hr. Miączyńskiej posiada Biblioteka Baworowskiego tamże.

² List do Wikt. Baworowskiego z dn. 16 kwietnia 1858. Rękop. Bibl. Baworowskiego.

tutaj w pewien zimowy dzień pod koniec roku 1857, siedząc przy płonącym kominku, rzucił na papier słowa:

Nim ta struna jeszcze pęknie,
Zanim wyda jęk ostatni,
Niech od serca na niej brzęknie
Po staremu śpiewak bratni.

Pieśni moja! wracam do cie
Z tym pragnieniem, w tej tęsknocie,
Z jaką człek na młodość patrzy,
Na kamieniu starcem siadszy.

Tak poczęła się *Pieśń o domu naszym*.

Atoli praca twórcza szła jeszcze opornie. Poeta myślał o ciągu dalszym *Pacholęcia*, lecz niestety wszystkie wyciągi i notaty historyczne zostały u księdza Scipiona w Krakowie, z pamięci zaś pisać ten poemat było rzeczą trudną i ryzykowną.

Nadto kłopoty wydawnicze, od których tak uciekał, i na Pokuciu go znalazły. Doniesiono mu, że księgarz petersburski B. M. Wolff samowolnie przedrukowuje jego utwory epiczne, narażając na straty zarówno autora, jak i nabywcę wydania wiedeńskiego Orgelbranda.

Wreszcie wypadało już postanowić coś w sprawie osiedlenia się na wsi, wzięcia jakiej dzierżawy lub kupna na przystępnych warunkach. Trzeba było jedne rzeczy omówić osobiście z Włodzimierzem Diedożyckim, który właśnie do Lwowa zjechał, — inne załatwić drogą korespondencji. Różne więc sprawy i powody skłoniły Pola do wyjazdu na czas krótki do Lwowa.

Przybywszy około 20 marca (1858), zamieszkał w staroświeckiej ruderze zwanej Zajazdem Podolskim. Pobyt, zamierzony na parę tygodni, przeciągał

się ku niezadowoleniu poety, który radby był do swych spokojnych kątów powrócić.

»Ja tu wpadłem — pisał — w tak odmienną atmosferę duchową po cichem życiu w Podpieczarskim dworze, iż sam z sobą nie mogę się połączyć, ani z czasem; ludzie rozbierają dzień a poczęści i noc; mam teraz stancijkę z dwoma wychodami, coś nakształt borsuczej jamy z dwoma wycieczkami«¹.

Rozejrzawszy się w sprawach bieżących, uznał Pol za rzecz konieczną podróż do Królestwa, dla obrony praw własności autorskiej. Obawiał się jechać do Warszawy, więc ułożył się z radcą prokuratorji Ludwikiem Pietrusińskim, który z życzliwości interesa jego w Warszawie załatwiał, że zjedzie się z nim w Lublinie i tu jakieś stanowcze kroki przedsięweźmie. Zanim paszport z namiestnictwa otrzymał i zanim oczekiwane listy nadeszły, zbiegło znów parę tygodni. Zniecierpliwiony i zmartwiony pisał do swej opiekunki:

»O sobie Pani Dobrodziejce donoszę, że znowu czekam i wyczekiwać muszę. Miesiąc upłynął od przyjazdu mego do Lwowa. Czekam wiosny, czekam pieniędzy, czekam listów i jeszcze sam nie wiem czego czekam! Czekam czy Pan Kamiński i Pan Ostaszewski o czem nie doniosą, czy Pan Sowiński nie nadjedzie do Lwowa traktować o Piotrow, czekam wiadomości, co (się) z licytacją Issakowa stało? Czekam nadewszystko na listy od Pana Ludwika (Pietrusińskiego) z Warszawy, a czekając rozmyślałam o tem, w co się obrócę, jeżeli wszystko zawiedzie?«².

¹ List do Klem. Miączyńskiej z dn. 28 marca 1858. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

² List do tejże z dn. 22 kwietnia 1858 r.

Jakkolwiek wśród takich okoliczności praca literacka stała się utrudnioną, przecież Pol korzystał z każdej wolnej chwili i chwycił za pióro. »*Pieśń o domu naszym* postąpiła znacznie« (donosi w jednym z listów), oprócz tego napisał kilka artykułów prozą, a wreszcie tu we Lwowie ostatecznie przerobił *Pieśń o ziemi naszej*.

Wiadomo, jak surowej nagany za ten postępek doczekał się poeta nasz od Ujejskiego¹. Dziś patrzymy już na to obojętniej i nie mogąc chwalić podobnej roboty, nie winimy też poety; atoli cała sprawa, sądzona dotychczas na podstawie domysłów, staje się jasną dopiero w świetle przechowanej korespondencji.

Trzeba czytać te coraz częstsze i coraz natarczywsze listy Orgelbranda do Dutkiewicza, aby zrozumieć, pod jakim naciskiem przystąpił Pol do pisania warjantów. Nie było argumentu, któregooby pan Samuel do pana Szymona pisząc nie był użył, byle na poecie wymóc dawno już, jak twierdził, przyrzeczone zmiany. Zapewniał, że kupno wydania wiedeńskiego na tak olbrzymie naraziło go straty, że tylko wydanie *Pieśni o ziemi naszej* może go wyratować. »Niema innej rady, — pisał — jak się chwycić *Pieśni*«.

Po wielkich staraniach udało mu się przepchnąć

¹ »Grzechowe pyły pana Wincentego Pola urosły już w bryłę wielką; porwała ona w swym pędzie jedno z najpiękniejszych jego własnych dzieci, zgruchotała je i przywaliła sobą. To dziecko pokaleczone, z oderwanymi członkami, drgające jeszcze resztkami życia, nazywa się w wydaniu warszawskim: *Pieśń o ziemi*.... Nic go (autora) uniewinnić nie może. Bez jego woli i wiedzy stać się to wydanie nie mogło, bo autor wiele w nim dorabiał i przerabiał... (Zob. cały rozdz. XXXII *Listów z pod Lwowa*).

przez cenzurę utwór cały z tym zastrzeżeniem, że miejsca przekreślone bądź opuszczone zostaną, bądź zastąpione innemi. Wykaz tych miejsc »niecenzuralnych« przesłał nakładca warszawski panu Wincentemu na ręce Dutkiewicza, błagając o pośpiech.

Ulegając prośbom i namowom, przystąpił poeta do pracy, ale ze sposobności tej skorzystał by zrobić modyfikacje w szerszym zakresie, niż tego wymagała cenzura.

Poniższy urywek z listu Pola do Adama Pługa pozwala nam zrozumieć pobudki, które weszły tutaj w grę.

»Nie o nowe, — o stare prawdy chrześcijańskie chodzi dzisiaj światu i ten tylko daje i ma co do dania, kto kocha! Jeżeliście to umiłowali, co ludziom pocziwe, to i dobrze, bo Wam będą wierzyć i będą się przy Was kochać! Jeżeli zaś o nowy dom poprawy tylko chodzi, to świat tego nie głodny i dosyć już i tak piekła na ziemi.

Gdybym był miał te przekonania, kiedym pisać począł, byłbym nie jedną cierpkosć połknął, miasto żem ją oddał drugim. Podole zwiedzałem przed 1830 rokiem i wówczas było takim, choć przyznaję się do tego, że nie wypadało być tak ostrym w Pieśni, która miała dać świadectwo miłości; dziś zmieniły się rzeczy; tam jak słyszę lepiej i ja też lepszy...«¹

Lecz oto zdarzyła się sposobność naprawienia tego, co się niebacznie za lat młodych napisało. Poeta nie bez zadowolenia przystąpił do usunięcia z utworu wszystkiego, co trącąc znienawidzoną przezeń »negacją«, stało w sprzeczności z jego obecnymi przekonaniami.

¹ Bruljon tego listu z r. 1858 w rękop. Bibl. Ossolińskich Nr. 3148.

Należy więc w wydaniu warszawskim *Pieśni o ziemi* rozróżniać dwa rodzaje zmian. Jedne polegają na zmatowaniu jaskrawych tonów narodowych i wymijaniu tak niecenzuralnych słów, jak »wolność, krzywda, źli sąsiedzi«. Drugie pochodzą wyłącznie od poety i mają na celu dostrojenie młodzieńczej *Pieśni* do kamertonu *Z podróży po burzy*. Czytając wyrazy: zagrody, przyrody — na miejscu pierwotnej: swobody, albo »pieśnią strojną, spokojną« zamiast »pieśnią zgodną, swobodną«, widzimy tam dobrze niebieski ołówek cenzora Mackiewicza; ale zarazem domyślamy się, że nie z polecenia cenzury warszawskiej wymazano tu słowa:

A tej szlachcie znarowionej
Gdyby Bóg dał rozum kmiecy...

Napisał też poeta zupełnie nowy rozdział o szlachcie podolskiej; atoli kapryśna cenzura odrzuciwszy dawny, pełen drażliwych zwrotów ustęp, nie zgodziła się na nowy, który za życia autora już nie doczekał się druku. Dopiero H. Biegeleisen wydobył go z paczki zapomnianych rękopisów i ogłosił w *Bibliotece Warszawskiej* w r. 1892¹, zapomniawszy dodać, że jest to część *Pieśni o ziemi naszej*. W tym fragmencie stara się Pol w innym świetle przedstawić to, na co przed laty z górami dwudziestu tak jaskrawe znalazł wyrazy.

Dawniej jam się żalił na to,
Że grunt kmieci i rycerzy,
Który Pan Bóg tak bogato
Nadać raczył, czeladź dzierży
Niepotrzebna Panu Bogu,
Co niegodna stać przy brogu...
.....

¹ Tom I, str. 557—559.

Dziś pojmuję sądy Boże:
 Godny weźmie ziemię chlebną,
 A Bóg czeladź niepotrzebną,
 Co cnót pługiem nie wyorze,
 Spławi światem aż za morze...

.....
 Waść patrz tego miłosiernie,
 Niema zboża bez kąkolu,
 Więc radź sobie na Podolu
 I patrz ludzi, co tam wiernie
 W Pana Boga jeszcze wierzą
 I po ojcach lemiesz dzierżą...



Strofy te powstały, jak wyżej się rzekło, podczas męczącego wyczekiwania we Lwowie. Dopiero dnia 12 czerwca opuścił Pol *Zajazd Podolski*, dążąc ku granicy Królestwa Polskiego. Pierwotny plan podróży uległ zmianie, nie do Lublina bowiem jechał poeta, lecz wprost do Warszawy. Posiadając najlegalniejszy paszport, opatrzony wizą konsulatu rosyjskiego, spokojny był, że nie grozi mu żadna szykana ze strony tamtejszych władz.

Za towarzysza podróży miał sędziwego kasztelana Franciszka Wężyka¹, prezesa Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, popularnego autora *Okolic Krakowa* i *Wandy*.

W walizie swojej wiozł poeta tekę literacką, zawierającą większe wyjątki ze *Stryjanki*, *Pacholęcia helmańskiego* i niedawno rozpoczętej *Pieśni o domu naszym*; miał bowiem nadzieję znaleźć w Warszawie nakładców, którzyby hojnie wypełnili złotem jego chudy woreczek.

Dnia 18 czerwca (1858) przybyli nasi podróżni do Warszawy, powitani z wielkimi honorami przez przedstawicieli sfer obywatelskich. Nazajutrz przy-

¹ Ur. 1785 r. zm. 1862 r.

padła doroczna zabawa z loterją w ogrodzie Saskim. Gdy po zgromadzonych tłumach przebiegła z ust do ust podawana wieść: »Pol jest w ogrodzie«, — spieszyli starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, aby zbliżka popatrzeć na głośnego i ulubionego poetę. »Skoro tylko śpiewak Mohorta chwilę się zatrzymał przed namiotem lub w alei, już gromady nieprzeliczone go otaczały. Był też witany, całowany i ściskany i rozrywany na wsze strony«¹.

Istotnie był to czas, gdy rozgłos Wincentego Pola i sława jego pism doszły do najwyższego punktu. Za *Pieśń o ziemi naszej* i za *Mohorta* ukochał go naród i podniósł ponad wszystkich poetów żyjących, widząc w nim najlepszego barda szlacheckiej przeszłości; a przytym rodacy nie mogli zapomnieć, że autor ulubionych gawęd i jako człowiek zasługiwał na cześć i współczucie. Wszak uczył on w sławnym Uniwersytecie Wileńskim, w r. 1831 bił się za sprawę narodową, w r. 1846 cierpiał jako więzień polityczny, wreszcie w r. 1853 jako profesor Wszechnicy Jagiellońskiej padł ofiarą podejrzliwości rządowej. Wszystko to jednało mu sympatję i pobudzało do złożenia hołdu.

To też od dnia tego zaczyna się szereg uroczystych uct i zebrań na cześć obydwu znakomitych gości.

Dnia 20 czerwca August hr. Potocki zabiera ich do Wilanowa, gdzie w pałacu i w parku króla Jana urządził wspaniałe przyjęcie dla kilkudziesięciu osób². Dnia 21 czerwca odbył się u pp. Łuszczewskich, ro-

¹ Korespondencja z Warszawy w tece Sz. Dutkiewicza. Rękop. Bibl. Jagiel. Nr. 3752.

² Gdy późną nocą powrócił Pol z Wilanowa, odźwierny wręczył mu 2500 (!) biletów od osób, które mu w ciągu dnia tego złożyły wizytę. Zob. Klem. Kanteckiego »W. Pol i K. Suffczyński«. Lwowska *Strzecha* r. 1873.

dziców Deotymy, wieczór na powitanie Wężyka; dnia 22 obiad na cześć Pola w Resursie Kupieckiej; dnia 23 obiad dla Wężyka w hotelu Europejskim i wreszcie dnia 28 wieczór u A. Zabokrzyckiego ku czci Pola. Oto krótka, zapewne niezupełna kroniczka uroczystości, któremi inteligencja warszawska manifestowała swe uczucia dla zasłużonych mężów.

Ze wszystkich zebrań niewątpliwie najświetniejszym była uczta składkowa w domu Resursy Kupieckiej. O godzinie piątej w wielkiej sali zasiadło do stołów około 250 osób¹; ze sto osób, jak mówią musiało się wyrzec udziału z powodu braku miejsca. Zgromadzili się tu przedstawiciele arystokracji i obywatelstwa, wyżsi urzędnicy, wybitniejsi artyści, literaci i dziennikarze. Pol zasiadł między Augustem hr. Potockim a Leonem hr. Łubieńskim. Po kilku daniach rozpoczęły się przemówienia i toasty. Pierwszy zabrał głos Łubieński, po nim artysta malarz Lesser, a następnie przemawiali: redaktor Karol Kucz i radca Tow. Kred. Ziems. Aleksy Zabokrzycki. Dwaj ostatni mówili wierszem; zwłaszcza utwór Zabokrzyckiego, ułożony w stylu połowskich gawęd, a wygłoszony z humorem i żywą giestykulacją, ogólnie się podobał. Po każdym toaście zrywał się grzmot oklasków i wiwatów, na które Pol odpowiadał prozą, w słowach prostych i serdecznych.

Gdy sfery obywatelskie i urzędnicze zaspokoili już chęć złożenia hołdu poecie za pomocą uczt z gęstymi toastami (o czym szeroko pisano nie tylko w miejscowych, lecz i w zagranicznych dziennikach), przyszła kolej na zebrania w ściślejszych kółkach lite-

¹ Inny korespondent podaje liczbę osób około 300; u Dziuszyckiego cyfra ta urosła do 500.

rackich i dziennikarskich. Pol odwiedzał redakcje ważniejszych pism, jak *Biblioteki Warszawskiej*, *Kurjera Warszawskiego*, *Gazety Warszawskiej* i *Gazety Codziennej*, spędzając wszędzie po kilka godzin na miłej pogawędce. Dzięki pamiętnikowi Aleksandra Niewiarowskiego mamy dokładne wyobrażenie, jak wyglądały podobne odwiedziny.

Uprowadzony zawczasu o przybyciu znakomitego gościa, zebrał Niewiarowski, wówczas wydawca *Gazety Codziennej*, całe grono współpracowników oraz posłał »na górę« do mieszkania swego »rozporządzenie, by przygotowano dla Pola tak sute domowe przyjęcie, iżby się ten apostoł gościnności staropolskiej za nas nie powstydził«.

Wprowadzony przez redaktora *Kurjera Warszawskiego*, Karola Kucza, autor *Mohorta* uściśkał wszystkich serdecznie i zamieniwszy z każdym kilka słów, zasiadł do przygotowanej uczyty.

»Wincenty Pol, — pisze Niewiarowski, — który z fizjonomji i z całego wzięcia się swego nie na poetę, lecz raczej na szlacheica rolnika podszytego starym wiarusem wyglądał, podobał się nam bardzo, przyniósł bowiem z sobą tę atmosferę serdeczną, szczerą, która odrazu zbliża ludzi wzajem ku sobie...

Po obiedzie gdyśmy już w ściślejszym kółku około półgąsiorka starego maślacza zasiedli, Pol przeczytał nam kilka fragmentów z nowego poematu, a gdy wykawił chęć znalezienia nakładcy, któryby zań zapłacił suto, strasznie suto, bo pół dukata od wiersza, Kucz zaproponował, byśmy natychmiast wybrali z pośród siebie dwóch delegatów, którzyby *stante pede* pana Samuela Orgelbranda bodaj przemocą przywiedli. Projekt ten, choć pełen nieograniczonej w dobry jego rezultat ufności, po bliższym obgadaniu go upadł...

Tymczasem pod wpływem gawędy rozjaśniały się coraz bardziej oblicza biesiadników, a więc i toasty na cześć gościa poczęły iść rzędem...

Roman Zmorski, który, jak wiadomo, idei szlacheckiej, w książkach zwłaszcza, nienawidził i był nawskroś ludowym poetą, zwyciężony na razie jakimś ślicznym, pełnym myśli i uczucia fragmentem z *Hetmańskiego pacholecia*, trącił swój kieliszek z autorem poematu, mówiąc:

Oj! panie Wincenty, dokazałeś cudu,
Boś choć bard szlachecki, a jam grajek z ludu,
Przecież wspólność celów w pierwszym mając względzie,
Piję na cześć twoją i — »jakoś to będzie«.

Ostatni ten frazes z djalektyki szlacheckiej wymówił ironicznie, z uśmiechem, któryby może dotknął był Pola niemiłe, gdyby w tejże chwili nie naprawił harmonji Włodzimierz Wolski, wołając zwrócony do Pola:

Choć w bucie szlacheckiej, w rycerskiej brawurze
Rad maczasz twe pióro, — masz ten cement w piórze,
Co delję z siermięgą
Spaja jedną wstęgą.

A już rozjaśnił zupełnie Pola i rozbawił wszystkich toast Miniszewskiego następujący:

Tyś wielki, jam mały, ledwie że się znamy,
A jednak ideę obaj wspólną mamy;
Ty widzisz ją jasno, ja szukam omackiem,
Więc ci Cześnikiewicz¹ pada do nóg plackiem.

I rzekszy to przykląkł przed Polem, który pochwywszy go w ramiona uściśnął serdecznie...

Dopiero wieczorem zakończyła się ta pierwsza

¹ Pseudonim Miniszewskiego.

i ostatnia poety gawędziarza wizyta i Pol, odprowadzony przed bramę domu, wsiadł do powozu wraz z Kuczem, który go powiózł wprost od nas do hrabiego Leona Łubieńskiego, znanego mecenasa literatury i sztuki«...¹

Widzimy więc, że z okazji pobytu poety w Warszawie spalono wielką ilość kadzidła, ogłoszono długi szereg toastów wierszem i prozą, oraz wyprózniono znaczny zastęp butelek. Nie wpłynęło to jednak na sprawy, których załatwienie było powodem i celem podróży. Sprawy te szły bardzo opornie.

Sprzedaż nowych utworów nie mogła dojść do skutku z dwu względów; najpierw dlatego, że każdy nakładca obawiał się samowolnego przedruku ze strony swego konkurenta; a powtórze dlatego, że Pol żądał za dzieła swoje niebywałych dotychczas honorarjów. Dość powiedzieć, że księgarz Błaszkowski po długich targach i znacznym ze strony autora ustępiwstwie zapłacił za *Stryjankę* 15.000 zł. pols.

W celu zabezpieczenia swych dzieł od przedruków, poeta za radą przyjaciół zrobił podanie na imię cesarza Aleksandra, w którym prosił o przyznanie pismom »praw obywatelstwa«.

Gdy wszystkie rokowania były w toku, nagle dowiaduje się autor *Mohorta*, że w najbliższych dniach ma być mu doręczony rozkaz opuszczenia miasta. Widocznie organom rządowym przeszkadzały przeciągające się zbyt długo owacje na cześć narodowego poety. Nie pomogły prośby ani protekcja osób wpływowych². W pierwszych dniach lipca rozkaz rzeczy-

¹ Wspomnienia o Kuczu przez Al. Niewiarowskiego w książce jubileuszowej *Kurjera Warszawskiego* (Warsz. 1896).

² »Upraszam JW. Pana Dobrodzieja, abyś mnie raczył wziąć w protekcję u Pana Jenerała Paniutyna, bo ledwo że

wiecie doręczono i Pol niezwłocznie Warszawę pożegnał.

Zmartwiony bezwzględnością rządu, zakłopotany sprawami księgarskimi, wywoził przecież najmilsze wrażenia z tego niedługiego pobytu. Upojony czcią i przyjaźnią, oszołomiony wiwatami, szczęśliwy i podniesiony na duchu, pisał do swej czcigodnej wielbicielki:

»Byłem w Warszawie, znalazłem przyjęcie jakiego nigdy spodziewać się nie mogłem, ale czułem to w sercu, że dobrym chęciom oddano cześć jedynie tylko zasłudze należną; to stało się dla mnie tajemną boleścią, ale bodźcem w życiu; dziś dopiero pojmuję to, co mi Pan August mówił o Warszawie, czuję to że dla niej przez lat wiele nie miał wymiaru sprawiedliwości w mym sercu i boli mnie to, że mogł być niesprawiedliwym dla swoich... Dziś dopiero pojmuję naród polski w ostatnim jego historycznym rezultacie, odkąd poznałem Warszawę«¹.

Drugim etapem tej podróży był Lublin.

Przybywszy do rodzinnego miasta, zamieszkał Pol u swej siostry ciotecznej, Karoliny Lipińskiej (ur. Gautier), gdzie oczekiwał zarówno rezultatu podania

rozpocząłem układy z księgarzami, a wyjeżdżać jak będę musiał stracę bardzo wiele na tem. Chodzi mi zresztą o przyszłość; jakże może być, żeby w chwili kiedy tu przybyłem upomnieć się o krzywdę wyrządzoną mi przez księgarzy, żebym miał być zmuszony do wyjazdu i nie mógł poszukiwać sprawiedliwości wobec władzy? Ja chcę podać prozbę do Najjaśniejszego Pana, racz o tem JW. Pan Dobrodziej powiedzieć Panu Jenerałowi Paniutyn — tej łaski nie może mi odmówić... List z dn. 1 lipca 1858. Zbiór autogr. C. Walewskiego w Akademji Umiejętności.

¹ List do Klem. Miączyńskiej, pis. dn. 18 lipca 1858 w Lublinie. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

do tronu, jak i zakończenia interesów księgarskich, za którymi z życzliwości chodzili Zygmunt hr. Dębicki i Ludwik Pietrusiński¹.

Tymczasem szlachta ziemi lubelskiej nie mogła ominąć okazji godnego uczczenia poety, i oto rozpoczęły się uroczyste zebrania i uczty, dalszy ciąg owacji warszawskich. Rej na tych zebraniach wiedli: biskup Baranowski, bracia Suffczyńscy i Wojciech Węgłęński. Obywatele ziemscy zblizka i zdaleka spieszyli co tchu do Lublina, żeby wziąć udział w obchodach.

Pewnego dnia, po gęstych toastach i wiwatach, pan Kajetan Suffczyński z Łańcuchowa postawił wniosek, aby kochanemu poecie zrobić dar obywatelski z domku, w którym (jak sądzono) na świat przyszedł, i z kawałka roli, na której mógłby spokojnie osiąść. Naprędce zaczęto zbierać podpisy, złożono kilka tysięcy rubli i omówiono warunki kupna. Firlejowszczyzna składała się ze staroświeckiego dworku, kilku budynków gospodarskich i 90 morgów ziemi².

Gdy tak szlachta lubelska chlubiła się swojej gościnnie i serdecznie podejmowała, otrzymał Pol ostrzeżenie, iż organy rządowe, dopatrując się manife-

¹ Czekał też na córki, które po skończonych naukach w klasztorze Norbertanek udały się z Imbramowic do Warszawy, a nie zastawszy tam już ojca, około 20 lipca przybyły do Lublina.

² Z objęciem daru wiele było kłopotów, które trwały przeszło rok. Okazało się, że pieniędzy zebrano za mało, a nadto obdarowany nie może tam osiąść. Folwark, zainstalowany na imię starszej córki, Julji, wydzierżawił Wagner, potem administrował adwokat Sielski. Dochód był bardzo mały. Po śmierci poety Firlejowszczyzna przeszła w obce ręce; w ostatnich latach należała do tow. akc. fabryki cementu »Firlej«. Rysunek dworku znajduje się w *Tygodniku Ilustrowanym* z r. 1874, nr. 327.

stacji narodowych w tych ucztach i składkach, zamierzają go z miasta wydalić. Nie czekając na rozkaz, poeta w końcu lipca opuścił Lublin i udał się do Siedliszcza, dóbr Węgłęńskiego w powiecie Chełmskim.

Przyjemny pobyt na wsi, urozmaicany wycieczkami do pobliskich dworów, przeciągnął się parę tygodni.

Powracając z Królestwa Polskiego, wstępował jeszcze Pol do Poturzycy¹, rodzinnych dóbr Włodzimierza Dzieduszyckiego, a stąd już prosto do Tyśmienicy podążył.

I znów ta sama uboga miejscina z klasztorem dominikańskim, ten sam pokój u pani Wartanowej, te same częste odwiedziny dworu w Podpieczarach. Trwa to od września r. 1858 aż po koniec listopada roku następnego². Zima była dlań smutna i ciężka. Dawne cierpienia reumatyczne powróciły, odbierając chęć do opuszczania domu; przytym i oczy wypowiadały posłuszeństwo. Więc chociaż hr. Dzieduszycki w kluczu pieniackim walne łowy urządzał i moc dzików ze świata zgłądał, poeta nasz, niegdyś zapalony myśliwy, z innemi do kniei nie podążył, ale tęsknym wzrokiem spoglądał z okna na szare życie małego miasteczka. Z wiosną przybyło sił i zdrowia, a z nim i myśli weselszych.

Przez cały ten czas dwie troski, dwa pragnienia

¹ Do Poturzycy pod Sokalem przybył z córkami dnia 18 sierpnia.

² W materiałach biograficznych znajduje się luka od połowy marca 1859 r. do 23 sierpnia; atoli niema powodu sądzić, że w ciągu tych miesięcy coś ważnego zaszło. Na koniec sierpnia lub wrzesień (1859) przypada podróż łodzią po Dniestrze w towarzystwie Bielińskiego, który był wysłany dla zbierania koryta rzeki.

zajmują go ciągle, górując nad innemi: najpierw po-kończyć rozpoczęte prace i znaleźć nabywcę na wszystkie drukowane i niedrukowane dzieła, aby raz na zawsze pozbyć się kłopotów wydawniczych; następnie opuścić tymczasowe mieszkanko i osiąść na kawałku ziemi, bądź własnej, bądź wydzierżawionej.

Pierwsza myśl z trudem przechodziła w sferę rzeczywistości. Materiały do *Pacholecia hetmańskiego*, o które poeta tak długo i daremnie ks. Scipiona pro-sił, dopiero w sierpniu r. 1859 zostają mu zwrócone; do tej więc chwili praca nad »djarjuszem Walentego Rożanki« ulegała zawieszeniu. Wogóle przez rok ten pisze niewiele; o dalszym ciągu *Pieśni o domu naszym* nic nie słysząc. Zajmują go natomiast prace mniejszego znaczenia, jak objaśnienia do *Stryjanki* i kalendarz myśliwski, ogłoszony później p. t. *Rok myśliwca*. O nakładców stara się na wszystkie strony, ale zawsze na próżno. Na domiar złego przez cały rok 1859 ciągną się zawikłane interesa z Orgelbrandem¹, sprawiając pocie wiele kłopotów i zgryzot.

Druga myśl, która nie opuszczała go przez tyle lat, miała teraz więcej warunków do urzeczywist-nienia. Wprawdzie Firlejowszczyzna okazała się z róż-nych względów nieodpowiednią, ale równocześnie otworzyły się inne widoki. Już w marcu r. 1859 pi-sał Pol do pani Międzyńskiej, chwilowo bawiącej w Krakowie:

»Ciągle taje i ma się niby ku wiosnie, ale ja nie mogę w nią uwierzyć przed ś-tym Józefem. Sko-wronki śpiewają, ale niewczesne bociany odleciały

¹ Wygórowane żądania Orgelbranda doprowadziły do pro-cesu, a w dalszym skutku groziły przymusową sprzedażą wy-dania wiedeńskiego poezji przez publiczną licytację.

na powrót i jakoś nie wesoło, choć słońce przyświeca! Sznurowe ptactwo wraca już z cieplic, wczoraj widziałem gęsi dzikie pod lipami. Pan Dobrodziej zrobił mi propozycję, żeby sobie domek postawić w tych lipach. Wielka to łaska postawić domek pod staremi drzewy i będę z niej korzystał, jeżeli mi Kaliński (z którym w układy wchodzę) sprzeda swe pola, które ma pod Tyśmienicą, — a tu już dziękuję Pani Dobrodziejce za łaskawą propozycję, która jest dla mnie nowym dowodem Ich życzliwości i opieki nad nami!«¹

Sprawa osiedlenia się pod Tyśmienicą znalazła się na dobrej drodze. Wypadało tylko postawić »pod lipami« domek, niewielki, skromny, ale własny, jak to było niegdyś w Marjampolu.

Naraz staje się rzecz dziwna i niespodziewana. Oto z końcem listopada przed hotel Angielski we Lwowie zajeżdża z tobołkami autor *Mohorta* i żąda pokoju, odpowiedniego na dłuższy pobyt. Między poetą a dworem zaszło jakieś nieporozumienie, które wywołało ów nagły wyjazd.

Jak żyd wieczny tułacz niełaską losu pędzony z miejsca na miejsce, stroskany i zakłopotany, Pol był pewien swej niewinności; więc żeby wyjaśnić sprawę i oczyścić się z możliwych zarzutów, pisał do swych protektorów:

»Osiałem na Pokuciu, bo wypadało mi usunąć się od świata; pragnę powrócić, aby żyć w bliskości jedynych przyjaciół, którzy mi jeszcze zostali, — oto jest wszystko co powiedzieć mogę; jeżeli jakieś nie-miłe zawikłanie powstało z powodu osiedlenia się mego na Tyśmienickiem Zameczysku, to zapewne ztąd,

¹ List z dn. 11 marca 1859 r. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

że pomiędzy mną a Jaśnie Wielmożnym Państwem Dobrodziejstwem stanęli niepowołani, którzy w całej tej sprawie pobudek moralnych ani z jednej strony, ani z drugiej ocenić nie mogą, bo im brak dobrej woli do tego...¹

Nie będziemy wglądać w szczegóły tej sprawy; wystarczy wspomnieć, że po tym zdarzeniu stosunki Pola z rodziną Miączyńskich bynajmniej nie ochłodziły, jednak do osiedlenia się pod Tyśmienicą nie przyszło.

Niezwłocznie po przybyciu do Lwowa zasiadł poeta do pracy literackiej, wzięwszy sobie do pomocy starszego syna, Wincentego. Na pierwszym planie znalazło się oczywiście *Pacholę hetmańskie*², najdłuższe z jego epickich dzieł, które nieprędko jeszcze miało dobiec do końca. Oprócz tego nazbierało się tyle zaległej roboty, że trzeba było całą zimę przeznaczyć na kończenie utworów rozpoczętych, zbieranie i porządkowanie dawniej napisanych. »Dopóki mych pism nie zbiorę i nie skończę — donosi poeta — nie mogę wyjechać ze Lwowa, bo mi się zdaje, iż czas ostateczny, aby temu dać odprawę, co przez lat tyle zajmowało umysł i przejść do spokoju duszy i równowagi w życiu, jeżeli Bóg dozwoli«.

Wyszukuje więc po starych czasopismach i księgach zbiorowych dawne swoje utwory, jak *Wachmistrza Dorosza*, *Historję szewca*, *Szajne katarynkę*, przepisuje do druku nieznane dotychczas poezje

¹ List do Klem. Miączyńskiej, pis. we Lwowie dn. 4 grudnia 1859 r. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

² Dn. 9 grudnia 1859 L. Pietrusiński do K. Kaczkowskiego pisze o W. Polu: »Sam przez całą zimę bawić będzie we Lwowie dla ukończenia dzieła, którego mu 16-to miesięczne zmartwienia i zgryzoty dokończyć nie dozwoliły«. Bibl. Muzeum polsk. w Rapperswilu. Papiery po Karolu Kaczkowskim.

Z więzienia, Wieńce z piołunu, Słowo a sławę i różne mniejsze, okolicznościowe; wreszcie usiłuje doprowadzić do końca *Pieśń o domu naszym* i *Rok myślnica*. Do tego dodać trzeba kilka tomów prozy, przeważnie pism geograficznych.

Z początkiem wiosny (1860) praca dobiegła do kresu; z zadowoleniem doniósł o tym poeta: »Co Bóg zebrać i skończyć dozwolił, jest przepisane i opraćwne, a gdy na te księgi patrzę, zdaje mi się, żem starego długu, czy ciężkiego grzechu pozbył«¹.

Przez cztery miesiące spędzając dnie z piórem w dłoni, niewiele miał czasu na udzielanie się towarzystwu, zwłaszcza że i zdrowie nie zawsze dopisywało. Atoli gdy wczesny zmrok zapadał, trudno mu było powstrzymać się od nawiedzenia którego z dawnych przyjaciół. Zaglądał więc do Włodzimierza Dzieduszyckiego, do Wiktora Baworowskiego, do Tadeusza Bielińskiego, a już stałym gościem bywał na sobotnich zebraniach wieczornych u swego kolegi Stanisława Pilata.

W domu tym zbierali się co tydzień na wspólną pogawędkę przedstawiciele świata literackiego i naukowego, profesorowie uniwersytetu i politechniki, urzędnicy Zakładu im. Ossolińskich, redaktorowie i artyści, adwokaci i lekarze, słowem wszyscy biorący udział w życiu społecznym lub umysłowym. Do częstych gości należeli: Bielowski, Kaczkowski, Łoziński, Małecki, Pol, Przyłęcki, Supiński, Szajnocha, Widman, Wagilewicz, Urbański, Zielonacki, Zacharjasiewicz i inni.

Na tych to zebraniach skupiło się grono pisarzy,

¹ Dn. 27 marca 1860 do Klem. Miączyńskiej. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

k którzy powzięli myśl założenia nowego pisma tygodniowego. Pismo miało zgromadzić te zwłaszcza siły literackie, co nie mogąc przystać do żadnego z wydawanych czasopism dla ich tendencyjności, były pozbawione pola do wypowiedzenia się i wpływania na społeczeństwo.

Wincenty Pol zapalił się do tego projektu; odżył w nim dawny redaktor *Biblioteki Ossolińskich*; cieszył się na samą myśl, że będzie można zbudować jakiś odosobniony domek, pozamykać drzwi i okna od demokratycznych krzyków i w dobranym towarzystwie gawędzić o dawnych dobrych czasach. »W kółku dawnych znajomych — pisał — znalazłem tu znaczną odmianę; uczuli w końcu potrzebę skupienia się około wspólnej pracy i wkrótce ma się okazać nowe pismo *Kółkiem rodzinnem* nazwane, jako owoc tego skupienia«¹.

Dnia 6 marca wyszedł pierwszy numer nowego tygodnika pod redakcją Jana Zacharjasiewicza i Aleksandra Szedlera, przynosząc na pierwszych stronach szlachecką gawędę, czyli »opowiadanie przy kominku« (*Złota góra Zacharjasiewicza*).

Trzeba przyznać nowej redakcji, że w gronie współpracowników liczyła kilku pisarzy pierwszorzędnych. Powieść reprezentowali Zygmunt Kaczkowski (*Żydowscy*), Jan Zacharjasiewicz i Walery Łoziński; poezji i dramatów dostarczali: Baliński, Deotyma, Lenartowicz, Małecki, Pajgert, Pol i inni; studja historyczne zamieszczali: Szajnocha (*Zdobycze pługa polskiego*), Bielowski i Łoziński. Nadto znalazły się tam liczne artykuły różnej treści, z zakresu

¹ Dn. 1 lutego 1860 do Klem. Międzyńskiej. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

literatury i teatru, sztuk pięknych i dziennikarstwa; te ostatnie miały zazwyczaj barwę polemiczną.

Przed rozpoczęciem wydawnictwa Pol przesłał redaktorom *Kółka Rodzinnego* obszerny »List« o charakterze programowo polemicznym. Dziwny to artykuł. Pisany niewątpliwie w zamiarze szlachetnym, z troską o dobro literatury i dziennikarstwa, lecz ze stanowiska tak wyłącznego, że w skutku swym nie do porozumienia wiódł i pojednania, lecz do tym silniejszego wyodrębnienia poglądów i zasad. Jest to mieszanina myśli rozumnych i sprawiedliwych z oklepanemi komunałami o miłości i zgodzie, obficie zaprawiona żółcią, wygłoszona zaś tonem mentorskim i dogmatycznym. Między wierszami nietrudno tu wyczytać, że Pol żąda, aby ludzie odmiennych przekonań albo przestali pisać i przez to wpływać na opinię publiczną, albo też wyrzekli się swych zasad i przeszli do jego obozu. Jedno i drugie było uroszczeniem, niegodnym poważnie myślącego człowieka.

Wydawcy *Kółka* po wspólnej naradzie zwrócili rękopis autorowi nadmieniając, że »umieszczenie tego artykułu w kolumnach nowo powstającego dziennika może obudzić waśń pomiędzy dziennikami polskimi«.

Nie zrażony odmową, poeta posłał »List« do Warszawy, gdzie go zamieszczono na końcu drukowanej właśnie *Stryjanki*¹.

Odrzucenie artykułu wstępnego nie popsuło harmonji między *Kółkiem Rodzinnym* a Wincentym

¹ Po wyjściu *Stryjanki* z druku, na zarzuty postawione w Liście dziennikarstwu odpowiedzieli: J. I. Kraszewski (w *Gazecie Codziennej*), F. H. Lewestam i Józef Pracki.

Polem. Już w pierwszym numerze znajdujemy jego wiersz na zgon Zygmunta Krasińskiego — *23 lutego*.

Zamieszczony bezimiennie, wzbudzić musiał wątpliwości co do autorstwa, bo dziwnie był niepodobny do wszystkiego, co w latach ostatnich wyszło z pod pióra naszego poety. To już nie gawęda i nie utwór okolicznościowy, ale najczystsza poezja. Od prześlicznego rytmu i najgodniejszego wyboru słów — do uczucia miłości, czci, uwielbienia i żałoby, szczerego a podniesionego do najwyższego napięcia, wszystko składa się na całość przedziwnie piękną i wzniosłą. Patrząc na tę łzę nadgrobną, co w perłę liryzmu stężała, wierzy się znów w siły twórcze Pola, wierzy się, że między *Stryjanką* a *Rokiem myślinca* przyszła nań chwila prawdziwego natchnienia.

Po *23 lutego* znalazły się w *Kółku* inne prace tegoż autora, zupełnie różne co do treści i formy. Większy wyjątek ze *Stryjanki*, rapsod z *Pacholęcia*, parę artykułów prozą, — to wszystko, co Pol z teki swojej ofiarował redakcji *Kółka*. Można przypuszczać, że współpracownictwo jego byłoby dłużej potrwało, gdyby nie zaszły wypadki, które go ostatecznie zniechęciły do prasy perjodycznej.

Z zachmurzonego oddawna nieba niespodziewanie padł grom. Dnia 8 maja w *Dzienniku Literackim* ukazał się nowy artykuł Kornela Ujejskiego z cyklu *Listów z pod Lwowa*; pod tytułem czytano: »O Januszu i panu Wincentym Polu«. Rzecz pisana z tą samą siłą i namiętnością, co *Listy* poprzednie, zapowiadała się na czas dłuższy. Autor *Mohorta*, który podobno znał już ogólną treść artykułów następnych, uznał za stosowne usunąć się z widowni i przyspieszył wyjazd ze Lwowa.

Dnia 26 maja przybył do Lubienia¹ i niezwłocznie rozpoczął kurację. Potrzebował jej rzeczywiście, półroczna bowiem praca wpłynęła ujemnie na zdrowie.

Przez cały czas pobytu, który się przeciągnął do 30 sierpnia, poeta prowadził dziennik; dorywczo i krótko zapisywał w nim co dni kilka bieżące wypadki ze swego życia i z najbliższego otoczenia. Z zaciekawieniem przerzuca się poźółkłe kartki zeszytu, aby po chwili doznać zupełnego rozczarowania: to nie spowiedź poety przed samym sobą, ale notatnik.

Na początku szczegóły dość obojętne:

»W Lubieniu w łazienkach stanąłem w domu, gdzie przed 40 przeszło laty bawiłem w kąpielach z ś. p. ojcem moim; łóżko moje stało w miejscu ojcowskiego, stasiowe w miejscu mojego.

Dnia 9 czerwca przybyła siostra Zofja Ławrynowicz do wód i zajęła pokój jeden w tym samym domu«.

Nieco dalej wiadomości innego rodzaju, lecz niemniej obojętne:

»W przeciągu czerwca podyktowałem wniosek w sprawie zdrojowisk krajowych, umieszczony w *Kółku Rodzinnym*, wniosek względem lekcji muzyki religijnej do Towarzystwa muzycznego, podyktowałem artykuł o Dniestrze w sprawie organizującego się Towarzystwa żeglugi parowej na Dniestrze«.

I tak przez cały czas ciągną się suche notatki, aż do ostatnich kart, gdzie czytamy:

»Przez cały ciąg wakacji bawił Stasio przy mnie. Towarzystwo mieliśmy zawsze niezłe, bo byli zawsze i światli księża, jak ksiądz Mydło, i miłe panie«.

Uwierzyć trudno, że ten dziennik Wincentego Pola powstał wówczas, gdy we Lwowie wychodziły

¹ Kąpiele mineralne na południowy zachód od Lwowa.

płomienne *Listy z pod Lwowa*. Z przedziwnym spokojem i równowagą zapisuje poeta wiadomości o pogodzie i kąpielach, o przyjeździe znajomych i miłym spędzaniu czasu, a między tym wszystkim, niby od niechcenia, znajdują się następujące wzmianki:

»Dnia 10-go odwiedzili mię przyjaciele moi w Lubieniu, ze Lwowa przybyli na dzień cały, i prosiłem ich na obiad; widocznie dlatego, bo mnie chcieli pocieszyć i dać dowód udziału w chwili kiedy Ujejski listy swoje przeciwko mnie pisze z pode Lwowa«.

W innym miejscu wiadomość podobna, w równie obiektywnym i chłodnym tonie:

»Dnia 8 lipca był dla mnie obiad dany w Lubieniu i wyprawiony przez obywateli okolicznych, na który zaproszono literatów i artystów ze Lwowa, a prócz tego wielu ludzi z różnych stronnictw, którzy pośrodku swoich stoją. Było osób przeszło 40 przy stole; obiad odbył się na balowej sali; były różne toasty, ale wszystkie do mnie tylko zwrócone. Po obiedzie odpowiedziałem prozą; obiad był właściwie demonstracją przeciw oskarżeniom Ujejskiego, ale nie miał tego pozoru«.

I wreszcie ostatnia notatka, tej sprawy dotycząca:

»Dnia 24 lipca przyjechała młodzież w deputacji od uniwersytetu i szkoły technicznej i wręczyła mi adres czci i współczucia, opatrzone wielu podpisami uczniów obu akademji lwowskich. Młodzieniec piękny, który przemówił, zwał się Gwiazdoń; odpowiedziałem im za ich życzliwość w kilku długich ustępach, w których tłumaczyłem im stanowisko narodowości, przeszłe i przyszłe drogi pokolenia«.

Widzimy więc, że grzmiący głos Ujejskiego znalazł echo w Lubieniu i wywołał opisane powyżej zdarzenia. Ale jest to rzeczą nad wyraz przykrą, że poza

temi suchemi sprawozdaniem poety ani jednym słowem nie odkrył stanu swej duszy. Mimowoli czy rozmyślnie ukazuje nam oblicze sfinksa, zostawiając pole do snucia domysłów.

Biblijografia do sprawy *Listów* jest nader obfita, lecz jak dla nas — jałowa zupełnie. Istotnie, co nas obchodzi wszystkie polemiki dziennikarskie, wszystkie odpowiedzi *Kółka* i *Czasu*, Bielowskiego czy Siemieńskiego? Czego nauczy nas sążnisty list Kaczkowskiego albo niefortunna broszura Dzieduszyckiego, która obok *Listów* wygląda jak szklany paciorek obok perły urjańskiej? To wszystko wyjaśnia tylko, co myśleli i jak się oburzali przyjaciele Pola; ale dusza oskarżonego poety pozostaje nadal tajemnicą.

A przecież zbadanie tej tajemnicy, pomimo nastrecających się trudności, jest obowiązkiem piszącego o autorze *Mohorta*. Szczegółowe omawianie *Listów*, roztrząsanie broszur i artykułów polemicznych byłoby tylko omijaniem sprawy, która na tym właśnie miejscu powinna być wyświetlona.

Przedewszystkiem uznać można za rzecz zupełnie naturalną i pewną, że wystąpienie Ujejskiego sprawiło poecie ogromną przykrość. Przez pięć tygodni stał Pol pod pręgierzem opinii publicznej, słuchał, jak prokurator wobec społeczeństwa odczytuje płoмиenny akt oskarżenia, jak bezwzględnie roztrząsa nie tylko pisma — te najdroższe dzieci jego ducha, ale i życie publiczne, towarzyskie, a nawet domowe. Musiało to być dla niego męką bolesną i długą. Już sama wzmianka w dzienniku, że przyjaciele »chcieli pocieszyć« go, przybywszy umyślnie ze Lwowa, każe się domyślać, że Pol istotnie pociechy potrzebował, bo cierpiał bardzo.

Zrazu zapewne nadrabiał miną, ukrywał ból na

dnie serca i milczał; ale po dwóch miesiącach pisząc do tej, której zawsze troski swe i zmartwienia powierzał, przyznał się szczerze do bólu i zgryzoty. »Nigdy nie dałem powodu do publicznego zgorszenia i waśni, — pisze poeta — a jednak stało się, że i człowiekiem i pismami dziwnie zatruwano opinię publiczną, budząc z jednej strony złe namiętności, z drugiej strony wywołując głosy obrony. Stawszy się tarczą, do której strzelano i od której odpierano pociski, zdało mi się, iż najwłaściwszą będzie rzeczą połknąć tę gorycz i milczeć. I tak otrętwiałem, że nawet do Pani nie miał odwagi i serca napisać listu i donieść o tem, co tu w tym czasie zaszło«¹.

A więc była gorycz, którą połknął, i była boleść, którą milczeniem pokrywał. Ale ponad to inne jeszcze uczucia targały sercem oskarżonego poety.

Zarzuty Ujejskiego raniły jego dumę osobistą, szarpały tę odrobinę zarozumiałości i pewności siebie, która jest właściwa ludziom ponad tłum wywyższonym. Ta śmiałość i bezwzględność w słowach Ujejskiego wywołała zrazu oburzenie i gniew, potem urazę głęboką, nietajoną bynajmniej, a zachowaną do śmierci. Świadek tych czasów, Władysław Zawadzki, opowiadał, że twórca *Skarg* usilnie starał się pojednać z Polem i przebaczenie uzyskać. »Nadarzyła się do tego sposobność w dwa lata później, podczas uczty danej dla Pola. Kiedy już wszyscy byli zebrani, wszedł Ujejski i rzucając się Polowi na szyję, prosił o przebaczenie. Pol nie odpowiedział na uścisk uściśkiem, lecz wzięwszy spokojnie kapelusz — wyszedł«².

¹ List do Klem. Miączyńskiej, pis. z Lubienia dn. 30 sierpnia 1860 r. Rękop. Bibl. Poturzyckiej.

² E. Zorjan (Sedlaczek). *Ostatni romantyk w warszawskiej Nivie* r. 1886, str. 834.

Postępując dalej wgłąb duszy poety, znaleźlibyśmy poza cierpieniem moralnym, poza oburzeniem i urazą jeszcze pewnego rodzaju lekceważenie blizkie pogardy, połączone z poczuciem własnej wyższości. Wszak oddawna już nauczył się Pol puszczać mimo uszu wszystko, co o nim mówiono »w kawiarni«, a nie »we dworze szlacheckim«¹. Nie dbał, co tam dzienniki o nim piszą, uprzedzony do prasy jako takiej, w szczególności zaś do tych czasopism, z którymi nie zgadzał się w pojęciach zasadniczych. Do takich właśnie lekceważonych i pogardzanych przez Pola pism należał *Dziennik Literacki*². Poeta przyzwyczaił się widzieć w nim tylko hałaśliwy organ koterji, stronnictwo usposobiony wobec wszelkich objawów życia społecznego. Już sam fakt, że *Listy z pod Lwowa* ukazały się w *Dzienniku*, wzbudził w nim przekonanie, że jest to tendencyjna napaść, dająca ujście stronnictwym waśniom i zawiściom. To przekonanie wywyższyło Pola w jego własnym mniemaniu wysoko ponad namiętne artykuły Ujejskiego. Rzucone rękawicy nie podjął, ale jak Cezar poczuwszy pchnięcie Brutusa, owinął się togą milczenia.

Zresztą kto wie, czy Pol czytając *Listy* (jeżeli je wogóle czytał), nie zastanowił się przez chwilę nad tym lub owym zarzutem? Może spojrzał wgłąb swego sumienia i zapytał siebie, zali na prawdę jest bez winy? Ale tę chwilę zadumy i porachunku z sobą samym rychło przerwali mu przyjaciele. Schwycili

¹ Zob. objaśnienia do III. wyd. *Mohorta*.

² Dla informacji tych, co *Dziennika Literackiego* nie mieli w ręku, wymieniam stałych współpracowników z r. 1860: M. Bałucki, L. D. Borkowski, J. Dobrzański (redaktor), T. T. Jeż, T. Lenartowicz, A. Pajgert, A. Plug, M. Romanowski, H. Schmitt, J. Starkel, J. Szujski, K. Ujejski i W. Zawadzki.

w objęcia, posadzili na honorowym miejscu za stołem i w długim szeregu toastów najuroczyściej zapewniali, że życie jego jest wzorem nieskazitelnego żywota dobrego obywatela, a pisma jego są zbiorem niezrównanych arcydzieł.

Stosunki te znał Ujejski doskonale i nie licząc się ze słowami pisał o tym w ostatnim *Liście*: »Wielu złych, głupich albo nieudolnych ludzi, czy to między literatami, czy między szlachtą, starają się o to usilnie, aby go utrzymać na drodze błędu... Schlebiają mu więc, uspokajają, łagodzą budzące się w nim wyrzuty sumienia, bo im się zdaje, że zniżając ducha Wincentego Pola, ich własny wyda się przeto większym«¹.

Wszystkie te okoliczności sprawiły, że ostateczny skutek *Listów* w stosunku do poety był wprost przeciwny temu, którego spodziewał się ich twórca.

Ujejski pisał w przekonaniu, że zdoła wpłynąć na zasady i dążności Pola, że wskrzesi w nim dawnego Janusza i natchnie do »pieśni, co spada gromem i zapala do czynu«. Mniemał on, że nawróci autora gawęd na swoją wiarę i — jak sądził — podźwignie z chwilowego upadku ducha.

Ale Ujejski łudził się i marzył, jak prawdziwy poeta. Tylko bowiem poeta, dla którego w sferze wyobraźni wszystko jest łatwe i dostępne, mógł przypuścić, że Pol zdolny będzie na krok jeden odstąpić od swych przekonań. W zasadach jego było tyle wiary w ich słuszność i zbawienność, tyle pewności siebie, wreszcie tyle uporu nie znośzącego najmniejszych ustępstw, że spodziewać się

¹ Według wydania lipskiego str. 233 i 234.

odeń zejścia z obranego stanowiska było złudnym marzeniem.

Listy z pod Lwowa nie tylko nie wpłynęły w najmniejszym bodaj stopniu na przekonania Pola i jego dalsze postępowanie, ale przeciwnie — utwierdziły go w mniemaniu, że nadal iść powinien tylko tą drogą, którą szedł od lat kilkunastu.

W starciu tych dwu szlachetnych dusz było coś głęboko tragicznego. Każdy z nich kochał ojczyznę miłością wielką i zdolną do poświęceń. Każdy pewien był, że posiada jedyną tajemnicę życia narodowego i uważał sobie za obowiązek zwiastować ją i wpajać w serca swego społeczeństwa. Gdyby nie ślepa wiara w prawdę i zbawienność własnych przekonań i gdyby nie wspólna służba przy ołtarzu ojczyzny, zapewne nigdyby nie było przyszło do starcia. Ale to wewnętrzne poczucie obowiązku i posłannictwa swego wznieciło między nimi walkę.

Starszy, zaatakowany niespodzianie, zamknął się, zabarykadował z garstką wiernych poddanych w okopach św. Trójcy.

Młodszy rozplómiénym wzrokiem cały naród ogarniał. Śpiących budził, obojętnych zapalał, grzesznych karcił i wołał wielkim głosem, że czas już otrząść ducha z długiej, dwunastoletniej apatii.

Nie można wątpić, że na dnie zatargu między poetami leżała sprawa narodowa. Sam autor *Listów* otwarcie do tego się przyznaje:

»Listy moje mniej są krytyką, a więcej syntezą myśli i uczuć narodowych; dotykam w nich mnóstwa rzeczy bardzo potrzebnych, chociaż na pozór nie mających związku z ich główniejszą treścią. Ważną jest zapewne osobą pan Wincenty Pol, ale ważniejszą

chwila, w której te listy piszę. Mnie nie tyle chodzi o zwycięstwo nad panem Wincentym Polem, ile o zwycięstwo ducha narodowego«¹.

Ujejski wyznał prawdę. Głos jego, to głos narodu budzącego się do nowego życia. Rozejrzyjmy się po ziemiach polskich, wyteżmy słuch, a ze wszystkich stron dolecą nas głosy zwiastujące, że zbliża się »chwila dziwnie osobliwa«.

Gdy twórca *Listów* darł na strzępy bezmyślne *Pamiętniki Winnickiego*, widząc w nich zgorszenie i truciznę, — Julian Klaczko w rozbiorze *Krewnych* gromił autora za brak patryjotyzmu i dążności antynarodowe. Gdy pierwszy we Lwowie wołał: »Nam nie o artyzm chodzi; my przedewszystkiem przyzwyczailiśmy się szukać w poezji ducha, co nas tak długo umacniał i podnosił«... drugi z Paryża surowo wypominał społeczeństwu polskiemu niewczesny dyletantyzm artystyczny i rozmiłowanie się w czecznych bohaterach kontuszowych powieści i gawęd.

W literaturze i w prasie wyczuć się dają nowe, ożywcze prądy. Rośnie wiara w lepszą przyszłość, dochodzi do uświadomienia potrzeba gorliwej pracy społecznej, rodzi się ufność we własne siły, a uczucia narodowe podnoszą się do wysokiego napięcia. Wszystko zdaje się przygotowywać ów stan umysłów, który wyda czyny roku 1863.

I nie dziw, że naród spragniony nowego życia i romantycznie zapatrzony w przyszłość, zaczął obojętnieć dla tych poetów, co nie o życiu niesli mu pieśń, lecz o grobie.

Już w roku 1856 wołał J. I. Kraszewski: »Szaleje, kto dla miłości zmarłego zakopuje się z nim w je-

¹ *Listy*, str. 128—129.

dnym grobie... Inna jest opłakiwać na mogile, a inna do niej zstępować z zimnemi trupami; myśmy właśnie tego rodzaju samobójstwa dopuścili się w literaturze«...¹.

Po kilku latach ten odosobniony głos Kraszewskiego stał się już głosem myślącego społeczeństwa. W stosunku do Pola najwyraźniej ujawniło się to w r. 1860 z okazji wydania *Stryjanki*.

A. A. Krajewski, krytyk uczciwy i poważny, a z pewnością od prasy galicyjskiej i jej sporów niezależny, pisał z powodu tej gawędy: »Że przeżyte idee mogą znajdować echo, to ciche i wstydlive, to czasami nawet głośnie i wyzywające, temu bardzo wierzę i bynajmniej nie przeczę; ale że żywy prąd opinii współczesnej nie w tę stronę idzie, temby pewno i autor *Stryjanki* również nie zaprzeczył«².

Podobne zdanie wygłasza inny krytyk warszawski, Józef Pracki: »Gawędy szlacheckie i wszystkie podobne im treścią kreacje nie są dziś na dobie. Rola, którą dotychczas odegrały, była tylko szkodziwą... Idąc bezmyślnie za tradycją, lubować się i pod niebiosa wynosić wszystko, co ona zdziałała, co w niej kwitło i przekwitło, jest chyba złośliwą ironją wobec owoców, jakie przeszłość wydała«³.

Ze wszystkich stron coraz częściej i coraz energiczniej odzywają się głosy: dosyć już gawęd, dość tej literatury grobów i próchna, żądamy poezji życia, któraby nas natchnęła wiarą w przyszłość i zapaliła do czynu!

¹ *Gazeta Warszawska* z dn. 15 marca 1856 r.

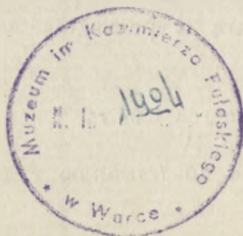
² *Biblioteka Warszawska* r. 1860 t. IV.

³ Rozb. *Stryjanki* w *Tygodniku Ilustrowanym* r. 1861, nr. 74.

I wówczas to zrozumiał ogół, że z dniem każdym rośnie przedział między nim, idącym w przyszłość, a tym, co w przeszłości jeno widział wielkość i dobro, blask i cnotę, co tylko resztkami, strzępami dawnej świetności kazał podtrzymywać nędzny żywot obecny. I widział naród, że gdy »wzbiera czynu fala«, gdy wszystko budzi się do nowego życia, ten najwierniejszy syn przeszłości

Chce zawrócić w stare łóże
Nowe fale — rzeki Boże.

Kraków. 1905—1906.



TREŚĆ TOMU DRUGIEGO.

KSIEGA TRZECIA. — SYN PRZESZŁOŚCI.

(1846—1860).

	str.
Rozdział I. Dola i niedola. Rzeź i więzienie. Poezje <i>Z więzienia</i>. Przekład psalmów pokutnych. Redaktor <i>Biblioteki nauk. zakł. im. Ossolińskich</i>. Życie towarzyskie i podróż	3
Rozdział II. Rok czterdziesty ósmy. Udział w ruchu politycznym. Spowiedź publiczna. <i>Widzenie Janusza. Słowo a sława</i>. Wyjazd	67
Rozdział III. Profesor geografji. Pierwsze dni. Wykłady powszechne i ścisłe. Uczniowie i koledzy. Zeiszner, Kremer i Helcel. Troska o dobro Wszechnicy. Głos krytyki naukowej. Zapowiedź nowych dzieł. Utrata katedry, powody i okoliczności	114
Rozdział IV. Lata smutku i żałoby. Pobyt w Polance. Praca literacka. Pomoc księdza Scipiona. Artykuły prozą. Kłopoty wydawnicze. Szymon Dutkiewicz. Troski i zgryzoty. Śmierć żony. Brodowicz i Siemiński. Myśl o wyjeździe. Nowe kłopoty wydawnicze. Pobyt w Wiedniu. Śmierć matki. Wyjazd	156
Rozdział V. Z podróży po burzy. Wspomnienia młodości. <i>Jako bynało</i> i <i>Makowe ziarno</i>. Wiejskie wczasy. Poezja opisowa. <i>Zimą w puszczy</i> i <i>Czarna krówka</i>. Uwagi ogólne	211
Rozdział VI. Poezja przeszłości. Uwagi ogólne. Wiek XVIII i pierwsza ćwierć XIX. Fredro i Malczewski. <i>Pan Tadeusz</i> i <i>Pamiętki Soplicy</i>. Upodobania ogółu. Legjon gawędziarzy	261

	str.
Rozdział VII. Trzy gawędy. <i>Senatorska zgoda. Sejmik w Sądowej Wiszni. Stryjanka. Winnicki czy Pol?</i>	299
Rozdział VIII. Mohort. Gienieza, źródła i kompozycja. Sądy o poemacie. Mohort jako typ rycerza. Mohort jako charakter. Bohaterstwo »trwania«. Z powodu formy słów kilka. Opisowość a malowniczość. Zakończenie . .	350
Rozdział IX. Wit Stwosz. Nowy rodzaj. Źródła biograficzne. Dramat Fr. Wagnera. Własność poety. Teza i jej przeprowadzenie. Pierwiastek subiektywny. Właściwości stylu	396
Rozdział X. Kartki z podróży. Tyśmienica i Lwów. <i>Pieśń o ziemi naszej</i> . Warszawa i Lublin. Powrót na Pokucie. Lwów i <i>Kółko rodzinne</i> . Pobyt w Lubieniu. <i>Listy z pod Lwowa</i>	427













